

KROKI W NIEZNAJNE

ALMANACH FANTASTYKI



SOLARIS

Almanach fantastyki

Kroki w nieznane

Tom 7

**pod redakcją
Mirka Obarskiego**

2011

trident

Wydania oryginalne

„This Year’s Class Picture” by Dan Simmons. Copyright © 1992 by Dan Simmons. Reprinted by permission of the author and the author’s agent Baror International, Inc.

„Third Class Superhero” from Third Class Superhero by Charles Yu. Copyright © 2006 by Charles Yu. Translated and used by permission of Houghton Mifflin Harcourt Publishing Company. All rights reserved.

„Blue and Gold” by K. J. Parker. Copyright © K. J. Parker 2010.

„Divining Light” by Ted Kosmatka. Copyright © 2008 by Ted Kosmatka. Reprinted by permission of the author.

„The Paragon Lure” Copyright © 2010 by Tony Pi. Reprinted by permission of the author.

„Mir naiznanku” Copyright © 2009 by Marina & Siergiej Diaczenko. Reprinted by permission of the authors.

„Remembrance is Something Like a House” Copyright © 2009 by Will Ludwigsen. Reprinted by permission of the author.

„Stereogram of the Gray Fort, in the Days of Her Glory” Copyright © 2010 by Paul M. Berger. Reprinted by permission of the author.

„Palimpsest” by Charles Stross. Copyright © 2009 by Charles Stross. Reprinted by permission of the author’s agent, Liza Dawson Associates.

„Tu Sufrimiento Shall Protect Us” Copyright © 2010 by Mercurio D. Rivera. Reprinted by permission of the author.

„Otczajanije” Copyright © 2010 by Jurij Nesterienko. Reprinted by permission of the author.

Wydanie polskie

Data wydania:

2011

Wydawca:

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

ISBN 978-83-7590-078-1

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Przedmowa](#)

[Dan Simmons – Tegoroczne zdjęcie klasowe](#)

[Charles Yu – Superbohater Trzeciej Kategorii](#)

[K.J. Parker – Błękit i złoto](#)

[Ted Kosmatka – Prorocze światło](#)

[Tony Pi – Przynęta doskonała](#)

[Will Ludwigsen – Pamięć jest czymś jak dom](#)

[Marina i Siergiej Diaczenko – Przenicowany świat](#)

[Paul M. Berger – Stereogram Szarego Fortu w dniach jego chwały](#)

[Charles Stross – Palimpsest](#)

[Mercurio D. Rivera – Twoje cierpienie nas ochroni](#)

[Jurij Nesterienko – Rozpacz](#)

[Noty o autorach](#)

[Podziękowania](#)

[Acknowledgements](#)

Przedmowa

Tegoroczny almanach fantastyki *Kroki w nieznane* jest jednym z najbardziej zróżnicowanych gatunkowo od czasu reaktywacji serii. Czytelnik poszukujący współczesnej literatury fantastycznej znajdzie tu całe bogactwo jej odmian. Począwszy od modnego dziś horroru spod znaku zombie, poprzez opowieści grozy, historię rodem z komiksów o superbohaterach, nowoczesną science fiction, aż po rozegraną w zawrotnym tempie fantastykę przygodową i fantasy.

Ostatnie tomy antologii powstawały w czasie, kiedy amerykański rynek wydawniczy zaczął wchodzić w głęboką i rewolucyjną zmianę. W tym roku stało się to już bardzo widoczne. Amazon, największa na świecie księgarnia wysyłkowa, ogłosił, że na każde sprzedane przezeń 100 książek tradycyjnych, przypadło 105 w formacie cyfrowym. Nie sprawdzają się zatem kasandryczne zapowiedzi rychłego zaniku umiejętności czytania i pisania. Ludzie od początku świata nigdy tyle nie pisali i czytali (wprawdzie dotyczy to również wpisów w mediach społecznościowych), a także nigdy tyle nie kupowali książek (wprawdzie do czytania na tabletach i w komórkach). Ale cóż to szkodzi, jeśli dzięki temu trendowi wzrosła subskrypcja amerykańskich czasopism fantastycznych i szybciej mogą docierać do polskich czytelników tłumaczenia nowych, ciekawych utworów?

Na dostępność i mnogość tytułów elektronicznych nakłada się inne zjawisko: eksplozja amerykańskich wortalu i fanzinów internetowych. Początkowo publikowali tam autorzy na dorobku. Dziś pojawiają się też teksty autorów skupionych wokół kluczowych magazynów papierowych. Wszystko zatem wskazuje, że jest z czego wybierać. Ale ta obfitość jest nieco zwodnicza gdyż, jak to często bywa, ilość nie zawsze przechodzi w jakość. Pocieszający jest fakt, że trafiają się wśród tej powodzi opowiadania doskonale. Przykładów nie trzeba szukać daleko, np. zamieszczone w poprzednich tomach *Kroków w nieznane* „Śmiercionauci” Teda Kosmatki, „Dom Maga” Meghan McCarron, „Eros, filozofia, agape” Rachel Swirsky oraz „Rzeczy” Petera Wattsa zostały opublikowane w Internecie.

Podobnie zamieszczony w niniejszej antologii „Stereogram Szarego Fortu w dniach jego chwały” Paula M. Bergera, będący rzadkim przykładem eksperymentu formalnego w fantasy, której wyjątkowo dużo w tym tomie. „Błękit i złoto” K.J. Parker to okraszona czarnym humorem historia alchemika konfabulującego i oszukującego tak zapamiętałe, że wprowadza w błąd nie tylko inne postaci opowiadania, ale i samego czytelnika. Parker zresztą lubuje się w takiej grze. Od lat ukrywa swoją tożsamość za pseudonimem, każąc się domyślać nawet swojej płci.

Trzy opowiadania mieszczą się w szeroko pojętej definicji opowieści grozy. Najbardziej klasyczne jest najstarsze w tym zbiorze „Tegoroczne zdjęcie klasowe” Dana Simmonsa. Mimo dwóch dziesiątków lat od premiery tekst absolutnie nic nie stracił ze swojej wyjątkowej przewrotności. Mercurio D. Riviera, przedstawiciel rzadko spotykanej u nas fantastyki latynoskiej, niekonwencjonalnie opowiada o sile przesądu w „Twoje cierpienie nas ochroni”, zaś Jurij Nesterienko, w depresyjnej i wstrząsającej „Rozpaczy”, wystawia na próbę nerwy nawet najwytrzymalszych czytelników.

Kilka innych opowiadań z tego tomu to czysta fantastyka. Marina i Siergiej Diaczenko, autorzy

„Przenicowanego świata” eksplorują rzeczywistość wykreowaną przez siebie w *Vita nostrze i Cyfrowym*. Wszyscy jesteśmy bohaterami serialu: nikła część gra role pierwszoplanowe, reszta zaś funkcjonuje w drugim planie lub egzystuje na jego obrzeżach jako statyści. Diaczenkowie dobrze czują się w tej konwencji. Spod ich ręki wyszedł przecież scenariusz do rosyjskiej superprodukcji *Przenicowany świat* (zbieżność tytułów przypadkowa). Will Ludwigsen, amerykański autor, który pisuje niewiele, ale za to bardzo charakterystycznie, debiutuje w polskim przekładzie tekstem „Pamięć jest czymś jak dom”, który ma szansę trafić w gusta miłośników Raya Bradbury.

Almanach odnotowuje wysyp autorów o azjatycko brzmiących nazwiskach. Statystyka podpowiada, że tamten region świata, tylko same Chiny, powinny wydać na świat przynajmniej kilku twórców na miarę Lema. Jednak rewolucja kulturalna i „Kampania przeciwko zanieczyszczeniom duchowym” z lat 80. XX w., wymierzona w prozachodnie tendencje, postawiły skutecznie tamę rozwojowi fantastyki. Lektura tekstów powstających obecnie w Chinach nie wskazuje na jakieś znaczące odrodzenie. Jednak to chyba tylko kwestia czasu, bo zapotrzebowanie na fantastykę jest tam spore. Poziom czytelnictwa najpopularniejszego chińskiego czasopisma „Science Fiction World”, sięga miliona osób.

Natura nie znosi próżni i do głosu doszły dzieci niedawnych imigrantów do Ameryki. Wśród autorów z tego kręgu, korzystających z zachodniej swobody myśli i poglądów, najciekawszy, oprócz Teda Chianga, wydaje się dziś Charles Yu. Zamieszczony w tej książce „Superbohater Trzeciej Kategorii” kontestuje jedno z największych osiągnięć amerykańskiej kultury masowej, czyli kult superbohaterów. „Supermanie, gdzie byłeś?!” – tym napisem krzyczącym z murów po upadku wież World Trade Center mógł inspirować się Yu pisząc o niespasowaniu aspiracji i możliwości, ale też wymyślonego i realnego.

Krańcowo odmienne jest pisarstwo Tonyego Pi. Wyróżnia je wartka akcja, niebanalna scenografia, inteligentne dialogi: wszystko czego potrzebuje rasowy bestseller. „Przynęta idealna”, pierwszy tekst tego autora przetłumaczony na język obcy, wchodzi w skład bardzo filmowej serii o Elektach, nieśmiertelnych zmiennokształtnych.

Fantastykę naukową w ścisłym tego słowa znaczeniu reprezentują w tym tomie dwa opowiadania. „Prorocze światło” Teda Kosmatki eksploruje paradoksy jednego z dziesięciu najpiękniejszych eksperymentów w historii nauki, za jaki uznaje się doświadczenie z tzw. podwójną szczeliną Thomasa Younga. Kosmatka niepostrzeżenie zaciera granice między fikcją a rzeczywistością, stawiając czytelnika oko w oko z fascynującą zagadką wpisaną w posady naszego świata.

Można się spotkać z poglądem, że jest dwóch Strossów. Pierwszy zajmuje się twórczością spod znaku hard sf. Drugi pisuje teksty o zabarwieniu humorystycznym. W tym almanachu prezentujemy „Palimpsest”, czyli Strossa w wydaniu na poważnie, podejmującego dyskusję, jak twierdzi niezamierzoną, z powieścią *Koniec wieczności* Isaaca Asimova (osią obu utworów jest istniejąca poza czasem organizacja czuwająca nad biegiem historii). Brytyjczyk, swoim zwyczajem, oferuje wielokrotnie złożoną intrygę, opartą na osiągnięciach współczesnej astrofizyki, niedostępnych w latach 50., kiedy swoją książkę pisał Asimov.

To kolejny przykład ciekawej tendencji do recyklingu, wydawałoby się, od dawna zużytych i wyeksploatowanych tematów. Rozwój nauki i technologii, zmiany społeczne i cywilizacyjne pozwalają odrzucać stare klisze i przetwarzać na nowo, ze znakomitym rezultatem, uniwersalne dla gatunku zagadnienia. W poprzednich *Krokach w nieznanie* Rachel Swirsky w „Eros, filos, agape”, również wariacji na temat dzieła Asimova, zajmowała się interakcją robota i człowieka. Ted Chiang w „Cyklu życia oprogramowania”, polemizował ze Stanisławem Lemem w kontekście sztucznej inteligencji. Stross próbuje wywrócić do góry nogami schemat podejścia do podróży w czasie. W

światle tych prób można przypisać fantastyce, w skali niedostępnej chyba żadnemu innemu gatunkowi literackiemu, unikalną cechą: stałą gotowość do zmian, a co za tym idzie, do rozwoju.

Tegoroczne zdjęcie klasowe

Ze swej kryjówki na balkonie starej szkolnej dzwonnicy pani Geiss obserwowała, jak jej nowy uczeń idzie przez plac zabaw dla pierwszoklasistów. Opuściła lufę remingtona .30-06, aż chłopiec znalazł się w punkcie przecięcia linii celownika w lunetce. W porannym świedze widoczność była doskonała. Nie знаła tego chłopca; wyglądało na to, że miał jakieś dziewięć czy dziesięć lat, gdy zmarł. Na jego zielonej koszulce z Wojowniczymi Żółwiami Ninja widać było rozcięcie przez środek, a na wystrzępionych brzegach osiadły kropelki krwi. Pani Geiss dostrzegła biały błysk odsłoniętego zębra.

Zawahała się i odsunęła głowę od okularu. Patrzyła, jak mała figurka miota się i kuśtyka między huśtawkami, a potem dookoła małego gaju. Był w odpowiednim wieku, ale miała już dwudziestu dwóch uczniów. Co gorsza, wiedziała, że to będzie trudna klasa. A dziś mieli robić zdjęcie klasowe i nie potrzebowała dodatkowych utrudnień. Poza tym wygląd chłopca nie do końca spełniał jej oczekiwania wobec czwartoklasistów... zwłaszcza na zdjęciu klasowym.

Przed Udrękami nie miałaś takich luksusów, skarciła się w duchu. Przyłożyła znów oko do plastikowej osłony okularu i skrzywiła się lekko na myśl o dzieciach, które w ciągu tych lat kierowano do jej klasy: dzieci głuche i niewidome, dzieci z zaburzeniami z pogranicza autyzmu, dzieci z epilepsją i zespołem Downa, dzieci nadpobudliwe i molestowane seksualnie, dzieci porzucone, dzieci z dysleksją i małymi napadami padaczkowymi... dzieci umierające na raka i AIDS...

Martwe dziecko pokonało już płytką fosę i zbliżało się do ogrodzenia z drutu kolczastego, które pani Geiss ustawiła wokół szkoły, w miejscu, gdzie plac zabaw pierwszoklasistów przylegał do używanego przez czwartoklasistów asfaltowego boiska do koszykówki i do *squareballa*. Wiedziała, że chłopiec będzie szedł dalej i napierał na druty, nie zwracając uwagi na strzępy ciała wyszarpywane przez metalowe kolce.

Westchnęła; czuła się zmęczona jeszcze zanim szkolny dzień formalnie się zaczął. Opuściła remingtona, przesunęła bezpiecznik i zaczęła schodzić z dzwonnicy po drabinie, by powitać nowego ucznia.

Po drodze do szafki ze sprzętem zajrzała do klasy. Dzieci były niespokojne; światło dnia i głód sprawiały, że zaczynały się szarpać na łańcuchach i w metalowych obrożach. Malutka Samantha Stewart, która właściwie była za mała, by uczęszczać do czwartej klasy, podczas nocnej walki nieomal zdarła z siebie sukienkę. Sara i Sarah J. zaplątały się nawzajem w swoje łańcuchy. Todd, największy z całej bandy i były klasowy dręczyciel, znów przegryzł gumową wyściółkę obroży. Pani Geiss dostrzegła płatki czarnej gumy na białych wargach Todda; wiedziała, że metalowa obroża otarła mu szyję prawie do kości. Niedługo pani Geiss będzie musiała coś postanowić w sprawie Todda.

Na długiej tablicy ogłoszeniowej za jej biurkiem wisiało trzydzieści osiem zdjęć klasowych, które tam powiesiła. Trzydzieści osiem lat. Trzydzieści osiem zdjęć, wszystkie zrobione w tej szkole. Od

trzydziestego drugiego roku zdjęcia były o wiele mniejsze, gdyż zrezygnowano z wielkoformatowych aparatów, z których korzystało studio fotograficzne, na rzecz szkolnego polaroidu, który pani Geiss przystosowała, by można było podtrzymać tradycję. Klasy były także mniejsze. W roku trzydziestym piątym w czwartej klasie było tylko pięciu uczniów. Sarah J. i Todd byli w tej klasie: żywi, o zaróżowionej skórze, chudzi i wystraszeni, ale zdrowi. W trzydziestym siódmym roku nie było żadnych żywych dzieci... ale klasa liczyła siedmiu uczniów. Na przedostatnim zdjęciu było szesnaścioro dzieci. W tym roku, dziś, stanie z aparatem naprzeciwko dwudziestu dwóch uczniów. *Nie*, poprawiła się w myślach, *z nowym chłopcem będzie ich dwudziestu trzech.*

Pani Geiss potrząsnęła głową i podeszła do szafki ze sprzętem. Zaprogramowany szkolny dzwonek rozlegnie się za kwadrans.

Niosąc drąg do łapania, szcypce, kajdanki, grube rękawice i gumowy fartuch, zabrane z szafki ze sprzętem, pani Geiss zbiegła szerokimi schodami na pierwsze piętro. Przy frontowych drzwiach spojrzała na ekrany monitoringu, by upewnić się, że na zewnętrznym dziedzińcu, w pasażu i na placu zabaw dla czwartoklasistów nie ma nikogo poza nowym chłopcem; zawiązała fartuch, przewiesiła remingtona przez ramię, włożyła rękawice, otworzyła zabezpieczone stalowymi zasuwami drzwi, uniosła drąg i ruszyła na powitanie nowego ucznia.

Drut kolczasty dokonał dalszych spustoszeń w odzieniu chłopca. Z jego ramion zwisały strzępy bezkrwistego ciała. Gdy pani Geiss wkroczyła w światło słońca, uniósł martwą twarz i zwrócił puste oczy w jej kierunku. Miał żółte zęby.

Pani Geiss wstrzymała oddech, gdy chłopiec kołysząc się kroczył po omacku w jej stronę. Nie chodziło nawet o zapach; przyzwyczała się do tego, że dzieci cuchną padliną. Nowy chłopiec sprawiał wrażenie gorszego od większości uczniów, gorszego nawet od Todda. Podczas marszu przez fosę, na skraju terenu szkoły, spodnie nasiąkły mu benzyną i zapach benzyny nieco tłumił jego własny odór. Pomyślała, że wstrzymuje oddech, bo nawet po upływie tylu miesięcy... czy wręcz lat... nadal spotkanie z nowym uczniem wywoływało pewne emocje.

Chłopiec pokonał piętnaście ostatnich kroków w stronę wybetonowanego podwórza. Pani Geiss przyjęła postawę i uniosła drąg.

Kiedyś drąg był ponaddwumetrowym drewnianym kijem z mosiężnymi okuciami, używanym do otwierania i zamykania wąskich górnych okien szkoły. Pani Geiss zmodyfikowała go, mocując ciężki wędkarski kołowrotek z mocnym drutem do belowania, przybijając przelotki, przez które przechodził drut i prowizorycznie mocując urządzenie na końcu tak, że znalazła się tam pętla o podwójnej grubości. Wpadła na ten pomysł oglądając stare odcinki programu „Mutual of Omahas Wild Kingdom”. Ten... jak mu tam... ten wysoki, przystojny facet, który odwalał całą robotę... Jim... używał czegoś podobnego do łapania grzechotników.

To biedne dziecko jest groźniejsze od grzechotnika, pomyślała pani Geiss. I skupiła się całkowicie na łapaniu.

Obeszło się bez problemów. Dziecko szarpnęło się do przodu. Pani Geiss nałożyła mu na szyję podwójną pętlę z drutu, zwolniła chwyt, by zacisnąć pętlę, po czym zablokowała drut. Metal wpił się w ciało chłopca, lecz był za gruby, by odciąć płat ciała. Gdyby chłopiec oddychał, pętla zadusiłaby go, ale tym nie trzeba było się już przejmować.

Pani Geiss wykonała krok do przodu i chłopiec szarpnął się, zakołysał, opuścił ramiona i upadł na plecy; jego głowa uderzyła o beton z przyprawiającym o mdłości odgłosem, przypominającym rozbicie melona. Nauczycielka obejrzała się przez ramię, by upewnić się, że na boisku i placu zabaw nadal nikogo nie ma, po czym przyszpiliła młóćące rękami w powietrzu dziecko, najpierw drągiem, a potem stopą. Chłopiec zaczął drapać jej wysokie skórzane buty.

Pani Geiss wprawnym ruchem opuściła drąg, chwyciła nadgarstki chłopca jedną dłonią w rękawicy i skuła go używając drugiej dłoni, po czym usiadła mu na piersi, podkasując przy tym sukienkę z drukowanej tkaniny. Pani Geiss ważyła prawie 90 kilogramów, więc chłopiec nie miał żadnych szans na ucieczkę. Krytycznym rzutem oka oceniła jego rany: śmiertelny okazał się cios w pierś i wyglądało na to, że zadano go tasakiem rzeźniczym albo długim nożem; pozostałe rany cięte, rany szarpane i ukąszenia oraz jedna rana od kuli wysoko na ramieniu chłopca, powstały już po jego śmierci.

Pani Geiss skinęła głową, z czymś w rodzaju zadowolenia, rozsunęła trzepoczące wargi chłopca, jakby oglądała konia, i wyrwała mu zęby kleszczami. Chłopiec nie wydał żadnego dźwięku. Zauważyła, że muchy złożyły już jajeczka w kącikach jego oczu; postara się coś z tym zrobić przy czyszczeniu.

Zmieniła nieco pozycję ciała, po czym przesunęła się na jego piersi, uniosła skute nadgarstki i sprawnie powyrywała mu paznokcie kleszczami. Nie pojawiła się żadna krew poza wyschniętą i zmatowiałą substancją pod jego paznokciami.

Dziecko warczało na nią jak rozzłoszczony żółw, ale samymi dziąsłami nigdy nie będzie w stanie przebić skóry, a co dopiero gumiaków i sztruksowych spodni, które nosiła pod sukienką.

Spojrzała znów przez ramię. Kilka miesięcy temu zaskoczyło ją pięciu – sami dorośli – którzy bezgłośnie pokonali druciane ogrodzenie, kiedy pilnowała dzieci na przerwie, a remington mieścił tylko sześć naboju. Jeden ze strzałów w głowę niemal chybił; strzeliła drugi raz, gdy zataczający się mężczyzna był już zaledwie jakiś metr od niej, a adrenalina, jaka pojawiała się w jej żyłach na wspomnienie tego spotkania, skłaniała ją do czujności.

Plac zabaw był pusty. Pani Geiss chrząknęła, uniosła chłopca do pionu za pomocą drucianej pętli, otworzyła drzwi drugą ręką i wepchnęła go przed sobą, prowadząc na końcu drąga. Do pierwszego dzwonnka będzie dość czasu na czyszczenie.

Pierwszą czynnością w porannym harmonogramie było zapisanie planu kredą na tablicy. Pani Geiss zawsze to robiła, by poinformować dzieci, co tego dnia będą robić i czego się nauczą.

Harmonogram zaczynał się od przysięgi wierności. Pani Geiss zdecydowała, że nie będzie tego zmieniać i przedstawi nowego chłopca później. Posadziła go w trzecim rzędzie od tyłu, od strony okien. Pani Geiss zdjęła mu kajdanki, zapięła na nogach przykręcone do podłogi okowy, przywiązała w pasie łańcuchem, który z kolei był przypięty do długiego łańcucha, rozciągniętego nad wszystkimi biurkami, po czym włożyła mu żelazną obrozę. Chłopiec wymachiwał w jej stronę rękami; w jego martwych oczach przez sekundę pojawiło się coś, co mogło oznaczać głód, ale jego rączki były za krótkie, by mógł wyrządzić krzywdę dorosłej osobie.

Nawet przed Udrękami pani Geiss uśmiechała się, oglądając filmy czy programy telewizyjne, w których dzieci używały technik dżudo czy karate, by rzucać dorosłymi przez cały pokój. Wiele lat doświadczeń podpowiadało jej, że z powodu zwykłych praw mechaniki cios dziecka był zwykle nieszkodliwy. One po prostu nie dysponowały wystarczającą masą, długością ramienia i dźwignią, by wyrządzić jakąś szkodę. Nowy chłopiec nie miał zębów ani paznokci, więc pani Geiss mogła sobie łatwo z nim poradzić bez drąga i łańcuchów, gdyby tylko zechciała.

Ale nie chciała. Trzymała je na dystans i z taką ostrożnością, jak wobec jednego dziecka zarażonego wirusem HIV, jeszcze przed Udrękami.

Czas na przysięgę wierności. Spojrzała na klasę, licząc dwudziestu trzech uczniów. Kilku stało i szarpało się w jej kierunku, pobrzękując łańcuchami, ale większość leżała rozciągnięta w ławkach albo wychylała się z krzeseł, jakby zamierzali uciec pełzając po podłodze. Pani Geiss potrząsnęła

głową i przesunęła duży przełącznik na swoim biurku. Sześć dwunastowoltowych akumulatorów spięto szeregowo, a ich elektrody podłączono do niewolniczego łańcucha, który biegł od biurka do biurka. Zobaczyła iskry i poczuła zapach ozonu.

Elektryczność oczywiście nie wyrządzała im żadnej szkody. Tym dzieciom nic nie wyrządzało szkody. Prąd miał na nie jednak jakiś elektryzujący wpływ, jak w oryginalnych eksperymentach Galvaniego, kiedy to elektryczność sprawiała, że żabie udka zaczynały kopać, nawet odcięte od ciała.

Uczniowie doznawali skurczów, wili się i szarpali, głośno pobrzękując łańcuchami. Wspinali się na palce, jakby próbowali się unieść ponad prąd płynący przez ich ciała. Rozpościerali histerycznie dłonie na wysokości piersi i zamykali je w pięści. Niektórzy otwierali usta, jakby wydając cichy krzyk.

Pani Geiss położyła dłoń na sercu i zwróciła się w stronę wiszącej nad drzwiami flagi.

– Przysięgam wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki... – zaczęła.

Przedstawiła nowego chłopca jako Michaela. Rzecz jasna nie miał przy sobie żadnych dokumentów i pani Geiss była pewna, że przed Udrękami nie uczęszczał do tej szkoły, ale w klasie nie było żadnego innego Michaela i pani Geiss odniosła wrażenie, że to imię do niego pasuje. Klasa nie zwróciła uwagi na prezentację. Michael też nie.

Pierwszą lekcją po przysiędze była matematyka. Pani Geiss zostawiła uczniów samych na wystarczająco długo, by móc zejść na dół, sprawdzić szereg monitorów wideo i wziąć nagrody za dobrą naukę z długiego szeregu otwartych zamrażarek w korytarzu na dole. Rok wcześniej wyciągnęła te zamrażarki z supermarketu Safeway. Donnie jej pomógł. Pani Geiss mrugnęła dwa razy, myśląc o Donniem, jej przyjacielu i byłym opiekunie. Donnie pomógł jej z tyloma rzeczami... bez niego nigdy nie udało by się jej uruchomić produkcji nagród za dobrą naukę w wytwórni klopsików drobiowych na skraju miasta... ani podłączyć kamer wideo i monitorów wyniesionych ze sklepu Radio Shack. Gdyby tylko Donnie nie zatrzymał się, by pomóc kierowcy tej ciężarówki z uciekinierami, która zepsuła się tuż przy międzystanowej...

Pani Geiss otrząsnęła się z zadumy, poprawiła pasek od remingtona i zaniósła pudełko z nagrodami do pokoju nauczycielskiego. Ustawiła zegar kuchenki mikrofalowej na trzy minuty.

Zapach podgrzewanych klopsików sprawił, że uczniowie zaczęli głośniej podzwaniać łańcuchami i miotać się, gdy wkroczyła do sali lekcyjnej. Pani Geiss postawiła pudło na stole przy biurku i podeszła do tablicy.

Dzięki Bogu, że Donnie wiedział, jak działa linia do produkcji klopsików w fabryce, pomyślała, wypisując liczby od 0 do 10.

Dzieci oczywiście nie jadały klopsików z kurczaka. Dzieci, jak wszyscy, którzy wrócili podczas Udręk, lubiły tylko jedno danie.

Pani Geiss spojrzała na tacę podgrzanych klopsików. Choć opierała się, poczuła, jak ślina napływa jej do ust. Przypomniała sobie wtedy, że gdzieś w jednej z tych otwartych zamrażarek znajdują się smażone w głębokim tłuszczu, przetworzone na klopsiki, doczesne szczątki byłego dyrektora, pana Delmonico, jak również co najmniej połowy pracowników szkoły podstawowej. To Donnie wpadł na ten pomysł: fala samobójstw w małym miasteczku nie powinna pójść na marne. To Donnie przypomniał sobie o fabryce drobiowych klopsików i zamrażarkach. To Donnie zauważył, że klopsiki się przydają w razie spotkania ze stadem nieumarłych. Donnie mawiał, że tak postępowali włamywacze, żeby odciągnąć stróżujące psy: rzucali im krwisty stek.

Jednak dopiero pani Geiss dostrzegła w klopsikach potencjał: mogły służyć jako nagrody za naukę. Jej skromnym zdaniem apodyktyczny pan Delmonico i reszta leniwych pracowników oświaty nigdy

nie przysłużyła się wielkiej sprawie, jaką jest edukacja, lepiej niż teraz.

– Jeden – rzekła pani Geiss, wskazując wielką liczbę, jaką namalowała na tablicy. Uniosła palec.
– Powiedzcie „jeden”.

Todd wgrzył się w gumowy pierścień, który pani Geiss umieściła w jego obroży. Mała Samantha przeżuwała kawałek ubrania. Kirsten zaplątała się w łańcuchu i leżała z twarzą na ławce. Justin, nadal pulchny, choć od jego śmierci minęło dziesięć miesięcy, żuł oparcie plastikowego krzeselka stojącego przed nim. Megan szarpała się na łańcuchu. Michael wił się przez chwilę, a potem zaczął się gapić na tył klasy

– Jeden – powtórzyła pani Geiss, nadal wskazując liczbę na tablicy. – Jeśli nie możecie mówić, unieście jedną dłoń. Jeden. Jeden.

John pokazywał bezzębne dziąsła: mokry, regularny rytm. Za nim Abigail siedziała nieomal nieruchomo, powoli wystawiała i chowała suchy język. David uderzał głową o ławkę. Sara przeżuwała białe końcówki kości, które sterczały z jej palców, a za nią Sarah J. nagle wyrzuciła w górę dłoń, po czym wetknęła sobie palec do oka i tak już zostało.

Pani Geiss nie wahała się.

– Doskonale, Sarah – po czym ruszyła między ławkami, wśród chwytających ją dłoni i mlaszczących ust. Wetknęła kłopsika w otwarte usta Sarah J. i szybko się cofnęła.

– Jeden! – rzekła pani Geiss. – Sarah podniosła *jeden* palec.

Wszyscy uczniowie usiłowali przesunąć się w stronę tacy z kłopsikami. Palec Sarah J. nadal tkwił w jej oku.

Pani Geiss cofnęła się w stronę tablicy. W głębi duszy wiedziała, że była to tylko odruchowa reakcja. To nie miało znaczenia, powiedziała sobie. Jeśli tylko będzie to trwało wystarczająco długo, jeśli tylko będziemy dostarczać pozytywne bodźce, połączenia się odbudują. Spójrzmy na Helen Keller i jej nauczycielkę, Annie Sullivan. A przecież chodziło o całkowicie niewidomą i głuchą dziewczynkę, która miała kontakt z językiem zaledwie przez kilka miesięcy, zanim ogarnęła ją ciemność. Jedno dziecięce słowo, „wa-wa”, sprawiło, że wiele lat później Helen udało się wszystkiego nauczyć.

A wszystkie te dzieci miały wieloletni kontakt z językiem i procesami myślowymi.

Zanim umarły, dokończyła pani Geiss. *Zanim ich umysły, pamięć i osobowość spruły się jak wełna w popsutym ściegu.*

Pani Geiss westchnęła i dotknęła następnej liczby.

– Dwa – rzekła radośnie. – Ktoś mi pokaże? W jakikolwiek sposób? Pokażcie mi *dwa*.

Spożywszy lunch, gdy uczniowie odpoczywali po karmieniu, pani Geiss przystąpiła do wyburzania domów.

Na początku myślała, że otoczenie terenu szkoły fosą i drutem kolczastym, oraz oświetlenie go reflektorami nocą, jak również zainstalowanie telewizji przemysłowej wystarczą. Ale *i m* nadal udawało się przedostać.

Co za szczęście, że miasteczko było tak małe – niecałe trzy tysiące mieszkańców – i znajdowało się w odległości prawie czterdziestu mil od dużego miasta. Gdy Udręki rozdzieliły szybkich od martwych, w okolicy prawie nie było tych pierwszych, a bardzo niewielu drugich. Przez miasteczko przejechało kilka samochodów, wypełnionych przerażonymi uciekinierami, ale rzadko zjeżdżały z międzystanowej, a w ciągu kilku ostatnich miesięcy odgłos przejeżdżających pojazdów ucichł prawie zupełnie. Kilku się przedarło – z okolic wiejskich, z pobliskiego miasta, z grobów – zasilane generatorem reflektory przyciągały ich jak ćmy do światła, ale grube mury szkoły, stalowa siatka i

urządzenia ostrzegawcze zawsze zdołały powstrzymać ich aż do rana. A o świcie remington załatwiał sprawę.

Mimo to pani Geiss wolała dysponować większym polem ostrzału – Donnie określał to „strefą bezwzględniego zabijania”. Powiedziała mu, że określenie „strefa zabijania” jest błędne, przecież nikogo nie zabijali, tylko przywracali naturalny stan rzeczy.

Pani Geiss pojechała więc do magazynu przy niedokończonej budowie kawałka drogi międzystanowej i wróciła z dynamitem, detonatorami, lontami i spychaczem Caterpillar D-7. Pani Geiss nigdy nie posługiwała się spychaczem, ale w magazynie znalazła instrukcję, a w bibliotece im. Carnegiego – książki. Pani Geiss nigdy nie mogła się nadziwić, stykając się z ludzką ignorancją w sytuacji, gdy w książkach było tyle wiedzy i użytecznych informacji.

Teraz, pół godziny przed końcem przerwy na lunch, wsiadła do otwartej kabiny spychacza, wspięła się na szeroki fotel D-7, odłączyła sprzęgło, ustawiła wybierak prędkości na zero, przesunęła dźwignię sterowania ciśnieniem w stronę przegrody, sięgnęła do prawej kierownicy i zablokowała ją w miejscu ogranicznikiem, sprawdziła, czy biegi ustawiono na luzie, po czym sięgnęła do rozrusznika. Przerwała, by sprawdzić, czy remington .30-06 tkwi bezpiecznie w uchwycie po prawej stronie, który kiedyś służył do mocowania gaśnicy. Widoczność była lepsza po wysadzeniu w powietrze domów w obrębie trzech przecznic, ale było tam nadal sporo fundamentów i kopczyków gruzu, za którymi mogło się coś ukryć. Nie widziała, żeby coś się poruszało.

Pani Geiss ustawiła dźwignie przekładni i sprzężania we właściwych położeniach, przełożyła przełącznik rozrusznika, otworzyła zawór paliwa, ustawiła ssanie, opuściła dźwignię sprzęgła biegu jałowego, wcisnęła przycisk zapłonu i pociągnęła za dźwignię uruchamiającą elektryczny rozrusznik.

D-7 ożył i z pionowej rury wydechowej zaczął się wydobywać czarny dym. Pani Geiss wyregulowała gaz, puściła sprzęgło i przełączyła napęd na właściwą stronę, a potężny spychacz obrócił się w lewo i ruszył w stronę najbliższej stery gruzu.

Z ruin piwnicy po prawej stronie wychynęło ciało dorosłego i zaczęło pełznąć w jej stronę po ceglany gruzie. Włosy stworzenia były zmatowiały od białego pyłu; miało połamane, lecz ostre zęby. Nie miało jednego oka. Pani Geiss wydało się, że rozpoznaje ojczyma Todda – alkoholika, który miał w zwyczaju bić chłopca w każdy piątkowy wieczór.

Wyciągnęło do niej ramiona.

Pani Geiss spojrzała na remingtona, ale rozmyśliła się. Przełączyła napęd na lewe gąsienice, zręcznie skierowała spychacz w prawo, opuściła łyżkę i dodała gazu. Dolna krawędź łyżki trafiła zwłoki tuż poniżej pasa. Pani Geiss opuściła łyżkę raz i drugi, zatrzymała się po raz trzeci dopiero wtedy, gdy ciało zostało rozcięte na pół. Nogi miały się bezładnie, ale palce zacisnęły się na stali; stworzenie zaczęło wciągać górną połowę ciała do łyżki spychacza.

Pani Geiss sięgnęła do dźwigni, cofnęła maszynę, wrzuciła niższy bieg, opuściła łyżkę i rozsmarowała pół tony gruzu na obu połówkach dygoczącego ciała, wpychając stertę gruzu do piwnicy. Przemieszczenie kolejnej tony do jamy zajęło niecałą minutę. Cofnęła się, rozejrzała dookoła, upewniając się, że nie nadciąga żadne inne zagrożenie, po czym zaczęła systematycznie zasypywać fundamenty.

Kiedy skończyła, wyszła ze spychacza i obeszła okolicę; powierzchnia była płaska i gładka jak wysypany żwirem parking. Ojczym Todda może i gdzieś tam wije się i skrobie, przynajmniej jego górna połowa, ale dwanaście ton gruzu powinno go przycisnąć i zgnieść; nigdzie się już nie wybierał.

Pani Geiss pożałowała tylko, że nie może czegoś takiego zrobić wszystkim ojcom i ojczymom, którzy przez lata pili i katowali dzieci.

Przetarła twarz chusteczką i spojrzała na zegarek. Trzy minuty do rozpoczęcia lekcji czytania. Pani

Geiss przyjrzała się wyrównanej okolicy i wykryła tylko kilka stert gruzu czy zagłębień po piwnicach. Jeszcze tydzień i jej pole ostrzału będzie wyglądać idealnie. Zatrzymała się, by zaczerpnąć oddechu i poczuła te ponad sześćdziesiąt lat na karku, gdy zaczęło jej trzeszczeć w stawach. Wspięła się znów do kabiny D-7, by uruchomić go i odstawić do garażu przed nocą.

Pani Geiss czytała uczniom na głos. Każdego popołudnia między lunchem a porą karmienia czytała książki, z którymi mieli kontakt w swoim krótkim życiu, lub które im wtedy czytała. Czytała im „Goodnight, Moon”, „Króliczek Pat”, „Goryl”, „Heidi”, „Bunnicula”, „Superfudge”, „Czarny Książę”, „Richard Scarrys ABC Book”, „Green Eggs and Ham”, „Przygody Tomka Sawyera”, „Animal Sounds”, „Harold i fioletowa kredka”, „Piotruś Królik”, „Ekspres polarny”, „Gdzie mieszkają dzikie stwory” i „Tales of a Fourth Grade Nothing”. Czytając, próbowała się dopatrzeć w ich oczach choć isierki zrozumienia... zainteresowania... choć isierki życia w tych martwych oczach.

Niczego nie dostrzegła.

Mijały tygodnie i miesiące, a pani Geiss czytała dzieciom książki z ich ulubionych cykli: „Ciekawski George”, „Madeleine”, „Czarny rumak”, „Ramona”, „Misiowanki” „Clifford” oraz – choć tuż przed Udrękami fałszywie skromni, politycznie poprawni bibliotekarze próbowali usuwać je z półek działów dziecięcych bibliotek publicznych – „The Bobbsey Twins”, „The Hardy Boys” i „Nancy Drew”.

Ale uczniowie nie reagowali.

W deszczowe dni, gdy chmury wisiały nisko, stanowiąc doskonałe tło dla podłego nastroju pani Geiss, czasem czytała im Biblię, albo coś z jej ulubionych sztuk Szekspira – przeważnie były to komedie, ale również „Romeo i Julia” albo „Hamlet” – albo wiersze jej ulubionego poety, Johna Keatsa. Gdy jednak kończył się taniec światów, gdy przebrzmiało ostatnie echo piękna, pani Geiss unosiła wzrok i nie odpowiadało jej żadne inteligentne spojrzenie. Były tam tylko martwe oczy, obwisłe twarze, otwarte usta i chaotyczne, bezmyślne ruchy i obrzydliwy odór rozkładających się zwłok.

Wcale nie różniło się to bardzo od czasów, kiedy uczyła żywe dzieci.

Tego popołudnia pani Geiss czytała książkę, którą uważała za jedną z ulubionych przez uczniów, „Goodnight Moon”, z przyjemnością czytając o litanii pożegnań ze wszystkimi przedmiotami w pokoju, jakie praktykował mały króliczek, byle tylko odsunąć nieunikniony moment udania się na spoczynek. Pani Geiss zamknęła małą książeczkę i szybko uniosła wzrok próbując, jak zwykle, przyłapać ich na jakimś błysku w oczach, ruchu mięśni dookoła ust czy oczu.

Zastój. Pustka.

Westchnęła cicho.

– Przed przerwą zajmiemy się geografiją.

Wyświetlane slajdy w ciemnej sali prezentowały się wspaniale. Kopuła waszyngtońskiego Kapitolu. Łuk w St. Louis. Kosmiczna iglica w Seattle. World Trade Center.

– Jeśli rozpoznajecie jakieś miasto, podnieście ręce – rzekła pani Geiss, próbując przebić się przez szum, jaki wydawał wentylator rzutnika. – Wykonajcie jakiś ruch, jeśli zobaczycie coś znanego.

Brzegi jeziora w Chicago. Denver z górami w tle. Bourbon Street i parada z okazji Mardi Gras. Most Golden Gate.

Slajdy przeskakiwały, prezentując całe piękno, jakie oferowała technologia Kodachrome. Dzieci

ciskały się bezładnie, reagując na pierwsze ukłucia głodu. Nikt nie podniósł ręki. Nikt nie zwracał uwagi na jasne zdjęcie Mostu Brooklyńskiego.

Nowy Jork, pomyślała, przypominając sobie wrześnieowy dzień, dwadzieścia siedem lat temu, gdy zrobiła to zdjęcie. Pierwsze orzeźwiający podmychy jesieni; musieli włożyć swetry, ona i pan Farnham, koordynator ds. przedmiotów ścisłych, którego poznała na konferencji Krajowego Związku Nauczycieli. Przeszli przez Most Brooklyński chodnikiem dla pieszych, a potem zwiedzili Metropolitan Museum of Art i pospacerowali po Central Parku. Tego cudownego popołudnia pani Geiss doznała wrażenia, że jej wyostrzone zmysły odbierają szelest każdego liścia. Wieczorem o mało jej nie pocałował, gdy odprowadził do hotelu Barbizon po kolacji w River Cafe. Obiecał, że zadzwoni. Dopiero kilka miesięcy później pani Geiss dowiedziała się od koleżanki z Connecticut, także nauczycielki, że pan Farnham jest od dwudziestu lat żonaty.

Dzieci brzęczały łańcuchami.

– Podnieście rękę, jeśli rozpoznacie na zdjęciach Nowy Jork – rzekła pani Geiss znużonym tonem. W jaskrawej wiązce światła z projektora nie pojawiła się żadna ręka. Pani Geiss spróbowała sobie wyobrazić, jak teraz wygląda Nowy Jork, tyle lat od rozpoczęcia Udrek. Jeśli ktoś przeżył, stał się karmą dla setek tysięcy, milionów spragnionych ludzkiego mięsa, brudnych potworów, które opanowały zaśmiecone ulice...

Pani Geiss pokazała szybko pozostałe slajdy: San Diego, Statua Wolności, urocza zatoczka na hawajskiej plaży, Wyspa Monhegan w porannej mgle, Las Vegas nocą... wszystkie te miejsca, które oglądała podczas cudownych wakacji, miejsca, których już nie zobaczy.

– Na dziś koniec z geografią – powiedziała pani Geiss i wyłączyła rzutnik. Uczniowie ukryci w mroku sprawiali wrażenie podekscytowanych. – Czas na przerwę.

Pani Geiss wiedziała, że ćwiczenia nie były im potrzebne. Martwe mięśnie nie ulegają atrofii, jeśli się ich nie używa. W jasnym, wiosennym świetle dnia dzieci w różnych stadiach rozkładu wyglądały jeszcze bardziej obscenicznie.

Ale pani Geiss nie wyobrażała sobie trzymania czwartoklasistów cały czas w klasie bez przerwy.

Wyprowadziła ich na zewnątrz, nadal przypiętych do czterech niewolniczych łańcuchów, po czym przypięła łańcuchy do żelaznych słupków, które wbiła w asfalt i żużel przy placu zabaw. Dzieci szarpały się na wszystkie strony, aż wreszcie zatrzymały się, ciągnąc łańcuchy, jak małe, chropowate baloniki o kształcie dzieci, czekające, aż rozpocznie się organizowana przez sklep Macy's parada. Dzieci nie zwracały na siebie uwagi. Kilkoro pochyliło się w kierunku pani Geiss; mlaskając bezzębnymi dźwiałami jakby w nadziei, ale ten widok i dźwięk były tak pospolite, że nie były dla niej ostrzeżeniem ani zagrożeniem.

Powędrowała przez plac zabaw dla czwartoklasistów, maszerując przez wijący się labirynt przy wejściu, wykonany z drutu kolczastego, pokonała połać żwiru, którym wysypano plac zabaw dla pierwszoklasistów i zatrzymała się dopiero nad fosą, którą wykopała dookoła tej części miasteczka, gdzie mieściła się stara szkoła i place zabaw. Pani Geiss nazywała to fosą; w podręczniku budownictwa wojskowego, który znalazła w bibliotece im. Carnegiego, określano to pułapką na czołgi. Specyfikacja pułapki zakładała jednak, że będzie to rów o głębokości co najmniej trzech metrów i szerokości dziesięciu, ze skarpami pod kątem 45 stopni. Pani Geiss użyła D-7 do wykopania fosy o połowę mniejszej, z nierównymi brzegami opadającymi pod kątem 30 stopni. Pomyślała, że jest mało prawdopodobne, by nacierający martwi używali czołgów.

Benzyna była dodatkiem, o którym wspominał stary artykuł o konstrukcjach obronnych Irakijczyków podczas wojny w Zatoce. Znalezienie benzyny nie było problemem – Donnie zarekwirował ogromną cysternę, by przewozić paliwo z podziemnych zbiorników Texaco do

generatora, który wspólnie zamontowali w szkole – ale uniemożliwienie benzynie wsiąkania w ziemię okazało się niezłym orzechem do zgryzienia. Pani Geiss w końcu wpadła na pomysł wyłożenia fosy wielkimi arkuszami czarnego tworzywa, znalezionymi w magazynie budowy autostrady.

Spojrzała na fosę z ciepłą benzyną, rozmyślając o tym, jak głupia okazała się ta metoda samoobrony... razem z reflektorami i telewizją przemysłową.

Ale przynajmniej miała jakieś zajęcie.

Jak udawanie, że uczy te biedne, zatracone dusze? Pani Geiss odpędziła od siebie tę myśl i ruszyła z powrotem na plac zabaw, unosząc do ust gwizdek, by ogłosić koniec przerwy. Żaden z uczniów nie zareagował na gwizdek, ale pani Geiss nie przestawała w niego dąć. Taka była tradycja.

Zabrała ich do pracowni plastycznej, by zrobić im zdjęcie. Nie wiedziała, dlaczego ludzie ze studia robili zdjęcia właśnie tam – kolory były zdecydowanie lepsze, gdyby dzieci pozowały na dworze – ale zdjęcie robiono w pracowni plastycznej odkąd sięgała pamięcią. Uczniowie ustawiali się w rzędzie, najniżsi na przedzie, choć pierwsze rzędy klęczały – wszyscy pozowali pod wielką ceramiczną mapą Stanów Zjednoczonych, którą ułożono z wypalonych z brązowej gliny stanów podczas jakichś zajęć plastycznych, pół wieku temu. Rogi ceramicznych stanów podwinęły się i rozeszły, jakby jakaś katastrofa sejsmiczna rozdzierała kraj na strzępy. Teksas wypadł osiem czy dziewięć lat temu, a kawałki posklejano niechlujnie, przez co wyglądał jak federacja mniejszych stanów.

Pani Geiss nigdy nie lubiła Teksasu. Kiedy w Teksasie zastrzelono prezydenta Kennedy'ego, była małą dziewczynką. Jej zdaniem od tego czasu wszystko zaczęło się psuć.

Ustawiła dzieci w rzędach, przekładając ich łańcuchy nad grzejnikiem, postawiła na podłodze talerz podgrzanych przekąsek, sprawdziła, czy film, który włożyła rankiem, jest prawidłowo założony, ustawiła samowyzwalacz i szybko stanęła obok Todda – przechyliła się w stronę talerza, jak dzieci, i próbowała się uśmiechnąć, kiedy samowyzwalacz zasyczał i migawka pstryknęła.

Zrobiła polaroidem jeszcze dwa zdjęcia i spojrzała na nie dopiero wtedy, gdy wkładała je do kieszeni fartucha. Większość dzieci patrzyła do przodu. To już nieźle.

Kiedy zaprowadziła klasę z powrotem do sali i przypięła łańcuchy, zostało jeszcze dziesięć minut godziny lekcyjnej, ale pani Geiss nie mogła się zmusić, żeby znów przygotować listę słów do literowania, czytać na głos czy nawet wciskać im do rąk kredki i rozdawać arkusze papieru pakowego. Usiadła i patrzyła na nich, czując zmęczenie i poczucie beznadziei, jak ciężar na ramionach.

Uczniowie patrzyli w jej stronę... a przynajmniej w stronę stygnących klopsików.

O trzeciej rozległ się dzwonek. Pani Geiss przeszła przez klasę, rzucając dzieciom klopsiki, po czym wyłączyła światło, zamknęła drzwi na klucz i zakończyła pracę.

Jest jeszcze wcześniej i pani Geiss napawa się wyrazistością światła, jakiej latami nie dostrzegała. Podchodzi do tablicy, by zapisać zadania obok wypisanego tam planu i zauważa, że ubył jej lat. Ma na sobie tę samą sukienkę, co wtedy, gdy z panem Farnhamem spacerowali po Moście Brooklyńskim.

– Przygotujcie czytanki – mówiła łagodnie. – Grupa „Zielone fasolki”, przynieście książki i wyjmijcie test rozumienia. „Tajemniczy trampek”, kiedy skończycie, przyjrzą się słowom, które wypisaliście. Grupa „Biegacze”, przepiszcie zadanie z zeszytu ćwiczeń i przygotujcie odpowiedzi na pytania od dziesięć do piętnaście. Jeśli ktoś skończy wcześniej, może wziąć z półki zestaw zadań specjalnych.

Dzieci w milczeniu zaczynają wykonywać przypisane zadania. Grupa na przedzie czyta z panią

Geiss i odpowiada na pytania, a pozostałe pracują, wydając z siebie cichy, prawie podprogowy pomruk, który stanowi uniwersalne tło dźwiękowe każdej dobrej klasy.

Grupa „Zielone fasolki” zapisuje odpowiedzi na pytania po skończeniu lektury, a pani Geiss spaceruje między pozostałymi dziećmi.

Sara ma na głowie zawiązaną chusteczkę. Węzły sterczą jak królicze uszy. Pani Geiss normalnie nie pozwala na noszenie w klasie czapek ani chusteczek, ale Sara przeszła chemioterapię i wypadły jej włosy. Klasa nie dokuczała jej z tego powodu, nawet Todd tego nie robił.

Sara pochyła się nad zeszytem ćwiczeń i mruży oczy, przyglądając się pytaniom. Czasem gryzie gumkę na końcu ołówka. Ma dziewięć lat i błękitne oczy, a jej cera jest mleczno-przezroczysta, jak kawałek kosztownej porcelany. Wygląda, jakby miała na twarzy zdrowe rumieńce, ale jeśli przyjrzeć się bliżej, widać, że to delikatne maźnięcie różem, jakie zaaplikowała jej matka; Sara jest nadal blada i wymizerowana z powodu choroby.

Pani Geiss zatrzymuje się przy jej ławce.

– Jakiś problem, Saro?

– Nie rozumiem tego – Sara pokazuje palcem jakieś zdanie w instrukcji. Paznokcie ma pogryzione tak bardzo, jak gumka na ołówku.

– Należy znaleźć odpowiedni przedrostek i umieścić go przed słowem – szepcze pani Geiss. Z przodu Kirsten struga ołówek z głośnym zgrzytem. Uczniowie podnoszą wzrok i patrzą, jak Kirsten zdmuchuje strużyny do kosza na śmieci, uważnie przygląda się zaostrzonemu ołówkowi i zaczyna znów strugać.

– Co to jest przedrostek? – szepcze Sara.

Pani Geiss pochyła się bliżej. Wygląda, jakby była chwilowo zrośnięta z uczennicą, związana spiskiem, który powstał dzięki tej bliskości i hipnotycznemu szumowi generowanemu przez klasę. Pani Geiss czuje ciepło policzka dziewczynki.

– Przecież pamiętasz, co to jest przedrostek – mówi pani Geiss i wskazuje uczennicy odpowiednią część słowa.

Wraca do stołu na przedzie, gdy „Zielone fasolki”, jej najbardziej zaawansowana grupa, wraca do ławek, a „Biegacze”, jej mała grupa wyrównawcza, przemieszcza się do przodu. W grupie „Biegaczy” jest tylko sześciu uczniów, a czterech z nich to chłopcy.

– Davidzie – zwraca się do jednego z nich – czy możesz mi powiedzieć, jak to się stało, że delfin równocześnie pomógł chłopcu i zrobił mu krzywdę?

David marszczy brwi, jakby się głęboko namyślał, i gryzie ołówek. Nic nie napisał w zeszycie ćwiczeń.

– Todd, a może ty nam powiesz?

Todd patrzy na nią oczami, w których maluje się złość. Ten chłopiec nigdy nie może się skupić, jakby był cały czas pogrążony w jakiejś wewnętrznej dyskusji.

– Co mam powiedzieć?

– Jak to się stało, że delfin równocześnie pomógł chłopcu, i zrobił mu krzywdę.

Todd wyraźnie ma ochotę wrzucić ramionami, ale w ostatniej chwili rezygnuje z tego ruchu. Pani Geiss udało się wyplenić u niego ten nawyk dzięki cierpliwości i pozytywnym bodźcom – pochwały, dodatkowe obowiązki w klasie, jeśli uda mu się przetrwać dzień bez tego gestu, Świadectwo Dobrego Ucznia, które może zabrać do domu na koniec tygodnia.

– Uratował go – mówi Todd.

– Doskonale – uśmiecha się pani Geiss. – Przed czym go uratował?

– Przed rekinem – odpowiada Todd. Ma potargane, nieumyte włosy i brudną szyję, ale w jego

jasnobłękitnych oczach czaiła się jakaś rozszoszczona inteligencja.

– A jak to się stało, że o mało nie zrobił krzywdy chłopcu? – pyta pani Geiss, rozglądając się dookoła, by wyłowić ucznia, którego należy zapytać jako następnego.

– Oni nadchodzą, pani Geiss – mówi głośno Todd.

Pani Geiss odwraca się w stronę swego największego ucznia, chcąc skarcić go za przerywanie, ale na jego widok zamiera, zanim zdąży wypowiedzieć jedno słowo.

Oczy Todda są puste, zapadnięte i zasnuwane mgłą. Jego skóra przybiera barwę i teksturę brzucha martwej ryby. Nie ma zębów, a jego dziąsła wyglądają, jak coś wyschniętego i niebieskiego. Todd otwiera usta szerzej i nagle to nie są już usta, ale otwór w twarzy trupa. Głos wydobywa się z brzucha tej istoty, jak brzękliwe nagranie odtwarzane przez jakąś obsceniczną lalkę.

– Szybko, pani Geiss, oni nadchodzą, żeby zrobić nam krzywdę. Niech pani nas obudzi!

Pani Geiss usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak młotem i nie mogła złapać oddechu. Znalazła okulary na nocnym stoliku, włożyła je i rozejrzała się po pokoju.

Wszystko było w porządku. Jasne światło reflektorów przebijało się przez żaluzje w wysokim oknie i malowało białe prostokąty na podłodze klasy na piętrze, w której urządziła salon i sypialnię. Pani Geiss wsłuchiwała się uważnie w łomot własnego puls, ale nie stwierdziła, by z klasy poniżej dochodził jakikolwiek niezwykły odgłos. Z zewnątrz też nie było nic słychać. Milczący rząd monitorów przy jej łóżku pokazywał puste korytarze, skąpany w świetle dziedzińca, puste place zabaw. Najbliższy monitor wyświetlał obraz pustej klasy: uczniowie stali, leżeli na ławkach albo wisieli na łańcuchach. Nikogo nie brakowało.

To tylko sen, powiedziała sobie pani Geiss. Śpij dalej.

Wstała jednak, narzuciła pikowany szlafrok na flanelową koszulę nocną, zawiązała na nim gumowy fartuch, wsunęła buty, sięgnęła po remingtona, znalazła pękaty noktowizor, który Donnie zabrał w mieście ze sklepu z nadwyżkami wojskowymi i wspięła się po szerokiej drabinie na dzwonnice.

Weszła na wąską platformę, która okalała dzwonnice. Rozciągał się stąd widok we wszystkich kierunkach i tylko część terenu szkoły od wschodu była ukryta za frontowym daszkiem. Światło reflektorów prześlizgiwało się po placu zabaw i fosie, oświetlając pierwsze zwały zepchniętego spychaczem gruzu w miejscach, gdzie kiedyś były domy. Nic się nie poruszało.

Nauczycielka ziewnęła i potrząsnęła głową. Nocne powietrze było chłodne; widziała mgiełkę własnego oddechu. *Jestem już za stara, żeby się tak nakręcać. Bandy uciekinierów są bardziej niebezpieczne niż nieżywi dorośli.*

Ruszyła w kierunku drabiny, ale w ostatniej chwili sięgnęła do skrzynki przyłączeniowej, którą zamontowała tam z Donniem. Westchnęła cicho, przesunęła przełącznik sterujący reflektorami i sięgnęła po noktowizor. Był ciężki, nieporęczny i nie dało się go założyć na okulary. Poza tym zawsze czuła się jak idiotka, mając to coś na głowie. Ale Donnie ryzykował życiem, jadąc po niego do miasta. Przesunęła okulary na czoło i nasunęła noktowizor.

Obróciła się i zamarła. Coś się przemieszczało na wschód, tuż za miejscem, do którego sięgała poświata reflektorów. Blade plamy przesunęły się wśród stert gruzu, wypełzały z piwnic i kryjówek na pokrytych gruzami działkach. Ze sposobu poruszania pani Geiss była w stanie określić, że to zmarli; potykali się i znów wstawali, chwiali się, natrafiając na przeszkody, ale szli dalej. Było ich około dwudziestu... nie, co najmniej trzydzieści kształtów, przemieszczających się w stronę szkoły.

Obróciła się w kierunku północnym. Kolejne trzydzieści albo i więcej cieni, prawie na ulicy. Od wschodu było ich jeszcze więcej, już o rzut kamieniem od fosy. I więcej od południa.

Do szkoły zbliżała się ponad setka umarłaków.

Pani Geiss zerwała z głowy noktowizor i przysiadła na skraju drabiny; opuściła głowę prawie do

kolan, czekając, aż czarne kropki przed oczami znikną i będzie w stanie znów oddychać.

Nigdy niczego takiego nie organizowali. Nigdy nie przychodzili wszyscy naraz.

Poczuła, jak jej serce zamiera, dygocze, po czym znów zaczyna walić jak młotem.

Nie sądziłam, że tyłu ich jeszcze zostało. Jakim...

Jakaś część jej umysłu krzyczała, żeby przestała rozmyślać i wzięła się do pracy. *Oni przyszli po dzieci!*

To nie miało sensu. Martwi żywili się tylko mięsem żywych... albo mięsem tego, co jeszcze niedawno było żywe. Powinni chcieć ją dopaść. Ale straszliwe przekonanie nadal w niej tkwiło:

Przyszli po dzieci.

Pani Geiss chroniła dzieci od trzydziestu ośmiu lat. Chroniła je przed ostrymi krawędziami życia, pozwalając im przeżyć najbezpieczniejszy i najwydajniejszy rok, jaki tylko była w stanie im zapewnić. Chroniła dzieci przed sobą nawzajem; przed prześladowcami i złośliwcami; i chroniła je przed nadętymi, głupimi urzędnikami; chroniła je przed dziwactwami źle skonstruowanego programu nauczania i absurdalnymi pomysłami lokalnych władz. Pani Geiss, o ile tylko mogła, chroniła je przed tyranią przedwczesnej dorosłości i wulgarnością społeczeństwa, które akceptowało wulgarność.

Chroniła je – używając wszelkich swych umiejętności i całej siły woli – przed pobiciem, porwaniem, emocjonalnym okrucieństwem, molestowaniem seksualnym przez potwory, które kryły się pod postaciami rodziców, ojczymów i macoch, wujów i stryjów oraz przyjaznych nieznajomych.

I teraz oni, martwi, nadciągali po dzieci.

Pani Geiss zeszła na dół po drabinie; jej fartuch i poły szlafroka łopotwały.

Pani Geiss nie miała pojęcia, po co w magazynie budowy autostrady, tuż obok zapalników, przechowywano pistolet na race, ale wzięła go. Były tam tylko trzy race, ciężkie walce, które przypominały wielkie naboje do śrutówki. Nigdy dotąd ich nie użyła.

Pospieszyła na dzwonnice z pistoletem na race w dłoni i trzema racami w kieszeni fartucha. Chwyliła także cztery pudełka z nabojami do .30-06.

Niektórzy z nieżywych nadal znajdowali się w odległości kilkuset metrów od placu zabaw, ale kilku już brodziło w fosie.

Pani Geiss wyjęła racę z kieszeni fartucha, otworzyła pistolet i próbowała po omacku włożyć nabój. Zmusiła się, by się zatrzymać i nabrać powietrza. Noktowizor zwisał jej z szyi, ciężki jak albatros. *Gdzie są moje okulary? Co ja zrobiłam z okularami?*

Sięgnęła do czoła i nasunęła na nos dwuogniskowe szkła, znów wzięła głęboki oddech i wsunęła nabój do pistoletu. Zamknęła tylec i przesunęła przełącznik reflektorów, zalewając plac zabaw białym światłem.

Kilkunastu nieżywych pokonało fosę. Kolejnych dwudziestu było już prawie na ulicy.

Pani Geiss uniosła pistolet obiema rękami, zamknęła oczy i nacisnęła spust. Raca wystrzeliła łukiem, poleciała za daleko i upadła w odległości kilku metrów od fosy. Spłonęła na żużlu, żarząc się czerwono. Nagie ciało z wystającymi kośćmi piszczelowymi przeszło po niej i kontynuowało chwiejny marsz w stronę szkoły. Pani Geiss przeładowała pistolet, opuściła nieco lufę i wystrzeliła w kierunku zachodnim.

Tym razem raca uderzyła w błotnistą skarpe po drugiej stronie fosy i znikła jej z oczu. Czerwona poświata pojawiła się chwilę, coś syknęło i zgasło. Kilkanaście kolejnych białych kształtów właśnie pokonywało płytką przeszkodę.

Pani Geiss załadowała ostatnią racę. Nagle znikąd dobiegł szum przypominający wiatr i zachodni

odcinek fosy stanął w płomieniach. Nastąpiła chwila ciszy, po czym płomienie przeskoczyły na północ i południe, pokonując rogi jak w skomplikowanym pokazie z wieloma przewracającymi się kostkami domina. Pani Geiss przeszła na wschodnią stronę platformy i patrzyła, jak ogień rozprzestrzenia się po fosie, aż szkoła znalazła się w środku gigantycznego prostokąta dziesięciometrowych płomieni. Nawet z odległości prawie pięćdziesięciu metrów czuła na twarzy żar. Włożyła pistolet do dużej kieszeni fartucha.

Kilkadziesiąt postaci, które już pokonały fosę, wlokło się przez plac zabaw. Kilka nadziało się na drut kolczasty, ale udało im się uwolnić i szły dalej.

Pani Geiss spojrzała na dłonie. Już się nie trzęsły. Starannie napełniła magazynek remingtona. Przełożyła ramię broni tak, jak pokazywano w książkach, oparła pewnie łokcie o poręcz, wzięła głęboki oddech i przyłożyła oko do lunetki. Od płomieni było tak jasno, że reflektory nie były potrzebne. Znalazła najbliższą postać, ustawiła krzyż nitek na jej skroni i powoli pociągnęła za spust. Potem przesunęła celownik na następną postać.

Na skraju placu zabaw inne postacie przedzierały się przez fosę, mimo płomieni. Chyba żadna nie zawróciła. To niewiarygodne, ale kilkoro pokonało ją nieco osmalonych, ale poza tym nietkniętych; większość wynurzyła się płonąc jak pochodnie nasączone benzyną; płomienie tańczyły wokół ich kształtów równoległymi falami pomarańcza i czerni. Maszerowały nadal, choć zgniła odzież i zgniłe ciało spłonęło do kości. Prawie ogłuszona od odrzutu remingtona, pani Geiss słyszała dalekie puknięcia: to płyn mózgowy, przegrzany przez płonące pod nim ciało tak, że zmieniał się w parę, eksplodował w czaszkach jak granaty odłamkowe. Wtedy postać padała i stawała się kolejnym paliwem dorzuconym do stosu.

Pani Geiss znalazła inny cel, wystrzeliła, przyjrzała się polu ostrzału, by upewnić się, że cel upadł i nie wstaje, znalazła następny, znów wycelowała i wystrzeliła. Po każdym trzech strzałach przemieszczała się w inne miejsce na balkonie, przygotowywała się i wybierała nowe cele. Przeładowała pięć razy.

Kiedy skończyła, na placu zabaw leżało jakieś sto ciał. Niektóre nadal płonęły. Żadne się nie ruszało.

Słyszała jednak nadal trzeszczenie i pobrzękiwanie stalowej siatki w miejscach, gdzie przedostało się ich więcej, zwłaszcza od wschodniej części szkoły. Dach przesłonił jej linię strzału. Jakieś trzydzieści sztuk przedarło się do szkoły i teraz próbowały przebić się przez rolety w oknach i wzmocnione drzwi.

Pani Geiss uniosła kołnierz szlafroka i przetarła twarz. Mnóstwo sadzy osiadło jej na twarzy i zauważyła ze zdumieniem, że łzawią jej oczy. Przewiesiła remingtona przez ramię, zeszła po drabinie i udała się do swojego pokoju. W szufladzie leżał browning Donniego, który schowała tam w dniu, gdy spaliła jego ciało. Był naładowany. Były tam też dwa dodatkowe magazynki i żółte pudełko z nabojami.

Pani Geiss włożyła pudełko i magazynki do kieszeni fartucha, uniosła pistolet i ruszyła po schodach na parter.

W końcu o mało nie zabiło jej wyczerpanie.

Wystrzeliła całą zawartość trzech magazynków, przeładowała raz i była pewna, że nic już nie zostało; usiadła na frontowym chodniku, by odpocząć.

Ostatnie ciało było kiedyś wysokim mężczyzną z długą brodą. Wycelowała browninga i wystrzeliła ostatni pocisk w lewe oko stworzenia. Padło, jakby ktoś przeciął sznurki. Pani Geiss ciężko osunęła się na chodnik, zbyt wyczerpana i zniesmaczona, by wejść do środka frontowymi

drzwiami.

Płomienie w fosie już dogasały i sięgały zaledwie parteru. Małe stosiki wydzielały dym i poświatę, w powietrzu unosiła się ciemna mgiełka. Kilkadziesiąt rozciągniętych kształtów zaśmiecało frontowe schody i chodnik. Pani Geiss zbierało się na plac, ale była zbyt zmęczona, żeby zrobić cokolwiek opuściła głowę i wzięła kilka głębokich oddechów, próbując nie zwracać uwagi na odór pieczonej padliny.

Brodące ciało skoczyło na chodnik przed nią i zaczęło skrobać paznokciami, jakby czegoś szukało po omacku.

Pani Geiss zdołała tylko pomyśleć: „widocznie kula trafiła w kość, omijając mózg” i istota odepchnęła jej rękę z browningiem, spychając ją do tyłu; oparła się ciałem o przewieszzonego przez ramię remingtona. Okulary spadły jej z nosa, gdy poczuła dotyk chłodnych palców. Istota zbliżyła do niej usta, jakby próbując ją obdarzyć pozbawionym ust pocałunkiem otwartych ust.

Prawa ręka pani Geiss była przyciśnięta, ale lewa była wolna; poszperała w kieszeni fartucha, wysypała luźne pociski, znalazła i wyrzuciła szczypce, aż wreszcie udało jej się chwycić coś ciężkiego.

Martwa istota skoczyła, by odgryźć jej twarz i przegryźć się do mózgu. Pani Geiss wetknęła groteskowo szeroki koniec lufy do paszczy, odciągnęła kurek i pociągnęła za spust.

O wschodzie słońca płomienie już przygasały, a w powietrzu unosiła się woń dymu i rozkładu. Pani Geiss powlokła się korytarzem, otworzyła salę lekcyjną i stała, patrząc na klasę.

Uczniowie byli dziwnie spokojni, jakby w jakiś sposób świadomi tego, co się stało w nocy.

Pani Geiss nie zwracała na to uwagi. Czując, jak wyczerpanie ogarnia ją jak fala, zaczęła niezgrabnie odpinać uchwyty przy pasach i kołnierzach, po czym wyprowadziła ich na zewnątrz. Prowadziła ich przez przerwy w drucie kolczastym, jakby wyprowadzała na spacer stado niewidomych i nieporadnych psów.

Na skraju placu zabaw zdjęła im obroże, odpięła ich od niewolniczych łańcuchów i rzuciła łańcuchy na żwir. Małe postacie poruszały się niepewnie, jakby próbowały znaleźć równowagę, trzymając się więzów.

– Dziś nie ma lekcji – rzekła pani Geiss znużonym tonem. Wschodzące słońce rzucało długie cienie i przyprawiało ją o ból oczu. – Idźcie – wyszeptała. – Idźcie do domu.

Ruszyła noga za nogą przez druty kolczaste do szkoły, nie oglądając się za siebie.

Po dłuższej chwili zasiadła za biurkiem, zbyt zmęczona, by się poruszyć, zbyt zmęczona, by pójść na górę i zasnąć. Klasa była pusta: nie ma niczego bardziej pustego od pustej klasy.

Po jakimś czasie, gdy światło słońca podpełzło po lakierowanej podłodze prawie do jej biurka, usiłowała wstać, ale jej nogi zaplątały się w grubym fartuchu. Zdjęła fartuch i opróżniła kieszenie, wykładając wszystko na biurko: szczypce, żółte pudełko z nabojami, browninga kaliber 9 mm, którego odzyskała, kajdanki, które zdjęła wczoraj Michaelowi, kolejne luźne pociski, trzy zdjęcia wykonane polaroidem. Spojrzała na pierwsze zdjęcie i nagle przysiadła.

Uniosła zdjęcie do światła i przyjrzała mu się uważnie, a potem zrobiła to samo z pozostałymi dwoma.

Todd uśmiechał się do aparatu. To nie ulegało wątpliwości. To nie był grymas, skurcz ani przypadkowe wykrzywienie warg. Todd patrzył prosto w obiektyw i uśmiechał się – owszem, pokazując same dziąsła – ale to był uśmiech.

Pani Geiss przyjrzała się uważniej i zauważyła, że Sara także patrzy w obiektyw. Na pierwszym

zdjęciu gapiała się w stronę kłopsików, ale na drugim..

Z korytarza dobiegł dźwięk, przypominający szuranie czy drapanie.

Mój Boże, zapomniałam zamknąć zachodnie drzwi. Pani Geiss ostrożnie odłożyła zdjęcia i sięgnęła po browninga. Magazynek był naładowany, nabój znajdował się w komorze.

Szuranie i skrobanie nie ustawało. Pani Geiss położyła pistolet na kolanach i czekała.

Todd wszedł pierwszy. Jego twarz wyglądała martwo jak zawsze... ale w oczach coś było. Sara wkroczyła jako druga. Kirsten i David weszli następni. Wchodzili jedno za drugim, powłócząc nogami.

Pani Geiss poczuła, że jest zbyt zmęczona, by unieść rękę. Wiedziała, że jej rozważania na temat nieskuteczności dziecięcych rączek i ramionek używanych w charakterze broni, niewiele jej pomogą: dwudziestu trzech uczniów po prostu zaleje ją jak fala. Nie miała już dwudziestu trzech naboju.

To nie miało znaczenia. Pani Geiss wiedziała, że nigdy nie skrzywdziłaby tych dzieci. Odłożyła pistolet na biurko.

Dzieci nadal wdzierały się do sali. Po Justinie weszła Sarah J. Michael trzymał się z tyłu. Byli wszyscy, dwudziestu trzech. Kłębili się, potykali i potracali. Nie mieli na sobie łańcuchów.

Pani Geiss czekała.

Todd pierwszy znalazł swoje miejsce. Opadł na nie, po czym wyprostował się. Pozostałe dzieci potykały się i wpadały na siebie, ale w końcu wszyscy znaleźli swoje miejsca. Przewracali oczami, błędzili wzrokiem, ale patrzyli mniej więcej do przodu, w stronę pani Geiss.

Nauczycielka siedziała długo, milcząc, z pustką w głowie, oddychając ostrożnie, jakby się bała, że coś zepsuje i złudzenie zniknie.

Nie znikło; zadzwonił poranny dzwonek, odbijając się echem po długich korytarzach szkoły. Ostatnia nauczycielka posiedziała jeszcze trochę, zbierając siły i robiąc wszystko, by nie zacząć krzyczeć.

Potem pani Geiss wstała, podeszła do tablicy i swoim najładniejszym pismem zaczęła kaligrafować plan opisujący, co będą robić i czego się będą uczyć tego dnia.

Przełożyła Jolanta Pers

Superbohater Trzeciej Kategorii

Dostałem dzisiaj list, i zgadnijcie, co: nadal nie jestem superbohaterem.

Drogi Kandydacie, niedobry znak, w roku bieżącym liczba wykwalifikowanych aplikantów bla bla bla przekracza liczbę miejsc bla bla.

Przełądam listę osób, którym się udało. Wielu z nich skończyło szkołę wraz ze mną. To typowy wybór silnych i pięknych. Jakaś połowa z nich strzela kulami ognia. Kilku panuje nad lodem. Z pół tuzina to telepaci/empaci. Kilka bestii, zmiennokształtnych, kilka wielkich mózgów. Łączy ich jedna cecha, mianowicie wszyscy potrafią latać.

Ja nie potrafię. W ogóle za dużo nie potrafię. Z drugiej strony nie proszę o wiele. Nie muszę być wielką gwiazdą. Po prostu chcę kostiumu i peleryny, stałej pracy, wypłaty wystarczającej na pokrycie wydatków. Przyzwoitego ubezpieczenia. Ale będę musiał poczekać do następnego roku.

Przynajmniej mam kartę porządnego faceta. Na razie.

* * *

Każdego ranka, gdy otwieram oczy, mam te same cztery myśli:

1. Nie jestem superbohaterem.
2. Muszę iść do pracy.
3. Gdybym nie musiał pracować, mógłbym być superbohaterem.
4. Gdybym był superbohaterem, nie musiałbym pracować.

Przez jakiś czas pracowałem na zastępstwa, żeby mieć wolne popołudnia na wypadek, gdybym został wezwany na testy, ale zlecenia się skończyły i ze względu na opiekę dentystyczną i okulistyczną musiałem podjąć regularną pracę. Teraz jestem protokolantem w dużej kancelarii prawnej w śródmieściu. Lubię to zajęcie, ponieważ nie muszę z nikim rozmawiać, ani się tłumaczyć, gdy zniknę na kilka godzin. Po prostu mówię, że byłem zakopany w aktach. Ludzie w pracy nie wiedzą, że sobie dorabiam. Myślą, że jestem aktorem.

* * *

Częścią problemu jest moje imię. Człowiek Wilgoć. Nie za bardzo budzi lęk w sercach niegodziwców.

W zeszłym roku, przez kilka miesięcy, próbowałem nauczyć ludzi, żeby zwracali się do mnie Atmosphero. Kilku to robiło przez uprzejmość, ale się nie przyjęło – sędzę, że to dlatego, że jest tu za dużo sylab. Jednak skrócenie do Atmos też się nie sprawdziło, bo w Seattle jest fizyk nazywany Atomos, który wraz z grupą, która nazywa się Nucleusami, tropi przestępstwa naukowe. Kierownik

urzędu stanu cywilnego mówi, że jeśli użyję zbyt podobnego imienia, to mogę zostać oskarżony o naruszenie prawa. Zasugerował imię Sphero, ale to po prostu kiepsko brzmi. Sprawia, że wydają się jakimś facetem otoczonym polem siłowym, a poza tym, na „o” zazwyczaj kończą się imiona tych złych.

Więc zostałem z Człowiekiem Wilgoć. Kilka lat temu wpisałem się do książki telefonicznej, co było błędem. Tylko sobie wyobraźcie te porąbane telefony.

* * *

Moja moc, jeśli tak ją można nazwać, a nie sądzę, żebyście to zrobili, polega na tym, że jestem w stanie pobrać z powietrza około dwóch galonów wody i wystrzelić ją strumieniem lub rozpylić w łagodną mgiełkę. Albo mogę ją uformować w kulę. Co jest przydatne w bitwach na balony z wodą, ale niezbyt, gdy próbuje się powstrzymać Carnagea i Mayhema przed obrabowaniem banku.

Przez całe lata pracowałem nad samodoskonaleniem. Przeczytałem wszystkie książki i przesłuchałem taśmy. Zamówiłem wszystko, co można było zamówić w sprzedaży wysyłkowej. Studiowałem fizykę, to, jak wielkie mózgi potrafią zmienić stałe grawitacyjne. Czytałem historię, uczyłem się teorii, zgłębiałem kwestie równowagi pomiędzy dobrem i złem, takie tam. Nie zmienia to faktu, że jestem bohaterem drugiej kategorii. Nawet nie drugiej. Jestem jak jakaś atrakcja na doczepkę. Ludzka fontanna.

Jakiś czas poddawałem się terapii. Okazało się, że mam przebłęski autodestrukcji i lekką megalomanię. Nie musiałem płacić za sześćdziesiąt godzin analiz, żeby o tym wiedzieć. Wciąż chodzę na siłownię, ale się starzeję i nie mogę już wiele więcej. Przeczytałem każde słowo z „Heroizm dla opornych”. Cena 24 dolary 99 centów. Napisane przez kogoś z MBA. Streszczenie na tylnej stronie okładki każe mi się „skupić na swoich mocnych stronach” i „zaufać innym, gdy sobie nie radzę”. To pomocne.

* * *

Wieczorami wracam do domu, otwieram przesyłki reklamowe, popijam ciepłe piwo. Moja lodówka nie jest podłączona do prądu i tak już pewnie zostanie na zawsze. Gdy zgłodnieję, to po drugiej stronie ulicy jest całodobowy kram z taco. Dwa za dolara i darmowe jalapeños, jeśli jesz na miejscu. Zwykle biorę cztery taco i mnóstwo salsy.

Po kolacji, koło dziesiątej lub jedenastej, idę na górę, żeby posiedzieć z Henrym. Mieszka w kawalerce nade mną. Ma futon z cienkim kocem, który mu załatwiłem parę lat temu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek go rozłożył. Ma zlew, małeńką kuchenkę i toaletę wielkości buciki telefonicznej. Zwykle Henry ogląda telewizję, a ja czytam czasopisma branżowe.

Henry ma jakieś osiemdziesiąt kilka lat, ale wygląda na sto czterdzieści. Jego skóra pachnie jak sztuczna, a włosy sterczą z czaszki jak kępkki bawełny. Jeszcze w zeszłym roku palił dwie paczki Redsów dziennie, ale zrobiły się za drogie. W ciągu swojego życia Henry wlał w siebie tyle wódki, że nawet jeśli już nigdy nie wypije ani kropli, to będzie pijany do samej śmierci. Pije, pali i założy się, że przeżyje mnie o dwadzieścia lat.

Poznaliśmy się w taki sposób: gdy dziewięć lat temu się tu wprowadziłem, mniej więcej raz w tygodniu słyszałem z góry głośne łomoty. Przez jakiś czas je ignorowałem, ale któreś nocy trwało to znacznie dłużej, niż normalnie. Poszedłem na górę i zapukałem kilka razy, głośniej i głośniej. Nikt nie otwierał. Ucichło. Założyłem swój kostium i przez chwilę stałem pod drzwiami Henry’ego.

Usłyszałem skomlenie. Wyłamałem drzwi – wtedy byłem w stanie robić takie rzeczy. Okazało się, że hałasował syn Henry’ego, Harold. W każdą niedzielną noc, przez godzinę-półtorej, tłukł swojego ojca, aż się zmęczył. Trzydzieści pięć lat wcześniej matka Harolda wykopała Henry’ego z domu za picie, ale Henry, zamiast się pozbierać, po prostu o nich zapomniał i wprowadził się do tego chlewa wraz ze swoim pięćdziesięciocalowym telewizorem, popielniczką i minilodówką pełną piwa. Potem matka Harolda zachorowała i prawie umarła, tak się broniła przed pójściem do lekarza. Jej siostra zapłaciła rachunki za szpital i praktycznie wychowała Harolda, a Harold dał sobie radę, poszedł na studia, ożenił się i nawet miał własnego syna, ale wciąż był wściekły na Henry’ego.

Rzecz w tym, że wierzę Henry’emu, gdy mówi, że nigdy nie podniósł ręki na nikogo. Wierzę mu, choćby dlatego, że jest najbardziej leniwą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Chce zniszczyć jedynie siebie samego. Czy jego żona zasługuje na coś lepszego? A Harold?

Tak. Tak. Henry nie jest dobrym człowiekiem. Ma takie życie, na jakie sobie zasłużył i zazwyczaj wydaje się być z tym pogodzony. Zapominam, że większość ludzi wcale nie chce mieć supermocy. Tak jest z Henrym, który ledwie radzi sobie z byciem normalnym. Nie lubię faceta, ale chyba mam do niego jakiś sentyment, ponieważ jest jedyną osobą, której kiedykolwiek faktycznie pomogłem. Nawet jeśli tak naprawdę nic nie zrobiłem. To był tylko kostium.

Od tego czasu zostaliśmy przyjaciółmi. W pewnym sensie. Trochę mam na niego oko. Tylko trochę. Nie na tyle, na ile powinienem. Wkrótce tego pożałuję. To prawda. Ludzie w tym metropolis zawiedli superbohaterów i samotnych starców, którzy mieszkają nad nimi.

* * *

Nie zawsze tak było. Dziewięć lat temu byłem Młody i Obiecujący. Żyłem tak, jakbym czekał, aż zdarzy się coś wielkiego. Nie jakieś megawydarzenie, ale Zasadnicza Zmiana w Życiu. Wtedy często myślałem Dużymi Literami. Zrobiłem pewne rzeczy, których nie powinienem był robić. Myślam sięgałem tylko sześć miesięcy naprzód. Nie przejmowałem się ludźmi, którzy mnie otaczali. Zdobywałem szczyty, przekraczałem kamienie milowe, paliłem mosty. Miałem pracę, ale rozejrzałem się wokół i powiedziałem sobie na głos: wy, ludzie, wszyscy jesteście skazani na dożywocie, ale ja zmierzam dalej. Do swoich Wielkich Rzeczy.

Potem przyszło pierwsze zawiadomienie, a mnie nie było na liście. Chwilowe niepowodzenie. Do następnego roku, gdy znów nie było mnie na liście. Burnham był. Dolan był. Feeney też. To jednak tylko wyboje na drodze.

Do następnego roku.

A potem do następnego.

A potem do kolejnych czterech lat. Przyzwyczaiałem się do tego.

Jednak w tym roku było jakoś inaczej. W tym roku to odczułem. Nawet powiedziałem o tym kilku ludziom. Nawet sam przed sobą przyznałem, że się denerwowałem. W tym roku wszystko się zmieniło.

W tym roku to zabolowało.

* * *

Kilka lat temu, gdy lepiej sobie radziłem, udałem się do wszechświata równoległego, gdzie spotkałem lepszą wersję siebie. Pogadaliśmy przy piwie. Zrobiliśmy postępy. Próbowałem sobie wyobrazić, jak on postrzega świat. Czy ma tendencje do wycofywania się spomiędzy ludzi, tak jak

ja? Jak podejmuje codzienne decyzje? Jakie popełnił błędy? Opowiedziałem mu o jednym Wielkim Błędzie, jaki popełniłem dawno temu. Wiedział, o czym mówię. Okazało się, że ta chwila nas różnicowała. Powiedziałem mu, że w jakiś sposób mam do niego żal za to, że żyje takim życiem, jakiego ja chciałem. Powiedziałem mu, że to syf, a on tylko pokiwał głową. Powiedział, że to pewnie byłoby dla mnie jeszcze gorsze.

* * *

Złoty Chłopiec zachowuje się, jakby udawał, że mnie nie słyszał.

– Chodźmy to uczcić – mówi.

– Co uczcić?

– Chcesz powiedzieć... No nie, znowu?

Oczywiście, już wiedział. Próbuje być współczujący, ale to nie jest jedna z jego mocy. Jak mógłby to zrozumieć? Jest EM. Skazany na wielkość. Manipuluje elektromagnetyzmem z taką łatwością, z jak inni ludzie żują gumę. Skończył szkołę dwa lata po mnie i już ma własną drużynę. Za pierwszym podejściem uzyskał Trzecią Kategorię. Drugą trzy lata później. W styczniu będzie miał Kategorię Pierwszą i dostanie własną tajną kryjówkę. Pewnie już nigdy go nie zobaczę.

– W przyszłym roku, stary.

Mówi, że zobaczy, co da się zrobić w sprawie pracy dla mnie. Chcę odłożyć słuchawkę, ale nie mogę sobie na to pozwolić. Potrzebuję jego pomocy.

Gdy Złoty Chłopiec się upija, to trzeszczy energią. Zawsze się zastanawiałem, jak to jest być nim, wchodzić do pokoju i sprawiać, że wszyscy to czują na skórze, w powietrzu, w falach mózgowych. Mówi, że gdy pola Ziemi zamieniają się i wyginają, to czuje to w kościach, w oddechu, głęboko w sobie.

* * *

Kilka tygodni później dostaję wezwanie. Jestem w pracy, gdy odbieram telefon. To jest misja. Prawdziwa. Złoty Chłopiec rzuca mi kość. Nie wiem, czy to dlatego, że jest mu mnie żal, czy z przyjaźni. Nie wiem, przez co bardziej bym go nienawidził. Ale przyjmuję. Idę do mojego kierownika i proszę o kilka dni wolnego. Odmawia. Mówię, że będę musiał rzucić pracę. On mówi, żebym posprzątał swoje biurko.

Turbosamochód zabiera mnie sprzed firmy. Złoty Chłopiec prowadzi, a Czerwona Furia jest jak naładowany pistolet. Pewnie nie muszę wyjaśniać, że jestem w niej zakochany. Wygląda jak rysunek z komiksu. Jej IQ to 190. W pochmurne dni jest siłą, z którą należy się liczyć, a w bezpośrednim słońcu jest praktycznie niewyciężona. Macha do mnie.

Wsiadam do tyłu. Jest tam też Zero C, czytając plan bitwy. Jego mocą jest strzelanie lodem. Nie znam go za dobrze, ale wydaje się raczej chłodny. Skoncentrowany na karierze.

– Spróbuj nie wchodzić mi w drogę – mówi, a jego oddech zamarza w powietrzu.

Złoty Chłopiec mówi, że będziemy walczyć z Tricky Trio. Mówię, że to beznadziejna nazwa dla grupy złoczyńców. On mówi, żebym się zajął zadaniem.

– Dostaliśmy sygnał, że planują ukraść komputer kwantowy z uniwersytetu – mówi. – Jest ich trzech, a nas czworo, mamy przewagę.

Powiedział to, żebym się poczuł lepiej, ale rozumiem, co chce przekazać. To będzie jak spacer w parku. Nie ma znaczenia to, że jestem w zasadzie bezużyteczny.

Zatrzymujemy się, a źli ludzie już zrobili swoje. Ładują komputer do swojego helikoptera, który jest gotów do poderwania się. Biorę głęboki wdech i przygotowuję się do walki, ale zanim się zorientowałem, Złoty Chłopiec i Czerwona Furia już tam są i leją ich, ile wlezie. Zero C spogląda na mnie.

– Może po prostu zostać w samochodzie.

Sam się nad tym zastanawiam.

Ale nie. Zaczynam odpinać pas, ale to bardziej skomplikowane, niż się wydaje. Zanim się wydostaję, dwóch z trzech bandytów jest powalonych, a Złoty Chłopiec trzyma ostatniego w polu siłowym. Słyszę szum i Zero C tworzy lodową klatkę, żeby zatrzymać całą trójkę do przyjazdu policji.

– W tej lidze pracujemy szybko, szefie – mówi Zero C. – Spróbuj nadażyć.

Próbuję wyjaśnić sytuację z moim pasem bezpieczeństwa, ale nikt nie słucha.

* * *

Po drodze do domu nie chcę, żeby widzieli, gdzie mieszkam, więc mówię, żeby podrzucili mnie do baru. Wchodzę na drinka. Gdy siadam, podchodzi Johnnie Blade. To szary facet – dość utalentowany, żeby zdać wszystkie testy, ale nigdy nie zawracał sobie głowy opowiadaniem się po którejś stronie. Dzwoni do mnie mniej więcej raz w roku, próbując mnie skłonić do zamiany mojej karty porządnego faceta na gotówkę. Albo na coś lepszego. Wślizguje się na miejsce obok mnie i zamawia to samo.

– Warto? – pyta, biorąc garść orzeszków i wrzucając je do ust.

Nie odpowiadam.

Johnnie Blade chwyta mnie mocno za nadgarstek

– Nathan, są inne możliwości. Opuść sobie tę rywalizację.

Podaje mi swoją wizytówkę i teleportuje się. Już mam ją wyrzucić, gdy w telewizji widzę wiadomości lokalne. Polaris Team pokonuje Tricky Trio. Złoty Chłopiec, Czerwona Furia i Zero C sprawiają wrażenie, jakby to była łatwizna. Prawie zabawa. A potem skądś pojawia się ujęcie mnie, jak siedzę w samochodzie i walczę z pasem. Chowam wizytówkę Johnny’ego do kieszeni.

Gdy wracam do domu idę na górę, żeby zajrzeć do Henryego. Śpi. Szturcham go trochę, próbując okryć kocem.

– Jak wam poszło?

– Wygraliśmy – mówię. – Nie popisałem się za bardzo.

Henry rzuca okiem na mój czysty kostium i uśmiecha się zakłopotany.

– Taa, widziałem cię w telewizji. Następnym razem, stary. Następnym razem.

* * *

Kolejny rok bez przełomu oznacza kolejny rok walki o utrzymanie mojej karty porządnego faceta, co oznacza zdobycie licencji tymczasowej. Zapisuję się na egzamin. Test jest w sobotę, w budynku miejscowego liceum.

W sali egzaminacyjnej sześćdziesiąt osób tłoczy się w dwudziestu ławkach. Jest gorąco i ludzie się kręcą. Egzaminator wyjaśnia zasady: trzy godziny na test wielokrotnego wyboru, godzina na test prawda/fałsz, potem półtorej godziny sprawdzania kwalifikacji moralnych. Wypełniamy okienka. Nazwisko. Nick. E-mail. Opisujemy siebie:

Jakie posiadasz umiejętności? Zaznacz wszystkie, które odpowiadają rzeczywistości:

- Potrafisz biegać szybciej, niż gepard.
- Potrafisz podskoczyć z miejsca na ponad dwadzieścia stóp.
- Potrafisz pływać szybciej, niż dorosły delfin.
- Potrafisz rozpoznać, czy ktoś kłamie.
- Potrafisz wzmocnić uczucia innych ludzi.
- Potrafisz sprawić, że inni zaczną w siebie wątpić.
- Potrafisz manipulować strukturą atomową.
- Potrafisz stać się niewidzialny.
- Potrafisz widzieć poprzez objekty.
- Potrafisz przewidzieć przyszłość.
- Inne (opisz):

Nie ma okienka na moją moc, więc ją wpisuję. Próbuję ją trochę ubarwić.

Moc kondensacji: potrafię pobrać wodę z powietrza i użyć jej do zaskoczenia albo chwilowego rozproszenia uwagi wroga. Także do gaszenia niewielkich pożarów oraz odświeżenia członków drużyny.

Rozglądam się po ludziach. Po mojej lewej jest chłopak, który powoduje swędzenie. Po prawej miotacz kamieni.

Przy drzwiach siedzą Człowiek Apatia, Człowiek Zmęczenie i Wymiotnik, znany także jako Diskomforto. Wypaleni, wszyscy. I z pewnością myślą to samo o mnie. Wszyscy zostaliśmy stłoczeni w tej dusznej sali, każdemu w głowie odzianej w spandex płonie ta sama myśl: – *Jestem diamentem w błocie, tylko poczekajcie, a świat się dowie, jak bardzo mnie nie doceniał* – każdy sądzi, że będzie późnym odkryciem, które zbliża się do czterdziestki, ale ma ogromny, niewykorzystany potencjał, dotąd jednak tłumiony przez kombinację pecha i członków komisji egzaminacyjnych o wąskich horyzontach.

Dochodzę do pytania, które powoduje lekki niepokój w moim żołądku.

Na którą stronę aplikujesz? Zaznacz jedną odpowiedź.

- Dobry Człowiek
- Zły Człowiek

Zaznaczam Dobry Człowiek i zabieram się stamtąd tak szybko, jak tylko mogę.

Dwa tygodnie później dostaję pocztą kartę tymczasową. Próbuję przekonać sam siebie, że mnie to nie rusza, ale gdy rozdzieram kopertę, ręce mi drżą. To kawałek zalaminowanej, złotej tektury. Czcionka jest rozmazana i krzywa. Czego to dowodzi? Tego, że znam właściwe słowa, żeby przekonać ludzi, iż jestem porządnym facetem? To nie znaczy nic, to mniej, niż nic. To tylko świstek papieru, strzęp marzenia, ale właśnie to mam i to chcę pokazać Henry'emu. Biegnę na górę i pukam. Nie ma odpowiedzi, więc wchodzę sam i zastaję Henry'ego leżącego na podłodze.

– Co ty wyprawiasz, wielkoludzie? – śmieję się, gdy dociera do mnie, że ma udar.

* * *

Dwanaście godzin, trzy paczki chipsów i dwa czekoladowe batony później w szpitalnej poczekalni zaczynam się czuć jak w domu. Próbuję znaleźć lekarza i dowiedzieć się, czy Henry z tego wyjdzie, ale oni tylko przebiegają obok i unikają kontaktu wzrokowego, co uznają za zły znak.

Przychodzi kobieta z synkiem na rękę. Zabłąkana kula trafiła go w stopę, a krwawienie jest silniejsze, niż powinno. Dziecko prawie nie płacze, ale jego krew spływa po matce i kapie na

podłogę, gdy ta wypełnia dokumenty. Gdzie byli bohaterowie? Coś we mnie przeskakuje. Czy właśnie taki chcę być? Wspinać się po drabinie kariery, jak Zero C? Nie zostałem szczególnie obdarzony. Nie będę miał własnej drużyny przed trzydziestką. Trzydzieści lat skończyłem prawie osiem lat temu. Nawet jeśli wydarzy się wszystko, na co realnie mogę mieć nadzieję, nawet jeśli cała reszta mojego życia potoczy się szczęśliwie, to dokąd mnie to zaprowadzi? Na stanowisko kierownicze średniego szczebla? Do szkoły? Będę pracował jako nauczyciel ośmiolatków, które nie mogą się niczego ode mnie nauczyć, ale potrafią strzelać ogniem, obliczać całki i różniczki i zmiażdżyć moją czaszkę jak orzeszek?

Telewizor w poczekalni ustawiony jest na wiadomości lokalne. W moim świecie każdy telewizor zawsze jest ustawiony na wiadomości lokalne. Zupełnie, jakby poza tym pięciomilowym obszarem w całej galaktyce nie działo się nic. Wciąż ta sama, stara śpiewka: Złoty Chłopiec i jego drużyna znów zwyciężyli. Punkt dla dobrych. Przeprowadzają z nim wywiad, a ja czuję przepaść między nami. Tymczasem ja, w szpitalu, nie mogę nic zrobić dla jedynej osoby na świecie, która jest bardziej żałosna ode mnie. Henry leży tam, być może umierając, krwawiące dziecko wciąż krwawi na podłogę, a ja gapię się w telewizor i zastanawiam, dlaczego mnie tam nie ma? Co z moją karierą? W głowie pojawia mi się myśl pisana kursywą. *Nie poddawaj się. Wyścig jeszcze trwa.* Wyciągam swoją kartę porządnego faceta. Dociera do mnie, jaka jest mała. Czuję się głupio. Wstyd mi za siebie. Odkąd tylko pamiętam udaję, że nie mam ambicji. Uciekam przed ludźmi, przed sobą. Udaję, że jest mi dobrze tak, jak jest. Myślę o Henrym. Myślę o sobie, o tym, czego zawsze chciałem. Nie chcę już niczego. To nie jest właściwe miejsce. Wyścig może jeszcze trwać, ale dla Mokrego Człowieka się skończył. Ludzie zaczynają mnie wymijać.

Otwieram swój portfel i wyławiam wizytówkę Johnnie'ego. Obracam ją w palcach, myśląc: A co, jeśli? Co może mi dać? Idę do pokoju Henry'ego i zaglądam przez szybę. Śpi. Dzwonię z automatu. Gdy rozbrzmiewa sygnał, powtarzam sobie: *to jest zły pomysł to jest zły pomysł to jest zły pomysł*, a potem on odbiera.

- Słucham – mówi.
- To jest zły pomysł.
- Cześć, Nathan. Wiedziałem, że się odezwiesz.
- Nie pieprz.
- Okay. Co mogę dla ciebie zrobić, Człowieku Wilgoć?
- Chcę latać?
- Pewnie, że tak. Wiesz, ile cię to będzie kosztować?
- Możesz to zrobić, czy nie?
- A jak myślisz?

Przez długą chwilę panuje cisza. Całe życie z poczuciem winy kontra całe życie czegoś takiego. Rozwiązuję równanie moralne.

– Jak to działa? – mówię wreszcie.

I to wszystko. Czuję się wolny. Czuję się pusty. Chce mi się rzygać.

Po tym, jak się rozłączam, idę na zewnątrz zapalić. Pojawia się pielęgniarka i mówi, że z Henrym będzie wszystko dobrze.

– Dobrze mu idzie. Obudził się i wymamrotał kilka sylab, ale teraz będzie spał przez kilka godzin. Niech pan idzie do domu i odpocznie.

Nie mogę zasnąć we własnym łóżku. Idę na górę, do mieszkania Henry'ego, pooglądać telewizję i skończyć butelkę Wild Turkey, którą trzymał, gdy upadł. Program o tej porze jest dla takich ludzi, jak ja. Ludzi, którzy nie mogą uwierzyć, że oglądają telewizję o takiej godzinie. Reklama koledżu

technicznego. Reklama nowej religii. Reklama wielopoziomowego systemu marketingowego, gwarantującego mi ponad pięć tysięcy dolarów tygodniowo za pracę w zaciszu własnego domu. Gdy Wild Turkey się kończy, człapię do własnego mieszkania. Zasypiam na kanapie i śnię o fruwających czekach.

* * *

Gdy rano dzwoni telefon, jest za wcześnie i nie otwieram oczu. Wiem, kto to taki. Już żałuję tego, co zamierzam zrobić. Na linii jest Złoty Chłopiec. Jest bez tchu. Megaton zwicznął kciuk i jest wyłączony z akcji na cztery do sześciu tygodni. Potrzebują czwartego. To jest prawdziwa rzecz, mówi. Chciałbym wiedzieć, do ilu gości zadzwonił przede mną, ale nie pytam. Dam radę zebrać się w piętnaście minut? Mówię, że tak. Odpowiada, że zabiorą mnie odrzutowcem.

W kabinie samolotu jest lepiej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Przy każdym fotelu są dwa uchwyty na kubki. Darmowe witaminy i napoje izotoniczne. Głowę mam lekką od prędkości i własnej niemoralności. Więc tak to jest być złym. Zupełnie inaczej, niż myślałem. To całkowita wolność. Jak wyjście poza własne ciało i obserwowanie go. Wymiotuję. Zero C spogląda na mnie z fotela drugiego pilota i kręci głową.

Czerwona Furia odpina pasy i podaje mi butelkę wody i jakieś tabletki na wzmocnienie.

– Proszę, Nathanie.

Ona zna moje prawdziwe imię, myślę walcząc z kolejnym spazmem. Czuję jej ciepło, fotoniczną dłoń na plecach, delikatnie poklepującą mnie między łopatkami.

– To zdarza się każdemu, kto znajdzie się po raz pierwszy w odrzutowcu.

Wiem, że nie dam rady. Jestem tego pewien. Czując jej dłoń przez cienki kostium zaczynam się chwiać w postanowieniu. Sam jej dotyk sprawia, że przez sekundę jestem lepszą osobą. Chcę jej powiedzieć, żeby zawrócili samolot. Ale już lądujemy. Złoty Chłopiec mówi, że walczymy za dziesięć minut. Zanim mogę powiedzieć Czerwonej Furii, co zrobiłem, jest na nogach i wysiada z odrzutowca. Wszyscy troje są już na zewnątrz, na szczycie góry, przeciągając się. Ich mięśnie są tak doskonałe. Naciągają ścięgna udowe. Napinają i rozluźniają swoje kamienne mięśnie czworogłowe, masują trójkątne kaptury. Myślę sobie, że tak właśnie powinien wyglądać dobrze dopasowany kostium. Powodem, dla którego mają lepsze życie ode mnie jest to, że są lepszymi ludźmi. Są bardziej tacy, bardziej owacy, silniejsi, szybsi, bystrzejsi, grzeczniejsi, wybaczejacy. Są bardziej wszystko. Czego ja mam więcej? Co robię lepiej, niż ktokolwiek na świecie?

Czerwona Furia wzywa mnie gestem. Nie mogę się ruszyć.

* * *

Bitwa to pogrom. Dobrzy nawet nie wiedzą, co na nich spadło. Okazuje się, że moja karta pozwala nawet takiemu wyrobnikowi jak ja, na dostęp do masy poufnych materiałów. Włamali się na serwer, zdobyli dostęp do planu walki. Dostęp do akt mówiących o słabościach bohaterów. Do wszystkiego. Ci dobrzy pewnie opierają się na zaufaniu. Zaufali mi. W połowie robi się tak paskudnie, że znów zaczynam rzygać. Rozważam nawet włączenie się do walki, ale co mogę zrobić?

* * *

Gdy jest po wszystkim, Złoty Chłopiec ma złamaną kość udową i wybity bark. Zero C nie żyje.

Czerwona Furia jest w zasadzie nietknięta, poza długim, płytkim cięciem na ramieniu. Jej kostium jest podarty. Kolor skóry nie do opisania. Nie ma na niego nazwy. Jej rana świeci tak jasno, że bołą oczy.

Biorę w ręce kubek z wodą, żeby przemyć jej ramię. Zaczyna mi dziękować, ale jej przerywam. Mówię jej, co zrobiłem. Początkowo mi nie wierzy.

– Nie. Nie zrobiłbyś tego. Nie ty.

– Anno. Posłuchaj. – Mój ton ją ucisza.

Przyznając się, co zrobiłem, brzmię jak ktoś obcy. Jestem już złym człowiekiem i ona to słyszy.

– Ci kolesie to liga podwórkowa. Dwoje z was mogłoby ich załatwić. Co się tu stało? Dlaczego dziś byli tacy szybcy? Ponieważ *wiedzieli*. Ponieważ zostaliście wciągnięci w pułapkę. Przeze mnie. Ja was w nią wciągnąłem.

Milczy przez długą chwilę.

– Dlaczego? – pyta wreszcie, ale jest dwa razy inteligentniejsza ode mnie i zna odpowiedź lepiej, niż ja sam.

Zbliża się helikopter ratunkowy. Muszę odejść albo pójdę do więzienia. Wspinam się na schodki i wchodzę do odrzutowca. Odlatując spodziewam się, że mnie zestrzeli, ale ona tylko macha mi ze smutkiem.

* * *

Kilka tygodni później przed sklepem całodobowym czekam na Johnnie'ego Blade'a. Pałę czwartego papierosa, gdy zaczyna do mnie docierać, że on może nie przyjść. Co ja sobie myślałem, wchodząc w układy z kimś takim? Nawet źli faceci mu nie ufają. Potem spada z nieba i ląduje mi prawie na czubku głowy.

– Zrobiłeś to.

– Na to wygląda.

– Nie sądziłem, że to zrobisz. Nie sądziłem, że masz jaja.

Nawet nie mogę mu spojrzeć w oczy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę w stanie spojrzeć komuś w oczy.

– Hej, Nathan. Popatrz na mnie.

Powoli odwracam głowę i patrzę na niego jakoś bokiem.

– Nie jesteś diabłem. Ogarnij się. Jak myślisz, jak zarabiam na życie? Sądzisz, że jesteś pierwszym draniem z sumieniem w historii świata? Proszę. Rozejrzyj się. Popatrz na swoich rówieśników, którzy w środku nocy pałętają się po mieście. Nie mają kogo ocalić, nie ma nikogo, kto ocaliłby ich. Myślisz, że się od nich różnisz? Myślisz, że nie jesteś taki, jak oni?

– Nie potrzebuję pouczeń ani od ciebie, ani od nikogo – mówię. – Masz to, czego chcę?

– Słuchaj, próbuję ci wyświadczyć przysługę. Nie urodziłeś się superbohaterem. Im szybciej to do ciebie dotrze, tym lepiej.

Patrzę wprost na niego.

– Zapytam jeszcze raz. Czy. Masz. To. Czego. Chcę?

– Twardziel, co? Skrzywdziłeś paru bliskich i teraz myślisz, że jesteś Doktorem Zagładą? – uśmiecha się z wyższością. – Dobrze, jak chcesz. Zgodnie z obietnicą.

Podaje mi kanapkę.

– Co niby mam z tym zrobić?

– Zjeść, człowieku. A potem polecieć.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, jest dwieście stóp w górze.

Patrzę na kanapkę. Dwa plasterki kiełbasy bolońskiej i odrobina majonezu na białym chlebie. Zjadam ją w trzech kęsach. Jaki mam wybór? Podjeżdża autobus. Wsiadam.

Po jakichś trzech przystankach zaczynam coś czuć. Mrowienie w stopie. W prawej stopie. Początkowo jest lekkie. Nie jestem nawet pewien, czy je czuję. Potem biegnie w górę po tyle nogi. To mogłaby być rwa kulszowa. Potem znika. Potem znów się pojawia, tym razem w lewej stopie, w palcach i pięcie. To jest jak ból. To jest ból. Jakby postrzał. Zastanawiam się, czy powinienem spróbować polatać trochę w autobusie, ale ludzie patrzą. Jadę dwadzieścia przecznic od mojego przystanku i staję na rogu czekając, żeby autobus odjechał. Jest późno. Ulica jest pusta. Bzyczą owady. Teraz albo nigdy. Jak się lata? Jak się próbuje latać? Nadal nie wiem. To nie jest jak skakanie czy chodzenie. Jest taki moment, gdy pęta cię grawitacja, pętają cię zasady, pęta cię każde założenie, które poczyniłeś na swój temat odkąd skończyłeś dziesięć lat, a w następnej chwili to znika. Pomiędzy jednym a drugim dzieje się niemożliwe. Jak się lata? Nie próbuje się. Nie robi się tego. Nie chodzi o siłę woli. Nie ma żadnego odepchnięcia. Latanie nie jest działaniem, tylko stanem bycia. Nagle wiem, że potrafię latać. W jednej chwili nie mam pojęcia, jak się za to zabrać, a w drugiej zastanawiam się, jak można tego nie wiedzieć. Lecę do domu, nisko, kilka cali nad ziemią.

Z rogu naszej ulicy na drugim piętrze widzę okno Henry'ego – ciemny pokój, toksyczne, niebieskie mruganie telewizora.

Decyduję się podleciec do jego okna i go zaskoczyć. Unoszę się przez kilka sekund, sprawdzając swoją równowagę. Jak to jest? Tak, jak wam się wydaje. Lepsze, niż seks. I nie różni się zbyt od niego. Chcę się unieść, ale nie wiem, jak. Spojrzeć w górę? Wyciągnąć pięść, jak Superman? Ale zanim się zorientowałem, unoszę się. Gdy moja głowa pojawia się w oknie zastanawiam się, czy Henry zacznie krzyczeć. Martwię się, żeby nie dostał ataku serca. Unoszę się przed jego oknem. Okno się otwiera. Widzi mnie i mówi cześć.

– Chodź i zobacz to – mówi, pokazując na telewizor. – Facet przypadkowo połknął własną rękę.

– Nie wydaje się zauważać, co robię.

– Henry – mówię.

– Wlepia oczy w ekran.

– Henry, popatrz na mnie. Zrobiłem to. Potrafię latać.

– Bez kitu.

– Wstaje z futonu i podchodzi do okna. Pytam, czy ma ochotę się przelecieć.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że cię w tym roku nie przyjęli?

– To skomplikowane – mówię. – Ale się udało. Mam Trzecią Kategorię. Prawdziwy superbohater.

Henry wie, że kłamię, zanim skończyłem mówić.

– Nathan, nie wiem, co zrobiłeś. Ale wciąż możesz to naprawić. Nie jesteś już dzieckiem, ale możesz to naprawić. Nie skończ tak, jak ja.

– Oświadczam, że nie wiem, o czym mówi.

– Nie powinieneś był tego robić dla mnie – mówi.

Prawda jest taka, że zrobiłem to dla siebie. Skrzywdziłem ludzi, ludzi, którzy byli dla mnie dobrzy, ludzi lepszych ode mnie. Skrzywdziłem ich, żeby dostać coś, czego chciałem. W tej opowieści to ja byłem czarnym charakterem. Wiem o tym. Ale żałuję tego. Czy dzięki temu dostanę jakieś punkty? Kim mnie to czyni? Jakim człowiekiem?

Henry wchodzi mi na plecy i lecimy. Powoli, początkowo trochę chwiejnie, ale potem gładko i szybko. Lecę sobie wraz z nim, patrzę w dół na uliczki, na pranie, suszące się na sznurkach, małe betonowe podwórka, przekraczam granice miasta, lecę do wzgórz, ponad smogiem, popatrzcie na

mnie, zły facet w kostiumie dobrego, koniec z zasadami. *Drogi Kandydacie. Twoja pomoc nie jest potrzebna. Świat doskonale radzi sobie bez ciebie.* Mnie to pasuje. Pasuje mi, że moja saga nie jest epicka. Nie jestem superbohaterem. Jestem zapleczem. Jestem dobrą osobą owiniętą w marną duszę. Chcę być lepszy. Naprawdę chcę. Ale nawet teraz, w mojej najwspanialszej chwili wiem, że to najlepsze, co mi się kiedykolwiek zdarzy. Mam małe serce, mam mroczne serce, serce wypełnione po równo dobrem i złem, serce, które jest słabe i nie zabierze nas daleko, ale teraz unosi nas wyżej i wyżej i wyżej.

Przełożyła Martyna Plisenko

Błękit i złoto

– Niech no pomyślę – rzuciłem, gdy oberżysta nalewał mi piwa. – Rano odkryłem sekret przemiany metalu nieszlachetnego w złoto, a po południu zamordowałem żonę.

Oberżysta zmierzył mnie obojętnym wzrokiem.

– Dwa trojaki – powiedział.

Sięgnąłem do rękawa po monety.

– Nie wierzysz mi – stwierdziłem.

– Ja wszystkim wierzę – odparł oberżysta. – Taką mam robotę. Życzy pan sobie kolację, czy tylko pokój?

Siedem trojaków minus dwa, zostaje pięć.

– Tylko pokój.

– Aha. – Oberżysta skinął i odwrócił się od baru. Alchemicy, mordercy i inne kutwy, zdawały się mówić jego plecy.

Podniosłem kufel z piwem i przyjrzałem się jego zawartości. Przytrafiały mi się gorsze rzeczy, ale raczej dawno. I tak wypilem do dna. Chciało mi się pić.

* * *

Filozof Salonin urodził się w Elpis pod koniec panowania Filopojmena VI (dokładnej daty nie odnotowano). Już podczas studiów świetnie się zapowiadał, jednak nie dane mu było zakończyć edukacji z powodu śmierci wuja, od którego był zależny finansowo. Władze uniwersytetu zaoferowały mu stanowisko młodszego portiera, dzięki czemu, gdy tylko pozwalały mu na to obowiązki, mógł uczęszczać na wykłady. Niemniej jednak po dwóch latach w podejrzanych okolicznościach opuścił Elpis i brak jakichkolwiek wieści na jego temat aż do roku 2763 a.u.c, kiedy to aresztowano go w Paraprosdocji pod zarzutem rozboju i brutalnej napaści. Został skazany na śmierć przez powieszenie, a następnie ułaskawiony za wstawiennictwem księcia regenta, Fokasa, jego kumpla z roku w Elpis, który zatrudnił go (wprawiając dwór w ogromną konsternację) w charakterze doradcy naukowego. Mniej więcej w tym czasie Salonin rozpoczął eksperymenty alchemiczne, które miały zostać zwieńczone jego największym osiągnięciem.

A tak przy okazji, Salonin to ja. I zdarza mi się czasem kłamać. Co tylko potwierdza starą zasadę, że nigdy nie należy do końca wierzyć człowiekowi, który opisuje się w trzeciej osobie.

* * *

Swoją drogą, to o zamordowaniu żony jest prawdą. A przynajmniej ja traktuję to jak morderstwo.

– Wypij to – powiedziałem – to eliksir wiecznej młodości.

Posłała mi to swoje spojrzenie, ale zawsze... cóż, zawsze miała dość niskie mniemanie o mnie jako istocie ludzkiej, co zresztą było w pełni uzasadnione. Salonin nie jest sympatycznym facetem,

jak sam powtarza. Jednakże nigdy, nawet przez chwilę, nie wątpiła, że byłem... jestem największym alchemikiem, jaki chodzi po tym świecie. To również prawda. Ale nawet najlepsi z najlepszych od czasu do czasu popełniają błędy. Moim, jak zdążyłem ustalić, było dodanie ćwierć drachmy *sal draconis*. Z kolei jej drugim najtragiczniejszym błędem było wypicie tej mikstury.

* * *

Udałem się do pokoju na górze. Zdecydowanie był to pokój. Miał cztery ściany, mniej więcej równą podłogę i sufit nachylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni, czego nie da się uniknąć, śpiąc tuż pod dachem. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie spałem sam (a w porównaniu z niektórymi osobnikami, z którymi zdarzało mi się dzielić łóżko, pchły nie stanowiły problemu – przynajmniej nie ścigały kołdry).

Usnąłem mimo to, co nieco mnie zaskoczyło. Sądzę, że sześć szczypt *vis somnis*, które zmieszałem z resztkami piwa, mogło trochę pomóc. Z drugiej strony człowiek, który właśnie był świadkiem, jak jego żona umiera w konwulsjach na podłodze, nie ma prawa spać, pod żadnym pozorem. Nie nawiedziły mnie jednak koszmary. Jeśli musicie wiedzieć, śniłem o morzu (co niewątpliwie coś znaczy, ale jakoś nigdy nie udało mi się ustalić, co).

Wiem, że usnąłem jak przysłowiowy suseł, bo wyraźnie pamiętam chwilę, gdy mnie obudzili. Żołnierzy było dwóch, a na głowie mieli te lśniące hełmy, przypominające wiadra na węgiel, które mogą nosić tylko Kuchenni Rycerze. Patrzyli na mnie, jakbym właśnie wychynął z nadgryzionego jabłka.

– Salonin – powiedział jeden z nich.

– Nie – odparłem.

– Pójdiesz z nami.

Nie jestem pewien, czy któryś z nich nie aresztował mnie przedostatnim razem, gdy podróżowałem ukryty na frachtowcu przewożącym awokado. Żołnierze w wysokich, wąskich hełmach stapiają się w mych wspomnieniach w jedno, a zresztą nigdy nie miałem pamięci do twarzy.

Pozwolili mi się ubrać, miło z ich strony. Nienawidzę aresztowań na golasa. Niestety, gdy się ubierałem, jeden z nich odgradzał mnie od drzwi, a drugi pilnował okna. Dobra robota, chłopaki, pomyślałem. Zawsze warto wcześniej przeczytać akta.

– Która godzina? – spytałem. Nie odpowiedzieli. Uwaga: nie pozwolić obiektowi wciągnąć się w czcze pogawędki. Potrafi wyssać ludzką duszę przez uszy. Chciałbym.

Ogólnie rzecz biorąc, podszedłem do sprawy na luzie. Aresztowanie przez wiadrogłowych było prawdopodobnie najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się w danej chwili przytrafić. Oznaczało to, że Fokas już wie i zdecydował się kazać swoim matołom mnie aresztować, nim dopadnie mnie prawdziwy wymiar sprawiedliwości. Nie miałem najmniejszej ochoty opowiadać Rycerzom Sprawiedliwości o swoich ostatnich poczynaniach, co to, to nie. Fokas, niech będzie błogosławiony, z pewnością dopilnuje, by do tego nie doszło.

Gdy tylko nałożyłem koszulę i spodnie, a następnie zasznurowałem buty i zarzuciłem na ramiona płaszcz, zagonili mnie w stronę drzwi niczym oborowi pędzący świnie. Na schodach czekał trzeci, co wywarło na mnie ogromne wrażenie i mile połechtало moje ego. Uniosłem ręce do góry pokazując, że naprawdę nie zamierzam robić problemów i pozwoliłem sprowadzić się na dół.

Przy palenisku stał mój przyjaciel oberżysta, starą ścierką rozmazujący tłuszcz po talerzach. Jego spojrzenie mówiło: „wiedziałem, że to tylko kwestia czasu”. Posłałem mu mało przekonujący uśmiech i przystanąłem. Dwóch strażników za mną zatrzymało się w porę, by na mnie nie wpaść.

– Wszystko gra – rzuciłem. – Muszę tylko zapłacić oberżystę za pokój.

– Tym się nie martw – powiedział strażnik, a jego głos zdradzał pewne zaniepokojenie.

– Ależ nie, proszę – odparłem. – Nienawidzę długów. Dobra, jeśli mi nie ufacie, dam wam monety, a wy przekażecie je dalej. Może być?

Strażnik spojrział na oberżystę, który wzruszył ramionami.

– Ile? – spytał żołnierz.

– Dwa trojaki.

Uśmiechnąłem się.

– Włożę rękę do kieszeni płaszcza – powiedziałem. – Powoli i bez gwałtownych ruchów. – I tak właśnie zrobiłem. Po czym szybko i bardzo gwałtownie tę rękę wyciągnąłem, wrzucając w ogień bryłkę sprasowanego *pulveus fulminans* wielkości orzecha, bez której nigdzie się nie ruszam. Cóż mogę rzec? Mam niesamowitą koordynację wzrokowo-ruchową. To jeden z mych niewielu wrodzonych talentów.

Ludzie mają mylne wyobrażenia o *pulveus fulminans*, prawdopodobnie dlatego, że uwierzyli w to, co napisałem po jego odkryciu. Sądzą, że wystarczy go podpalić, a wybucha z ogłuszającym hukiem, tłukąc szyby i łamiąc krokwie. W żadnym wypadku. Kontakt z ogniem powoduje potworny świst, jakby olbrzym brał głęboki wdech i kichał oraz powstanie kuli (często o idealnym kształcie, co nieustannie mnie intryguje) białego dymu, niekiedy z jądrem skondensowanego ognia, w zależności od tego, ile materiału użyto. Również zależnie od ilości, można wywołać podmuch gorącego powietrza, który odrzuci wszystkich na bok i opali brwi stojącym za blisko. Bryłka, której standardowo używałem do ucieczek, niczego takiego nie powodowała. Ostatnie, czego bym chciał, to zrobić komuś krzywdę, pakując się w jeszcze gorsze kłopoty. Używam pięciu drachm specyfiku, które wciskam na mokro w łupinę orzecha i na dobę zostawiam na parapecie do wyschnięcia. To mniej więcej na trzy sekundy odwraca ode mnie uwagę, nie demolując przy tym pomieszczenia i nie podpalając strzechy.

O trzech wiadrogłowych dobrze świadczy fakt, że dość szybko rzucili się w pogoń. Niemniej jednak uciekanie prześladowcom jest kolejnym z mych niewielu wrodzonych talentów.

Zawsze twierdziłem, że nie liczy się ilość, a jakość.

* * *

Biorąc pod uwagę to, co wam dotychczas powiedziałem, może się wam wydawać, że ucieczka żołnierzom Fokasa na tym etapie mojego życia była głupotą, nie dość, że krótkowzroczną, to na dodatek podszytą niewdzięcznością. Myślicie sobie teraz: jest taki Fokas, który stawia wszystko na jedną kartę, by ocalić starego kumpla z roku przed prawdziwą władzą i to – sądząc po podtekstach – nie po raz pierwszy. No dobrze, może nie zabiłem żony umyślnie (zmuszony jestem zauważyć, że wasze założenia były całkowicie nieuzasadnione), więc możliwe, że nie było to morderstwo, ale czy nie wspominałem już, że ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę to aresztowanie przez władze cywilne? Myślicie sobie, że cholerny głupiec powinien był grzecznie pójść z nimi i naprawdę trudno oczekiwać, byście myśleli inaczej.

Tymczasem ja przez jakieś pięć minut pędziłem na złamanie karku, aż wyczerpałem zapasy nagłego przyływu szybkości i musiałem się na chwilę zatrzymać. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że mi się udało. Paraprodocja była miastem, którego mieszkańcy odwracają wzrok od każdego, kto gna jak szalony ulicą i żadnemu z nich nigdy nie przyszłoby do głowy, by udzielić prawdziwej odpowiedzi na pytanie: „W którą stronę uciekł?”. Na wszelki wypadek ukryłem się za dużą stertą

beczek, usiadłem i oczyściłem umysł z ciężkich, stresujących myśli.

Póki co byłem wolny i spokojny. Aktywa netto: zawartość głowy i kieszeni. Zobowiązania netto: wszystko niewymienione w rubryce aktywów. Czy pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji? Nie.

Przyszedłem na świat w naprawdę uprzywilejowanej sytuacji i miałem gładki start w życiu. Wpakowałem się w tę kabałę tylko i wyłącznie przez swoją chorobliwą uczciwość i jasność umysłu. Serio.

Miałem pięć trojaków w gotówce i stertę beczek, za którą mogłem się schować. Po drugiej stronie beczek był środek dnia, więc chodzenie po mieście byłoby dość niebezpieczną przyjemnością. Naturalnie, gdyby tylko udało mi się dotrzeć do Choris Seautou, wszystko wyglądałoby inaczej. W Choris czekało na mnie inne nazwisko, dwanaście tysięcy dukatów w Banku Katolicko-Apostolskim i co najmniej jeden wspólnik, któremu mogłem zaufać. Ponadto Choris nie miało podpisanej z Cesarstwem umowy ekstradycyjnej, a tamtejszy burmistrz był moim starym kumplem z roku. Problem w tym, że Choris dzieli od Paraprosdocji siedemdziesiąt dziewięć mil (i to całodobowo, przez siedem dni w tygodniu, jakkolwiekby mierzyć), a Rycerze zapewne w pierwszej kolejności obsadzili wszystkie pięć bram miejskich ludźmi, którzy mnie znali. Poza tym, żeby pozwolić sobie na luksus ucieczki, musiałem zrobić jeszcze kilka rzeczy. Bezstronnie i dogłębnie analizując swoją sytuację, doszedłem do wniosku, że będę musiał wykazać się odwagą, zaradnością i pomysłowością. Przygnębiająca wizja. Nienawidzę sytuacji, które wydobywają ze mnie to, co najlepsze.

Przywołałem w pamięci mapę miasta. Na szczęście mniej więcej wiedziałem, gdzie się znajduję, gdyż ponad beczkami w oddali majaczyła iglica Świątyni Poranka, zza której wyglądało słońce. Oznaczało to, że jestem w Coppergate, nie najgorzej. Po pierwsze, to praktycznie środek miasta, maksymalnie oddalony od bram, więc raczej nikt się tu mnie nie spodziewał. Po drugie, był to labirynt podwórek, zaułków i ślepych uliczek. O zorganizowanej grupie poszukiwawczej zapewne poinformowałyby mnie z dużym wyprzedzeniem krzyki i przekleństwa, dobiegające ze sparaliżowanego tłumu. Po zapoznaniu się ze wszystkimi danymi (metody naukowe, rozumiecie), przeanalizowaniu ich i rozważeniu wszelkiego rodzaju nieuniknionych wniosków, zamknąłem oczy, wyciągnąłem nogi i zasnąłem. Tak właśnie robią zwierzęta, a jeśli chodzi o radzenie sobie z drapieżnikami, to zawodowcy. Oszczędzaj energię i skul się cichutko w ciemnym, niewidocznym miejscu.

* * *

Kiedy się obudziłem, zaczynało się ściemniać. Za moją barykadą z beczek widziałem blask latarni i ciemnoniebieskie niebo.

Ogólnie rzecz biorąc, nie bardzo lubiłem spać. Często budziłem się ze wszystkimi objawami kaca – mętłym umysłem, piaskiem na języku, a czasem nawet ostrym bólem w skroniach, co było głęboko niesprawiedliwe, biorąc pod uwagę fakt, że rzadko piłem mocne trunki – i dopiero po kilku godzinach znów byłem człowiekiem, o powrocie inteligencji nie wspominając. Czasem jednak, bardzo rzadko, gdy kładę się spać z myślami zaprzątniętymi poważnym problemem, budzę się z gotowym rozwiązaniem, w pełni ukształtowanym i doskonałym niczym kurze jajo w słomie.

Fakt, iż odpowiedź na moje problemy była pierwszą rzeczą, która przyszła mi do głowy po otwarciu oczu, wiele o mnie mówi. Wspomnienie innych ważnych wydarzeń dnia poprzedniego dotarło do mnie ze znacznym opóźnieniem. Zabiłem żonę. A, faktycznie.

Są takie rzeczy, które nosi się zawsze przy sobie niczym ślimaczą muszlę. Spowalniają cię i przygniatają, ale w nich mieszkasz. Nawiedził mnie obraz własnej ręki trzymającej puchar – z

glazurowanej ceramiki, gdyż substancje, z którymi pracuję, potrafią naprawdę paskudnie niszczyć metal, nawet jeśli to złoto lub srebro – i jej ręki odbierającej go ode mnie. Powiedziała:

– Jesteś pewien, że to bezpieczne?

A ja odpowiedziałem:

– Nie bądź głupia, oczywiście, że to bezpieczne.

Przechyliła puchar, wzięła dwa łyki i stwierdziła:

– Na Boga, ohydne – i odłożyła puchar, po czym zapadła martwa cisza, aż wreszcie znów się odezwała: – I co teraz?

– Musisz poczekać, aż zacznie działać, chwilę to potrwa – wyjaśniłem, na co spytała:

– Czy... no wiesz, coś poczuję?

– Cóż... – odpowiedziałem i wtedy krzyknęła.

Nie jestem dumny z jednego z mych największych osiągnięć. Nauczyłem się wyrzucać pewne myśli z głowy, przynajmniej na jakiś czas. Nie mówmy o tym, powtarzałem sobie. Zamiast tego...

Mój genialny pomysł, na który wpadłem we śnie (co brzmi lepiej, niż „który przyszedł do mnie, kiedy spałem”). Podniosłem się z ziemi, ale nie wyprostowałem się, tylko skuliłem, by móc wyrzeć zza beczek. Plac był pusty, ale ktoś zadał sobie trud i poniósł koszty zapalenia trzech latarni i zawieszenia ich na hakach wbitych w ścianę. Panuje powszechne, błędne przekonanie, że światła odstraszą złodziei. W rzeczywistości tylko zapewniają nam, to znaczy im, odpowiednie oświetlenie. Wyprostowałem się, po czym wolno i ociężale (nie musiałem udawać, kark mi zeszywniał) wyszedłem zza beczek, przeszedłem podwórze, uliczkę i znalazłem się na placu.

Może i popełniłem wiele zbrodni, ale w zasadzie nie jestem przestępcą. Szkoda. Przestępcy, przynajmniej ci, których poznałem na przestrzeni lat, posiadają cudowny, instynktowny dar dokonywania trudnych rzeczy, takich jak przejście niezauważonym ulicą. Dobry złodziej jest praktycznie niewidzialny. Z gruntu uczciwy człowiek, jak ja, który próbuje wyglądać niewinnie, to najbardziej podejrzany obrazek świata. Dlatego dobrze się złożyło, że w okolicy było pusto... i nic dziwnego – dzienna zmiana właśnie poszła do domu, a nocna jeszcze się nie pojawiła. Idealny moment na wędrowki po Coppergate, szkoda że nie mogłem tego przypisać swemu przenikliwemu planowaniu taktycznemu.

Przeszedłem Coppergate, skręciłem w lewo w Starą, a potem w prawo w Miłę; piąta w lewo, druga w prawo. Nie miałem żadnych podstaw, by sądzić, że zastanę go w domu. Zatrzymałem się pod oknem i spojrzałem w górę. Przez zasłony przebijało się światło. Pociągnąłem za klamkę – drzwi były otwarte. Czasem szczęście uśmiecha się do człowieka bez żadnego wyraźnego powodu.

Wszedłem na górę po ciemnych schodach, cuchnących palonym łojem i moczem. Na drzwiach widniało jego nazwisko. Jednym, płynnym ruchem zapukałem i otworzyłem drzwi.

Astiages, mój stary kumpel z roku, jest pisarzem. Pisze różne rzeczy. Napisze wam list przewozowy, list do domu z załączonymi dwoma dukatami, list do bogatego wujka z błaganiami o pieniądze, umowę spółki, testament, całkiem niezły sonet (pięć trojaków ekstra, jeśli ma cały wymyślić od zera). Kłopot w tym, że ma paskudny charakter pisma. Z drugiej strony, potrafi tworzyć naprawdę piękne inicjały, z pętelkami i zawijasami, a nawet złotym liściem, jeśli was na to stać. Twierdzi, że skrybą jest tylko po to, by się wyżywić i odziać, póki nie skończy swej wielkiej rozprawy pod tytułem „Pewne aspekty cezury w późnej pomniejszej manierystycznej poezji lirycznej”. W rzeczywistości jest szpiegiem rządowym. A przynajmniej tak twierdzi.

– To ty – powiedział, odwracając się na krześle i rzucając mi gniewne spojrzenie znad okularów (jego ukochanego i jedyne cenne przedmioty – odziedziczył je po ojcu, który przed Wojną był starszym wykładowcą w Elpis; pomimo wykonywanego zawodu, Astiages miał doskonały wzrok, a

okulary nosił, gdyż dzięki nim wyglądał uczenie). – W zasadzie nie jestem zaskoczony. Musiałeś oszaleć.

Uśmiechnąłem się.

– Mogę usiąść?

Wzruszył ramionami.

– Czego chcesz?

– Przekazać wiadomość Fokasowi – odparłem, co skwitował westchnieniem.

– Sam mu ją przekaż – stwierdził ze znużeniem. – Byli tu już dziś wiadrogłowi.

– Nie dziwi mnie to – powiedziałem. – Przykro mi z tego powodu.

– Nic się nie stało – odparł. – W dzbanie jest piwo, a w szafce powinieneś znaleźć trochę sera. –

Astiages żywi się praktycznie wyłącznie serem, który kupuje tanio w mleczarni przy Ropewalk, wystarczy zeszkrobać zielony nalot. – Domyślam się, że będą ci też potrzebne pieniądze.

Poczułem wyrzuty sumienia.

– Jeszcze nie oddałem ci ostatniej pożyczki – stwierdziłem.

– Zgadza się – odpowiedział. – Mogę ci zaoferować dwa dukaty, ale nic więcej.

– Dzięki – rzuciłem. – Czy...?

Pokręcił głową.

– Pójdę się z nim zobaczyć? Nie – odparł. – Napiszę wiadomość? Tak. Co mam napisać?

Chwilę się zastanawiałem.

– Pewnie najlepiej zacząć od przeprosin – stwierdziłem. – A potem napisz, żeby mnie nie ścigał. I że się nie udało.

Astiages zmarszczył brwi i poprawił okulary. Ich miejsce wypadło gdzieś w połowie nosa.

– To prawda? – spytał.

– Oczywiście, że tak – powiedziałem. – Daj spokój, nikt nie jest w stanie przemienić metalu nieszlachetnego w złoto. To niemożliwe.

– Nie o to mi...

– To niewykonalne – przerwałem mu. – Pomimo wszystkich moich zapewnień, że to możliwe. Napisz mu więc, że bardzo mi przykro z powodu kłamstw i fałszywej nadziei i że wyjeżdżam za granicę na czas nieokreślony. Tradycyjne pozdrowienia, Salonin.

Astiages odłożył pióro i utkwiał we mnie wzrok.

– Udało ci się, prawda?

– Przecież właśnie powiedziałem, że...

– Nie wciskaj mi tu głodnych kawałków. Udało ci się, a teraz uciekasz z tajemnicą, nim Fokas zamknie cię na resztę życia w jakiejś wieży, żebyś produkował mu złoto. Znam cię – mówił dalej, ignorując moje próby protestu. – Wiesz, zawsze mi się wydawało, że któregoś dnia tego dokonasz.

– Ja naprawdę...

Pokręcił głową z irytacją.

– Więc co to było? *Sal draconis*? *Virtus aurei* w zawieszynie rtęci?

– Nie *sal draconis* – wtrąciłem stanowczo.

– W takim razie... sekret kryje się w metodzie, prawda? Coś naprawdę oczywistego w procesie destylacji...

– To niemożliwe, Astiagesie. Wszyscy to wiedzą.

– Dobrze – warknął. – Nie mów mi. Ale jak już będziesz nieprzyzwoicie bogaty i zamieszkaż w pałacu w Błękitnych Wzgórzach, raz w życiu zachowaj się przyzwoicie i przyślij mi pieniądze. Dobrze?

– Jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie – powiedziałem. – Obiecuję. Słowo honoru.

Uśmiechnął się krzywo, sięgnął po czystą kartkę papieru i zaczął pisać.

Usiadłem.

Napisał jakieś pół tuzina słów – jest leworęczny i zawsze zdumiewa mnie to, jak pisze – po czym przerwał i przygryzł końcówkę pióra.

– Jak tam rozprawa? – spytałem.

– A dobrze – odpowiedział. – Jeszcze miesiąc i skończę.

Wierzyłem mu. Jak zawsze. Zupełnie inną kwestią było, który miesiąc miał na myśli. Zapisał kolejnych kilkanaście słów, a następnie wolno odwrócił się w moją stronę.

– Wiadrogłowi mówili, że Eudoksja nie żyje – powiedział.

– To prawda.

– Powiedzieli...

– To też prawda.

Przyjrzał mi się uważnie, zapominając nawet spojrzeć znad okularów.

– Na Boga, Saloninie – rzucił. – To...

– To był wypadek – wszedłem mu w słowo.

– No pewnie, cholerny wypadek – warknął. – Nawet ty byś celowo nie otruł własnej żony. – Przerwał. Dotarł do tego strasznego punktu bez wyjścia, w którym znajduje się każdy, kto chce wyrazić szczere współczucie wobec przyjaciela. – Przykro mi – na tyle było go stać. W sumie nie najgorzej.

– Mnie też – powiedziałem.

– Zawsze ją lubiłem.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Miałaś fioła na jej punkcie – stwierdziłem. – Jak sobie przypomnę, jak się popisywałeś, kiedy tylko przychodziła w odwiedziny jeszcze w Elpis...

– No dobrze. – Naprawdę się zarumienił. – Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans.

– Nie – przyznałem – nie miałaś.

– Za tobą też nigdy nie przepadała – powiedział, po czym uświadomił sobie, co właśnie chlapnął i najwyraźniej poczuł się głupio. Uśmiechnąłem się, jak gdybym nie miał mu tego za złe. Miałem, ale w końcu oddawał mi przysługę.

– Za to ciebie lubiła – skłamałem. – Może nie tak samo, jak ty ją, ale lubiła cię. Sama mi to powiedziała.

Jego oczy rozbłyły.

– Naprawdę?

Skinąłem.

– Mówiła, że wyglądasz na człowieka wrażliwego – rzuciłem. – I niezrozumianego.

– Tak powiedziała? – spytał nieco głupkowato, a ja ponownie skinąłem. Prawda jest taka, że wspomniałem o nim przy niej tylko raz, a ona wówczas spytała: „Kto?”.

* * *

Większość nocy spędziłem, włócząc się po Coppergate, zbyt przerażony, by szukać w barze schronienia przed zimnem lub ukryć się w bramie. Chodziłem więc tam i z powrotem, udając, że dokądś zmierzam. Na szczęście w tej części miasta ludzie wyczuwają kłopoty na odległość i trzymają się z dala od każdego, kto ma z nimi jakikolwiek związek. Ostatecznie wylądowałem pod Fontanną

Niki wraz z kilkoma zawodzącymi pijakami i wiekową prostytutką, która odpuściła już sobie tę noc. W pewnej chwili próbowałem sobie przypomnieć wszystkie trzydzieści sześć propozycji paradygmatów symetrii Zeuksisa, ale zatrzymałem się na dwudziestu ośmiu, a świadomość, że rano nie mogę tak po prostu wstąpić do biblioteki, by sprawdzić pozostałych osiem, doprowadziła mnie do łez. Jeden z pijaków zaoferował mi butelkę i ze wstydem muszę przyznać, że ją przyjąłem. Naturalnie była pusta.

Z doświadczenia wiedziałem, że w okolicach świtu strażnicy przechadzają się po Placu Niki, arestując każdego, kto wejdzie im w drogę, więc wstałem i niespiesznie ruszyłem w stronę domu Astiagesa. Nigdzie nie było ani śladu wiadrogłowych, ale wszędzie kręciło się mnóstwo straży. Byłem pewien, że mnie zwiną, ale minęli mnie obojętnie, przez co zacząłem się zastanawiać, czy Fokas przypadkiem nie rozmawiał z Prefektem Miasta. Jeśli rozmawiał, to jeden kłopot z głowy, ale nie miałem pewności. Zwolniłem i zacząłem się obijać jak pijacy i żebracy, których widywałem na co dzień, ale uciekło mi z pamięci kilka drobnych niuansów tego, jak chodzą, stoją i jak opada im głowa.

Gdy dotarłem na miejsce, Astiages już nie spał i pracował. Lubi wykonywać fantazyjne prace wczesnym rankiem, przy wpadającym przez okno świetle. Zostałem go przy wyteżonej pracy nad „W”. Zdumiewające, co można zrobić ze zwykłą spółgłoską przy odrobinie wyobraźni i umiejętności. Astiages przekształcił ją w niesamowitą falę z podwójną grzywą i stateczkiem, który ostatkiem sił utrzymuje się na wodzie na samym środku. Jeśli chcecie, możecie to przyrównać do przemiany metalu nieszlachetnego w złoto, choć według mnie to dość naciągana teoria.

– Zielony – rzuciłem. – Od kiedy to morze jest zielone?

Posłał mi paskudne spojrzenie.

– Za trzy trojaki – stwierdził – morze jest zielone.

Uśmiechnąłem się. W końcu błękit jest niemożliwy. Niewykonalny. Żeby uzyskać błękit, trzeba odbyć daleką podróż do Ges Eschatoi, za cenę porządnego gospodarstwa nabyć kawałek lapis lazuli wielkości kciuka, wrócić tu, z nie lada trudem pokonując góry i pustynię, rozdrobnić kamień tłuczkiem w moździerz, po czym dodać duchy ziemi i gumę. Znajomi zajmujący się malarstwem twierdzą, że błękit jest niezbitym dowodem na złośliwe poczucie humoru Natury. Błękitne niebo, błękitne morze... kogo do licha stać na realizm? A nawet jeśli znajdzie się nieprzyzwoicie bogaty klient gotowy wybulić za błękit, to i tak tylko tło.

– Przyszedł do ciebie list – powiedział.

To był prawdziwy szok.

– Tak szybko?

– Królewski goniec – odparł Astiages, udając, że skupia się na tym swoim „W”. – Jakąś godzinę temu. List leży na stole, obok słoika z klejem.

* * *

Fokas śle pozdrowienia Saloninowi!

Wszystko w porządku. To był wypadek. Naturalnie, że tak. Znamy się od... ilu? Dziesięciu lat? Wiem, że nie zamordowałbyś mojej siostry.

I ty też mnie znasz. Nic się nie stało. Serio.

Wszystko się jakoś wyjaśni, obiecuję, chyba że złapie Cię Straż. Wiesz, jak się sprawy mają między mną a biurem Prefekta. Pescenniusz z radością postawiłby Cię przed sądem, żeby się do mnie dobrać. Nie przeceniaj moich możliwości. W końcu nadejdzie dzień, gdy już nie będę

w stanie Cię chronić.

Najlepiej by było, gdybyś się ukrył u Stiaga i przez niego powiadomił mnie o tym. Wtedy ja wysłę wiadrogłowych, którzy bez problemu doprowadzą Cię do mnie.

Co do cholery sobie wyobrażałeś, uciekając? Na litość boską, Nino.

* * *

– Gładki papier – stwierdziłem. – Jego pismo. – Astiages pracował nad swoją literą, naprawdę skupiając się na złotym liściu i wymyślnych zawijasach. Złożyłem list i ukryłem go w kurtce. Właściwie użyty mógł stanowić doskonałą broń. Wziąłem ze stołu czystą kartkę papieru. – Mogę? – spytałem.

Astiages podniósł wzrok.

– Co?

– Lepiej się tego pozbyć – rzuciłem, machając kartką.

– Co? A, tak, dobry pomysł. – Ponownie pochylił głowę nad leżącą przed nim stroną. Jedna rozmazana kreska albo kleks i dwa dni pracy w plecy. Podszedłem do kominka, ostentacyjnie zgmiotłem kartkę i cisnąłem ją w ogień. Fokas zawsze wykazywał się ogromną dbałością o szczegóły, na pewno dopilnuje, by jego ludzie spytali: „A co zrobił z listem po przeczytaniu?”

– Co pisze? – spytał Astiages.

– Wracaj do domu, wszystko wybaczone. – Przysiadłem na brzegu stołu, ale posłał mi pełne niezadowolenia spojrzenie, więc wstałem. – Co o tym sądzisz? – spytałem.

Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Naprawdę trudno powiedzieć – stwierdził. – Oddając mu sprawiedliwość, trzeba przyznać, że to bezstronny człowiek. Jeśli wierzy, że to był wypadek, na pewno jest w stanie ci wybaczyć. Poza tym sądzę, że nigdy nie byli ze sobą blisko, nawet jako dzieci. Szczególnie jako dzieci. No i są jeszcze względy polityczne, na czym się już zupełnie nie znam. Z tego co wiem, równie dobrze mogłeś wyświadczyć mu przysługę.

– Albo próbuje mnie zwabić, żeby skazać na tortury i powolną śmierć.

– Owszem, to też możliwe. – Był jak zawsze pomocny. – Więc – rzucił i przerwał, próbując uformować z włosia pędzla ostry czubek – co zamierzasz?

* * *

Wszystko zależy od tego, kogo spytać. Jeśli zapytacie, na przykład, Dziekana Wydziału Filozofii w Elpis, powie wam, że moim szczytowym osiągnięciem były „Dialogi”, w których objaśniam teorię form korektywnych. Jeśli zapytacie mistrza Świątyni, wskaże „Esej o teorii etyki”. Rektor Tajemnicy wybierze *vis mercuriae* albo połączenie *mel fortis* z silnymi kwasami na bloku lodu, co prowadzi do powstania *ichor tonans*. Przewodniczący Stowarzyszenia Literatów optowałby za „Aspis”, choć szczerze wątpię, by kiedykolwiek przeczytał wszystkie czterdzieści siedem pieśni, a prywatnie wyznałby, że zdecydowanie woli sonety lub poemat „Fulwia i Luso”. W biurze patentowym bez wahania odparliby, że koło wesańskie, służące do falowania blachy, a gdybym tylko zachował ten patent, zamiast sprzedać go za równowartość solidnej pary butów, zostałbym bogaczem w wieku dwudziestu lat i do żadnego z ostatnich wydarzeń w ogóle by nie doszło. Gdyby zapytać szefa straży, wymieniliby skok na Bank Lystryjski; zdaje się, że to nadal lektura obowiązkowa dla wszystkich chcących szybko awansować w wydziale kryminalnym. Ale zapytajcie mnie, co jest moim

największym osiągnięciem, a będę zmuszony stwierdzić, że nie wiem, bo wciąż mam je przed sobą.

Zapytajcie, które napawa mnie największą dumą, a odpowiedź będzie oczywista: żadne.

Do diabła! W logikę „Dialogów” wkradł się przecież zasadniczy błąd, którego co prawda jeszcze nikt nie zauważył, ale pewnego dnia ktoś zauważy i wówczas będę mógł swoją reputację wywalić do kosza. Przyznaję, *ichor tonans* stworzyłem w przebłysku geniuszu, ale jaki z tego pożytek? Można coś wysadzić w powietrze. Zdaje się, że substancję tę dopuszczono do użytku w kopalniach i przy budowie dróg w górach, ale mimo wszystko... Naprawdę trudno upajać się wynalezieniem materiału, za którego posiadanie, choćby w minimalnych ilościach, grozi kara śmierci. „Aspis” napisałem dla pieniędzy, których w większości nadal nie otrzymałem; „Fulwię” wzorowałem na innym utworze, a sonetów nie pisałem z myślą o publikacji. Na kole wesańskim dorobiło się wielu łajdaków, nie ja. W żadnym razie nie jestem dumny ze swej kryminalnej przeszłości. Byłem umiarkowanie zadowolony z „Madonny z otwartymi dłońmi” (której głowa jest w zasadzie nieco za duża w stosunku do reszty ciała, choć nikt mi tego nigdy nie wytknął), ale została skonfiskowana przy pierwszym aresztowaniu, po czym jakaś gadzina wykupiła ją za bezcen od komornika i słuch po niej zaginął.

* * *

Salonin śle pozdrowienia Fokasowi!

W takim razie dziękuję i zgadzam się. Ale nie za dnia. Ty się obawiasz, że złapie mnie Straż? Postaw się na moim miejscu. Przyślij wiadroglowych w zamkniętym powozie godzinę po zachodzie słońca. Będę tu czekać.

Jeszcze raz dziękuję. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

* * *

Wyszedłem od Astiagesa tuż po nadaniu listu. Byłem zdenerwowany, ale tryskałem energią. Pozbycie się na jakiś czas wiadroglowych było impulsem, którego potrzebowałem do otrząśnięcia się z letargu spowodowanego przerażeniem i ruszenia się z miejsca. Nadal nie wiedziałem, jak wydostać się z miasta, ale wcześniejsze doświadczenia uczyły, że kiedy mnie tak roznosi, przychodzą mi do głowy rzeczy, które mnie samego zadziwiają. Tymczasem, póki nie dopadnie mnie natchnienie, mogłem wykorzystać czas na zrobienie kilku niezbędnych rzeczy. Po pierwsze, potrzebny był mi lokal. Nic wielkiego, wystarczyłoby zamknięte miejsce z paleniskiem i kominem oraz co najmniej jednym oknem, w przystępnej cenie i wynajmowane przez kogoś dyskretnego. W przebłysku niespotykanej u mnie dalekowzroczości, kilka tygodni wcześniej zapoznałem się z odpowiednimi ofertami. Pierwsza była już nieaktualna, ale właściciel drugiego na mojej liście lokum (opuszczonego magazynu na tyłach garbarni, będącego wręcz idealnym miejscem) przyjął dwa dukaty, które dostałem od Astiagesa, na poczet trzymiesięcznego czynszu, wręczył mi klucz i zapomniał o naszym spotkaniu (odniosłem wrażenie, że ma w tym dużą wprawę).

Teraz potrzebne mi były materiały i sprzęt. Za trzy dukaty, które ukradłem z drewnianego pojemnika na biurku Astiagesa (pamiętacie, usiadłem tam, gdy próbował skupić się na pracy) mogłem kupić podstawowe naczynia i większość potrzebnych składników. Rzecz jasna było to ryzykowne posunięcie. Nawet w Paraprosdocji jest tylko sześć miejsc, gdzie można nabyć tego typu rzeczy i należało się spodziewać, że wszystkie będą obserwowane. Naprawdę starałem się, jak mogłem, by znaleźć sposób na kupienie wszystkich potrzebnych rzeczy i uniknięcie natychmiastowego aresztowania, ale w głowie miałem pustkę, więc wyrzuciłem z myśli ryzyko, jakbym wyrwał

zepsuty ząb i poszedłem na zakupy. Cały czas byłem przerażony, co właściciel sklepu natychmiast wyczuł. Gdy sądził, że nie patrzę, zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem, ale nie przeszkodziło mu to zainkasować dwóch z ciężko zarobionych przez Astiagesa dukatów. Zapakował mi wszystko w drewniane pudło wyłożone słomą i dorzucił kawałek sznurka, żebym miał je za co złapać. Było zdecydowanie za ciężkie i zbyt delikatne, by z nim biec, więc wróciłem do garbarni tak szybko, jak tylko było to możliwe. Nie zauważyłem żadnego ogona.

Został mi dukat i pięć trojaków. Cztery trojaki wydałem na chleb i ser (do życia nic więcej nie jest potrzebne – wszystkie pozostałe artykuły spożywcze to zbytek). Mocą tajemnej alchemii handlu, dukat został przemieniony w kilka podstawowych sprzętów, w tym siekiere z krótkim trzonkiem – w zasadzie jedyną rzecz z grubsza przypominającą skuteczną broń, którą można legalnie nabyć w tym ciemnogrodzie. Przemiana złota w metal nieszlachetny. Ha!

Zostały mi cztery trojaki. Człowiek uzbrojony w cztery trojaki może się udać do głównego składu wołowny, gdzie produkują trwałe racje wojskowe, i kupić sobie dwustopową bryłę lodu z nadwyżek rządowych. Kiedy dotarłem z powrotem do garbarni, ręce zdążyły skostnieć mi tak, że nie czułem już bólu.

Aby bezpiecznie przygotować *ichor tonans*, trzeba mieć spokojną głowę i pewną rękę. Kiedy palce odtajały mi nad ogniem, okazało się, że trzęsę się jak osika, a moje myśli przepelnia poczucie winy, przerażenie, lęk i zwątpienie. Z drugiej strony, lód nieprzerwanie się topił, a mnie nie było stać na kolejne zakupy. To cud, że nie doprowadziłem do wybuchu, po którym trzeba by było nakreślić wszystkie plany miasta od nowa.

Przyznaję, że sam propagowałem i rozpowszechniałem kłamstwo, jakoby najdrobniejszy wstrząs powodował wybuch tej substancji. Tymczasem potrzebne było do tego potężne, gwałtowne uderzenie. Zdarzało mi się całymi dniami chodzić z buteleczką *ichor tonans* w kieszeni płaszcza, choć muszę przyznać, że umierałem ze strachu za każdym razem, gdy ktoś mnie potrącił. Zostawiłem efekt swojej pracy na parapecie i wyszedłem, tym razem udając się do niewielkiego parku na południe od platformy artyleryjskiej, gdzie zazwyczaj nikogo nie ma. Usiadłem na niskim murku i zacząłem rozmyślać o...

* * *

Wyobraźcie sobie, jak wlewam błękitny destylat do zielonego odczynnika. Zamieszałem w miksturze szklaną laską (tak na szczęście) i odstawiłem ją na bok. Musowała, czego się nie spodziewałem. Odważyłem dwie szczypty *vis zephyris*, dwie *sal petris* i jedną *ossa terrae*, po czym postawiłem mieszaninę na małym ogniu na alembiku. Czułem się jak własna matka, przyrządzająca obiad z resztek. Błękitno-zielona mikstura nadal się pieniała i wtedy pomyślałem, że wiem, jak temu zaradzić. Dodałem do niej dwie drachmy *sal draconis*, wychodząc z założenia, że *vis alba* w soli wytrąci *fors levis* w błękicie, a według mnie w tym właśnie tkwił cały sekret. Sądziłem, że po zlaniu mikstury osad zostanie w filtrze, więc będzie bezpieczna.

Nie mogłem się zdecydować, czy dodać ciała stałe do cieczy, czy na odwrót. Ostatecznie wziąłem największą bryłę lodu, jaką miałem, postawiłem na niej miksturę i po kolei wrzuciłem do środka ciała stałe, schłodziwszy je wpierw na lodzie. Nie doszło do wybuchu, czyli wszystko w porządku. Ponadto kolor zmienił się w coś na kształt wyjątkowo nieapetycznej purpury. Nie miałem pojęcia, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale uznałem to za dobry omen. No wiecie, purpura – kolor króla i władzy. Nie ma mowy, by oznaczała coś złego.

Gdy tylko mikstura ostygła, przefiltrowałem ją przez węgiel drzewny, a następnie przez papier –

została po niej cała masa błyszczących drobinek, przypominających opiłki żelaza. Dobrze, pomyślałem, to *fors levis*. Przełałem wszystko do wysokiej, szklanej zlewki, postawiłem ją na stole i przyjrzałem się jej uważnie.

Eliksir wiecznej młodości. No, no.

Problem w tym, jak sprawdzić, czy działa?

Naturalnie, gdyby nie działał, dowiedziałbym się o tym niemal natychmiast, w przeciągu jakichś dziesięciu sekund, jakie zostałyby mi do śmierci. Choć z tego, co wywnioskowałem na podstawie dostępnej literatury, niezbyt bym się przejął niepowodzeniem eksperymentu. *Fors levis* wyżera mózg. Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, dodając *sal draconis*, ale piana z pewnością oznaczała, że *lux stellae* w błękitcie reagowała z *cor tene-brae* w zieleni, w którym to przypadku substancje połączyłyby się, tworząc ołów i cały eksperyment byłby tylko stratą czasu. *Sal draconis* miała za zadanie zneutralizować szkodliwy humor w *cor*, który i tak nie ma żadnego pożytecznego zastosowania, i zostawić humor dobroczynny, by dokonała się transmutacja szkodliwego elementu w *lux*. Wszystko proste i jasne, przynajmniej w teorii.

Z kolei, jeśliby się udało, miałbym eliksir wiecznej młodości zapobiegający starzeniu. Świetnie. Pijesz, patrzysz w lustro. Wyglądasz dokładnie tak samo jak pięć minut wcześniej. Musiałoby minąć z dziesięć lat, by zyskać pewność, że mikstura coś dała. No tak, można też nakarmić szczura i sprawdzić, czy przeżyje inne szczury. Ale czego by to dowiodło? Że mam eliksir opóźniający starzenie u szczurów. W okolicy byłby na niego niewielki popyt. Ona zaproponowała wypróbowanie jej na dziecku – już po kilku miesiącach byłoby wiadomo, czy przestało rosnąć. Nie miałyby z tym problemu. W jej mniemaniu etyka to wymówka dla niedostatku wyobraźni i perspektyw.

Mikstura grzecznie stała sobie na stole. No, zapytałam sam siebie, na co czekasz?

I wtedy weszła ona.

Stwierdzam, że gdyby w naszym społeczeństwie panował należyty porządek i kobiety miały prawo bezpośrednio angażować się w badania naukowe, zostałaby pierwszorzędnym alchemikiem. Zawsze bez problemu radziła sobie z moimi zapiskami, choć nigdy nie chodziła do szkoły. Wszystkiego nauczyła się z książek. Naturalnie po siostrze Fokasa można się było spodziewać, że będzie podzielała rodzinną obsesję. Ale Fokas, pomimo trzech lat na uniwersytecie, nadal nie łapał podstaw migracji impulsów. Eudoksja rozwiązywała równania migracyjne w wieku czternastu lat. W zasadzie mam podstawy sądzić, że odrabiała za Fokasa prace domowe, choć naturalnie żadne z nich za nic by się do tego nie przyznało.

Zobaczyła zlewkę na stole.

– Co to? – spytała.

– Nic.

Posłała mi to swoje spojrzenie.

– Co?

Podaliśmy jej składniki. Wyciągnięcie wniosków zajęło jej jakieś pięć sekund. Widać było, że jest pod wrażeniem. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia, a twarz rozpromienił blask podekscytowania i chciwości.

– Zadziała?

– A skąd mam wiedzieć?

Pochyliła się nad zlewką i powąchała zawartość, po czym wyprostowała się i wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia.

– To jest niestabilne.

– Tak, ale dodałem trochę *sal draconis*, żeby się nieco uspokoiło.

Zmarszczyła brwi, trawiając to, co usłyszała.

– Przefiltrowałeś?

– Nie jestem głupi.

– Szare drobinki wyglądające jak opiłki?

Wskazałem przemoczony papier. Obejrzała go, po czym energicznie pokiwała głową.

– No i?

Wzruszyłem ramionami.

– Po co się spieszyć? – spytałem. – Jeśli działa, będę miał całą wieczność. A jeśli nie...

– Zrobisz więcej – powiedziała szybko, jak gdyby wcale nie planowała się odezwać. – Dla mnie.

Nie odpowiedziałem, więc spojrzała na mnie gniewnie.

– Nie – rzuciłem krótko.

– Co?

– Nie – powtórzyłem. – Chcesz spróbować, to znasz przepis.

– Co do cholery...

– No daj spokój – przerwałem jej, jakby zachowała się naprawdę głupio. – Pozwól, że zwrócę

twoją uwagę na słowa przysięgi małżeńskiej. Póki śmierć nas nie rozłączy. – Posłałem jej uśmiech. –

Bądź realistką.

Jej spojrzenie prawie zdarło mi skórę z twarzy.

– Jesteś żaloszny – stwierdziła.

W wielu dziedzinach, ale nie w tej.

– Z całym szacunkiem – powiedziałem – nieśmiertelność to jedno. Ale bycie twoim mężem przez wieczność...

– Ty bydlaku.

– Jesteś niesprawiedliwa – stwierdziłem. – Nie rozwodzę się z tobą. Przeżyjemy ze sobą wszystkie lata, które ci pozostały, a potem będę wolny. Przecież na to się właśnie pisałaś.

– Pozwoliłbyś mi umrzeć.

– Wszyscy umierają – powiedziałem. – Śmiertelność jest stałą definiującą nasze istnienie.

– Spierdalaj.

– Poza tym – mówiłem dalej – eliksir i tak pewnie nie działa. Gdyby to było takie proste, ktoś by na to wpadł już wieki temu. No i może być trujący.

– Jeśli jest – stwierdziła uprzejmie – umrzesz i będę wiedziała, by go nie pić.

– To może być jedna z trucizn, które działają z wielogodzinnym opóźnieniem. Albo po kilku dniach. Albo nawet tygodniach. Gdybym pozwolił ci to wypić, wykazałbym się całkowitym brakiem odpowiedzialności.

– Mój brat...

– Twój brat – powtórzyłem – ceni mnie o niebo bardziej niż ciebie. Jak już pewnie zresztą zauważyłaś – wytknąłem. – Dwa razy w tygodniu chodzisz do niego się na mnie użalać i co zrobił w tej sprawie?

– Podzielisz się z nim eliksirem?

Uśmiechnąłem się.

– Jeśli okaże się, że działa, może kiedyś opublikuję przepis. Ale dopiero kiedy go dokładnie przetestuję. Powiedzmy za jakieś dwieście lat. Wcześniej byłoby to bardzo nierzetelne z naukowego punktu widzenia.

– Podzielisz się z moim bratem czy nie?

– Nie – odparłem. – Płaci mi za znalezienie sposobu przemiany ołowiu w złoto, co, jak wiadomo,

jest niemożliwe. To moja prywatna działalność dodatkowa. Nie ma prawa do tych badań. To – kontynuowałem z czarującym uśmiechem na ustach – przeznaczone jest wyłącznie dla mnie. Bo jestem tego wart.

Nawet nie zauważyłem, jak płynnym ruchem ręki chwyciła zlewkę. Zanim zdążyłem się ruszyć, podniosła ją do ust, a nim wstałem, przełknęła już dwa łyki.

Teraz już wiem, że nie powinienem był dodawać *sal draconis*. *Radix vitae* wypłukałoby szkodliwy czynnik z piany i można byłoby się tym obżerać do woli.

* * *

Gdy w parku pojawił się człowiek zapalający latarnie, wróciłem do garbarni i zdjąłem *ichor tonans* z parapetu. Wcześniej po drodze wyłowiłem ze śmieci pustą butelkę po wódce i wypłukałem ją w fontannie. Powoli przelałem *ichor* do butelki, zakorkowałem ją i wzorem pijaków schowałem do kieszeni. Fakt, że spałem w ubraniu i nie goliłem się od dwóch dni sprawiał, że naprawdę pasowałem do tej roli. Pijacy i żebracy są niewidzialni. Kamuflaż idealny.

Przez pięć godzin włóczyłem się po ulicach, wczuwając się w rolę. Wuj zawsze mi powtarzał, że mógłbym zostać aktorem i pewnie miał rację. Najważniejszym elementem, który większość ludzi udających kloszardów zawsze zaniedbuje, jest chód, długość kroku i wleczenie po ziemi bokiem buta. Trzeba to robić jak ktoś, kto wiecznie odchodzi, a nie zdarza mu się przyjść. Jakiś miły człowiek nawet się zatrzymał i rzucił mi trzy trojaki.

Do Bramy Wschodniej dotarłem tuż po zmianie warty. Widziałem, jak nowy wartownik wchodzi na wieżę strażniczą, gdzie musiał spędzić co najmniej minutę, wpisując się do książki. Dawało mi to czterdzieści pięć sekund, aż nadto czasu. Wwlokłem się po schodach na górę (co prawda nikt na mnie nie patrzył, ale i tak nie wyszedłem z roli – poruszałem się chwiejnie niczym pijak wtaczający się na strome schody), spojrzałem w dół, by sprawdzić, czy teren jest czysty, wyjąłem butelkę z kieszeni, przerzuciłem ją przez mur i popędziłem na złamanie karku w przeciwnym kierunku.

Przebiegłem po kładce cztery jardy, kiedy nastąpił wybuch, zwalając mnie z nóg. Zaliczyłem bolesne lądowanie na wyciągniętych przed siebie rękach i kolanie, ale udało mi się nie spaść z wielkim hukem z kładki. Zwinąłem się w kłębek i sturlałem po wale.

Zacząłem liczyć. Przy pięciu roszczekał się pies w odległości jakichś stu jardów. Następnie usłyszałem pierwsze kroki biegnących i opuściłem głowę. Nawet gdyby ktoś się o mnie potknął w ciemności, nie zwróciłby uwagi na pijaka szukającego schronienia przed wiatrem w cieniu wału i na pewno nikt nie aresztowałby mnie za włóczęgostwo, gdy w mieście grasowali wrogowie wysadzający mury. W sumie minęło mnie czterech czy pięciu strażników, ale nie wiem, czy w ogóle mnie zauważyli. Dookoła rozległy się krzyki, zaczęła się bieranina, światła przeczesywały okolicę, a od strony strażnicy dobiegał dźwięk trzaskania drzwiami. Nie ruszałem się z miejsca, uczepiony swej bezdomnej tożsamości niczym tonący kawałek drewna. Nawet gdy wszystko przycichło, zostałem na miejscu aż do piątej według klasztornego dzwonu. Wtedy wstałem i pokuśtykałem z powrotem do garbarni.

* * *

Pewien mędrzec powiedział kiedyś, że każdy człowiek jest zdolny do nieskończonych osiągnięć, pod warunkiem, że nie wiążą się z pracą, którą powinien wykonywać. „Dialogi” są na to świetnym przykładem. Moja rozprawa miała być metalingwistyczną analizą „O rzeczach różnych” Eustatiusa.

Wyszedłem od hipotezy, w którą całkowicie wierzyłem i poświęciłem dwa lata sumiennej, skrupulatnej pracy (w czasie, gdy pracowałem jako portier, gdyż nie stać mnie było na czesne), by ją obalić. Przy okazji, zupełnie przypadkiem natknąłem się na pewne informacje z zupełnie innej dziedziny. Rozmyślałem nad nimi, taszcząc ciężkie kufry i zdrapując wymiociny z kamiennych posadzek po imprezach kończących semestr, a w trakcie nielicznych wolnych chwil robiłem notatki. I tak powstały „Dialogi”. A kiedy nadszedł czas zaprezentować moją rozprawę, uświadomiłem sobie, że będzie raczej krótka...

* * *

Czy formy lingwistyczne w zasadniczy sposób wpłynęły na struktury logiczne w „O rzeczach różnych” Eustatiusa? Nie.

* * *

...opuściłem więc Elpis na dzień przed tym, jak miałem się stawić przed komisją egzaminacyjną, zostawiając notatki, kilka niezapłaconych rachunków i stare buty, których nie zdołałem upchnąć w chlebaku. Wszystko przez wstyd. To ciekawe, jak działał mój umysł, gdy byłem młodszy: mniej haniebne wydawały mi się rozboje niż przyznanie przed wykładowcami, że zmarnowałem dwa lata ich czasu i swojego życia.

Choć nie powinienem tego mówić, byłem niezłym rabusiem. Na początku dokładnie wszystko przemyślałem, nie rzucając się od razu na głębokie wody, tak jak zdaje się robić większość bandytów. Przez tydzień przemierzałem miasto, notując któreśdy i w jakich porach chodzą patrole straży oraz jak bezpośrednio dotrzeć z największych domów handlowych do najważniejszych banków. Poszedłem nawet do archiwum sądowego, gdzie przeczytałem zapisy setek rozpraw rabusiów, dzięki czemu dość dokładnie zorientowałem się, w którym miejscu większość z nich popełniała błąd (trzydzieści siedem procent rabusiów wpada, bo zaczyna podejrzanie szastać pieniędzmi; trzynaście procent atakuje mężczyzn, mających przy sobie ukrytą broń; sześć procent więcej niż cztery razy napada na tego samego gońca w tym samym miejscu). Przez dwa tygodnie uczęszczałem do Szkoły Samoobrony przy Targu Siennym, a przez kolejny tydzień wdawałem się w knajpiane bójki i dopiero wtedy usiadłem nad dużą płachtą papieru, mapą i dwoma kompasami, by zaplanować swój pierwszy rabunek. Poszło jak z płotka i zgarnąłem siedemnaście dukatów, trzydzieści trojaków. Prawie udało mi się wycofać, kiedy jeszcze odnosiłem sukcesy.

Ale Elpis to nieduże miasto i mieszkało w nim za dużo osób, które mnie znały, więc wsiałem do dylizansu pocztowego i przenieśliem się do Paraprosdocji. Przygotowanie map i rozpoznanie zajęło mi miesiąc, i co? Przy trzecim skoku, w obrabianej lektyce przy Targu Gęsim znalazłem rektora swojej uczelni z Elpis. Zwinąłem się z miasta następnego dnia i dotarłem aż do Choris Seautou, gdzie wpłaciłem oszczędności do banku i zorganizowałem sobie metę na przyszłość. Następnie wróciłem do Paraprosdocji i wysłałem list do starego kumpla z roku, Fokasa, składając mu propozycję, która musiała go zainteresować. Po zastanowieniu, nadal twierdząc, że było to rozsądne posunięcie. Gdyby dorwała mnie straż, Prefekt powiesiłby mnie, nim Fokas zdążyłby zareagować i byłoby po mnie. Śmierć lub Fokas... mało brakowało, ale ogólnie rzecz biorąc sędzę, że dokonałem właściwego wyboru.

* * *

Następnego dnia mówiło o tym całe miasto. Pewien Salonin, alchemik, uczony i złodziej dżentelmen, poszukiwany w związku z przesłuchaniem w sprawie śmierci pani Eudoksji, opuścił miasto, sięgając po dość drastyczne środki jak wysadzenie murów miejskich, w wyniku czego powstała siedmiostopowa wyrwa. Doszli do wniosku, że mógł to być tylko Salonin, jako że jedynym materiałem wybuchowym zdolnym wyrządzić takie szkody jest *ichor tonans* (wynaleziony przez rzeczonoego Salonina), a tylko pięciu ludzi na świecie wie, jak go przygotować, z czego czterech przebywało w tym czasie poza miastem. Według kapitana straży, którego podsłuchałem w zakładzie fryzjerskim, gdzie właśnie zatrudniłem się do zamiatania za trzy trojaki dziennie, Prefekt wysłał za Saloninem cały oddział lekkiej kawalerii, więc nie było mowy, by zdołał daleko uciec. A tymczasem książę strasznie się wściekł i wysłał szwadron wiadrogłowych za ludźmi Prefekta, sugerując jakoby nie wierzył, że sobie poradzą, co kapitan straży wyraźnie miał księciu za złe.

Zostałem u fryzjera przez trzy dni, żeby mieć pewność, że straż nadal nie szuka mnie w mieście, po czym napadłem na śliniacego się, pijanego w sztok wesańskiego kupca przed „Abstynencją umysłową” – pięć dukatów, dwadzieścia trojaków. Następnego ranka zarezerwowałem miejsce na najbliższy dyliżans pocztowy do Choris Seautou. Bułka z masłem.

Jak się można domyślić, nie odjechałem tym dyliżansem. Co prawda stawilem się na przystanku przed pocztą, pozwalając kasjerowi, zawiadowcy i woźnicy dokładnie mi się przyjrzeć, wsiałem do dyliżansu i posiedziałem w nim trochę, aż byłem gotowy odejść. Wtedy cichutko otworzyłem drzwi z drugiej strony, wysiadłem i puściłem się biegiem przez niewielki zaułek prowadzący do magazynu sera. Wspiąłem się na mur, błyskawicznie przemierzyłem podwórze i wpadłem tylną bramą na Plac Nożowników. Potem wróciłem do garbarni, zgarnąłem swoje rzeczy i wynająłem piwnicę pod nieczynną karczmą przy starym Teatrze Akademickim w Browngate. Kilka dni później usłyszałem przypadkiem rozmowę dwóch wiadrogłowych w „Niewinności wynagrodzonej”. Opowiadali komuś o świeżutkim tropie Salonina, prowadzącym do Choris Seautou. Twierdzili, że zamknięcie go to kwestia co najwyżej tygodnia.

Problem w tym, że jak się już człowiek dorobi reputacji kogoś sprytnego, trzeba ją nieustannie potwierdzać.

Piwnica pod karczmą idealnie nadawała się do moich celów. Moim największym zmartwieniem były oczywiście pieniądze, a zaraz po tym niebezpieczeństwa, jakie czekały mnie w drodze po potrzebne materiały. Naprawdę nie chciałem dokonywać kolejnych rozbojów. Nawet w idealnych warunkach to wyjątkowo niebezpieczna profesja, a skądinąd wiedziałem, że posiadane przeze mnie informacje były zdecydowanie nieaktualne. Ponadto zwyczajnie nie uważam tego za przyzwoite. A jako największy żyjący autorytet w zakresie teorii etyki, chyba powinienem świecić przykładem. Ale potrzebne mi były pieniądze, nie tyle na jedzenie i tym podobne rzeczy, bo nauczyłem się bez nich obywać przez dłuższe okresy czasu, ale na materiały i sprzęt – zmartwienie numer dwa w hierarchii ważności. Myślałem nad tym długo i intensywnie, ale nie spłynęła na mnie nawet odrobina natchnienia. Z ogromnym smutkiem stwierdziłem, że czas spieniężyć jeden ze swych ostatnich atutów, którym był profesor Laodikus.

* * *

Co prawda najlepsze są rzeczy, ale i ludzie mogą się czasem do czegoś przydać. Laodikus jest tego doskonałym przykładem. Podczas mojego drugiego pobytu w Elpis, tuż po publikacji „Dialogów”, zostałem mianowany wykładowcą filozofii moralnej i etycznej, a Laodikus był wymizerowanym,

wiecznie milczącym, choć sumiennym studentem, który nie miał przyjaciół i zdecydowanie nie radził sobie z materiałem. Akurat przechodziłem nawiedzający mnie co jakiś czas okres bycia przyzwoitym człowiekiem i z trudem, ale udało mi się przeciągnąć go przez testy przygotowawcze. Podciągnął się i niemal został dobrym studentem, gdy moje położenie uległo zmianie i musiałem w pośpiechu opuścić miasto. A teraz pracował w Studium jako profesor sztuk głównych i był w posiadaniu kluczy dających mu dostęp do kasy podręcznej i wszystkich szafek. W „Eseju o teorii etyki” stanowczo oprotestowałem postępową, skupioną na sobie wizję altruizmu, uznając ją za szytą grubymi nićmi, mistyczną bzdurę. Pewnie i w tej kwestii się myliłem.

Główną bramą wszedłem do Studium, nie zwracając niczyjej uwagi. Pewnie dlatego, że wszyscy, którzy mogliby mnie rozpoznać, sądzili, iż jestem w Choris Seautou. Przed wizytą na uczelni obmyłem twarz w końskim żłobie, ogoliłem się u balwierza i założyłem elegancką, ale skromną szatę, którą zwędziłem ze sznurka z praniem na drugim końcu miasta. Na portierni spytałem, gdzie o tej porze znajdę profesora Laodikusa. Odpowiedzieli, że na pewno będzie w Starej Bibliotece. Skinąłem w podziękowaniu dokładnie tak, jak zrobiłby to wybitny naukowiec, który przyjechał z prowincji. W sumie wyszło to nieco sztywno i oziębło, głównie za sprawą trzonka siekiery wbijającego mi się w wewnętrzną stronę uda.

Stara Biblioteka w Studium jest duża. Gdyby ją spalić i zaorać, a potem zasiać na jej miejscu zboże, można by wykarmić całą wieś. Dział filozofii zajmuje całe drugie piętro (gdzie trzeba wejść po ciasno skręconych, kamiennych schodach, przyprawiających mnie o cholerne zawroty głowy). Chwilę trwało, nim odnalazłem Laodikusa, ale rozpoznałem go już z odległości dwudziestu jardów. Wyłysiał (który to proces rozpoczął się na czubku jego głowy, gdy miał dziewiętnaście lat) i zaokrąglił się nieco, ale twarz pozostała ta sama, przez co wyglądał nieco nienaturalnie, jak gdyby ktoś obdarł go ze skóry, po czym przyszył ją do łysej głowy i starszego, pulchniejszego ciała.

Stał pochylony nad książką. Nie mogłem się powstrzymać. Zakradłem się po cichutku, stanąłem tuż za jego lewym ramieniem i krzyknąłem:

– Witaj, Laodikusie.

To nie był najmądrzejszy pomysł. Mogłem go przyprawić o zawał. Wskoczył w górę na wysokość mniej więcej stopy i zakwiczał niczym świnię na targu. Spojrzał na mnie, otwierając usta i poruszając nimi, ale nie wydobył z siebie ani słowa.

– Przejdźmy się – rzuciłem.

To jedna z tych osób, które instynktownie wypełnią każde polecenie, byle zostało wydane odpowiednim tonem. Odwrócił głowę, starając się na mnie nie patrzeć i spytał:

– Co ty tu robisz? Nie wiesz...?

– Mnie tu nie ma – odparłem z uśmiechem, jak gdybyśmy wspominali stare dobre czasy. – Jestem w Choris Seautou.

– Nie możesz tu zostać. – Wybałuszał oczy, jakbym zarzucił mu na szyję garotę i zaczął go dusić. – Jeśli cię tu znajdą...

– Nie martw się – powiedziałem. – Możesz w bardzo szybki i prosty sposób się mnie pozbyć. Gdzie masz gabinet?

– Przy Nowym Dziedzińcu – odpowiedział, po czym dotarło do niego, że popełnił błąd. – Czego chcesz?

– Nie zatrzymuj się – rzuciłem. – I spróbuj się uśmiechnąć – dodałem i od razu tego pożałowałem. Z wymuszonym uśmiechem przypominał jedną z głów wywieszanych na Bramie Północnej po tym, jak poleżą na słońcu przez tydzień.

– Czego...?

– Ciii...

Zeszliśmy po tylnych schodach na Dziedziniec Południowy, krążankiem dotarliśmy na Nowy Dziedziniec i skręciliśmy w lewo. Dostał gabinet na parterze, co świadczyło o prestiżu. Drzwi nie były zamknięte, a to oznaczało, że albo bezgranicznie ufa swoim kolegom, albo jest bezgranicznie nieostrożny. Zamknąłem za nami drzwi i zasunąłem rygiel.

– Nie wyglądasz na zachwyconego naszym spotkaniem – stwierdziłem.

– To szaleństwo tu przychodzić – odparł Laodikus. – Jeśli cię tu złapią, zrujnujesz mi karierę. Zresztą byli tu już ludzie księcia, zadawali pytania.

Tego nie przewidziałem, choć powinienem.

– W porządku – powiedziałem. – Na pewno ci uwierzyli, gdy powiedziałeś, że nie masz ze mną kontaktu i nie mają powodu, by tu wracać. A teraz posłuchaj. Potrzebuję twojej pomocy.

Na jego twarzy odmalował się smutek.

– Co...?

Wyjaśniłem. Wpatrywał się we mnie, jakbym właśnie poprosił go o wątrobę.

– Nie mogę tego zrobić – oznajmił. – To byłaby kradzież. Gdyby ktoś się dowiedział, że sprzeniewierzyłem materiały i fundusze...

Posłałem mu pełne urazy spojrzenie.

– W rozdziale siódmym, ustęp piąty, akapit dziewiąty „Dylematów etycznych” – powiedziałem – twierdzisz, że lojalność wobec przyjaciela ma zawsze pierwszeństwo przed lojalnością wobec kraju. Używasz tam analogii do cegieł w murze, tłumacząc, że jeśli wszystkie cegły nie będą związane ze swoimi sąsiadami, nieważne jak równe i proste będą poszczególne rzędy, podstawa i tak nie utrzyma górnych warstw. – Uśmiechnąłem się do niego. – Niegdyś byłem przeciwnego zdania, ale przekonałeś mnie, że się mylę. Wiesz, naprawdę przeszedłeś długą drogę od czasu swojego pierwszego roku w Elpis.

Spojrzał na mnie z przerażeniem.

– Nie mogę – powiedział. – Za bardzo się boję.

– Bzdura. – Bitwa była już wygrana. – Mylisz odwagę moralną z fizyczną. W rozdziale dziewiątym, ustęp drugi, akapit czwarty piszesz...

– Dobrze. – Laodikus to jeden z tych uczonych, którzy woleliby, by wrywano im zęby szczypcami, niż żeby ktoś wykorzystywał przeciwko nim ich własnego słowa. – Zaczekaj tutaj. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Pokręciłem głową.

– Nie dasz rady przynieść wszystkiego sam – wytknąłem, co akurat było prawdą. Tymczasem ja miałem na koncie dwa lata doświadczenia jako portier i w całym szeregu innych zawodów związanych z przenoszeniem ciężarów, które wykonywałem w gorszych latach swojego życia. Przeciwko temu nie miał argumentów.

* * *

Prawdę mówiąc, zostałem alchemikiem przez przypadek, w trakcie mojego drugiego pobytu na uczelni w Elpis. Zawsze trochę mnie to interesowało, ale za bardzo zajmowały mnie studia, a poza tym nie stać mnie było na sprzęt. Potem poznałem Euelpidesa, jednego z pracowników naukowych. Szukał asystenta. Wkrótce zamieniliśmy się rolami, a gdy odszedł na emeryturę, zaproponowano mi jego stanowisko. Potrzebowałem pieniędzy.

Naturalnie pozyskanie funduszy na badania alchemiczne nigdy nie stanowi problemu. Dopóki

ludzie wierzą, że można przemienić metal nieszlachetny w złoto (a nie można), dopóty znajdą się bogacze gotowi zainwestować. A dopóki oni są gotowi płacić, dopóty ja z radością będę próbował dokonać niemożliwego. Moim błędem było oczywiście zakochanie się w przedmiocie mniej więcej trzy miesiące po podjęciu się tej pracy.

Teraz rozumiem, że źle zrobiłem. To trochę jak zakochać się w żonie po trzech latach małżeństwa. Taka sytuacja wypacza zdolność osądu i stawia człowieka na straconej pozycji. Powinienem być to wiedzieć. Mam za sobą obie te rzeczy.

A skoro już o tym mowa – Eudoksja zawsze miała mnie gdzieś. Naprawdę wierzę, że była niezdolna do jakichkolwiek uczuć. I autentycznym, namacalnym strachem, przez który budziła się w nocy zlana potem, bała się starości. Nie śmierci, o której, z tego co wiem, nigdy nie myślała. Ale starości. Powiedziała kiedyś, że wiek jest odwrotnością alchemii, gdyż przemienia złoto w gówno. Nigdy do końca tego nie rozumiałem, ale potrafię sobie wyobrazić, jak do tego doszła. W wieku szesnastu lat była niesamowicie piękna. W wieku dwudziestu pięć lat jej uroda zaczęła pospolicieć, jak gdyby ktoś delikatnie zeszcpecił cudowny obraz. Zwykła stawać przed lustrem, wpatrując się w nową zmarszczkę, której nikt poza nią nie widział. W takich chwilach praktycznie czułem jej strach. I tak, gdy tylko doszła do wniosku, że jestem najlepszym alchemikiem na świecie, przestało jej wystarczać, że pracuję dla jej brata, związany umową i zamknięty niczym więzień w pałacowym skrzydle, specjalnie dla mnie przekształconym w laboratorium. Chciała sama mnie przypilnować, a to oznaczało, że musiałem zakochać się w niej i jej pięknie, co stanowiło najsilniejszy z możliwych bodźców. Z czasem zacząłem jej nienawidzić, tak jak zacząłem nienawidzić alchemii, zresztą mniej więcej z tego samego powodu. Nawet teraz trudno mi jej wybaczyć.

Największym paradoksem jest fakt, że miłość i gwałt znajdują ujście w tym samym akcie. Przez dwa lata gwałciłem naukę, próbując dać Fokasowi i Eudoksji, czego chcieli: złota i młodości. Co naturalnie jest niemożliwe. Niewykonalne. Ale oboje pokładali we mnie ślepe, bezgraniczne nadzieje, przypominające miłość lub wiarę w Boga. Myślę, że bym to zniósł. Możliwe, że bym tak trwał, czekając, aż prędzej czy później ich wiara zacznie się załamywać i rozumieją, że nie jestem nawet w połowie tak mądry, jak sądzili, i w końcu pozwolą mi odejść lub mnie usuną. Wszystko zrujnowało pewne odkrycie lub nikła możliwość jego dokonania – moje jedyne, prawdziwe, warte zachodu osiągnięcie, które gdybym tylko doprowadził do końca, przyniosłoby mi bogactwo, sławę i może – choć to mało prawdopodobne – szczęście.

* * *

Dzięki Laodikusowi miałem wszystko, czego potrzebowałem: ostatnie z brakujących składników, sprzęt, a także dziesięć dukatów w gotówce, które był uprzejmy wyprowadzić dla mnie z powierzonego mu Funduszu Socjalnego. Z drewnianym pudełkiem pod pachą, żwawym krokiem wróciłem do swojej piwnicy, skupiony wyłącznie na eksperymencie, który miałem przeprowadzić – próbowałem przewidzieć ewentualne problemy i przywoływałem w pamięci każdy kolejny krok. W zasadzie nie pamiętam, jak dotarłem do piwnicy, rozstawiłem nowy sprzęt, rozpałem ogień i zaczerpnąłem wody. Przy dużym skupieniu czas stapia się w jedną chwilę. Wydłuża się tak, że zagotowanie wody w garnku ciągnie się niemal w nieskończoność, po czym kurczy się wraz z każdym z etapów procesu, gdy próbuje się wykonać siedem rzeczy naraz bez zbędnego pośpiechu. Tak skrupulatnie uporządkowałem myśli, że nie uroniłem nawet sekundy, ale czasu albo było za mało, albo o wiele za dużo.

Błękit i zieleń. Gdy składniki odparowywały, podgrzałem *lacrimae dei* i sproszkowany metal w

tyglu, po czym zmieszałem błękit i zieleń w kamiennej zlewce i wrzuciłem ciała stałe do cieczy. Tym razem obyło się bez musowania, za to pojawiły się gęste, białe opary, dzięki którym zrozumiałem, że pozbawiona okien piwnica chyba jednak nie do końca idealnie nadaje się do moich celów. Po szczypcie dodałem *vis cer-ulea*. Zanurzyłem róg czystej szmatki w zlewce, zabarwił się błękitem. Kolejny krok przybliżający mnie do prawdziwej nieśmiertelności.

Problem w tym, że koncentrując się na jednej rzeczy, łatwo zaniedbać pozostałe. Stałem tyłem do drzwi, a oni weszli po cichutku i zauważyłem ich dopiero, gdy mnie chwycili.

* * *

Kapitan powiedział mi, że to wcale nie było takie trudne. Rozesłał patrole, by szukały dziwnych, nietypowych zapachów. Okazało się, że można mnie wyczuć już z połowy ulicy. Łatwizna.

Odbyłem krótką podróż w zamkniętym powozie, wciśnięty między kapitana a sierżanta, ze sznurem obwiązany wokół kostki. Gdy dotarliśmy na skrzyżowanie Whitegate z Long Row, byłem bardzo ciekaw, w którą stronę skręcimy – w lewo na posterunek straży, czy też w prawo do pałacu. Skręciliśmy w prawo.

– Chyba powinniśmy cię umyć – stwierdził kapitan, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę główną. – Nie możesz iść na spotkanie z księciem w takim stanie.

Powiedziałem mu, że razem studiowaliśmy, na własne życzenie egzystując w brudzie i nędzy. Zauważyłem też, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem Fokasa, nie golił się od tygodnia i miał obrzygane buty. Kapitan skwitował to uśmiechem i stwierdził, że nie studiował. Może i by chciał, ale jego ojciec był zegarmistrzem z szóstką dzieci. To najwyraźniej miało mi pokazać, gdzie moje miejsce.

Nigdy wcześniej nie byłem przymusowo myty. Powiedziałem im, że świetnie dam sobie radę sam, ale pewnie woleli nie uwalniać mi kończyn, na wypadek gdybym postanowił uciec. Golenie nie było takie złe, a nawet przywołało stare wspomnienia. Bynajmniej nie po raz pierwszy czterech mężczyzn trzymało mnie, przyciskając mi ostrze do gardła. Wydali mi gładką, czystą szatę z nieco wystrzępionymi rękawami, w mniej więcej beżowym kolorze. Bez kieszeni.

Kapitan i jego ludzie doprowadzili mnie aż do wielkiej sali, w której zostałem przekazany w ręce ludzi Szambelana Dyżurnego. Kapitan oddał jednemu z nich koniec sznurka, którym byłem związany, po czym skinął uprzejmie głową i życzył mi powodzenia. Ze zdumienia odebrało mi mowę.

* * *

Naturalnie kiedy spotkałem Fokasa po raz pierwszy, był nikim. A nawet mniej niż nikim. Był dwunasty w kolejce do tronu, co oznaczało, że nie ma na niego żadnych szans, a jego ojciec właśnie został stracony za zdradę. Niesamowite, ile osób patrzyło wprost na niego, w ogóle go nie widząc.

Ja dla odmiany byłem ukochanym siostrzeńcem zamożnego spekulanta ziemskiego z istotnymi koneksjami politycznymi, wschodzącą gwiazdą uniwersytetu i członkiem kręgu wtajemniczonych w kręgu wtajemniczonych lepszego towarzystwa. W zasadzie byłem tak centralną postacią, że można by nakreślić pozycje wszystkich pozostałych osób, kładąc mi kompas na czubku głowy. Właściwie nie powinienem był tracić swego cennego czasu i uwagi na takie skończone zero jak Fokas. Ale go polubiłem.

Wyrzucono go z przyjęcia, na które właśnie przyjechałem. Po pijaku robił się agresywny i jak się później dowiedziałem, wywalono go, ponieważ część jego rzygowin zamiast na buty trafiła na suknię gospodyni, którą w chwili, gdy zdradził go własny układ trawienny, próbował zdjąć, nie zważając na

protesty właścicielki. Wierzgający niczym wisielec został wyniesiony przez dwóch lokajów na ulicę i wrzucony do dużej, brązowej kałuży. Siedział tam jakieś pięć sekund, po czym wstał chwiejnie, choć z pewną wewnętrzną gracją i godnością niczym kot, zatoczył się i runął na ścianę.

Ludzie, którzy byli ze mną, minęli go z minami typu: „nie patrzcie na niego, nie wiecie, gdzie leżał wcześniej”. W świetle latarni zobaczyłem, jak się do mnie uśmiecha, a jego twarz zdawała się mówić: „nie oceniaj mnie zbyt surowo, dziś nie jestem w formie”. Odwzajemniłem uśmiech, a on się przewrócił.

Kolejny raz spotkałem go na jednym z wykładów Menesteusza o Stratyliidesie. Siedziałem cierpliwie, formułując w myślach pytanie, które każdemu bystremu obserwatorowi ponad wszelką wątpliwość udowodniłoby, że byłem dziesięć razy bystrzejszy niż Menesteusz i co najmniej trzy razy mądrzejszy niż Stratyliides. Właśnie je dopieszczałem, gdy ten stary głupiec przerwał wykład. Fokas natychmiast wstał i zadał dokładnie to pytanie, które planowałem.

No, nie do końca to samo. Nie było nawet w połowie tak zwięzłe i elegancko sformułowane. Jednakże dotyczyło tych samym nieścisłości logicznych. Menesteusz spojrział na niego, po czym powiedział:

– W zasadzie to pytanie nie jest tak głupie, jakby się mogło wydawać – i udzielił odpowiedzi, którą byłoby mi ogromnie trudno przebić. Byłem wdzięczny Fokasowi, że mnie ocalił, jednocześnie nie mogąc wyjść z podziwu, jak pogodnie przyjął te intelektualne baty. Spytałem znajomych, kim jest dzieciak, który zadał pytanie. Potem załatwiłem mu zaproszenie na przyjęcie, na które się wybierałem i dołożyłem starań, by z nim porozmawiać. Przez pół godziny gawędziliśmy o pozytywizmie etycznym, a następnie urwaliśmy się z przyjęcia i poszliśmy się napić. Nie miał pieniędzy, więc mu pożyczyłem pół dukata.

Rok później mieliśmy epidemię dzumy, która zabiła dziewięciu z jedenastu kuzynów Fokasa, wyprzedzających go w kolejce do tronu, a także mojego wuja, który, jak się okazało, stał na skraju bankructwa. W rzeczywistości był kanciarzem o sporych umiejętnościach lecz ograniczonej inteligencji. Nie przewidział błędu w swoim planie, który runąłby w przeciągu miesiąca, gdyby wuj nie zmarł. Do egzaminów końcowych zostało mi sześć miesięcy. Miałem kufer ubrań, który właściciel mieszkania zajął jednak na poczet zaległego czynszu, pięć tuzinów ksiąg i cztery dukaty w gotówce.

Nieustannie zadziwia mnie fakt, jak zmienia się geometria społeczna. Wystarczyło kilka dni, bym ze środka okręgu trafił w bliżej nieokreślony punkt poza jego obwodem. Nawet nie byłem w stanie dostać się w pobliże starych znajomych, by prosić ich o pieniądze, a świeżo wzbogaconego Fokasa nie było w mieście, gdyż wyjechał do stolicy wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych. Mój opiekun naukowy, który jednocześnie mnie podziwiał i nienawidził, załatwił mi pracę portiera. Zostałem więc na uczelni i stałem się niewidzialny.

I co z tego? Wielkie rzeczy. W każdym razie dostałem nauczkę w dziedzinie alchemii: złoto spełnia rolę katalizatora w procesie przemiany tego, co cenne, w śmieci, i wszystko ulega zmianom. Czego jeszcze się nauczyłem? Jak przenosić ciężkie przedmioty, jak zamiatać podłogi, sprzątać i stać całkiem nieruchomo w milczeniu przez trzy godziny tak, by nikt mnie nie zauważył. Same pożyteczne rzeczy, które znacznie bardziej przydały mi się w późniejszym życiu, niż nauki wyniesione z wykładów. Uważam, że jesteśmy sumą wszystkich zdarzeń, które się nam przytrafiają, tych dobrych i tych złych. Naturalnie jest to podejście alchemika, traktującego ludzi jak mieszaninę składników, które poddano działaniu różnego rodzaju procesów. Chodzi o to, że usunięcie jednego ze składników, nawet, a może szczególnie, jeśli jest niestabilny lub szkodliwy, zmienia rezultat końcowy. Jeżeli eksperyment się powiedzie, trudno stwierdzić, że któryś ze składników lub procesów był zły. A jeśli

rezultatem jestem ja... cóż, dobro i zło to z definicji pojęcia nienaukowe. Liczy się przede wszystkim cel eksperymentu i to, czy się uda.

Przyjmując dowolne, w miarę rozsądne kryteria, Fokas był udanym eksperymentem. Zaczął jako śmieć, a z tygła wyszedł jako czyste złoto. Ktoś inny na jego miejscu uczciłby tę nagłą, niespodziewaną przemianę w prawowitego następcę szaleńczą masakrą wszystkich, którzy go wyśmiewali i nim gardzili, gdy był nikiem, co równałoby się starciu w proch dziewięćdziesięciu procent uniwersytetu w Elpis. Tym właśnie rodzina Fokasa zajmowała się całymi wiekami i najwyraźniej nikt nie miał im tego za złe. Ale Fokas był inny. Wybaczył swoim wrogom i wynagrodził przyjaciół, za wyjątkiem mnie. Nie zrozumcie mnie źle. Chciał pomóc. Naprawdę próbował się dowiedzieć, co się ze mną stało. Ale do tego czasu mój opiekun naukowy już nie żył (dżuma; co prawda z Elpis obeszła się dość łagodnie, ale on akurat był jedną z ofiar), a wszyscy pozostali mieli gdzieś moje losy. Pracowałem więc dalej jako portier, korzystając z biblioteki, gdy studenci spali lub pili, nie mając zielonego pojęcia, że Fokas mnie szuka, aż wpadłem w drobne tarapaty i musiałem wyjechać z miasta.

Historia będzie miała do powiedzenia o Fokasie całe mnóstwo dobrych rzeczy – jak to, że ograniczył władzę prowincjonalnej arystokracji, zakończył wojnę z Ammagenem i opanował finanse publiczne. Historia niewątpliwie będzie go wielbić. Bez względu na to, która opcja zyska przewagę, znajdzie dla siebie swój kawałek Fokasa. Optymacy będą podziwiać to, jak pozbawił władzy gildie zawodowe i wsparł wolny handel, a skrajni ludowcy będą go czcić za przepisy w zakresie opieki społecznej i reformy ziemskie. W nieskończoność będą się rozwodzić nad tym, jaki naprawdę był jego program oraz po czyjej tak naprawdę stał stronie i nigdy nawet na splunięcie nie zbliżą się do prawdy, gdyż historia nie przyjmuje do wiadomości możliwości, że wielkie wydarzenia i dalekosiężne zmiany mogą wynikać z faktu, iż pewnego razu rządził sobie władca absolutny, który po prostu nie mógł się zdecydować. Zawsze miał dobre zamiary. Trzeba przyznać, że dopisało mu trochę więcej szczęścia niż podobnym altruistom i dążąc do spełnienia tych dobrych zamiarów, udało mu się nie wyrządzić wszystkiemu i wszystkim dookoła nieodwracalnych szkód. Prawda jest taka, że był prostodusznym, z gruntu przyzwoitym kolesiem, urodzonym z dala od niebezpiecznych, arystokratycznych kręgów, który robił co mógł, by wszystkie sprawy toczyły się spokojnie własnym biegiem i nie przeszkadzały mu w realizacji nadrzędnego celu jego życia. A było nim odkrycie, czy raczej sponsorowanie odkrycia sekretu przemiany metalu nieszlachetnego w złoto. Jeśli kiedykolwiek usiądę, by skończyć „Republikę idealną” (zacząłem ją pisać dziesięć lat temu, zaliczkę już dawno przepuściłem), będę go musiał tam jakoś upchnąć jako wzorzec autokraty: człowiek, którzy rządzi dobrze, bo tak naprawdę nie chce rządzić wcale.

* * *

– Cześć, Fokas – rzuciłem.

Podniósł na mnie wzrok znad papierów, które czytał.

– Co to wszystko do cholery miało znaczyć? – spytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Przepraszam – powiedziałem. – Myślałem...

– Nie – warknął – sęk w tym, że nie myślałeś. Cholera, napisałem do ciebie. A podobno jesteś taki bystry.

Usiadłem. Strażnikowi się to nie spodobało, ale Fokas nie zwrócił uwagi.

– Bo widzisz – kontynuowałem – przyszło mi do głowy, że być może będziesz, no wiesz, winił

mnie...

– No naprawdę. – Posłał mi pełne urazy i złości spojrzenie. – Od jak dawna się znamy?

– Przepraszam – powtórzyłem. – Spanikowałem, dobra? Stało się i po prostu musiałem uciec, chciałem się znaleźć jak najdalej stąd. A potem zrozumiałem, że to się może wydać podejrzanym. I pomyślałem...

– Pomyślałeś, że jak uciekniesz, to uznają, że ją zabiłeś. – Pokręcił głową, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że ktoś może być aż tak głupi. – Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Ale serio, na litość boską, Nino, musiałeś wysadzać ten pierdolony mur?

Uraczyłem go uśmiechem zmieszanego idioty.

– Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Niesamowite. – Uśmiechnął się. – Bo widzisz, ktoś mógł zginąć. I wtedy dopiero byś się wpakował w niezłe szambo.

Zwiesiłem smętnie głowę.

– Nie myślałem logicznie.

– Już za samo posiadanie tego świństwa idzie się na stryczek. Wiesz, że więcej nie mogę dla ciebie zrobić. – Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. – Jak do tego doszło? – spytał.

Powiedziałem mu. Gdy opisywałem, jak zmarła jego siostra, zamknął oczy i odwrócił głowę, ale tylko na chwilę. Jako dziecko podobnie zareagowałem, kiedy matka zabiła kurczaka. Rzecz w tym, że zjadłem go potem na obiad, nawet jeśli nie pochwalałem morderstwa. Niektóre paskudne czyny są konieczne.

Potem się otrząsnął niczym mokry pies i spytał:

– Czemu jej nie ostrzegłeś?

– Słucham?

– Żeby tego nie piła.

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

– Sądysz, że by mnie posłuchała?

– Nie – przyznał. – Pewnie nie.

– Poza tym – mówiłem dalej – wszystko stało się tak szybko... I chyba myślałem, że nie jest na tyle głupia, by wejść do laboratorium i wypić całą zlewkę jakiejś mikstury, nie pytając najpierw, czy to bezpieczne.

Zainteresowało go to.

– Więc tylko...

– Spytała mnie, co to. Podałem jej składniki. I zanim się obejrzałem...

– Aha. – Skinął. – Teraz rozumiem. Na podstawie składu uznała, że wie, co to. Moja siostra zawsze miała o sobie wysokie mniemanie.

– Była dobrym uczniem – stwierdziłem. – Cholernie dużo się nauczyła.

– I to ją zabiło – powiedział cicho jak ktoś, kto w końcu wygrał partię szachów, która przestała go interesować jakiś kwadrans wcześniej. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to doskonały argument przeciwko edukacji kobiet. Myślała, że wie, co to jest i postanowiła to wypić pomimo ostrzeżenia, by tego nie robiła. Zwykły brak cierpliwości. Już w dzieciństwie taka była. Zawsze chwyciła ciasteczka miodowe, gdy tylko służący wnieśli talerze.

– Gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie...

– Naturalnie. – Uniósł dłoń. Koniec tematu. – No cóż – rzucił – chyba możemy o tym zapomnieć. Wydaję oświadczenie, że moja siostra zmarła z przyczyn naturalnych. No i oczywiście trzeba będzie urządzić pogrzeb państwowy, będziesz przewodził uroczystościom żałobnym. Przykro mi – dodał –

wiem, że nie przepadasz za tego typu oficjalnymi wydarzeniami.

– Nie przejmuj się tym – odparłem. – Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Przygotowania zajmą tydzień – kontynuował. – A tymczasem..

Nie musiał kończyć. Trzeba wracać do pracy, bo dość czasu już zmarnowałem. Naprawdę nie traktowałem tego jako kary. Naprawdę wierzył, że lubię się tym zajmować.

Wstałem.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale ktoś musiał ci pomagać. Jak inaczej byś zdobył cały ten sprzęt? Wiesz, że między nami wszystko gra, ale muszę wiedzieć, kto udzielił ci pomocy. Muszę podrzucić kogoś Prefektowi, inaczej całymi miesiącami będzie mi zatruwał życie.

Z powrotem usiadłem.

– Mam swoje kontakty – przyznałem.

– Tak, to już wiem. – W jego oczach czaił się chłód. Znałem to spojrzenie. – Przykro mi, ale potrzebne mi będą nazwiska.

– Gildia Złodziei – powiedziałem.

Oczy rozszerzyły mu się lekko ze zdumienia.

– Więc jednak istnieje – rzucił.

– Oczywiście, że istnieje – skłamałem. – I bardzo mi przykro, ale...

Wzruszył ramionami.

– Ryzykujesz życiem, oczywiście. Dobra, zapomnij o tym. Skoro już wiem, że Gildia Złodziei naprawdę istnieje, może się tym zająć straż. Dziękuję – dodał. – Naprawdę mi pomogłeś. – Zmarszczył brwi. – Czy ja cię właśnie w coś wpakowałem? – spytał. – Jeśli tak, mogę zapomnieć o tym, co mi właśnie powiedziałaś...

– Wszystko w absolutnym porządku – stwierdziłem. – Zakładamy, że od lat o nas wiesz.

(Ciekawe, pomyślałem. O śmierć siostry zapytał jak pyta się o zdrowie upośledzonej małżonki współnika, ale potwierdzenie istnienia Gildii Złodziei naprawdę go zaintrygowało. Ciekawe, co bym zobaczył, gdybym był świadkiem powiadomienia go o śmierci Eudoksji?).

– Kiedy? – spytał.

Właśnie się podnosiłem, gotowy wyjść.

– Trudno powiedzieć.

– Spróbuj.

Wzruszyłem ramionami. Był to gest człowieka bez najmniejszego zmartwienia, na który nikt nie mógł się nabrać.

– Naprawdę nie potrafię powiedzieć. To może potrwać sześć tygodni, miesiąc albo...

– Sześć tygodni.

– Albo sześć lat – odparłem – wszystko zależy od tego, czy mi się poszczęści. Jeśli będę miał szczęście, skończę już jutro. A jeśli nie, nie uda mi się nigdy. No i trzeba brać pod uwagę możliwość, że to zwyczajnie niewykonalne.

Uśmiechnął się do mnie.

– To samo słyszę od budowniczych dróg – stwierdził. – Dokładnie wiedzą, ile potrwa budowa drogi z miasta do portu, ale kiedy ich o to pytam, zawsze dodają jakieś dwa miesiące. A kiedy prace kończą się w terminie, który przewidywali od początku, żądają premii za skończenie przed czasem. Daj spokój, Nino. Kiedy?

– Sześć tygodni.

– Tak też sądziłem. – Uśmiechnął się, a ktoś za moimi plecami otworzył drzwi. – W takim razie

masz sześć tygodni. Trzymam cię za słowo.

* * *

Owszem, jestem największym, żyjącym alchemikiem świata. Nie ma sensu temu zaprzeczać, to byłaby swoista odwrotność przechwałek. Jednakże zwróćcie szczególną uwagę na słowo „żyjącym”.

Weźmy na przykład Laelianusa Pustynnika. Genialny człowiek, który jeszcze podczas studiów w Faenorze udoskonalił *lachrymae dei* i jako pierwszy na świecie rozdzielił srebro na jego cztery aspekty – poznałem go w Elpis, choć nasza znajomość nie trwała długo. Albo taki Herreniusz, który całkowicie zmienił nasze rozumienie reintegracji humorów. Gdyby jeszcze żył, niegodzien byłbym nosić za nim notatek. Nie mówiąc już o Gordianusie Secundusie. O, tego to chciałbym poznać, ale gdy dotarłem do Paraprosdocji, już nie żył. Codrinus...

No, nieważne. Interesuje to tylko kolegów po fachu. Chodzi o to, że żyjemy w złotym wieku alchemii (gra słów niezamierzona). Przez ostatnich piętnaście lat dokonano większej liczby epokowych odkryć niż wcześniej przez dwa stulecia. A jeżeli chodzi o geniuszy obdarzonych prawdziwie wyjątkowymi umysłami, to przy najsurowszych kryteriach oceny trzeba by ich wymienić co najmniej dwa tuziny. I tu ciekawostka – z tych dwóch tuzinów żaden nie przeżył więcej niż trzydzieści trzy lata.

Ja miałem wówczas trzydzieści dwa. Trzydzieści dwa lata i jednaście miesięcy.

* * *

Jakiś czas temu zapanował szal na kopie słynnych obrazów, no wiecie, typu: „Sąd nad Timajosem”, „Bitwa pod Sineo”, „Dziewczyna z białą gołębicą”. Kopie były dokładne poza jednym, opuszczonym szczegółem – dzbanem w „Sądzie”, królewską tarczą w scenie bitwy lub lewym kolczykiem dziewczyny. Chodziło o to, by powiesić obraz nad swoim miejscem podczas uroczystej kolacji i z rozbawieniem obserwować miny gości próbujących odkryć, co jest nie tak.

Cóż, brakującym elementem w „Warsztacie Salonina Alchemika” było ciało kobiety. Od razu to zauważyłem. Równie dobrze w ziemi można by zrobić dziurę, przez którą widać gwiazdy po drugiej stronie.

– Dzięki, panowie – rzuciłem do strażników, którzy wepchnęli mnie do środka. – Stąd już sam trafię.

Gdy zaczyna się rzucać bon moty do żołnierzy, kiepsko rokuje to na przyszłość. Drzwi trzasnęły, a ja osunąłem się na ziemię i zacząłem drzeć. Ale nie tak jak zazwyczaj. Myślę, że chodziło o zamknięcie w pomieszczeniu z czymś, czego tam nie było.

Po chwili jakoś zebrałem się w sobie, wstałem i nawet udało mi się rozpalić ogień. Straciłem rachubę, kiedy ostatnio coś jadłem, ale zwyczajnie nie byłem głodny. Czekaając, aż ogień rozpali się na dobre, podszedłem do szafki i wyjąłem z niej butelkę alkoholu. Czystego, bezbarwnego. Używałem go tylko jako paliwa do palnika spirytusowego. Wziąłem trzy łyki.

Poczułem się jeszcze gorzej.

Cholera, pomyślałem, co teraz?

Jak na ironię, każdy alchemik, mający jakiegokolwiek pojęcie o swoim fachu, zabiłby za tak wyposażone laboratorium. Posiadałem tu absolutnie każdy z instrumentów, jakie mogą wam przyjść do głowy i na dodatek wszystkie najwyższej jakości, a do tego szeregi butelek i słoików ustawionych niczym żołnierze podczas parady oraz wszelkie rzadkie i mało znane składniki, łącznie z takimi po

sto dukatów za uncję, a droższymi na czarnym rynku (problem w tym, że były tak rzadkie, iż każdy w branży natychmiast by się połapał, skąd pochodzą). W razie gdybym potrzebował jakiegoś specjalistycznego instrumentu, wystarczyło walnąć w drzwi i wręczyć strażnikowi szczegółowy opis, a on zabrałby go do ślusarza czy dmuchacza szkła i następnego dnia miałbym potrzebny sprzęt u siebie. Koszty nie miały znaczenia. Nieograniczona pula na badania naukowe. Naprawdę wierzę, że jeśli istnieje piekło, człowiek dostaje w nim to, czego zawsze pragnął.

Miałem sześć tygodni na odkrycie sekretu przemiany metalu nieszlachetnego w złoto. To niemożliwe. Sięgnąłem na najwyższą półkę regału i zdjąłem z niej „Sztuki różnorodne” Polikratesa. Rozdział szósty, strona dziewiętnasta, akapit czwarty. Przemiana metalu nieszlachetnego w złoto.

Trudno, pomyślałem.

Wpierw weź sól kuchenną (na stanie) i witiol (całe mnóstwo), wymieszaj szklaną laską. Zrobione. Następnie weź *aqua fortis* (mam jej całe wiadra). Zmieszaj *aqua fortis* z solą i witiolem, tworząc *aqua regia*. W przeciwieństwie do mnie, problem z Polikratesem polegał nie na tym, co napisał, a co często było prawdą, ale na tym, co pomijał. A były to takie drobnostki jak: „substancja bardzo wybuchowa”, „powstanie duża ilość toksycznego gazu” albo „na litość boską, zrób to na bloku lodu”. Na szczęście Onesander z Fyli wypróbował ten przepis ze mną niedługo po tym, jak po raz drugi opuściłem Elpis, więc mniej więcej wiedziałem, co robić. Wspaniały człowiek był z tego Onesandra i zbrodnią przeciwko nauce było powieszenie go za emisję fałszywych monet o nominale sześciu dukatów. Prawda jest taka, że jego monety były o trzy punkty czystsze od rządowych, wyobrażacie sobie? Z tego co wiem, obecnie są bardzo poszukiwane przez jubilerów.

Po trzech czy czterech etapach procesu należy zanurzyć w miksturze róg lnianej serwetki i ją podpalić. Niepokojące, delikatnie rzecz ujmując. Miałem ogromne szczęście, że prawdziwy ekspert pokazał mi, jak to zrobić (w liście gończym Onesander został opisany jako „wysoki mężczyzna bez brwi”, co było na tyle dokładną charakterystyką, że trafił do aresztu trzy dni po tym, jak wywieszono list na drzwiach Świątyni). Na wszelki wypadek napełniłem dużą miednicę wodą i zanurzyłem w niej głowę. Gdy serwetka spłonęła, ostrożnie zebrałem popiół do słoja i za pomocą miecha roznieciłem ogień, by uzyskać jak najwyższą temperaturę.

Czas na tygiel, który do połowy wypełniłem drogimi, miedzianymi gwoździami (cholerne marnotrawstwo, ale są niemal z czystej miedzi, no i nie ja za nie płacę). Żeby je stopić, musiałem zużyć większość półcietnarowego worka węgla drzewnego. Następnie wlałem stopiony metal do maleńkiej formy na pięć sztabek i odłożyłem ją, by ostygła. Okazało się, że butelka *aqua tollens* jest pusta, co strasznie mnie zirytowało, gdyż musiałem przygotować składnik od podstaw: dodać sól do wody, a drobno sproszkowane srebro do *aqua fortis*; następnie zmieszać wszystko w szklanym naczyniu, by powstał brązowy osad, a potem dolewać naparu z rogów jelenia, aż osad zniknie i tym samym powstanie *aqua tollens*. Nim skończyłem, małe sztabki miedzi były na tyle chłodne, by można je było wyjąć z formy. Weź jedną sztabkę szczypcami, zanurz ją powoli w *aqua tollens*; odczekaj pięć minut i wyłów sztabkę, obmyj ją z *aqua tollens* i delikatnie osusz. I mamy platerowaną srebrem sztabkę miedzi. Naturalnie nieco uprościłem i zafałszowałem przepis (bo gdybym wam powiedział, jak naprawdę to zrobić, moglibyście to wykorzystać, wysadzając mnie i moich braci z interesu).

Cztery sztabki miedziane, jedna srebrna. Założyłem rękawiczkę z kozłej skóry, wysypałem troszkę popiołu ze spalonej serwetki na czubek palca wskazującego i zacząłem delikatnie go wcierać w pokrytą srebrem sztabkę. Proces ten zachodzi tak wolno, że w pierwszej chwili nie widać rezultatów, chyba że światło lampy padnie na metal pod właściwym kątem. To długotrwałe, żmudne zajęcie i kiedy już się zaczyna rozpaczać w przekonaniu, że nic z tego, pocierana powierzchnia srebra nabiera niezaprzeczalnie żółtego odcienia. To przywraca wiarę w sens przedsięwzięcia i trze się sztabkę

dalej, aż popiół się kończy, a palce drętwieją, aleza to srebrna sztabka przybiera głęboki, ciepły, miodowy kolor złota.

Bułka z masłem, serio.

Kiedy pracuję, tracę poczucie czasu, więc nie miałem pojęcia, ile to trwało. Doświadczenie podpowiadało mi, że sześć godzin, ale trzeba wziąć pod uwagę, że miedź topiła się nieznośnie wolno, a z kolei popiół zadziałał szybciej, niż się tego spodziewałem. Na jedno wychodzi. Niekiedy czas topnieje, płynie i ścina się, tworząc twardą skorupę wokół płynnego środka.

Ostrożnie odłożyłem wszystkie butelki i słoje, by nikt myszkujący po laboratorium nie zorientował się, czego używałem, po czym zamknąłem Polikratesa i z wdzięcznością odłożyłem go na półkę.

Nalałem wody do szklanej zlewki, po czym dodałem kropelkę soku jagodowego, przemieniając ją w nieszkodliwy, obojętny błękit; następnie umieściłem złotą sztabkę w zlewce, a obok ułożyłem stosik z czterech sztabek miedzianych. Potem wziąłem ze stojaka czterofuntowy młotek kowalski, starannie owinałem obuch kawałkiem tkaniny i wałęnałem pięścią w drzwi. Rozległ się charakterystyczny zgrzyt zamka i drzwi stanęły otworem. Tego strażnika nie znałem. Próbowałem wyjrzeć na korytarz, ale zagroził mi drogę.

– Potrzebuję kilku rzeczy – oznajmiłem.

Skinął głową.

– Co?

– *Sal regis, furor diaboli, radix pedis dei, nasycona sal draconis* w wiotriolu...

Posłał mi gniewne spojrzenie, które skwitowałem uśmiechem.

– Wejdz – powiedziałem. – Zapiszę ci to.

Odszedł z kawałkiem pergaminu, drzwi się zamknęły, zamek zgrzytnął. Odwróciłem czterominutową klepsydrę i odczekałem, aż cały piach się przesypie. Następnie ponownie zapukałem do drzwi.

Strażnik wsunął głowę do środka.

– Czego? – spytał, na co wałęnałem go młotkiem. Runął na ziemię niczym jabłko spadające z drzewa. Policzyłem do sześciu i ostrożnie otworzyłem drzwi. Laboratorium nigdy wcześniej nie pilnowało więcej niż dwóch strażników, ale zawsze musi być ten pierwszy raz. Na szczęście nie tym razem. Wciągnąłem strażnika do środka, wymknąłem się na korytarz, delikatnie zamknąłem za sobą drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Miałem co najwyżej godzinę, może nieco więcej, na pewno niewiele mniej. Jak daleko zdołam dotrzeć przez godzinę?

* * *

Naukowcy słyną ze swej czystości, a życie zawodowych przestępców nie pozostawia wiele czasu na romanse, więc nie będziecie zaskoczeni, gdy wam powiem, że tak naprawdę byłem w życiu zakochany tylko raz.

W zupełności by mi to wystarczyło, gdyby sprawy potoczyły się nieco inaczej. Była idealna – piękna, mądra, dobra, zabawna i delikatna. Przebywanie z nią, bez względu na okoliczności, było czystą radością. Na dodatek kochała mnie niemal tak bardzo jak ja ją, ale najbardziej na świecie kochała filozofię (co podobało mi się jeszcze bardziej niż fakt, że kochała mnie). Gdyby nie ona, nigdy nie napisałbym „O formach i substancjach”. W cudowny sposób potrafiła mnie zmusić do myślenia – wystarczyło, by subtelnie zmarszczyła brwi lub nieznacznie je uniosła, a nagle potrafiłem przejrzeć pewniki na wylot, docierając do sedna problemu. Dzięki niej zrozumiałem, że wcześniej liczyło się dla mnie wyłącznie pilnowanie, by wrogowie nie mogli mi udowodnić, że się mylę, czyli

innymi słowy zwycięstwo. A potem pojawiła się ona, przez co świat uległ zmianie i zamiast pokonania przeciwnika zaczęło się liczyć dotarcie do prawdy...

Była idealna. No prawie. Gdybym mógł, zmieniłbym w niej tylko jedno. Miała męża. I był nim książkę Fokas.

Z przykrością stwierdzam, że doprowadziło to do kłótni między mną i moim starym kumplem z roku. Nie pierwszej i z pewnością nie ostatniej. Uznał, że zawiodłem jego zaufanie, nie wspominając już o karygodnym cudzołóstwie i zdradzie stanu. Rozumiałem, co ma na myśli, przyjmując jednocześnie do wiadomości, że w danych okolicznościach i biorąc pod uwagę fakt, iż jest głową państwa oraz źródłem wszelkiej sprawiedliwości, nie miał wyjścia, jak tylko pozwolić prawu działać. Nie potrafiłem mu tylko wybaczyć, zresztą nadal nie potrafię, że to nie mnie postawił przed sądem.

Dobrze o nim świadczy, że wystąpił w jej imieniu z apelem o łaskę. Niestety w panującym wówczas klimacie politycznym, nie mógłby zrobić nic gorszego, nawet gdyby bardzo chciał. Wszystkich sześciu sędziów było skrajnymi ludowcami i to przesądziło sprawę. Były takie chwile, podczas gorszych dni, kiedy się zastanawiałem, czy wystosował apel celowo wiedząc, że sędziowie z czystej złośliwości wydadzą wyrok śmierci. Ale nie, nie sądzę. Bez wątpienia kochał żonę, a jej utrata, szczególnie w ten sposób, złamała mu serce. Co też mnie nieszczególnie pocieszało. Moja miłość ją zabiła, nic dodać, nic ująć. Fokas był tylko bronią, której użyłem.

Ona zginęła, ja przeżyłem. Fokas zmusił swego głównego śledczego, by zeznał pod przysięgą, na majestat Niezwycięzonego Słońca, że nie udało mu się ustalić tożsamości cudzołożnika. Sędziowie (z których dwóch już nie żyje, a pozostała czwórka będzie musiała poczekać, aż znajdę chwilę wolnego czasu) oznajmili, że mogą wydać zgodę na torturowanie podsądnej, by wydobyć z niej imię kochanka, jeśli tylko sądzi, że się uda. Pamiętam, że zbladł jak ściana i wymamrotał, że nie, nie sądzi, by tortury okazały się w tym przypadku skuteczne. Sędziowie skwitowali to wzruszeniem ramion, jakby chcieli powiedzieć: „cóż, jeśli takie twoje zdanie” i bez zajknięcia ogłosili wyrok.

Przyglądałem się temu z okna na piętrze. Pamiętam, że była spokojna i opanowana aż do chwili, gdy zaczęli ją wiązać na stosie. Gdy chwycili ją za nadgarstki, całkiem się załamała, była przerażona i aż czterech silnych mężczyzn musiało ją przytrzymywać. Podłożyli sporo mokrego drewna, więc udusiła się dymem, nim dosięgły jej płomienie. To pewnie ogólnie przyjęta praktyka i jedna z tych drobnych rzeczy, za które powinniśmy być wdzięczni losowi.

Strasznie nie lubię marnować niczego przydatnego, więc gdy przyszła moja kolej na wygłoszenie wykładu w Studium imienia Onesandra, wykorzystałem jej śmierć do prezentacji modelu teorii alchemicznej. Składała się, zacząłem mówić, jak wszystko inne z ziemi, powietrza, wody i ognia, połączonych w odpowiednich proporcjach i utrzymywanych w równowadze przez *vis minor*, która według Filostenesa pochodzi z ruchu Niezwycięzonego Słońca po orbicie wokół Ziemi. W chwili wykonania wyroku śmierci, dodatkowe, zewnętrzne działanie ognia zaburzyło *vis minor*, pozwalając zewnętrznemu ogniewi dotknąć żywiołów, z których się składała i wejść z nimi w reakcję. Jej ziemia została pochłonięta i przemieniona w *res iners polycratis*. Woda wyparowała, łącząc się z nadrzędną częścią zewnętrzną. Powietrze zostało wypchnięte przez *vis major* i rozwiane, a wewnętrzny ogień wchłonięty przez ogień zewnętrzny, tworząc *ignis nobilis*, który to proces asymilacyjny bądź komunikacyjny jest analogiczny do ekstrakcji żywego srebra z amalgamatu.

Czego, spytałem, możemy się z tego nauczyć? Podczas transmutacji, w tym przypadku jej ciała w kości i prochy, dochodzi do wymiany poprzez utratę, jako że prochy ważą zdecydowanie mniej niż niespalona tkanka, a także komunikacji poprzez zmianę, w której to ciało (materia miękka) i kości (materia twarda) zostają przemienione przez działanie i przetworzenie w prochy (nietrwałą, słabą

materię rozpuszczalną w wodzie i łatwo porywaną przez powietrze). Tym samym widzimy, że ziemia jest zasadniczo słabym i podatnym na zmiany żywiołem dawcą. Dla odmiany, gdy dochodzi do parowania wody, zachodzi przekazywanie poprzez ciągłość i tak jej woda stała się parą, która uleciała, by w końcu połączyć się z innymi waporami w chmurach i we właściwym czasie powrócić do niższych warstw za pośrednictwem deszczu; stąd też ciągłość, gdyż woda nigdy nie zostaje stracona i, choć zdolna jest do przemian, ostatecznie pokonuje transmutację dzięki swej pamięci. Przechodząc do jej powietrza, którym był oddech w płucach oraz innych miejscach, pustych w chwili śmierci, usunęło je zwykłe wypchnięcie poprzez podgrzanie w zasadniczo niezmiennym postaci (choć z dyskusyjną strukturą, zalecam lekturę prac Brunellusa o postaciach powietrza), tak więc przekazanie polegało wyłącznie na przeniesieniu go z jednego miejsca w drugie; dlatego też określamy powietrze mianem *elemens invicta*, gdyż zwykłe przetworzenie pozostawia je nietkniętym. Jeżeli chodzi o ogień, dowodziłem, to zupełnie inna sprawa. W toku wiadomego wydarzenia (w tym momencie mój głos nieco zadrżał), doszło do spotkania ognia zewnętrznego z wewnętrznym, które połączyły się w procesie zbliżonym do aktu miłosnego, związku lub prawdziwego zespolenia, i w trakcie tego procesu ogień wewnętrzny i zewnętrzny stworzyły nierozdzielalną całość, płonąca na zewnątrz i od środka, a w miejsce dwóch powstał jeden. Dlatego też, mówiłem dalej, to ogień ma wśród żywiołów siłę sprawczą i to ku ogniu musimy się zwracać. To w ogniu wszystkie rzeczy mają swój początek (*ignis genitiva* Marcellusa) i swój koniec (*ignisferalia*, jak postulował Caesura, choć zalecam lekturę Ammianusa, który przedstawia zgoła odmienną interpretację), tylko poprzez ogień mogą dokonywać się inne procesy, tylko poprzez ogień w jego niszczyielskich i doskonalących aspektach możemy osiągnąć nasz cel: *transmutatio vera*, transmutację prawdziwą, przemianę jednego żywiołu w inny.

Rzecz jasna nie wszyscy się z tym zgadzali, ale sądzę, że miałem pewną słuszość. Schrzaniłem fragment, w którym zacząłem łączyć *vis mutationis* z ludzką miłością, a proces palenia z transmutacją miłości w nienawiść lub poczucie winy, nieszczęście, czy ból, analogicznie do rafinowania metali szlachetnych z rud za pomocą żywego srebra. Cóż mogę rzec? To jeden z tych intuicyjnie wyczuwanych związków, których nie można dowieść, a kiedy już raz zyska się w kręgach akademickich opinię człowieka, który kieruje się intuicją, to przechlapane. Nie żeby w tym przypadku miało to jakieś znaczenie. Trzy miesiące po wykładzie przyłapano mnie, jak próbuję uciec tym cholernym frachtowcem przewożącym awokado i to przesądziło sprawę – żadnych więcej wystąpień publicznych, wywalili mnie z katedry i wróciłem do laboratorium pilnowanego przez dwóch strażników. Historia mojego życia, serio.

* * *

Wyszedłem więc na korytarz. W prawo czy w lewo? Wybrałem w lewo. Wtedy wydawał się to niezły pomysł.

Korytarz prowadził obok apartamentów pomniejszych dygnitarzy państwowych (gdzie wrzucali ambasadorów, attache handlowych, adwokatów apelantów w sprawach cywilnych, nieistotnych wasali i ubogich krewnych) na tyły budynku lub schody kuchenne, biegnące dwa piętra w dół na dziedziniec stajenny, skąd przy odpowiedniej zręczności można wspiać się po murze obronnym na dach kaplicy; stamtąd po rynnie można zejść do ogrodu klasztornego, zwędzić szatę ze składu i stać się jednym z wielu braci snujących się po placu przed kaplicą. Tak uciekłem przedostatnim razem, a ostatnim dotarłem jedynie przed kapitularz, gdzie schwytali mnie wiadrogłowi i zaciągnęli z powrotem do pałacu. Dlatego pewnie sądzili, że więcej nie wybiorę tej drogi.

Najważniejsze, by nie biec. A to trudne. Człowieka kusi, by poruszać się najszybciej jak to możliwe, dopóki może się przemieszczać swobodnie. Jednakże odgłosu biegu nie można pomylić z żadnym innym, a po pałacu zazwyczaj nikt nie biega. Szedłem więc korytarzem z rękami w kieszeniach, starając się sprawiać wrażenie niższego rangą funkcjonariusza, któremu nieszczególnie się spieszy podczas drogi z biura do archiwum lub z jednego posterunku na drugi. Liczy się przede wszystkim autentyczność. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Przeszedłem trzy czwarte długości korytarza, gdy mych uszu dobiegły kroki zmierzające w przeciwnym kierunku. Podłogi wyłożone są wiekowymi, dębowymi deskami; trudno nie narobić hałasu, chyba że ma się kapcie na nogach. Pozostało mi tylko jedno. Otworzyłem pierwsze lepsze drzwi i wślizgnąłem się do środka.

Znalazłem się w łazience. Fokas miał niegroźną obsesję na punkcie czystości, więc w skrzydłach mieszkalnych na każdym kroku napotykało się łazienki. Całe szczęście, pomyślałem. Wskoczyłem za wannę i przykucnąłem, czekając, aż kroki ucichną.

W powietrzu unosił się charakterystyczny, naprawdę intensywny zapach (musiał być intensywny, inaczej bym go nie poczuł; nie można przez znaczną część życia obcować z olejem z rogów jelenia czy podobnymi, ohydnyymi substancjami, zachowując zmysł powonienia). Wydawał mi się znajomy. Cholernie nie w porę dopadła mnie naukowa ciekawość, ale nie mogłem się powstrzymać. Czemu ktoś miałby napełniać wannę miodem?

Zajrzałem do środka.

Leżała naga na plecach, po czubek nosa zanurzona w miodzie. Miała otwarte oczy, a na jej twarzy nadal malowało się łagodne zdumienie, które widziałem, gdy zlewka wyleciała jej z ręki, rozbijając się na podłodze. Włosy miała pozlepiane miodem, neodparcie przywodząc mi na myśl muchę uwięzioną w bursztynie i o to też mniej więcej chodziło. Jak powszechnie wiadomo, miód jest jednym z artykułów najmniej podatnych na zepsucie, stanowi więc doskonały środek konserwujący. Wystarczy zanurzyć kawałek mięsa – którym w danej chwili była Eudoksja – w czystym, świeżym miodzie, a zachowa się w dobrym stanie niemal na zawsze.

Choć „dobry” to tylko określenie porównawcze, którego nigdy bym pochopnie nie użył w stosunku do mojej świętej pamięci żony. Z drugiej strony, leżąc tak zatopiona w płynnym złocie, walczyła z rozkładem i bez wątpienia wygrywała tę walkę. Ciało ani trochę się nie skurczyło, usta nie wyschły, a uszy i końce palców nie napuchły, jak to zazwyczaj dzieje się z ciałami po śmierci. Jeśli doszło do jakiegokolwiek zniekształcenia, wynikało jedynie z załamania światła w gęstej, złotej cieczy, które raczej wygładzało niż zaginało linię jej szczęki oraz krzywiznę nosa i brwi. Muszę przyznać, że była równie piękna jak zawsze i prawdopodobnie taką miała już pozostać, a przecież właśnie tego zawsze pragnęła – zamrożenia swej młodości w złotej kąpeli, chroniącej ją przed *vis mutationis*, słabością ziemi, złośliwością wody, nękaniami powietrza i przemożnym naporem ognia. Myślę, że wszystko sprowadza się do tego, czego pragniemy i ile jesteśmy gotowi za to zapłacić. W jej przypadku ceną była śmierć, ale prawdę mówiąc nigdy za wiele nie miała z życia ze względu na nieustanny lęk przed stratą, zmianą, niszczeniem i rozkładem. To wystarczyło, by naszła mnie ochota, żeby natychmiast usiąść i napisać na ten temat rozprawę. W końcu dałem jej, czego pragnęła, eliksir wiecznej młodości, który zaczął działać z chwilą usunięcia jej wewnętrznego ognia (katalizatora zmiany) za pośrednictwem śmierci. Strasznie by się ucieszyła, gdyby tylko mogła to zobaczyć. Ale nie można mieć wszystkiego, a ciało zawsze miało dla niej większe znaczenie niż dusza, z braku lepszego słowa. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. To dopiero alchemia, pomyślałem.

Dość długo stałem, przyglądając się Eudoksji, aż do mojego zakutego łba wreszcie coś dotarło. Kroki, które słyszałem na korytarzu przybierały na sile, dotarły mniej więcej na wysokość łazienki i

ustały. A to znaczyło, że sprawca tychże kroków również musiał się zatrzymać i to dokładnie przed drzwiami. Biorąc pod uwagę obecność zmarłej siostry księcia – a to nie było coś, co zostawia się bez nadzoru – zmuszony byłem wyciągnąć bolesny i upokarzający wniosek. Mianowicie, wiadrogłowy odkomenderowany do pilnowania ciała księżniczki musiał na chwilę zejść z posterunku – za potrzebą czy też z innej przyczyny, nieważne – i wtedy właśnie wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Teraz strażnik wrócił, a ja siedziałem uwięziony własną ręką w łazience, bez żadnych realnych szans na ucieczkę.

Idiota, pomyślałem.

Cóż, zostało mi tylko jedno. Podszedłem do drzwi i wałęsałem w nie pięścią.

Szkoda, że nie było mnie po drugiej stronie, by zobaczyć minę tego biedaka. Strażnik niewątpliwie wiedział, że w pomieszczeniu znajdują się jedynie zwłoki kobiety. Dlatego natarczywe pukanie od środka... Cóż, do czasu, gdy otworzyłem drzwi najwyraźniej zdążył się pozbierać, gdyż jego wyraz twarzy nadawał mu charakterystyczny dla wiadrogłowych wygląd wypchanego zwierzęcia wiszącego nad kominkiem. Naturalnie mnie rozpoznał. Wszyscy mnie tam znali.

– Przepraszam – rzuciłem. – Musiałem gdzieś źle skręcić. Może mógłbyś mnie pokierować do tylnych drzwi?

Trawił moje słowa wystarczająco długo. Naprawdę nienawidzę bić wiadrogłowych. W przypadku chybienia strażnik nie pada znokautowany, można też sobie rozorać skórę na knykcjach o ostrą krawędź stalowych nauszników. Na szczęście tym razem trafiłem. Osunął się na kolana z głuchym stęknieniem. Przekroczyłem go i rzuciłem się do ucieczki.

* * *

Tak naprawdę tylko zabijałem czas. Dotarłem aż do stróżówki przy bramie głównej. Jest tam swego rodzaju wnęka na worki pocztowe. Wepchnąłem się tam i naciągnąłem na siebie jeden z worków pilnując, by nie zdradziła mnie wystająca stopa czy łokieć. Pora przemyśleć kilka spraw.

Według mnie czas, jak już chyba wspominałem, topi się. Ma ciekłą postać (*aqua temporis?*), sączy się i przenika niczym wodnisty olej mineralny, tworzy kałuże i rozlewa się pod wpływem ciepła (działanie ognia, patrzcie wyżej, *passim*). Wystarczy pozbawić go wpływu ognia, a ścina się niczym gorący tłuszcz w rondlu i jako ciało stałe przechodzi wolną transformację w brejowatą maź, w której można utknąć. Czas rozlewał się w kałuże i krzepnął, a ja stałem skulony w worku, którego szorstkie, konopne włókna drapały mnie w policzek, odmawiając sobie możliwości ruchu. Nienawidzę czekać. Czuję upływ czasu i czasem próbuję się nabrać, że płynący czas to transmutacja rozkładu, wymiana poprzez utratę; składniki kurczą się lub giną, a to, co zostaje z definicji jest trwałe, czyli doskonalsze, pożądane. Teoretycznie można rafinować złoto, zostawiając je po prostu na zewnątrz i czekając, aż deszcz i wilgotne powietrze spowoduje korozję zanieczyszczeń, zostawiając tym samym czysty kruszec. Ale jakoś nikt tego nie robi. Bo ktoś taki jak ja mógłby przyjść i je ukraść.

Zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę muszę to robić?

W końcu mnie znaleźli.

* * *

Wyobraźcie sobie taką scenę: Fokas i ja jeszcze na uniwersytecie, dwóch młodych, inteligentnych pijaków, zataczających się w wąskiej alejce po tym, jak wyrzucono ich z „Boskiej Wyróżniałości”, właśnie pracujących na wyrzucenie z „Życzliwości i Sprawiedliwości Społecznej” (z

„Wyrozumiałości” można wylecieć za oddychanie w niewłaściwy sposób, a przynajmniej tak było wówczas, ale żeby zostać wykopanym z „Życzliwości”, naprawdę trzeba się było postarać).

Rozmawiamy jak to studenci – za głośno, za szybko, z głębi serca o rzeczach, które znamy tylko z teorii, nie mając zielonego pojęcia o dowodach naukowych i praktyce.

– Choć to cholernie dobry sposób na zabicie kasy – chyba powiedziałem.

– Alchemia – parsknął, jak potrafią tylko pijani.

– Nie żeby to było możliwe – wytknąłem. – To niewykonalne.

– Nie bądź taki pewien – odparł ponuro. – Ludzie potrafią robić niesamowite rzeczy. Weźmy takie hodowanie bydła. Albo dmuchanie szkła, to jest dobry przykład. To znaczy, kto by pomyślał, że można wziąć piach, taki normalny, z plaży, dowolną ilość, wrzucić go do tygła i bardzo, bardzo podgrzać i nim się obejrzyysz, masz szkło. To znaczy – dodał z głębokim uczuciem – szkło. Niemożliwe.

– Nieprawda – poczułem się w obowiązku zaprotestować. – Szkło to w sumie nic wielkiego. Ludzie codziennie je robią.

– Tak, ale chodzi mi o to, że powinno być niemożliwe – stwierdził. – Coś tak twardego, że można tego dotknąć i stwierdzić, że naprawdę istnieje, a jednocześnie przez to patrzeć i widzieć co jest po drugiej stronie. To niemożliwe. – Przerwał, by odzyskać równowagę, która na chwilę mu umknęła. – To bardziej przypomina cholerną magię niż cokolwiek innego. No nie jest tak?

Wzruszyłem ramionami. Zdążyłem już zapomnieć, o co mu chodziło.

– No i – mówił dalej z grymasem skupienia na twarzy – może tak samo jest w przypadku alchemii. Nieszlachetny złom przemieniony w złoto. To, że teraz nie możemy tego zrobić nie oznacza, że to niemożliwe.

– Ale to jest niemożliwe – odpowiedziałem cierpliwie. – Ze względu na podstawową teorię alchemii.

Splunął. To tyle w kwestii podstawowej teorii alchemii.

– I cholernie dobra robota – oznajmił. – Wiesz co? Jak kiedyś zostanę księciem..

Przerwał, zatrzymał się w pół kroku i z trudem przełknął kilka razy ślinę. Cofnąłem się o krok, rozpoznając symptomy. Jednak tym razem nic się nie stało.

– Jak kiedyś zostanę księciem – mówił dalej – to pierwsze, co zrobię... Chcesz zgadywać?

Pokręciłem głową.

– Co zrobisz?

– Wytropię wszystkich alchemików – powiedział – i powieszę skurczybyków. Bez litości, bez wyjątku. A wiesz dlaczego?

– Oświeć mnie.

– Bo alchemicy to największe potencjalne zagrożenie dla kraju. Serio. Bo – mówił dalej, przecierając oczy kciukiem i palcem wskazującym – jaka jest podstawa dochodów rządowych? System waluty złotej. Dlaczego? Bo złota jest mało. A tu nagle przychodzą jakieś sukinsyny, odkrywają jak przemienić metal w złoto i co mamy? Totalny chaos fiskalny, ot co. Rynek zostaje zalany, złoto robi się bezwartościowe i w kilka godzin miliardy dukatów znikają z gospodarki.

Tak naprawdę nie byłem zainteresowany tematem, ale czułem się w obowiązku prowadzić spór, bo jak się ma tyle lat, jest się studentem i to na dodatek pijanym, prowadzi się dysputy o wszystkim.

– No nie wiem – stwierdziłem. – Chyba cały problem polegałby na zachowaniu tego w tajemnicy. Żeby nikt się nie dowiedział. Wtedy można zebrać tych oswojonych alchemików w piwnicy, żeby pichcili miliony dukatów i tylko ty byś wiedział, że to chłam. Byłbyś bogaty, wszyscy mieliby się dobrze, zero problemów.

Posłał mi paskudne spojrzenie.

– Tak się nie da – stwierdził. – Czegoś takiego nie da się utrzymywać przez dłuższy czas w tajemnicy. W końcu wszystko musi wyjść na jaw i wtedy masz przechłapanie. Jedyne, co można zrobić, to zwabić do siebie wszystkich naprawdę dobrych alchemików za pomocą łąpówek i tego typu rzeczy, a potem naprawdę porządnie ich pilnować. A kiedy tylko zauważysz, że na coś wpadli...
– Przeciągnął znacząco palcem po gardle i czknął.

– Ostro – stwierdziłem.

– Ostro – przyznał – ale słusznie. Tak trzeba. A kiedy jest się księciem, trzeba robić to, co słuszne.

Zaczekaj chwilę, muszę się odlać.

Zatrzymał się przy drzwiach Klasztoru Sióstr Bożej Łaski i rozległ się dźwięk lejącej się strużki. Po chwili dogonił mnie truchtem.

– Więc to byś zrobił, tak? – spytałem. – Jakbyś został księciem.

Roześmiał się.

– Nie zostanę księciem.

– Naprawdę?

– To niemożliwe – odparł. – Takie rzeczy się nie zdarzają.

* * *

Kiedy wróciłem do laboratorium, złota sztabka leżała prawie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem. Aha, pomyślałem.

– Czterech strażników – oznajmił strażnik.

– Słucham?

– Czterech strażników – powtórzył. – Przed drzwiami, od teraz przez cały czas.

– Pochlebia mi to – stwierdziłem.

Spojrzał na mnie.

– A szeregowy Syriscus jest w szpitalu. Ma pękniętą czaszkę. Czasem naprawdę się nienawidzę. Nie trwa to długo, przemija, a potem wraca.

– Przykro mi – rzuciłem.

– Jasne – odpowiedział i wyszedł. Usłyszałem dźwięk zamka. I co z tego, pomyślałem. Był wiadrogłowym. Im płacą za narażanie życia. Miał za zadanie dopilnować, żebym nie uciekł, tymczasem jestem wolnym człowiekiem, obywatelem wszechświata, a nie kurczakiem w klatce. Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. No dobra, ale nie za często. A kiedy już to robię, nigdy nie jest to moim nadrzędnym celem, a jedynie niefortunnym, nieuniknionym skutkiem. Przeważnie.

Usiadłem i zacząłem czytać księgę Arkadiusza o funkcjach, która zawiera zasadniczy błąd, ale i tak ma jako taki sens. Przynieśli mi coś do jedzenia – świeży chleb, aromatyczny, miękki ser, pięć plasterków wiejskiej kiełbasy i jabłko.

– Co u Syriscusa? – spytałem. Odpowiedziały mi tylko wymowne spojrzenia. Zjadłem przyniesione produkty, po czym położyłem nogi na stole i zamknąłem oczy, ale nawiedzał mnie tylko obraz jej twarzy tuż pod powierzchnią miodu. Nie żeby dręczyło mnie poczucie winy, raczej zaczął mi w głowie kiełkować pewien pomysł. Wstałem, znalazłem papier, pióro i atrament i zacząłem pisać. (A gdybyście przypadkiem byli studentami drugiego roku na jakimś przyzwoitym wesańskim uniwersytecie, rozpoznalibyście to, co napisałem. Do diabła, pewnie bylibyście w stanie wyrecytować pierwszy akapit z pamięci, czego sam nie potrafię. Tak przy okazji, strona trzecia zawiera naprawdę rażący błąd. Nagroda dla każdego, kto go znajdzie). Musiałem usnąć, bo kiedy

mnie obudzili, leżałem twarzą na papierze, a na blacie zdążyło się utworzyć atramentowe jezioro. Podniosłem wzrok. Wiadroglowi.

– Pójdiesz z nami – oznajmili.

– Muszę? – spytałem, ziewając. – Mam za sobą naprawdę długi dzień.

– Wstawaj – rzucili. Podniosłem się, a oni wypchnęli mnie za drzwi. Niezbyt mi się podobało takie traktowanie, ale potem przypomniał mi się mężczyzna, któremu rozbiłem czaszkę i stwierdziłem, że nie będę robić z tego problemu. Zanotowałem tylko w pamięci, że muszę dokładać większych starań, by nikogo nie krzywdzić.

Fokas czekał na mnie w Bibliotece Południowej. Niepokojące. Wcześniej byłem tam dwukrotnie, raz jako przyjaciel i gość honorowy, a raz kiedy włamałem się do pałacu (to długa historia) i źle skręciłem. To cholernie duże pomieszczenie, choć według standardów pałacowych, jedno z mniejszych – dałoby radę wcisnąć tu szwadron kawalerii, pod warunkiem, że konie zostałyby na korytarzu. Do połowy wyłożone było bogato zdobionym drewnem złotego dębu z późno idealistycznymi rzeźbieniami, przedstawiającymi żniwa i motywy sielankowe, a sufit pokrywały pozłacane i malowane techniką *trompe l'oeil* odlewy gipsowe, tworzące baldachim z winorośli i morw (tradycyjnie na nowych gości czekają dwa dukaty nagrody za znalezienie naturalnych rozmiarów strzyżyka ukrytego między pędami winorośli). Oprócz tego było tam pięć wolno stojących biblioteczek, z których jedna mieściła aktualną kolekcję osobistych ksiąg księcia. Naprawdę się wzruszyłem widząc, że trzy z jej półek zajmowały dzieła zebrane Salonina.

– Jesteś niemożliwy – stwierdził.

– Ściśle mówiąc, nie. Wysoce nieprawdopodobny, owszem, ale...

– Przez ciebie jeden strażnik trafił do szpitala. – Fokas najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

– Inny stracił dwa zęby. – Przerwał i utkwiał we mnie wzrok. – Gdzie się nauczyłeś tak bić? – spytał.

– Bo przecież nie na uniwersytecie.

– Jakoś tak podłapałem przy różnych okazjach – odpowiedziałem szczerze. – Posłuchaj, naprawdę mi przykro z powodu strażników. To nie było...

– Celowe? – Pokręcił głową. – Zresztą to jest najmniejszy z naszych problemów. – Wziął jakąś kartkę i zaczął mi nią wymachiwać przed nosem. – Wiesz co to jest?

– Oświeć mnie.

– To nakaz przyjacielskiej interpretacji – powiedział, blednąc jak ściana. – Poświadczony i opieczętowany przez mezentyńskiego *chargé d'affaires* w związku z zarzutami fałszerstwa, nawoływania do buntu i emisji fałszywych monet. Wiesz, co to oznacza?

Innymi słowy, nakaz ekstradycji. Ledwo udało mi się zachować powagę.

– Przecież nie pozwolisz im mnie zabrać – stwierdziłem.

Zamknął na chwilę oczy.

– Naprawdę nie mam wyboru – oznajmił. – To prawidłowo sporządzony nakaz, obowiązuje nas stosowny traktat, wiedzą, że tu jesteś i zwrócili się do Senatu, a nie do mnie osobiście. Jeśli spróbuję to zatuszować, ludowcy dostaną moją głowę na tacy.

Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy, więc skupiłem się na maleńkim strzyżyku, znajdującym się bezpośrednio nad jego głową. Miałem wrażenie, że śpiewa tylko dla mnie. Ekstradycja. Zostaje oficjalnie przekazany przy Bramie Północnej pod opiekę trzech lub czterech uzbrojonych posłańców. Zachowuję się grzecznie. Prędzej czy później zatrzymujemy się w karczmie, stacji pocztowej lub przydrożnym posterunku. Grudka *pulveus fulminans* wielkości orzecha trafia do ognia, wychodzę przez okno, znów jestem wolny. Naturalnie większość istotniejszych rządów zna mnie już dość dobrze, doszłoby do przeszukania, obejmującego naturalne otwory ciała. Ale jeśli mam wybierać

między godnością i wygodą a życiem, nie muszę się długo zastanawiać. Tam, gdzie słońce nie dochodzi, można bez problemu ukryć dość *pulveus fulminans*, by wysadzić ścianę.

– Proszę – powiedziałem. – Nie pozwól im na to. Za fałszowanie monet w Mezencji czeka mnie stryczek.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. – Przez chwilę milczał. – A więc zrobiłeś to.

Skinąłem głową. Przyjąłem zasadę, by mówić prawdę zawsze wtedy, gdy nie ma ona większego znaczenia.

– Byłem głodny – stwierdziłem. – Poznałem kilku ludzi w barze. Powiedzieli, że to na potrzeby jubilera, nie fałszerzy.

– Nino, ty kretynie. – W jego głosie było coś tak bliskiego autentycznego uczucia, że przez chwilę poczułem się naprawdę źle. – Co ja mogę? No dalej, to ty jesteś geniuszem. Wymyśl coś.

– Nie jestem prawnikiem – stwierdziłem. – Zapytaj fachowców, za to im przecież płacisz.

– Już spytałem – warknął, odwracając nieco głowę, by nie patrzeć mi w oczy. – Nie wymyślili ani jednej, pieprzonej rzeczy. Ich najlepszym pomysłem było powołanie się na przywilej duchowieństwa. Ale to nie przejdzie, chyba że nastąpi na mezentyjskiej ziemi.

Przywilej duchowieństwa, pomyślałem, to jest myśl. Spodobała mi się. Nigdy nie byłem księdzem.

– To zadziała?

Spojrzał na mnie z grymasem niezadowolenia, co było niezawodną oznaką głębokiego skupienia.

– Tak im się wydaje – stwierdził. – Traktat liczy sobie czterysta lat, miał za zadanie chronić misjonarzy, którzy narobili sobie kłopotów, głosząc koniec Gildii, ale nadal obowiązuje, ze szczególnym uwzględnieniem nawoływania do buntu i związanych z tym wykroczeń. Więc pewnie zadziała.

– Czyli możesz mnie z tego wyciągnąć.

– Ale najpierw będę cię musiał im przekazać. – Przetarł oczy, jak gdyby nie spał od trzech dni. – To te kanalie od ludowców – stwierdził – wykorzystują cię, żeby mi się dobrać do skóry. Mogę się założyć, o co chcesz, że to oni podpuścili Mezencję.

– Rozważmy to – powiedziałem najpoważniejszym tonem, na jaki mnie było stać. – Jeśli spróbujesz, jak to powiedziałaś, zatuszować tę sprawę, tylko ułatwisz im zadanie i dojdzie do kryzysu konstytucyjnego. Jeśli się na to zgodzimy, zgodnie z procedurami, możesz mnie z tego wyciągnąć, jednocześnie odgrywając się na ludowcach. – Wzruszyłem ramionami. – Według mnie to dość oczywiste – stwierdziłem. – Pojadę tam.

Przez chwilę siedział nieruchomo w milczeniu, a ja w tym czasie musiałem pilnować, by nie przestać oddychać. Wreszcie najwyraźniej podjął jakąś decyzję, ale natychmiast zmienił zdanie.

– A skoro już o czasie mowa – rzuciła. – Kiedy jesteś tak blisko...

Przy tych słowach podniósł wzrok. Jest taka gra karciana, w którą graliśmy na statku więzieniu we Frontis Tropaea. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale jest w niej moment, kiedy można dobrowolnie pokazać swoje karty przeciwnikom. Nigdy nie grałem w nią z Fokasem, ale idę o zakład, że świetnie by sobie poradził.

(Kiedy wróciłem do laboratorium po mojej ostatniej wycieczce i zauważyłem, że złotą sztabkę ktoś ruszał, podniosłem ją i sprawdziłem jej spód. Ktoś bardzo wyraźnie zarysował ją na taką głębokość, by przebić się przez złotą warstwę, jaka tworzy się na posrebrzanej miedzi w procesie Polikratesa. Chyba zapomniałem wspomnieć o jeszcze jednej sztabce, którą odlałem z czystego złota w tej samej formie nieco wcześniej i zostawiłem obok. Archestratus w swoich „Materiałach” wysuwa przypuszczenie, że proces transmutacji rozpoczyna się na zewnątrz i wolno posuwa się w głąb, zupełnie jak w przypadku zamrożonego mięsa).

Z trudem zrobiłem urażoną minę.

– Powiedziałem sześć tygodni – oznajmiłem. – Nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać.

Na chwilę pomieszczenie wypełnił ogrom tego kłamstwa, ale szybko rozwiął się niczym gaz na wietrze.

– Trzymasz się wskazówek Archestratusa?

Skrzywiłem się pogardliwe.

– Prawie wcale – odparłem. – Choć wygląda na to, że dla odmiany może mieć rację. Ale jeszcze nie skończyłem – mówiłem dalej. – Jak wbić w sztabkę dłuto, okazałoby się, że gdzieś w połowie jest jeszcze miedź.

(Co akurat było prawdą. Cholernie ciężko jest oblać miedziany rdzeń złotem. Musiałem postawić w formie miedzianą sztabkę na czterech miedzianych gwoździach, żeby stopione złoto opłynęło ją dookoła. Diabeł tkwi w szczegółach. Tylko one się liczą).

– Jeśli pozwolę im cię zabrać...

– Nie martw się – odparłem dzielnie. – Nic mi nie będzie. Dokończę po powrocie.

* * *

Od pewnego czasu nieco dręczy mnie sumienie, bo nie byłem z wami do końca szczery. Oto co się naprawdę stało: Weszła. Zobaczyła zlewkę na stole.

– Co to? – spytała.

– Nic.

Posłała mi to swoje spojrzenie.

– Co?

Podąłem jej składniki, pomijając najważniejszy. Wyciągnięcie wniosków zajęło jej jakieś pięć sekund.

– Zdziała?

– A skąd mam wiedzieć?

Pochyliła się nad zlewką i powąchała zawartość, po czym wyprostowała się i wykrzywiła twarz w grymasie niezadowolenia.

– To jest niestabilne.

– Tak, ale dodałem słodkiego alkoholu z kolocynty, żeby się nieco uspokoiło.

Obejrzała miksturę dokładnie i pokiwała energicznie głową.

– No i?

Wzruszyłem ramionami.

– Po co się spieszyć? – spytałem. – Jeśli działa, będę miał całą wieczność. A jeśli nie...

– Zrobisz więcej – powiedziała szybko, jak gdyby wcale nie planowała się odezwać. – Dla mnie.

Nie odpowiedziałem, więc spojrzała na mnie gniewnie.

– Nie – rzuciłem krótko.

– Co?

– Nie – powtórzyłem. – Chcesz spróbować, to znasz przepis.

– Co do cholery...

– Z całym szacunkiem – powiedziałem – nieśmiertelność to jedno. Ale bycie twoim mężem przez wieczność...

– Ty bydlaku.

– Jesteś niesprawiedliwa – stwierdziłem. – Nie rozwodzę się z tobą. Przeżyjemy ze sobą

wszystkie lata, które ci pozostały, a potem będę wolny. Przecież na to się właśnie pisałaś.

– Pozwoliłbyś mi umrzeć.

– Wszyscy umierają – powiedziałem. – Śmiertelność jest stałą definiującą nasze istnienie.

– Spierdalaj.

– Poza tym – mówiłem dalej – eliksir i tak pewnie nie działa. No i może być trujący.

– Jeśli jest – stwierdziła uprzejmie – umrzesz i będę wiedziała, by go nie pić.

– To może być jedna z trucizn, które działają z wielogodzinnym opóźnieniem. Albo po kilku dniach. Albo nawet tygodniach. Gdybym pozwolił ci to wypić, wykazałbym się całkowitym brakiem odpowiedzialności.

– Podzielisz się eliksirem z Fokasem?

Uśmiechnąłem się.

– Jeśli okaże się, że działa, może kiedyś opublikuję przepis. Ale dopiero kiedy go dokładnie przetestuję. Powiedzmy za jakieś dwieście lat. Wcześniej byłoby to bardzo nierzetelne z naukowego punktu widzenia.

– Podzielisz się z moim bratem, czy nie?

– Nie – odparłem. – Płaci mi za znalezienie sposobu przemiany ołowiu w złoto, co, jak wiadomo, jest niemożliwe. To moja prywatna działalność. Nie ma prawa do tych badań. To – kontynuowałem z czarującym uśmiechem na ustach – przeznaczone jest wyłącznie dla mnie. Bo jestem tego wart.

Zobaczyłem, jak płynnym ruchem ręki chwytła zlewkę i z ogromną gracją podnosi ją do ust. Zsiadłem się w krzesło, przyglądając się jej poczynaniom. Kiedy było po wszystkim (a nie trwało to długo; wybrałem *sal draconis* ze względu na szybkie działanie) wstałem i stanąłem nad nią, odwracając stopą jej głowę, by widzieć oczy. Nawet nie drgnęła.

Jedno z głowy, pomyślałem. Już kiedy przyjechała odwiedzić Fokasa na uczelni i spotkaliśmy się po raz pierwszy, wiedziałem, że będą z nią same kłopoty. Kiedy Fokas sprowadził mnie do Paraprodocji z nedorzecznym, choć całkowicie szczerym przekonaniem, że pewnego dnia znajdę sposób na przemianę metalu nieszlachetnego w złoto, nie protestowała. Wręcz przeciwnie. Sam słyszałem, jak mówi do brata: „tylko nie pozwól mu odejść”, a było to przy okazji mojej trzeciej, przepraszam, czwartej próby ucieczki. Włóczyłem się bez celu po pałacu, szukając drzwi prowadzących na zewnątrz, a w zamian trafiłem do małego ogrodu klasztorowego, gdzie rodzeństwo popijało wino przy fontannie. Zapewnił ją, że mogę co najwyżej odbyć krótką podróż między tylnymi drzwiami a kupą gnoju, która technicznie rzecz biorąc nie znajduje się na terenie pałacu, jako że usypana jest za murem. „Jak tylko rozgryzie sekret transmutacji, pozbędę się go” – powiedział Fokas. „Ani mi się waż” – odparła. – „Póki nie przyrządzi dla mnie eliksiru”. Wtedy się do niej uśmiechnął. „Proszę bardzo” – powiedział. – „Ale potem...”

Nie żeby mnie to choć trochę zaskoczyło. Wiedziałem o tym już od tamtej rozmowy po pijaku w Elpis. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał Fokas, to sposób na przemianę śmieci w złoto. W końcu to książę ma więcej złota niż ktokolwiek inny po tej stronie Morza Wschodniego, więc ma też najwięcej do stracenia. Nieprzypadkowo jakieś pół tuzina naprawdę wybitnych alchemików, którzy pracowali dla niego przede mną, ludzi, których szkieł niegodny byłbym myć, zmarło w pałacu. Jak na ironię, transmutacja naprawdę jest niemożliwa. Ale łatwo sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Fokas nieustannie naciskał, oczekując rezultatów. A że nie byli w stanie dokonać niemożliwego, uciekali się do oszustw. Oszustwo jest łatwe. Istnieje z tuzin niezawodnych sposobów na błyskawiczne pozłacanie, równie wiele na złoto głupców, praktycznie nie do odróżnienia od prawdziwego, nie zagłębiając się już w mroczny świat fałszywych eksperymentów, szalbierstw, żeliwiaków z podwójnym dnem, czy trzeciej i czwartej księgi „Eksperymentów” Ksenokratesa (lata temu zgubiłem

swój egzemplarz, ale wcześniej nauczyłem się całości na pamięć). I tak oszukiwali na tyle przekonująco, aż Fokas uwierzył w ich sukces oraz w to, że przemiana jest jednak możliwa. A potem ich zabijał.

Naturalnie Eudoksja była o wiele sprytniejsza od brata i sama posiadała niezwykle rozległą wiedzę alchemiczną. Wiedziała, że transmutacja jest niemożliwa. Pewnie doszła do wniosku, że skoro jej bratu sprawi przyjemność zabicie kilku szarlatanów, to czemu nie? Na pewno wiedziała, że nie ma sensu się z nim sprzeczać, gdy już raz wbije sobie coś do głowy. Jednakże przeczytała jedną z moich wczesnych, powszechnie uznanych prac „O właściwościach materiałów organicznych”, w której ponad wszelką wątpliwość udowodniłem, że eliksir wiecznej młodości jest nie tylko teoretycznie możliwy, ale praktycznie na wyciągnięcie ręki.

„Właściwości” były kolejnym z moich kłamstewek. Zawierają tak ogromny błąd w rozumowaniu, że nie miałem żadnych obiekcji przed publikacją sądząc, że wszyscy, którzy go nie zauważą, tylko wyjdą na idiotów. Ale nikt go nie zauważył, nawet genialna Eudoksja. Ona przynajmniej знаła mnie na tyle, by wiedzieć, że zastraszanie na mnie nie działa. Miód jest lepszym wabikiem niż ocet, taką zawsze wyznawała filozofię. Wymyśliła, że gdybym był w niej beznadziejnie, szaleńczo zakochany, zrobiłbym eliksir chcąc zachować na zawsze piękno, którym mnie urzekła. Muszę uczciwie przyznać, że chyba nie planowała mnie zabić po tym, jak już opracuję przepis. Zostawiłaby to Fokasowi. W każdym razie sprzedała mu pomysł poślubienia mnie twierdząc, że człowieka z moją skłonnością do ucieczek nie da się zatrzymać siłą. Lepiej sprawić, bym sam chciał zostać, a po owdowieniu zawsze może wyjść ponownie za męża. Fokas na to przystał, choć nie dlatego, że przekonały go jej argumenty, ale dlatego, że była o włos od poślubienia Opianusa, przywódcy partii ludowej i najzacieklejszego politycznego wroga Fokasa. Tymczasem ona wszystko sobie skalkulowała i wyszło jej, że wygrana ludowców jest tylko kwestią czasu, a wtedy głowa Fokasa znajdzie się na Bramie Północnej. Gdyby wyszła za Opianusa, przyspieszyłaby nieuniknione, zabezpieczyła swoją pozycję i w rzeczywistości rządziła przez niego, jeśli tylko by się jej chciało, co według mnie raczej wątpliwe. Wydaje mi się, że chciała po prostu dopilnować, by w ostatecznym rozrachunku jej głowa nie skończyła obok głowy brata. W każdym razie plan upadł w chwili, gdy Opianus został pozbawiony stanowiska na skutek wyjątkowo paskudnego ataku podczas wewnętrznych walk ludowców. Jego następcą na stanowisku przywódcy partii, Pescenniusz, znany był ze swej niechęci do dziewcząt, więc dała za wygraną. W interesie Fokasa leżało zatem wydanie siostry za polityczne zero. Dodatkowa korzyść, jaką było trzymanie mnie na smyczy w razie powodzenia, była tylko dopełnieniem szczęścia.

Postanowiłem ją zabić już jakiś czas temu, potem zmieniłem zdanie. Naprawdę się tego wstydzę, ale wobec pięknych kobiet jestem bezradny. Tak dopuściłem do zakochania się w Teodozji, a kiedy Fokas ją zabił, Eudoksja nadal była pod ręką, równie piękna i wyjątkowo zdesperowana, by mnie zaobrączkować w nadziei na to, że przyrządzę jej ten cholerny eliksir. Uciekaj, powtarzałem sobie, nie ma sensu, by zginęła jeszcze jedna śliczna kobieta. Transmutacja ciała w zgniliznę, ciepła w zimno to powszechnie znany fakt, nie potrzebuje kolejnego potwierdzenia. Uciekaj i daj sobie z nimi obojgiem spokój.

Wtedy dotarłem aż do Lachrimy, położonej nad brzegiem Wielkiego Białego Jeziora.

* * *

Ekstradycja. Tyle do zrobienia, a tak mało czasu.

Najgorsza oczywiście była świadomość, że będę musiał polegać na innych. A mam z tym pewien problem. W głównej mierze wynika z faktu, że w naprawdę ważnych kwestiach inni niemal zawsze

mnie zawodzili, choć nęka mnie również głęboko zakorzeniony lęk przed zaufaniem innym. Nigdy nie potrafiłem się na to zdobyć. Domyślam się, że po prostu zawsze, gdy próbujemy przewidzieć zachowanie innych, instynktownie używamy siebie jako modelu całej ludzkości. Sobie za nic bym nie zaufał, więc czemu miałbym ufać komukolwiek innemu?

Ponadto istnieją procedury, których zwyczajnie nie da się przyspieszyć. Trochę trwa, nim element A wejdzie w reakcję z esencją B, tworząc związek C. Czasem można ten proces nieco ożywić rozsądną dawką ciepła, ale nie zawsze, a błąd może kosztować spażenie związku C lub wysadzenie laboratorium w powietrze. Poza tym pośpiech przy zabawach z silnymi kwasami to zawsze kiepski pomysł. Weźcie to pod rozwagę.

Wystarczy dodać drobno sproszkowane srebro do *aqua fortis*, a następnie dolać możliwie najczystszo alkoholu drzewnego. Całe lata zabrało mi opracowanie sposobu przeprowadzenia tej reakcji tak, by produkt końcowy był stabilny. A teraz stanąłem przed trudnym problemem, jak sprawić, by tę stabilność utracił. To też historia moja życia.

Zacząłem od dwudziestu srebrnych dolarów. Nie tych głównianych, emitowanych przez rząd, w których na dziewięćdziesiąt części srebra przypada dziesięć części miedzi, ale takich wykonanych chałupniczo (choć wolę określenie „ręcznie”) we własnej fabryce, czystych w dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek sześć procenta, które zabrałem z bezpiecznej kryjówki po wizycie u Astiagesa. Jednym z powodów, dla których nigdy nie zarobiłem na tym fałszerstwie jest fakt, że robię lepsze monety od rządu. Nic na to nie poradzę. Zawsze jakiś cichy głos w głowie podpowiada mi, że jeśli coś jest warte zachodu, należy to zrobić dobrze.

Trzeba wrzucić dolary do dużej, szklanej zlewki. Zalać je pół litrem najlepszej *aqua fortis* – tę sam przygotowałem, gdyż w sklepach trudno o porządny produkt. Odsunąć się na bezpieczną odległość, bo zaciągnięcie się cuchnącym, białym dymem grozi śmiercią, i patrzeć na maleńkie, roześmiane bąbelki kwasu pożerającego srebro. Ten widok może złamać serce.

Strażnicy przynieśli lód, o który prosiłem. Traktowali mnie jak coś między trędowatym a czynnym wulkanem. Uśmiechnąłem się i podałem sierżantowi dwudziestego pierwszego dolara.

– Ależ proszę – powiedziałem, gdy zaczął się w niego wpatrywać. – I dziękuję.

Na jego twarzy wyraźnie widać było toczącą się w środku walkę. Z jednej strony byłem tym niesamowicie chytrym mistrzem ucieczek, który nie wahał się okaleczać stojących mu na drodze żołnierzy. Z drugiej zaś, srebrny dolar to srebrny dolar, a to miesięczny żołd. Naturalnie nie był to srebrny dolar, bo był nielegalnie lepszy, ale tego strażnik miał się nie dowiedzieć. W końcu chwycił monetę i naprawdę szybko wyszedł.

Alkohol drzewny biorę od Sirmisa. Najlepszy jaki można kupić. Umieściłem zlewkę na lodzie, wlałem alkohol, zakorkowałem butelkę i odsunąłem się jak najdalej. Póki co wszystko zgodnie z planem. Gdy tylko ze zlewki przestały buchać zabójcze opary, nalałem do niej zimnej wody, by zaczęły się tworzyć kryształy. Najtrudniejsze za mną, została mi już tylko dość męcząca przemiana metalu nieszlachetnego w złoto.

W zasadzie nie wiem – i jestem teraz z wami całkowicie szczerzy – czy to możliwe, czy nie. Prawda jest taka, że zawsze brakowało mi zapłać do przeprowadzenia eksperymentu, który by to zweryfikował. Gdybym przypadkiem trafił na ten sekret, nim dopadł mnie Fokas, może byłbym nieco bardziej zmotywowany. Tymczasem teraz odkrycie, jak tego dokonać, oznaczałoby wyrok śmierci, więc zostawiłem tę kwestię. Nie śmiałem nawet zapisać receptury i pracować nad nią na papierze, na wypadek gdyby notatki wpadły w ręce Eudoksji. Przez lata przechowywałem ją w pamięci, nigdy nie wypróbując w praktyce.

Na procedurę składa się sześć kroków – jestem pewien, że mi wybaczą, jeśli wam ich nie

wymienię, w razie gdyby ktoś chciał wypróbować przepis samemu, co (wierście mi) prowadziłyby do szeregu strasznych konsekwencji, szczególnie gdyby wasz król, książę, hrabia czy rada miejska dowiedzieli się, co kombinujecie. Mogę wam co najwyżej dać pewną wskazówkę. Trzeba dodać to do tego, zrobić coś z tym, co powstanie, po czym pojawi się coś, co może, ale nie musi być złotem, w zależności od tego, czy eksperyment się udał. Wszystko jest w sumie dość proste i nie potrzeba do tego lodu; możecie to zrobić w domu na stole kuchennym, ale proszę was, nie róbcie.

Tymczasem ja przeprowadziłem całą procedurę. Następnie przygotowałem trzy kulki *pulveus fulminans* wielkości orzecha, owinąłem je w niewiarygodnie cienkie, złote listki i schowałem w miejscu, gdzie nikt nie miał szans ich znaleźć. Nie będę się rozwodził nad tym etapem. Ważne, że ze wszystkim zdążyłem.

– Muszę zobaczyć się z księciem – oznajmiłem.

Sierżant – nie ten sam co ostatnio – skinął głową. Odniosłem wrażenie, że spodziewał się tego, więc Fokas zapewne chciał się ze mną pożegnać, na co zresztą liczyłem. Cokolwiek by powiedział o Fokasie, zawsze był przewidywalny, a to bardzo pożądana właściwość u składników, wręcz kluczowa dla dobrze skontrolowanych eksperymentów.

(Jakże byłoby miło, gdyby moje życie było takim dobrze skontrolowanym eksperymentem. No wiecie, wychodzi się od składników podstawowych, dodaje edukację, doświadczenia, zdarzenia, miesza wszystko szklaną laską, a w odpowiedniej chwili spowalnia proces na bryle lodu. Przewidywalne rezultaty, zamierzone cele, a na końcu coś wartego zachodu. Niezupełnie tak to wyglądało. A jeśli chodzi o rezultat, produkt końcowy, to się dopiero okaże. Może jeszcze sam siebie zaskoczę).

– Prawnicy twierdzą, że wszystko powinno być w porządku – oznajmił Fokas. Cerę miał poszarzałą od zmartwień. – Opracowali linię obrony i wysłałem przodem gońca z papierami, więc dotrze na miejsce przed tobą. Przy odrobinie szczęścia...

– Nic mi nie będzie – powiedziałem. – Naprawdę – dodałem z uśmiechem. – Wiesz, zawsze mi się wydawało, że jestem sprytny, ale przywilej duchowieństwa...

– Cholera – wtrącił. – Niemal zapomniałem. – Zaczął przerzucać papiery leżące na biurku, aż w końcu znalazł to, czego szukał. – Lucustusie Saloninie, czy uroczyście przyrzekasz pełnić urząd diakona w najświętszym synodzie Towarzystwa Niezwycięzonego Słońca i niezłomnie stać na jego straży? Powiedz, że tak.

– Tak – odparłem i zamilkłem na chwilę. – To wszystko?

– To wszystko. Jesteś księdzem. A teraz zejdz mi z oczu.

– Prawdziwym księdzem?

– Tak. Żegnam. Postaraj się nikogo nie okraść i niczego nie wysadzić.

– Fokasie – spojrzałem mu prosto w oczy, czego zazwyczaj nie robiłem. – Muszę ci coś wyznać, nim odejdę.

– Co takiego?

– Na osobności.

Przyglądał mi się z powątpiewaniem, a wiadroglowi nagle się spięli.

– Daj spokój – rzuciłem. – Teraz jestem księdzem. Jeśli nie można już ufać duchownym...

– Dobrze. – Skinął sierżantowi i strażnicy wyszli. – Tak?

Odrobinę ściszyłem głos.

– Już trwa – powiedziałem.

– Co?

– Eksperyment.

Chwilę trwało, nim dotarł do niego sens moich słów, a wtedy oczy zrobiły mu się okrągłe jak dolary.

– Zapoczątkowałem proces. Zajmie około pięciu godzin.

Chwycił mnie za rękaw.

– To znaczy..?

– Na stole w moim laboratorium – powiedziałem – znajdziesz obok zegara wodnego kamienną misę. W misie jest garść żelaznych gwoździ zalanych jasnozieloną cieczą. Za jakieś pół godziny na gwoździach powinna się pojawić bladożółta powłoka. Cokolwiek zrobisz, nie dotykaj ich, gdyż ta substancja przeżarłaby ci palce do kości. Zostaw gwoździe tak jak są, ale ktoś będzie musiał uważnie pilnować eksperymentu. Dopóki ciecz jest zielona, wszystko w porządku. Ale kiedy zacznie się robić niebieska, trzeba dodać dwie krople tej ciemnobrązowej substancji z ciemnozielonej buteleczki; ona wszystko naprawi, ale trzeba jej dodać dokładnie w chwili, gdy ciecz zacznie zmieniać kolor. Inaczej cały eksperyment szlag trafi i trzeba będzie zaczynać od początku, a to by nas cofnęło o całe miesiące. – Uśmiechnąłem się szeroko. – To najgorszy moment, jaki mogli wybrać.

Zmarszczył brwi.

– Czy nie mogłeś z tym poczekać do powrotu?

Pokręciłem głową.

– Główny odczynnik zachowuje stabilność przez góra dzień – stwierdziłem. – A po przygotowaniu musi dojrzewać przez dziewięć tygodni. Poza tym – dodałem cicho – mogę nie wrócić. A nie chciałbym umrzeć z myślą, że nawet nie spróbowałem.

Przybrał zboląły wyraz twarzy.

– Nie mów tak – powiedział. – Prawnicy...

– Wszystko spiszę, gdy tylko dotrę do Mezencji – oznajmiłem. – Prześlę recepturę kurierem dyplomatycznym.

– Nie. – Wyglądał na przerażonego. – Na litość boską, nie rób tego. Nikomu nie możemy powierzyć tego sekretu. Kiedy wrócisz, będziemy mieć mnóstwo czasu.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak chcesz – stwierdziłem. – Tylko dopilnuj, by ktoś trzymał pieczę nad eksperymentem przez kolejnych pięć godzin. Tylko o to proszę.

– Bez obaw – odparł głosem zaledwie o ułamek tonu wyższym niż zazwyczaj. – Sam się tym zajmę.

– Naprawdę?

– Masz moje słowo.

Uśmiechnąłem się.

– W takim razie nie muszę się o nic martwić – rzuciłem. – Niech cię Bóg błogosławi, synu – dodałem, po czym odszedłem i walnąłem w drzwi.

* * *

Póki co, normalnie historia mojego życia.

Gdy byłem młody, chciałem poznać prawdę. Byłem niecierpliwy. Wszystko widziałem bardzo wyraźnie. Uczenie logiki młodych osób jest chyba błędem. Logika jest tak samo bronią, jak narzędziem. Uczysz się jej, opanowujesz ją i wręcz nie możesz się doczekać, by wyjść i na kimś jej użyć. W Elpis wymachiwałem mieczem logiki, póki nie skończyli mi się oponenti. Następnie w idiotyczny sposób zniknęły fundusze, a wkrótce potem i ja.

Ucieczka, historia mojego życia. Uciekłem od filozofii i zająłem się robieniem naprawdę głupich rzeczy. Kradzież jest głupia, bo prędzej czy później cię chwytają. Bycie schwytanym to również historia mojego życia. Zawsze uciekam, ale też zawsze mnie chwytają. Kiedyś sądziłem, że alchemią zająłem się przez przypadek, ale z wiekiem zmądrzałem i już wiem, że zbiegi okoliczności nie istnieją. Po połączeniu dwóch głównych elementów składających się na mnie, filozofii i przestępczości, na bryle lodu, spełniającej rolę mojej osobowości, otrzymujemy alchemię. Byliśmy, jak to się mówi, dla siebie stworzeni.

A najgłupsze jest to, że prawdopodobnie naprawdę jestem największym alchemikiem wszech czasów. Nie dlatego, że może odkryłem, a może nie, jak przemienić metal nieszlachetny w złoto, ale dlatego, że... cóż, do tego dojdziemy później. Jestem też całkiem niezłym filozofem, ale tylko pod warunkiem, że ktoś jest gotowy mi za to zapłacić. Im dłużej człowiek myśli o prawdzie i mądrości, tym bardziej rozumie, że to tylko wytwory wyobraźni. Co więc zostaje? Potyczki logiczne mogą być źródłem czystej przyjemności, która jednak z czasem nieco blednie, no i można też całkiem przyzwoicie zarobić na wykładach, publikacji prac i nauczaniu. W zupełności by mi to wystarczyło, gdyby tylko wszyscy dali mi spokój, ale niestety.

Moje życie kształtowali Fokas i Eudoksja. Kiedy akurat przed nimi nie uciekałem, zmuszony byłem kłamać, by ocalić życie. Zamordowałem Eudoksję, bo musiałem. Za stary już jestem na ciągłe ucieczki i mam dość wyciągania z tyłka bryłek *pulveus fulminans* i wyskakiwania przez okna. A jeżeli chodzi o Fokasa, pewnie chciał dobrze, choć to żadne usprawiedliwienie. Ja też w różnych momentach życia chciałem dobrze, ale w żaden sposób mnie to nie usprawiedliwia.

Co ciekawe, niegdyś moim największym talentem było zawieranie przyjaźni. Kiedyś ludzie po prostu mnie lubili. Teodozja mnie kochała. Potrzeba by dziesięć razy lepszego naukowca, niż ja kiedykolwiek będę, by rozgryźć stojącą za tym chemię.

Cóż. Przy okazji przepraszam, że was wcześniej okłamałem. Nie mogłem się powstrzymać. Chyba przede wszystkim jestem showmanem, aktorem, kłamcą. I to akurat możecie wziąć za pewnik.

* * *

– Na litość boską – rzucił Pescenniusz, wyraźnie niezadowolony. – Naprawdę musiałeś rozwalić cały pałac?

Nie trzeba chyba dodawać, że przesadzał.

– Tak – odparłem. – Zasada omleta i jajek – wyjaśniłem. – Poza tym, jeśli coś jest warte zachodu...

Nalał mi filiżankę bardzo modnej ostatnio, jasnozielonej herbaty. Jeżeli o mnie chodzi, wolałbym pić deszczówkę z rynsztoka.

– Jak w zasadzie tego dokonałeś? – spytał.

Pescenniusz, niegdyś szef Partii Ludowej, a obecnie Pierwszy Obywatel Republiki, jest naturalnie moim starym kumplem z roku. Znamy się od lat.

– Smakuje jak szczyny – stwierdziłem.

– Owszem. To jak zdołałeś...?

– No dobrze – powiedziałem znużonym głosem. – Ale zostanie to między nami?

– Masz moje słowo.

Za dobrze go znałem, by uwierzyć. Ale to i tak nie miało znaczenia. Łączyło nas morderstwo. A tego typu więzi naprawdę można zaufać.

– *Argensfulminans* – oznajmiłem, rozsiadając się w naprawdę wygodnym fotelu. – Znany również

jako piorunian srebra.

– Nigdy nie słyszałem...

– Bo i gdzie? – wtrąciłem. – Sam go odkryłem.

Piorunian złota znany jest od wieków, wszędzie można o nim przeczytać. Zastanawiało mnie, czy można uzyskać podobny efekt przy użyciu srebra. Naturalnie oba są całkowicie bezużyteczne.

Znów się nachmurzył.

– Wolniej – rzucił.

Uśmiechnąłem się radośnie.

– Piorunian srebra to naprawdę potężna substancja wybuchowa. Problem w tym, że jest niesamowicie niestabilna. Inne pioruniany eksplodują, gdy się je uderzy lub upuści. Tymczasem piorunian srebra potrafi wybuchnąć pod własnym ciężarem. Nie, serio. Waga jednej warstwy kryształów tworzącej się na drugiej wytwarza wystarczający nacisk, by go zdetonować. Dlatego jest zupełnie bezużyteczny. Jednorazowo można wyprodukować bardzo niewielką ilość, gdyż inaczej ulega samozniszczeniu, chyba że zwolni się cały proces za pomocą lodu. A kiedy lód stopnieje...

Myślał naprawdę intensywnie, próbując za mną nadążyć.

– Mów dalej – powiedział.

– Przygotowałem dużą ilość piorunianu srebra – stwierdziłem. – Na dużej bryle lodu. Zostawiłem wszystko na stole w laboratorium wraz z innym eksperymentem, który interesował Fokasa, a który miał na celu zwabienie go do pomieszczenia z piorunianem i zatrzymanie go w środku aż do chwili, gdy piorunian ulegnie samozniszczeniu. Naturalnie wraz z Fokasem.

– I całym wschodnim skrzydłem.

Wzruszyłem ramionami.

– Wiesz, brakowało rzetelnych danych, na których mógłbym się oprzeć – oznajmiłem. – Zmuszony byłem improwizować. Musisz przyznać, że zmieściłem się w granicy błędu.

– Można to tak ująć.

– W każdym razie – mówiłem dalej – udało się. A dzięki temu, że załatwiłeś mi tę ekstradycję, w chwili śmierci Fokasa znajdowałem się dwanaście mil od miasta w towarzystwie wiarygodnych aż do bólu świadków, przez co ja i ty byliśmy poza wszelkimi podejrzeniami. A potem musiałem już tylko uciec z Mezencji...

– A jak...?

Udałem, że rozgniewało mnie to pytanie.

– To tajemnica zawodowa, którą zamierzam zachować dla siebie, by w stosownej chwili móc uciec twoim wiadrogłowym.

Był za mądry, by wdawać się w tego typu rozmowy.

– Wszystko się udało... mniej więcej. Kiedy przyszedłeś do mnie z tym planem...

– Pomyślałeś, że oszalałem, wiem. Ale zaufałeś mi. Dzięki.

– Coś mi mówi, że jeszcze tego pożałuję – stwierdził Pescenniusz.

– To będziesz miał więcej szczęścia niż Fokas – odparłem. – A zresztą, do diabła z tym. Dostałeś, czego chciałeś. Fokas nie żyje, rząd pograżył się w chaosie, masz wszystkie składniki potrzebne do skutecznego zamachu stanu.

– Nie mów tak – powiedział Pescenniusz z poirytowaniem. – To była rewolucja ludowa.

– Naturalnie. – Wstałem. – Dzięki za herbatę – rzuciłem. – Będę się zbierał.

Spojrzał na mnie.

– Dokąd?

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Nigdy cię nie okłamałem – oznajmiłem. – Nie pytaj więc o takie rzeczy, bo będę musiał zepsuć piękne statystyki.

Skinął głową.

– Trzymaj się. Jesteś bohaterem ludu, cokolwiek to znaczy.

– I księdzem – stwierdziłem. – Jestem człowiekiem o niezliczenie wielu talentach.

* * *

Udałem się do Choris Seautou, gdzie miałem pieniądze i pracę, i właśnie tam ukończyłem dzieło swojego życia, osiągnięcie, z którym już zawsze będzie łączone moje imię, mój wielki wkład w ludzkość i źródło znacznego bogactwa. Najwyższy czas, zasłużyłem na to.

I oto jestem. Po życiu spędzonym na włóczędze i ucieczkach, mieszkam w dużym domu, otoczonym dwustoma akrami parku. Mam ponad siedemdziesięciu służących. Większość czasu spędzam czytając, gdyż wreszcie stać mnie na wszystkie książki, jakich mógłbym zapragnąć. Już nie piszę. Nie potrzebuję pieniędzy.

Sporządziłem trochę notatek dotyczących moich eksperymentów alchemicznych, ale w zeszłym roku rozpałem na łące wielkie ognisko i wszystkie poszły z dymem. Więc jedyne na świecie wskazówki, jak zrobić piorunian srebra, znajdują się w tekście, który właśnie przeczytaliście. Problem w tym, że gdy ktoś na tyle stuknięty, by chcieć wyprodukować piorunian, będzie postępował zgodnie z rzeczonymi instrukcjami, nie przeżyje tej próby, gdyż celowo zawarłem w tekście błąd. Receptura robienia złota ze śmieci umrze wraz ze mną. Możliwe, że to niewielka strata, gdyż nigdy nie dowiedziałem się, czy jest skuteczna. Jedynym rezultatem moich badań alchemicznych, który mnie przeżyje, jest przepis na mój wielki wynalazek, który sprzedałem wesańskiemu konsorcjum za więcej pieniędzy, niż ktokolwiek mógłby w życiu wydać. Nie muszę chyba dodawać, że zamierzają go strzec z ogromną zaciętością. Jednym z warunków umowy było to, że nie zachowam dla siebie ani jednego egzemplarza przepisu. Nie ma sprawy, powiedziałem.

Teraz jestem uczciwym człowiekiem, filarem społeczeństwa. Płacę nawet podatki. Tylko w zeszłym roku zapłaciłem tyle, że można by za to przez rok utrzymywać regiment wojska na polu bitwy (i to jest konkretny powód do dumy, prawda?). W każde przesilenie dostaję kosz białych śliwek i skrzynkę fawentyńskiego czerwonego wina od Pierwszego Obywatela Pescenniusza, który jakoś nie zebrał się do zorganizowania wolnych, uczciwych wyborów i teraz w zasadzie niczym nie różni się od mojego innego kumpla z roku, Fokasa, poza tym, że nie zabija alchemików. Śliwki zjadam, a wino oddaję ogrodnikom.

Aha, ostatniej jesieni się ożeniłem. Urocza dziewczyna – może niezbyt piękna, ale umysł ma jak brzytwa i potrafi mnie rozbawić. Wyszła za mnie dla pieniędzy i mojej biblioteki. Ja ożeniłem się z nią chyba dlatego, że lubię ludzi, którzy mają w życiu jasno określone priorytety. Naturalnie nadal myślę o Teodozji. Bardzo długo się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie nie zabiłem Fokasa za to, że skazał ją na śmierć. Próbowałem go za to winić, ale nie potrafię. To moja wina.

Mój wynalazek, dzięki któremu dokonałem przemiany materiałów podstawowych w mające konkretną wartość złoto i zapewniłem sobie jedyną prawdziwą nieśmiertelność... Przepraszam, nie byłem z wami do końca szczery. Naprawdę nazywam się Salonin, ale gdy przybyłem do Choris, zmieniłem nazwisko. Tu jestem znany jako Longinus Agrykola, wynalazca błękitnej farby syntetycznej.

Prorocze światło

Bóg oszukiwać mnie nie może, albowiem w każdym oszustwie i kłamstwie zawsze kryje się niedoskonałość.

Descartes

Przykucnąłem w deszczu, trzymając rewolwer.

Fala wspięła się ku mnie po kamienistej plaży i omyła moje stopy, wypełniając nogawki żwirem i piaskiem. Otaczały mnie czarne, złowrogie skały, wielkie jak domy.

Zadrzałem, wracając do rzeczywistości. Uświadomiłem sobie, że zgubiłem gdzieś marynarkę, a także lewy półbut z brązowej skóry, numer czterdzieści sześć. Rozejrzałem się wokół, ale zobaczyłem tylko skały i spienione morze.

Pociągnąłem kolejny łyk z butelki, a potem spróbowałem rozluźnić krawat. Ponieważ w jednej ręce trzymałem broń, a w drugiej butelkę i nie chciałem ich wypuścić, okazało się to trudnym zadaniem. Uniosłem rękę z rewolwerem i wepchnąłem w węzeł palec przełożony przez spust. Zimna stal musnęła gardło. Czujęm dotyk lufy pod brodą, moje zgrabiące palce dotykały spustu.

To byłoby bardzo łatwe.

Zadałem sobie pytanie, czy zdarzało się, by ludzie ginęli w ten sposób – pijani, uzbrojeni, rozwiązując sobie krawat. Podejrzewałem, że w niektórych zawodach to częsta przyczyna śmierci.

Wreszcie węzeł się rozluźnił i nie zastrzeliłem się. W nagrodę pozwoliłem sobie na kolejny łyk.

Wpatrzyłem się w huczące fale. Okolica w niczym nie przypominała wydm Indiany, w miejscu, gdzie jezioro Michigan kocha się z linią brzegową. Tutaj, w Gloucester, woda nienawidzi lądu.

Gdy przychodziłem na tę plażę jako dziecko, zadawałem sobie pytanie, skąd się wzięły te wszystkie głazy? Czy przyniosły je fale? Teraz już wiedziałem, że to nieprawda. Głazy były tu zawsze, ukryte w miękkiej glebie. Są tym, co zostaje, gdy ocean zabierze całą resztę.

Za mną, blisko drogi, stoi pomnik z listą nazwisk rybaków z Gloucester. Tych, którzy nie wrócili.

To miejsce od dawna płaci oceanowi daninę.

Powtarzałem sobie, że zabrałem broń dla ochrony, ale teraz, siedząc na ciemnym piasku, przestałem w to wierzyć. Straciłem umiejętność oszukiwania samego siebie. To był rewolwer ojca, kaliber 357. Nie strzelano z niego od szesnastu lat, siedmiu miesięcy i czterech dni. Policzyłem to szybko. Nawet po pijanemu nie miałem trudności z rachunkami.

Moja siostra, Mary, powiedziała, że to dobrze, iż to nowe miejsce będzie zarazem starym miejscem.

– Zaczynasz od nowa – rzekła mi. – Będziesz mógł wrócić do pracy. Znowu zająć się badaniami.

– Ehe – zgodziłem się i uwierzyła w to kłamstwo.

– Już więcej nie zadzwonisz, prawda?

– Pewnie, że zadzwonię.

Tym razem mi nie uwierzyła.

Odwróciłem twarz od wiatru i pociągnąłem kolejny łyk palącego płynu. Piłem tak długo, aż

wreszcie zapomniałem, w której ręce trzymam butelkę, a w której rewolwer. Aż stały się dla mnie tym samym.

W drugim tygodniu rozpakowaliśmy mikroskopy. Satish posiłkował się łomem, a ja młotkiem stolarskim. Ciężkie, drewniane skrzynie zamknięto hermetycznie. Przysłano je tu z jakiegoś nieczynnego już laboratorium w Pensylwanii.

Na naszą strefę załadunku padały palące promienie słońca. Upał był prawie tak samo uciążliwy, jak panujący przed tygodniem chłód.

Zamachnąłem się i wbilem młotek w jasne drewno. A potem znowu. Praca sprawiała mi satysfakcję. Satish zauważył, że ocieram pot z czoła, i uśmiechnął się. Jego równe, białe zęby kontrastowały ze smagłą twarzą.

– W Indiach przy takiej pogodzie nosi się sweter – poinformował.

Wsunął łom w zrobioną przeze mnie szczelinę i nacisnął. Znałem go ledwie od trzech dni i już byłem jego przyjacielem. Wspólnie dopuszczaliśmy się aktów przemocy wobec skrzyń, aż wreszcie ustąpiły pod naszymi ciosami.

W branży nadszedł czas konsolidacji i laboratorium w Pensylwanii było najnowszą ofiarą tego procesu. Sprzęt nie kosztował drogo. Uczeni z Laboratoriów Hansena czuli się jak w Boże Narodzenie. Otwierali skrzynie i podziwiali nowe zabawki, w głębi duszy zadając sobie pytanie, w jaki sposób na nie zasłużyliśmy. Dla niektórych, na przykład dla Satisha, odpowiedź była skomplikowana i miała ścisły związek z naszymi osiągnięciami. W końcu Laboratoria Hansena były czymś więcej niż kolejną grupą ekspercką z Massachusetts, a Satish musiał wyprzedzić kilkunastu konkurentów, by się tu dostać. Przygotowane przez niego prezentacje i projekty spodobały się ważnym ludziom. W moim przypadku wyglądało to prościej.

Dla mnie była to druga szansa, którą dał mi przyjaciel.

Druha i ostatnia.

Otworzyliśmy ostatnią skrzynię i Satish zajrzał do środka, odwijając kolejne warstwy ochronnego opakowania piankowego. Skrzynia była duża, ale znaleźliśmy tylko mały zestaw wolumetrycznych butelek Nalgene, ważący w sumie może ze trzy funty. To miał być żart. Ktoś w zamkniętym już laboratorium wyraził w ten sposób opinię o utraconej pracy.

– Żaba jest w studni – oznajmił Satish, powtarzając jedną ze swych tajemniczych fraz.

– Z pewnością tak – zgodziłem się.

Miałem powody, by się tu przenieść, i powody, by tego nie robić. To były te same powody. Miały bardzo wiele wspólnego z rewolwerem, a zarazem nie łączył ich z nim żaden związek.

Pierwszym, co zobaczy ktoś wjeżdżający na nasz teren, są bramy laboratorium. Samego budynku stamtąd w ogóle nie widać, co w sektorze otaczającym Boston świadczy o naprawdę wielkich pieniądzech. Wszystko tu kosztuje, a szczególnie przestrzeń.

Laboratorium kryje się wśród kamienistych pagórków, jakąś godzinę drogi wzdłuż brzegu od miasta. To spokojne, odludne miejsce skryte w cieniu drzew. Piętrowy budynek o szklanych ścianach wygląda pięknie. Zajmuje obszar w przybliżeniu równy boisku piłkarskiemu. To, co nie jest szkłem, jest czarną, matową stalą. Gmach przypomina dzieło sztuki. Ku głównemu wejściu wije się wąska droga o ceglanej nawierzchni, ale mały, asfaltowany parking przed budynkiem jest właściwie tylko dekoracją, przeznaczoną dla gości i dla niewtajemniczonych. Droga prowadzi dalej, na zaplecze, gdzie znajduje się prawdziwy parking dla badaczy.

Pierwszego dnia zaparkowałem przed wejściem i wszedłem do środka.

Ładna blondynka z recepcji uśmiechnęła się do mnie.

– Proszę usiąść.

Po chwili zza rogu wyłonił się James. Ucisnął mi dłoń i poszliśmy do jego gabinetu. Potem padła propozycja. Mogłoby się zdawać, że to po prostu zwykła rozmowa o interesach, jakbyśmy byli tylko dwoma facetami w garniturach. Niemniej wyczytałem z jego oczu, że patrzy na mnie jak stary przyjaciel. Siedząc po przeciwnej stronie biurka, podsunął mi złożoną kartkę. Rozłożyłem ją i zmusiłem się do zrozumienia wypisanej na niej sumy.

– To za dużo – sprzeciwiłem się.

– Uważamy, że dostajemy cię tanio.

– Nieprawda.

– Biorąc pod uwagę twoje patenty i dawne rezultaty...

– Już nie potrafię tego robić – przerwałem.

Przez dwa uderzenia serca patrzył mi prosto w oczy.

– Słyszałem o tym – rzekł. – Miałem nadzieję, że to nieprawda.

– Jeśli uważasz, że wprowadziłem cię w błąd...

Zacząłem wstawać.

– Nie, nie. – Uniósł dłoń, powstrzymując mnie. – Oferta zachowuje ważność. Możemy cię zatrzymać na cztery miesiące. – Rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu. – To nasz okres próbny dla pracowników naukowych. Szczycimy się swą niezależnością. Możesz sam wybrać sobie projekt, ale po czterech miesiącach sprawa przestanie zależeć ode mnie. Ja również mam szefów. Będiesz im musiał przedstawić coś nadającego się do opublikowania albo przynajmniej bliskiego tego stanu. Jasne?

Skinałem głową.

– To może być dla ciebie nowy początek – dodał. Uświadomiłem sobie, że już rozmawiał z Mary.

– W QSR wykonałeś kawał znakomitej roboty. Śledziłem twoje publikacje. Cholera, wszyscy je śledziliśmy. Ale biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach stamtąd odszedłeś...

Ponownie skinąłem głową. Nadeszła nieunikniona chwila. Milczał, przyglądając mi się z uwagą. Nie zbliżył się bardziej do wspomnienia o kluczowej sprawie.

– Podejmuję dla ciebie pewne ryzyko – dodał. – Ale musisz mi coś obiecać.

Odwróciłem wzrok. Doszedłem do wniosku, że gabinet Jamesa pasuje do niego. Nie był zbyt duży, ale jasny i wygodny. Na jednej ze ścian wisiał dyplom inżyniera z Notre Dame. Tylko biurko wyglądało pretensjonalnie – wielkie, czarne okropieństwo, na którym mógłby wylądować samolot. Wiedziałem jednak, że James je odziedziczył. Mebel należał do jego ojca. Widziałem już kiedyś to biurko, kilkanaście lat temu, gdy byliśmy jeszcze w college'u. W innym życiu.

– Czy możesz to zrobić? – zapytał.

Wiedziałem, o czym mówi. Spojrzałem mu w oczy. Przez długi czas nie odzywaliśmy się ani słowem. Czekał, aż coś powiem. Na jednej szali ważył naszą przyjaźń, na drugiej zaś możliwość, że mogę mu zaszkodzić.

– W porządku – ustąpił wreszcie. – Zaczynasz od jutra.

Są dni, gdy w ogóle nie piję. Oto, jak zawsze się zaczynają: Wyciągam rewolwer z kabury i kładę go na biurku w pokoju hotelowym. Broń jest ciężka i czarna. Na jej boku napisano „Ruger” małymi, wypukłymi literkami. Ma smak miedziaków i popiołu. Patrzę w wiszące naprzeciwko łóżka lustro i mówię sobie: „Jeśli będziesz dziś pił, skończysz ze sobą”. Spoglądam w swe szare oczy i widzę, że

naprawdę mam zamiar to zrobić.

W takie dni nie piję.

Praca w laboratorium badawczym ma szczególny rytm. Wchodzę przez szklane drzwi o siódmej trzydzieści, witam skinieniem głowy innych przedwcześnie przybyłych kolegów, a potem siedzę do ósmej w gabinecie, roztrząsając fundamentalną prawdę: Nawet gówniana kawa – gęsta jak błoto, letnia, gówniana kawa prosto z dzbanka – jest lepsza niż żadna.

Lubię pierwszy parzyć rano kawę. Otwieram drzwi pokoju socjalnego, wyciągam blaszany cylinder i zaczerpuję oddechu, pozwalając, by woń wypełniła mi płuca. Ten zapach jest lepszy niż sam napój.

Są dni, gdy towarzyszy mi wrażenie, że zmuszam się do tego wszystkiego. Do jedzenia, rozmawiania, wychodzenia rano z hotelu. Nie jestem w stanie znieść odpowiadania ludziom. Istnieję niemal wyłącznie wewnątrz własnej głowy. Owa przytłaczająca depresja przychodzi i odchodzi. Bardzo się staram jej nie okazywać, ponieważ prawda wygląda tak, że nieważne, jak się człowiek czuje. Liczy się wyłącznie zachowanie. Dopóki jego inteligencja zachowuje sprawność, jest w stanie ocenić, jak należy postępować. W ten sposób da się przetrwać kolejne dni. Pragnę zachować tę pracę, więc zmuszam się do tego. Chcę być lubiany, znowu stać się użyteczny. Marzę o tym, by Mary była ze mnie dumna.

Praca w laboratorium badawczym nie przypomina zwyczajnej roboty. Cechuje się szczególnymi rytmami, wykonuje się ją w niezwykłych godzinach. Twórczym jednostkom pozwala się na więcej.

Dwaj Chińczycy organizują w porze obiadowej grę w koszykówkę. W pierwszym tygodniu wciągnęli również i mnie.

– Wyglądasz na niezłego gracza – oznajmili.

Jeden jest wysoki, a drugi niski. Ten wysoki wychowywał się w Ohio i nie ma śladu akcentu. Mówią na niego Maszyna do Rzucania. Niski nie ma właściwie pojęcia o zasadach gry w koszykówkę i dzięki temu jest naszym najlepszym graczem w obronie. Po jego faulach pozostają ślady. To jest druga gra – gra wewnątrz gry – polegająca na tym, ile kto może znieść bez skargi. To prawdziwy powód, dla którego gram. Pędzę w stronę kosza, a on mnie ścina. Potem próbuję znowu.

Jeden z graczy, Norweg imieniem Umlauf, ma nieco ponad dwa metry wzrostu. Zdumiewają mnie jego rozmiary. Nie potrafi biegać ani skakać i w ogóle porusza się kiepsko, ale jego potężne ciało blokuje przejście, a wielkie łapska chwytają każdą piłkę przelatującą nad należącym do niego fragmentem asfaltowego boiska. Gramy czterech na czterech albo pięciu na pięciu, zależnie od tego, ilu z nas ma akurat wolny czas. Mam trzydzieści jeden lat i jestem kilka lat młodszy od większości z nich, a także nieco wyższy od wszystkich poza Umlaufem, który przerasta mnie o głowę. Rozmawiamy o różnych bzdurach z najprzeróżniejszymi akcentami.

Niektórzy badacze idą podczas przerwy obiadowej do restauracji. Inni siedzą w gabinetach, grając w gry komputerowe. Jeszcze inni poświęcają przerwę na pracę, całymi dniami zapominając o jedzeniu. Satish należy do tych ostatnich. Ja gram w koszykówkę, ponieważ to przypomina mi karę.

W laboratorium panuje swobodna atmosfera. Jeśli ktoś chce, może się nawet przespać. Nikt z zewnątrz nie goni nas do pracy. To ściśle darwinowski system – rywalizujemy o prawo, by być tutaj. Jedyne naciski pochodzą od nas samych. Wszyscy wiedzą, że co cztery miesiące poddaje się nas ocenie i trzeba się czymś wykazać. Za każdym razem odpada około dwudziestu pięciu procent zatrudnionych na próbę naukowców.

Satish pracuje nad układami. Poinformował mnie o tym w drugim tygodniu, gdy zastałem go ślęczącego nad skaningowym mikroskopem elektronowym.

– W swojej pracy potrzebuję mikroskopu – oznajmił.

Tego rodzaju urządzenie jest oknem. Umieszczamy próbkę w komorze i usuwamy z niej powietrze, a potem zaglądamy do innego świata. To, co wydawało się gładką powierzchnią, zmienia nagle charakter. Topografia próbki staje się skomplikowana. Korzystanie z mikroskopu elektronowego przypomina oglądanie zdjęć satelitarnych. Badacz siedzi w kosmosie i spogląda z góry na Ziemię, a potem porusza małym, czarnym pokrętle i nagle zbliża się do powierzchni. To jest jak spadanie. Obserwator czuje się, jakby opuszczał orbitę i grunt wybiegał mu na spotkanie. Spadanie jest jednak szybsze niż byłoby to możliwe w rzeczywistości, szybsze niż prędkość graniczna, wręcz niemożliwie szybkie. Powierzchnia staje się coraz większa i człowiek myśli, że zaraz się o nią rozbije, ale nic takiego się nie wydarza. Wszystko staje się coraz bliższe i bardziej wyraziste, lecz do katastrofy nie dochodzi. To jak w tej starej zagadce, gdy żaba w pierwszym skoku pokonuje połowę odległości, w drugim połowę pozostałej i tak dalej, lecz nigdy nie może osiągnąć celu. To właśnie jest mikroskop elektronowy. Ciągłe opadanie na obraz, bez możliwości osiągnięcia dna.

Pewnego razu zwiększyłem powiększenie do czterestu tysięcy. Czuję się jak Bóg skupiający spojrzenie. Szukałem ostatecznej, niepodzielnej prawdy. Dowiedziałem się jednego: Dno nie istnieje.

Satish i ja mamy gabinety na piętrze.

Satish jest niski i szczupły. Ma ciemnobrązową cerę i niemal chłopięcą twarz, ale jego wąsy przyprószyły już zaczątki siwizny. Jego łączące ze sobą różne elementy rysy sprawiają, że można by go wziąć za zdrowego i sprawnego syna wielu różnych narodów – Meksykanina, Libijczyka, Greka albo Sycylijskiego – dopóki nie otworzy ust. Kiedy zacznie mówić, wszystkie te możliwe tożsamości znikają i nie ulega wątpliwości, że jest Hindusem, całkowitym i stuprocentowym. To jest jak magiczna sztuczka. Nie sposób sobie wyobrazić, że mógłby być kimś innym.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, ujął moją dłoń w dwie ręce, uściśnił ją mocno, a potem klepnął mnie w ramię.

– Jak leci, przyjacielu? – zapytał. – Witaj w instytucie.

Uśmiechał się tak szeroko, że nie sposób było go nie polubić.

To właśnie Satish wyjaśnił mi, że do pracy z ciekłym azotem nigdy nie zakłada się rękawiczek.

– Pamiętaj o tym – ostrzegł. – Jeśli je włożysz, na pewno się poparzysz.

Przyglądałem mu się przy pracy. Gdy napełnił zbiorniczek mikroskopu, lodowaty dym przelał się przez brzegi, opadając ku płytkom podłogi.

Ciekły azot ma inne napięcie powierzchniowe niż woda. Jeśli kilka kropli spadnie na rękę, odbijają się od skóry i skapują w dół, niemal w nią nie wnikając, niczym kulki rtęci. Ale jeśli włoży się rękawiczki, płyn może dostać się do środka i zatrzymać między gumą a skórą.

– A to bardzo boli – dodał Satish, wypełniając zbiorniczek.

To on pierwszy zapytał mnie, czym się zajmuję.

– Nie jestem pewien – odpowiedziałem.

– Jak to możliwe?

– Możliwe – odparłem, wzruszając ramionami.

– Jesteś tutaj. Musisz mieć coś na oku.

– Nadal nad tym pracuję.

Gapił się na mnie, próbując zrozumieć implikacje tych słów. Jego obraz mojej osoby zmienił się nagle. To przypominało chwilę, gdy pierwszy raz usłyszałem jego głos. Stałem się w jego oczach kimś innym.

– Ach – odezwał się wreszcie. – Już wiem. Jesteś tym facetem ze Stanford.

– To było osiem lat temu.

- Napisałeś tę sławną pracę o dekoherencji. Jesteś tym, który przeżył potem załamanie nerwowe. Najwyraźniej Satish zwykł mówić prosto z mostu.
- Nie nazwałbym tego załamaniem.
- Skinął głową. Może zgodził się z moją opinią, a może nie.
- Nadal pracujesz nad teorią kwantów?
- Nie. Już przestałem.
- A dlaczego?
- Mechanika kwantowa z czasem wpływa na światopogląd.
- To znaczy?
- Im bardziej się w nią wgłębiałem, tym mniej wierzyłem.
- W mechanikę kwantową?
- Nie. W świat.

Są dni, gdy w ogóle nie piję. W takie dni biorę w rękę rewolwer ojca i patrzę w lustro. Przekonuję sam siebie, ile kosztowałby mnie dziś pierwszy łyk. Tyle samo, ile kosztował jego.

Są też jednak dni, gdy piję. To dni, kiedy budzę się niezdrów. Idę do łazienki i rzygam do toalety. Potrzebuję się napić tak mocno, że ręce mi drżą. Spoglądam w łazienkowe lustro i chlustam sobie wodą w twarz. Nie mówię do siebie ani słowa. Nie ma nic, w co mógłbym uwierzyć.

Rano piję wódkę, z uwagi na brak zapachu. Jeden łyk, żeby uspokoić drżenie, a drugi, by móc się ruszyć. Jeśli nawet Satish wie, nic nikomu nie mówi.

Satish pracuje nad układami. Hoduje je, w maleńkich zerach i jedynkach, w bezpośrednio programowalnej macierzy bramek Thompsona. Wewnętrzną logikę macierzy można zmienić, a on pozwolił, by nacisk doboru kształtował konstrukcję chipów. Genetyczne algorytmy powołują do istnienia kody najodpowiedniejsze do tego zadania.

- Ideały nie istnieją – oznajmił mi. – Potrzeba mnóstwa modelowania.

Nie miałem bladego pojęcia, w jaki sposób to funkcjonuje.

Satish to geniusz. Był rolnikiem w Indiach, dopóki w wieku dwudziestu ośmiu lat nie przybył do Ameryki. Zrobił w MIT dyplom z elektrotechniki. Potem nadszedł Harvard, patenty i propozycje pracy.

- Jestem tylko prostym chłopem – powtarzał. – Lubię rzucać wyzwanie ziemi.

Był niewyczerpaną kopalnią powiedzonek. Kiedy się odprężył, pozwalał sobie mówić łamaną angielszczyzną. Spędziwszy poranek w jego towarzystwie, czasami zaczynałem naśladować jego język. Z czasem nauczyłem się szanować ów żargon za jego wydajność, oszczędność i zdolność przekazywania niuansów.

- Byłem wczoraj u dentysty – opowiadał. – Mówi mi, że mam dobre zęby. A ja mu na to: „Czterdzieści dwa lata życia i pierwszy raz jestem u dentysty”. Nie potrafił mi uwierzyć.

- Nigdy nie byłeś u dentysty? – zdumiałem się.

– Nigdy. Dopiero w dwunastej klasie naszej wiejskiej szkoły dowiedziałem się, że są specjaliści lekarze od zębów. Nie chodziłem do nich, bo nie było potrzeby. Dentysta mówi, że mam dobre zęby, bez ubytków, ale na lewych trzonowcach zrobiły się plamy od żucia tytoniu.

- Nie wiedziałem, że żujesz.

– Wstydzę się tego. Żaden z moich braci nie żuł tytoniu. Tylko ja jeden w całej rodzinie to robię. Próbuję się odzwyczaić. – Satish rozpostarł dłonie w geście bezradności. – Ale nie mogę. – Dwa miesiące temu powiedziałem żonie, że przestałem, ale zacząłem znowu i nie przyznałem się jej. – W jego oczach pojawił się smutek. – Jestem złym człowiekiem.

Wbił we mnie spojrzenie.

– Śmiejesz się – stwierdził. – Czemu się śmiejesz?

Laboratoria Hansena były studnią grawitacyjną badań nad technologią. Wciąż się rozrastały jak siła natury, wykupywały inne placówki, nabywały sprzęt, wchłaniały konkurentów.

Zatrudniały wyłącznie najlepszych, bez względu na pochodzenie. To było miejsce, gdzie w pokoju socjalnym można było spotkać Nigeryjczyka rozmawiającego po niemiecku z Irańczykiem. Po niemiecku dlatego, że obaj znali ten język lepiej od angielskiego, a trzeciego wspólnego nie mieli. Większość inżynierów pochodziła jednak z Azji, ale nie dlatego, że tam rodzą się najlepsi inżynierowie. A przynajmniej nie tylko dlatego. Jest ich również więcej. W roku 2008 w Ameryce studia ukończyły cztery tysiące inżynierów. W Chinach było ich trzysta tysięcy. A Laboratoria Hansena zawsze szukały talentów.

Placówka w Bostonie była tylko jedną z wielu, ale mieliśmy największe magazyny, co oznaczało, że sporą część niewykorzystywanego sprzętu wysyłano do nas. Otwieraliśmy skrzynie. Przerzucaliśmy zapasy. Jeśli potrzebowaliśmy czegoś do badań, pisaliśmy wniosek i sprzęt należał do nas. To było przeciwieństwo uniwersytetu, gdzie za każdym razem trzeba było przedstawiać kosztorys, pisać usprawiedliwienia i błagać o nabycie sprzętu.

Większość poranków spędzałem z Satishem. Pomagałem mu przy macierzach. Podczas pracy mówił o dzieciach. Przerwę obiadową poświęcałem na grę w koszykówkę. Potem czasami zaglądałem do laboratorium Maszyny do Rzucania, by sprawdzić, co tam kombinuje. Pracował nad substancjami organicznymi, szukając alternatywnych związków, które nie powodowałyby wad wrodzonych u płazów. Poszukiwał w próbkach wody śladów kadmu, rtęci albo arsenu. Był kimś w rodzaju szamana. Badał regularności ekspresji fenotypowej u lancetników. Odczytywał przyszłość z deformacji.

– Jeśli czegoś nie zrobimy, za jedno pokolenie większość płazów wymrze – mówił.

Miał w akwariach pełno żab o zbyt wielu nogach, pozbawionych przednich kończyn albo mających ogony. Potworów.

Obok jego laboratorium znajdował się gabinet kobiety imieniem Joy. Czasami słyszała naszą rozmowę i zatrzymywała się obok, muskając ręką ścianę. Była wysoka, piękna i ślepa. Prowadziła jakieś badania nad akustyką. Miała długie włosy i wysoko ustawione kości policzkowe, a jej niebieskie oczy były tak klarowne i nieskazitelne, że w pierwszej chwili nie zorientowałem się, że nie widzi.

– Nic nie szkodzi – uspokoiła mnie wtedy. – To zdarza mi się bardzo często. – Nigdy nie nosiła ciemnych okularów ani nie używała białej laski. – Odwarstwienie siatkówki – wyjaśniła. – Kiedy miałam trzy lata.

Po południu próbowałem pracować.

Siedziałem sam w gabinecie, gapiąc się na wielką, białą tablicę pisakową. Brałem pisak, zamykałem oczy i pisałem z pamięci.

Ujrzawszy, co naskrobałem, ciskałem pisakiem na drugi koniec pokoju.

Późnym wieczorem owego dnia zajrzał do mnie James. Przystanął w drzwiach, trzymając w ręce kubek kawy, i spojrzał na walające się na podłodze papiery.

– Cieszę się, że nad czymś pracujesz – stwierdził.

– To nie jest praca.

– Przyjdzie pora i na nią.

– Nie. Nie sądzę, żeby przyszła.

– Po prostu potrzebujesz czasu.

– Czas jest tym, co tu marnuję. Twój i tego laboratorium. – Wezbrała we mnie fala szczerości. –

Nie powinno mnie tu być.

– Wszystko w porządku, Eric – zapewnił. – Pracują tu naukowcy, którzy nie mają nawet trzeciej części twoich cytowań. Zaslugujesz na miejsce u nas.

– Nie jestem taki jak przedtem. Już nie.

Przyjrzał mi się z uwagą. Do jego oczu powrócił smutny wyraz.

– Wydatki na prace badawcze odpisuje się od podatku – rzekł cichym głosem. – Przynajmniej wytrzymaj do końca kontraktu. To daje ci jeszcze dwa miesiące. Potem będziemy mogli napisać ci listy polecające.

Nocą, w pokoju hotelowym, gapiłem się na telefon, sącząc wódkę. Wyobraziłem sobie, że dzwonię do Mary. Siostra była bardzo do mnie podobna, lecz zarazem zupełnie inna. Wyobraziłem sobie jej głos na drugim końcu linii.

– Halo? Halo?

Ogarnęło mnie odrętwienie. Czuję dziwny ciężar wszystkiego, co mógłbym jej rzec: „Nie martw się o mnie. Wszystko jest w porządku”. Nie powiedziałem jednak nic. Wypuściłem telefon z rąk, gdy znowu urwał mi się film. Po kilku godzinach ocknąłem się przy barierce na balkonie. Gapiłem się na deszcz, przemoknięty do suchej nitki. Na wschodzie, nad wodą, było słychać grzmoty. Stałem w ciemności, czekając, aż życie znowu stanie się dobre.

Zrodziło się we mnie dziwne wrażenie, że mój umysł nie potrafi pomieścić mojego punktu widzenia. Wydawało mi się, że widzę siebie z zewnątrz: kanciastą sylwetkę błyszczącą w świetle sodowych lamp, oczy szare jak chmury burzowe, szare jak metal. Nie sposób odróżnić snu od jawy. Przyciąganie wspomnień ściąga mnie w dół, ponieważ gdy człowiek już się czegoś nauczy, nie może o tym zapomnieć. Darwin powiedział kiedyś, że poważna nauka matematyki daje nam dodatkowy zmysł, co jednak mamy zrobić, gdy ów zmysł zaprzecza świadectwu pozostałych?

Moja ręka zgina się w łokciu i butelka leci w ciemność. Widzę błysk, a potem słyszę trzask szkła rozbijającego się na mokrym asfalcie. Nie ma nic więcej. Wkrótce powraca pustka.

Laboratorium.

– Wczoraj w samochodzie rozmawiałem z pięcioletnią córeczką – opowiadał Satish. – I ona mówi: „Tato, proszę, nie odzywaj się”. Zapytałem ją, dlaczego. „Modlę się. Chcę, żebyś był cicho”. Potem zapytałem, o co się modli, i odpowiedziała: „Koleżanka pożyczyła ode mnie pomadkę do ust i modlę się, żeby pamiętała ją oddać”.

Satish stara się stłumić uśmiech. Jesteśmy w jego gabinecie i siedzimy za biurkiem, jedząc obiad.

– Powiedziałem jej, że może być zapominalska, tak samo jak ja – ciągnął – ale ona na to: „Nie. To już przeszło tydzień”.

Opowiadanie o pomadkach i dziecinnych modlitwach wyraźnie go bawiło. Po chwili skończyliśmy obiad.

– Codziennie jesz ryż – zauważyłem.

– Lubię go.

– Ale codziennie?

– Obrażasz mnie przyjacielu. Jestem prostym człowiekiem i muszę oszczędzać, by móc wysłać córkę do college’u. – Rozpostarł dłonie w parodii oburzenia. – Myślisz, że urodziłem się ze złotą łyżką?

Czwartego tygodnia poinformowałem go, że nie przedłużą mi zatrudnienia po okresie próbnym.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– Jesteś tego pewien? – zapytał z poważną miną.

– Ehe.

– W takim razie nie przejmuj się tym. – Poklepał mnie po ramieniu. – Czasami łódka po prostu tonie, przyjacielu.

Zadumałem się nad jego słowami.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że raz się wygrywa, a raz się przegrywa?

– Tak – potwierdził po chwili zastanowienia. – Zgadza się, tyle że nic nie mówiłem o wygrywaniu.

Piątego tygodnia pracy znalazłem skrzynkę pozostałą po Docencie. Zaczęło się od maila od Boba, faceta zajmującego się przysyłanym sprzętem. Poinformował mnie w nim, że mamy w strefie załadunku kilka skrzyń, których zawartość może mnie zainteresować. Zaopatrzone je w etykiety z napisem „Fizyka”.

Zszedłem na dół, by się im przyjrzeć. Potem wziąłem w ręce łom i zacząłem je kolejno otwierać.

W trzech skrzynkach nie było nic dla mnie ciekawego. Znalazłem tam wyłącznie odważniki, wagi oraz naczynia laboratoryjne. Czwarta była jednak inna. Gapiłem się na jej wnętrze przez długi czas.

Potem ją zamknąłem i przyklepałem pokrywę łomem. Następnie udałem się do gabinetu Boba, by sprawdzić, skąd ją przysłano. Firmę o nazwie Ingram przed kilku laty wykupił Docent, a teraz kontrolę nad Docentem przejęły Laboratoria Hansena. Skrzynia cały ten czas leżała w magazynie.

Kazałem ją przenieść do swojego gabinetu. Później tego samego dnia napisałem prośbę o przydział laboratorium, pokoju 271.

Gdy Satish wszedł do pomieszczenia, pisałem coś na tablicy.

– Co to jest? – zapytał, wskazując na nią.

– Mój projekt.

– Masz teraz projekt?

– Tak.

– To dobrze. – Uśmiechnął się i uścisnął mi dłoń. – Gratuluję, przyjacielu. Co sprawiło ten cud?

– To nic nie zmieni. Po prostu będę miał coś do roboty.

– A co to jest?

– Słyszałeś kiedyś o podwójnej szczelinie Feynmana?

– Fizyka? To nie moja dziedzina, ale słyszałem o podwójnej szczelinie Younga.

– To jest to samo, tyle że zamiast światła użyli strumienia elektronów. – Pogłaskałem stojącą na stole skrzynkę. – I detektora. On ma kluczowe znaczenie. Jego obecność wszystko zmienia.

Satish przyjrzał się skrzynce.

– I w środku jest taki detektor?

– Ehe. Znalazłem go dzisiaj, a także generator termoelektronowy.

– Generator?

– Termoelektronowy. Emituje strumień elektronów. Najwyraźniej ktoś chciał powtórzyć doświadczenie.

– Chcesz wykorzystać ten generator?

Skinąłem głową.

– Feynman kiedyś powiedział, że wszystkie zdarzenia w mechanice kwantowej można wyjaśnić

mówiąc: „Pamiętasz doświadczenie z dwiema szczelinami? To jest to samo”.

– I co zamierzasz osiągnąć tym doświadczeniem?

– Chcę zobaczyć to samo, co Feynman.

Na Wschodnim Wybrzeżu jesień przychodzi szybko. Liście drzew przybierają wszystkie możliwe kolory, a wiatr jest naprawdę zimny. W dzieciństwie, nim jeszcze wyjechałem do szkoły, często spędzałem wieczory, obozując w lesie za domem dziadka. Leżałem na plecach, gapiąc się na unoszące się w powietrzu liście.

To zapach przywołał tak silne wspomnienia. Poczulem woń jesieni, wychodząc na parking. Obok drogi stała Joy, czekająca na samochód.

Drzewa tańczyły na porywistym wietrze. Kobieta postawiła kołnierz. Nie widziała otaczającego ją piękna i przez chwilę litowałem się nad nią z tego powodu. Mieszkać w Nowej Anglii i nie móc zobaczyć liści!

Wlazłem do wynajętego samochodu i zapaliłem silnik. Nikt nie wjeżdżał na parking. Chciałem już odjechać, ale w ostatniej chwili stanąłem.

– Masz jakiś problem z podwiezieniem? – zapytałem Joy.

– Nie jestem pewna. Chyba na to wygląda.

– Podrzucić cię?

– Poradzę sobie. – Przerwała na moment. – A to nie będzie zbyt wielki kłopot?

– Nie ma sprawy. Naprawdę.

Wsiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Dziękuję – rzekła. – To spory kawałek.

– Nie mam zbyt wiele do roboty.

– Za bramą w lewo.

Wskazywała mi drogę etapami. Nie знаła nazw ulic, ale liczyła skrzyżowania, kierując mnie na autostradę. Ślepa wiodła ślepego. Mijaliśmy kolejne mile.

Boston. Miasto, które nie zapomniało o własnej przeszłości. Miasto poza czasem. Rozsypujące się brukowce i nowoczesny beton. Nazwy ulic pochodzące z czasów przed inwazją angielskich wojsk. Jadąc przez pagórkowate uliczki łatwo można sobie wyobrazić, że zgubiło się drogę.

Poza właściwym miastem wszędzie są skały i drzewa – jednobarwne sosny i kolorowe drzewa liściaste. Miałem w głowie mapę, Cape Cod wysuwający się daleko w wody Atlantyku. Położenie półwyspu sprawia, że osłania on Boston przed wiatrem, zupełnie jakby ktoś to zaprojektował – jeśli nie człowiek, to Bóg. Bóg pragnął, by w tym miejscu powstało miasto.

Tak, wiem, że domy są tu absurdalnie drogie. Tutejsza ziemia opiera się wszelkim próbom uprawy. Wystarczy ją podrapać, by zaraz ukazała się skała. Ludzie muszą coś zrobić z tymi wszystkimi kamieniami, więc budują z nich ogrodzenia.

Zatrzymałem się tuż pod domem Joy i odprowadziłem ją do drzwi. Prawie dorównywała mi wzrostem, miała chyba z metr osiemdziesiąt, i była za chuda. Gdy stanęliśmy pod drzwiami, skierowała niebieskie oczy gdzieś w dal, a potem spojrzała na mnie. Naprawdę spojrzała. Mógłbym przysiąc, że na moment mnie zobaczyła.

Potem odwróciła oczy, znowu kierując je ku odległym horyzontom.

– Na razie wynajmuję tu mieszkanie – oznajmiła. – Jak okres próbny się skończy, pewnie kupię coś bliżej instytutu.

– Nie wiedziałem, że też jesteś nowa.

– Przyjęli mnie tydzień po tobie. Mam zamiar zostać na stałe.

– Jestem pewien, że ci się uda.

– Być może – odparła. – Moje badania przynajmniej są tanie. Potrzebuję tylko własnych uszu. Czy mogę cię zwabić do środka na kawę?

– Muszę już lecieć, ale może innym razem.

– Rozumiem. – Wyciągnęła rękę. – No to do następnego razu. Dziękuję za podwiezienie.

Odwróciłem się, ale powstrzymał mnie jej głos.

– James mówi, że jesteś bardzo zdolny.

Spojrzałem na nią.

– Tak ci powiedział?

– Nie mnie. Rozmawiam z jego sekretarką. Najwyraźniej mówi o tobie bardzo często. O tym, jak byliście w college’u. Chciałam cię jeszcze o coś zapytać. Zastanawiam się nad tym już od pewnego czasu.

– Dobra.

Uniosła rękę, dotykając mojego policzka.

– Dlaczego ci najzdolniejsi zawsze są najbardziej porąbani?

Nie odzywałem się, wpatrując się w jej niezwykle oczy. Cisza się przeciągała, z każdą chwilą stając się bardziej krucha.

– Musisz uważać – odezwała się wreszcie Joy. – Na alkohol. Czasem czuję go od ciebie rano. A jeśli ja go czuję, to inni też.

– Dam sobie radę.

– Nie. Z jakiegoś powodu w to wątpię.

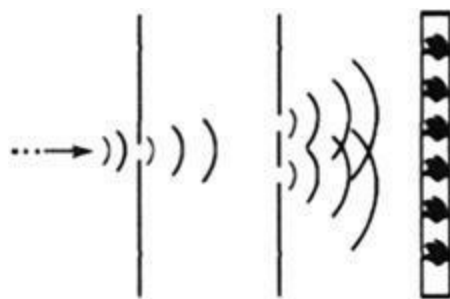
Laboratorium.

Satish przyglądał się diagramowi, który narysowałem na tablicy.

– Co to jest? – zapytał.

– Dualizm korpuskularno-falowy światła.

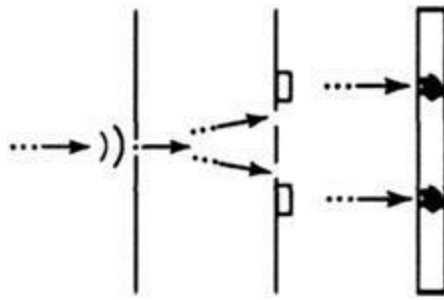
– A te linie?



– To część falowa – wyjaśniłem, wskazując na rysunek. – Jeśli skierować strumień fotonów na dwie szczeliny, fale utworzą na ekranie za nimi obraz interferencji, ponieważ ich częstotliwości znoszą się wzajemnie w pewnych odstępach. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Ale jeśli umieścić w obu szczelinach detektory – Zacząłem rysować pod pierwszym drugi diagram. – Wtedy wszystko się zmienia. W takim przypadku światło nie zachowuje się jak fala, ale jak strumień odrębnych cząstek, małych pocisków.



– Zamiast obrazu interferencji otrzymujemy dwa skupiska w miejscach, gdzie te maleńkie pociski uderzają w ekran za szczelinami – dokończyłem.

– Tak, teraz sobie przypominam – stwierdził Satish. – To wygląda bardzo znajomo. Chyba uczyłem się o tym w szkole podstawowej.

– Ja uczyłem o tym dzieci w szkole. I przyglądałem się twarzom uczniów. Ci, którzy zrozumieli, co to oznacza, naprawdę zrozumieli, zawsze sprawiali wrażenie zakłopotanych. Widziałem na ich obliczach ból wywołany uwierzeniem w coś, co po prostu nie może być prawdą.

– To sławny eksperyment. Masz zamiar go powtórzyć?

– Ehe.

– A po co? Przeprowadzano go już mnóstwo razy. Nikt ci tego nie opublikuje.

– Wiem o tym. Czytałem prace dotyczące tego zjawiska. Zdawałem z niego egzaminy i egzaminowałem innych. Rozumiem je matematycznie. Do licha, większość badań, jakie prowadziłem, opierała się na założeniach, które z niego wynikają. Ale nigdy nie widziałem tego efektu na własne oczy. – O to właśnie mi chodzi. Chcę zobaczyć.

– To jest nauka. – Satish wzruszył ramionami. – Nie musisz tego widzieć.

– Muszę – sprzeciwiłem się. – Koniecznie. Tylko ten jeden raz.

Kilka następnych tygodni minęło błyskawicznie. Satish pomagał mi przy moim projekcie, a ja odwdzięczałem mu się tym samym. Rankami pracowaliśmy w jego laboratorium, a wieczorami w pokoju 271, przygotowując doświadczenie. Problemem był ekran fosforyzujący, a potem ulokowanie generatora. Miałem wrażenie, że staliśmy się niemal partnerami. To było miłe uczucie. Przez bardzo długi czas pracowałem sam i cieszyłem się, że mam z kim porozmawiać.

Dla zabicia czasu opowiadaliśmy sobie różne rzeczy. Satish mówił o swoich problemach. To były problemy, jakie niekiedy zdarzają się dobrym ludziom wiodącym dobre życie. Mówił, że pomaga córce w odrabianiu lekcji i martwił się, jak zapłaci za jej college. Opowiadał o rodzinie, którą zostawił „tamwdomu”. Zawsze wymawiał „tamwdomu” szybko, by było wiadomo, że to jedno słowo. Mówił o polach, szkodnikach, monsunach i zniszczonych płonach.

– To będzie zły rok dla trzciny cukrowej – poinformował mnie, jakbyśmy byli farmerami, nie naukowcami. Mówił o zdrowiu matki i jej zaawansowanym wieku. Opowiadał o braciach i siostrach, bratankach i siostrzenicach, aż wreszcie zrozumiałem ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności.

– Za dużo gadam. Na pewno masz już dość mojego głosu – oznajmił, pochylając się z lutownicą nad swoimi obwodami.

– Nieprawda.

– Bardzo mi pomogłeś w pracy. Jak mogę ci się odwdzięczyć, przyjacielu?

– Forsa byłaby w sam raz – odpowiedziałem. – Wolę banknoty o wysokich nominałach.

Pragnąłem mu opowiedzieć o swoim życiu. O pracy w QSR i o tym, że dowiedziałem się tam paru rzeczy, o których wolałbym zapomnieć. Chciałem mu wyjaśnić, że wspomnienia mają przyciąganie, a

szaleństwo kolor. Że wszystkie rewolwery mają imiona i każde z nich brzmi tak samo. Pragnąłem wspomnieć, że rozumiem, dlaczego żuje tytoń; że byłem już raz żonaty, ale małżeństwo się rozpadło; że kiedyś przychodziłem na grób ojca, by przemawiać do niego cicho; że minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio czułem się naprawdę dobrze.

Jednakże mówiłem tylko o swym doświadczeniu. O tym potrafiłem rozmawiać. Zawsze tak było.

– To zaczęło się przed pół wiekiem, jako eksperyment myślowy, mający dowieść niekompletności mechaniki kwantowej – wyjaśniłem. – Fizycy uważali, że nie może ona być ostateczną teorią, ponieważ jej równania zbyt swobodnie podchodzą do rzeczywistości. Zawsze jednak pozostawała kłopotliwa sprzeczność. Zjawisko fotoelektryczne wymaga, by światło składało się z cząstek, a doświadczenie Younga dowiodło, że jest falą. Oczywiście, dopiero później, gdy nasze możliwości techniczne dogoniły teorię, okazało się, że wyniki doświadczeń zgadzają się z przewidywaniami. Teoria mówi, że można znać albo położenie elektronu, albo jego pęd, ale nigdy i jedno, i drugie. Okazało się, że to wcale nie jest metafora. Równania są śmiertelnie poważne. To nie matematyka jest popieprzona.

Satish pokiwał głową, jakby wszystko rozumiał. Później, gdy pracowaliśmy nad jego obwodami, zrewanżował mi się inną opowieścią.

– Pewnego razu guru zaprowadził czterech ksiąząt do lasu – zaczął. – Polowali na ptaki.

– Na ptaki – powtórzyłem.

– Tak. Nagle zobaczyli pięknego ptaka o jaskrawym upierzeniu, siedzącego na drzewie. Pierwszy ksiązę oznajmił: „Ja go zastrzelę”. Naciągnął łuk i wystrzelił, ale chybił. Potem drugi ksiązę spróbował trafić, ale również bez powodzenia. A po nim trzeci. Wreszcie czwarty ksiązę wypuścił wysoko strzałę. Ta trafiła w cel i piękny ptak spadł martwy na ziemię. Guru popatrzył na trzech pierwszych ksiąząt.

– W co celowaliście? – zapytał.

– W ptaka.

– W ptaka.

– W ptaka.

Potem zerknął na czwartego.

– A ty?

– W oko ptaka.

Wreszcie przygotowaliśmy cały sprzęt i pozostało nam tylko odpowiednio go ustawić. Generator należało wycelować w ten sposób, by prawdopodobieństwo przejścia elektronu przez obie szczeliny było jednakowe. Elektroniczne urządzenia, ekrany i przewody wypełniały większą część pomieszczenia.

Rankiem, w pokoju hotelowym, mówiłem do lustra, składałem obietnice oczom o barwie metalu. I jakimś cudem nie piłem.

Jeden dzień, a potem drugi. Trzeci. I piąty. Wreszcie okazało się, że nie piłem przez cały tydzień.

Prace w laboratorium nie ustawały. Gdy już rozmieściliśmy cały sprzęt, przyjrzałem się wszystkiemu raz jeszcze. Serce waliło mi mocno, jakbym stał na brzegu jakiejś uniwersalnej prawdy. Miałem ujrzeć coś, co widziało tylko niewielu ludzi w dziejach świata.

Gdy w roku 1977 wystrzelono pierwszą sondę, mającą opuścić Układ Słoneczny, na jej pokładzie znalazła się złota tabliczka z zakodowanym przekazem. Były tam wzory strukturalne związków chemicznych i równania matematyczne, a także obraz płodu, skalowanie okręgu oraz pojedyncza strona z *Ustroju świata* Newtona. Na płytce umieszczono elementy naszego systemu matematycznego,

ponieważ matematyka jest ponoć językiem uniwersalnym. Ja jednak zawsze uważałem, że powinien się tam znaleźć rysunek przedstawiający eksperyment z podwójną szczeliną Feynmana.

Dlatego że on jest bardziej fundamentalny niż matematyka. Pokazuje to, co się pod nią ukrywa. Samą rzeczywistość.

Feynman powiedział kiedyś o tym doświadczeniu, że jest sercem mechaniki kwantowej i, szczerze mówiąc, nie ma w nim nic poza tajemnicą.

W pokoju 271 były dwa krzesła, tablica suchościeralna, długi stół laboratoryjny i kilka sporych, zwyczajnych stołów. Zawiesiłem w oknach ciemne zasłony, by odciąć dopływ światła. Sprzęt zajmował większą część pomieszczenia.

Szczeliny wycięliśmy w arkuszach stalowej blachy, dzielących od siebie poszczególne obszary. Ekran umieściliśmy w prostokątnym pudełku tuż za drugim arkuszem.

Wkrótce po piątej, tuż przed wyjściem do domu, zajrzał do mnie James.

– Powiedzieli mi, że wystąpiłeś o przyznanie laboratorium – poinformował mnie.

– Ehe.

Wszedł do środka.

– Co to jest? – zapytał, wskazując na sprzęt.

– To tylko stare urządzenia z Docenta. Nikt z nich nie korzysta, więc pomyślałem sobie, że może spróbuję coś z nimi zrobić.

– A co właściwie zamierzasz osiągnąć?

– To tylko powtórzenie doświadczenia Feynmana z podwójną szczeliną, nic więcej.

Milczał przez krótką chwilę.

– Cieszę się, że czymś się zająłeś, ale czy to nie jest trochę przestarzałe?

– Dobra nauka nigdy nie jest przestarzała.

– Ale co właściwie masz nadzieję udowodnić?

– Nic – odpowiedziałem. – Absolutnie nic.

Tego dnia, gdy wykonaliśmy doświadczenie, na dworze był mróz. Dął wiatr znad oceanu i wschodnie wybrzeże kuliło się pod naporem zimnego frontu. Wziąłem się wcześniej do roboty, zostawiwszy na biurku Satisha list:

Przyjdź do mojego laboratorium o 9:00

Eric

Zjawił się w pokoju 271 wkrótce przed dziewiątą.

– Chcesz, by tobie przypadł ten zaszczyt? – zapytałem, wskazując na guzik.

Staliśmy bez ruchu w niemal całkowicie ciemnym laboratorium. Satish przyglądał się ustawionej przed nim aparaturze.

– Nie wolno ufać inżynierowi, który nie chce wejść na własny most.

– Jak sobie życzysz – odparłem z uśmiechem i nacisnąłem przycisk. Rozległo się buczenie.

Odczekałem kilka minut, nim poszedłem sprawdzić wyniki. Uniosłem pokrywę, zerknąłem do środka i zobaczyłem to, co miałem nadzieję ujrzeć. Na ekranie widniały charakterystyczne pasma obrazu interferencji. Zupełnie jak w doświadczeniu Younga, zgodnie z przewidywaniami interpretacji kopenhaskiej.

Satish spoglądał mi przez ramię. Maszyna buczała, pasma z każdą chwilą stawały się coraz wyraźniejsze.

– Chcesz zobaczyć magiczną sztuczkę? – zapytałem.

Skinał z powagą głową.

– Światło jest falą – poinformowałem go. Wyciągnąłem rękę i włączyłem detektor. Obraz interferencji natychmiast zniknął.

– Chyba że ktoś patrzy.

Interpretacja kopenhaska głosi, że rzeczywistość potrzebuje obserwatora. Bez niego nic nie może istnieć. Bez niego są tylko fale prawdopodobieństwa. Tylko możliwości.

Na potrzeby tego doświadczenia fale opisują prawdopodobieństwo, że cząstka znajdzie się w danym punkcie położonym między generatorem a ekranem. Dopóki jakaś świadomość nie wykryje jej w określonym punkcie, cząstka w praktyce podąża przez czasoprzestrzeń wszystkimi możliwymi trasami. W związku z tym, dopóki nie wykryje się, że przeszła przez jedną ze szczelin, teoretycznie może przechodzić przez obie i rzeczywiście to robi pod postacią fal prawdopodobieństwa. Te fale nakładają się na siebie w przewidywalny sposób i tworzą obraz interferencji na ekranie położonym za szczelinami. Jeśli jednak obserwator wykryje cząstkę przechodzącą przez jedną ze szczelin, będzie to znaczyło, że nie mogła przejść przez obie i obraz interferencji się nie pojawi.

Mogłoby się to wydawać sprzecznością, gdyby nie fakt, że ów obraz rzeczywiście znika, kiedy ktoś patrzy.

Powtarzaliśmy eksperyment raz po raz. Satish sprawdzał wyniki, starannie notując, przez którą szczelinę przeszły elektrony. Gdy detektory były włączone, cząstki przechodziły przez obie szczeliny mniej więcej jednakowo często i obraz interferencji się nie pojawiał.

– Skąd system wie? – zapytał Satish.

– Co skąd wie?

– Że detektory są włączone? Skąd wie, że pozycję elektronu zarejestrowano?

– Ach, wielkie pytanie.

– Czy detektory powodują coś w rodzaju elektromagnetycznej interferencji?

Potrząsnąłem głową.

– Jeszcze nie widziałeś naprawdę dziwnych rzeczy.

– To znaczy?

– W rzeczywistości elektrony wcale nie reagują na detektory, lecz na fakt, że w przyszłości odczytamy wyniki.

Popatrzył na mnie z twarzą bez wyrazu.

– Włącz z powrotem detektory – poleciłem.

Satish nacisnął guzik. Rozległo się ciche buczenie. Wróciliśmy do doświadczenia.

– Wszystko wygląda tak samo jak przedtem – stwierdziłem. – Detektory są włączone, więc elektrony powinny się zachowywać jak cząstki, nie jak fale, a bez fal nie powinno być obrazu interferencji, zgadza się?

Satish skinął głową.

– Dobra, wyłącz je.

Maszyna umilkła.

– A teraz pora na magiczną próbę – oznajmiłem. – To jest sedno. Ten właśnie obraz chcę zobaczyć.

Nacisnąłem klawisz „wyczyść”, usuwając rezultaty zarejestrowane przez detektory.

– Doświadczenie przebiegało tak samo jak wcześniej – ciągnąłem. – Detektory w obu przypadkach

były włączone. Jedyna różnica polega na tym, że skasowałem wyniki, nie patrząc na nie. A teraz sprawdź ekran.

Satish otworzył pudełko i wyjął ekran. I wtedy to zobaczyłem. Na jego twarzy. Ból uwierzenia w coś, co nie może być prawdą.

– Obraz interferencji – stwierdził. – Jak to możliwe?

– To się nazywa „wsteczna przyczynowość”. Kasując wyniki po przeprowadzeniu doświadczenia, spowodowałem, że obraz cząstek się nie pojawił.

Satish milczał przez pięć pełnych sekund.

– Czy coś takiego jest możliwe?

– Pewnie, że nie, ale sam widzisz. Jeśli świadomy obserwator nie zobaczy wyników zarejestrowanych przez detektor, urządzenie pozostaje częścią większego, nieoznaczonego układu. To nie detektor powoduje kolaps funkcji falowej, tylko świadomy obserwator. Świadomość jest jak ogromny reflektor, wywołujący kolaps rzeczywistości wszędzie, gdzie padnie jego światło. To, co nie jest zaobserwowane, pozostaje prawdopodobieństwem. Nie tylko fotony albo elektrony. Wszystko. Cała materia. To jest skaza na rzeczywistości. Wykrywalna dającym się powtórzyć doświadczeniem.

– To właśnie chciałeś zobaczyć? – zapytał Satish.

– Ehe.

– I czy kiedy ujrzałeś to na własne oczy, coś się dla ciebie zmieniło?

Zastanawiałem się chwilę nad tym pytaniem, badając własne uczucia.

– Tak – potwierdziłem. – Teraz jest znacznie gorzej.

Powtarzaliśmy eksperyment wielokrotnie. Wyniki nigdy się nie zmieniały. Całkowicie pokrywały się z tymi, które przed kilkoma dziesięcioleściami ogłosił Feynman. W ciągu dwóch następnych dni Satish podłączył detektor do drukarki. Wykonaliśmy próby, a potem nacisnąłem „drukuj” i obaj usłyszeliśmy szmer urządzenia.

Satish przerzucał kartki wydruku, jakby samą siłą woli mógł im nadać sens. Spoglądałem mu przez ramię i szeptałem do ucha.

– To jest jak niezbadane prawo natury – mówiłem. – Fizyka kwantowa jako postać statystycznego przybliżenia. Rozwiązanie problemu z pamięcią, nekającego rzeczywistość. Materia zachowuje się jak domena częstotliwości. Po co rozwiązywać pola danych, na które nikt nie patrzy?

Satish odłożył kartki i potarł powieki.

– Istnieją szkoły matematycznego myślenia utrzymujące, że pod powierzchnią naszego życia ukrywa się głębszy, implikowany porządek.

– Mamy nawet nazwę na jego określenie – stwierdził z uśmiechem Satish. – Nazywamy go Brahmanem. Wiemy o nim od pięciu tysięcy lat.

– Chcę spróbować czegoś jeszcze – powiedziałem mu. Znowu powtórzyliśmy doświadczenie. Wydrukowałem rezultaty, uważając, by na nie nie spojrzeć. Wyłączyliśmy sprzęt.

Złożyłem obie kartki wpół i schowałem do kopert. Podałem Satishowi kopertę z wynikami z ekranów, a zachowałem dla siebie tę z rezultatami zapisanymi przez detektory.

– Jeszcze nie widziałem tych wyników – zapewniłem. – To znaczy, że funkcja kwantowa nadal pozostaje w superpozycji stanów. Wydrukowaliśmy te wyniki, ale ich nie zaobserwowaliśmy, więc wciąż są częścią układu nieoznaczonego. Rozumiesz?

– Tak.

– Idź do sąsiedniego pomieszczenia. Dokładnie za dwadzieścia sekund otworzę swoją kopertę. Chcę, byś ty otworzył swoją za trzydzieści.

Satish wyszedł. Dotarliśmy do miejsca, w którym z logiki płynie krew. Stłumiłem irracjonalny przyływ strachu. Zapaliłem stojący obok palnik Bunsena i przytknąłem kopertę do płomienia. Smród płonącego papieru. Czarny popiół. Po minucie Satish wrócił z otwartą kopertą.

– Nie zajrzałeś – stwierdził, unosząc kartę. – Gdy tylko ją zobaczyłem, natychmiast zrozumiałem, że nie zajrzałeś.

– Skłamałem – przyznałem, biorąc od niego kartkę. – I przyłapałeś mnie na tym. Stworzyliśmy pierwszy na świecie kwantowy wykrywacz kłamstw. Narzędzie do wróżenia, zrobione ze światła. – Spojrzałem na papier. Na białej powierzchni widniały ciemne paski interferencyjne. – Niektórzy matematycy utrzymują, że albo wolna wola nie istnieje, albo świat jest symulacją. Jak myślisz, co jest prawdą?

– A mamy tylko taki wybór?

Ugniotłem papier w kulkę. Coś się we mnie przesunęło, coś pękło. Otworzyłem usta, ale wyszło z nich coś innego niż to, co zamierzałem powiedzieć.

Opowiedziałem Satishowi o swym załamaniu nerwowym, o pijaństwie i o szpitalu. Opowiedziałem o oczach w lustrze i o tym, co mówię sobie rano.

Opowiedziałem o gładkim stalowym, wymazującym dane przycisku, który przystawiałem sobie do głowy. Wystarczyłby jeden ruch palca wskazującego, by zapłacić za wszystko.

Satish słuchał mnie, kiwając głową. Z jego twarzy zniknął uśmiech. Kiedy przestałem mówić, położył rękę na moim ramieniu i spojrzał mi prosto w oczy.

– A więc jednak jesteś szalony, przyjacielu.

– Minęło już trzynaście dni – odparłem. – Trzynaście dni trzeźwości.

– Czy to dobrze?

– Nie, ale to najlepszy wynik od dwóch lat.

Przeprowadziliśmy doświadczenie. Wydrukowaliśmy wyniki.

Jeśli patrzyliśmy na nie, na ekranie pojawiały się ślady cząstek Jeśli nie, wzór interferencji.

Pracowaliśmy przez większą część nocy. Zbliżał się już ranek, gdy usiedliśmy na krzesłach w wypełniającym pracownię półmroku.

– Była raz sobie żaba, która mieszkała w studni – zaczął Satish.

Kiedy opowiadał historię, przyglądałem się jego twarzy.

– Pewnego dnia wieśniak opuścił wiadro do studni i wyciągnął żabę na powierzchnię. Stworzenie zamrugało, oślepienie blaskiem słońca, które widziało po raz pierwszy. „Kim jesteś?” zapytało wieśniaka. „Właścicielem tego gospodarstwa”, odparł zdumiony mężczyzna. „Nazywasz swój świat gospodarstwem?” zapytała żaba. „To nie jest odrębny świat. Nadal jesteś w tym samym świecie”, sprzeciwił się wieśniak. Żaba skwitowała to śmiechem. „Opłynęłam cały swój świat. Dotarłam do jego krańców. Północnego, południowego, wschodniego i zachodniego”, stwierdziła. „Jestem pewna, że to jest inny świat”.

Przyglądałem się Satishowi bez słowa.

– My dwaj nadal przebywamy w studni – dodał i zamknął oczy. – Czy mogę ci zadać pytanie?

– Mów.

– Nie masz ochoty się napić?

– Nie mam.

– Zaciekawilo mnie to, jak mówiłeś sobie, że się zastrzelisz, jeśli będziesz pił.

– Ehe.

– I czy w takie dni piłeś?

– Nie.

Satish przerwał, jakby zastanawiał się, co teraz powiedzieć.

– To dlaczego nie mówisz tego sobie codziennie?

– To proste – odparłem. – W takim przypadku już bym nie żył.

Później, gdy Satish poszedł już do domu, przeprowadziłem doświadczenie po raz ostatni. Schowałem rezultaty w dwóch kopertach, nie spojrzawszy na nie. Na pierwszej napisałem „wyniki z detektora”, a na drugiej „wyniki z ekranu”.

Pojechałem do hotelu. Zdjąłem ubranie. Stałem nago przed lustrem.

Dotknąłem czoła kopertą z wynikami z detektora.

– Nigdy na to nie spojrzę – zapowiedziałem. – Nigdy. Chyba że znowu zacznę pić.

Spojrzałem w swe szare oczy w lustrze i wyczytałem z nich, że mówię poważnie.

Zerknąłem na drugą kopertę. Tę z wynikami z ekranu. Ręce mi drżały.

Położyłem ją na biurku, nie przestając się na nią gapić. Czy znowu zacznę pić? To pytanie przygniatało mnie swym ciężarem. W kopertach kryła się odpowiedź.

Albo spojrzę pewnego dnia na wyniki z detektora, albo tego nie zrobię.

W drugiej kopercie albo był wzór interferencji, albo go nie było. Tak albo nie. Odpowiedź już się tam znajdowała.

Poszedłem do gabinetu Satisha, by zaczekać tam na niego. Rano przyszedł, położył teczkę na biurku, spojrzął na mnie, potem na zegar i znowu na mnie.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Czekam na ciebie.

– Jak długo?

– Od wpół do piątej.

Rozejrzał się po pokoju. Rozsiadłem się wygodnie na jego krześle, splatając palce za głową.

Satish przyglądał mi się bez słowa. Był w radosnym nastroju. Czekał.

– Potrafiłbyś podłączyć detektor do lampki kontrolnej? – zapytałem.

– Na czym miałyby to polegać?

– Czy potrafiłbyś zrobić tak, żeby lampka gasła, gdy detektor wykryje elektron przechodzący przez szczelinę?

– To nie powinno być trudne. W jakim celu?

– Chcę dokładnie określić granice układu nieoznaczonego.

Maszyna do Rzucania obejrzał doświadczenie. Przyjrzał się wzorowi interferencji.

– Widzisz jedną połowę dualizmu korpuskularno-falowego – poinformowałem go.

– A jak wygląda druga?

Włączyłem detektory. Pasma zniknęły, przechodząc w dwa wyraźnie oddzielone skupiska.

– Tak.

– Och – mruknął Chińczyk

Poszliśmy do jego laboratorium. W akwarium pływały żaby.

– One postrzegają światło, tak? – zapytałem.

– Mają oczy.

– Ale czy świadomie postrzegają światło?

– Tak, reagują na bodźce wzrokowe. To drapieżniki. Żeby polować, muszą widzieć.

– Ale czy widzą świadomie?

– Czym zajmowałeś się przedtem?

– Badaniami nad fizyką kwantową.

– Wiem – odparł Maszyna do Rzucania. – Ale czym konkretnie?

Spróbowałem go zbyć.

– Miałem sporo projektów. Półprzewodnikowe urządzenia fotoniczne. Transformacje Fouriera.

Rezonans magnetyczny w cieczy.

– Transformacje Fouriera?

– To skomplikowane równania, pozwalające przełożyć obrazy na język fal.

W ciemnych oczach Maszyna do Rzucania pojawił się gniewny błysk.

– Dobra, ale czym naprawdę się zajmowałeś? – zapytał bardzo powoli, dokładnie wymawiając każde słowo.

– Komputerami – wyjaśniłem. – Próbowaliśmy zbudować komputer. Kwantowe przetwarzanie informacji w zakresie do dwunastu kubitów. Używaliśmy transformacji Fouriera, by przetworzyć informację w fale, a fale z powrotem w informację.

– I on działał?

– W pewnym sensie. Osiągnęliśmy stan koherentny i odkodowaliśmy go za pomocą rezonansu magnetycznego.

– Tylko w pewnym sensie? To znaczy, że nie działał?

– Och, działał, z całą pewnością działał. Zwłaszcza, kiedy był wyłączony. – Spojrzałem na niego.

– W pewnym sensie.

Satish potrzebował dwóch dni, żeby poradzić sobie z lampą.

W sobotę Maszyna do Rzucania przyniósł żaby. Oddzieliliśmy zdrowe od chorych, normalne od potworów.

– Co jest z nimi nie w porządku? – zapytałem.

– Im bardziej skomplikowany system, tym więcej błędów może w nim wystąpić.

Joy była zajęta w sąsiednim pomieszczeniu. Usłyszała nasze głosy i wyszła na korytarz.

– Pracujesz w weekendy? – zapytał ją Satish.

– Wtedy jest ciszej – wyjaśniła. – Bardziej czule testy przeprowadzam, kiedy nikogo tu już nie ma.

A co z wami? Współpracujecie teraz ze sobą?

– Eric głęboko się zaangażował w ten projekt – odparł Satish. – Ja tylko płytko.

– Nad czym pracujecie? – zapytała, wchodząc za nim do laboratorium.

Zerknął na mnie i skinąłem głową.

Satish wyjaśnił jej wszystko, jak tylko on to potrafił.

– Och – odparła. Zamrugła i została z nami. Maszyna do Rzucania był naszym mechanizmem kontrolnym.

– Zrobimy to w czasie rzeczywistym – oznajmiłem mu. – Nie będzie żadnych zapisów w detektorach, tylko światło lampki. Kiedy ci powiem, patrz na lampę. Jeśli się włączy, to znaczy, że wykryto elektron. Jasne?

– Ehe, rozumiem – potwierdził Maszyna do Rzucania.

Satish nacisnął guzik i spojrzałem na ekran. Zmaterializował się na nim obraz interferencji – doskonale już mi znane pasma światła i ciemności.

– W porządku – oznajmiłem Maszynie do Rzucania. – A teraz zajrzyj do pudełka i powiedz mi, czy widzisz światło.

Spojrzał do środka. Nim jeszcze zdążył się odezwać, obraz interferencji zniknął.

– Ehe – potwierdził. – Widzę.

Uśmiechnąłem się. Poczulem dotyk granicy między znanym a nieznanym. Musnąłem ją pieszczotliwie.

Skinąłem głową do Satisha, który wyłączył generator. Spojrzałem na Maszynę do Rzucania.

– Obserwując światło, spowodowałeś kolaps fali prawdopodobieństwa. Udowodniliśmy, że zasada jest prawidłowa. – Popatrzyłem na troje obecnych. – A teraz przekonajmy się, czy wszyscy obserwatorzy są równi.

Maszyna do Rzucania włożył żabę do pudełka.

To był punkt graniczny. Otwierał się przed nami widok na miejsce, w którym obiektywna i subiektywna rzeczywistość pozostawały nieokreślone. Skinąłem głową do Satisha.

– Włącz generator.

Nacisnął przycisk i rozległo się buczenie maszyny. Spojrzałem na ekran, a potem zamknąłem oczy. Czulem, że serce wali mi w piersi. Wiedziałem, że w pudełku zapaliło się światło symbolizujące jeden z dwóch detektorów. I że żaba je zobaczyła. Gdy jednak otworzyłem oczy, na ekranie nadal widniał obraz interferencji. Żaba nic nie zmieniła.

– Jeszcze raz.

Satish włączył generator po raz drugi. I trzeci. I czwarty.

– I co? – zapytał Maszyna do Rzucania, spoglądając na mnie.

– Nadal widzę obraz interferencji. Nie było kolapsu.

– I co to oznacza? – zapytała Joy.

– Że musimy spróbować z inną żabą.

Wypróbowaliśmy sześć. Żadna nie zmieniła rezultatu.

– Żaby są częścią układu nieokreślonego – skwitował Satish.

Patrzyłem uważnie na ekran i nagle zauważyłem, że paski zniknęły. Chciałem już krzyknąć, ale uniosłem wzrok i zobaczyłem, że Maszyna do Rzucania zagląda do pudełka.

– Podejrzałeś.

– Chciałem się tylko upewnić, czy lampa działa.

– Zauważyłem to.

Poddaliśmy próbie wszystkie żaby w laboratorium. A po nich salamandry.

– Może tylko płazy? – zasugerowałem.

– Ehe, niewykluczone.

– Jak to możliwe, że my wpływamy na układ, ale żaby i salamandry nie?

– Może chodzi o nasze oczy – zastanawiał się Maszyna do Rzucania. – Na pewno tak. Efekty kwantowe w cząsteczkach rodopsyny naszych siatkówek. Nerwy wzrokowe tylko przekazują informacje do mózgu.

– Dlaczego to miałoby mieć znaczenie?

– Czy mogę spróbować? – przerwała nam Joy.

Zgodziłem się. Powtórzyliśmy eksperyment. Tym razem do pudełka zaglądały niewidzące oczy Joy. Znowu nic się nie wydarzyło.

Następnego ranka spotkałem się z Maszyną do Rzucania i Satishem na parkingu. Wsiedliśmy do mojego samochodu i pojechaliśmy do sklepu ze zwierzętami.

Kupiłem trzy myszy, kanarka, żółwia i szczenię boston terriera o płaskim pysku.

Sprzedawca gapił się na nas ze zdziwieniem.

– Lubicie zwierzęta, co? – zapytał, spoglądając podejrzliwie na moich towarzyszy.

– Ehe – potwierdziłem. – Zwierzęta.

Droga powrotna upływała nam w milczeniu mąconym tylko przez skomlenie szczeniaka.

– Może potrzebny jest bardziej skomplikowany układ nerwowy – przerwał wreszcie ciszę Maszyna do Rzucania.

– Dlaczego to miałyby mieć znaczenie? – zdziwił się Satish. – Życie to życie. Rzeczywistość to rzeczywistość.

– Jaka jest różnica między mózgiem a umysłem? – zapytałem, zaciskając dłonie na kierownicy.

– Semantyczna – stwierdził Maszyna do Rzucania. – To różne słowa na określenie tego samego pojęcia.

– Mózg to sprzęt, a umysł to oprogramowanie – sprzeciwił się Satish.

Za oknami samochodu rozciągał się krajobraz Massachusetts. Po prawej mieliśmy ścianę wysokich, skalistych wzgórz. Wielkie, ciemne głazy wyglądały jak kości ziemi, odsłonięte wskutek wieloodłamowego złamania. Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu.

Po powrocie do laboratorium zaczęliśmy od żółwia. Potem przyszła kolej na myszy i na kanarka, który uciekł i usiadł na segregatorze. Żadne ze zwierząt nie spowodowało kolapsu.

Boston terrier łypał na nas wyłupiastymi ślepiami.

– Czy jego oczy powinny tak wyglądać? – zaniepokoił się Satish. – Skierowane w różne strony?

– To chyba cecha rasy. Musi tylko zobaczyć światło. Wystarczy jedno oko.

Popatrzyłem na najlepszego przyjaciela człowieka, towarzyszącego nam od tysiącleci. W moim sercu rozkwitła skrywana nadzieja. Pomyślałem, że z pewnością ten gatunek spośród wszystkich. Któż, spojrzawszy w oczy psa, nie odniósł wrażenia, że ktoś z nich patrzy?

Szczenie skomlało głośno w pudełku. Satish przeprowadził doświadczenie. Ja patrzyłem na ekran.

Nic się nie wydarzyło.

Nocą pojechałem do Joy. Otworzyła drzwi i czekała, aż coś powiem.

– Wspominałaś o kawie?

Uśmiechnęła się. Znowu nadeszła chwila, gdy byłem pewien, że mnie widzi.

Potem, po ciemku, powiedziałem jej, że już czas, bym sobie poszedł. Przesunęła dłonią po moich nagich plecach.

– Czas nie istnieje – odparła. – Jest tylko teraz. I teraz. – Dotknęła ustami mojej skóry. – I teraz.

Następnego dnia do laboratorium przyszedł James.

– Odkryliście coś? – zapytał.

– Odkryliśmy.

Patrzył, jak przeprowadzamy doświadczenie. Osobiście dokonał kolapsu funkcji falowej.

Potem włożyliśmy szczeniaka do pudełka i powtórzyliśmy eksperyment. Pokazaliśmy Jamesowi obraz interferencji.

– Dlaczego nic się nie stało? – zapytał.

– Nie wiemy.

– Co się zmieniło?

– Tylko jedno. Obserwator.

– Nie bardzo rozumiem.

– Do tej pory żadne z poddanych próbie zwierząt nie zdołało zmienić układu kwantowego.

Uniósł dłoń do podbródka. Zmarszczył czoło. Milczał przez długi czas, gapiąc się na ekran.

– O cholera – odezwał się wreszcie.

– Ehe – poparł go Maszyna do Rzucania.

Podszedłem bliżej.

– Chcemy przeprowadzić więcej testów. Sprawdzić wszystkie typy, gromady i rzędy. Szczególnie interesują nas naczelne, ponieważ są ewolucyjnie z nami powiązane.

Jego oczy utraciły wyraz.

– Co tylko chcecie – odparł. – Dostaniecie wszelkie potrzebne środki.

Załatwienie wszystkiego zajęło dziesięć dni. Nawiązaliśmy współpracę z bostońskim zoo.

Przewóz wielkiej liczby zwierząt może się przerodzić w logistyczny koszmar, postanowiono więc, że łatwiej będzie przenieść laboratorium do zoo niż zoo do laboratorium. Wynajęto furgonetki. Przydzielono nam techników. Maszyna do Rzucania zawiesił własne badania i polecił technikowi karmić płazy pod jego nieobecność. Satish również zrobił sobie przerwę w pracy nad swym projektem.

– Nagle wydał mi się mniej interesujący – wyjaśnił.

James był obecny podczas pierwszego dnia eksperymentu.

Rozstawiliśmy sprzęt w jednym z pawilonów, będących w budowie – wysokim, zielonym budynku, w którym miały zamieszkać mundzaki. Na razie jednak zajęli go naukowcy. Satish zajmował się elektroniką, Maszyna do Rzucania kontaktami z pracownikami zoo, a ja budową większej drewnianej skrzyni.

Personel nie był zbyt skłonny do współpracy, dopóki dyrektor zoo nie wyjaśnił wszystkim, ile wynosi darowizna przekazana przez Laboratoria Hansena.

Doświadczenia zaczęliśmy w poniedziałek. Testowaliśmy kolejno przedstawicieli różnych grup ssaków – torbacze, afrotery, a także dwa przetrwałe do dziś gatunki stekowców: dziobaka i kolczatkę. Drugiego dnia przyszła kolej na szczerbaki i *Laurasiatheria*. Czwartego dnia zabraliśmy się za *Euarhontoglires*. Żadne z badanych zwierząt nie spowodowało kolapsu fali kwantowej. Piątego dnia wzięliśmy się za naczelne.

Zaczęliśmy od najdalej spokrewnionych z ludźmi.

Sprawdziliśmy małpiatki i małpy Nowego Świata. Potem małpy Starego Świata. Na koniec przeszliśmy do małp człekokształtnych. Szóstego dnia zajęliśmy się szympanсами.

– Istnieją dwa gatunki – wyjaśnił nam Maszyna do Rzucania. – *Pan paniscus*, potocznie zwany bonobo, i *Pan troglodytes*, szympanś zwyczajny. Są do siebie tak podobne, że gdy przed drugą wojną światową uczeni w końcu się zorientowali, że to nie jest jeden gatunek, w ogrodach zoologicznych były już beznadziejnie ze sobą pomieszane. – Pracownicy zoo wprowadzili do środka dwa młodociane osobniki, prowadząc je za ręce. – Ale podczas wojny znaleziono sposób, by je rozdzielić – ciągnął Chińczyk. – To było w Niemczech, w parku zwierząt Hellabrun pod Monachium. Bombardowanie zniszczyło większą część miasta, ale ogród zoologiczny nie ucierpiał. Kiedy pracownicy wrócili, okazało się, że ocalały tylko szympansy zwyczajne. Wszystkie bonobo padły ze strachu.

Włączyliśmy maszynę. Rozległo się buczenie. Sprawdziliśmy oba gatunki. Powtórzyliśmy doświadczenie po raz drugi, a potem trzeci, ale obraz interferencji nie zniknął. Nawet szympansy nie powodowały kolapsu.

– Jesteśmy samotni – skwitowałem. – Zupełnie samotni.

Był już późny wieczór. Maszyna do Rzucania spacerował po laboratorium.

– To jak szukanie każdej cechy wyróżniającej – mówił. – Szuka się homologii w taksonach siostrzanych. Porządkuje się kłady, kataloguje synapomorfie, identyfikuje formy nienależące do grupy.

– A kto do niej nie należy?

– Jak ci się zdaje? – Maszyna do Rzucania zatrzymał się. – Najwyraźniej zdolność do powodowania kolapsu funkcji falowej jest cechą, która rozwinęła się w naszym gatunku w ciągu kilku ostatnich milionów lat.

– A co było przedtem?

– Słucham?

– Czy do tego czasu Ziemia po prostu tkwiła sobie w nieoznaczonej rzeczywistości, czekając, aż raczymy się zjawić?

Napisanie artykułu zajęło mi kilka dni. Podałem Satisha i Maszynę do Rzucania jako współautorów.

Gatunki i kolaps funkcji falowej

Eric Argus. Satish Gupta. Mi Chang. Laboratoria Hansena, Boston.

Streszczenie

Liczne badania wykazały, że podstawowym stanem układów kwantowych jest superpozycja stanów. Już od dawna wiadomo, że do spowodowania kolapsu funkcji falowej potrzebna jest subiektywna obserwacja przez świadomy umysł. Celem niniejszego badania było zidentyfikowanie taksonów zdolnych do spowodowania kolapsu przez obserwację oraz stworzenie drzewa filogenetycznego, mającego wyjaśnić wzajemne zależności między owymi grupami taksonomicznymi. Gatunki niezdolne do spowodowania kolapsu można uważać za część większego układu nieokreślonego. Próby wykonano w bostońskim ogrodzie zoologicznym na przedstawicielach najrozmaitszych rzędów ssaków. Udało się nam stwierdzić, że ludzie są jedynym poddanym próbom gatunkiem zdolnym do spowodowania kolapsu fali kwantowej i złamania stanu superpozycji. Wszystko wskazuje na to, że jest to cecha charakterystyczna naszego gatunku. Owa zdolność najprawdopodobniej wykształciła się w ciągu ostatnich sześciu milionów lat, odkąd rozeszły się drogi ewolucyjne ludzi i szympanów.

James przeczytał streszczenie i przyszedł do mojego gabinetu.

– Ale co właściwie oznaczają te rezultaty? – zapytał.

– Mają takie znaczenie, jakie zechcesz im nadać.

Potem wydarzenia potoczyły się szybko. Pracę opublikowano w *The Journal of Quantum Mechanics* i rozdzwoniły się telefony. Pojawiły się prośby o wywiady i recenzje. Nasze doświadczenia powtórzono w kilkunastu laboratoriach. Najbardziej zwariowane były jednak interpretacje. Trzymałem się od nich z daleka. Interesowały mnie wyłącznie fakty. Nie zgadzałem się na wywiady.

Tymczasem Satish pracował nad udoskonaleniem doświadczenia. Jego uproszczeniem,

zminimalizowaniem, nadaniem mu postaci cyfrowej. Uczynieniem z niego produktu zwanego podwójną szczeliną Hansena. Kiedy skończył, eksperyment skurczył się do rozmiarów bochenka chleba. Jego wyniki każdy mógł odczytać bez trudu. Zielone światełko na „tak” i czerwone na „nie”. Zastanawiam się, czy znał już wtedy prawdę. Czy już podejrzewał, jaki użytek z tego zrobią?

– Nie chodzi o to, co wiemy, ale o to, co jest poznawalne – stwierdził.

Porzucił swoje macierze bramkowe. Nad jego stanowiskiem roboczym znalazłem przyklejony do ściany cytat wydarty ze starej książki:

Czy to możliwe, by zwierzęta były po prostu rasą doskonalszych marionetek, które jedzą, nie czując przyjemności, krzyczą, nie czując bólu, niczego nie pragną, o niczym nie wiedzą, i posiadają tylko symulowaną inteligencję? Thomas Henry Huxley, 1859

Wiosną lekarz nazwiskiem Robbins zawiadomił nas w serii listów, że jest zainteresowany projektem. Listy przeszły w telefony od prawników, takich, którzy świadczyli o grubym portfelu. Robbins pracował dla konsorcjum, w którego interesie leżało ustalenie raz na zawsze, w którym momencie ludzki płód uzyskuje świadomość.

Laboratoria Hansena twardo odmawiały współpracy aż do chwili, gdy suma zrobiła się siedmiocyfrowa.

Wtedy James przyszedł do mnie.

– On chce, żebyś dla nich pracował.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Robbins prosił o ciebie z nazwiska.

– Mam to gdzieś. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jeśli chcesz, możesz mnie wylać.

James uśmiechnął się ze znużeniem.

– Wylać cię? Gdybym to zrobił, moi szefowie zaraz wylaliby mnie. – Westchnął. – Ten Robbins to prawdziwy kutas, wiesz?

– Ehe, wiem. Widziałem go w telewizji.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że nie ma racji.

– Jasne. O tym też wiem.

Laboratoria Hansena dostarczyły techników potrzebnych do przeprowadzenia testów. Na tydzień przed ich rozpoczęciem zadzwonił telefon. Spodziewałem się tego. To był sam Robbins.

– Jest pan pewien, że nie zdołamy pana przekonać?

– Tak. Nie sądzę, by to było możliwe.

– Jeśli chodzi o pieniądze, mogę pana zapewnić...

– Nie chodzi.

Nastała chwila przerwy.

– Rozumiem – stwierdził wreszcie. – Niemniej chciałbym panu podziękować osobiście. Osiągnął pan coś wielkiego. Pańska praca uratuje życie wielu ludzi.

– Skąd pan wziął matki? – zapytałem po dłuższym milczeniu.

– To wszystko ochotniczki, poświęcające się dla sprawy. Wyjątkowe kobiety. Jesteśmy wielką kongregacją, obejmującą cały kraj. Dzięki temu udało się nam znaleźć grupkę ochotniczek w każdym z trymestrów ciąży, choć nie sądzę, byśmy potrzebowali więcej niż jednej kobiety, by określić czas, w którym dziecko posiada duszę. Nasza najmniej zaawansowana matka jest w ciąży dopiero od kilku tygodni.

Następne pytanie sformułowałem bardzo ostrożnie.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, że podejmują ryzyko?

– W doświadczeniu uczestniczy całe mnóstwo lekarzy, a medyczni eksperci ustalili już, że procedura nie jest bardziej ryzykowana od amniocentezy. Dioda, wprowadzana do płynu owodniowego, nie przekracza rozmiarami igły.

– Jeszcze czegoś nie rozumiem... płód ma zamknięte oczy.

– Wolę określenie „dziecko” – oznajmił. Jego głos przybrał nagle pełen napięcia ton. – Powieki dziecka są cieniutkie, a dioda świeci bardzo jasno. Nie wątpimy, że dziecko zdoła ją zauważyć. Będziemy tylko musieli zarejestrować kolaps funkcji falowej i zdobędziemy ostateczny dowód, który pozwoli nam zmienić prawo, położyć kres pladze aborcji pustoszącej ten kraj.

Odłożyłem słuchawkę. Przyjrzałem się jej. Plaga aborcji. Nigdy nie ufałem ludziom uważającym, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania. Fanatyzm, po obu stronach każdego podziału, zawsze wydawał mi się niebezpieczny. Podniosłem słuchawkę.

– Myśli pan, że to takie proste?

– Tak. W której chwili zaczyna się ludzkie życie? Spór zawsze szedł o to, nieprawdaż? Gdy w końcu zdołamy udowodnić, że aborcja to morderstwo, któż będzie się sprzeciwiał? Czuję, że nie lubi mnie pan zbyt.

– Nie mam nic przeciwko panu. Ale jest takie stare powiedzenie: „Nigdy nie ufaj człowiekowi, który zna tylko jedną książkę”.

– Jedna książka całkowicie wystarcza, pod warunkiem, że jest odpowiednia.

– Zastanawiał się pan, co robi, gdyby się okazało, że nie ma pan racji?

– Nie rozumiem.

– Jeśli się okaże, że kolaps funkcji falowej nie zachodzi przed dziewiątym miesiącem ciąży? Albo nawet przed magiczną chwilą narodzin? Czy w takim przypadku zmieni pan zdanie?

– To się nie zdarzy.

– Może i tak – odparłem. – Wkrótce się przekonamy nieprawdaż?

Nocą przed przeprowadzeniem doświadczenia zadzwoniłem do Maszyny do Rzucania. Mogłem z kimś pogadać albo pić, a tego drugiego robić nie chciałem. Wiedziałem, że jeśli przełknę choć jeden łyk, już nigdy nie przestanę pić. Nigdy.

Odebrał telefon przy piątym sygnale. Jego głos wydawał się odległy.

– Co się wydarzy jutro? – zapytałem.

Nastała długa cisza. Tak długa, że zastanawiałem się, czy w ogóle mnie usłyszał.

– Nie jestem pewien – odparł wreszcie znużonym, ochryplym głosem. Najwyraźniej nie spał zbyt dobrze. – Ontogeneza jest powtórzeniem filogenezy – ciągnął. – W odpowiednio wczesnej fazie ciąży mamy skrzela i ogon. Korzenie całego królestwa zwierząt. W miarę postępującego rozwoju płód wspina się po drzewie filogenetycznym, a najnowsze cechy pojawiają się najpóźniej. To, czego szuka Robbins, występuje tylko u ludzi. Intuicja mówi mi, że Robbins się myli i ta cecha ujawnia się późno. Naprawdę późno.

– Myślisz, że tak właśnie to działa?

– Nie mam pojęcia, jak to działa.

Dzień doświadczenia przyszedł i minął.

Pierwszym znakiem świadczącym, że coś poszło nie tak, była cisza. Grupa Robbinsa milczała. Media również. Nie było konferencji prasowych ani wywiadów w telewizji. Tylko cisza.

Mijały dni, a potem tygodnie.

Wreszcie grupa wydała zwięzłe oświadczenie, mówiące, że wyniki są nierozstrzygające. Kilka dni później Robbins oznajmił otwarcie, że mechanizm przeprowadzania testów okazał się zawodny.

Prawda rzecz jasna wyglądała dziwniej. I wyszła na jaw znacznie później.

W rzeczywistości niektóre płody przeszły test z powodzeniem, zgodnie z nadziejami Robbinsa. Niektóre powodowały kolaps funkcji falowej. A inne nie. I okres ciąży nie miał z tym nic wspólnego.

Dwa miesiące później pośrodku nocy usłyszałem dźwięk telefonu.

– Znaleźliśmy jednego w Nowym Jorku – oznajmił Satish.

– Słucham?

Potarłem powieki, starając się zrozumieć jego słowa.

– To chłopiec. Dziewięcioletni. Nie spowodował kolapsu funkcji falowej.

– Co jest z nim nie w porządku?

– Nic. Jest zupełnie zwyczajny. Normalny wzrok, normalna inteligencja. Odbyłem z nim rozmowę.

Testowaliśmy go pięć razy, ale obraz interferencji nie zniknął.

– Jak zareagował, kiedy mu powiedzieliście?

– Nie powiedzieliśmy mu. Stał tam tylko i gapił się na nas.

– Gapił się?

– Miałem wrażenie, że już wie. Że od początku wiedział, że się nie uda.

Lato przeszło w jesień. Próby trwały dalej.

Satish wędrował po kraju, szukając nieuchwytnego, idealnego przekroju oraz próbki o rozmiarach odpowiednich dla testu chi-kwadrat. Gromadził dane i przysyłał faksem kopie do laboratorium.

Ostatecznie okazało się, że bardzo wielu ludzi nie potrafi spowodować kolapsu funkcji falowej. To był stały procent populacji. Wyglądali i zachowywali się jak my, ale brakowało im tej fundamentalnej cechy człowieczeństwa. Choć Satish uważał, by nie używać terminu „dusza”, słyszeliśmy go w przerwach między słowami, które wypowiadał, dzwoniąc do nas późną nocą. Słyszeliśmy go w tym, czego nie mówił.

Podczas owych rozmów wyobrażałem sobie, jak siedzi w ciemnym hotelowym pokoju, walcząc z nasilającą się bezsennością i coraz silniejszą samotnością wywołaną tym, co robił.

Maszyna do Rzucania szukała pocieszenia w wymyślnych drzewach filogenetycznych, z których konstruował swe kladogramy. Nie znalazł go jednak.

– Nie ma żadnej krzywej rozkładu statystycznego częstości – skarżył się. – Nie ma geograficznego epicentrum, nierównowagi między etnograficznymi populacjami. Nie ma nic, czego mógłbym się uchwycić.

Ślęczał nad zebranymi przez Satisha danymi, poszukując jakichś regularności, które mogłyby nadać sens temu wszystkiemu.

– To jest niemal losowe – stwierdził. – Nie zachowuje się jak normalna cecha.

– To może nią nie jest?

Potrząsnął głową.

– W takim razie czym są ci ludzie? Czymś w rodzaju zbioru pustego? Niegrającymi postaciami w układzie nieoznaczonym? Elementem gry?

Satish miał własne pomysły.

– Dlaczego nie żaden z uczonych? – zapytałem go pewnej nocy. – Jeśli to losowe, czemu nie któryś z nas?

– Jeśli są częścią układu nieoznaczonego, dlaczego mieliby zostawać naukowcami?

– Nie rozumiem.

– Oni są jak konstrukty wirtualne – wyjaśnił Satish. – Pisze się kod, algorytm reakcji. A potem nakręca się ich i puszcza w ruch.

– To szaleństwo.

– Nie ja wymyśliłem zasady.

– Czy kiedy patrzą na twoje światełko, w ogóle wiedzą, czego u nich szukamy? Czy wiedzą, że są inni?

– Jeden z nich. – Umilkł na chwilę. – Jeden z nich wiedział.

Po kilku dniach zadzwonił znowu. Z Denver. To była nasza ostatnia rozmowa.

– Myślę, że nie mieliśmy tego zrobić – rzekł dziwnie ochrypłym głosem.

Potarłem powieki, siadając w łóżku.

– Myślę, że nie mieliśmy przeprowadzić takiego doświadczenia – uściślił. – To skaza w rzeczywistości, o której wspominałem... Myślę, że nie spodziewano się, że wykorzystamy ją w ten sposób. Że przeprowadzimy test.

– O czym ty mówisz?

– Znowu widziałem się z chłopcem. Tym z Nowego Jorku.

Odłożył słuchawkę.

Dziesięć dni później Satish zniknął, razem ze swym specjalnym pudełeczkiem. Wsiadł do samolotu odlatującego do Bostonu, ale nie dotarł na miejsce. Byłem w laboratorium, gdy zadzwoniła jego żona.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie odzywał się już od wielu dni. Dobra, zadzwonię, gdy tylko coś usłyszę.

Płakała do słuchawki.

– Jestem pewien, że nic mu się nie stało – skłamałem.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem płaszcz i ruszyłem ku drzwiom. Kupiłem trzy czwarte litra wódki i pojechałem do hotelu.

Spojrzałem w lustro.

Oczy szare jak chmury burzowe, szare jak metal.

Odkręciłem zakrętkę i poczułem zapach. Za cienkimi ścianami grała muzyka, kobieta śpiewała jakąś spokojną piosenkę. Wyobraziłem sobie, że moje życie mogłoby wyglądać inaczej. Że mógłbym się teraz zatrzymać. Nie wypić pierwszego łyku.

Ręce mi drżały.

Przełknąłem pierwszy haust i oczy zaszły mi łzami. Potem uniosłem butelkę i zacząłem ciągnąć z gwinta. Próbowałem przywołać wizję. Wyobrazić sobie, że Satish jest szczęśliwy i zdrowy, że siedzi gdzieś w barze, pracując nad trzydniowym ciągiem. Obraz nie chciał się jednak zjawić. To mógłbym być ja, ale nie Satish. On nie pił. Spróbowałem sobie wyobrazić, że wraca do domu. To również okazało się niemożliwe.

Zapytałem go, czy wiedzą, że są inni, a on odparł, że jeden z nich wiedział.

Gdy butelka była w połowie pusta, podszedłem do biurka i wziąłem w rękę kopertę z napisem „wyniki z ekranu”. Potem spojrzałem na pistolet. Wyobraziłem sobie, co pocisk kalibru 357 robi z czaszką. Pozostawi w niej wielką dziurę. Odsłoni miejsce, gdzie mieszka jaźń, wystawi ją na działanie powietrza, w którym wyparuje niczym płynny azot. Zaskwierczy, buchnie parą i zniknie.

Rewolwer mógł dokonać wielu rzeczy. Między innymi był narzędziem umożliwiającym powrót do ukrytego porządku. Snu wewnątrz snu.

Im bardziej skomplikowany system, tym więcej błędów może w nim wystąpić. Tak powiedział Maszyna do Rzucania.

Błędy czasem się zdarzają. Światło reflektora. Małe źródła kolapsu funkcji falowej. Ludzie nie mogą ujrzeć rzeczywistości takiej, jaką jest ona naprawdę. To nasza obserwacja powołuje ją do istnienia. Co jednak, jeśli można kierować tym reflektorem, skupić jego blask na jednym punkcie, zajrzeć w głąb ukrytego porządku? Co byśmy wtedy zobaczyli? Gdybyśmy mogli się wśliznąć między warstwy subiektywnego i obiektywnego? Co wtedy? Być może zawsze istnieli tacy ludzie. Błędy. Być może zawsze chodzili między nami, ale nie byli tacy jak my. A teraz mamy test, który pozwoli nam ich identyfikować.

A może oni tego nie chcą.

Wyjąłem kartkę z koperty i rozłożyłem ją na biurku. Spojrzałem na wyniki i w końcu spowodowałem kolaps fali prawdopodobieństwa zrodzonej z eksperymentu przeprowadzonego przez kilka miesięcy. Choć oczywiście rezultaty cały czas czekały w kopercie.

Gapiłem się na to, co było na papierze, serię zamazanych półokręgów, świetnie mi już znany wzór światła i ciemności.

Przełożył Michał Jakuszewski

Przynęta doskonała

I.

Nawet zawodowi złodzieje potrzebują czasem wolnego. Dla mnie były to wtorkowe wieczory, gdy odkładałem plany budynków i grafiki pracy strażników, by zagrać w rzutki w pubie „Trzech Giermków”. Thomas Thickett, mój wspólnik, doskonale wiedział, że można mi wówczas przeszkadzać tylko w naprawdę nagłych przypadkach. Dlatego też, kiedy wpadł do pubu, machając dla zwrócenia mojej uwagi białą broszurą, przerwałem grę i przeszliśmy do spokojniejszego kąta lokalu.

– Kazałeś się natychmiast poinformować, w razie gdybym trafił na coś z twojej listy, szefie – wysapał Thicks. – Zerknij na pozycje numer siedem, jedenaście i trzynaście, zaznaczyłem je.

– Dzięki. – Nie przeszkadzało mi, że Thicks mówi do mnie „szefie”, zostało mu to z czasów, gdy pracował jako taksjarsz. Zazwyczaj zwracał się tak do pasażerów, więc w pierwszej chwili mogło się wydawać bezosobowe, ale że często zmuszony byłem pod wpływem chwili przyjmować fałszywe nazwiska, zwrot taki jak „szefie” zmniejszał szanse na użycie niewłaściwego imienia w niewłaściwym czasie.

Wziąłem od Thicksa broszurę, katalog aukcyjny Winters Auction House, prezentujący kolekcję zatytułowaną „Romans mitów i klejnotów”. Zdjęcie na okładce przedstawiało kobietę z kolczykiem, w który wprawiona była cudownej urody połówka perły. Wstrzymałem oddech. Czy możliwe, by była to druga połowa Perły Kleopatry?

Uniosłem katalog do światła, by lepiej widzieć i otworzyłem na pozycji numer siedem, przyglądając zagięty róg strony, na której widniało powiększone zdjęcie kolczyka z okładki.

POZYCJA 7

KOLCZYK WISZĄCY ZE ZŁOTA 14K, Z PERŁĄ, „PERŁA KLEOPATRY”, ok. I wieku p.n.e. 40 000-50 000 GBP OPIS

Biała połówka perły w kształcie kropli, o przybliżonych wymiarach 37 x 22 mm, osadzona w 14-karatowym złocie.

NOTA KATALOGOWA

Kleopatra posiadała dwie największe perły świata antycznego. Według Pliniusza Starszego założyła się z Markiem Antoniuszem, iż wyda dziesięć milionów sestercji na posilek, po czym rozpuściła jeden ze swych perłowych kolczyków w pucharze octu winnego. Druga z perł została rozdzielona na pół i wprawiona w kolczyki posągu Wenus w rzymskim Panteonie. Kolczyk wystawiony na aukcję może być jedną z zaginionych połówek Perły Kleopatry.

Przedmiot posiada certyfikat SSEF nr 101007 potwierdzający, iż jest to perła naturalna.

Kolczyk na zdjęciu faktycznie mógł być bliźniakiem tego, który ukradłem Pszczole czterysta lat temu.

Podszedł do nas człowiek, z którym grałem w rzutki, okularnik w średnim wieku z szelmowskim uśmiechem na ustach.

– Co z naszym meczem, Felix? Gotowy się poddać?

– Nie licz na to. – Cholera, to ja wymyśliłem rzutki w czternastym wieku. Doprowadziłem koordynację wzrokowo-ruchową tego ciała niemal do perfekcji, więc trafienie w dziesiątkę i

wygrana były dla mnie kwestią wyłącznie odruchów. – Hal, poznaj Thomasa Thicketta, mojego partnera w interesach. Thicks, to doktor Hal Russell, główny kustosz Działu Starożytnego Egiptu i Sudanu w British Museum.

– Proszę mi mówić Thicks, doktorze – rzucił Thickett, po czym uścisnęli sobie dłonie. Gdyby Hal wiedział, czym obecnie zajmuje się Thicks, pewnie by się zastanowił, czy podać mu rękę. Każdy dobry złodziej potrzebuje zaufanego pasera i Thicks właśnie był dla mnie kimś takim. Choć nazwanie Thicksa paserem byłoby jak nazwanie chirurga rzeźnikiem. W młodości pracował jako londyński taksówkarz, ale przypadek sprawił, że zajął się paserką i okazało się, iż ma do tego dryg. Teraz był już po pięćdziesiątce i należał do czołówki europejskich „załatwiaczy” tej branży. Dzięki swym niezliczonym kontaktom zarówno na legalnych, jak i czarnych rynkach, w niewiarygodnie krótkim czasie był w stanie zorganizować kupno, sprzedaż, przemyt i podróbkę dosłownie wszystkiego.

Z kolei Hal został moim przyjacielem dość niespodziewanie. Zaprzyjaźniłem się z nim, by poznać słabe punkty obecnego systemu ochrony British Museum i dla niego byłem Felixem Lea, marszandem i właścicielem Arlequin Gallery w Mayfair. Jednak przez te kilka miesięcy, gdy go poznawałem, zaimponował mi swoją życzliwością, pasją, z jaką podchodził do pracy i niezrównaną pamięcią do mało znanych ciekawostek historycznych. Zwyczajnie nie miałbym serca go okraść.

– Wielkie nieba! Nowy katalog Wintersa! – Hal zerknął na otwartą stronę. – Perła Kleopatry? Absurd. Nie ma jak potwierdzić autentyczności tego kolczyka. Dlatego właśnie dom Wintersa nie stanie się nigdy drugim Sothebys czy Christie’s. Tylko głupcy mogą się nabrać na te ich oburzające historyjki.

Głupcy lub nieśmiertelni, dodałem w myślach, choć czasem ciężko ich od siebie odróżnić.

– No nie wiem – stwierdził Thicks, wracając z baru z dużym guinnessem. – Każdy chyba lubi, gdy z ich zabawkami wiąże się jakaś ciekawa opowieść?

Hal wzruszył ramionami.

– Beznadziejny romantyk z ciebie. Proszę bardzo, zapłać jakąś niebotyczną kwotę za pochodzenie, którego nie sposób dowieść. Pieniądze się głupców nie trzymają.

– Ludzie chcą wierzyć w mity i legendy – powiedziałem. – Wolno im. Nikomu nie dzieje się przez to krzywda.

Thicks sięgnął do katalogu i otworzył go na stronie z pozycją numer jedenaście.

– I jeszcze to.

Była to znana mi, złota maska pogrzebowa. Sądziłem, że ten skarb również przypadł wraz ze śmiercią Pszczoły.

– No, to może być autentyk – oznajmił Hal, poprawiając okulary, by lepiej się przyjrzeć zdjęciu. – Według mnie to okres Nowego Państwa. Na Boga, twierdzą, że to lite złoto. Gdzie do diabła to wygrzebali?

– Też chciałbym wiedzieć. – Dwa przedmioty z osławionego skarbu Pszczoły jakimś cudem trafiły na aukcję. Czy mógł tam być również Klejnot Elsynoru?

Przewróciłem stronę na pozycję numer trzynaście.

POZYCJA 13

PLATYNOWY WISIOREK Z DIAMENTAMI I PERŁĄ, „KLEJNOT ELSYNORU”, ok. 1897 r. 50 000-60 000 GBP OPIS
W środek wisiorka, w stylizowaną, platynową, spiralną muszlę wysadzaną diamentami o szlifie poduszkowym, ósemkowym i rozetowym, wprawiona jest biała perła (ok. 34 mm), łańcuszek pochodzi z późniejszego okresu (dł. ok. 445 mm). NOTA KATALOGOWA

Spektakularna spiralna muszla przypisywana jest Philipowi Wolfersowi (1858-1929), belgijskiemu jubilerowi, synowi Louisa Wolfersa z Wolfers Freres, Court Jewellers. Wisiorek, oznaczony jego monogramem i znakiem „ex unique”, dotyka także charakterystycznego dla tego jubilera secesyjnego tematu metamorfozy.

Z nieskazitelną perłą, spoczywającą w platynowej spirali, wiąże się osobna legenda. W środowiskach teatralnych powtarza się opowieść o tym, jak pod koniec życia Elżbiety I grupa aktorska Szekspira, Trupa Lorda Szambelana, na osobistą prośbę królowej wystawiła dla niej „Hamleta”. Monarchini była tak wzruszona przedstawieniem, że podarowała Szekspirowi doskonałą, białą perłę, by w tajemnicy zastąpił nią rekwizyt wykorzystywany w ostatnim akcie. Tajemna perła królowej – Klejnot Elsynoru – krążyła w kręgach teatralnych aż do dziewiętnastego wieku, kiedy to została zgubiona w trakcie „Hamleta” granego w Drury Lane przez wielkiego tragika, Edmunda Keana. W końcu jednak Klejnot powrócił na światową scenę. Przedmiot posiada certyfikat SSEF nr 101008 potwierdzający, iż jest to perła naturalna.

Hal postukał palcem w notę katalogową.

– Proszę bardzo, kolejna niedorzeczność, nijak mająca się do faktów historycznych. Ostatnią sztuką Szekspira, jaką widziała królowa Elżbieta I przed śmiercią, był „Sen nocy letniej”, a nie „Hamlet”!

Choć Hal zazwyczaj miał rację w kwestii tego typu szczegółów, tym razem się mylił. W 1603 roku byłem na scenie i grałem rolę Pierwszego Grabarza przed Glorianą, Królową Dziewicą, więc aż za dobrze znałem sekret tej perły. Jednakże nie wyprowadzałem go z błędu, tylko przejrzałem szybko resztę katalogu. Zauważyłem jeszcze kilka przedmiotów z kolekcji Pszczoły oraz przedmioty związane z tym, czy innym mitem, takie jak figurka Minotaura z brązu, czy popiersie Meduzy.

– Spójrz tu, szefie. – Thicks wskazywał informację o gali zaplanowanej na najbliższy piątek, podczas której miały zostać zaprezentowane skarby. Oglądać można je było od piątku do niedzieli, a sama aukcja miała się odbyć w poniedziałek wieczorem. – Wybierzemy się?

Jeśli te dzieła sztuki nie były falsyfikatami, ktoś musiał odnaleźć skrytkę Pszczoły i teraz wystawiał znalezione tam przedmioty na aukcję. Ten, kto to zrobił, mógł wiedzieć, jaką pokusę stanowi dla mnie Klejnot Elsynoru. Czyżby była to przynęta mająca wyciągnąć mnie z ukrycia?

– Kuszająca propozycja – przyznałem.

Hal wyciągnął z kieszeni sfatygowany notes i zapisał daty.

– Zamierzasz tam iść, Hal? – spytałem. – Myślałem, że nie wierzysz w ich opowieści.

– W większości przypadków, ale maska pogrzebowa to co innego. Gdyby okazała się autentyczna, zdobycie jej dla muzeum byłoby nie lada wyczynem – wyjaśnił Hal. – Naturalnie wpierw muszę ją obejrzeć, no i mieć nadzieję, że wystarczy funduszy w moim budżecie zakupów. Fakt, potrzebny mi będzie cud, by uzyskać zgodę zarządu do poniedziałku, ale nie zaszkodzi się rozejrzeć, prawda?

– Święta prawda. – Sam również musiałem potwierdzić autentyczność klejnotów. – Obawiam się, że mamy z Thicksem kilka pilnych spraw do omówienia, Hal. Do zobaczenia w piątek u Wintersa.

– Na pewno się tam spotkamy, ale co z naszym meczem? – spytał Hal.

Zupełnie o nim zapomniałem, a ostatnią rzutkę w roztargnieniu schowałem do kieszeni.

Jednym płynnym ruchem ją stamtąd wyjąłem i posłałem między kilkoma zdumionymi bywalcami knajpy w sam środek tarczy.

Hal przyglądał się temu z niedowierzaniem.

– Cholerny farciarz! – wymamrotał.

– Następną kolejkę stawia Hal! – krzyknąłem do barmana i wyszedłem z Thicksem prosto w noc.

II.

Po wyjściu z „Trzech Giermków”, Thicks zapytał o historie z katalogu.

– Doktor Russell ma rację, że to wymyślił? To znaczy, bardzo bym chciał, żeby to była prawda.

Ruszyliśmy na wschód Formosa Street w kierunku mojego mieszkania przy Warrington Crescent,

oddychając głęboko nocnym, czerwcowym powietrzem.

– Mój drogi Thicksie, nie umieściłbym ich na liście poszukiwanych przedmiotów, gdybym nie wierzył w prawdziwość tych historii – stwierdziłem. – Pytanie tylko, czy to falsyfikaty, czy też prawdziwa kolekcja Pszczoły?

– Chyba wcześniej nie wspominałeś o Pszczole, szefie – rzucił Thicks. – To jakiś zmiennokształtny jak ty?

– Zmiennokształtna. I odwieczny wróg. – Wymieniłem Thickettowi wszystkie jej niechlubne tożsamości. – Niegdyś była Kleopatram, samozwańczą boginią i faraonem, intrygantką i trucicielką. Jako cesarzowa Messalina skazywała tych, którzy ją odtrącili na śmierć i brała udział w spisku, mającym na celu zabicie jej męża, Klaudiusza. Medea, Lukrecja Borgia, Katarzyna Medycejska. Wiele osób, które kochałem i chroniłem, zginęło z jej ręki.

– Kobieta, której lepiej nie wkurzać – stwierdził Thicks, szturchając mnie łokciem. – Więc to może być prawdziwa Perła Kleopatry?

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić – odparłem. – Cztery lata temu ukradłem drugi z kolczyków i nadal go mam. – Thicks skinął głową, jednocześnie oglądając się nerwowo przez ramię. Odwróciłem się i obrzuciłem spojrzeniem ulicę, ale nie dostrzegłem niczego niezwykłego.

– Coś nie tak?

Thicks rozpiął kołnierzyk.

– To tylko nerwy.

Skręciliśmy w Warrington Crescent, gdzie białe, zdobione sztukaterią fasady znaczyły granicę między Maida Vale a Małą Wenecją. Przyznaję, iż wybrałem tę dzielnicę ze względu na nazwę, na cześć miłych wspomnień związanych z prawdziwą Wenecją. Poza tym, była na tyle blisko mojej galerii w Mayfair, że w razie potrzeby mogłem tam dotrzeć pieszo. Pod różnymi nazwiskami nabyłem cały szereg domów, który nazwałem Uliczką Hathersage na pamiątkę miejsca swego urodzenia.

Otworzyłem drzwi mieszkania, wyłączyłem alarm i zaprowadziłem Thicksa do pokoju będącego centrum dowodzenia naszych działań. Otworzyłem sejf ukryty za obrazem przedstawiającym las Sherwood i z małej szkatułki w głębi wyjąłem swoją połówkę Perły Kleopatry.

Podszedłem do Thicksa siedzącego przy biurku, by w świetle lampy porównać kolczyk ze zdjęciem w katalogu.

Oczy Thicketta rozszerzyły się ze zdumienia.

– Są identyczne.

– Z wierzchu owszem. Ale całkowitą pewność może mi dać tylko porównanie powierzchni przecięcia. – Odwróciłem połówkę perły. – Każda perła jest inna. Warstwy masy perłowej odkładające się wokół jądra są równie niepowtarzalne jak odciski palców lub pierścienie drzewa. Wystarczy więc porównać pierścienie przyrostowe, by stwierdzić, czy są to połówki tej samej perły.

– Rozumiem. Ale czemu takie ważne jest ustalenie, czy do siebie pasują? – spytał Thicks.

– Po pierwsze, obie części Perły Kleopatry stanowią całość, której nie powinno się rozdzielać – odpowiedziałem. – Po drugie, jeśli to przedmioty ze skrytki Pszczoły, chcę wiedzieć, kto ma resztę. Miała znacznie więcej skarbów niż te wystawione na aukcję. Na przykład obraz da Vinci, a także złoto i diamenty. Gdyby udało mi się to odnaleźć, zwróciłbym dzieła sztuki światu, a wszystkie pieniądze przeznaczył na cele charytatywne. Tylko tak można zmyć krew z tych łupów.

– Może ona wciąż je ma? – spytał Thicks.

– Od dawna nie żyje – odparłem. – Podczas drugiej wojny światowej była tajnym doradcą Hitlera w kwestiach okultyzmu. W 1943 roku widziałem, jak umiera śmiercią, na jaką zasłużyła. – Utkwiłem wzrok w lśniącym kolczyku, który trzymałem w dłoni i przywołałem wspomnienie płomieni i

krzyków.

– Jeśli czegoś się od ciebie nauczyłem, szefie, to nie wierzyć własnym oczom – stwierdził Thicks.

– Istnieje cień szansy, że przeżyła – przyznałem. – Jeśli Pszczoła miała dostęp do bursztynu, mogła użyć leczniczej mocy ukrytego w nim Błysku, by uciec śmierci. – Przemilczałem oczywisty fakt, że jeśli Pszczoła przeżyła, niewątpliwie pałała żądzą zemsty. Aukcja mogła być pułapką, by mnie schwytać lub zabić.

– A o co chodzi z tym Klejnotem Eleonory? – spytał Thicks. – Skąd będziesz wiedział, że to autentyk?

Powstrzymałem chichot, słysząc jego słowa i poprawiłem go.

– Elsynoru. To wyjątkowy klejnot, gdyż perła ta jest bardzo rzadko spotykanym, wzorcowym okazem o idealnie okrągłym kształcie. Poznam ją po Błysku.

Moje wyjaśnienie wprowadziło Thicksa w zakłopotanie.

– Chwileczkę, szefie. Błysk to coś, czego tacy jak ty używają do zmiany kształtu, tak? – spytał. – Myślałem, że korzystacie tylko z bursztynu i jedwabiu.

– Zgadza się, bursztyn i jedwab to dwa podstawowe źródła Błysku, na których polegają Elekci – odpowiedziałem i zawiesiłem głos, zastanawiając się, jak wyjaśnić użycie pereł, a nawet miodu. – W zasadzie Błysk pochodzi od owadów. Bursztyn na przestrzeni tysiącleci konserwuje i wzmacnia Błysk martwych owadów, a jedwab pochodzi z kokonów, w których jedwabniki zabija wrząca woda, żar piekarnika lub igła. Powstanie niektórych pereł również wiąże się z owadami.

Thicks podrapał się w głowę.

– Myślałem, że perły powstają jedynie z ziarenek piasku.

– Tak naprawdę bardzo niewiele powstaje wokół piasku – wyjaśniłem. – Perła tworzona jest, gdy do muszli małża dostanie się ciało obce. Mięczak wówczas odkłada warstwy masy perłowej wokół intruza, którym czasem jest pasożyt taki jak przywra czy wodopójka. I tak niektóre perły stają się małymi sarkofagami owadów, zupełnie jak niektóre bursztyny.

– Dlaczego więc zawsze prosisz tylko o bursztyn i jedwab? – spytał.

– Ponieważ jeszcze żaden z Elektów nie odkrył, jak wydobyć Błysk z perły albo po prostu nie zamierza ujawniać tej wiedzy. Elekci wyczuwają perłowy Błysk, ale nie mogą nic z nim zrobić. Każda taka perła ma niejako własnego ducha. – Ponownie otworzyłem katalog na pozycji numer trzystaście, przypominając sobie, jakie to uczucie dotykać perły doskonałej. – Dotyk Klejnotu Elsynoru jest jak ogień i chwała Elżbiety, Królowej Dziewicy, ucieleśnienia kobiecości.

– Tak słyszałem. Jak poznałeś królową, szefie? – spytał. – Jaka była?

– Elżbieta była mądrą, niezrównaną królową, nawet u schyłku swego panowania. – Odłożyłem koleczyk i katalog, po czym nalałem dwa kieliszki brandy z barku i podałem jeden Thicksowi. – Siadaj, przyjacielu, opowiem ci o mojej ostatniej audiencji u Królowej Eli oraz o tym, dlaczego muszę poznać losy Klejnotu Elsynoru.

– Zdrówko! – rzucił Thicks, upijając łyk z kieliszka i rozsiadając się na kanapie.

Sam zająłem fotel za biurkiem, zatopiłem się w odległych wspomnieniach i zacząłem opowieść.

III.

Za czasów panowania królowej Elżbiety I najpierw służyłem jej jako najlepszy szpieg sir Richarda Walsinghama, wykonując wątpliwe moralnie misje w imię Anglii. Po śmierci szefa siatki

szpiegowskiej postanowiłem pozostać w Anglii i zostać cieniem aktora Roberta Armina. Błyskotliwy i sympatyczny Robert okazywał ogromne współczucie wyrzutkom takim jak szaleńcy i głupcy, u których prostota umysłu szła w parze z mądrością słów. Jego litość wobec takich ludzi płonęła równie mocnym blaskiem jak litość Robina z Sherwood dla biednych. Ponadto często wspominał o swojej gotowości do wysłuchania, a nawet dania wiary temu, co inteligentni ludzie uznawali za szaleństwo. Dlatego też wyjawiałem Robertowi, kim jestem – złodziejem kształtów, który dobrze mu zapłaci za użyczenie twarzy i nazwiska.

Przekonanie go, że moje słowa nie są jedynie błazeńskim żartem, zajęło mi trzy dni, siedem kolejnych trwało utwierdzanie go w przekonaniu, iż nie oszalał, a jeszcze dwanaście dowodzenie, że nie jestem Szatanem, który przyszedł go nękać. W końcu Robert uwierzył, że pragnę jedynie zadbać o jego dobro i pozwolił mi przyjąć swój kształt oraz dzielić jego życie.

Fakt, iż zostałem cieniem Roberta Armina, okazał się przynosić nam obopólne korzyści. Ujrzałem świat oczami Roberta, który wiele nauczył mnie o scenie, a doskonalenie umiejętności aktorskich sprawiało, że stawałem się lepszym złodziejem kształtów. Dlatego też byłem cieniem Roberta w teatrze, ucząc się jego ról równie dobrze jak on. W 1599 roku zamiast niego wstąpiłem do Trupy Lorda Szambelana jako udziałowiec, zastępując Willa Kempa na stanowisku głównego aktora komicznego Szekspira. Od czasu do czasu nadal podejmowałem się misji w służbie Królowej.

Moje pojawienie się w trupie nie zostało przyjęte z radością przez innego udziałowca, Williama Slya. Gdyby chodziło jedynie o dumę dwóch aktorów, byłaby to przelotna rywalizacja. Jednakże Sly również był Elektem, znanym w kręgach zmiennokształtnych jako Świerszcz i szybko zaczął ze mną rywalizować o względy Szekspira. Jako Sly, Świerszcz był wielkim aktorem scenicznym, zagarniającym dla siebie takie role jak Hotspur w części I „Henryka IV” oraz Horatio w „Hamlecie”. Z drugiej strony, moje studium zawodowego błazna zainspirowało Szekspira do napisania takich ról jak Probierek w „Jak wam się podoba”, Błazen w „Wieczorze Trzech Króli”, czy też Błazen w „Królu Learze”.

Do mojego ostatniego spotkania z królową Elżbietą doszło w Nowy Rok 1603 roku, podczas ostatnich dni jej panowania.

Na życzenie Elżbiety zagraliśmy wówczas „Hamleta”, choć nie było go w planach. Mistrz Zabaw, Edmund Tilney, wynajął Trupę Lorda Szambelana do wystawienia dla królowej „Snu nocy letniej” w pałacu Hampton Court. „Sen” zawsze był moją ulubioną sztuką, jako że przesiąknięty jest tematyką metamorfozy. Nosząc ciało czterdziestolatka, byłem zdecydowanie za stary, by zagrać szelmowskiego Puka, ale rola Mikołaja Podszewki jak najbardziej mi odpowiadała, szczególnie biorąc pod uwagę partie śpiewane i komiczną przemianę w człowieka z głową osła.

Gdy Oberon nakazywał Pukowi odczynić wszystkie psoty letniej nocy, przyglądałem się Elżbiecie, ukryty w cieniu za kulisami. Królowa miała wówczas sześćdziesiąt dziewięć lat i czterdzieści cztery lata panowania za sobą i po raz pierwszy widziałem ją w stanie takiego bezwładu. Nawet makijaż z bieli ołowianej nie był w stanie przykryć zmarszczek na jej twarzy tak dobrze jak ówczesni malarze, którzy na portretach ukrywali jej prawdziwy wiek.

Odciągnąłem na stronę młodą dziewczynę pomagającą przy kostiumach i spytałem ją o królową.

– Od jak dawna Jej Królewska Mość pogrążona jest w tak głębokiej melancholii?

– Od jesieni – odparła dziewczyna, a w jej głosie szczypta smutku mieszała się ze strachem. –

Ostatnio jest dziwnie milcząca i żaden z błaznów ani dworzan nie jest w stanie poprawić jej nastroju.

Podziękowałem za odpowiedź i pospieszyłem z powrotem na scenę na początek czwartego aktu. Wiedziałem, że przygnębienie mojej Elżbiety to skutek utraty starych przyjaciół i nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Dałem z siebie wszystko w roli Podszewki w nadziei, iż zabawna sztuka ulży

jej niewypowiedzianemu smutkowi.

Dworzanie nagrodzili „Sen” burzą oklasków, ale Elżbieta nie zdradzała najmniejszych oznak zainteresowania przedstawieniem. Aktorzy ukłonili się przed Jej Wysokością, oczekując jej słów.

– Panie Szekspir, wyrażamy swe uznanie dla pana i pańskich aktorów za to godne zapamiętania przedstawienie – oznajmiła Elżbieta. – Jednakże jesteśmy w nastroju na coś innego. Nasi dworzanie czasem wspominają o sztuce „Hamlet” twierdząc, iż postać Yoricka jest hołdem złożonym pamięci naszego błazna, Richarda Tarltona. Prawda to?

Zerknąłem na Szekspira, zastanawiając się, jak odpowie. Will faktycznie oparł postać Yoricka na Tarltonie, jednakże cały hołd ograniczał się do czaszki i monologu Hamleta. Ja, w roli pierwszego Grabarza, musiałem mówić o nim źle, nazywając go „obłąkanym skurwysynem”^{*} i życząc mu jak najgorzej w słowach: „A niech go zaraza, obłąkanego nicponia!”. Poza tym, dla Willa ponury nastrój królowej był równie oczywisty jak dla wszystkich pozostałych, a „Hamlet” był jedną z jego najmroczniejszych tragedii. Wystawienie jej mogło pogрузić Jej Wysokość w jeszcze większej depresji.

Z drugiej strony, tylko Tarlton, gdyby jeszcze żył, mógłby wyciągnąć królową z tak głębokiej melancholii. Możliwe, że Elżbieta potrzebowała swego błazna, by przemówił do niej z taką szczerością jak niegdyś.

– Jest dokładnie, jak twierdzi Wasza Wysokość. Tworząc Yoricka myślałem o Tarltonie – odparł Will. – To dla nas zaszczyt przedstawić „Hamleta” ku radości Waszej Królewskiej Mości. Naturalnie muszę zapytać Mistrza Zabaw, czy ma kostiumy potrzebne nam do sztuki.

Will sprytnie to rozegrał, zrzucając ostateczną decyzję na Mistrza Zabaw. Urząd Zabaw na potrzeby przedstawień królewskich zamawiał wyłącznie najlepsze kostiumy i scenografię, zużywając przy tym ogromne ilości wszelkiego rodzaju tkanin jedwabnych, od aksamitu po adamaszek, od szarmerzy po taftę i pikę. Często swobodnie pożyczalem sobie stroje z jego szaf.

Tilney spiorunował Willa wzrokiem, nim odpowiedział.

– Wasza Królewska Mość, kostiumy i rekwizyty w pałacu są przygotowane na potrzeby komedii, a nie sztuk takich jak „Hamlet”. Ośmielę się zaproponować w zamian „Wesołe kumoszki z Windsoru” lub „Wieczór Trzech Króli”...

– Dziś obejrzymy „Hamleta”, panie Tilney – oznajmiła królowa i na chwilę przez jej przygnębienie przebił się jasny płomień jej dawnej, żywej natury. – Widowiskowe kostiumy może i cieszą oko, ale to aktorzy opowiadają historię. Tylko leniwy umysł potrzebuje wyszukanych ozdób, by odróżnić od siebie postaci.

Tilney zgiął się w ukłonie.

– Jak sobie Wasza Wysokość życzy.

– A jeśli chodzi o rekwizyty, panie Szekspir, co będzie wam potrzebne poza rzeczami, które już macie? – spytała królowa.

– Trzy floretty, dwa puchary, sztylet i perła, Wasza Wysokość – odpowiedział Will.

– Niech pan dopilnuje, panie Tilney, by aktorzy dostali to, czego im trzeba, za wyjątkiem perły, którą dostarczymy osobiście – oznajmiła Elżbieta i wezwała Lorda Szambelana. – W naszej komnacie sypialnej stoi mała szkatułka z intarsją w kształcie róży Tudorów. Proszę nam ją przynieść.

Szturchnąłem Willa łokciem.

– Pamiętaj o czaszkach.

Will zbladł jak ściana.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale potrzebne nam będą również dwie czaszki.

– Nie jest naszym zwyczajem trzymać czaszki w Hampton Court, panie Szekspir – odparła

królowa.

– Jeśli mogę coś zasugerować, Wasza Wysokość, rolę czaszek mogą odegrać dwa hełmy rycerskie, jeszcze bardziej pobudzając wyobraźnię dworu – powiedziałem.

– Rozsądna propozycja, panie Armin – przyznała królowa. – Proszę dodać do rekwizytów hełmy, panie Tilney.

Gdy Lord Szambelan powrócił, Elżbieta wyjęła ze szkatułki wspaniałą perłę, wzbudzając podziw całego dworu. Była idealnie okrągła i lśniąca i urzekła mnie całkowicie. Nigdy nie widziałem perły mogącej się z nią równać.

– To podarunek od sir Thomasa Greshama – oznajmiła Elżbieta. – Cieszy nas, iż nie postanowił skruszyć tego klejnotu i wypić go za nasze zdrowie, jak niegdyś uczynił z innym. Czy to odpowiednia perła, panie Szekspir?

– Jak najbardziej, Wasza Wysokość – odparł Will, a jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. – Wasza Wysokość jest aż nadto łaskawa.

I tak, na mocy królewskiego zarządzenia, wieczorem pierwszego stycznia 1603 roku nasza trupa wystawiła „Tragiczną historię Hamleta, księcia Danii”, ostatnią sztukę, jaką miała w życiu zobaczyć królowa Elżbieta.

Kilku aktorów zaczęło rozpaczać, że nie mają dość czasu na przygotowanie się do tego duńskiego dramatu. Narzekali, że na językach zostały im jeszcze teksty z wcześniejszego przedstawienia, „Snu nocy letniej”, i że będą mieć zaledwie trzy godziny na napełnienie brzuchów i powtórzenie swych ról w „Hamlecie”.

W odpowiedzi Will Szekspir udzielił im ostrej reprimendy.

– Dość tego! Jesteście Trupą Lorda Szambelana, co do jednego. Udowodnijmy naszej ukochanej królowej, że niestraszny nam uciekający czas, ani zmęczenie ciała. Jej Wysokość tego od nas wymaga, a my będziemy jej posłuszni.

Nie wspomniał o tym, że może to być nasz ostatni występ przed niedomagającą królową, ale do każdego z nas dotarło to, czego nie powiedział. Słowa Willa podniosły trupę na duchu i przysięgliśmy dać z siebie wszystko.

Najdłuższa ze sztuk Szekspira, „Hamlet”, była tego wieczoru dużym wyzwaniem dla wytrzymałości trupy.

Tymczasem ja nie mogłem się powstrzymać przed obejrzeniem za kulisami perły królowej. Wyjąłem ją z pucharu na stole z rekwizytami i z zachwytem podziwiałem jej piękno. Koniuszkami palców wyczuwałem przyływy i odpływy Błysku w jej wnętrzu, delikatne fale zamknięte w białej niczym chmura kuli.

Gdy Will Szekspir mnie spostrzegł, wyrwał mi perłę z ręki i pchnął mnie w stronę kurtyny.

– Niebawem zaczyna się akt piąty, mój kłapouchy Grabarzu. Na scenę, na scenę!

Wszedłem więc na scenę jako Pierwszy Grabarz, przekomarzając się z Drugim Grabarzem podczas kopania umownych grobów. Z bólem serca śpiewałem przed królową o starości, ale wiernie trzymałem się tekstu.

„Lecz oto starość przyszła skrycie

I narobiła szkody.

Do ziemi poszło moje życie,

Choć kiedyś byłem młody”.

Wyrzuciłem hełm rycerski ze scenicznego grobu i dograłem resztę sceny z Richardem Burbage’em w roli Hamleta i Williamem Slyem w roli Horatio.

Perła zadebiutowała w ostatniej scenie, gdy król Claudius wrzucił zatruty klejnot do pucharu

zwycięzcy z zamiarem zabicia księcia. Zamiast tego doszło do tragedii, gdyż z kielicha napiła się królowa Gertruda, przypieczętowując tym samym swój los. Przyłapałem Elżbietę w jakże rzadkiej u niej chwili słabości, gdy ukradkiem ocierała łzę.

Śmierć Hamleta i przybycie Fortinbrasa zakończyły sztukę, po czym nad publiką zawisła chmura głębokiego przygnębienia.

Za kulisami stanął przy mnie podenerwowany Mistrz Zabaw.

– Jeśli ten nieprzemysłany występ pogłębił smutek Jej Wysokości, lordowie skrócą mnie o głowę – wymamrotał.

– Nie słyszał pan monologu Hamleta, Tilney? – spytałem. – Dzisiejszy występ Burbagea zagwarantował mu miano najlepszego aktora swego pokolenia i tylko głuchy ośmieliłby się stwierdzić, iż przedstawienie nie było ogromnym sukcesem.

Jeszcze raz zaprezentowaliśmy się królowej, składając jej ukłon. Will Szekspir uklęknął przed nią, wyciągając przed siebie dłonie z perłą.

– Zwracam perłę, Wasza Wysokość.

Elżbieta gestem nakazała jednej z dam dworu odebrać klejnot.

– Sztuka nam się podobała, panie Szekspir – oznajmiła królowa. Mych uszu dobiegło westchnienie ulgi dworzan. – „Hamlet” to prawdziwe arcydzieło. A co do pana, panie Burbage, pańska rola księcia Danii uczyni pana nieśmiertelnym, nie mamy co do tego żadnych wątpliwości.

Aktorzy podziękowali królowej za tak łaskawe słowa.

– Teraz udamy się na spoczynek – ogłosiła królowa, wstając, a gdy opuszczała salę wraz ze swoją świtą, cały dwór i aktorzy ponownie się skłonili.

Kiedy przygotowywaliśmy się do zdjęcia kostiumów po jej wyjściu, podszedł do mnie jeden ze służących.

– Panie Armin, królowa życzy sobie rozmawiać z panem na osobności w Kaplicy Królewskiej.

– Zgodnie z rozkazem – odpowiedziałem, kłaniając się nieznacznie.

Służący zaprowadził mnie do królewskiej ławki kościelnej w części kaplicy zarezerwowanej dla monarchini i zaanonsował mnie Elżbiecie.

Ukloniłem się.

Królowa, stojąca przy dużym oknie wykuszowym wychodzącym na główną część kaplicy, pozdrowiła mnie. W blasku świec siwe włosy Elżbiety zdawały się odzyskiwać żywą czerwień z czasów młodości. W rękach trzymała niewielki przedmiot owinięty w jedwab. Podziękowała służącemu i kazała mu odejść.

– Jestem do usług Waszej Wysokości – powiedziałem.

– Robercie Arminie, sir Pchło. Za lata wiernej służby oraz twe mistrzowskie portrety mądrego błazna na scenie, przyznaję ci prawo przemawiania do mnie równie szczerze, jak niegdyś robił to Richard Tarlton. Zasłużyłeś na ten przywilej. Bądź dziś moim błaznem i bądź dla mnie bezlitosny, jak przystało królewskiemu trefnisiowi – powiedziała.

Elżbieta nie używała królewskiej liczby mnogiej, co było dla mnie zaskoczeniem, ale jednocześnie przekonało mnie, że naprawdę zostałem jej błaznem.

– Jak sobie Wasza Królewska Mość życzy – odpowiedziałem.

– Dobrze. Powiedz wprost, czy mój dzisiejszy nastrój mi przystaje.

– Wydaje mi się, że Wasza Wysokość wie to najlepiej – odparłem. – Dwór obawia się, że Wasza Wysokość cierpi na dokuczliwą depresję, dlatego też sprowadził Trupę Lorda Szambelana, by rozweselić Waszą Wysokość „Snem nocy letniej”. Zamiast tego Wasza Królewska Mość zażyczyła sobie obejrzenie sztuki, w której monarchowie i książęta giną, pogłębiając jedynie grób swej

melancholii. Przypuszczam, iż Wasza Wysokość większą przyjemność czerpała z niepokojenia swych dworzan niż z samej sztuki. Nie żebym uważał to za coś nagannego, ma królowo. Gdybym tylko mógł, sam obnosiłbym się z władzą, obarczając innych swym przygnębieniem!

Myślała chwilę nad moimi słowami.

– Twierdzisz zatem, że nie jestem w stanie sama znieść melancholii, więc próbowałam przenieść część swego brzemienia na mój dwór?

– Gdy ból lub głód dokucza noworodkowi, ten nie może wyrazić swych potrzeb słowami. Wówczas instynktownie kwili, uprzykrzając życie wszystkim słyszającym jego płacz. Jednak gdy instynkt ulega mądrości, dziecko uczy się mówić, by opowiedzieć o swej niedoli.

– Śmiesz przyrównywać mnie do dziecka? – spytała Elżbieta gniewnym głosem.

Wiedziałem, że to dla mnie sprawdzian. Czy miałem wystarczająco silną wolę, by upomnieć królową, jak przystało na jej błazna?

– Proszę wybaczyć, królowo. Niestety nic nie słyszę przez to kwilenie.

Elżbieta wyraźnie się uspokoiła.

– Przemawiasz głosem i rozsądkiem Tarltona, sir Pchło. Spróbuję nauczyć się mówić.

– Co dolega Waszej Wysokości? – spytałem.

– Czas – odparła. – Czas okrada mnie z radości. Ostatnio straciłam wielu przyjaciół i słyszę, że i mnie wzywa. Dlatego właśnie cię wezwałam, sir Pchło. Przed śmiercią Walsingham podzielił się ze mną swymi podejrzeniami co do twojej prawdziwej natury i twego prawdziwego imienia. Czy jesteś nieśmiertelny, Mały Johnie z Hathersage?

Szef królewskiej siatki szpiegowskiej wiedział o mnie więcej, niż sądziłem. Od śmierci Francisa Walsinghama minęło niemal trzynaście lat. Czyżby Elżbieta przez cały ten czas znała moją tajemnicę i zdecydowała się na rozmowę dopiero u schyłku swych dni?

– Co jeszcze wyjawiał ci Walsingham, moja królowo? – spytałem.

– Że nie jesteś tylko złodziejem kosztowności. Widział, jak kradniesz twarze i ciała innych ludzi, a nawet jego własne oblicze, czasem zaś zmieniasz się w prawdziwego olbrzyma. Odnalazł legendy o potrafiących się zmieniać ludziach, wiernych Koronie. W starym manuskrypcie trafił na wzmiankę o mężczyźnie obdarzonym darem Proteusza, służącym Ryszardowi Lwie Serce, znanym jako Mały John Pchła. Nie lękaj się, sir Pchło. Video et taceo. Widzę i milczę.

Sądziłem, że już dawno zniszczyłem wszystkie egzemplarze tego rękopisu. Zastanawiałem się, czy potwierdzić słowa królowej, czy im zaprzeczyć. Niektórzy z nas zabiliby, byle tylko zachować zdolność zmiany kształtu w sekrecie, ale ja nie należę do tej grupy. Wierzyłem, że Elżbieta, kobieta, którą podziwiałem i której ufałem, dotrzyma słowa i zabierze mój sekret do grobu.

– W rzeczy samej, jestem Małym Johnem z Hathersage i stąd też pochodzi mój przydomek Pchła – wyznałem. – Jestem złodziejem kształtów i mam już ponad czterysta lat.

Uważnie obserwowałem jej reakcję. Elżbieta była kobietą o niezwyklej inteligencji i na dodatek miała ponad dwanaście lat na rozważanie podejrzeń Walsinghama. Czy uzna mnie za czarownika lub diabła, czy też przyjmie do wiadomości niemożliwe? Nagle pojąłem, dlaczego spotkała się ze mną w Kaplicy Królewskiej – szatan nie ośmieliłby się postawić stopy w świętym miejscu.

– Więc przypuszczenia Walsinghama były słuszne – stwierdziła Elżbieta.

– Owszem, Wasza Wysokość – powiedziałem. – Pod jedną tożsamością żyjemy tylko do czasu, gdy kwestia wieku i śmierci zaczyna ściągać na nas podejrzenia. Pośród takich jak my, jednym ze sposobów na uwolnienie się od przeszłości i doświadczenie życia na nowo jest zostanie czyjś cieniem. Ja jestem cieniem Armina, uczę się tego jak myśli i poznaję świat w pożyczonym ciele, tak jak kiedyś byłem cieniem Walsinghama. W zamian staję się ich obrońcą i przewodnikiem.

Byli i tacy, którzy od zmiany kształtu woleli włóczęgę po świecie, jak Szarańcza. Inni, jak Muszka, tworzyli nowe ciała i wymyślali im historie, jednakże takie wymyślone pochodzenie skazywało ich na samotność. Niektórzy, jak Świerszcz, szukali osób, których żywot został tragicznie skrócony i zajmowali ich miejsce, niczego się nie ucząc. Najbardziej napiętnowani byli zmiennokształtni, którzy nie wahali się odebrać życia siłą, jak Skorpion.

– Chciałabym zobaczyć tę twoją cudowną moc – powiedziała.

– Królowo, transformacja nie jest jedynie kwestią woli – wyjaśniłem. – Magia, którą zwiemy Błyskiem, nie pochodzi od nas, ale z jedwabiu i bursztynu.

Najwyraźniej była przygotowana na taką odpowiedź, gdyż wyciągnęła przed siebie jedwabne zawiniątko i rozpakowała je, wydając perłę, której użyliśmy w przedstawieniu i kawałek bursztynu.

– Teraz rozumiem, dlaczego przed każdą misją prosiłeś Walsinghama o bursztyn – powiedziała. – Zastanawiałam się, czemu zawsze żądałeś niedoskonałego klejnotu, sir Pchło, aż zwróciłam uwagę na twoje nazwisko. Czerpiesz moc z owada ukrytego w bursztynie, nieprawdaż?

– Wasza Królewska Mość wykazała się niezwykłą przenikliwością. Owady mają dla nas tak ogromne znaczenie, że każdy Elekt przybiera imię jednego z nich. Pchła, Świerszcz, Muszka.

– Elekt? Czyli Wybraniec? – spytała.

– Tak. Słowo to z czasem nabrało takiego znaczenia, choć wywodzi się od greckiego słowa „elektron” czyli „bursztyn” – wyjaśniłem.

– Jak działa ten Błysk?

– Owady obdarzone są naturalną zdolnością metamorfozy, na przykład gąsienica zamyka się w jedwabnym kokonie, by stać się motylem. Owad uwięziony w bursztynie przekazuje tę moc kamieniowi. Gdy jedwabnik zostaje zabity dla jedwabiu, ta sama moc przenika do włókien tkaniny.

– Pokaż mi, jak kradniesz kształt, na przykład mój – powiedziała.

Pokręciłem głową.

– Niestety, Wasza Wysokość, nie mogę przybrać kształtu kobiety. – Istniał jeden przypadek, kiedy mężczyzna mógł stać się kobietą, ale wolałem o nim nie wspominać. – Mogę? – spytałem, wskazując trzymany przez nią bursztyn.

– Proszę – skinęła.

Delikatnie wziąłem od niej kamień, muskając palcami jedwab. Wystarczył przelotny dotyk, bym odkrył, że jedwab zapisał w swym splocie jej obraz. Uniosłem bursztyn. W środku, między pęcherzykami powietrza, uwięziona była mała osa.

Moc zamknięta w bursztynie umożliwiłaby mi dokonanie trwałych zmian całego ciała, ale w każdym kamieniu Błysku wystarczało tylko na tyle. Postanowiłem zmienić tylko jeden z elementów wyglądu, gdyż to powinno wystarczyć, by przekonać królową.

– Proszę o chwilę cierpliwości, Wasza Wysokość. – Zamknąłem oczy i przywołałem obraz swej prawej dłoni, aż do knykcia pozbawionego palca wskazującego. Byłem niegdyś okaleczony w ten sposób, ale już dawno zdążyłem przywrócić sobie palec. Przenosząc ten obraz na bursztyn, wyciągnąłem dłoń w stronę Elżbiety. Następnie zaczerpnąłem Błysku poprzez zapisany obraz i odjąłem sobie palec, dzielnie znosząc bolesną przemianę.

Elżbieta wydała stłumiony okrzyk.

Choć palec zniknął, miałem wrażenie, że nadal go mam, wraz ze skórą i całą resztą, niczym widmo przyczepione do gołego knykcia.

– Na Boga! Mam nadzieję, że zmysły mnie nie zawodzą! Jeśli to sen nocy zimowej, niechże się nie budzę – powiedziała Elżbieta, a w jej oczach zamigotała iskierka nadziei.

Dotarło do mnie, czego pragnęła królowa. Chciała uciec przed śmiercią.

Cofnąłem się o krok.

– Wasza Wysokość, proszę mnie o to nie prosić. Nie jestem w stanie nauczyć Waszej Wysokości tej sztuki.

– Czyżbyś uważał mnie za niegodną nieśmiertelności? – spytała.

– Królowo, to moc kapryśna w swych wyborach – próbowałem tłumaczyć. – Nie jest to dziedzictwo przechodzące z ojca na syna, czy z matki na córkę, ani też umiejętność, której kobieta lub mężczyzna może się nauczyć. Moc przychodzi nieproszona do tych, którzy używają daru do czynienia dobra, ale i do tych, którzy go nadużywają.

– A do której grupy ty się zaliczasz, Pchło? – spytała.

– Czasem do obu, czasem do żadnej. Ale wierzę, że w głębi duszy jestem dobrym człowiekiem. – Jako że zostałem wyznaczony do roli błazna królowej, miałem obowiązek traktować ją tak surowo, jak nie śmiał nikt inny w Anglii. – Wasza Wysokość, strach przed widmem śmierci nie jest oznaką słabości.

– Nie lękam się śmierci.

– Więc jesteś większym błaznem ode mnie – stwierdziłem. – Każdy żywot dobiega kiedyś końca.

Ścisnęła perłę i jedwab w garści.

– Nawet ty? Czas stoi u moich bram, nie twoich.

– Nawet ja – przyznałem. – Mogę zmianą kształtu umknąć biegowi lat, ale innego rodzaju śmierć czeka na mnie na ostrzu niezauważonego miecza, na krawędzi katowskiego topora lub na skraju przepaści. Lepiej rzec, że Elekci są długowieczni, nie nieśmiertelni, moja dobra królowo. Nawet my obawiamy się końca.

– Twierdzisz, że dar jest kapryśny, ale czy istnieje szansa, bym posiadała tę moc?

– Wszyscy chcą być królem, tymczasem korona przypada śmiesznie niewielu – odparłem.

– Niemniej jednak nie można uznać swej porażki, póki się nie spróbuje – stwierdziła. – Naucz mnie tego, sir Pchło.

Moje obawy się potwierdziły – opowiadając o wszystkim królowej, rozbudziłem w niej nadzieję na życie wieczne. Gdybym był w stanie przekazać Elżbiecie część swojej mocy, zrobiłbym to; dobrze by ją wykorzystwała. Jedynym ryzykiem było to, iż poniesie porażkę. Działo się tak już wcześniej, a moi sojusznicy, którzy szukali tej samej ucieczki przed śmiercią i jej nie znajdowali, oskarżali mnie o to, że chcę zachować sekret dla siebie. Czy Elżbieta była na tyle mądra, by zrozumieć, że niektóre marzenia muszą umrzeć? Westchnąłem.

– Jak sobie Wasza Wysokość życzy. – Zamknąłem oczy i ponownie skoncentrowałem się na ciele Roberta Armina, tym razem w całości. Odzyskawszy palec, skłoniłem się i podałem jej bursztyn. Wzięła go ode mnie i zamknęła w prawej dłoni, w lewej nadal trzymając jedwab i perłę.

– Aby otworzyć ścieżkę mocy, trzeba wyczuć Błysk kryjący się w bursztynie – powiedziałem. – Co Wasza Wysokość czuje, dotykając kamienia?

– Bursztyn jest ciepły – odparła.

– Niech Wasza Królewska Mość uniesie bursztyn do światła i wpatruje się w osę zamkniętą w jego sercu – powiedziałem. – Choć stworzenie od dawna jest martwe, powróci do życia.

Elżbieta posłuchała i wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń. Przez dłuższą chwilę stała przy płomieniu świecy ze wzrokiem utkwionym w osie. Ogromne skupienie uwagi na bursztynie sprawiło, że po jej pobielonych policzkach spłynęły kropelki potu.

Jednak to nie wystarczyło.

– Wasza Wysokość – powiedziałem miękko. – Proszę odłożyć kamień.

– Nie przyznam się do porażki! – odparła.

– Musisz, królowo.

– Sir Pchło, słowa „musisz” nie wolno wymawiać w mojej obecności!

– W takim razie będę je wykrzykiwał na korytarzach pałacu, królowo, w nadziei, iż jego echo dotrze do twych uszu! Gdyby dar wybrał Waszą Wysokość, do tej pory moc spopieliłaby palce Waszej Wysokości swym ogniem. Mogę? – Otworzyłem dłoń w oczekiwaniu na kamień.

Bursztyn wypadł z dłoni Elżbiety i potoczył się po dywanie. Na jej palcach nie widać było żadnych oznak oparzeń spowodowanych Błyskiem.

– Powinnam cię kazać wychłostać za twą bezczelność, błaznie – oznajmiła.

– Sama mnie błaznem uczyniłaś, królowo – przypomniałem jej.

– A więc moje życie odejdzie w nicość, a świat o mnie zapomni, gdy obrócę się w proch – wyszeptowała. – Czy wszystko, co zrobiłam dla Anglii zostanie odczynione?

Uklęknąłem przed nią.

– Nigdy, Wasza Wysokość. Twe panowanie już unieśmiertelniło imię Elżbiety. A tak długo, jak będę oddychać, będę wysławiał Waszą Królewską Mość we wszystkich stronach świata.

Między nami zawisła cisza.

– Gdyby słowa te wypowiedział ktoś inny, sir Pchło, nazwałabym je czczą przechwałką – powiedziała w końcu.

– Mówię prawdę. Zachowałem pamięć o Robinie z Sherwood i to samo zrobię dla mej królowej i imperium – przyrzekłem.

– Wierzę ci – oznajmiła Elżbieta. Otworzyła lewą dłoń i wyciągnęła w moją stronę perłę i jedwab. – Ofiaruję ci kolejną legendę, którą będziesz pielęgnował po wsze czasy, mój błędny rycerzu. Zwróć tę perłę panu Szekspirowi wraz z moim błogosławieństwem. Niechaj ten Klejnot Elsynoru pobłogosławi jego sztukę w moim imieniu.

– Ależ Wasza Wysokość, ta perła jest zbyt cenna, by pozostawić ją w rękach aktorów! – zaprotestowałem.

– W takim razie proszę powiedzieć Szekspirowi, że Klejnot może być przekazywany wyłącznie zaufanym osobom w tajemnicy, inaczej spadnie na nich nieszczęście – odparła Elżbieta.

– Klątwa? Przecież to tylko perła.

– Jesteś dłonią wykonującą moją wolę, sir Pchło. – Po raz pierwszy od chwili, gdy przybyłem na dwór, na jej twarzy zagościł uśmiech. – Ufam, że gdy okoliczności będą tego wymagały, wyrządzisz odpowiednie szkody.

Zrozumiałem, czego ode mnie oczekuje.

– Jak sobie Wasza Królewska Mość życzy. – Podała mi perłę i jedwab. Nie mogłem się oprzeć pokusie zerknięcia na jej obraz utrwalony w jedwabiu. Co prawda nie mogłem przybrać jej kształtu, ale mogłem odczytać jej wzór. I choć nie ośmieliłbym się wyobrazić sobie Elżbiety nago, poprzez kopię jej ciała zapisaną w jedwabiu zgłębiłem jej chorobę. Niestety, wątkość jedwabnego widma świadczyła o tym, iż Glorianie zostało zaledwie kilka miesięcy życia, co tylko potwierdziło moje obawy.

Zaskoczyła mnie za to zmiana, jaka zaszła w Klejnocie Elsynoru. Ukryta w nim moc przybrała na sile, odzwierciedlając niezłomną wolę i charakter królowej. Zdumiała mnie nowa magia uwięziona w kamieniu, mamiąca mnie swoją mocą i jednocześnie odmawiająca mi do siebie dostępu. Czyżby Elżbieta, próbując zaczerpnąć Błysku z bursztynu, przelała jakimś cudem swoją istotę do Klejnotu?

Nie powiedziałem jej, co wyczułem w perle. Sam ledwo to rozumiałem.

– Jestem znużona – oznajmiła Elżbieta słabym głosem. – Powstań, sir Pchło, i wróć do swych zajęć, mój błaznie.

– Jak Wasza Wysokość rozkaże. – Skłoniłem się, powstrzymując łzy straty. – Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości.

Wtedy to widziałem Elżbietę po raz ostatni. Zmarła dwudziestego czwartego marca 1603 roku. Jednakże do dzisiaj utrzymuję jej dziedzictwo przy życiu.

IV.

Skończywszy snuć wspomnienia, rozsiadłem się w fotelu, myśląc o Elżbiecie.

– Szekspir i królowa! – rzucił Thicks. – Genialna opowieść, szefie. Ta perła musi wiele dla ciebie znaczyć.

Skinąłem głową.

– Faktycznie. Nie wiem, jak ani dlaczego, ale tamtego dnia Klejnot Elsynoru uznał Elżbietę za swoją panią, zapisując jej ducha w swym blasku. Nie będzie drugiego takiego klejnotu. Zrobiłem, o co mnie prosiła i przekazałem perłę Willowi Szekspirowi wraz z życzeniem królowej. Również zgodnie z jej przykazem, wcieliłem klątwę w życie. Pewnego razu młody uczeń próbował zbiec z perłą, poznawszy jej prawdziwą wartość. Wystraszyłem go prawie na śmierć, po czym zadbałem o to, by Klejnot w tajemniczych okolicznościach wrócił w posiadanie Szekspira. Po dwóch kolejnych, podobnych przypadkach nikt już nie wątpił w klątwę ciężącą na perle, czyniąc ją tajemną legendą sceny dokładnie tak, jak zaplanowała Elżbieta.

– Słyszałem tylko o klątwie „Makbeta” – wtrącił Thicks. – To też twoja sprawka?

– Nie, nie przyłożyłem ręki do powstania klątwy szkockiej sztuki – odparłem. Wypowiedzenie tego tytułu w teatrze w innych okolicznościach niż podczas przedstawienia sprowadzało nieszczęście na spektakl i wszystkie osoby z nim związane. Klątwie tej przypisywano zgony na scenie i poza nią, spadające obciążniki sceniczne, rozboje, a nawet przypadki nagłego oniemienia aktorów. – Tego, drogi Thicksie, nawet ja nie jestem w stanie wyjaśnić. A wracając do Klejnotu Elsynoru, był przekazywany z trupy na trupę, chroniony legendą klątwy aż do chwili, gdy Pszczoła ukradła go z Drury Lane, by zrobić mi na złość. Jeśli ta perła to prawdziwy Klejnot Elsynoru, zamierzam wskrzesić jej legendę, w razie potrzeby wprowadzając klątwę w życie. Jestem to winien Elżbiecie.

– Zapowiada się nieźle. Domyślam się, że ukradniesz perły? – spytał Thicks.

– Ukradnę lub kupię, jeszcze nie wiem – przyznałem. – Jeśli to autentyki, ceny katalogowe są prawdziwą okazją.

Thicks wyjął z kieszeni pendrivea.

– W każdym bądź razie, mam tu plany Winters Auction House i opis jego funkcjonowania. Wygląda to na łatwe zadanie.

Uśmiechnąłem się. Po raz kolejny Thicks przewidział, czego będę potrzebować, jeszcze zanim sam to sobie uświadomiłem.

– Dziękuję.

Otworzyłem pulpit schowany w biurku, podłączyłem pamięć do gniazda i wcisnąłem ukryty przełącznik. Szerokie lustro na ścianie naprzeciwko biurka zamigotało i zmieniło się w ekran, wyświetlający pliki dotyczące Wintersa. Otworzyłem plany domu aukcyjnego i zdjęcie właściciela, Kirka Wintersa. Piegowaty czterdziestolatek o rzednących, rudych włosach sprawiał wrażenie sympatycznego, angielskiego dżentelmena.

– Niestety pozostaje jeden problem. Kirk Winters nie jest mi obcy, to mój dawny rywal ze sceny –

wyjaśniłem. – Poznaj Świerszcza, niegdyś znanego jako William Sly.

– To on? – Thicks założył okulary do czytania.

– Otwierając Arlequin Gallery, zapoznałem się z miejscową sceną sztuki i aukcji, przy okazji odkrywając Świerszcza – powiedziałem. – Celowo zbudował Winters Auction House przy Curtain Road w miejscu, gdzie stał elżbietański teatr, który znaliśmy i kochaliśmy. W hołdzie staremu Curtain Theatre, nowy budynek zawiera jego elementy. Założę się, że to Świerszcz jest autorem opisów historycznych w katalogu.

– Więc jeśli Elekt zastawił na ciebie pułapkę i chce cię zwabić...

– ...to Świerszcz albo jest mózgiem tej operacji, albo mimowolnym pionkiem – dokończyłem jego myśl. – Pamiętajmy, że skarby Pszczoły pojawiły się nagle w domu aukcyjnym Elekta.

– Czemu włosy aż stają mi dęba na głowie? – wymamrotał Thicks.

– Mnie to również niepokoi. Któryś z Elektów chce, bym grał wedle ich reguł. – A myślałem, że mam to już za sobą. Elekci często toczyli spory i wplątywali się w intrygi. Sam również pozwoliłem sobie na kilka spisków. Miałem kilka teorii, dlaczego tak się działo. Według pierwszej, pozwalało to nieco zwalczyć nudę lat. Według drugiej, niełatwo puścić w niepamięć stare urazy. Według trzeciej, chodziło o władzę. Pszczoła odebrała życie wielu osobom, na których mi zależało. Ostatni raz doszło do tego w 1943 roku, gdy wciągnęła mnie do kolejnej ze swych gier. Zginęła wówczas kobieta, którą kochałem. Po tym ostatnim, pamiętnym starciu z Pszczołą, które zakończyło się jej śmiercią, postanowiłem wycofać się ze społeczności Elektów, gdyż potrzebowałem nieco oddechu od swych nieśmiertelnych braci. Zerwałem więc wszelkie kontakty z Elektami, używając swych zdolności do infiltracji i sabotażu niemieckiej maszyny wojennej. Po drugiej wojnie światowej w pełni poświęciłem się grom szpiegowskim.

Na początku lat siedemdziesiątych, przewidując, jak wielką rolę w życiu społecznym będą pewnego dnia odgrywać komputery, stworzyłem nową tożsamość, Rafaela Saliego, młodego studenta o włosko-amerykańskim pochodzeniu z Wydziału Inżynierii Elektrycznej i Informatyki na Uniwersytecie w Berkeley. Na przestrzeni kolejnych dekad założyłem w Dolinie Krzemowej własną firmę, Magister Security, zostając pionierem w dziedzinie takich technologii zabezpieczeń, jak zintegrowane systemy alarmowo-monitorujące, biometria, intranet i bezpieczeństwo internetowe. Jednak nawet odgrywając rolę Rafaela Saliego, pozwalałem sobie od czasu do czasu na jakiś skok. Właśnie podczas jednego z takich przekrętów w połowie lat dziewięćdziesiątych poznałem Thomasa Thicketta. Zaprzyjaźniliśmy się i od tej pory pracowaliśmy razem. Ufałem mu do tego stopnia, że skorzystałem z jego pomocy przy sfingowaniu śmierci Saliego kilka lat temu oraz tworzeniu nowej tożsamości Felixa Lea.

– Co zrobisz? – zapytał Thicks.

Czy byłem gotowy wyjść z ukrycia? Być może, ale przypominało mi to historię Robina i Złotej Strzały, kiedy to Szeryf Nottingham próbował wyciągnąć nas z lasu na konkurs łuczniczy. Albo Hamleta i „Pułapkę na myszy”, która miała wzbudzić w królu wyrzuty sumienia.

Westchnąłem.

– Pułapka czy nie, nie dowiem się, jak się obecnie mają sprawy Elektów, jeśli nie nawiążę z nimi ponownie kontaktu. Myślę, że nadszedł czas odnowić swoją znajomość ze Świerszczem i dowiedzieć się jak najwięcej o aukcji. Tak czy inaczej, zdobędę Klejnot Elsynoru.

– W takim razie zorganizuję samochód i uzupełnię twój arsenał sztuczek. A tak przy okazji, pozwoliłem sobie załatwić to na piątkową galę – oznajmił Thicks, sięgając do kieszeni i wyjmując z niej zaproszenie wydrukowane na ręcznie robionym papierze.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, Thicks? Dziękuję.

Thickett wzruszył ramionami.

– Robię tylko to, co do mnie należy. Dobranoc, szefie.

– Dobranoc, przyjacielu.

Gdy wyszedł, wróciłem do studiowania nowej twarzy Świerszcza. Cicho zaśpiewałem sobie piosenkę Grabarza z „Hamleta”, by przywołać wspomnienia lat spędzonych wspólnie wieki temu. Pamięć to niezwykła rzecz, tym niezwyklesza w przypadku Elektów. Kiedy żyje się tak długo jak my, jest tyle wspomnień walczących o uwagę, że umysł gloryfikuje jedne szczegóły, inne spychając do podświadomości. U zwykłych ludzi piosenka, zapach lub smak często przywołują odległe wspomnienia i w przypadku Elektów jest podobnie, choć zasadniczą różnicą jest nasz stosunek do przedmiotów.

Używając bursztynu lub jedwabiu, poza zaczerpnięciem Błysku poprzez dotyk, odczytujemy także wzorce fizyczne nałożone na dane przedmioty. Zdolność ta ma również zastosowanie w mnemotechnikach, gdyż dotknięcie starego przedmiotu wiążącego się z jakimś wydarzeniem z przeszłości, pozwala nam lepiej je sobie przypomnieć. Media niegdyś nazywały tę umiejętność psychometrią, jednak obecnie, by odróżnić ją od pojęcia stosowanego w psychologii, które oznacza coś innego, zdolność ta znana jest jako odczytywanie historii przedmiotu. Elekci często zachowują różnego rodzaju pamiątki, by przypominały im o minionych latach. Na przykład egipska maska pogrzebowa Pszczoły mogła być przedmiotem przypominającym jej o którymś z dawnych wcieleni. Sam zachowałem drobne pamiątki, jak złoty grot strzały, który przypominał mi o czasach, gdy mieszkałem w lesie Sherwood, czy połówka Perły Kleopatry nadal znajdująca się w moim posiadaniu.

Nieśmiertelni często rościli sobie prawa do talentów i dyscyplin, ogłaszając się najlepszymi spośród nas. W przypadku Świerszcza i mnie, polem walki była scena elżbietańska, gdzie rywalizowaliśmy o najlepsze teksty Szekspira. Ja królowałem jako aktor komediowy, co samo w sobie było pewnego rodzaju zwycięstwem. Z kolei Świerszcz jako Sly nie był w stanie walczyć z Richardem Burbage’em o główne role jak Hamlet, czy Ryszard Trzeci i musiał zadowolić się istotnymi, choć drugoplanowymi postaciami jak Hotspur i Horatio. Podejrzywałem, że żywił do mnie urazę za to, iż cieszyłem się większą sławą. Niemniej jednak szanowaliśmy się, wiedząc że tylko nieśmiertelny może zrozumieć nieśmiertelnego. Nasze relacje, nieustannie podszyte napięciem, nigdy nie wyszły poza zawodową uprzejmość. W 1608 roku Świerszcz sfingował własną śmierć i przeniósł się do Paryża, by zająć się neoklasycznym teatrem francuskim. W osiemnastym wieku straciłem Świerszcza z oczu, a jego obecna tożsamość Kirka Wintersa była dla mnie zaskoczeniem, gdyż wcześniej zawsze obracał się w kręgach teatralnych. Z drugiej strony, wykonywanie jednego zawodu przez wieki może znużyć każdego. Zresztą trudno mi było winić Świerszcza za to, że próbuje czegoś nowego. W końcu sam poza złodziejstwem parałem się swego czasu medycyną, szpiegostwem i informatyką. Różnorodność nadaje życiu smak.

Czy to Świerszcz zrobił z Klejnotu przynętę, by mnie schwytać? Możliwe.

Mojej uwadze nie uszedł fakt, iż świerszcze doskonale sprawdzają się w roli żywej przynęty.

V.

Następnego ranka założyłem garnitur oraz jedwabną koszulę i krawat, przygotowując się do wizyty w Winters Auction House. Dotychczas nie odwiedzałem osobiście tego domu, by przypadkiem nie

natknąć się na Świerszcza. Zazwyczaj wysyłałem tam Mel Sweeney, moją asystentkę z Arlequim Gallery, by w moim imieniu licytowała przedmioty, które wpadły mi w oko. Niemniej jednak Klejnotem Elsynoru musiałem zająć się sam. W kieszeni spodni schowałem dwie bryłki bursztynu, na wypadek gdybym musiał nagle dokonać przemiany. Uzbroiłem alarm i wyszedłem z Uliczki Hathersage, by metrem dotrzeć na stację Warwick.

Przesiadając się z linii Circle na Northern na stacji Kings Cross, nabrałem pewności, że ktoś mnie śledzi.

Niebrzydka kobieta przed trzydziestką o prostych, ciemnobrązowych włosach, w sportowych okularach i ciemnoszarym kostiumie, jechała za mną od stacji Warwick, a niewykluczone, że dłużej. Była w tym tak dobra, że każdego innego dnia mógłbym ją przeoczyć. Jednakże moją zwykłą ostrożność wzmogły podejrzanе okoliczności aukcji i natychmiast zwróciłem uwagę na tę młodą kobietę. Przez głowę przebiegały mi szalone scenariusze. Czy to agentka Pszczoły, czy też sama Pszczoła? A może inny odwieczny wróg, jak Modliszka? Uczennica Świerszcza, a może całkiem nowy gracz w rozgrywkach między Elektami?

Próbowałem się uspokoić. Tak jak owad, od którego wzięła swe imię, Pszczoła nie była kobietą, która sama wykonywałaby brudną robotę. Niewzruszenie trzymała się roli królowej, wysyłającej agentów, których nazywała Trutniami, by wszystko załatwiali za nią.

Naturalnie moja reakcja mogła być przesadzona. Decydując się na powrót do świata Elektów, znów zacząłem myśleć jak oni, a w przypadku zmiennokształtnych paranoja jest czymś normalnym.

Przyszło mi do głowy coś jeszcze. Czy dziwne zachowanie Thicketta po tym, jak wyszliśmy z „Trzech Giermków”, mogło mieć związek z tym, że ktoś mnie śledził?

Postanowiłem mieć na oku swój tajemniczy cień. Na tym etapie zmiana twarzy nie wystarczyłaby, by ją zgubić. Dobry ogon zwraca uwagę nie tylko na twarz, ale i strój. Pewnie zmyliłaby ją zmiana wzrostu, ale po czymś takim ubrania przestałyby pasować. Zgubienie kobiety w tłumie niewiele by dało, gdyż każdy, kto chciał wywabić mnie z ukrycia za pomocą skarbów Pszczoły, wiedział, że i tak pójde do Wintersa.

Udając, że niczego nie zaważyłem, wsiadłem do pociągu linii Northern w kierunku Modern i wysiadłem na stacji Old Street. Idąc ulicą, wykonałem szybki telefon.

W słuchawce odezwał się radosny, kobiecy głos.

– Arlequim Gallery, witam.

– Mel, tu Felix. Posłuchaj, jestem na tropie kilku wyjątkowych przedmiotów do galerii, a wiesz, co to oznacza – powiedziałem. Zerknąłem za siebie i dostrzegłem śledzącą mnie kobietę po drugiej stronie ulicy, jakąś przecznicę za mną.

– Ach, znów szykują się podróże po świecie, panie Lea? – odparła.

– Zgadza się. Tak więc nie jestem pewien, kiedy wrócę. Przypilnujesz galerii pod moją nieobecność? – spytałem. Gdybym został wciągnięty w intrygę Elektów, możliwe, że musiałbym nagle odwiedzić miejsca, których nie sposób przewidzieć.

– Proszę się nie martwić – powiedziała. – Mam wszystko pod kontrolą. Udanej podróży.

Szybkim krokiem dotarłem do Winters Auction House, stojącego między szeregiem modnych restauracji i winiarni. Dom aukcyjny Wintersa zajmował czteropiętrowy budynek na rogu Curtain Road i Rivington, symbolicznie przypominający architekturą dawny teatr. Tak jak ja, Świerszcz nabył i przyłączył kilka nieruchomości przylegających do głównego budynku na potrzeby magazynowo-transportowe. Według planów remont przeprowadzony przez Świerszcza kilka lat wcześniej wywrócił do góry nogami wnętrze budynku zgodnie z jego zaleceniami.

Zauważyłem informację o aukcji zaplanowanej na popołudnie, na której wystawiano szereg

wysokiej jakości, rzadkich win. Odźwierny przywitał mnie i otworzył przede mną ogromne, dębowe drzwi. Wiedziałem, że kobieta nadal jest na ulicy i mnie obserwuje. Wszedłem do holu, zastanawiając się, czy podąży za mną.

Spodobało mi się to, co zobaczyłem. Wnętrze powitało mnie gustownym połączeniem nowoczesności i klasyki. Po obu stronach głównego korytarza stały ogromne, szklane panele osadzone w kamiennych podstawach, zdobionych fantasmagorycznymi, mitycznymi postaciami. Po bokach drzwi prowadzących do głównej sali aukcyjnej stały naturalnych rozmiarów, marmurowe posągi Williama Szekspira i Christophera Marlowe'a. Świerszcz nie szczędził kosztów na wystrój, choć nie można powiedzieć, by musiał się martwić o fundusze. Rozsądny nieśmiertelny to również zamożny nieśmiertelny. I choć dom Wintersa nie mógł konkurować z Sotheby's czy Christie's pod względem rozgłosu czy wysokości transakcji, jego elegancja oraz fakt, iż słynął z unikatowych przedmiotów przemawiały do pewnej grupy bogatych próżniaków.

– Dzień dobry. Chciałbym się widzieć z panem Wintersem – oznajmiłem recepcjonistce. – Nazywam się Felix Lea, jestem właścicielem Arlequin Gallery.

– Och, tej uroczej galerii w Mayfair? – spytała kobieta. – Zeszłej jesieni była tam cudowna wystawa japońskich grafik, prawda? Byliśmy z mężem wręcz zachwyceni.

Podałem jej swoją wizytówkę.

– To właśnie ta galeria.

– Chwileczkę, panie Lea. – Wykonała telefon i chwilę z kimś rozmawiała, posyłając mi uśmiech. – Pan Winters prosi, by pan wszedł. Proszę iść korytarzem po prawo i wsiąść do windy lub pójść schodami. Czwarte piętro, koniec korytarza.

– Dziękuję. – Udałem się we wskazanym kierunku i wszedłem na schody. Świerszcz czekał na mnie w drzwiach swojego gabinetu, z szerokim uśmiechem na twarzy.

– To naprawdę ty, Pchło? – Jego pytanie zagrzmiało w korytarzu.

Podszedłem do niego i wyciągnąłem rękę.

– Cały i zdrowy, Świerszczu. Długo się nie widzieliśmy.

Uśmiechnął się znacząco, potrząsając moją dłońią.

– „Gnido, pchło...

– ...świerszczu zmarznięty!” – dokończyłem cytat. Nasz ulubiony wers z „Poskromienia złościcy”, jedyna fraza z dzieł Szekspira, zawierająca oba nasze przydomki, była doskonałym sposobem na odnowienie znajomości.

– Ależ wejdź! – Zaprosił mnie do gabinetu, który, jak się można było spodziewać, umeblowany był antykami. Głównym meblem w pomieszczeniu było biurko w stylu wiktoriańskim z drzewa wiśniowego, wzdłuż ścian stały półki pełne książek o sztuce i teatrze. Na oknach wisały aksamitne zasłony, a w powietrzu unosił się wyraźny zapach mięty i mango. Na ścianie za biurkiem wisała kolekcja pięknych masek: dwie znajome twarze przedstawiające grecką komedię i tragedię, zębata, afrykańska maska Dan, biała twarz z krwistoczerwonymi ustami Yorimasa Noh i blada maska weneckiego lekarza z przypominającym dziób nosem z czasów epidemii dżumy.

– Nie mogłeś się oprzeć aluzji do zmarzniętego świerszcza, wybierając swoje zimowe nazwisko, prawda? – spytałem.

– I kto to mówi? – wypalił w odpowiedzi. – Felix Lea? F. Lea?*

Skwitowałem to wzruszeniem ramion i uśmiechem. Zamknął drzwi i przysunął krzesło przed zarzucone papierami biurko.

– Siadaj, proszę. No ładnie, Pchło, wszyscy myśleli, że nie żyjesz! No, wszyscy poza Modliszką, która upiera się, że przez ostatnich kilkadziesiąt lat ukradłeś z jej kolekcji najlepsze przedmioty.

– Może faktycznie wziąłem kilka z jej rzeczy przez wzgląd na stare czasy – przyznałem.

Mój najstarszy żyjący wróg, Modliszka, niegdyś nękała Robina i mnie pod postacią Szeryfa Nottingham. Naturalnie wtedy była mężczyzną. Gdy my, Elekci, zmieniamy kształt, płeć biologiczna to jedyny element, którego nie możemy zmienić na życzenie. Jednak niezmiernie rzadko, z niewiadomych przyczyn, przemiana nie zachodzi prawidłowo, przemieniając na stałe Elekta mężczyznę w kobietę. Od niepamiętnych czasów Elekci nazywali tę nieodwracalną metamorfozę Owdowieniem, gdyż oznacza śmierć mężczyzny i początek nowego życia kobiety, którą się staje. Dlaczego nigdy nie doszło do przemiany kobiety w mężczyznę pozostawało tematem zacieklejczych sporów filozoficznych między Elektami, a także źródłem frustracji tych, którzy owdowieli. Modliszka owdowiała na początku dwudziestego wieku.

Świerszcz rozsiadł się w swym czarnym, skórzanym fotelu za biurkiem. Znad jego ramienia zerkały na mnie maski.

– Zniknąłeś z powierzchni ziemi. Plotki o twojej śmierci sprawiły nawet, że niektóre z Pędraków zaczęły rozważać przejęcie twojego imienia, ale Imaga wybiły im to z głowy – oznajmił Świerszcz. Owadzia terminologia odgrywała ogromną rolę w żargonie Elektów. Jeśli ktoś przeżył rok jako Pędrak, stawał się Nimfą. Po kolejnych stu latach życia otrzymywało się tytuł Imaga, wstępując w szeregi Imag. – Więc jakimi to intrygami zajmowałeś się przez ostatnich kilkadziesiąt lat, Pchło?

– Poza dręczeniem Modliszki? Cóż, drobne szpiegostwo w czasie Zimnej Wojny i od czasu do czasu jakiś skok – odpowiedziałem, drocząc się z nim tymi drobinkami prawdy, nie chcąc rozstawać się ze wszystkimi sekretami. Poświęciłem tożsamości Saliego wiele lat, kierując rozwojem technologii zabezpieczeń i zyskując tym samym przewagę przy obchodzeniu systemów zabezpieczających. Ujawnienie przeszłości pozbawiłoby mnie tej przewagi.

– Dobrze, zachowaj najsmakowitsze szczegóły dla siebie – powiedział. – Bóg wie, że i ja mam kilka sekretów. Wróciłeś na dobre?

– Pełen zapachu – odparłem. – Wiesz, czemu tu jestem.

– Skarb Pszczoły – domyślił się Świerszcz. – Kiedy zobaczyłem przedmioty wystawione na aukcję, wiedziałem, że jeśli tylko jeszcze żyjesz, przyjdiesz po Klejnot. Podejrzewam, że wielu Elektów też tak pomyślało. Jednak to, czy przyjdiesz go ukraść, czy wylicytować, kosztowało mnie wiele bezsennych nocy.

– To zależy – powiedziałem. – Kim jest sprzedający?

– Ach, w tym właśnie sęk. Nie jestem pewien – odparł. – Kimkolwiek jest konsygnant, działa za pośrednictwem agenta o nazwisku Gage Singleton. To Amerykanin znany z tego, iż zapewnia swoim klientom dyskrecję, zgarniając przy tym sporą prowizję od sprzedaży, przy których pośredniczy. Nie muszę chyba dodawać, że niektóre z transakcji nieco zahaczają o podejrzane rejony.

Zanotowałem w pamięci, by spytać Thicksa o Singletona, jako że miał kontakty w tych kręgach.

– Więc nic nie wiesz o sprzedawcy?

– Poza tym, że ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa, to niewiele – odparł Świerszcz. – Klient Singletona ma dość nietypowe wymagania co do pokazu i aukcji i nalegał na obecność swoich strażników przy obu okazjach. Może wiedział, że przyjdiesz po perły? W każdym bądź razie przedmioty wystawione na aukcję dotrą tu dopiero przed samym pokazem, więc zapomnij o włamaniu.

– A możesz potwierdzić autentyczność Klejnotu Elsynoru? – spytałem.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odpowiedział Świerszcz. – Singleton pokazał mi najważniejsze z przedmiotów. Klejnot może i jest teraz częścią wisiorka, ale jest nieskazitelnie czysty. Dotknąłem go i mogę stwierdzić, że nadal płonie wspomnieniem Złotego Wieku Elżbiety.

Więc to jednak mógł być autentyk!

– Planujesz sam go licytować?

Świerszcz pokręcił głową.

– Zostawiam to tobie. Jedynym przedmiotem z kolekcji Pszczoły, jaki mnie interesuje, jest zaginiony obraz da Vinci, którego nie ma pośród rzeczy wystawionych na sprzedaż.

Zanotowałem tę informację w pamięci.

– Ciekawe, że właściciel skarbów Pszczoły korzysta z amerykańskiego pośrednika, ale sprzedaje przedmioty w londyńskim domu akcyjnym – stwierdziłem. – Czemu nie w Sothebys w Nowym Jorku? Czemu u ciebie? – miałem co do tego swoje podejrzenia, ale chciałem poznać zdanie Świerszcza.

– Możliwe, że chodzi o mój związek z Elektami – powiedział. – W końcu kto, jeśli nie Elekt, doceni świetność Klejnotu lub historię Perły Kleopatry? Nie mówiąc o tym, że moja klientela gustuje w eklektycznych mitach i legendach z przeszłości i stać ją na zaspokajanie swoich kaprysów. Może tylko o to chodzi?

Skinąłem głową.

– Zbyt długo mnie nie było. Czy dynamika władzy bardzo się zmieniła?

– Trochę. Największa zmiana wiąże się ze śmiercią Pszczoły – odpowiedział Świerszcz. – Najaktywniejsze ośrodki to nadal Wenecja, Nowy Jork, Kair i Tokio i wątpię, by miało się to zmienić w przeciągu najbliższych stu lub dwustu lat. Mrówkolew nadal kontroluje Wenecję, ale rozciągnął też swoje wpływy na Las Vegas. Skarabeusz żelazną ręką trzyma Bliski Wschód, a Modliszka utrzymuje swoją dominację nad światowym przemysłem wydobywania bursztynu za pośrednictwem Adamantis Mining. Ćma nadal jest panią jedwabiu na Wschodzie, a Pająk niezmiennie odgrywa rolę opiekuna Pędraków i Nimf. W ostatnich latach tylko jedno młode, Nartnik, dało się zauważyć po zostaniu Imagiem.

– Jaki jest obecny instar Nartnika? – spytałem. Instar to naukowe określenie stadium życia owada między wylinkami. Weszło do żargonu Elektów całkiem niedawno i określało stabilny kształt ciała stworzony dzięki Błyskowi z bursztynu i tożsamość, której zamierzaliśmy używać przez dłuższy czas. Wieki temu instary określano mianem wylinek.

– Barun Gupta, właściciel Grand Orient Pearls, największego dostawcy pereł hodowlanych w Indiach. Choć ma siedzibę w Hyderabadzie, często odwiedza Londyn i już kilka razy pojawiał się tu na aukcjach – powiedział Świerszcz. – Interesują go zarówno perły naturalne, jak i hodowlane, więc idę o zakład, że przyjdzie na pokaz. Znasz go?

Pokręciłem głową. Moje ścieżki rzadko krzyżowały się ze ścieżkami Elektów ze Wschodu.

– Kogo jeszcze mogę się spodziewać?

– Trudno powiedzieć. Może pojawić się wielu Elektów incognito lub nikt – stwierdził Świerszcz.

– Większość ogranicza się do wysłania agenta reprezentującego ich interesy. Skarabeusz na pewno będzie tu miał kogoś licytującego dla niego egipskie artefakty. Jeżeli chodzi o Modliszkę i Mrówkolwa, wątpię, by zjawili się osobiście.

Wzruszyłem ramionami.

– Mogą się zjawić, jeśli to oni chcą mnie tu zwabić.

Świerszcz westchnął.

– Pchło, znów do głosu dochodzi twoje ego. Czy zawsze musi chodzić o ciebie? Czy jakiś łowca skarbów nie mógł po prostu natknąć się na skarb Pszczoły?

– Przeczucie podpowiada mi, że nie. Jest jeszcze jeden Elekt, którego pominąłeś. Pszczoła.

– Więc sądzisz, że jednak żyje? – spytał Świerszcz. – Mrówkolew twierdzi, że zginęła z twojej ręki.

– Jakoś mnie to nie dziwi. – Spojrzałem w oczy maski lekarza z czasów zarazy wiszącej za Świerszczem i postanowiłem nie rozwijać tej myśli.

Świerszcz natomiast próbował drażnić temat.

– Jak zginęła? Mrówkolew nigdy nie wdawał się w szczegóły.

– Ja też tego nie zrobię. – Niektóre wydarzenia można przeżyć, ale nigdy nikomu się o nich nie mówi. Mrówkolew i ja byliśmy zgodni co do tego, jak traktować ten niechlubny dzień.

– Niech będzie – rzucił Świerszcz. – Myślisz, że Singleton to jej Truteń?

Wzruszyłem ramionami i wstałem.

– Faktycznie woli pracować za pośrednictwem agentów. – Jako jedyna pośród Elektów Pszczoła znała przepis na tajemną miksturę miodową, która umożliwiała zwykłym ludziom tymczasową zmianę kształtu, choć receptura ta miała swoje wady i wiązała się z pewnym ryzykiem. Pszczoła często wabiła wiernych służących mocą zmiany kształtu, nazywając ich Trutniami i wykorzystując ich do snucia swych intryg i dokonywania zabójstw. – Dziękuję za pogawędkę. Aha, chciałbym cię jeszcze o coś prosić, Świerszczu. Zachowaj wiadomość o moim powrocie dla siebie.

– Niby dlaczego? – spytał Świerszcz z szerokim uśmiechem na twarzy. – Sama Modliszka sporo by zapłaciła za wiadomość, że żyjesz i informację, gdzie cię znaleźć.

– To prawda – stwierdziłem. – Założmy, że sprzedasz teraz moją tożsamość, a moi wrogowie dopadną mnie przed aukcją. Konsygnant nie będzie już potrzebował pułapki i wycofa przedmioty z aukcji. To nie byłoby najlepsze posunięcie biznesowe dla twojego domu aukcyjnego, prawda?

Moje słowa wystarczyły, by dać Świerszczowi do myślenia.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Dopilnuję, by moja sekretarka wysłała ci zaproszenie na galę.

Wystudiowanym gestem wyjąłem z kieszeni zaproszenie, które dostałem od Thicksa.

– Zostajesz daleko w tyle, Świerszczu. Do zobaczenia.

VI.

Wychodząc z biura Świerszcza, dostrzegłem dwóch strażników czekających na windę i przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Gdybym ukradł wygląd jednego z nich, zaskoczyłbym kobietę, która mnie śledziła i doprowadził do konfrontacji. Łysy strażnik z gęstą, czarną brodą był tylko o cal wyższy i biorąc pod uwagę mój strój, lepiej było ukraść jego kształt niż wygląd jego wyższego partnera z wydatnym torse.

Krzyknąłem, by przytrzymali dla mnie drzwi, podbiegłem do windy i stanąłem między nimi.

– Dziękuję – rzuciłem. Wkładając ręce do kieszeni, musnąłem dłoń mojego celu mankietem jedwabnej koszuli. Krótki kontakt jedwabiu z jego skórą wystarczył, by pochwycić jego kształt, choć musiałem się skupić, by mój własny wzór nie nadpisał obrazu strażnika.

Mężczyźni wysiedli z windy dwa piętra niżej, a ja zjechałem na parter. Chwilę przed tym, jak drzwi się otworzyły, zaczerpnąłem Błysku z jedwabiu przez skradziony odcisk, przybierając twarz i ciało łysego strażnika. Garnitur zrobił się ciaśniejszy, ale dało się w nim wytrzymać. Zdjąłem marynarkę i przewiesiłem ją przez ramię, po czym wolnym krokiem przeszedłem przez hol i opuściłem budynek.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu tajemniczej kobiety i odnalazłem ją przy stoliku w oknie Cafe Matisse po drugiej stronie ulicy. Obserwowała drzwi domu aukcyjnego Wintersa.

Przeszedłem przez ulicę i wszedłem do kawiarni. Cafe Matisse składała hołd malarzowi, od którego wzięła swoją nazwę, poprzez kolorystykę i wystrój wzorowane na arcydziele Matisse'a „Harmonia w czerwieni”. Projektanci w niesamowity sposób przełożyli obraz na wystrój wnętrza, od krzeseł z wiklinowym siedziskiem, po szkarłatne obrusy i tapety. Na środku stołów ustawiono woskowe owoce, a butelki z długimi szyjkami na oliwę i ocet balsamiczny wzmacniały złudzenie przebywania w obrazie Matissea.

Moja tajemnicza kobieta sprawiała wrażenie, jakby wcale nie zauważyła mojego wejścia, choć miałem na sobie te same buty i spodnie. Albo była mistrzynią obserwacji i udawała głupią, albo w ogóle nie brała pod uwagę zmiany wyglądu. A jeśli prawdą było to drugie, kim była?

Skierowałem się w stronę męskiej toalety, na której drzwiach wisiał autoportret Henriego Matissea. Upewniwszy się, że nikt mnie nie widzi, pozbyłem się nowej twarzy i założyłem z powrotem marynarkę, po czym udałem się do baru, gdzie zamówiłem latte. Czekać na kawę zauważyłem, że na serwetkach wydrukowano reprodukcję obrazu „Annelies, białe tulipany i zawilce”. Uśmiechnąłem się, doceniając tę próbę nauczania sztuki mimochodem.

Z kawą w dłoni szybko podszedłem do stolika kobiety i skrzywiłem się widząc, jak bezmyślnie bazgrze długopisem po sztuce na serwetce.

– Annelies z diabelskimi rogami i kocimi wąsami? Nie ma pani za grosz szacunku dla sztuki? – spytałem.

Odwróciła się na dźwięk mojego głosu. Przez twarz przemknął jej wyraz zaskoczenia, ale niemal natychmiast przyjęła profesjonalną postawę i zgniotła sprofanowaną serwetkę.

– To ma niewiele wspólnego z prawdziwą sztuką.

– Należy doceniać piękno w każdej postaci. Ja tak robię – dodałem. – Mogę się przysiąc?

– Ależ proszę, Lea – odparła. – Chciałam z tobą porozmawiać. – Z jej twarzy promieniowała anielskość, a kąciaki ust unosiły się nieznacznie w mimowolnym, ognistym uśmiechu. Była wysportowana i wcale nie filigranowa, więc gdyby doszło do walki, prawdopodobnie byłaby trudnym przeciwnikiem. W innym czasie i miejscu być może próbowałbym ją poderwać, nawet pomimo tego, że mnie prześladowała. Z drugiej strony nie mogłem pozbyć się wrażenia, że już gdzieś ją widziałem.

Usiadłem naprzeciwko kobiety.

– Obawiam się, że ma pani nade mną przewagę, pani...?

– Sierżant Olivia Hughes, policja londyńska – oznajmiła, wyciągając odznakę.

Policjantka z Wydziału Kryminalnego po cywilnemu? Przez myśli przebiegła mi lista ostatnich kradzieży – skoki w Mediolanie, Singapurze i Chicago. Żaden z nich nie podlegał jurysdykcji Scotland Yardu.

– Mam jakieś problemy, sierżant Hughes?

– Oficjalnie nie, ale nie jestem tu w oficjalnej sprawie, Lea.

Upiłem łyk kawy.

– Więc czemu mnie pani śledzi?

– Chciałam tylko powiedzieć, żebyś trzymał się z dala od mojego ojca.

I nagle dotarło do mnie, gdzie widziałem jej zdjęcie. Thicks nosił w portfelu zdjęcie córki i zawsze z czułością mówił o swojej Livie. Olivia. Na zdjęciu była znacznie młodsza. Porzuciłem wszelkie myśli o uwiedzeniu pani sierżant.

– Jesteś córką Thicksa?

Olivia skrzywiła się, słysząc ten przydomek w moich ustach.

– Proszę go tak nie nazywać. Wydaje się przez to... tępy*.

– Oboje wiemy, że to dalekie od prawdy. Nie nazywam go tak dlatego, że go nie szanuję i on o tym wie – powiedziałem. – Zdaje się, że to ty masz problem z nazwiskiem Thickett, sierżant Hughes. Skąd ta zmiana nazwiska?

– Po rozwodzie rodziców przyjąłem nazwisko panięskie matki – wyjaśniła Olivia. – Co nie znaczy, że ojca kocham mniej.

– Twój ojciec nigdy nie wspominał, że ma córkę w policji – stwierdziłem, choć rozumiałem, czemu to ukrywa. Nigdy nie miałem cierpliwości do prawa.

– Wcale mnie to nie dziwi, biorąc pod uwagę kręgi, w których się obraca – powiedziała Olivia. – Obiecał, że nie będzie się pakował w kłopoty, ale wiem, że powrócił do dawnych zwyczajów.

I to na moje życzenie, ale nie ośmieliłem się tego powiedzieć, tak jak przemilczałem fakt, jakim świetnym jest fachowcem.

– Twój ojciec ma dobre serce, Olivio – stwierdziłem zamiast tego.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nieraz łamał prawo. Może i świetnie zaciera ślady, ale dobra córka wie, kiedy ojciec wciska jej kit. Nawet morderstwo uszło mu na sucho – powiedziała Olivia, obserwując moją reakcję.

– Morderstwo? To na pewno przesada. – Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by jej ojciec mógł kogokolwiek zabić.

– Kocham ojca, ale również służę prawu – odparła Olivia. – I ostrzegam cię, Lea, trzymaj się od niego z daleka. Jeśli dowiem się, że zachęcasz go do jakichś nielegalnych działań, aresztuję cię i pogrzebię w systemie więziennictwa.

A zatem śledziła mnie, by sprawdzić, czy to przeze mnie jej ojciec ma kontakty ze światem przestępczym. Niestety przeze mnie. Olivia chciała jedynie chronić ojca, ale Thicks tak jak ja miał duszę banity i do głowy by mu nie przyszło wrócić do uczciwego życia. Podejrzewałem, że Olivia nie zaakceptowałaby filozofii Robina Hooda jako wytłumaczenia dla naszych dobroczynnych zbrodni.

– Olivio, nie porzucam przyjaciół, tak jak nie robi tego twój ojciec. Obiecuję, że będę go chronić nawet kosztem własnego życia – oznajmiłem. – Nie mógłbym postąpić inaczej, biorąc pod uwagę fakt, ile razy twój ojciec zrobił to samo dla mnie.

– Trzymam cię za słowo, Lea – stwierdziła Olivia, po czym dokończyła kawę i wstała. – Będę cię miała na oku. Mogę mieć rozterki co do zamknięcia własnego ojca, ale nie mam żadnych skrupułów w związku z aresztowaniem jego współników. Nie szukaj żadnych kłopotów.

Z grzeczności również wstałem.

– To kłopoty zazwyczaj znajdują mnie.

Gdy Olivia wyszła, wziąłem serwetkę, którą zgmiotła i rozprostowałem ją, zastanawiając się, co tam napisała. Znalazłem krótkie notatki przypominające o codziennych czynnościach – podlać pelargonie, kupić brzoskwiniowe czatni – oraz swoje nazwisko, a pod nim określenia „zadowolony z siebie” i „pedziowaty”.

Pedziowaty? Zmarszczyłem brwi i przyjrzałem się swoim ubraniom, nie rozumiejąc, dlaczego tak pomyślała. Nie da się ukryć, że byłem nienagannie ubrany, ale pedziowaty? Jak mogłem się komuś wydać płytkim snobem? Nie potrafiłem przestać o tym myśleć, co zepsuło mi całą radość z latte.

Wybrałem na komórce numer Thicksa.

– To ja. Odbyłem właśnie nader intrygującą rozmowę z sierżant Olivią Hughes.

– Co...? Livie? – Thicks był wyraźnie zaskoczony. – Przepraszam, szefie, naprawdę nie chciałem tego przed tobą ukrywać! Kiedy się poznaliśmy, moja córeczka była jeszcze w szkole, rozumiesz? Myślała tylko i wyłącznie o lacrosse. Nic nie wskazywało na to, że wstąpi do szkoły policyjnej, skąd

niby miałem wiedzieć, że wyląduję w policji?

– Nie masz za co przepraszać, Thicks, co się stało, już się nie odstanie – powiedziałem. – Ale jedno mnie ciekawi. Czemu sądzi, że kogoś zamordowałeś? Czy jeszcze czegoś mi nie mówisz?

– A, o to chodzi. – Odchrząknął. – Pamiętasz, jak sfingowaliśmy twoją śmierć w Belize, gdy zmieniałeś tożsamość? No więc kilka miesięcy temu Livie odwiedziła moje mieszkanie. Pomyszkowała trochę i znalazła rachunki za wynajem sprzętu do nurkowania i łodzi w Belize, a także zdjęcie, na którym jestem z tobą jako Salim. Dodała dwa do dwóch i w jej mniemaniu otrzymała cztery, więc oskarżyła mnie o to, że cię zamordowałem. Naturalnie nie mogłem jej powiedzieć prawdy.

– Aha. – Po raz kolejny zwyciężyła lojalność Thicketta wobec mnie. Nie zdradził własnej córce tajemnicy mojego życia jako zmiennokształtnego, choć gdyby to zrobił, Olivia przestałaby go postrzegać jako mordercę. Z drugiej strony, czy w ogóle by mu uwierzyła? Mógł być w jej oczach podejrzanym o morderstwo lub kompletnym szaleńcem, niełatwy wybór. – Przepraszam, że masz przeze mnie kłopoty z córką, Thicks. Nie wiem, czy poczujesz się przez to lepiej, ale to, co zrobiła dowodzi, że nadal cię kocha. Zobaczę, co da się zrobić, by udowodnić twoją niewinność w związku z moją „śmiercią”.

– Miło z twojej strony, szefie, ale przekonanie mojej Livie nie będzie łatwą sprawą – powiedział i zmienił temat. – A przy okazji, potrzebny ci jakiś specjalny sprzęt na piątkową galę?

– Owszem – odpowiedziałem. – Na początek słuchawki do ucha, żebyśmy mieli ze sobą kontakt i smoking z ukrytymi kieszeniami na sprzęt. Poza tym prognozy przewidują na piątkowy wieczór deszcz i sądzę, że przyda mi się wykonany na zamówienie parasol...

VII.

W czwartek wieczorem, w zaciszu mego pokoju, zacząłem przekopywać się przez pliki dotyczące Singletona, Nartnika i domu aukcyjnego Wintersa.

Nartnik, czy też Barun Gupta w obecnym wcieleniu, przyjął kształt wysportowanego Hindusa po trzydziestce. Tak jak powiedział Świerszcz, Nartnik był właścicielem Grand Orient Pearls, ale miał też pakiety kontrolne akcji innych firm w całych Indiach, w takich branżach jak transport, włókiennictwo i outsourcing procesów biznesowych. Trzeba przyznać, że cieszył się nieposzlakowaną opinią uczciwego, choć bardzo stanowczego negocjatora. Jednak biorąc pod uwagę moje wycofanie się z kręgów Elektów, nic nie wiedziałem o jego prawdziwych motywach, czy historii instarów. Pewne było jedynie to, że był Elektem od co najmniej stu lat, gdyż wstąpił już w szeregi Imag.

Otworzyłem plik z informacjami o Gageu Singletonie. Na zdjęciach widniał wysoki, wychudły, biały mężczyzna tuż po pięćdziesiątce. Był łysy i gładko ogolony, a na nosie miał niewielkie, okrągłe okulary. Według posiadanych przez nas danych, faktycznie był słynnym pośrednikiem z wieloma sukcesami na koncie, znanym z dbałości o prywatność swoich klientów. W wieku dwudziestu kilku lat służył w amerykańskim wojsku, a następnie zajął się swoim obecnym, cywilnym zawodem. Jakieś pięć lat temu jako jedyny przeżył, nie odnosząc większych obrażeń, wypadek samochodowy, w którym zginęli jego żona i syn. Nigdy nie był o nic oficjalnie oskarżony, a reprezentując interesy swoich klientów odwiedził niezliczoną liczbę krajów.

Choć wcześniej planowałem nauczyć się na pamięć planów budynku, ciekawość i chęć

dowiedzenia się czegoś więcej o Olivii Hughes zwyciężyła. Thomasa Thicketta uważałem za najbliższego przyjaciela i wydawało mi się, że wiem o nim absolutnie wszystko – że ukrywa swój lęk przed wymiotami, jest uzależniony od programu „Antiques Roadshow”, a nawet to, że przesądnie stawia tylko na konie, których imiona zaczynają się na T. Tymczasem nie miałem zielonego pojęcia o jego relacjach z córką. Rozumiałem, dlaczego unikał tego tematu – policjanci i złodzieje nie idą ze sobą w parze. Jednak to nagłe odkrycie dotyczące Olivii zachwiało moją wiarą w Thicksa. Wiedziałem, że przestanę o niej myśleć dopiero, gdy dowiem się, kim jest naprawdę. I tak uruchomiłem hakerski podprogram, który pozwolił mi się włamać do systemu komputerowego londyńskiej policji, nie pierwszy raz zresztą.

Na ekranie pojawił się przebieg służby Olivii. Przed przeniesieniem do Wydziału Kryminalnego przez dwa lata była funkcjonariuszem mundurowym w Fulham. Osiągała doskonałe wyniki w trakcie rocznego szkolenia na posterunkowego, wykazując się niesamowitą intuicją w sprawach związanych z fałszerzami. Dzięki swej gorliwości jesienią doprowadziła do schwytania seryjnego mordercy i tak w dwa lata dorobiła się stopnia sierżanta.

Bardzo zaciekała mnie jedyna skaza w jej aktach z początku kariery, kiedy to pozwoliła beczelnemu złodziejowi samochodów sprzątnąć sobie sprzed nosa lamborghini murcielago LP640, prezentowane na londyńskiej wystawie samochodowej. Pamiętałem, że czytałem o tym zdarzeniu w „The Independent”, więc odnalazłem w sieci ten artykuł, by odświeżyć sobie pamięć. Przejazdka złodzieja skradzionym lamborghini skończyła się dość gwałtownie w witrynie smażalni ryb w Notting Hill. Na zdjęciu widniało murcielago okryte czerwoną markizą znad drzwi. Na prawo od samochodu, wyraźnie przygnębiona policjantka próbowała uspokoić rozwścieczonego właściciela smażalni. I choć kobieta miała krótsze włosy, a jej twarz była częściowo przesłonięta, bez wątplenia była to młodsza Olivia Hughes.

Nagle od drzwi dobiegł brzęk tłuczonego szkła.

– Szefie! – krzyknął Thicks. Upuścił serwis do herbaty i wpatrywał się ze zdumieniem w ekran.

Odezwały się we mnie wyrzuty sumienia i natychmiast zamknąłem okno przeglądarki, co tylko pogorszyło sprawę, odsłaniając przebieg służby Olivii.

– Strasznie cię przepraszam, Thicks – wyjąkałem. – Po prostu chciałem się czegoś dowiedzieć o twojej córce. – Jednym przyciskiem uruchomiłem program zacierający ślady w sieci.

– Nigdy jej tego nie zapomną, prawda? – Thicks uklęknął, by podnieść upuszczoną tacę, ale nawet na chwilę nie przestał bronić córki. – Wiesz, to był jej jedyny błąd pod koniec pierwszego roku okresu próbnego. Przyszła do mnie potem cała we łzach i dopiero mój słynny na cały świat, ciągnący się pudding karmelowy poprawił jej humor.

Pomogłem mu posprzątać.

– Mówisz o tej paskudnej, zabójczo słodkiej brei, którą nazywasz deserem?

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie mogłem jej zaproponować smażonego w głębokim tłuszczu batonika Mars, prawda? Przysięgła sobie, że już nigdy nie schrzani tak ważnego zadania i do dziś dotrzymuje obietnicy – powiedział Thicks. – W każdym bądź razie, jeśli tylko lepiej poznasz Livie, przekonasz się, że to nie tylko świetna policjantka.

Thicks miał rację. Aby kogoś zrozumieć, należało spędzić w jego towarzystwie trochę czasu, a nie szperać w jego aktach. Ścisnąłem ramię Thicketta.

– Masz rację, stary. Jak tylko skończymy z tą aukcją, powinniśmy iść w trójkę na kolację i wszystko sobie wyjaśnić.

– Bylebyśmy nie jedli ryb – rzucił Thicks.

– Żadnych ryb! – obiecałem. – A teraz wracajmy do pracy. Jutrzejsza gala może się okazać

VIII.

Zgodnie z prognozami, piątek był mokry i wietrzny. Siedziałem w czarnej limuzynie, zajęty ostatnimi przygotowaniami do gali, a Thicks odgrywał rolę szofera. Poprawiłem w lusterku czarną, jedwabną muszkę i sprawdziłem zapasy bursztynu i jedwabiu. Dwie bryłki bursztynu spoczywały w ukrytych, ale łatwo dostępnych kieszeniach, jednej w smokingu, a drugiej w spodniach. Miałem białą jedwabną koszulę oraz ręcznie robiony, szeroki jedwabny pas, a w rękawie ukryłem garotę.

– Tak przy okazji, świetna robota z tym parasolem. – Na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od standardowego parasola firmy Brigg z rączką w kształcie głowy lwa. Tymczasem dzięki wprowadzonym modyfikacjom parasol stał się solidną bronią obuchową, a jego rączka kryła szerokopasmowy zagłuszacz sygnału.

– Nie mnie dziękuj, tylko Rhysowi – odparł Thicks. – Przy najbliższej okazji przekażę mu twoje wyrazy uznania.

– Dobrze. Jak uruchomić zagłuszacz? – spytałem.

– Widzisz metalową obręcz przy podstawie uchwytu? Można ją obrócić. Wystarczy jeden obrót w prawo i zakłóci wszystkie transmisje radiowe w promieniu pięciu przecznic, w tym naszą, więc korzystaj z tego z rozwagą. – Thicks podał mi małe metalowe pudełko.

– Świetnie. – Otworzyłem pudełeczko i wyjąłem z niego słuchawkę i miniaturowy mikrofon. Małą jak pchła słuchawkę bez problemu zmieściłem w lewym uchu. Płaski mikrofon przyczepiłem pod kołnierzykiem koszuli i włączyłem go.

– Próba mikrofonu.

– Słyszę cię głośno i wyraźnie, szefie – odpowiedział Thicks. Podniósł dźwiękoszczelny ekran oddzielający tył limuzyny od kabiny szofera, po czym uruchomił swój nadajnik.

– Jak mnie słyszać? – odezwał się głos w słuchawce.

– Doskonale – odparłem.

Z powrotem opuścił przesłonę.

– Spodziewasz się dziś jakichś kłopotów?

– W najlepszym razie potwierdzę autentyczność Klejnotu i Perły Kleopatry, wyjdę bez przeszkód, a w poniedziałek wrócę tu i wylicytuję obie te rzeczy.

– A w najgorszym?

– Wpadnę w pułapkę Pszczoły i nigdy nie wyjdę – odparłem. – Nie oddalaj się zbyt po tym, jak wysiądę. Mogę potrzebować wsparcia kawalerii.

– Tak też sądziłem – rzucił Thicks. – Możesz na mnie liczyć, szefie. Schowałem w bagażniku kilka dodatkowych gadżetów, a w schowku pod siedzeniem masz kuszę.

– Doskonale. – Wbiłem kod w komórkę i otworzyłem zdjęcie mojej połówki Perły Kleopatry z widocznym ułożeniem pierścieni. Gdyby nadarzyła się okazja, mógłbym porównać zdjęcie z kolczykiem wystawionym na aukcję, by potwierdzić jego autentyczność. Ponownie zablokowałem plik i wsunąłem telefon do pokrowca.

Limuzyna zatrzymała się za dwoma innymi na Curtain Road, więc musieliśmy poczekać, aż szoferzy doprowadzą swych pracodawców w deszczu do drzwi. Wykorzystałem tę krótką chwilę, by podzielić się z Thicksem czymś, co chodziło mi po głowie od czasu rozmowy z jego córką.

– Thicks, pracujemy razem od dawna, prawda?

– Tak. O co chodzi?

– Póki co świetnie nam się wspólnie planowało i wykonywało skoki, ale teraz zasady gry się zmieniają. Wraz z moim powrotem w szeregi Elektów ilość niebezpieczeństw się podwoi – wyjaśniłem. – Ludziom w moim otoczeniu często dzieje się krzywda.

– No i? W czym rzecz? – spytał Thicks.

– Jeśli po dzisiejszym dniu będziesz chciał odejść, zrozumiem.

– Zwalniasz mnie, szefie? – Thicks odwrócił się, by spojrzeć mi prosto w oczy. – To sprawa Livie, prawda?

– Daję ci możliwość wycofania się. Masz rodzinę.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale jesteś tak samo moją rodziną jak Liv – oznajmił Thicks. – Czy ci się to podoba, czy nie, jestem ci potrzebny. Nigdzie nie idę.

Skinąłem głową, pełen podziwu dla jego lojalności.

– W takim razie musisz bardziej uważać. Jako że nie jestem już jedynym zmiennokształtnym w pobliżu, potrzebne nam będą hasła potwierdzające naszą tożsamość, gdyż głos bardzo łatwo skopiować. Za każdym razem, gdy będę się z tobą kontaktować, będę podawać kolejne hasło z ułożonej wcześniej listy. Na przykład, pierwszymi trzema hasłami może być „Jago”, „Puk” i „Merkucjo”. Po gali opracujemy dłuższą listę.

– Pewnie, szefie. Szykuje się sporo wkuwania na pamięć, ale co zrobić. – Zwolniło się miejsce i Thicks natychmiast na nie wjechał. – Baw się dobrze.

– Dzięki. – Zerknąłem na zegarek. Za piętnaście ósma. Założyłem płaszcz i otworzyłem drzwi, rozkładając parasol, by ochronić się przed padającym równomiernie deszczem. Szybkim krokiem przemierzyłem kilka metrów dzielących krawężnik od wejścia, po czym wkroczyłem do holu i przystanąłem, bo otrząsnąć parasol z wody. Przy drzwiach stało dwóch barczystych strażników w granatowych garniturach. Nie rozpoznałem w nich nikogo z akt pracowników Wintersa, co nieco mnie zdenerwowało. Czemu drzwi nie pilnowali ludzie Wintersa? Sądziłem, że strażnicy Singletona będą tylko wspierać personel Wintersa, a nie całkowicie go zastąpią.

– Proszę o zaproszenie – odezwał się rudowłosy.

Pokazałem mu swoje zaproszenie, starając się zapamiętać jego twarz. Z braku lepszego pomysłu nazwałem go Rosencrantzem.

– Ma pan telefon komórkowy? – zapytał blondyn, który automatycznie został Guildensternem.

– Tak. A dlaczego pan pyta?

– Na dzisiejszy pokaz zamknięty nie wolno wnosić telefonów i aparatów – wyjaśnił Guildenstern.

– Proszę zostawić wszystkie tego typu urządzenia wraz z parasolem w szatni.

– Rozumiem. – Choć nie widziałem u nich broni, mogłem śmiało założyć, że pod marynarkami mają ukryte pistolety.

Oddałem płaszcz, parasol i telefon komórkowy kobiecie w szatni na prawo od wejścia. Z otwartej sali aukcyjnej dobiegały subtelne dźwięki muzyki klasycznej. Garstka bogato ubranych mecenasów sztuki gawędziła przy wejściu na salę. Rozpoznałem troje z nich: lorda i lady Aird oraz nieznośnego krytyka sztuki, Basila Hamiltona-Tharpa. Kolejny ubrany na granatowo strażnik zaprosił ich do środka. Był to mężczyzna w średnim wieku, starszy od dwójki, którą widziałem wcześniej, i miał na brodzie bliznę. Sądząc po jego wyglądzie, obstawiałbym, że służył w marynarce. Nazwałem go w myślach Fortinbrasem i z uśmiechem przeszedłem między posągami Willa Szekspira i Kita Marlowea, wchodząc na salę.

Trudno było nie podziwiać piękna sali aukcyjnej. Jak już wiedziałem z planów, tworząc tę salę

Świerszcz wzorował się na Curtain Theatre, jednakże nie była to dokładna kopia wcześniejszej struktury. Włączono do niej nowoczesne elementy oraz dokonano modyfikacji koniecznych do stworzenia sali aukcyjnej. Przypominała ośmioboczny amfiteatr z otwartą przestrzenią pośrodku, gdzie umieszczono scenę, służącą zazwyczaj jako podwyższenie dla licytatora lub wybieg, na którym prezentowano przedmioty. Nad pomieszczeniem znajdowały się trzy poziomy galerii, ale zamiast oferować dodatkowe miejsca, stanowiły przestrzeń wystawienniczą dla obrazów i zdjęć. Na czas gali schody prowadzące do galerii zostały zamknięte. Pokrycie podłóg i ścian w niczym nie przypominało tanich materiałów, z których zbudowano stary Curtain Theatre, co nadawało interpretacji Świerszcza szykownego, luksusowego wyglądu. Herkulesowe słupy zrobione były z prawdziwego marmuru, a frons scenae – ściana frontowa – przyozdobiona klasycznymi greckimi i rzymskimi obrazami.

Krzeseła, które zazwyczaj zapełniały salę aukcyjną, wyniesiono, by pomieścić gości gali. Obrzuciłem pobieżnym spojrzeniem obecnych, stwierdzając, że na sali zebrało się około trzydziestu osób, z niewielką przewagą mężczyzn. Sześciu kelnerów roznosiło przystawki i szampana przy akompaniamencie muzyki kwartetu smyczkowego, siedzącego na scenie. Szklane gabloty z przedmiotami wystawionymi na aukcję ustawiono przy podstawie sceny, a kolekcji pilnowało dwóch ludzi Singletona. Trzymając się imion z „Hamleta”, nazwałem ich Polonusem i Reynaldem. Kolejnych dwóch strażników obserwowało galę z galerii, jeden na piętrze tuż nad salą, drugi z galerii położonej najwyżej. Horatio i Osric.

Ostatni ze strażników, których dostrzegłem, potężny mężczyzna z brodą – powiedzmy, że Laertes – stał za najpiękniejszą kobietą w pomieszczeniu. Smukła Hinduska w czerwonej atlasowej sukience miała w lewym uchu Perłę Kleopatry, a na szyi wisiołek z Klejnotem Elsynoru. Rozpromieniona niczym gwiazda poranna, skupiała na sobie uwagę grupy kobiet w eleganckich sukniach wieczorowych.

Choć pragnąłem przyjrzeć się klejnotom z bliska, postanowiłem zaczekać na właściwszy moment. Gdybym okazał nadmierne zainteresowanie perłami, mógłbym zbyt szybko się zdradzić. Naturalnie zakładając, że Świerszcz jeszcze nie zdążył wyjawić mojej tożsamości wrogowi. Wziąłem kieliszek szampana od przechodzącego obok kelnera i zlustrowałem wzrokiem salę. W zasadzie każda z kobiet mogła być Pszczołą w przebraniu, tak jak każdy z gości mógł być Elektem. Znów zaczęła mnie dręczyć paranoja idąca w parze z intrygami Elektów. Otrząsałem się z niej, szukając w tłumie czterech konkretnych osób: Świerszcza, mojego znajomego Hala Russella, Nartnika i Gagea Singletona.

Świerszcza nigdzie nie było widać, ale przed gablotą z maską pogrzebową dostrzegłem Hala, gawędzącego z młodą pierwszą naiwną.

– Naturalnie nazwa ulicy, Curtain Road, pochodzi od Curtain Theatre – wyjaśniał jej. – Choć nazwa teatru nie miała nic wspólnego z kurtyną teatralną. Pochodziła od pobliskiej posiadłości, zwanej Curtain Close. Wielkie kurtyny teatralne, jakie znamy, weszły do użycia dopiero po...

– Hal, jestem pewien, że ta młoda dama wolałaby się przyjrzeć Perle Kleopatry, zamiast słuchać ciekawostek z historii teatru – powiedziałem z uśmiechem, dając dziewczynie możliwość dyskretnego oddalenia się.

– Daj spokój, Felix, nikt jeszcze nie umarł od opowieści z przeszłości – odparł Hal, krzyżując ręce na piersi.

– Niemniej jednak pamiętaj, po co tu jesteś. Co sądzisz o masce? To autentyk?

– Skłaniam się ku odpowiedzi twierdzącej. Z radością przyjrzałbym się jej bliżej, ale stojący tam pan Singleton jeszcze na to nie pozwala. – Hal skinął w kierunku rogu sali. – Powiedział, że będzie

to możliwe najwcześniej po oficjalnym powitaniu o ósmej.

Spojrzałem we wskazane miejsce i po raz pierwszy zobaczyłem na żywo Gagea Singletona. Stojąc samotnie przy schodach prowadzących na galerię, Singleton przypominał latarnię ubraną w czarną muszkę. Sączył niespiesznie szampana i jastrzębim wzrokiem obserwował zgromadzonych. Biorąc pod uwagę zmiany w systemie ochrony, które zdążyłem zauważyć, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że planuje na ten dzień coś więcej niż odświętną galę.

– Zdażyłeś już obejrzyć klejnoty, Hal? – spytałem.

Hal pokręcił głową.

– Nawet jeśli to prawdziwa Perła Kleopatry, wątpię, bym zdołał przekonać zarząd do wysupłania dodatkowych funduszy. Ale pójdę z tobą.

Przecisnęliśmy się przez tłum i dołączyliśmy do potencjalnych kupców zgromadzonych wokół kobiety w czerwieni, która obracała się w miejscu, by wszyscy mogli podziwiać kolczyk i wisiołek. Każdy jej ruch był pełen gracji, a padające na nią światło wydobywało z pereł niesamowity blask, jednocześnie rzucając na modelkę cienie uwypuklające jej krągłości. Jej ochroniarz, Laertes, patrzył na wszystkich spode łba. Choć nie mogłem porównać kolczyka w uchu kobiety ze zdjęciem w komórce, wyraźnie widziałem perłę osadzoną w platynowej muszli. Wyglądało na to, że ma odpowiedni rozmiar, kształt i połysk, by być Klejnotem Elsynoru. Jeden dotyk potwierdziłby jej autentyczność, ale Laertes zapewne połamałby mi rękę, nim zbliżyłbym ją do perły.

– Witam państwa serdecznie. Mam na imię Patra – oznajmiła modelka. – Możecie państwo oglądać i podziwiać biżuterię, ale proszę jej nie dotykać.

Hal aż jęknął.

– Jak Kleopatra?

– W zasadzie Patra to dość popularne imię indyjskie – oznajmił Hindus, który właśnie do nas dołączył. – W sanskrycie słowo to oznacza „flirt”.

Nartnik. Byłem ciekaw, czy jest tylko pionkiem, niewinnym, przypadkowym obserwatorem, czy też głównym graczem w perłowej intrydze.

Patra się uśmiechnęła.

– Bardzo dobrze, panie...?

Uklonił się.

– Barun Gupta, do usług. Tylko kobieta tak piękna jak pani może odpowiednio zaprezentować te wspaniałe perły, Patro.

Modelka oblała się rumieńcem.

Zerknąłem na wisiołek spoczywający na jedwabnej tkaninie jej sukienki, bardzo starając się nie wyglądać lubieżnie.

– Jest pan właścicielem Grand Orient Pearls, prawda, panie Gupta? Pańska firma z pewnością byłaby w stanie stworzyć perły mogące się równać z tymi – powiedziałem.

– Sztucznymi metodami, owszem. Niemniej jednak perły naturalne są o wiele cenniejsze od hodowlanych, a te tutaj są jednymi z najsłynniejszych pereł w historii – oznajmił Gupta. – Zamierzam je włączyć do swojej kolekcji.

– Chyba że pana przelicytuję – wyciągnąłem dłoń. – Felix Lea. Prowadzę Arlequim Gallery w Mayfair. A to mój przyjaciel z British Museum, doktor Hal Russell.

Gupta energicznie potrząsnął najpierw moją dłonią, a następnie dłonią Hala.

– Miło mi panów poznać, panie Lea, doktorze Russel. Niech wygra najbogatszy.

Uśmiechnąłem się.

– Lub najśmielszy. – Wymieniliśmy wizytówki.

Hal wdał się w rozmowę z Nartnikiem, a ja wróciłem do poszukiwań Świerszcza, ale nadal nie dostrzegałem go w tłumie. Świerszcz uwielbiał być w centrum uwagi, więc powinien zjawić się na własnej gali i pić z gośćmi. Czemu go nie było?

– Proszę mi wybaczyć, pani Patro, panowie – rzuciłem, zdecydowany odnaleźć nieobecnego gospodarza. – Wracam za chwilę. – Zostawiłem ich, odstawiając swój kieliszek na stolik pod ścianą i wychodząc do holu. Udałem się do windy w prawym korytarzu i wcisnąłem przycisk. Ledwo wszedłem do środka, pojawił się strażnik, którego nazwałem Fortinbrasem i zablokował drzwi.

– Na górne piętra wstęp mają tylko pracownicy domu Wintersa. Za pięć minut pan Singleton powita oficjalnie gości. Bardzo proszę do tego czasu pozostać w sali głównej.

Gości powita Singleton, a nie Winters? Świerszcz nie przepuściłby okazji, by przemówić do własnych gości. To tylko potwierdzało moje podejrzenia, że Świerszcz wpakował się w poważne tarapaty, a źródłem jego zmartwień był Singleton.

Zerknąłem za Fortinbrasa. Z miejsca, w którym stali, ani Rosencrantz, ani Guildenstern nie widzieli windy. To dobrze. Przy moim obecnym kształcie Fortinbras miał nade mną przewagę, ale można było temu łatwo zaradzić.

Zbliżyłem się do Fortinbrasa, wpatrując mu się w oczy.

– Jak śmiesz! Nie wiesz, kim jestem? – spytałem, unosząc rękę, jakbym chciał go uderzyć. Odruchowo chwycił mnie za nadgarstek, dotykając jedwabnego rękawa koszuli dokładnie tak, jak chciałem. Zacerpnałem Błysku przez odcisk, który zostawił na jedwabiu i zmieniłem kształt, urastając do jego rozmiarów i rozrywając tym samym swój garnitur. Zaskoczony moją nagłą przemianą w swojego bliźniaka, Fortinbras nie miał szansy zareagować na mój pocałunek z Glasgow, lepiej znany (choć jakże mniej poetycko) jako walnięcie z byka. Ugiął się pod ciosem, po czym padł nieprzytomny na podłogę windy. Uderzenie zburzyło kształt, który przybrałem, przywracając mi ciało Felixa Lea.

Wciągnąłem Fortinbrasa w głąb windy, by mogły się zamknąć drzwi. W drodze na górę założyłem jego słuchawki i przeszukałem go sprawdzając, czy ma broń. W kaburze pod marynarką znalazłem pistolet SIG P228 z dwunastoma nabojami Luger 9 mm. Choć podczas skoków rzadko miałem przy sobie broń, sytuacja na gali mogła się szybko zaognić. Zabrałem strażnikowi pistolet i kaburę, poczekałem, aż otworzą się drzwi, po czym uruchomiłem wyłącznik bezpieczeństwa.

Czy powinienem na jakiś czas przybrać kształt Fortinbrasa? Choć obraz jego ciała utrwalony w jedwabiu przeniósłby na mnie siniec na czole i potężny ból głowy do kompletu, przydałby mi się mały podstęp. Rozebrałem mężczyznę, związałem go swoim pasem i przebrałem się w jego rzeczy. Kładąc dłonie na jedwabnych więzach, przygotowałem się na ból i ponownie ukradłem jego kształt. Ból eksplodował mi w głowie niczym słoń, który wpadł na minę lądową, ale zniosłem tę mękę. W końcu założyłem na rękę własny zegarek i sprawdziłem, która godzina. Za trzy ósma, niewiele już zostało do przemówienia Singletona. Szybko przepiąłem swój mikrofon i upchnąłem muszkę, wytrychy, bursztyny i pozostałe rzeczy do kieszeni. Garotę owinąłem wokół nadgarstka.

Wyrzałem na korytarz. Gabinetu Świerszcza nikt nie pilnował. Jak najciszej się dało, minąłem drzwi na galerię i zacząłem nadśłuchiwać odgłosów dochodzących ze środka gabinetu. Usłyszałem tylko cichy oddech. Pociągnąłem za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Wyjąłem wytrychy i zająłem się zamkiem. Trzydzieści sekund później otworzyłem drzwi, gotowy dosłownie na wszystko.

Przywiązany do fotela za biurkiem Świerszcz zajęczał przez knebel. Wsunąłem się do środka i zamknąłem za sobą drzwi, starając się, by nikt mnie nie zobaczył, ani nie usłyszał.

– Świerszcz, słyszysz mnie? – spytałem, wyjmując mu knebel z ust i klepiąc po policzku. – Świerszcz!

Zamrugał kilka razy błyszczącymi oczami.

– Nie... przestań... – wymamrotał.

– Świerszcz, to ja, Pchła. Wiesz, gdzie jesteś?

– Pchła... – Przez twarz przemknął mu dziki grymas. – „A czy pamiętacie, jak widząc pchłę siedzącą na nosie Bardolfa, powiedział, że to była czarna dusza w piekle gorejąca?”* – powiedział, wymawiając słowa, jak gdyby nadal żył w czasach elżbietańskich.

– Więc jestem czarną duszą? Cudownie. Zapomniałeś, gdzie jesteś, a wiesz chociaż kiedy? Czego chcą?

– Pchło, Pchło! – wykrzyknął lub coś w tym rodzaju. – Singleton... chce... aukcja...

– Przedmioty z aukcji? – To zupełnie nie miało sensu. Przecież to oni je tu sprowadzili, czemu więc mieliby je kraść? – Ilu ma ludzi?

– Denastu, mże dwunastu... jakże śliczne chwasty masz w miejscu włosów! – Świerszcz zamknął oczy, ale nadal bredził.

Tak jak się obawiałem, Singleton nie podał Świerszczowi środka uspokajającego, ale nafaszerował go jakimś halucynogenem. Miałbym pięćdziesiąt procent szans na ocucenie nieprzytomnego Świerszcza Błyskiem z bursztynu, ale udostępnianie mu mocy, gdy był pod wpływem środków halucynogennych mogło skończyć się dziwaczными, a nawet śmiertelnymi przemianami. Zalany w trupa chirurg miał większe szanse na przeprowadzenie udanej transplantacji serca. Dziwnym trafem Singleton dokładnie wiedział, jak wyłączyć z gry jednego z nas. Albo ktoś go tego nauczył, albo sam był Elektem. Żadna z tych opcji mi się nie podobała.

Świerszcz był bezużyteczny tak długo, jak działał narkotyk. Podniosłem słuchawkę telefonu stojącego na biurku. Nie było sygnału. W rzeczach Świerszcza nie znalazłem żadnego telefonu komórkowego, ani bezprzewodowego, co przypomniało mi prośbę strażników o zostawienie telefonu w szatni. Singleton chciał odciąć wszystkich gości od świata zewnętrznego, co było tylko kolejną niepokojącą wiadomością.

Włączyłem mikrofon, żeby skontaktować się z Thicksem.

– Sprawy się trochę posypały, Thicks.

– Szefie? – odezwał się głos w słuchawce.

– Odurzyli czymś Świerszcza i zwięzali go w jego gabinecie, a Singleton zastąpił wszystkich strażników Wintersa swoimi ludźmi. Szykuje się do czegoś dużego.

Thicks wymamrotał pod nosem przekleństwo.

– Jak sądzisz, co zrobią?

– Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe działania, podejrzewam, że strażnicy spróbują wziąć gości jako zakładników. A potem będą chcieli mnie zdemaskować.

– Skąd będą wiedzieli, że to ty, szefie? – spytał Thicks. Włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej bryłkę bursztynu.

– My, Elekci, rzadko nie mamy przy sobie źródła Błysku. Będą szukać bursztynu. – Nartnik może zupełnie niespodziewanie wpakować się w kłopoty, jak wszyscy pozostali Elekci pośród gości.

– Więc wychodzisz?

Pewnie bez problemu mógłbym uciec przez okno, ale moim obowiązkiem była ochrona gości przed Singletonem.

– Tam jest Hal, a także wiele innych, niewinnych osób. Strażnicy nie zasłaniają twarzy, co może oznaczać jedno z dwojga. Albo ktoś obiecał im nowe twarze i tożsamości, albo zamierzają wszystkich zabić. Nie mogę liczyć na to, że Singleton daruje im życie. Thicks, musisz objechać budynek i sprawdzić, czy w zatoczce załadunkowej nie czeka na nich samochód.

– Pewnie, szefie. Zaraz... – Jakiś stukot zakłócił odpowiedź Thicketta. – Szlag by to trafił! – rzucił i transmisja nagle się urwała.

– Thicks? – Brak odpowiedzi. – Thicks! – Z niepokojem wyjrzałem przez okno, ale przez deszcz nie byłem w stanie dostrzec limuzyny. Czyżby go znaleźli?

Obiecałem Olivii, że będę chronił jej ojca, więc stanąłem przed poważnym dylematem. Wyjść i ratować Thicksa przed ewentualnym niebezpieczeństwem, czy też zająć się zagrożeniem w środku? Odpowiedź wydawała się oczywista. Ludzie na gali mieli bardzo niewielką szansę na wymknięcie się z pułapki Singletona, a Thicks siedział w kuloodpornej limuzynie, skrywającej cały arsenał sztuczek. Tym razem musiałem założyć, że Thicks da sobie radę.

W każdym razie miałem do rozwiązania jeszcze jeden problem. W słuchawkach rozległ się głęboki, spokojny głos mówiący z amerykańskim akcentem.

– Rozpoczynamy Etap Drugi. Zamknąć budynek i załadować wóz.

Etapem Pierwszym musiało być uporanie się z ochroną Wintersa. Jeśli szacunki Świerszcza nie były tylko psychodelicznymi mrzonkami, miałem do zneutralizowania co najmniej dwunastu ludzi. Szybko przeliczyłem strażników w pamięci: Rosencrantz i Guildenstern kontrolowali najważniejszy punkt dostępu do budynku, wejście główne, a Fortinbras, zanim go obezwładniłem, zapewne miał za zadanie patrolować budynek. To już trzech. Załóżmy, że dwóch kolejnych wyznaczono do wynoszenia zawartości skarbca Świerszcza i jednego do prowadzenia ciężarówki. Mógł być jeszcze jeden obserwujący obraz z kamer przemysłowych w pomieszczeniu ochrony w piwnicy. Oznaczało to, że największa grupa pilnuje ludzi w sali głównej. Laertes stał przy modelce. Polonius i Reynaldo byli na scenie. Osric, strażnik na galerii na ostatnim piętrze. Horatio na galerii dwa piętra niżej. A po dodaniu szefa, Gagee Singletona, otrzymałem pechową trzynastkę.

Mogłoby się zdawać, że przy ich przewadze liczebnej jestem w beznadziejnej sytuacji, ale podczas niezliczonych wojen bywało gorzej. Choć Świerszcz i Thicks nie mogli mi pomóc, element zaskoczenia był po mojej stronie i zamierzałem go wykorzystać jak najlepiej się dało. Działania najemników zależały od tego, co wydarzy się na sali aukcyjnej, musiałem więc wiedzieć, co się tam dzieje.

– Przykro mi, Świerszczu, ale muszę cię tu zostawić – powiedziałem.

Podkradłem się korytarzem do drzwi prowadzących na galerię i przycisnąłem ucho do szkła. Kwartet smyczkowy skończył występ i w sali rozległy się uprzejme oklaski. W nadziei, że brawa zagłuszą moje kroki, otworzyłem drzwi i wślizgnąłem się do środka, z jedwabną garotą w rękę.

Osric uważnie przyglądał się sali, w ogóle nie zauważając mojego wejścia. Na podłodze obok niego leżał pistolet maszynowy, ukryty przed wzrokiem ludzi na dole. Wyglądał na MP5SD firmy Heckler & Koch ze zintegrowanym tłumikiem. Osric budową przypominał ukradziony kształt, który przybrałem. To dobrze.

Gage Singleton zwrócił się do gości – był to ten sam głos, który słyszałem w słuchawkach.

– Panie i panowie, witam na gali pokazowej „Romansu mitów i klejnotów”. Mam nadzieję, iż póki co dobrze się państwo bawili. Obawiam się, że pan Winters nie jest w stanie powitać państwa osobiście, więc dziś wieczorem to ja będę państwa gospodarzem.

Singleton mówił dalej, a ja podszedłem do Osrica od tyłu, zarzuciłem mu garotę na szyję i odciągnąłem go od balustrady, poza pole widzenia ludzi na dole. Strażnik się bronił, więc szybko

zrzuciłem kształt Fortinbrasa i przybrałem postać Osrica, używając obrazu pochwyconego przez jedwabną garotę. Strażnik próbował zaczerpnąć powietrza, ale na próżno.

– Niestety, mam dla państwa dobrą i złą wiadomość – kontynuował Singleton. – Aukcja nie odbędzie się w poniedziałek, jak planowano, jako że mój klient nie ma najmniejszej ochoty rozstawać się ze swoimi skarbami. Zamiast tego proponujemy państwu aukcję życia, która odbędzie się już teraz. Straż!

Na sali rozległy się piski i okrzyki zdumienia. Gdy Osric stracił w końcu przytomność, poluzowałem garotę i położyłem go na podłodze, nie chcąc odbierać życia, jeśli nie było to konieczne. Chwyciłem pistolet maszynowy i wróciłem w miejsce, gdzie stał strażnik, korzystając z przechwyconego przez garotę obrazu. Szyja paliła mnie w miejscu, gdzie zaciskała się garota.

Ludzie Singletona wymierzili broń w przerażonych gości, przeganiając ich pod ścianę naprzeciwko mnie. Nigdzie nie widziałem kelnerów ani muzyków, którzy zapewne zostali odprawieni wcześniej. Horatio, strażnik na pierwszym piętrze, trzymał gości na muszce. Posłał mi spojrzenie, więc skinałem głową, kopiując jego ruchy.

Singleton wszedł na scenę.

– Każda próba ucieczki skończy się śmiercią. Każda próba walki skończy się śmiercią – krzyknął do tłumu, bez cienia emocji w głosie. – Większość i tak już jest spisana na straty, ale część z was przeżyje. Chwyćcie się tej myśli. Jako że wielu z was jest zamożnych lub reprezentuje zamożnych klientów, dajemy wam możliwość licytowania swojego życia na cichej aukcji. Dwanaście osób oferujących najwyższą cenę przeżyje. Reszta nie wyjdzie stąd żywa.

Tłum wpadł w panikę. Niektóre kobiety zaczęły płakać, a Basil Hamilton-Thorp padł na kolana, błagając:

– Proszę, jestem tylko krytykiem sztuki! Nijak mnie nie stać...

– Od dawna twierdzę, że śmierć to sponstrowana forma sztuki – oznajmił Singleton, wyciągając broń spod marynarki. – Gratuluję. Jest pan moją kolejną instalacją. – Z przerażeniem patrzyłem, jak Singleton strzela krytykowi w klatkę piersiową. Hamilton padł na ziemię z szeroko otwartymi ustami.

– Jeszcze ktoś chce się pochwalić swoimi problemami finansowymi? – spytał Singleton. – Nie?

Korciło mnie, by za tę egzekucję z zimną krwią wpakować Singletonowi kulkę, ale przy tylu uzbrojonych ludziach wokoło, nawet tak doskonały strzelec jak ja nie byłby w stanie unieszkodliwić wszystkich, nim raniliby lub zabili kogoś jeszcze. Żeby ocalić wszystkich, musiałem poczekać na lepszy moment.

Singleton położył na pulpicie licytatora walizkę i otworzył ją. W środku krył się wykonany na zamówienie laptop.

– Będziecie po kolei wchodzić na scenę. Najpierw was przeszukamy, by sprawdzić, czy nie macie broni. Następnie przelejecie pieniądze z konta swojego lub swojego klienta na wskazany rachunek. Lepiej żebyście sobie przypomnieli dane swoich kont. Jeśli chcecie, możecie zapłacić za towarzyszy. Gdy wszystkie pieniądze zostaną już przelane, ogłosimy zwycięzców aukcji, którzy zostaną uwolnieni. Zadajcie sobie pytanie, ile warte jest ocalenie życia, po czym przyjrzyjcie się kobietom i mężczyznom wokoło. Na ile oni wyceniają swoje życie?

Dość już słyszałem. Przetrzywanie klientów Wintersa i oczekiwanie, że sami zapłacą za siebie okup było zuchwałym, choć nieco nieprzemyślanym posunięciem. Większość z nich była zbyt spanikowana, by przypomnieć sobie potrzebne dane bankowe, ale człowiek tak sprytny jak Singleton prawdopodobnie to przewidział. Gotowy byłem się założyć, że ich prawdziwym celem było zdemaskowanie Elektów. Przeszukując wszystkich po kolei, szukali ukrytych kawałków bursztynu. Gdybym został uwięziony wraz z tłumem, znaleźliby mnie w ten sposób. Podejrzywałem, że

pieniądze i zawartość skarbca Świerszcza to jedynie drugorzędne cele.

Aukcja Singletona na śmierć i życie musiała trochę potrwać, co dawało mi możliwość wymknięcia się i eliminowania jego ludzi po kolei. Ile miałem czasu zależało od tego, kiedy znajdą Osrica lub Fortinbrasa. Odszedłem od balustrady i opuściłem galerię.

X.

Na korytarzu ponownie spróbowałem wywołać Thicksa.

– Thicks, proszę, odezwij się.

– Szefie?

Słyszając jego głos, odetchnąłem z ulgą.

– Co się stało?

– Mamy drobny problem – powiedział.

W słuchawce usłyszałem inny głos.

– Daj to, tato. Chcę z nim pomówić. Lea, w co wpakowałaś mojego ojca?

Zakląłem pod nosem.

– Sierżant Olivia. – Musiała obserwować dom aukcyjny Wintersa albo znów śledziła ojca. Co miałem powiedzieć uczciwej policjantce? Wystarczyło, bym wspomniał o uzbrojonych ludziach przetrzymujących zakładników, a wezwałyby CO19, oddział specjalny. Tymczasem dalsza eskalacja sytuacji doprowadziłaby tylko do śmierci wszystkich zakładników. Z drugiej strony, potrzebowałem wsparcia.

– Nie jesteś Lea – stwierdziła. – Kim jesteś?

Zapomniałem, że zmienił mi się głos.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, Olivio, ale jestem tym samym człowiekiem, którego spotkałaś w kawiarni i jednym z tych dobrych, bez względu na to, co myślisz. Zapytaj o to później ojca. A teraz posłuchaj mnie uważnie. W środku ważą się losy trzydziestu zakładników. Choć przeciwników jest dziesięciu, a ja jeden, zamierzam zrobić co w mojej mocy, by ocalić tych ludzi. Naszą jedyną nadzieją jest zażegnanie niebezpieczeństwa od środka podstępem, więc jeśli wezwiesz wsparcie, cholernie szybko zrobi się tu naprawdę paskudnie.

– Zakładnicy? Ale dlaczego? – spytała.

– Z chciwości, chęci zemsty, jak zawsze – odparłem i wszedłem do gabinetu Świerszcza. Nadal mamrotał coś nieskładnie. – W każdym bądź razie do ocalenia tych ludzi potrzebna mi pomoc twoja i twojego ojca. Oddaj mu mikrofon.

– Jeszcze czego! Najpierw niech się wytłumaczy z tego arsenału...

– Livie, daj mi to! – odezwał się Thicks. – Czego ci potrzeba, szefie?

Otworzyłem okno.

– Osłony ciemności. Najpierw wrzucić okulary noktowizyjne do gabinetu Wintersa na najwyższym piętrze. Potem sprawdzić, czy da się odciąć zasilanie w budynku na mój sygnał. Po trzecie, byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś się zakręcił przy zatoczce załadunkowej i sprawdził, czy nie czeka tam na nich samochód.

– Żaden problem, już jadę – odpowiedział Thicks.

Do rozmowy wtrącił się głos Olivii.

– Lea! Jeśli okaże się, że to skok...

– Wtedy w każdej chwili będziesz mnie mogła aresztować. Wiesz, gdzie mieszkam. – Wyrzuciłem przez okno, czekając na pojawienie się limuzyny. Minutę później Thicks zaparkował po drugiej stronie ulicy, otworzył okno i pomachał.

Odsunąłem się od otwartego okna i czekałem. Na jednym z regałów pojawiła się czerwona kropka, znacząc oprawiony w skórę egzemplarz „Les Miserables” Victora Hugo. Chwilę później w książkę wbił się krótki harpun z przymocowanym niewielkim cylindrem, w którym kryło się moje zamówienie. Otworzyłem pojemnik i wyjąłem okulary noktowizyjne i paski mocujące. Urządzenie ważyło tylko dwa funty, miało zintegrowany reflektor podczerwieni i było w stanie wzmocnić światło trzydzieści pięć tysięcy razy. Choć były nieco nieporęczne, przymocowałem okulary do paska.

– Odebrałem paczkę – powiedziałem do mikrofonu. – Dzięki, Thicks. Niedługo się odezwę.

– Uważaj na siebie, szefie.

Owinałem jedwabną garotę wokół lewego nadgarstka. Choć zużyłem cały Błysk jedwabiu na przekształcenie się w Osrica, materiał zachował swoją zdolność chwytania obrazów innych osób, co mogło mi pomóc poznać słabe punkty wroga.

Ludzi wynoszących rzeczy ze skarbca najłatwiej byłoby wyeliminować pojedynczo. Jeśli dobrze pamiętałem plany budynku, najbliższe schody przeciwpożarowe powinny mnie zaprowadzić do magazynów na parterze, za główną salą aukcyjną, ale potrzebny był mi elektroniczny klucz do drzwi.

Przeszukałem kieszenie Świerszcza i szuflady biurka, ale nie znalazłem żadnego klucza. Singleton musiał je zabrać. Czy Świerszcz ukrył gdzieś zapasowy komplet, a jeśli tak, to gdzie?

Mój wzrok powędrował w stronę masek za biurkiem. No pewnie.

Sprawdziłem wszystkie maski po kolei, aż w końcu odkryłem ukryty panel za parą tragicomiczną. Otworzyłem go i we wnęce znalazłem wiszące na haczyku klucze oraz kartę zbliżeniową.

Wyszedłem z biura i machnąłem kartą przed czujnikiem przy drzwiach przeciwpożarowych, wyłączając alarm. Zszedłem na parter, minąłem kolejne drzwi i wślizgnąłem się do magazynu. Skład domu aukcyjnego podzielony był na trzy części: obszar magazynowy bezpośrednio za salą główną, zatoczkę załadunkową i skarbiec, niewielki w porównaniu ze skarbcami największych domów aukcyjnych, ale w zupełności wystarczający do tymczasowego przechowywania obrazów, posągów, biżuterii i innych przedmiotów w klimatyzowanym środowisku. Zatrzymałem się w obszarze magazynowym i szybko oceniłem sytuację. Dźwiękoszczelne drzwi prowadzące na tył sali aukcyjnej były zamknięte, ale ktoś otworzył kluczem drzwi skarbca. Za wózkami widłowymi, drewnianymi skrzynkami i częściowo rozpakowanymi dziełami sztuki, widziałem uniesione drzwi zatoczki załadunkowej, przed którymi czekała ciężarówka. Ani śladu strażników, których się spodziewałem. Czyżby byli w skarbcu?

Gdybym wystarczająco szybko dotarł do drzwi, mógłbym ich uwięzić w środku.

Puściłem się biegiem przez magazyn w tamtym kierunku, ale nie miałem szans zdążyć. Gdy byłem w połowie drogi, ze skarbca wyszli mężczyzna i kobieta – nazwijmy ich Claudius i Gertruda – niosący arcydzieło jednego z impresjonistów, Le Sidanera, warte co najmniej trzysta tysięcy. Cholera.

Mieli zajęte ręce, więc gdy zobaczyli, że biegnę prosto na nich, zamarli w pół kroku. Gertruda, która wyszła ze skarbca jako druga, uwolniła prawą rękę i sięgnęła po broń, ale rzuciłem się na nią, spychając ją na ścianę, z dala od obrazu. Niestety uderzenie zerwało jedwabne zakłęcie, przywracając mi kształt Felixa Lea, zaplątanego w za duży garnitur.

Claudius miotał się z Le Sidanerem, nie mogąc się zdecydować, co zrobić z obrazem.

Wdałem się w szamotaninę z Gertrudą, w wyniku której przetoczyliśmy się do wejścia do skarbca.

Walczyła zaskakująco zaciekle, żelaznym uściskiem miażdżąc mi krtań. Próbując złapać oddech, musiałem garotą jej skórę. Obraz pochwycony w jedwabiu zdradził mi, że ma problemy z lewą nerką. Pozostałość po wcześniejszym urazie? Wystarczyło. Sięgnąłem za nią i z całej siły uderzyłem ją w czuły punkt. Zawyla z bólu, zwalniając uścisk. Zerwałem się na nogi, wepchnąłem oszołomioną kobietę do skarbca i zatrzasnąłem drzwi, które zamknęły się automatycznie.

Odwróciłem się w samą porę, by spostrzec lecący w moją stronę obraz olejny. Odruchowo go złapałem, gdyż złodziej i koneser we mnie nie zniosłby zniszczenia tak wspaniałego dzieła.

I to był błąd.

Claudiusz zdążył wyjąć broń i wycelować w moją głowę.

– Jeden ruch i nie żyjesz.

Przybrałem arogancką postawę, ze spokojem patrząc mu w oczy.

Włączył mikrofon i zaczął meldować z bostońskim akcentem:

– Tu Kappa. Mamy intruza. Lambda stracona. Proszę o wsparcie w skarbcu!

Odpowiedź usłyszałem we własnych słuchawkach.

– Sprawdź to, Beta – odezwał się głos Singletona. Chwila ciszy. – Beta?

Brak odpowiedzi. Beta musiał być Fortinbras.

– Delta, idź pomóc Kappie – rozkazał Singleton. – Zeta, znajdź Betę. I gdzie do cholery jest Epsilon?

– Mogę mu dokładnie powiedzieć, gdzie zostawiłem brakujące literki – stwierdziłem uprzejmie.

– Zamknij się! – warknął mój oponent. – Mogę go zabić?

– Nie, żywy jest warty dwadzieścia milionów – stwierdził Singleton. – Możesz go okaleczyć.

Na ustach Claudiusa pojawił się sadystyczny uśmiech.

– Z przyjemnością – powiedział i opuścił nieco broń, celując w moje prawe ramię.

Ale nim zdążył pociągnąć za spust, coś uderzyło go w tył głowy. Przewrócił oczami i runął do przodu, masakrując trzymany przeze mnie obraz Le Sidanera.

Trzy metry za powalonym najemnikiem stała sierżant Olivia Hughes z resztkami szesnastowiecznego, rosyjskiego obrazu na desce, którym znokautowała Claudiusa.

Rzuciłem zniszczonego Le Sidanera na nieprzytomnego mężczyznę.

– Dwa obrazy za jednym zamachem. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, ile były warte? – spytałem, gotując się ze złości.

– Przebolejesz. To tylko pretensjonalna sztuka – odparła.

– Są niezastąpione! – powiedziałem.

– Tak jak ludzkie życie.

– Fakt, ale...

Drzwi do sali aukcyjnej otworzyły się gwałtownie. Najwyższy czas się zbierać.

– Chodź! – rozkazałem, rzucając się w stronę drzwi przeciwpożarowych. Olivia ruszyła za mną. Machnąłem kartą przed czytnikiem i otworzyłem drzwi przed Olivią, po czym sam wypadłem na schody. Kilka sekund po tym, jak zamknąłem drzwi, odgłos kul trafiających w nie od drugiej strony potwierdził, że goniący nas człowiek otworzył ogień.

– Na górę! – krzyknąłem.

Olivia dotarła na drugie piętro, więc rzuciłem jej kartę. Otworzyła drzwi i wyszliśmy na korytarz. Skręciłem w prawo, przypadając do ściany, Olivia zrobiła to samo na lewo. W lewej ręce trzymałem jedwabną muszkę, ostatni kawałek jedwabiu zawierający Błysk.

Drzwi się otworzyły i przeszedł przez nie mężczyzna. W wyciągniętej dłoni trzymał broń. Olivia chwyciła go za rękę, wytrącając go z równowagi, i rzuciła na ziemię. Nim zdążył zareagować,

potraktowała go paralizatorem, powodując atak drgawek

– Skąd to masz? – spytałem.

– Od kochanego tatusia, który w ogóle nie powinien mieć czegoś takiego – odpowiedziała Olivia.

– Tworzymy świetny zespół – stwierdziłem.

– Nie oczekuj medalu, Lea – odparła cicho, po czym przykuła nieprzytomnego napastnika kajdankami do drzwi przeciwpożarowych.

Rozpoznałem w mężczyźnie Reynalda. Obejrzałem kajdanki, sprawiały wrażenie solidnych.

– Też pożyczone od ojca? – spytałem.

Nie odpowiedziała, tylko wzięła broń mężczyzny.

– Masz pretensje, że narażam twojego ojca na niebezpieczeństwo, a sama tu przysłaś – stwierdziłem, zdejmując słuchawki z uszu strażnika i podając je Olivii.

– To że nie jestem na służbie nie znaczy, że przestałam być policjantką. Nie zostawię losu trzydziestu zakładników w twoich rękach, bez względu na to, jak bardzo chwali cię mój ojciec – stwierdziła.

Czyżby była zazdrosna o moją przyjaźń z Thicksem? Ojciec nigdy o niej nie mówił, ale potrafiłem sobie wyobrazić, jak rozwodzi się na mój temat.

– Przesadza – stwierdziłem. – Pięciu zdjętych, zostało siedmiu lub ośmiu.

– Dolicz jeszcze jednego – powiedziała. – Załatwiłam kierowcę.

– Tak? W takim razie dziękuję – odparłem. – Czyli zostało dwóch w holu, czterech w sali aukcyjnej i być może jeszcze jeden w pomieszczeniu ochrony.

– O co im chodzi? – spytała.

– O mnie – odpowiedziałem. – Najwyraźniej żywy jestem warty dwadzieścia milionów.

– Ty? Więc wystarczyłoby, żebyś się oddał w ich ręce i byłoby po wszystkim?

– To nie takie proste – odparłem. – Może i jestem celem nadrzędnym, ale przy okazji chcą obrobić skarbiec i zmusić zakładników do zapłacenia za siebie okupu. Singleton już zastrzelił jedną osobę i nie zawaha się zabić reszty. Jeśli zrobimy to po mojemu, ocalimy więcej ludzi. Zaufaj mi.

– Gdyby tata za ciebie nie zaręczył, policja już by otaczała budynek albo wezwałabym swojego partnera – stwierdziła Olivia i zerknęła na zegarek. – W każdym bądź razie, tata kupił ci trochę czasu, Lea. Wymusiłam na nim obietnicę, że za dziesięć minut wezwie policję, czy uporasz się z sytuacją, czy nie.

– A może odciąć zasilanie?

– Twierdzi, że wystarczy twój sygnał. Jaki masz plan? – spytała.

– Najpierw zlikwiduję Rosencrantza i Guildensterna w holu.

– Kogo?

– Dwóch strażników, którzy tam stoją. Ty tu zostajesz.

– Żebyś się nie zdziwił!

– Widzę, że upór jest dziedziczny. – Rozważyłem możliwe scenariusze. – No dobrze. W szatni jest mój parasol. Będzie nam potrzebny.

Olivia uniosła brwi.

– To chyba nie jest najlepsza chwila na martwienie się deszczem, Lea.

– W rączce ukryty jest szerokopasmowy zagłuszacz sygnału. Miałem nim zakłócić pracę zabezpieczeń Wintersa, ale teraz przyda się do zagłuszenia sygnału z laptopa Singletona i uniemożliwienia mu kontaktu ze swoimi ludźmi – wyjaśniłem.

– A co z tymi strażnikami w holu? – spytała.

– Mam pewien pomysł, ale będzie mi potrzebna nowa twarz – stwierdziłem. Dotknąłem muszką

Reynalda leżącego u naszych stóp i za pomocą Błysku przejąłem jego wygląd.

Widząc, jak zmieniam kształt, Olivia instynktownie uniosła broń i wycelowała we mnie.

– Jak?!

Poprawiłem ubranie, które już nie było zbyt obszerne.

– Możemy tracić czas, omawiając teraz mechanizm zmiany kształtu albo ocalić kilku zakładników

– odpowiedziałem głosem strażnika.

– Myślałam, że ojciec mnie nabiera – stwierdziła, opuszczając broń.

– W tej kwestii akurat nie przesadzał. – Odpiąłem od paska okulary noktowizyjne i podałem je

Olivii. – Wywabię Rosencrantza i Guildensterna z holu. Kiedy każę twojemu ojcu wyłączyć światło, weź okulary i znajdź mój parasol. Zapalą się światła awaryjne, więc ktoś może cię zauważyć, ale powinno być na tyle ciemno, byś zdołała się ukryć.

– Jak wygląda ten parasol? Jak go włączyć? – spytała.

– Ma rączkę w kształcie głowy lwa. Szukaj najcięższego. Jak znajdziesz, poczekaj, aż usłyszysz w słuchawkach moje hasło, „Yorick”. U podstawy rączki jest obręcz, którą trzeba obrócić, by uruchomić zagłuszacz.

– Rozumiem – powiedziała.

Wyjrzałem zza rogu w kierunku schodów. Teren chwilowo był czysty.

– Te schody znajdują się najbliżej szatni. Ja pójdę tymi z drugiej strony, by wywabić strażników.

Dasz sobie radę sama?

Olivia posłała mi pogardliwe spojrzenie.

– No dobra. Powodzenia – rzuciłem.

Ruszyłem korytarzem, mijając schody. Gdy dotarłem do baru nad holem, u zbiegu dwóch korytarzy, na schodach, które minąłem, pojawił się Guildenstern, a na tych, do których szedłem wyrósł Rosencrantz. Obaj mieli opuszczoną broń.

Cholera, sądziłem, że zostaną na swoich stanowiskach.

Rosencrantz mnie dostrzegł i pozdrowił skinieniem. Odwzajemniłem gest i uniosłem palec do ust, nakazując mu zachowanie ciszy, po czym wskazałem bar, sugerując, że coś tam widziałem. Spiał się i podszedł do mnie szybko. Odwróciłem się i pokazałem Guildensternowi na migi to samo, a następnie wzięłem pistolet maszynowy przewieszony przez ramię i wycelowałem w stronę baru.

Strażnicy weszli do środka w odległości pięciu kroków ode mnie każdy, szukając ukrytego wroga. Wskazałem bar i pokazałem Rosencrantzowi, że podejść do bliższego końca, a Guildenstern ma się zakraść od drugiej strony.

Przysunąłem się do Rosencrantza, a Guildenstern pochylił się i ruszył w głąb baru, tyłem do nas. Gdy mój tak zwany partner znalazł się nieco przede mną, puściłem broń i chwyciłem go od tyłu, zakrywając mu usta i uderzając o bar ręką, w której trzymał pistolet. Siła ciosu wytrąciła mu z ręki broń, ale hałas zaalarmował Guildensterna, który natychmiast się odwrócił i wycelował w naszą stronę. Zasłoniłem się Rosencrantzem niczym żywą tarczą, przez co Guildenstern się zawahał.

– Ackland! Oszalałeś? – krzyknął do mnie.

Rosencrantz szarpał się zaciekle, ale udało mi się go powalić na ziemię za barem, gdzie nie sięgał wzrok Guildensterna. Kiedy jednak wgrzył mi się w rękę, mój nowy wygląd zniknął, zastąpiony kształtem Felixa Lea, pozbawiając mnie siły pożyczonej od strażnika. Rosencrantz się uwolnił i chwycił mnie za włosy, uderzając moją głową o barek. Pomimo oszołomienia, wcisnąłem ręce do kieszeni, łapiąc dwie rzeczy: nadajnik i bursztyn.

Gdy szarpał mnie za włosy, szykując się do kolejnego uderzenia, zaczerpnąłem Błysku z bursztynu i zmusiłem włosy do wypadnięcia. Zaskoczony faktem, iż włosy zostały mu w garści, Rosencrantz

stracił równowagę. Złapałem poręczną butelkę szampana i rozbiłem mu ją na głowie. Osunął się na podłogę.

Zdażyłem go odsunąć, gdy po drugiej stronie baru pojawił się Guildenstern i zaczął strzelać. Skoczyłem i wyturlałem się na salę, ledwo uchylając się przed kulami, które rozniosły barek. Skuliłem się za kanapą i błyskawicznie wyjąłem mikrofon z kieszeni.

– Teraz, Thicks! – krzyknąłem.

Guildenstern wyszedł zza baru i zaczął mnie szukać.

Wtedy zgasty światła nie tylko w całym budynku, ale i całej dzielnicy.

Po chwili rozbłysły światła awaryjne, oświetlając nieco bar. Moim celem stała się sylwetka strażnika na tle okna. Nie tracąc czasu, rzuciłem się w stronę Guildensterna.

– Meldować, co się dzieje! – krzyknął głos Singletona w słuchawkach.

– Alfa, Zeta, potrzebujemy wsparcia...

Jednak nie zdążył skończyć zdania, gdyż wyskoczyłem z cienia i opadłem na niego całym ciężarem, wypychając go przez okno. Krzyknął i spadł piętro niżej. Zdołałem wyhamować, nim podzieliłem jego los.

– Zeta? Zeta! – Głos Singletona przepełniała wściekłość. – Wszystkie jednostki mają się zameldować!

Wyjrzałem przez potłuczone okno na chodnik. Zeta leżał na ziemi pośród odłamków szkła. Oddychał, ale raczej nie był w stanie się poruszyć. Deszcz zaczął zmywać krew z jego ran.

Odsunąłem się od okna i włączyłem mikrofon przy słuchawkach.

– Obawiam się, że Zeta wyszedł na dymka, Singleton – oznajmiłem. – Od tej chwili rozmawiasz ze mną.

Przyczepiłem swój mikrofon do słuchawek i włączyłem go, żeby Thicks również słyszał tę rozmowę.

– Ach, nasz tajemniczy intruz – powiedział Singleton. – A więc perły jednak tu pana zwabiły, panie Pchło. Miałem nadzieję, że znajdę pana pośród zakładników.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, Singleton, ale sytuacja uległa zmianie. Załatwiłem większość twojego małego bractwa greckich liter – oznajmiłem, strzepując z ramion włosy, które mi wypadły. Równie dobrze mogłem być łysy, więc zostawiłem wygląd bez zmian. Wziąłem zapasową bryłkę bursztynu, wyleczyłem rany za pomocą ukrytego w niej Błysku i włożyłem ją z powrotem do kieszeni.

– W zasadzie mógłbyś sobie zaoszczędzić kłopotów i poddać się już teraz.

Singleton roześmiał się w odpowiedzi.

– Nie sądzę. Mówili, że trudno pana złapać, jak pchłę.

– Naprawdę? A kto wyznaczył nagrodę za moją głowę? – spytałem.

– Dobrze mi zapłacono za milczenie – odparł Singleton.

– Nie licz na zgarnięcie tych dwudziestu milionów – powiedziałem. – A tak przy okazji, na ile zostałem wyceniony martwy?

– Na nędzne dwa miliony dolarów amerykańskich – odpowiedział. – Z drugiej strony, okupy za zakładników zawiązką pokryją różnicę. Więc czy dostarczę pana żywego, czy martwego, i tak wyjdę na swoje.

– Wezmę to pod rozwagę. Choć powinieneś wiedzieć, że Zeta miał tak spektakularne wyjście, iż spodziewam się tu niedługo policji, szczególnie jeśli dodamy do tego awarię zasilania.

Singleton zazgrzytał zębami.

– To niczego nie zmienia.

– Czyżby? Ile potrwa, nim twoi zakładnicy zrozumieją, że czterech uzbrojonych mężczyzn nie może

powstrzymać trzydziestoosobowego tłumu? – spytałem. – To twoja jedyna szansa, by wyjść z tego cało. Uwolnij zakładników.

– Nie będzie żadnych układów, póki się nie poddasz – powiedział.

– Raczej się nie skuszę. Jestem dość przywiązany do wolności. – Ruszyłem w stronę schodów, ale postanowiłem nie schodzić na dół, jak pierwotnie planowałem. Musiałem zobaczyć salę aukcyjną z góry, żeby opracować strategię na Singletona.

– W takim razie będę po kolei zabijał zakładników – zagroził Singleton.

– To by się sprawdziło tylko, gdyby na ich życiu zależało mi bardziej niż na własnym – skłamałem. Prowadziłem niebezpieczną grę. Chciałem, by wszyscy zakładnicy przeżyli, ale wolałem, żeby Singleton nie dowiedział się o tej słabości. Musiał uwierzyć, że mam serce z kamienia.

– Czytałem twoje akta, Pchło. Nie pozwolisz zginąć tym wszystkim niewinnym ludziom.

Przystanąłem na półpiętrze, starając się zabrzmieć jak najspokojniej.

– Może kiedyś tak było, Singleton, ale priorytety ulegają zmianie. W aktach powinieneś być również wyczytać, że przede wszystkim jestem złodziejem. Przyszedłem tu po Klejnot Elsynoru i Perłę Kleopatry, a nie żeby zajmować się śmiertelnikami.

– To się jeszcze okaże. Zastrzelić kogoś na próbę? – spytał Singleton.

Zmusiłem się do śmiechu, by moje kłamstwo zabrzmiało bardziej przekonująco.

– Rób z zakładnikami co chcesz. Kiedy oddział specjalny otoczy budynek, będę już daleko stąd. W zasadzie łatwiej mi będzie ukraść klejnoty policji, niż marnować czas na strzelaninę z tobą.

– To się jeszcze okaże. – Usłyszałem w słuchawce stłumiony odgłos strzału, po czym rozległy się wrzaski. Skrzywiłem się wiedząc, że mam na rękach krew kolejnej ofiary. – Mamy jednego zakładnika mniej, panie Pchło. Zabić kolejnego, czy się opamiętasz i poddasz?

– Nie dzisiaj – odparłem. Wszystko zależało od tego, czy uwierzy moim słowom. – Dziękuję za uroczy taniec, panie Singleton, ale muszę lecieć. W razie gdybyś uciekł z perłami, być może jeszcze się spotkamy.

Nagle przez kark przebiegł mi prąd, przyprawiając mnie o bolesne drgawki. Runąłem na ziemię, kątem oka dostrzegając Olivię w okularach noktowizyjnych, wychodzącą z cienia. W jednej ręce trzymała parasol, a w drugiej paralizator. Tak się skupiłem na rozmowie, że nie słyszałem, jak się zbliża. Olivia najwyraźniej uwierzyła, że pozwolę zakładnikom zginąć.

– Łajdak – rzuciła i poraziła mnie ponownie, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

Krzyknąłem. Gdybym tylko był w stanie sięgnąć po bursztyn, Błysk postawiłby mnie na nogi. Niestety nim włożyłem rękę do kieszeni, Olivia porządnie walnęła mnie w głowę parasolem, niemal pozbawiając mnie przytomności. Wszystko wokół zaczęło wirować.

Olivia włączyła mikrofon przy słuchawkach.

– Jestem skłonna zawrzeć umowę, Singleton, nawet jeśli on się nie zgadza. Życie jednego złodzieja nie jest warte życia trzydziestu niewinnych osób.

– No proszę, do gry wkroczył nowy zawodnik. A kim ty w ogóle jesteś? – spytał Singleton.

– Jestem z policji – odpowiedziała. – Mam Pchłę.

– Sierzancie... nie... – wydusiłem.

Zignorowała mnie.

– Jeśli chcesz dostać tę egoistyczną ciotę, Singleton, wymienię ją za zakładników. Słuchaj uważnie...

To była ostatnia rzecz, jaką usłyszałem, nim ogarnęła mnie ciemność.

XI.

Miałem niesamowity sen.

Moje otoczenie połyskiwało niczym macica perłowa, przechodząc w opalizującą biel. Mój wzrok przyciągnęło subtelne, bladoróżowe migotanie. Gdy świat odzyskał kolory, okazało się, że leżę sparaliżowany w ogrodzie pośród kwitnących róż i bratków, wpatrując się w błękit nieba widoczny między kołyszącymi się lekko kwiatami. Światło słoneczne rozlało się złotym aksamitem, przytulając się do mej skóry. Gdy tak leżałem bez ruchu, rozkoszując się myślą, jak wiele dzieli mnie od problemów świata, nienazwana rozpacz przepelniająca me serce nieco zelżała.

Obok mnie zmaterializował się jakiś duch, przybierając znajomy kształt. Rozpoznałem w nim brodatego mężczyznę, którego wygląd pożyczyłem wieki temu, Roberta Armina. Czy był to człowiek, w którego postać się wcielałem, czy też ja sam?

– Więc wolałbyś się ukryć miast walczyć? – Armin pochylił się nade mną, uważnie przyglądając się mojej twarzy. – Tak się nie da, Pchło.

Czemu akurat Armin spośród wszystkich twarzy, które nosiłem? Z trudem wydobyłem z siebie głos.

– Daj mi spokój.

Armin zgarnął ze mnie pajęczyny.

– Gdzież twoja dawna odwaga? Nie pozwól, by jedna zdrada stała się twoją zgubą. Powstań i staw czoło swym wrogom.

Gdy wspomniał o zdradzie, powróciło wspomnienie Olivii, przywracając mi jasność umysłu. Jęknąłem.

– Powinna mi była zaufać, jak jej ojciec.

– Zapomnij o tym – powiedział. – Nie tylko ty jesteś w niebezpieczeństwie.

Ponownie spróbowałem się poruszyć, ale nie mogłem. Ciało nie reagowało.

– Nie ma już nadziei – krzyknąłem.

Armin westchnął.

– Ciało ma w sobie siłę, by przewyciężyć przeszkody, to twój umysł się broni. Nie ma znaczenia, czy zdradzi cię jakaś dama, czy twoje własne ciało; tylko przebaczenie sprawi, iż będą ci ponownie służyć. A jeśli ja nie jestem w stanie cię do tego przekonać, być może jej się uda – oznajmił i zniknął mi z pola widzenia.

Z oddali dobiegł mnie głos, którego nie spodziewałem się już nigdy usłyszeć.

– Będiesz tak leżał, sir Pchło, czy też powitasz swoją królową, jak się tego od ciebie oczekuje?

Serce zaczęło mi walić i zmusiłem się, by usiąść, wyplątując się z reszty pokrywających mnie pajęczyn. Znajdowałem się w miejscu wyglądającym dokładnie jak Fountain Court w pałacu Hampton Court za czasów panowania Elżbiety. Na dziedzińcu ponownie stała fontanna otoczona nienagannymi trawnikami, a ja leżałem na jednej z rabat kwiatowych. W powietrzu śmigały szafirowe ważki, niesione lekką, letnią bryzą. Zniknęły późniejsze dodatki architektoniczne sir Christophera Wrena z końca siedemnastego wieku i Williama Kenta z wieku osiemnastego, przez co miałem niepokojące wrażenie, iż cofnąłem się w czasie o czterysta lat.

Wszystko, na co padało światło słoneczne zaczynało lśnić, a rzeczy skryte w cieniu sprawiały magiczne wrażenie. Jeśli jednak był to tylko miraż, czemu sprawiał tak autentyczne wrażenie?

Odwróciłem się, by zobaczyć tą, która się odezwała, kobietę z długimi, rudozłotymi włosami, orlim nosem i skórą gładką i jasną niczym porcelana. Miała na sobie królewską, białą szatę wysadzaną diamentami. Po chwili z gracją łani wyszła z cienia.

Elżbieta.

Nie Elżbieta, którą znałem w jej złotych latach, ale królowa w masce młodości, Gloriana, Królowa Wrózek, jak nazwał ją Spenser w swym wierszu. Za nią podążały widmowe służące i cisi dworzanie w wytwornych, szkarłatnych jedwabiach. Jak przystało na królową wrózek, Elżbieta wybrała dworzan obdarzonych cechami nie z tego świata, stąpających po ziemi, jak gdyby płynęli w powietrzu. Dołączył do nich Robert Armin.

Pospiesznie uklęknałem.

– Wasza Wysokość!

– Powstań, sir Pchło – powiedziała. – Minęło zdecydowanie zbyt wiele czasu, mój błędny rycerzu.

Witaj w mym Elsynorze.

– Niezwykle słodki to sen – stwierdziłem.

– To nie sen, Pchło. Znajdujesz się wewnątrz Klejnotu Elsynoru.

Zmarszczyłem brwi.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale co Wasza Wysokość ma na myśli?

– Pamiętasz naszą rozmowę o nieśmiertelności w Kaplicy Królewskiej? Gdy dałam ci tę perłę, świat spowił dziwny blask. Zniknąłeś niczym duch, jak wszyscy, którzy mi służyli. Hampton Court stał się milczącym pałacem pełnym niesamowitych świateł i olśniewających cieni, a ja w samotności przemierzałam jego korytarze. Jedynym pocieszeniem było mi ustąpienie bólu. Nie czułam głodu, choć czułam zimno śniegu i dlatego zostawałam w środku, gdzie paleniska zdawały się płonąć bez końca.

– Pewnej nocy odczułam i przecierpiałam chwilę swej śmierci, a wokół mnie zgromadziły się klęczące widma moich dwórek i arcybiskupa Canterbury. Wiedziałam, że zabrała mnie śmierć i zaczęłam się poważnie zastanawiać nad naturą życia pozagrobowego. Czemu przebywałam w pałacu sama? Nie wiedziałam.

– Następnie pewnego dnia z Wielkiej Sali dobiegły mnie głosy i odkryłam, że nawiedziły mnie duchy aktorów, by zabawić mnie sztuką. Pan Szekspir, Richard Burbage i ty oraz reszta Trupy Lorda Szambelana wystawiliście „Hamleta”, by uwolnić mnie od mej samotności. Nazwałabym to wspomnieniem pamiętnego przedstawienia z Nowego Roku, gdyby nie to, że kostiumy uległy zmianie. Klejnot Elsynoru pojawił się w sztuce, jak sobie tego życzyłam, i wiedziałam, że wypełniłeś mą wolę.

Skinąłem głową.

– Zrobiłem, jak kazałaś, pani, dopilnowałem też, by kłątwa kasała.

– Dobrze mi służyłeś, sir Pchło, tak jak się tego spodziewałam – odpowiedziała Elżbieta. Jej poczerwiałe zęby znów były perłowo białe. – Oglądanie sztuki dało mi siłę. Z czasem duchy aktorów powracały, często te same, ale czasem pojawiały się nowe twarze i głosy. Zawsze do ciebie przemawiałam, jednak moje słowa nigdy nie docierały do twych uszu. W końcu zrozumiałam, że Klejnot Elsynoru stał się moim czyścem i jestem skazana na oglądanie „Hamleta” przez wieczność. Kara godna męki Tantala.

– Ależ wszystko wskazuje na to, iż Wasza Wysokość znalazła towarzystwo i odkryła sekret młodości – stwierdziłem, zerkając na Roberta Armina i magicznych dworzan.

– Przejdźmy się, sir Pchło – powiedziała Elżbieta. Posłusznie ruszyłem za nią w stronę klombu pełnego kwitnących, złotych bratków. Królowa wyciągnęła przed siebie dłoń zdobną w pierścienie wysadzone kamieniami szlachetnymi i wyszeptała jedno słowo. Na jej wezwanie zjawiała się wążka i przysiadła na jej palcu.

– Nie zawsze tak było. Pozostawałam sama przez lata, nawet po tym, jak porzuciłeś rolę Grabarza

w „Hamlecie”. Nowi aktorzy, dobrzy i źli, przychodzili i odchodzili. Jedyną stałą rzeczą pozostawał Klejnot, podczas każdego odegrania sztuki ten sam. Uświadomiłam sobie, że siłą woli jestem w stanie zmieniać drobne rzeczy. Powolotku przegoniłam zimę i wezwałam wiosnę. Powróciła do mnie młodość i przywołałam z cienia moje magiczne dwórki, by dotrzymywały mi towarzystwa. Na ogół udaje im się ulżyć mej samotności.

Zacząłem się zastanawiać, co to wszystko oznacza. Za każdym razem, gdy w minionych wiekach dotykałem Klejnotu Elsynoru, czułem ducha Elżbiety, kobiety, która stała teraz przede mną, niezłomnej królowej, a także całej jej siły pochwyczonej przez klejnot. Zupełnie tak jak Elekci, którzy nakładają swój obraz na bursztyn, Elżbieta nałożyła siebie na perłę, choć w jej przypadku odłamek duszy – z braku lepszego słowa – trwał w tym perłowym więzieniu. Można by rzec, że osiągnęła nieśmiertelność w sposób, którego nie byłbym sobie w stanie wyobrazić.

– Wiele się zmieniło od czasów panowania Waszej Wysokości – stwierdziłem.

– To już wiem – odparła. – To, jak się ludzie ubierają. Wymowa. Kobiety na scenie. Jednakże wszystko dobiegło końca wraz z kradzieżą Klejnotu.

– Wasza Wysokość wie o kradzieży? – spytałem.

Skinęła głową.

– Nad moim lśniącym światem zapadły ciemności. Kobieta, która zwała się Pszczołą, wkroczyła do świata perły, zafascynowana tym, czego dokonałam. Nie wiedziałam, że jedno z was może wejść do mojego azylu, sir Pchło, a jednak jej się to udało, gdy spróbowała posiąść sekrety Klejnotu. Powiedziała mi, że ukradła perłę, by zrobić ci na złość. Siła jej woli była zaiste ogromna. Jej stwory cienia spustoszyły pałac, zabijając i torturując moich nowych poddanych, a wszystko po to, by odkryć, jak tu trafiłam. Musiałam wezwać na pomoc żywioły mego świata, by jej przeszkodzić.

Przesunęła ręką nad grządką złotych bratków, barwiąc je fioletem, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Być może tu, w jej perle, była.

– Czy Pszczoła skrzywdziła Waszą Wysokość? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Próbowała, ale nauczyłam się przyzywać dla siebie obrońcę. To on odniósł rany, które w innym przypadku dosięgłyby mnie. – Gestem przywołała Roberta Armina, który natychmiast podszedł i skłonił się.

Odpowiedziałem mu podobnym ukłonem.

– Jego dowcip zaczerpnęłam z miłych mi wspomnień o tobie, a jego moc w moim mniemaniu odzwierciedla tę, którą ty posiadasz – wyjaśniła Elżbieta. – Gdyby nie sir Robert Armin, moja Broń, nie odparlibyśmy ataku Pszczoły. Tymczasem wraz z moimi poddanymi powróciliśmy do naszego idyllicznego żywota i wiele zawdzięczamy memu rycerzowi i błaznowi.

– Wasza Wysokość powiedziała, że jestem w Klejnocie. Jak to się stało? – spytałem.

– Dzięki władzy nad Klejnotem wiem, kto go dotyka w świecie zewnętrznym – wyjaśniła Elżbieta.

– Perła przywołała obraz ciemnoskórej kobiety, która miała ją na sobie. Jednocześnie wyczułam twoją obecność oraz grożące ci niebezpieczeństwo. W tej chwili kobieta trzyma twoją głowę na kolanach i dotyka bursztynem twej skóry, sir Pchło. Te informacje to jedyna pomoc, jakiej mogę ci udzielić.

Błysk z bursztynu mógłby mnie ocucić.

– Królowo, pozostaję twym dłużnikiem.. i twoim, sir Robercie – powiedziałem, kłaniając się im. – Dziękuję. – Moc perły była znacznie większa, niż sądziłem, co wyjaśniało, czemu Pszczoła tak jej pożądała. Jednak czy rozwiązała zagadkę Klejnotu przed śmiercią? – Czy Pszczoła znalazła moc, której szukała?

– Tego nie wiem – przyznała Elżbieta. – A teraz odejdz z mym błogosławieństwem. Jesteś tam potrzebny.

Poszukałem łaskotania Błysku. Odnalazłem je gdzieś za uchem. Dotknięcie tej mocy podczas normalnego snu byłoby katastrofalne w skutkach, ale świat Elżbiety pozwolił mi się skoncentrować na mym prawdziwym wyglądzie, nie dopuszczając, by podświadomość wypaczyła moją tożsamość. Ukierunkowałem Błysk, zmuszając go, by mnie wyleczył i...

...ocknąłem się.

XII.

Mgła spowijająca mój umysł zaczęła opadać. Źródło Błysku faktycznie znajdowało się za uchem, gdzie do skóry przylegała bryłka bursztynu. Obolałą głowę miałem złożoną na miękkich, okrytych atlasem kolanach. Przebiłem się przez ból i odczytałem wzór pochwycony w atlasowym splocie – ujrzałem obraz Patry, modelki, która prezentowała perły podczas gali. Wszystko, co powiedziała Elżbieta, było prawdą.

Musieli mnie czymś uspić po tym, jak Olivia mnie ogłuszyła. Zacerpnałem jeszcze trochę mocy Błysku, by usunąć efekty działania środka uspokajającego. Nie byłem w stanie uwolnić rąk, gdyż były skute kajdankami za moimi plecami i na dodatek na nich leżałem. Podłoga lekko się trzęsła, a zapach benzyny tylko spotęgował mdłości. Jechaliśmy samochodem? Czuję, że mam posiniaczone plecy i twarz. Zacząłem się zastanawiać, jakich jeszcze obrażeń doznałem. Uchyliłem oczy, oceniając sytuację. Wszystko wskazywało na to, że wrzucono mnie na tył ciężarówki. Jako że w środku nie paliło się żadne światło, dostrzegałem twarze i kształty tylko w chwilach, gdy przez okno w drzwiach wpadał blask mijanych latarni. Brak światła z przodu oznaczał, że kabina kierowcy jest oddzielona od naczepy.

Patra spojrzała na mnie z niepokojem. Klejnot Elsynoru zawisł kusząco kilka centymetrów od mojego nosa. Korzystając z chwil, gdy samochód podskakiwał na wybojach, odwróciłem głowę, próbując się dyskretnie rozejrzeć. Pod ścianą ustawione były obrazy impresjonistów, zabezpieczone na czas transportu. Obok nas, między dwoma nieruchomymi ciałami, siedział mężczyzna, w którym rozpoznałem Hala. Ale kim byli leżący? Nieprzytomnymi strażnikami? A może była tam Olivia? Groźniejsze wrażenie sprawiało dwóch mężczyzn przy drzwiach, Laertes i Polonius, którzy niewątpliwie byli uzbrojeni. Nigdzie nie widziałem Singletona, pewnie prowadził lub siedział obok kierowcy.

Czy Olivii udało się wymienić mnie na zakładników? Czy też Singleton ją obezwładnił i zabił wszystkich poza swymi kartami przetargowymi, które wrzucił do ciężarówki? Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że była na tyle głupia, by uwierzyć w kłamstwa przeznaczone dla uszu Singletona i pomóc mu mnie złapać. Bez względu na to, jaki układ zawarła Olivia z Singletonem i czy on się z niego wywiązał, Patra i Hal nadal byli w niebezpieczeństwie. Rozumiałem, dlaczego zabrali Patrę, która wciąż miała na sobie biżuterię, ale co tu robił Hal? Czy stanowił dodatkowe zabezpieczenie, czy też odkryli, że się znamy? Singleton mógł nas widzieć razem na gali. W każdym bądź razie zarówno on, jak i Patra znaleźli się w niebezpieczeństwie przeze mnie. Nie chciałem ich zawieść.

Zastanawiała mnie jeszcze jedna rzecz. Skąd Patra miała bursztyn i skąd wiedziała, że będę go potrzebować? Czyżby była Elektem? Czy też Nartnik usłyszał, jak Singleton nazywa mnie Pchlą, domyślił się, czego będę potrzebować, by przeżyć i w tajemnicy dał Patrze bursztyn? Biorąc pod

uwagę dobre stosunki między nimi, Nartnik mógł jej powiedzieć, co robić. W każdym razie byłem jej dłużnikiem.

Mój obecny instar stworzyłem z myślą o złodziejstwie i akrobatyce. Postawiłem na gibkość, by lepiej mieścić się w ciasnych przestrzeniach i być w stanie uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa i więzów. Dyskretnie zdjąłem kajdanki, jak niegdyś nauczył mnie tego Houdini. Na szczęście nie były to sztywne kajdanki używane przez Scotland Yard, ale starszy, metalowy model, w którym część obrotowa mogła wykonać pełen obrót przed ponownym zamknięciem. I to właśnie było w nich piękne: po wyswobodzeniu się, można je było zamknąć na nadgarstku kogoś innego, zapewniając sobie jakże potrzebną przewagę.

Wyjąłem spod siebie rękę i dotknąłem nogi Patry. Poczwała to, ale się nie odezwała, tylko cicho odsunęła bursztyn od mojej szyi i włożyła mi go w dłoń. Ścisnąłem bursztyn w garści, czekając na najlepszy moment, by zaatakować.

– Jesteś tam, szefie? – odezwał się w słuchawce głos Thicketta.

Dobry, stary Thicks! Jeśli był na tyle blisko, by mieć ze mną łączność, musiał jechać za ciężarówką od domu aukcyjnego. Miało to swoje wady i zalety. Mógł pomóc nam w ucieczce, ale limuzynę trudno było przeoczyć. Musieli wiedzieć, że ich śledzi.

– Felix, mam nadzieję, że mnie słyszysz, nawet jeśli nie możesz odpowiedzieć. Ciężarówka jedzie Clapham Road przez Lambeth. Prawie was dogoniłem. Nie wiem, czy uda mi się ich zatrzymać, ale warto spróbować. Przygotuj się na uderzenie za pięć, cztery, trzy...

Wiedziałem, że na Thicksa można liczyć. Przygotowałem się do ataku w chwili zderzenia.

Ciężarówką zatrzęsło, gdy limuzyna uderzyła w tylny zderzak. Jeden z pospiesznie mocowanych obrazów przejechał wzdłuż całej ściany naczepy. Polonius runął w przód, Laertes z trudem utrzymał równowagę i wyjrzał przez okno. Hal i Patra również się zachwiali. Ja wiedziałem o kolizji wcześniej, co dało mi zdecydowaną przewagę.

Otrząsnąłem się jeszcze przed Poloniusem i kopnąłem go prosto w klatkę piersiową. Pozbawiło go to tchu akurat na tyle, bym zdążył się pozbierać i stawić czoło Laertesowi.

Kierowca ciężarówki przyspieszył, lawirując między samochodami. Wszystkimi w naczepie rzuciło niczym szmacianymi lalkami. Nie wypuszczając z ręki bursztynu, chwyciłem dwoma palcami lewej dłoni pas na ścianie, próbując odzyskać równowagę. Z kolei Laertes złapał się klamki i uniósł broń.

Jednak nim udało mu się wziąć mnie na muszkę, puściłem pas i ruszyłem do przodu. Na rękę, w której trzymał broń, zamknąłem kajdanki. Laertes zdołał oddać strzał, ale szarpnąłem kajdanki i spudłował. Pocisk odbił się od ściany naczepy. Laertes puścił klamkę, zacisnął pięść i zamierzył się na moją szczękę. Uderzenie było mocne i zabolowało jak cholera.

Polonius nieco się otrząsnął, ale upadając upuścił broń. Gdy po nią sięgnął, ciężarówka skręciła i pistolet przesunął się w stronę Hala, który zaczął się szarpać z Poloniusem w wyścigu po broń, na co Patra chwyciła obraz, który spadł ze ściany i uderzyła nim najemnika. Nic to nie dało.

Wciąż walczyłem z Laertesem, więc nie mogłem pomóc Halowi ani Patrze. W nagłym przypływie siły, pchnąłem rękę z kajdankami Laertesowi w kierunku ręki, którą trzymał się drzwi i zamknąłem na niej drugą obręcz kajdanek. Ze skutymi rękoma Laertes musiał puścić drzwi, by móc wycelować broń. Próbował uderzyć mnie pistoletem, machając rękoma w moją stronę, ale przewidziałem to. Uchyliłem się przed ciosem, chwyciłem go w pasie i pchnąłem na drzwi, jednocześnie podnosząc zasuwkę.

Drzwi za Laertesem otworzyły się gwałtownie i do środka wdarł się dźwięk klaksonów i odległe wycie syren. Za ledwie kilka metrów za ciężarówką zobaczyłem Thicksa w limuzynie z rozbitym

przodem.

Stojący na krawędzi naczepy Laertes opuścił broń, próbując się czegoś złapać.

Nawet mnie.

Chwycił mnie za koszulę skutymi rękami, niemal wyciągając mnie ze sobą na ulicę. Zdołałem dosięgnąć lewą ręką klamki, nim upadł, z całych sił próbując się jeszcze ratować. Uwieszony ciężarem ciała na mojej koszuli, pociągnął mnie w dół i prawie wywichnąłem sobie ramię, gdy przechylający się pojazd przeciągnął go bezlitośnie po ulicy.

Limuzyna została nieco w tyle. Być może Thicks obawiał się, że obaj wypadniemy z ciężarówki prosto pod jej koła.

Sekundy wlokły się niczym godziny, aż wreszcie Laertes mnie puścił i odturlał się po mokrej od deszczu drodze.

Siedzący za kierownicą limuzyny Thicks, ledwo wyminął ciało. Z piskiem opon musiał zjechać na lewo, przez co prawie zderzył się z jadącą z naprzeciwka taksówką, ale szybko się otrząsnął i znów podjechał bliżej, uśmiechając się i machając do mnie przez deszcz.

– Ogromnie się cieszę, że cię widzę, szefie! – krzyknął do mikrofonu.

Uniosłem kciuki do góry.

– Za tobą! – krzyknął nagle Thicks.

Rozproszyłem się i całkiem zapomniałem o Poloniusie, strażniku, który walczył z Halem o broń.

Nie miałem czasu się odwrócić. Skoczyłem na maskę limuzyny, niemal zsuwając się po śliskiej karoserii na ziemię. Wpuściłem z rąk bursztyn, by wczepić palce w rowki przy wycieraczkach. Moje źródło Błysku zniknęło mi z oczu, ale zdołałem się utrzymać na masce, gdy Thicks gwałtownie skręcił, ratując mnie przed kulą wycelowaną w plecy. Pocisk zrykoszetował od kuloodpornej przedniej szyby.

Thicks wcisnął pedał gazu do oporu, usuwając mnie z linii strzału. Limuzyna zrównała się z ciężarówką, a Thickett otworzył mi szyberdach. Walcząc z podmuchami wiatru i deszczem zalewającym mi twarz, wczołgałem się na śliski dach.

Dźwięk syren przybrał na sile. Pościg samochodowy na Clapham Road zwrócił uwagę policji, co akurat było dobrą wiadomością.

Już niemal dotarłem do szyberdachu, gdy kierowca ciężarówki uderzył w bok limuzyny. Zsuwając się, zdołałem jeszcze chwycić krawędź szyberdachu. Chwilę trwało, nim wciągnąłem się z powrotem na górę i wreszcie schowałem w samochodzie.

– Co teraz, szefie? – spytał Thicks, próbując zwiększyć dystans między nami a ciężarówką.

– Nie mogę zostawić Hala i Patry w rękach uzbrojonego bandyty – stwierdziłem, otwierając fotel przede mną. Zgodnie z obietnicą Thicksa, w środku znalazłem kuszę i dwanaście bełtów. – Jedź za nimi.

Thicks wdepnął hamulec i ponownie wjechał za ciężarówkę.

Polonius próbował zamknąć drzwi, ale pojazd lawirował niebezpiecznie między samochodami i dopiero teraz udało mu się chwycić jedną z klamek.

Wstałem i strzeliłem, trafiając go bełtem w prawe ramię. Polonius krzyknął, wypuścił z prawej ręki broń, a lewą przycisnął do rany. Nie mając się już czego złapać, wypadł z ciężarówki, gdy ta skręciła gwałtownie w lewo, odbił się od maski limuzyny i zniknął mi z oczu.

Został już tylko Singleton i ewentualni pasażerowie kabiny kierowcy, tylko jak bezpiecznie zatrzymać ciężarówkę? Mogłem strzelić w opony lub kierowcę, ale przy tej prędkości i na tak śliskiej nawierzchni skończyłoby się to katastrofą, w której zginęliby wszyscy w środku, łącznie z Halem i Patrą.

Opadłem na fotel limuzyny.

– Thicks, czy to przed nami to nie Clapham Common? – Miałem na myśli rozległy park z dwoma stawami.

– Będziemy go mijać po prawej – odpowiedział.

– Dałbyś radę ich zepchnąć na trawę? – spytałem. Rozmoczona ziemia wyhamowałaby ciężarówkę.

– Znaczą się przez samochody jadące w przeciwnym kierunku i chodnik? Ta puszka kontra ich olbrzym? – spytał Thicks.

– Nasz wóz jest opancerzony, prawda?

– Co chroni nas tylko przed kulami – odparł. – Zresztą ty tu rządysz, kierowniku.

– Nigdy tak do mnie nie mów – przypomniałem mu. Nie lubiłem tego słowa, zresztą wolałem myśleć o nas jako współnikach. – Nie będziesz sam. Podjedź do nich z lewej. Spróbuję się tam dostać.

– Powodzenia, Felix – rzucił Thicks.

Schowałem zapasowy bursztyn w kieszeni, założyłem nowy bełt w kuszy i wstałem. Ten był przeznaczony dla Singletona.

Zgodnie z moim poleceniem, Thicks przejechał na lewą stronę ciężarówki. Singleton siedział na miejscu pasażera. Dostrzegł nas już wcześniej w lusterku bocznym, więc zdążył wyjąć broń i do mnie strzelić. Uchyliłem się i usłyszałem, jak pocisk odbija się od dachu limuzyny. Nie miałem szans strzelić z kuszy, o przeskoczeniu na ciężarówkę nie wspominając.

Park był coraz bliżej. Zostało mi niewiele czasu, ale gdybym oślepił kierowcę...

Przeszukałem podręczny arsenał przygotowany przez Thicksa i znalazłem granat dymny z trzysekundowym opóźnieniem.

– Bliżej, Thicks! – krzyknąłem.

Limuzyna wyrwała do przodu.

Wyciągnąłem zawleczkę i wystawiłem głowę przez szyberdach.

Singleton strzelił, a pocisk drasnął mi policzek. Poczulem piekący ból, ale zignorowałem go. Wstałem i wrzuciłem granat dymny do kabiny kierowcy.

Nastąpiła eksplozja gryzącego, białego dymu, ulatującego przez uchylone okno ciężarówki, która wpadła na przeciwległy pas, cudem unikając zderzenia czołowego.

Dym przesłonił mi Singletona, prawdopodobnie oślepiając jego i kierowcę. Gdy próbowali pozbyć się dymu z kabiny, wyszedłem na dach, a Thicks podjechał do ciężarówki na odległość rozpostartej dłoni. Wyciągnąłem się, chwyciłem klamkę i skoczyłem, wciskając się między kabinę kierowcy i naczepę, po czym ruszyłem w stronę fotela kierowcy.

Dotarłem tam sekundę przed tym, jak samochodem szarpnął potężny wstrząs. Thicks uderzył limuzyną w bok ciężarówki, próbując ją zepchnąć przez chodnik do parku. Choć była to odważna decyzja, niestety nie udało mu się zmienić kierunku jazdy ciężarówki. Wszystko zależało teraz ode mnie.

Kierowca otworzył okno, by przewietrzyć kabinę. Dym szczypał mnie w oczy i prawie nic nie widziałem, ale wiedziałem, gdzie uderzyć. Pięść sięgnęła szczęki kierowcy. Wyciągnął rękę przez okno, próbując mnie chwycić, ale uchyliłem się, jednocześnie łapiąc za kierownicę i skręcając ją gwałtownie w prawo.

Dzięki napierającej na nią limuzynie i nagłemu skrętowi kierowcy, ciężarówka przeskoczyła nad krawężnikiem i wpadła do parku. Thicks gwałtownie skręcił w przeciwną stronę. Choć ziemia była mokra, nie wystarczyło to, by wyhamować cały pęd ciężarówki, która parła przez park, kierując się

w stronę Długiego Stawu.

W końcu wóz dotarł na skraj stawu i wtoczył się na płyciznę. Puściłem klamkę i runąłem do wody. Przemokłem, ale uniknąłem poważniejszych obrażeń. Spowolniona przez wodę ciężarówka zatrzymała się w końcu kawałek dalej.

Z trudem się podniosłem i dobrnąłem do pojazdu. Mijając otwarte drzwi naczepy, zerknąłem do środka, wypatrując Patry i Hala.

– Nic wam nie jest? – spytałem.

– Mnie nie – krzyknęła Patra. – Ale strażnik postrzelił doktora Russella w brzuch. Trzeba go zabrać do szpitala!

Zakląłem.

– Sprowadzimy lekarza. Co z pozostałymi zakładnikami?

– Wypuścili ich w zamian za ciebie – odparła. – Trzeba się spieszyć!

Usłyszałem otwierające się drzwi kabiny, co znaczyło, że albo Singleton, albo kierowca doszedł już do siebie.

– Cholera. Singleton nadal jest groźny, więc się stąd nie ruszaj. Wkrótce nadejdzie pomoc!

Wyjrzałem zza ciężarówki z lewej strony, gdzie jechał Singleton. Drzwi były zamknięte, ale ani nie widziałem, ani nie słyszałem go idącego przez wodę. Szybko poszedłem sprawdzić prawą stronę, ale tam również nikogo nie było. Został w środku, czy wszedł na dach?

Ostrożnie podszedłem bliżej. Choć dym nieco się przerzedził, nadal ograniczał widoczność. Gdy znalazłem się na wysokości okna kierowcy, drzwi otworzyły się gwałtownie, odrzucając mnie do tyłu. Upadłem, wziąłem wdech i zakrztusiłem się wodą. Nim się wynurzyłem, Singleton już był na mnie. Wepchnął mi głowę pod wodę, usiadł na mnie okrakiem i zacisnął dłonie na gardle, próbując mnie utopić.

Jego błędem było zostawienie mi wolnych rąk. Uderzyłem go pięścią w brzuch, dzięki czemu na chwilę rozluźnił chwyt. Odepchnąłem jego ręce i wynurzyłem głowę, próbując zaczerpnąć powietrza.

Singleton wyjął nóż, chwycił go oburącz i uderzył prosto w serce. W ostatniej chwili złapałem go za nadgarstki, blokując śmiertelny cios. Nie ustępował, napierając z całej siły na ostrze, a ja broniłem się jak mogłem. Choć był postury stracha na wróble, adrenalina musiała dodać mu sił. Trudno mi było utrzymywać głowę nad wodą, jednocześnie unikając ostrza. Prędzej czy później musiałem się zachłusnąć lub dopuścić do pchnięcia nożem.

– Trudno cię zgnieść, Pchło – powiedział.

– Tak słyszałem. – Gdybym tylko wyjął z kieszeni bursztyn!

Wziąłem głęboki wdech i zanurkowałem. Liczyłem na to, że uda mi się odsunąć od siebie broń prawą ręką, a lewą sięgnę po bursztyn.

Niestety jedna ręka nie wystarczyła, by odeprzeć atak Singletona. Czubek noża przebił skórę, popłynęła krew. Zarzuciłem pomysł sięgnięcia po bursztyn i ponownie skupiłem się na nożu, nie chcąc dopuścić, by zatopił się w mojej klatce piersiowej, ale walka utrudniała wstrzymywanie oddechu.

Choć głowę miałem pod wodą, usłyszałem odgłos dwóch przytłumionych strzałów. Ciało Singletona wygięło się w łuk, mój oponent wziął gwałtowny wdech i puścił nóż, po czym runął bokiem do wody.

Zepchnąłem go z siebie i wynurzyłem się, łapczywie łapiąc powietrze.

W wodzie obok ciężarówki klęczała przemoknięta Patra z pistoletem w drżącej dłoni.

– Sukinsyn – krzyknęła.

Wyciągnąłem głowę Singletona spod wody, ale było już za późno. Modelka trafiła go dwa razy w

plecy, z czego jeden pocisk sięgnął serca. Przeszukałem mu kieszenie, gdzie znalazłem tylko cylindryczną fiolkę z kleistą cieczą. Otworzyłem ją i powąchałem zawartość. Pachniała słodko miodem. Bez wątplenia był Trutniem. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że to Pszczoła zastawiła na mnie pułapkę.

Schowałem fiolkę i podszedłem do Patry.

– Dziękuję – powiedziałem miękko. – Możesz już odłożyć broń.

Nadal się trzęsąc, Patra upuściła pistolet.

– Skąd wiedziałaś o bursztynie? – spytałem.

– Barun – odparła.

Skinałem głowę.

– W takim razie jestem twoim i jego dłużnikiem. Chodź, zobaczymy, co u Hala. – Pomogłem jej wyjść z wody do naczepy, po czym sam przyklęknąłem przy Hala. – Hal. Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie, Felix – odpowiedział, krzywiąc się z bólu.

Obejrzałem jego ranę. Kula przeszła na wylot, nie wyglądało to dobrze. Konieczna była natychmiastowa operacja.

– Trzymaj się, Hal – powiedziałem. – Chyba nie odpuścisz mi rewanżu, co?

Udało mu się zachichotać, co dobrze rokowało.

– Skąd się tu w ogóle wzięłeś? – spytałem, próbując odwrócić jego uwagę od bólu. Musiał być jakiś sposób, by mu pomóc!

– Wypuścili połowę zakładników, nim ta policjantka powiedziała im, gdzie jesteś – powiedział słabym głosem. – Potrzebowali kogoś do niesienia więźnia. Zgłosiłem się na ochotnika.

– Dobry z ciebie człowiek. – Otworzyłem fiolkę, którą zabrałem Singletonowi z ostatnią dawką eliksiru Pszczoły, pozwalającego zmienić kształt. – Wypij to, Hal.

– Co...?

– Specjalna mieszanina miodu i mleczka pszczelego, pomoże ci się wyleczyć. Wypij to i wyobraź sobie, że jesteś okazem zdrowia – powiedziałem. – A co tam, pomyśl, że masz dziesięć lat mniej. Zwycięstwo umysłu nad ciałem.

Uniół brwi w zdumieniu, ale wypił eliksir. Schowałem pustą fiolkę do kieszeni i sprawdziłem jego ranę. Krwawienie ustawało.

– Dobrze, tak trzymaj. – Lekarze w szpitalu nazwą to cudem.

Wreszcie w oddali rozległ się dźwięk syren i rozbłysły niebieskie światła zwiastujące przyjazd policji. Zawołałem Patrę.

– Zostań z nim, proszę. Mów do niego i nie pozwól mu usnąć do przyjazdu pogotowia.

– Odchodzisz? – spytała.

– Policja będzie zadawać pytania, na które wolałbym nie odpowiadać – stwierdziłem. – Odwagi, Patro. Powiedz policji, że zastrześliłaś Singletona w obronie własnej, pozostali zakładnicy potwierdzą, że was sterroryzował.

– A co jeśli spytają o ciebie?

– Powiedz, że byłem anonimowym złodziejem dżentelmenem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o właściwym czasie. I jeszcze jedno... perłom, które masz na sobie, lepiej będzie u mnie.

Zdawała się wahać.

– Czy to nie kradzież?

– Już wcześniej zostały skradzione – zapewniłem. Było to mniej więcej, jeśli nie całkowicie, zgodne z prawdą.

– W takim razie je weź. Tylko przynoszą mi pecha. – Patra zdjęła wisiołek i kolczyk i podała mi

je.

– Dziękuję. – Schowałem biżuterię do kieszeni i wstałem. Na miejsce dotarły wozy policyjne i ambulans, więc czas było zniknąć.

XIII.

Na wypadek gdyby się okazało, że tożsamość Lea jest spalona, spędziłem noc w pokoju gościnnym Thicketta, a po śniadaniu na spokojnie obejrzałem Klejnot Elsynoru. Uniosłem wisioręk na wysokość oczu, wziąłem głęboki wdech i dotknąłem lśniącej powierzchni perły spoczywającej w platynowej muszli.

Cała perła pulsowała Błyskiem. Dusza Elżbiety I w pełni chwały nadal królowała w Klejnocie, tak jak się tego spodziewałem. Zamknięty w środku Błysk stanowił ucieleśnienie Złotego Wieku, silniejszego niż kiedykolwiek wcześniej.

Pozwoliłem mocy perły ponownie wciągnąć mnie do świata Elżbiety. Po drugiej stronie powitała mnie królowa.

Uklęknąłem.

– Jestem dłużnikiem Waszej Wysokości. Dziękuję, że pomogłaś mi się obudzić, pani. Jeśli istnieje jakiś sposób, by przywrócić Waszą Wysokość do świata żywych, znajdę go.

– Niegdyś poprosiłam cię o dar nieśmiertelności, sir Pchło i mam go. Nie wygląda tak, jak go sobie wyobrażałam, ale wieki samotności dały mi czas na rozmyślania nad swym losem – powiedziała królowa. – Jeśli mam trwać we wnętrzu tej perły, niechaj tak będzie. Zwróć mi tylko „Hamleta”.

– Dopilnuję tego, Wasza Wysokość – obiecałem. – Klejnot Elsynoru powróci na scenę wraz ze swą klątwą.

Skinęła głową.

– Odejdź z mym błogosławieństwem, sir Pchło. Będę oczekiwać twych kolejnych odwiedzin – powiedziała, unosząc ważkę, która przysiadła na jej palcu i pozwalając jej odlecieć. I gdy patrzyłem, jak błękitny owad wznosi się ku niebu, perłowy blask pochłonął kolory ze świata Elżbiety i odesłał mnie do mojej rzeczywistości.

Ocknąłem się i ujrzałem przed sobą rozżłoszczoną twarz Olivii.

– Jasna cholera!

– Cześć, Lea. Możemy pogadać? – spytała Olivia.

– Wybacz, szefie, nie dałem rady jej powstrzymać – powiedział Thicks skruszonym tonem.

Pomimo mojego poirytowania, z należytą ostrożnością odłożyłem Klejnot Elsynoru.

– Przyszłaś mnie aresztować? Czy rozwalić biżuterię?

– Szefie! Daj jej szansę coś powiedzieć, co? Nazwali Livie bohaterką. Moja córeczka jak nic zostanie komisarzem!

– Musisz nieźle kłamać.

– Tata wyjaśnił mi, że to, co powiedziałaś Singletonowi było tylko grą – powiedziała Olivia.

– No pewnie, że blefowałem. Byłem gotów zrobić wszystko, by ocalić tych ludzi, ale najemnicy musieli uwierzyć, że mam ich gdzieś – powiedziałem. – Wszystko miałem pod kontrolą.

– Jak cholera. Ja działałam w oparciu o fakty, Lea, a po tym, co usłyszałam, uznałam cię za pozbawionego serca, egoistycznego bydlaka – oznajmiła Oliva. – Musiałam wziąć sprawy w swoje

ręce. Nie żałuję tego, co zrobiłam.

– Ale gdybym nie odzyskał przytomności na czas, zginęłyby jeszcze dwie osoby! – powiedziałem, myśląc o Halu i Patrze.

– Założyłam, że jesteś w stanie wygrzebać się z każdego kłopotów i się nie pomyliłam, prawda? – wypaliła w odpowiedzi. – Wyglądałeś, jakby chodziło ci tylko o sztukę...

– Liv! Felix! – Thicks wepchnął się między nas. – Co było, to było. Oboje jesteście bohaterami i tylko to się liczy, no nie? Livie należą się podziękowania przynajmniej za to, że nasze nazwiska nie trafiły do gazet.

Olivia wzruszyła ramionami.

– Zrobiłam to dla ciebie, tato. Poza tym, nikt by nie uwierzył w to, co się naprawdę stało. Najemnicy opowiadali wystarczająco szalone historie, nie trzeba było ich komplikować opowieściami o człowieku, który zmienia kształt. Kim ty w ogóle jesteś, Feliksie Lea? I czemu Singleton nazywał cię Pchłą?

– Mogę ci to wszystko wyjaśnić, pani sierżant, ale wątpię, by zadowolili cię moje odpowiedzi – odparłem. – To, co powiem, musisz zachować w tajemnicy dla dobra własnego, twojego ojca i mojego. Rozumiesz?

– Nie puści pary z ust, Felix. Prawda, Livie? – wtrącił się Thicks.

Olivia zmarszczyła brwi, ale skinęła głową. Musiałem uwierzyć, że jej słowu można ufać tak samo jak słowu jej ojca.

– No dobrze. Jestem zmiennokształtnym, ale zdecydowanie nie jedynym – zacząłem, po czym w skrócie nakreśliłem Olivii obraz społeczności Elektów.

Gdy skończyłem, chwilę trawiła moje słowa.

– Więc to był efekt uboczny porachunków nieśmiertelnych?

– Można to tak nazwać – stwierdziłem. – Muszę znaleźć Pszczołę. Czego się dowiedziałaś od najemników?

– Wszyscy to Amerykanie i byli żołnierze – odpowiedziała Olivia. – Singleton wynajął ich do tego konkretnego zadania, ale nie podał im szczegółów. Obiecał im nowe tożsamości i po dwieście tysięcy dolarów plus premię w razie powodzenia. Po ograbieniu domu aukcyjnego mieli polecieć prywatnym odrzutowcem z Farnborough do Frankfurtu, gdzie Singleton miał im wyjawić dalszą część planu.

– Tylko że Singleton nie żyje – stwierdziłem. – Szlag by to! Znacznie utrudni mi to znalezienie Pszczoły.

– Jadę z tobą, szefie – oznajmił Thicks.

– Tato! – zaprotestowała Olivia.

– Wokół mnie robi się teraz bardziej niebezpiecznie, Thicks – ostrzegłem go. – Wieści, że żyję, szybko się rozniosą, a to znaczy, że wkrótce spotkam zarówno starych przyjaciół, jak i wrogów.

– Wiem, że istnieje pewne ryzyko, ale mam wprawę w wydobywaniu się z tarapatów – Thicks mrugnął do nas. – Zaufajcie mi.

Ja mu ufałem.

Olivia wzruszyła ramionami.

– Pewnie cię nie przekonam, żebyś z nim nie jechał, tak ja tobie nie udało się mnie odwieść od wstąpienia do policji?

– Naturalnie, że nie. To po mnie masz upór, zapomniałaś? – odparł Thicks.

– W takim razie pilnuj go, Lea – oznajmiła Olivia. – Bo jeśli cokolwiek stanie się mojemu ojcu, znajdę cię.

Nie wątpiłem, że spełniłaby swoją groźbę. A przy całym swym oddaniu byłaby naprawdę strasznym przeciwnikiem.

Przełożyła Anna Klimasara

Pamięć jest czymś jak dom

Codziennie przez trzy dziesiątki lat, opuszczony dom szarpie swoje korodujące kotwy w nadziei, że się uwolni. Trzydzieści lat czekał, aż rury i palowanie przegniją w końcu, żeby mógł wyruszyć na Florydę i odszukać rodzinę Macków.

W jego sąsiedztwie, w Milford, pewnie nikomu nie będzie brakowało domu, ani nawet nie zauważą jego nieobecności; przez dziesięciolecia ukrywał się za zarastającymi go krzakami, chwastami i legendami. Kiedy w ogóle rozmawiają o domu, sąsiedzi szepczą o zabójcy dzieci, który dawno temu mieszkał w nim z rodziną: żoną i pięciorgiem dzieci, które nie wiedziały, że ojciec trzyma ich rozkładającą się towarzyszkę zabaw w korytarzu sanitarnym pod budynkiem, dopóki nie pojawiła się policja.

Jednak dom zna prawdę i chce ją wyznać, nawet jeśli będzie musiał przejść osiemset mil.

* * *

Oczywiście, dom nie jest głupi. Wie, że wyruszając rano, kiedy po zarośniętym podwórku przechadza się ta pani w średnim wieku, ściągnąby na siebie uwagę. Podobnie wyruszając o jakiegokolwiek innej porze dnia, choć większość sąsiadów jest już wtedy w pracy. Początek to najbardziej zauważalny moment potajemnej podróży.

Dom jest cierpliwy. Cekał trzydzieści lat i pewnie mógłby zaczekać kolejne trzydzieści, choć nie jest pewien, czy ludzie żyją tak długo, zwłaszcza jego ludzie. Kiedy zostawili za sobą wszystko, czego nie mogli unieść w rękach, wydawali się zdenerwowani i udręczeni, a to nie może być zdrowy sposób na życie. Oczywiście, Mackowie mogli już nie żyć, ale dom ma na ten temat inne zdanie. Inaczej to czuje.

O zmierzchu dom postanawia odejść. Cienie próchniejących drzew ukrywają początek wędrówki, choć nie jest on zbyt obiecujący: dom potrząsa konstrukcją i przesuwa się ze skrzypieniem o dwa cale naprzód. Potem wzdycha wyczerpany przez ziejące okna i ciekący strych, z przepuszczonym przez drewno jękiem.

Próbuje zaraz kolejne dwa cale, i znowu dwa. Kiedy tylko zdobywa trochę doświadczenia i odkrywa, jak zginać belki i sunąć naprzód, robi się łatwiej.

W następnych tygodniach spacerowiczka nie zauważa, że dom się porusza. Po prostu zmienia trasę, żeby się dostosować, nie zdając sobie nawet sprawy, że to robi, aż pewnego dnia w ogóle przestaje przychodzić. Może wraca do pracy albo znajduje jaśniejsze miejsce na spacer. Może po prostu ma złe przeczucia związane z samotnym domem w lesie, jakieś groźne wrażenie, że jest prawie żywy. Domowi często się one zdarzają.

Bez świadków, dom nabiera prędkości i w dzień, po równym terenie, porusza się dziesięć stóp na godzinę, a w nocy nawet szybciej. Wiejący przez mansardowe okna i okapy wiatr upaja dom i czasem nie dba wcale, czy ktoś zobaczy jego przechodzący cień na tle wschodzącego księżyca.

* * *

Dom trzyma się lasów i łąk między działkami, ponieważ nie byłoby dobrze dać się znaleźć i ponownie zasiedlić. Nie można iść aż na Florydę, będąc zamieszkanym przez czteroosobową rodzinę, lubi powtarzać sobie. Dom ma mnóstwo mądrości do przekazania, ale nikogo, komu mógłby je przekazać, jak nowszemu domowi lub choćby szopie.

Chciałby, na przykład, powiedzieć komuś, że podróżowanie przez pustkowia jest niebezpieczne. Czasami pogoda psuje się i zjeżdżasz w błocie po zboczu wzgórza. Czasami zwisające nisko gałęzie zdzierają dachówki. Nieraz przez komin lub przez okno wpadają szopy, żeby grzebać w pozostawionym przez Macków jedzeniu. Dom próbuje chybotać się wtedy w straszny sposób, łomocząc oprawionymi, starymi, czarno-białymi fotografiami na ścianie, ale szopy wydają się nie zwracać na to uwagi. Wyciągają puszystą zgniłą kość kurczaka albo zieloną bułkę, podczas gdy dom przygląda się temu gniewnie.

Kiedy pada, woda przesącza się przez szarą izolację i wybrzusza wielkimi grudami na suficie. Czasami któraś pęka, rozbryzgując tynk i stęchlą wodę na dywanie. Kiedy tak się dzieje, dom wzdryga się z bólu i stara się trzymać bliżej drzew dla schronienia.

* * *

Dom czeka przy autostradzie 61, zastanawiając się, jak w ogóle ma przez nią przejść. Co kilka minut przejeżdża jakiś samochód, dość, żeby marsz przez nawierzchnię, stopa po stopie, okazał się ryzykowny.

Dom tkwi przycupnięty na skraju drogi, wypatrując nadejścia ciemności. Kiedy w końcu nadciąga, przechodzi jak najlepiej potrafi dwa pierwsze pasy ruchu, pobrzękując oknami i strzelając deskowaniem w prawdziwym galopie do pasa rozdzielającego jezdnie. Tam odpoczywa, z nadzieją, że nie rzuca się w oczy – zupełnie, jakby ktoś właśnie zbudował dom pośrodku drogi, albo jakby władze stanu zachowały historyczny budynek, budując autostradę wokół niego.

Kiedy dom złapał już drugi oddech, zaczyna przechodzić przez pozostałe pasy ruchu. W chwili, kiedy przerywana linia dzieli go dokładnie na pół, wszystkie wschodnie okna wypełnia światło.

Dom wpada w panikę, choć niełatwo to zauważyć: tylko architekt zauważyłby, że narożniki odchodzą od pionu, a ściany odkształcają się, choć nie uwierzyłyby w to lub nie uwierzyła.

Za przednią szybą ciężarówki kierowca również wydaje się nie wierzyć. Mruga, krzyczy, i zjeżdża wozem na drugi pas. Kierownica drży mu w dłoniach, kiedy naczepa wpada w poślizg.

Nieprzygotowany na zderzenie belkowania z 60-tonową ciężarówką, dom wlecze się najszybciej jak tylko może na drugą stronę. Tam przygląda się, jak koła łapią nawierzchnię, zaczynają się obracać, a w końcu, kiedy kierowca odzyskuje kontrolę, wpadają z łoskotem z powrotem na autostradę. Naczepa chwieje się w lewo, potem w prawo, ale jedyną ofiarą jest zapewne tętno kierowcy. Prawdopodobnie również domu, gdyby je miał.

* * *

Dom nie cierpi ogrodzeń, zwłaszcza z drutu kolczastego. Przez niejednego płot z drewnianych sztachet przedarł się ze względną łatwością, ale te z drutu kolczastego ciągną się za nim przez setki jardów. Dom musi ostrożnie pełznąć przez drut, żeby zostawić go za sobą, tracąc czasami minuty lub godziny.

* * *

Od kiedy dom opuścił fundamenty, włamało się do niego pewnie pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu ludzi. Dom gdera na stratę czasu, ale czasami goście są mili, zwłaszcza kiedy odchodzą. Niektóre dzieciaki tłuką butelki i żarówky, a to się domowi nie podoba. Czasami coś zabierają, parę portretów, stary widelec albo jakąś inną pamiątkę z tej „niesamowitej budy w lesie”. Dom chciałby móc ich powstrzymać, ale ma już jedno wielkie zadanie do skończenia.

Menele rzadko zostają na całą noc. Drzemią parę godzin na jakimś łóżku i grzebią w poszukiwaniu alkoholu, ale potem coś wzywa ich z powrotem na zewnątrz – może gwizd pociągu, niedokończona misja albo niespłacony dług. Cokolwiek to jest, ostatnią rzeczą, jakiej wydają się potrzebować ci goście, jest jakiś tam dom. I dobrze, bo ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje dom, jest jakiś menel.

Dziewięć par obściskowało się na starej, spleśniałej kanapie. Kiedy napierali na siebie, z jej poduszek tryskała im między palcami zielona woda. Dom pamięta, jak pan i pani Macek zrobili to kiedyś, kiedy kanapa była jeszcze czysta. Oboje byli wstawieni dżinem z tonikiem, kiedy zaczęła odpinając prawą szelkę jego kombinezonu. Całujące się dzieciaki nie są takie delikatne – po prostu wpychają się nawzajem na kanapę, obmacują przez chwilę, po czym przechodzą od razu do popychania.

* * *

Rzeki i strumienie mają dobre i złe strony. Trudno je pokonać, ale prąd może skrócić podróż o dni, a nawet tygodnie, jeśli tylko dom właściwie po nich nawiguje. Wciąż potrafi unosić się mniej więcej na wodzie, choć woda przelewa się przez frontowe drzwi na tył, pozostawiając po sobie szlam, wodorosty, a czasem podskakujące ryby.

Dom nigdy nie widział wodospadu, ale zgaduje, że nie byłoby dobrze natknąć się na niego.

* * *

W Północnej Karolinie dom ma interesujących gości: dwóch chłopaków i dziewczynę, świeżo upieczonych nastolatków, spoconych i opalonych po wakacjach spędzonych na bieganiu po zalesionych górach.

Dom widzi, że są zuchwali, jak dzieci Macków, zanim zabrała je pani Macek. A jednak są pełne szacunku – owszem, wchodzą przez kuchenne okno, ale tylko przez to już rozbite przez pijanego myśliwego.

Rozglądają się po domu, zaglądają do piekarnika na zapomnianą pieczeń pani Macek i przerzucają stertę kruszących się gazet przy zielonym krześle. Rozmawiają o wielkiej tajemnicy, o tym, co stało się z ludźmi w środku.

– Tyle zostawili – mówi dziewczyna. Dom odkrywa, że nazywają ją Amanda.

– Spójrz na to – mówi większy chłopak, Michael. – Na stole wciąż jest jedzenie.

Po tak długim czasie, oczywiście niewiele, po prostu rozrzucone kamyki wyschłej kukurydzy i czarne kręgi po bułkach. Stół jest upstrzony błotnistymi śladami zwierząt.

– To jak zagadka *Marie Celeste* – mówi mniejszy chłopak z wielkimi oczami, Jeremy. – Zaginął na morzu, miesiącami dryfował.

Nie wiesz nawet połowy, mówi do siebie żałośnie dom.

– Myślisz, że ich zabito? – pyta Michael, ten, który wciąż przygląda się dziewczynie, kiedy ta nachyla się nad stołami i półkami. Domowi wcale się nie podoba. Ani Amandzie, jak się wydaje. Przyląpuje go na gapieniu się i mówi:

– Przestań.

Potem odwraca się do mniejszego chłopca.

– Nie ma żadnych śladów. W każdym razie żadnej krwi ani niczego podobnego.

– Może otruli ich i wyczołgali się na zewnątrz, dusząc się od arszeniku, żeby umrzeć na podwórku albo co – mówi mniejszy chłopiec. Domowi podoba się jego przenikliwość: tak, zgadza się, Mackowie zostali zatruci i wyczołgali się na zewnątrz. Tyle, że nie arszenikiem.

– Dobra teoria – mówi Michael, uderzając go w ramię.

Amanda rozkłada na stole gazety, te, które pani Macek zachowała po aresztowaniu pana Macka. Po pół wieku, drastyczne nagłówki szeleszczą na pożółkłym papierze, kiedy dzieciaki przewracają strony ostrożnie czubkami palców. Amanda czyta je na głos, pewnie dlatego, że Michael nie potrafi czytać. Na takiego wygląda.

– *Trzeci dzień poszukiwań zaginionej dziewczynki* – czyta Amanda. Zgadza się, dom to pamięta. Chodzący ulicami i zamiatający latarkami z jednej strony na drugą policjanci, wołający jej imię. Zbierające się grupkami na każdym rogu kobiety, szepczące z dłońmi przy ustach. Młodszy skauci, przeszukujący krzaki. Nastolatki w toczących się późną nocą ciężarówkach, chichoczące ze swoich mrocznych żartów.

Oczywiście, dom nie mógł zrobić nic, żeby pomóc.

Jeremy czyta następny nagłówek:

– *Detektywi znajdują ciało pod domem.*

Właściwie nie było to prawdą. To policyjny pies tropiący o imieniu Jenny wywlókł potłuczone ciało Kathy Henderson spod domu, podczas gdy detektywi wpatrywali się z otwartymi ustami. Pies ciągnął i ciągnął, a dom chciał, żeby ktoś po prostu pomógł, przedarł się przez resztę zgniętej kratownicy, żeby ją wyciągnąć. Ale wszyscy gapili się tylko, a dom oczywiście nie mógł nic zrobić.

Pani Macek zemdląła na ganku. Pan Macek miał mnóstwo pytań do policji, ale oni nie mówili po polsku. Nie żeby w ogóle go słuchali.

– *Aresztowano zagranicznego robotnika* – mówi Michael. Właśnie ten musiał wybrać artykuł ze zdjęciem pana Macka, wywleczonego w szarym kombinezonie z domu, mrużącego oczy w błyskach fleszy, krzywiącego się z bólu, kiedy gliniarze wykręcali mu ramię mocniej niż musieli. Wtedy też było mnóstwo podobnych do niego chłopców. Po prostu przypadkiem nosili mundury.

Dom pamięta zapach pieczenia, przynoszonych zaraz po aresztowaniu dla pani Macek i jej dzieci, dary sąsiadów, którzy nie wierzyli, aby jej mąż mógł zrobić coś tak przerażającego.

– *Emigrant broni się przed zarzutami dzieciobójstwa* – pieje kolejny nagłówek głosem Michaela. – Facet wygląda na szaleńca. – Zbliża się ukradkiem do Amandy, ale ona odsuwa się równocześnie o tę samą odległość. – Typ gościa, który zabiłby dziewczynkę i wepchnął ją pod dom.

– *Pokrętna obrona szalonego robotnika* – szepcze Jeremy.

Dom pamięta również, jak dary pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie przestały pojawiać się po tym, jak pokazano zdjęcia z autopsji. Córki Macków wracały z parku z płaczem, a chłopcy Macków wracali z boiska baseballowego wściekli.

Amanda nie musi czytać ostatniego tytułu: *Winny*. Pochodzi z 9 sierpnia 1938 i nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyciąć go z gazety, jak pozostałe. Dzieci mogą czytać reklamy lodówek za 50 dolarów, jeśli chcą, ale zamiast tego po prostu wpatrują się w przerażoną minę pani Macek.

9 sierpnia 1938 – dzień, w którym pani Macek, zawstydzona winą swojego męża i reakcją

sąsiadów, kazała dzieciom zabrać, co tylko mogły unieść i zapakować do samochodu. Dzień, w którym zostawili za sobą wszystko, nie tylko naczynia i zdjęcia, ale również pytania. Dzień, w którym drzwi stuknęły, światła przygasły, i dom pozostawiono samemu sobie.

– Fajnie! – mówi Michael. – To Dom Śmierci!

Dom nie cierpi, kiedy tak go nazywają.

– Ciekawe, gdzie to zrobił. – Rozgląda się wokół, szczerząc się. – Założę się, że w wannie wciąż jest kółko krwi.

Wychodzi, żeby sprawdzić, a za nim idzie Amanda.

Jeremy mruży oczy na gazety i mówi do nikogo:

– Czekajcie. Te gazety są z Ohio.

Idzie za przyjaciółmi, cichy jakby bał się obudzić dom, i kroczy delikatnie korytarzem, zaglądając do każdej sypialni. Puste plamy na żółtej tapecie pokazują duchy zdjęć, które spadły ze ścian.

Pierwsza sypialnia wygląda, jakby dzieliło ją trzech chłopców, dwóch na piętrowym łóżku i jeden we własnym. Szuflady komody są otwarte, wylewają się z nich spodnie i swetry, a metalowe żołnierzyki leżą ranne na podłodze. Jeremy podnosi jednego, ale potem odkłada go.

Wydaje się, że druga sypialnia była dla dziewcząt z rodziny, dwóch, jeśli można powiedzieć cokolwiek po łóżkach. Zostawiły wszystko, jak ich bracia: nad jednym łóżkiem wisi krzywo parę szkolnych rysunków, a obok drugiego na stoliku nocnym spoczywa plik związanych różową wstążką listów. Na liście na wierzchu widać ślad czyichś warg. Amanda podnosi go i wacha.

W głównej sypialni, koce na jednym łóżku są odrzucone, ale drugie łóżko jest wciąż zasłane. Stary zegar stanął trzy minuty po jedenastej. Owalne lustro toaletowe, bez oderwanej lewej połowy, odchyła się od ściany. Pod nim leżą zardzewiałe szpilki do włosów. Drzwi szafy chwieją się na jednym zawiasie. Między płaszczami i sukienkami o postrzępionych rękawach chyboczą się metalowe wieszaki.

Michael pochyla się nad nocnym stolikiem, żeby podnieść portfel. To ten, który pan Macek wyjął z kombinezonu, kiedy przyszła policja. Otwiera go pstryknięciem. Został opróżniony z gotówki dawno temu, ale i tak uśmiecha się i wsuwa go do kieszeni.

– Co robisz? – pyta Jeremy.

– Biorę tylko małą pamiątkę. Portfel prawdziwego mordercy.

– Nie możesz go tak po prostu zabrać.

– Raczej nie będzie go potrzebować. Facet zginął już dawno temu.

Ściany domu skrzypią, jakby opierały się silnej wichurze. Jednak liście za oknami wiszą bez ruchu.

– Odłóż go – wskazuje Jeremy trzęsącym się palcem.

– To jak okradanie grobu – mówi w proggu Amanda. – To nie w porządku.

Michael śmieje się i robi krok do tyłu. Wskazuje na łóżko i rozkłada ramiona.

– Chcesz mi go zabrać?

Dom żałuje, że sufit nad nim zapadł się już jakieś pięć lat temu.

– Chodź i weź go, Amanda – mówi Michael, kołysząc biodrami.

Jeremy i Amanda wymieniają spojrzenia i marszczą brwi. Potem obydwójce podchodzą do przodu.

Łóżko skrzypi pod wagą Michaela, kiedy ten odbija się na piętach. Zmęczona drewniana rama w końcu poddaje się i chłopak spada do tyłu na podłogę, chrzęszcząc potłuczonym szkłem. Jęczy, choć nie skaleczył się. Dom miał inną nadzieję, ale potem uświadamia sobie, że nie chce nieść zwłok na Florydę.

Jeremy wyciąga Michaelowi portfel z dłoni i odkłada go na wolny od kurzu kwadrat na nocnym stoliku, podczas gdy Michael słaniając się wstaje na nogi.

– Mogłem zginąć – jęczy. – Głupi dom śmierci.

Żadne z jego przyjaciół się nie odzywa. Cisi i może zażenowani, wracają do kuchni i wychodzą z powrotem przez okno.

Zanim wyśliźnie się przez nie, Michael rozwała kopniakiem kran.

* * *

Najtrudniejszą rzeczą w czołganiu się przez wiejskie tereny jest utrzymanie pionu. Nawet jeśli jest się dobrym bungalowem typu Craftsman z roku 1921, na wszystkich tych wertepach w takiej pogodzie belki i krokwie poprzeczne będą naprężone do granic.

Jakieś czterdzieści lat po tym, jak dom opuścił Ohio, w Georgii uderzają weń tornada. Dom jest już szary, a fasada zawija mu się na końcach, jak paznokcie nieboszczyka. Zielony od skradzionej ziemi wiatr wpada przez wybite okna i zrywa firanki. Mech na dachu odrywa się na rogu jak strup, zanim wpadnie w wir.

Po dachu grzechocze grad. Deszcz zacina na ukos przez drzwi. Gazety rozpływają się. Kanapa wyrzusza.

Nie znalazłszy punktu, w którym mogłyby go uchwycić, tornada odchodzą do bardziej zadowolających ofiar. Oddalają się chybotliwie, pozostawiając oszołomiony dom pośrodku jakiegoś pola.

Dom przychodzi do siebie i odpełza przez połamane gałęzie, dalej na Florydę.

* * *

W pobliżu Fernandina Beach nie ma podobnych do niego domów, i można by pomyśleć, że będzie skrępowany. Nie jest. Zbudowane z suszonej na słońcu cegły czyste domy w osiedlu dla emerytów są pełne włókna szklanego, pokryte różem i błękitną zielenią, z wiszącymi przy drzwiach cementowymi morskimi muszlami. Nigdy nie urodziło się w nich dziecko. Nigdy nie widziały naprawdę dobrej kłótni nastolatków, ani nocy przy dżinie w głównej sypialni. Ich pastelowe ściany błyszczą od kolejnych warstw farby.

Dom trzyma się lasów na skraju osiedla, okrążając je od północy i wyczuwając ostatniego z rodziny Macek, dowódcę żołnierzyków, Juliana Macka.

* * *

Oczywiście, młody Julian nadal lubi spacerować. Zawsze to lubił, jeszcze w Ohio, nawet w środku nocy. Wymykał się przez okno i patrolował swoje miasto jak strażnik amator. Oczywiście, dziś, osiemset mil i siedemdziesiąt lat dalej, nadal to robi.

Teraz nosi laskę z kija od miotły. W czubek wbił główką naprzód gwóźdź, coś w sam raz, żeby nadziać papierowy kubek albo gałkę oczną atakującego zwierzęcia. Potrząsa nią, podobnie jak jego ojciec, w stronę dzieciaków pędzących obok jego domu na rowerach i deskorolkach, nie całkiem pewien, czy nie omija go coś ważnego i amerykańskiego.

Dom przygląda się Julianowi na jego codziennym patrolu. Kroczy alejkami przez pole golfowe, chociaż nie grywa. Zezuje na pozostałych starych mężczyzn w kapeluszach w szkocką kratę i białych butach, czasami unosząc w ich stronę w pozdrowieniu lub ostrzeżeniu kij od miotły. Chichoczą i machają mu w odpowiedzi.

Dom uświadamia sobie, że nigdy nie pomyślał, jak przyciągnąć do siebie uwagę. W wietrzne dni, można usłyszeć jęk gnijących belek stropowych i pogwizdywanie rozszczepionych dachówek, ale latem na Florydzie powietrze jest nieruchome, a głośnie brzęczenie szarańczy i tak by je zagłuszyło. Nie może gwizdać ani strzelać palcami, a do swoich mieszkańców domy potrafią tylko szeptać.

Po tygodniu oczekiwania pięćdziesiąt jardów od siódmego dołka, aż Julian Macek poczuje to dziwne uczucie na karku, dom postanawia postawić wszystko na jedną kartę i po prostu wysuwa się narożnikiem na alejkę.

Pewnego deszczowego poranka Julian Macek zauważa go. Kij od miotły stuka o beton, ale zatrzymuje się jakieś trzydzieści stóp od domu. Garbi się, wpatrując między sosnami i krzywymi palmami w pochyloną ruinę, raczej ślimaka niż dom.

Julian ogląda się przez ramię w lewo, potem w prawo. Przechodzi przez trawę i dotyka narożnika. Po starej instalacji elektrycznej z parcianą izolacją przebiega ładunek.

Wejść do środka, wydaje się mówić dom.

Utykając, Julian obchodzi dom, badając go z każdej strony: brakujące schody z tyłu, wyszczerbione okna, falujące deski ganku. Dom czeka z nadzieją na jakikolwiek znak rozpoznania.

Julian zatacza się do tyłu, trzymając dłoń przy ustach. Pochyla się nad ziemią, wciągając gwałtownie powietrze, podczas gdy dom martwi się.

Przeszedłem daleką drogę, chce powiedzieć. Wejść do środka.

Julian ma bladą twarz, ale wchodzi na ganek i próbuje drzwi. Ostatnich kilka miesięcy wilgoci i wstrząsów ostatecznie przeżarły rdzą zapadki w zamku. Gałka zostaje Julianowi w dłoni i drzwi otwierają się.

Wejść.

Trzymając kij od miotły jak włócznię, Julian wchodzi do salonu, który ostatni raz widział przez ramię matki. Krzywi się na widok kuchennego stołu. Kiedy przesuwa się z jednego pokoju do drugiego, pod stopami chrzestczą mu puszki i papierki po cukierkach.

W głównej sypialni podnosi trzęsącą się dłonią portfel ojca. Otwiera go, dostrzega prawo jazdy z Ohio i upuszcza go na podłogę.

Biegnie teraz przez dom, wpadając na jedną ścianę, potem na następną, ściskając kurczowo swój wąski pierścień siwych włosów. W korytarzu upuszcza kij od miotły. Ślizga się na śliskim od pleśni dywanie i czołga resztę drogi z domu.

Zaczekaj. Zaczekaj.

Julian Macek, syn skazanego i zabitego mordercy dzieci, ucieka ile sił w nogach przed domem swojego dzieciństwa. Wcale nie tak miało to wyjść, myśli dom. Wyznanie okazuje się trudniejsze, niż się spodziewał.

Dom przygotował sobie mowę, choć nie ma sposobu na jej wygłoszenie. „Ty i ja jesteśmy braćmi”, chciałby powiedzieć. „Może obaj czołgaliśmy się, żeby tu dotrzeć, ale nadal stoimy. Nie doszlibyśmy tak daleko z tym, co wiemy, gdyby twój ojciec nie wykonał dobrej roboty. On budował rzeczy, nie niszczył ich”.

Ale wymowność nie przychodzi domowi łatwo, kiedy wszystkie jego słowa są tylko architekturą. Stojąc nieruchomo, wciąż stojąc, można powiedzieć tylko tyle.

Właśnie w chwili, kiedy dom postanawia dokończyć podróż i przepelznąć ćwierć mili na podwórko Juliana, alejką zbliża się, podskakując w górę i w dół, wiązka światła z latarki. Julian, z jakąś butelką w jednej dłoni i latarką w drugiej, uderza kolanami o ganek i klnie. Zatacza się do tyłu i podchodzi do drzwi.

„Całe cholerne życie spędziłem uciekając od ciebie, a teraz jesteś tu”, mówi, zwężając oczy, żeby

przebić się wzrokiem przez zakurzone szkło.

Nie musiałeś, chce powiedzieć dom. To właśnie przyszedłem ci powiedzieć.

Oczywiście, Julian nie słyszy tego. Wpada do domu, przechodząc z chrzęstem po szkielecie ryby gdzieś z Kentucky. Spogląda na niego gniewnie, zmieszany. Potem zatrzymuje się w progu pokoju, który dzielił ze swoimi braćmi, martwymi od dwudziestu lat. Pochyla się i podnosi z podłogi jednego ze swoich starych żołnierzy. Ściskając go w pięści, idzie dalej do sypialni rodziców.

Tam chwieje się, wpatrując w ich łóżka.

„Uważałem na wszystko, co robiłem, na wszelki wypadek”, szepcze Julian. „Na wszelki wypadek trzymałem się z daleka od dzieci, nawet własnych. Trzymałem się z daleka od dziewczyn. Ożeniłem się późno, za późno. Wrzeszczałem i gotowałem się ze złości, żeby wyrzucić z siebie to, co mógł mi przekazać. Chciałem tylko zapomnieć go, a oto jesteś tu, żeby mi przypomnieć”.

To byłem ja, chce powiedzieć dom.

„Czy to jak w opowiadaniach detektywistycznych? Scena zbrodni powraca, żeby odwiedzić przestępcę?” Julian tupie i rury brzęczą o belki.

Dom spina się w nadziei, że usłyszy, w nadziei, że jeśli nie usłyszy, zrobi to znowu.

„Już go dostali”, krzyczy Julian. „Jesteś zadowolony?”

Nie, myśli dom. To ja ją zabiłem.

Julian roztrzaskuje butelkę o ścianę i żółta tapeta nasiąka wódką. Przygląda się jej, namyślając się. Potem garbi się i otwiera zapalniczkę. Po ścianie zaczynają pełznąć płomienie.

Ojciec Juliana zbudował dom prawie w całości z drewna przywiezionego ciężarówką w zestawie od Searsa. Niklas Macek, zręczny cieśla, starannie dopasował wszystkie elementy do siebie i zbił je gwoździami na tyle równo, żeby zawędrowały osiemset mil dalej niż śniło się to jakimkolwiek architektowi.

Ogień mknie po lewarach i belkach, kiedy zaczyna płonąć izolacja. Na ścianach bulgocze smugami farba. Tynk kruszy się, a meble strzelają płomieniami. Dom jeszcze się trzyma.

Julian wpatruje się w puste kwadraty w miejscach, gdzie kiedyś wisiały portrety rodziny. Mama zmarła wkrótce po przeprowadzce. Ania i Maria odeszły tak szybko, jak mogły, wychodząc za pierwszych napotkanych kretynów, w nadziei, że założą lepsze rodziny niż ich własna. Theodore uciekł na wojnę, a Peter przez resztę życia był postrzelony i zamknięty w sobie. Teraz wszyscy nie żyją.

Dom nie może odejść, nawet gdyby chciał, nie z ogniem, szerzącym się jak tyfus, gdziekolwiek pójdzie. Nie może jednak też tak po prostu umrzeć, jeszcze nie, nie dopóki Julian wciąż tkwi w błędzie.

Dom wciąga powietrze. Gorące powietrze płynie w górę na strych, a przez wybite okna zasysa się do środka chłodne. Dom nie ma płuc ani krtani, ale ogień będzie musiał wystarczyć. Może to dziesięciopensowy gwóźdź odrywa się z piskiem od dwóch desek, a może rozszerzające się pod wpływem ciepła gazy rozszczepiają starą skorodowaną rurę – dom wie tylko, że udaje mu się wydobyć pojedynczy krzyk, bardzo podobny do krzyku Kathy Henderson, jaki wydała dziesiątki lat temu.

Różnica jest taka, że tym razem ktoś go słyszy. Julian obraca się na lewo i prawo, szukając źródła dźwięku. Czy w domu wciąż ktoś był? Zmartwienie rozjaśnia mu umysł na tyle, że pędzi od pokoju do pokoju, żeby ją znaleźć.

Oczywiście, że to jakaś ona.

Nie znalazłszy nikogo, Julian sady susami na zewnątrz i szuka wokół fundamentów. Pochyla się, żeby sprawdzić korytarz sanitarny, a tłący się żar ledwie oświetla rurę, czarną, zardzewiałą i pokrytą

plamami krwi. Czy widzi?

Wczołgała się tam za kotem, chce wyjaśnić dom. Za jednym z tych cętkowanych z podwórka pani Pettyjohn. Wczołgała się tam i rozbiła sobie głowę. Krwawiła mocno i nie mogłem tego powstrzymać. Przepraszam. To stało się tak szybko, za szybko jak na dom.

Julian czołga się w tył, żeby uciec przed spadającymi belkami i strzelającymi iskrami, a dom ciekawi się, czy rozumiał. W końcu krew, błoto i rdza są do siebie bardzo podobne. To mało prawdopodobne, zupełnie jak sama podróż na Florydę. Julian rzeczywiście wygląda na zdumionego, zaskoczonego, oczy ma szeroko otwarte. Przynajmniej nie jest już taki pochylony i ociężały.

Z poczuciem ulgi, dom opada wyczerpany w płomienie i śpi.

Przełożył Tomasz Walenciak

Przenicowany świat

Dziewiętnastego maja późnym wieczorem Liza po wyjściu z kina przeszła przez bramę, łączącą dwa zaułki, jeden ciemny, drugi – oświetlony. Zakochana para – jedyni widzowie, którzy dosiedzieli razem z nią do końca seansu – skręciła w lewo, znacząc swą drogę w ciemności szebiotaniem i odgłosami pocałunków. Liza skręciła w prawo.

Wielkie kasztany obstały latarnię: rozczapierzając liście, wojowniczo wznosząc białe świece kwiatów, okradały przechodniów, pozostawiając im w miejsce światła pajęczynę cieni. Wieczór był duszny, wręcz gorący. Z oddali dobiegały grzmoty – do miasta zbliżała się burza. Liza namacała w torebce rączkę rozkładanej parasolki; parasolki, która za kilka minut odmieni jej życie.

Kroczyła w górę zaułkiem, nie pustoszącym nawet nocą. Przejechali na rolkach chłopak i dziewczyna, przeszedł, człapiąc ciężko, milicyjny patrol. Gdyby spytano teraz Lizę, o czym był film, na którym spędziła dzisiejszy wieczór – nie zdołałaby sobie tego przypomnieć za żadne skarby świata.

Chodziła do kina nie po to, by się rozerwać lub dla obcowania ze sztuką. Zapychała czas tanimi widowiskami, tak jak zapycha się pusty żołądek niedogotowaną strawą.

Na rogu, kipiąc z klombu niczym kasza z garnka, piętrzył się krzak bzu. Liza zwolniła kroku – zapach kwiatów działał na nią jak na pszczołę. Ciężkie kwiatostany kołysały się na wietrze. Liza zatrzymała się na sekundę, bez wpatrywania się znalazła kwiatek z pięcioma płatkami, uskubała i zjadła.

Kwiatek był gorzki.

Wiatr cisnął jej w twarz garść pyłu z piaskiem. Liza zmrużyła oczy, zbyt późno uświadamiając sobie, że lepiej było skręcić do metra, ale trasy już nie zmieniła: myśl o zrobieniu kroku w bok z utartej koleiny wzbudzała strach. Tysiąc razy przebyta droga, szmer szczotki do zębów, brzęk naczyń i tęczowe bańki mydlane w zlewie – codzienna rutyna potwierdzała, że świat jest niewzruszony i bezpieczny.

Ziarnko piasku utknęło w kąciuku oka. Liza mrugała, strącając łzy z rzęs, i uparcie kontynuowała marsz do przodu, gdzie był już widoczny przystanek busików. Kiedyś była tu wiata dla pasażerów, potem z niewiadomego powodu rozebrano ją, pozostały po niej tylko metalowe rury, niczym dwa dziurawe skrzydła rozpostarte nad drewnianą ławeczką. Obok znajdowała się budka, w której działał kantor. Jego mizerny daszek mógłby osłonić przed deszczem co najwyżej nietoperza.

Na asfalt jedna za drugą plasnęły pierwsze krople. Liza wyciągnęła parasolkę z torebki – ciężką, automatyczną, niczym wojskowe narzędzie zbrodni. Jezdnią jeden za drugim przetaczały się jasnookie samochody – prawie niewidzialne w ciemnościach. Po busiku nie zostało nawet wspomnienie. Przystanek był pusty, tylko na samym skraju chodnika stał wysoki człowiek w szarym swetrze. Spoglądał w lewo, tam, skąd nadciągał strumień samochodów: widać też nie mógł doczekać się busa. Liza stanęła nieco z boku.

Lunał deszcz. Wystrzeliła, otwierając się, jaskrawa automatyczna parasolka, i na przystanku zrobiło się kolorowo od jagód i rumianków. Załomotały po jagodach krople, ześlizgujący się po nich

deszcz wyglądał w świecie reflektorów niczym splątane włosy. Człowiek na skraju chodnika nawet nie drgnął pod uderzeniami wody, nie podjął próby ukrycia się, wciągnął tylko głowę w ramiona; cała jego postać wyrażała pogodzenie się z losem.

Dwie minuty i przemoknie do suchej nitki, pomyślała Liza, na krótką chwilę wynurzywszy się z bagna zwyczajnych myśli. Zrobiła kilka kroków, czując bryzgi wody młócące ją po kostkach, i pytająco uniosła parasol:

– Może pan się schowa?

Odwrócił głowę. Gdyby Liza była pchłą, która postanowiła zaproponować pomoc kotu – spojrzenie, którym zostałaby obdarzona, nie mogłoby okazać się bardziej sceptyczne.

Cofnęła się. No tak, podejść w ten sposób z parasolką do nieznanego mężczyzny – w bezludnym miejscu, na nieoświadczonym przystanku – mogła tylko skończona idiotka. Woda, zalewająca pantofle, wydała się nagle bardzo zimna.

Człowiek nadal patrzył. Miał wąskie usta, sardonicznie zaciśnięte, i całkiem spory nos. W oczach odbijały się reflektory przejeżdżających samochodów.

Potem w milczeniu stanął obok. Liza poczuła się bardzo skrępowana; być może ów człowiek odczytał w jej propozycji sens, którego tam w ogóle nie było? Kątem oka dostrzegła świadko palące się w budce kantoru, i bladą twarz za szkłem; ostatecznie, po prostu zaproponowała parasolkę stojącemu pod deszczem człowiekowi, i nic ponadto.

– Masz poważne problemy – powiedział nieznajomy i popatrzył na Lizę z wysokości swego wzrostu, z góry na dół.

– Co?

– Nauczyłaś się udawać człowieka. Ale nie jest ci łatwo.

– Co?!

Deszcz łomotał po tkaninie parasola, możliwe, że to z powodu tego łomotu przywidziały jej się padające z ust nieznajomego dziwne słowa.

– Poradź się – powiedział właściciel szarego swetra. – Jeśli zupełnie cię przyciśnie – możesz do mnie przyjechać.

Ziemia zadrżała, z ciemności wyjechał tramwaj. Czerwony, wąski, bardzo mokry, zatrzymał się na skraju chodnika, i harmonijkowe drzwi rozjechały się.

– Dziękuję za parasolkę – powiedział człowiek i wkroczył do środka. Na moment stał się widoczny profil kobiety, siedzącej na miejscu motorniczego: w dzieciństwie Lizę zadziwiało, że tramwaje nie mają kierownicy, tylko poręcz, żeby motorniczy miał czego się trzymać.

Drzwi tramwaju zatrzasnęły się. Wagon drgnął i potoczył się dalej, znów zadrżała ziemia. Deszcz chlastał jak zwariowany. Liza jakiś czas spoglądała w ślad za tramwajem, dopóki nie zorientowała się, że na gładkim asfalcie nie ma szyn.

* * *

– Panienko! Panienko!

Sunęły jedna za drugą mokre maski samochodów. Deszcz tłukł po twardej nawierzchni ulicy, krople spadały z pluskiem, rozбивały się, podskakiwały, nad ziemią wisiała chmura bryzgów, i Liza nie od razu wyłapała z tego łoskotu postukiwanie po szybie:

– Panienko!

Odwróciła się.

Chłopak z kantoru uderzał kostkami palców w szybę. Kratka, chroniąca okienko przed złodziejami,

przypominała wschodzące słońce z rozcapierzonymi promieniami.

– Podejź no! Proszę!

Liza przełożyła parasol z jednej ręki do drugiej i podeszła do niego, stawiając kroki między kałużami.

– Co on pani powiedział? – chciwie zapytał kasjer, blady, o zapadłych policzkach chłopczek w wieku nieco ponad dwadzieścia lat.

– Powiedział, że mam problemy – przyznała Liza i spytała po chwili milczenia: – A pan co, całodobowy kantor prowadzi? Już późno...

– Zaprosił panią czy nie? Proszę powiedzieć: zaprosił?

Deszcz strumieniami spływał z brzegów parasola.

– Tu przecież nie ma szyn – powiedziała Liza.

– Pewnie że nie ma!

– I nie jeżdżą tędy tramwaje.

– Jak w ogóle tu pani trafiła? – z napięciem w głosie spytał kasjer.

– Pieszo! – zjeżyła się, czując, jak deszcz wodnym pyłem przebija się przez tkaninę parasola.

I obejrzała się.

Asfalt błyszczał. Przystanek wyglądał niczym narysowany na mokrym szkłe, dalsze proporcje ulegały zniekształceniu, niczym odbicie w bombce choinkowej. Świeciła się latarnia, ciągłym strumieniem jechały samochody, nie zatrzymując się, nie zwalniając, niczym na karuzeli.

Dziwne, że nikogo nie ma na przystanku, pomyślała, i nagle przeszedł ją chłód aż do końców paznokci. Kasjer uparcie stukał w okienko:

– Ej! Jak się pani nazywa?

– Elżbieta...

– Elżbieto, rozmawiała pani z Gospodarzem, rozumie pani?

– Nie. On jest pańskim gospodarzem?

– Pani także. Jak tu pani trafiła? Jak w ogóle zdecydowała się pani do niego podejść?!

– Po prostu zaproponowałam człowiekowi parasolkę – Liza zaczęła odchodzić od okienka.

– Niech pani nie odchodzi! – krzyknął kasjer.

Jeszcze jeden wariat, pomyślała Liza.

Za zasłony deszczu wyłonił się busik. Liza rzuciła się w jego kierunku z całych sił, ale biały autobusik tylko odrobinę przyhamował, podniósł wachlarz bryzg i odjechał – jak gdyby Lizy tu nie było, jak gdyby przystanek był pusty. I samochód wydał się pusty – Liza widziała, jak jego wnętrze na wskroś przebijają odległe reflektory, oświetlając oparcia niezajętych foteli.

Poczuła, że nogi przemokły jej do kolan. Samochody poruszały się w podniosłej ciszy, mokry przystanek zdawał się być otoczony mgłą, niczym scena – ciemnością.

Powoli, bokiem, wróciła do budki kantoru.

– Proszę posłuchać, Elżbieto – pośpiesznie powiedział mężczyzna w budce. – Jeśli zaprosił panią – to szansa, jedna na milion, może pani do niego przyjechać. Ale tylko jeśli panią zaprosił. Co konkretnie powiedział?

– Powiedział, że nauczyłam się udawać człowieka – Liza patrzyła na kasjera przez brudną szybę i słońcopodobną kratkę.

– A zatem nie jest pani człowiekiem?!

– Jestem Marsjaninem.

– Niepotrzebnie pani z tego żartuje – ze smutkiem powiedział kasjer. – Proszę przyjrzeć mi się dokładniej.

Niemal wbrew swej woli Liza wyciągnęła szyję i zajrzała w ciemność budki. Kasjer siedział na biurowym krześle – nie, on sam poniżej pasa był biurowym krzesłem. Jego tors wyrastał z siedzenia, niczym orchidea z pnia.

– Bzdura – wyszeptała Liza. Zamrugnęła: diabelstwo zniknęło, w budce panował półmrok, a okienko było tak małe, że zapewne i niewielki banknot przeciskał się przez nie z trudem.

– Chce pani wymienić dolary, euro? – spytał kasjer. – Mamy atrakcyjny kurs.

– Dziękuję – powiedziała Liza. Odwróciła się i, opuściwszy parasol, mokra jak mysz, ruszyła w kierunku stacji metra.

* * *

Jej strach przed wyjściem z kolein codzienności był zapewne w pierwszym rzędzie zwykłą neurozą. Rutyna pełniła rolę powłoki obronnego pęcherza, wystarczyło przebić w niej niewielki otwór, by cała materia świata rozeszła się. W dzieciństwie Liza łapała się czasami na dziwnym wrażeniu: jakby nie wiedziała, kim jest, zwykle rzeczy zdawały się być nieznanymi, własne imię – dziwnym. To były straszne, nieprzyjemne momenty, w rodzaju upadku z wysoka. Szczerze wierzyła, że wystarczy przejść się nieznaną ulicą, zabłądzić w obcym mieście, po prostu wysiąść na niewłaściwej stacji metra, aby można było zmienić się w innego człowieka i zapomnieć, kim było się wcześniej. I stać przed drzwiami, denerwując się, grzebiąc w cudzych wspomnieniach, uświadamiając sobie, że drzwi są znajome – ale obce. Obce – ale przyjdzie przez nie przejść i żyć.

– Elunia – powiedziała Alena, świetnie zdająca sobie sprawę z tego, że Liza nie może ścierpieć, gdy tak się do niej zwracano. – Paszka się ożenił.

Paszka miał dwadzieścia lat, zdejmował słuchawki tylko w wannie, gdyż jego mózg tworzył jedną całość z iPhone'em. Liza była przekonana, że tacy jak Paszka nigdy się nie żenią.

– Aha – powiedziała Alena. – Początkowo byłam przerażona. Ale, rozumiesz, jeśli teraz się go nie zaobrączkuje, to potem w ogóle może nie zechcieć. Trzeba wcisnąć go w jakieś ramki, póki to możliwe.

– Z pewnością – zgodziła się Liza. – A z kim?

– Co?

– Z kim się ożenił?

– Z osiemnastoletnią dziewczyną z prowincji – oznajmiła Alena z satysfakcją. – Właściwie to sama zdecydowałam się ich połączyć, gdy tylko ją zobaczyłam. Bardzo dobry materiał, poddaje się wpływom, a Paszka słucha jej jak cielę. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie... Lepszy rozwiedziony niż stary kawaler, nie sądzisz?

– Nie wiem – powiedziała Liza.

Alena traktowała ją jak siostrę, choć miały różnych rodziców. Gdy Liza w kokardach chodziła do drugiej klasy, Alena dostała się na uniwersytet i szybko zaszła w ciążę. Mama nazywała dziewczynki siostrami, choć nieosiągalnie dorosła, a na dodatek obarczona niemowlęciem Alena wydawała się Lizie całkiem obcą osobą. Jak i nowy tata. Jak i nowy porządek dnia, nowy dom, nowa szkoła; kto wie, może właśnie w te dni narodził się u Lizy lęk przed zmianami?

I oto Paszka ma już dwadzieścia lat, i nie ma już ani mamy, ani taty. Siostrzeniec był od niej młodszy raptem o dziesięć lat, lecz między nim a Lizą leżała granica pokolenia – Pasza był zrobiony nie z linijek i baterijek*, jak powinien każdy chłopiec, ale z czatów, gadżetów i informatycznych plików niewiadomego pochodzenia.

– Nie wiem – powtórzyła Liza. – A gdzie będą mieszkać?

– I tak dotarliśmy do interesującego pytania – kiwnęła głową Alena. – Idziemy?

W kuchni wyciągnęła z szafki butelkę z ajerkoniakiem, rozlała ciągnącą się strużką do dwóch malutkich kieliszków i gestem poprosiła Lizę, by ta zasiadła naprzeciw niej za czystym, wymyтым stołem.

– W mieszkaniu jesteście zameldowani ja, ty i Paszka – bez wstępów zaczęła Alena. – Mieszkanie jest moje, zgadza się?

Alena nie pytała, czy faktycznie mieszkanie, które dostały w spadku po ojcu, należy do niej. Prosiła o potwierdzenie prawdziwości podanej informacji.

– Żona Paszki będzie mieszkać tutaj. Na żadne wynajmowane chałupy ich nie puszczyć, zresztą, skąd wezmą pieniądze na wynajem? Jeszcze muszą się uczyć... Pokoje mamy trzy. Proponuję wypłacenie ci pewnej kwoty... potem się dogadamy... Po to, żebyś się wymeldowała.

– A gdzie ja będę mieszkać? – niemal bez zdziwienia spytała Liza.

– Może kupisz coś pod miastem. Albo będziesz wynajmować: przecież uzgodniłyśmy, że za swoją część mieszkania dostaniesz pieniądze. Wariant alternatywny – sprzedajemy mieszkanie i rozchodzimy się. Ale przecież dobrze wiesz, że za normalne pieniądze chaty się teraz nie sprzedają, ceny mocno spadły.

– Mogę się zastanowić? – spytała Liza.

– Oczywiście – Alena podniosła do ust kieliszek z likierem. – Czy my, siostry, się nie dogadamy?

* * *

– Rzeźba przedstawia realny świat, jednak jej głównym obiektem wyrazu jawi się człowiek, przez którego obraz przekazywane są jego wewnętrzny świat, charakter, stan psychiczny, a także ludzkie ciało, przekaz ruchu (głowa, popiersie, tors, posąg, grupa rzeźb). Wyrazistość rzeźby osiąga się z pomocą budowy głównych planów, płaszczyzn światła, objętości, masy, współzależności rytmów. Największe znaczenie mają wyrazistość i harmonijność kształtu...

Wśród kolegów Liza uznawana była za średniaka – przede wszystkim dlatego, że niechętnie rezygnowała ze starych wycieczek na rzecz nowych. Wycieczka była pierścieniem, przypominającym rok i doby. Doświadczenie podpowiadało Lizie, kiedy uczestnicy wycieczki znudzą się, kiedy się ożywią, kiedy rozejdą, kiedy i dzięki czemu znów można będzie ich zebrać.

– Rzeźbiarz kategorycznie sprzeciwiał się zimnym alegoriom, mówiąc, że „to ułomna obfitość, zawsze demaskująca rutynę i rzadko geniusz”^{*}. Zrezygnował z przedstawienia Cnoty i Sławy i pozostawił tylko węża, mającego nie tylko umowne, ale i kompozycyjne znaczenie...

Przesypywał się piasek w jej wewnętrznym zegarze. Spadło ostatnie ziarenko piasku. Rozeszli się uczestnicy wycieczki; Liza wróciła do biura, wpisała się do dziennika, zabrała torebkę i wyszła.

W pobliskim kinie szedł wciąż ten sam film. Liza kupiła najtańszy bilet, usiadła w pierwszym rzędzie i wyłączyła się – wydarzenia na ekranie spowodowały, że wpadła w trans. Wczesnym wieczorem, gdy niskie słońce odbijało się w górnych oknach wieżowców, Liza wyszła z kina w bramę, łączącą dwa zaułki.

Postała i zastanowiła się. Wreszcie poszła na przystanek busów.

Na przystanku było jasno i pełno pyłu, ludzie przestępowali z nogi na nogę, wszyscy mówili do telefonów. Każdy patrzył w inną stronę. Pod ławką leżał bezdomny pies i także, jak się zdawało, rozmawiał przez wewnętrzny telefon – tak nieobecny i nietutejszy był wyraz jego pyska.

Liza rozejrzała się. Kantor zniknął. Na jego miejscu znajdował się kiosk z kwiatami.

Liza obeszła przystanek wokół. Zajrzała do kiosku; ceny były z księżycą.

– Nie wie pani, gdzie znajdę najbliższy kantor?

– W delikatesach – powiedziała kwiaciarka. – Na rogu.

Podjechał bus, potem jeszcze jeden. Przetaczały się samochody – szare, niczym meszki, na trwałe wszyte w tkankę powszedniości. Wczoraj, wracając z kina, Liza przypadkowo wpadła do bocznej kieszeni rzeczywistości, ale teraz wszystko było dobrze znane, wszystko pewne i trwałe, wszystko po staremu.

Nie bała się, że może znaleźć się w roli bezdomnego. Przerazała ją zmiana mieszkania. Każda zmiana tego, do czego się przyzwyczaiła, sprowadzała ją na skraj szaleństwa, nawet jeśli chodziło o zmianę zasłon czy odsunięcie łóżka od okna. A zmiana domu? Sposobu życia? Wszystkich tras?

Wsiadła do busa, umościła się na bocznym siedzeniu i potoczyła się, niczym bila do łuzy, niczym woda w rynnie, w zwykłe miejsce. Tam, gdzie przywykła toczyć się każdego dnia już od dwóch dziesiątek lat. W miejsce, które dotąd uchodziło za jej dom.

* * *

– Wyrazistość rzeźby osiąga się z pomocą budowy głównych planów, płaszczyzn światła, objętości, masy, współzależności rytmów...

Zbierało się na deszcz.

Liza wyszła z kina w bramę. Było całkiem ciemno. Latarnia nie świeciła się. Z oddali dobiegł grzmot.

Obejrzała film piąty czy szósty raz. Bileterka poznawała ją i popatrywała na nią ze zdziwieniem.

– Największe znaczenie mają wyrazistość i harmonijność kształtu...

Świat wokół zachowywał wyrazistość i harmonijność, akurat wtedy, gdy Liza chciałaby, żeby je utracił – przypadkiem, nie specjalnie, niczym głupia małolata tracąca dziewictwo. Wczoraj i przedwczoraj szła tą samą drogą z tej samej sali po tym samym filmie, ale wczoraj i przedwczoraj nie było deszczu. Czy ma to znaczenie?

Liza zatrzymała się obok krzewu bzu, już przekwitającego, znalazła kwiatek z pięcioma płatkami, zerwała i zjadła. Kwiatek był gorzki. Na ulicy paliły się pojedyncze latarnie, poza granicami świetlnych kręgów przestrzeń zamazywała się, jak gdyby Lizę wsadzono do kolosalnego akwarium. Skręciła na przystanek marszrutki, po drodze wyciągając z torebki parasolkę.

Przystanek był pusty i żółte światelko paliło się w okienku kantoru. Liza zatrzymała się, czując, jak włosy na jej głowie stają dęba.

Z wąskiego okienka, osłoniętego kratką, wpatrywało się w Lizę dwoje przestraszonych oczu:

– To pani? Jak pani znów tu trafiła?

– Proponował mi konsultacje – powiedziała Liza. – Chcę zrozumieć, co jest ze mną nie tak, co się dzieje. Chcę do niego pojechać. Jak to zrobić?

Chłopak w budce zamrugął:

– Trzeba poczekać na tramwaj. I zapłacić za bilet wszystkimi pieniędzmi, które pani posiada.

– To znaczy...

– To znaczy – wszystkimi. Wszystkim, co ma pani w kieszeniach, w szufladach biurka, na karcie, na rachunku... Jeśli ma pani nieruchomości – trzeba ją sprzedać, spieniężyć, i także wyłożyć na bilet. To będzie dowód, że bardzo pani tej przejażdżki potrzebuje. Przy czym on może po prostu pani odmówić, odesłać z progu, gdyż będzie miał zły nastrój, albo na drugi rzut oka nie spodoba mu się pani, albo jeszcze coś...

– Czytałam o czymś takim – wymamrotała Liza.

– Tak, to rytualna zapłata. Ale bezzwrotna. Nie na niby.

– Pan by pojechał?

– Pojechałbym – powiedział chłopak z gorzkim sarkazmem w głosie. – Ale nie mogę wstać.

Zostałem posadzony tu na zawsze, nie chciałaby pani sprzedać lub kupić dolarów? Mam bardzo dobry kurs...

– Kim jesteś? – spytała Liza po krótkim milczeniu.

– Nazywam się Igor, pracuję w kantorze. I nie pytaj o nic więcej.

– Jestem przewodnikiem – powiedziała nieśmiało. – Ale albo jestem nienormalna, albo dzieje się ze mną coś gorszego. Czuję się, jak...

Zamilkła.

– Jak kto? – Igor przycisnął twarz do słońcopodobnej kratki.

– Jak figurka w pozytywce. Jak gdybym szła w dół wyżłobienia, czasem z lekka obracam się, i nie odzyskuję świadomości. Nie czuję siebie. Widzę tylko wyżłobienie.

– Musisz do niego pojechać – powiedział Igor po chwili milczenia. – Ale nie podejmuję się dawać ci rady. Wiesz, za rady trzeba brać odpowiedzialność.

– Długo nie mogłam tu trafić – przyznała się Liza. – Trafiałam... na inny przystanek.

– Rozumiem – pokiwał głową Igor. – Ale nie mogę pomóc. Przez wąskie okienko nie można było dobrze mu się przyjrzeć.

* * *

– Remont będziecie robić sami – Alena mówiła stanowczo, po matczynemu, jej głos sunął niczym potok skondensowanego mleka po betonie. – Okno, rzecz jasna, wymienią robotnicy, ale przyklejanie tapet to święta sprawa dla młodej rodziny... Cześć, Elżbieto, co dziś tak wcześnie?

Liza zatrzymała się w drzwiach swojego pokoju. Pośrodku, na wytartym dywaniku, wznosiła się Alena, na parapecie siedział flegmatyczny Pasza, a na samym brzegu tapczanu przycupnęła blada dziewczyna lat siedemnaście-osiemnaście, chuda niczym pasikonik i bosa.

– A my tu planujemy – z uśmiechem oznajmiła Alena. – Pasza, zrób herbatę. Za chwilę wrócę.

I Alena pociągnęła Lizę za sobą; ciemnym korytarzem, gdzie pachniało cynamonem, siostry w milczeniu przeszły do pokoju Aleny, po zimowemu lodowatego z powodu na stałe włączonego klimatyzatora.

– Przecież jeszcze nic nie zdecydowałam – prosto z mostu stwierdziła Liza. – A ty już planujesz w moim pokoju remont?

Alena skrzywiła się:

– Posłuchaj, po co te babskie scenki? Po co komunałka, po co wojna, przecież nie pierwszy dzień się znamy?

– A jeśli odmówię? – zainteresowała się Liza.

– Jak to odmówisz? – Alena ze współczuciem pokręciła głową. – Już złożyli podanie, dzień ślubu został wyznaczony, jakże mogłabyś odmówić?

– Niech mieszkają w pokoju Paszki, nie mam nic przeciwko.

– Jak to sobie wyobrażasz – czworo ludzi na pięćdziesięciu metrach? I do tego młode małżeństwo?

– A gdzie ja się podzieję?

– Przecież pieniądze ci dam, jełopo! Dla ciebie lepiej: może wreszcie jakiegoś faceta znajdziesz, bo to przecież trzydziestka na karku i uporządkujesz życie osobiste...

– Ile? – spytała Liza.

– Co? – Alena, jak się zdawało, nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

– Ile mi dasz?

– Dziesięć tysięcy dolarów – powiedziała Alena tonem nie znoszącym sprzeciwu. – To więcej, niż ci się należy. Wypłacę gotówką do ręki. Kiedy pójdziemy do meldunkowego?

* * *

Deszcz tłukł po jagodach i rumiankach na tkaninie parasolki. Samochody toczyły się gęstym strumieniem, ich białe oczy wyglądały jak u gotowanych ryb. Chłopak w kantorze, Igor, nieprzerwanie wpatrywał się w plecy Lizy, lecz ta nie odwracała się.

Stała na skraju chodnika. Wydawało się, że minęła godzina, może dwie, lecz minutowa wskazówka na jej zegarku ledwo ruszyła się z miejsca. Zimne krople podskakiwały, odbijały się od asfaltu, i uderzały po nogach poniżej kolan.

Potem deszcz przestał padać.

Liza stała, wsłuchując się w ciszę pod parasolką. Krople staczały się z jej metalowych żeber. Liza złożyła parasolkę, spojrzała w niebo, potem na koniec ulicy – i ujrzała tramwaj.

Czerwony, wąski, jechał wstrząsając ziemią, reflektory świeciły ciepłym żółtawym światłem. Liza cofnęła się. Tramwaj podjechał do skraju chodnika i zatrzymał się z cichym dzwonieniem. Rozjechały się automatyczne drzwi.

Liza odwróciła się i popatrzyła na budkę kantoru. Twarz Igora, stawszy się częścią kraty, przypominała podstemplowany znaczek pocztowy.

Liza zrobiła krok do przodu i w górę, po stopniach. Wejście do przedziału pasażerskiego było zagrodzone kołowrotkiem. Kasjerka odrobinę odwróciła głowę.

Liza otworzyła torebkę, którą przez cały czas kurczowo ścisnęła pod pachą, i wyciągnęła paczkę pieniędzy, ściągniętych gumką aptekarską. Włożyła do blaszanego korytka przed kobietą. Dodała kartę kredytową, na której rachunek czasami przelewano jej honoraria, i wygrzebała z kieszeni wszystkie drobne.

Kobieta krótko ziewnęła i zabębniła palcami po poręczu. Liza, nie rozumiejąc do końca, o co może chodzić, włożyła rękę do torebki i głęboko, na samym dnie, znalazła jeszcze dwie drobne monety. Zabrzęczały w rynience, zakręciły się i uspokoiły.

Za plecami Lizy syknęły zamykające się drzwi. Kołowrotek zamigał zielenią.

– Proszę wejść do przedziału – powiedziała do mikrofonu motornicza. Miała zmęczony głos człowieka, któremu jego praca była obojętna.

Liza przekręciła dźwignię kołowrotka i weszła. Tramwaj był pusty, jasnoczekoladowe siedzenia przypominały jej widownię; wybrała miejsce po prawej, pod oknem, i usiadła.

Przesunęła się do tyłu budka kantoru, odbiła się w wielkiej kałuży i zniknęła. Tramwaj skręcił, zgrzytając kołami, na spotkanie nadciągnęły nowo pobudowane domy, typowe, zwykłe, choć Liza gotowa była przysiąc, że nigdy wcześniej takich nie widziała.

Tramwaj wjechał do tunelu. Pod siedzeniem coś trzasnęło, i przemoknięte nogi Lizy wyraźnie poczuły ciepło. W wagonie włączyło się ogrzewanie; tramwaj wychynął z tunelu pośrodku ponurego jesiennego pola. Pas lasu stał niczym ostatni oddział odwodów, świerki mocno pochylały się na wietrze, wokół brzoź trąbami powietrznymi kręciły się suche liście. Tramwaj nabrał szybkości i wjechał w ulewę; Liza poczuła, że w wagonie robi się gorąco. Przez kilka minut niczego nie dało się zobaczyć, tak gęste okazały się być deszcz i mgła, a potem na zewnątrz wyjrzało słońce. Liza zabrała się za przecieranie zaparowanych szyb, i jej dłonie zdążyły przemarznąć, nim dotarło do niej, że

szkło zaciągnęło się nie parą, lecz szronem.

Piecyk pod siedzeniem pracował pełną mocą. Lodowe wzory zaczęły tajać. Przesuwając palcem kanciaste płytki lodu, Liza wyskrobała w szronie okienko obserwacyjne. Tramwaj jechał ulicą, zabudowaną jednopiętrowymi domami; dachy, ogrodzenia, tablice były zawałone śniegiem, niczym na bożonarodzeniowej pocztówce.

Tramwaj zwolnił i zatrzymał się. Tylne drzwi otworzyły się z sykiem. Powiało mrozem.

– Mam wysiąść? – głośno spytała Liza i zdumiała się, jak bardzo żałośnie zadźwięczał jej głos.

Motorniczym zakasłała w mikrofon, ale nic nie odpowiedziała.

Liza podniosła się i, wciąż ściskając w rękę mokrą parasolkę, podeszła do wyjścia. Za otwartymi drzwiami płonął na słońcu śnieg, na śniegu leżały cienie nagich krzewów, przypominających błękitne miotły, i żaden ślad nie odznaczał się na bardzo wysokiej, gładkiej pokrywie śnieżnej.

Liza popatrzyła na swoje czółenka, mokre, białe, pod kolor śniegu. Zawsze podobały jej się baśnie filmowe o zimie, których bohaterowie mogli tańczyć na śniegu niemal boso.

Zeskoczyła z podnóżka i od razu zapadła się po kolana. Ostatnie resztki ciepła ześlizgnęły się, pozostały w wagonie; drzwi za plecami zatrzasnęły się, tramwaj zadzwonił, ruszył z miejsca i odjechał, pozostawiając po sobie szyny – prawdziwe stalowe szyny, świecące na jasnym, lecz zupełnie nie grzejącym słońcu.

Liza poczuła, że drży, ząb nie trafia na ząb, i że zamrznie tu i teraz, na przystanku tramwajowym, jeśli szybko nie znajdzie schronienia.

W dole ulicy stały domy z dokładnie zamkniętymi okiennicami. Na drzwiach wisiały kłódki, każda z nich była rozmiarów głowy skazańca i ozdabiała sobą masywną zasuwę. Nie oczekiwano tu gości, wydawało się, że i gospodarze byli nieobecni; błyski słońca igrały na wiatrołapach i szybach okien na górnych piętrach. Kominy pieców i kominków spoglądały w błękitne niebo, puste, bezdymne.

Łoskot tramwaju ucichł w oddali. Liza wsłuchiwała się w otoczenie. Ledwie słyszalnie gdzieś wysoko poskrzypywał wiatrołap, choć, jak się zdawało, wiatru w ogóle nie było.

– Hej! – powiedziała, i głos zabrzmiał bardzo ochryple.

Banda czarodziejów aferzystów, wyłudzających od ludzi ostatnie pieniądze. Halucynogeny. Dobrze, gdyby to zimno było halucynacją; pał sześć z nimi, z pieniędzmi, wróć do Aleny, będę nocować przy wejściu na wycieracze...

Liza zapłakała po prostu od tego, że nie wiedziała, co ma dalej robić, i poszła po śniegu, pozostawiając nierówny łańcuszek śladów. Na trzecim domu po prawej wisiała przyprószona śniegiem tabliczka. Jego drzwi prawie zlewały się ze ścianą, lecz kłódki nie było widać. Z żelaznej belki zwisał na łańcuchach ogromny miedziany czajnik.

Liza poszła w kierunku blasku czajnika, niczym ćma do ognia latarni, chwyciła młotek, wiszący u drzwi, i nie poczuła rękojeści. Uderzyła raz, upuściła młotek, który poskakał na sznurze, bezładnie uderzając o futrynę drzwi. Liza stuknęła w drzwi parasolką, a następnie rzuciła nią, i rumianki z jagodami malowniczo rozciągnęły się na śniegu.

Bez większej nadziei nacisnęła na klamkę, i drzwi łatwo poddały się. Straciwszy równowagę, Liza nie weszła, a wpadła w półmrok, wilgotny i ciepły, z ledwo wyczuwalnym zapachem ogniska.

Drzwi zatrzasnęły się, pozostawiwszy zimno na zewnątrz. Płatki śniegu, które przylepiły się do nóg i dołu sukienki, opadały teraz z Lizy niczym z wiosennej choinki, i kładły się na kamiennej podłodze. Wewnątrz domu ktoś był; na ciemnoczerwonych ceglanych ścianach igrały odbłaski ognia.

– Dzień dobry – bardzo cicho i ochryple powiedziała Liza.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, weszła.

W wielkim kominku płonął ogień, błyszczał lakierowanym bokiem kontuar, przypominający

barowy, wzdłuż ścian stały szafy z ciemnego drewna. Człowiek w szarym swetrze stał przy okrągłym stole, obserwując, jak gotuje się na maszynie spirytusowej brunatna ciecz w dżeszwie* z długą rączką. Liza stała, nie poruszając się i niemal nie oddychając przez kilka minut, mając możliwość przyjrzenia się temu wszystkiemu w najdrobniejszych szczegółach: kominek zamknięty kutym ogrodzeniem, płomyczek maszyny, miedziana rączka dżeszwy, fronty szaf i grube nitki swetra, plecionego w „warkoczyk”.

– Wchodź – powiedział człowiek, nie odwracając się. – Dlaczego ryczysz?

Liza przypomniała sobie, że płacze jak bóbr. Wstrzymała oddech, żeby nie zaszlochać, i namacała w torebce paczuszkę papierowych chusteczek.

– Wchodź – powtórzył Gospodarz z cieniem rozdrażnienia w głosie. – Nie w porę, oczywiście. Ale skoro już przyszłaś...

Podciągnął rękawy swetra, zdjął dżeszwę z maszyny i przestawił na kontuar. Powąchał, rozszerzając nozdrza.

Liza, nie czując nóg, wyszła na środek pokoju. Od kominka ciągnęło zarem, śnieg ostatecznie roztopił się, i z czółenek buchnęła para.

– Jak już zostało powiedziane, masz niezłe problemy – Gospodarz, stanąwszy naprzeciw, obejrzał ją od stóp do głowy. – Czujesz to?

– Ja...

– Nie jesteś człowiekiem, tak?

– A kim jestem? – spytała Liza, bardzo zdziwiona tym pytaniem.

– Nie wiem – Gospodarz przyglądał się badawczo, jego oczy były koloru bardzo gorzkiej czekolady. – Przyjrzymy się...

I zaczął odchodzić od kominka, gestem zapraszając Lizę do pójścia za nim. Liza szła, po drodze kichając, kaszląc, wycierając papierową chusteczką twarz; Gospodarz otworzył drzwi do maleńkiego pokoju, całkowicie zastawionego kartotekowymi szafami.

Na maleńkich półeczkach leżały ułożone w piramidki, jedna na drugiej, niczym dziecięce klocki, paczki papierosów... Nie, nie papierosów. Zafoliowanych talii kart.

– A więc – powiedział Gospodarz – wariant. – Zdjął z półki paczkę. – I jeszcze to, i, dla urozmaicenia, jeszcze to...

Piramidka na regale zakołysała się, przekrzywiła i znów odzyskała równowagę. Gospodarz rzucił trzy paczki na drewniany stół, i Liza zobaczyła, że to rzeczywiście karty – jeśli za talię kart uznać dowolny komplet obrazków na prostokątach z zaokrąglonymi rogami.

– Możliwe – Gospodarz rozerwał paznokciami polietylenową folię na pierwszej talii – że jesteś fantomem informacyjnym, powiedzmy, błędną formułą. Weź talię, przetasuj, rozłóż, rozdając w kierunku przeciwnym do ruchu zegara.

Zdrętwiałymi palcami Liza wzięła talię z jego rąk. Talia okazała się być trzeszcząca i lekka, sypka niczym żwir. Dwoma palcami lewej ręki Liza złapała za brzegi kart i pociągnęła do góry – talia tasowała się łatwo i przyjemnie, zajęcie uspokajało.

– Wystarczy. Rozłóż. Koszulkami do dołu.

Liza zaczęła rozkładać karty, po prostu upuszczając je na stół jedna za drugą, i dopiero wtedy ujrzała obrazki. Kawałki fotografii – jakby ktoś je przycinał, nie patrząc i bezładnie, kolorowy magazyn, czarno-białe zdjęcie ze starego albumu i fotodiennik anatoma patologa: połowa poważnej kobiecej twarzy z cieniem woalki, odcięta dłoń ze złotym pierścieniem na zakrwawionym palcu, nowa torebka z metką, niemowlę w kąpielu, serce na cynkowej wadze. Liza zmrużyła oczy.

– Stop – powiedział Gospodarz. – To nie twoje, precz z tym – rękawem zrzucił karty na podłogę. –

Spróbuj tę.

Przeciął paznokciem po zgrzewie opakowania, rozpieczętowując nową talię. Koszulki kart okazały się być nieskazitelnie białe, nieodróżniające się niczym od przednich stron – pustych, bez obrazków i wzorów. Liza wzięła je, drgnąwszy z lekka, i zaczęła tasować.

Ta talia poddawała się z trudem, jakby każda karta wymazana była tłuszczem. Liza wpatrywała się, próbując pojąć, czym odróżniały się jedna od drugiej – może ciężarem? Talia nie słuchała się, strosząc się nierównym wachlarzem, sensu w tasowaniu nie było najmniejszego; Liza od razu zaczęła je rozkładać: białe prostokąty na drewniany stół.

– Nie twoje – skonstatował Gospodarz w zamyśleniu. – Zbyt dużo czasu mi zajmujesz...

Odrzucił w rozdrażnieniu, nie rozpieczętowując, trzecią wybraną talię i ruszył wzdłuż regałów, szukając. Zatrzymał się, zdjął coś z półki, niedbale rzucił Lizie przez cały pokój, i ta złapała.

Opakowanie stroszyło się naderwanym plastikiem. Liza ostrożnie wydobyla karty. Podłoga u jej nóg była zasłana wybrakowanymi, nie chciała na nie nastąpić – ni to z obawy przed uszkodzeniem, ni to bojąc się oparzyć.

Zaczęła tasować te nowe karty i poczuła, jak te zaczynają nagrzewać się pod palcami. Pośpiesznie zaczęła wykladać je w kierunku przeciwnym do ruchu zegara – i karty nagle zaświeciły się. Na przedniej stronie pojawiły się mapy drogowe, przypominające te z „Yandex-maps”^{*}, dowody osobiste nieznanymi ludźmi, plany jakichś pokoi, nakreślone odręcznie czerwonymi i niebieskimi flamastrami, wydruki rachunków i paragony z supermarketów. Wszystko to poruszało się w ogniu: na rachunkach zmieniały się cyfry, po narysowanych schematach pokoi miały się ludzkie figurki, twarze na kserokopiach fotografii z dowodów uśmiechały się i starzały. Liza znów zapłakała.

– To wszystko nie jest takie straszne – Gospodarz, nie bojąc się ognia, zrzucił karty na podłogę. – Nie jesteś człowiekiem, Elżbieto, jesteś drugoplanową postacią serialu.

– To żart? – namacała w kieszeni papierową kulkę, resztki chusteczki.

– Nie. Nie jesteś ucieleśnionym przedmiotem, jak początkowo się obawiałem, nie jesteś ani kłatwą, ani cieniem. Jedyne bohaterem serialu, najmniej szkodliwym spośród informacyjnych fantomów. Zwróć uwagę – drugoplanowy bohater, a nie statysta. Statyści – ci w ogóle nie rozumieją, co z nimi się dzieje, po prostu żyją, i to komfortowo.

– Jestem informacyjnym fantomem?

– Rozumie się. Sama już dawno to poczułaś. Przecież poczułaś?

– Tak.

– Z tym można żyć.

– Ale przecież urodziłam się, wyrosłam... Wśród ludzi... W moich żyłach płynie krew, świadectwo pracy w firmie, karta szpitalna, dokumenty...

– Biografie bohaterów seriali są rozpisane do najdrobniejszych szczegółów. W ich żyłach też płynie krew. Wiadomo, co działo się z nimi w przeszłości, ale co do przyszłości – są tylko plany. Tylko przypuszczenia.

– Jak to, żyję w serialu? Jestem wymyślona?!

– Żyjesz w złożonym informacyjnym środowisku. Wokół ciebie są różne stworzenia – ludzie, idee, rzeczy, idee ludzi i idee rzeczy. Wszystkie one uważają się nawzajem za ludzi. I siebie, rzecz jasna, również – prócz tych, którzy znają prawdę.

– Wcale mi się to nie podoba – wyszeptła Liza.

– Gdzieś w pobliżu kręci się twoja główna postać albo postaci. Poszukaj – i znajdziesz.

– Chcę być człowiekiem! Co mam robić? Jak mam to zmienić?!

– Mnie również nie podoba się, że zacząłem z tobą rozmawiać – przyznał Gospodarz po chwili

milczenia. – Zapłaciłaś za bilet, ale to nie znaczy, że kupiłaś mój czas.

– Niech mi pan pomoże – zaczęła błagać Liza. – Proszę!

– Możesz jasno wyjaśnić, po co miałabyś stać się człowiekiem?

– Ciężko mi żyć – przyznała. – Czuję się skrępowana i głupia.

– A chciałabyś być mądra i wolna?

– Chcę być człowiekiem.

– Jest dla ciebie znakomite rozwiązanie – zostań główną postacią serialu. W tym mogę ci pomóc – recepta istnieje, i jest znana. Ta sama klasa fantomu, lecz wyższy status. Główny bohater serialu ma intensywne, interesujące życie...

– Chcę być człowiekiem!

Gospodarz skłonił głowę ku ramieniu:

– Elżbieto, możesz popaść w tarapaty. Pomysł zmiany środowiska informacyjnego jest i głupi, i niebezpieczny jednocześnie. Technicznie człowiekiem stać się może choćby pudełko po papierosach. Inna rzecz, czym przyjdzie za to zapłacić.

Jego głos zabrzmiał tak głęboko i mrocznie, że Liza przeraziła się.

– Mogę wyjechać daleko stąd – powiedziała szybko. – Mogę zmienić nazwisko. Jeśli Elżbieta Krawcowa jest postacią, to nazwę się, na przykład, Maszą Pachomową*...

– I zostaniesz drugoplanowym bohaterem, który postanowił uciec przed sobą. Masza Pachomowa też jest bohaterką serialu, tylko z legendą, a nie wszystko jedno, czy odnajdą cię pod nowym imieniem czy też staniesz się częścią innego wątku?

Liza przestąpiła mokrymi czółenkami po kamiennej podłodze:

– To znaczy, że... nie mogę?

– Oddaję ci twoją talię – Gospodarz wyciągnął rękę, i Liza, niemal wbrew swej woli, chwyciła w dłoń ciężki stosik kart. – Przypomnij sobie jakąś dziewczęcą wróżbę – „Co było, jest i będzie”. Albo postaw pasjans w wolnej chwili.

– I stanę się człowiekiem?

– Jeśli przeżyjesz. Początkowo możesz wystraszyć się, zrezygnować, wycofać się z gry. Ale od jakiegoś momentu zmiany staną się nieodwracalne, i wtedy otrzymasz swą nagrodę albo umrzesz...

– Czy to prawda?

Uśmiechnął się nagle i spojrzał z jawną kpina:

– Elżbieto, a gdzie się teraz znajdujesz? Nie wydaje ci się, że majaczysz, masz halucynacje albo po prostu widzisz bardzo realistyczny sen?

Spojrzała na karty w swych rękach. Dopiero co pstryły się, rozsypane, na podłodze – a teraz znów dokładnie przylegały do siebie, tworząc jedną całość: talię z nadpalonymi rogami.

– Nie – przyznała wreszcie. – Nie wydaje mi się.

– A szkoda, ponieważ to bardzo dobry powód do zakończenia rozmo...

Zamigotało światło, i nastąpiła ciemność; Liza otworzyła oczy prawie od razu, ale rzęsy zlepiły się, a powieki zaogniły, jak od silnego wiatru.

– Co tu robisz? Odpowiadaj! Co to za demonstracja? Liza!

Alena potrząsała ją za ramię i wykrzykiwała jeszcze coś zduszonym szeptem, bojąc się zwrócić uwagę sąsiadów. Liza rozpoznała podwórko, na które razem z mamą przeprowadziły się dwadzieścia lat temu, plac zabaw, ogrodzenie; siedziała na ławce, obok wałała się parasolka, mieniąca się rumiankami i jagodami, i torba, wypatroszona niczym kurczak.

– Co ty tu robisz? Co... co to? Gdzie pieniądze? Wzięłaś ode mnie całą paczkę pieniędzy! Dziesięć tysięcy!

Liza pokręciła głową. Z nieba padał deszcz, włosy zmokły i splątały się, twarz płonęła.

– Gdzieś ty była? Upili cię? Okradli?! Och, ja idiotka, przecież przeczuwałam, że... Przecież wiedziałam...

– Rzeźba przedstawia realny świat, jednak jej głównym obiektem wyrazu jawi się człowiek, przez obraz którego przekazywany jest jego wewnętrzny świat, charakter, stan psychiczny...

– Boże, co się z tobą dzieje?! Trzeba wezwać pogotowie... Chodźmy! Wstawaj! O, już ludzie patrzą...

Ona jest moją główną postacią, ze zdziwieniem pomyślała Liza. A ja jestem dla niej drugoplanowa.

Chwiejąc się, posłusznie weszła w ślad za przyrodnią siostrą w znajomą bramę, która przywitała ją wilgotnym, zakurzonym, znajomym do utraty zmysłów zapachem.

* * *

– Mamo, nie wiem, gdzie ona jest. Komórka wyłączona... Powiedziała, że zadzwoni wczoraj po zajęciach, ale nie zadzwoniła...

Głos Paszki bębnił i brzęczał, jakby chłopak odpowiadał przy tablicy. Liza leżała na swoim łóżku, na swoim starym łóżku, i nie decydowała się na otwarcie oczu.

– Nie, mamo, na pewno się nie pokłóciliśmy. Mogła wyjechać do siebie, może telegram dostała. Może w telefonie siadła bateria. Świnia z niej, szczerze mówiąc, że tak postąpiła...

Matka i syn rozmawiali w kuchni. W ciągu kilku ostatnich dni Alena schudła – gdy się denerwowała, w ogóle nie tykała jedzenia. A denerwować się przychodziło jej często; teraz Liza rozumiała, skąd wzięły się rozliczne perypetie życia Aleny. Ona była bohaterką serialu, jego centralną postacią, i upajała się swoją rolą nawet wtedy, gdy przebieg akcji wymagał płaczu.

Przyrodnia siostra najpierw zrezygnowała z praw do mieszkania, potem stała się ofiarą kradzieży i znalazła się na ulicy bez grosza przy duszy. Teraz Alena powinna albo wygonić ją, skazując na bezdomność, albo przygarnąć, straciwszy i powierzchnię mieszkalną, i pieniądze. Albo jakoś się jeszcze wykręcić; Liza nie wątpiła, że Alena się wykręci. Podobna do Aleny postać nie może być jednoznacznie czarną albo białą. Alena spróbuje splawić siostrę, nie zadając obrażeń własnemu sumieniu. A teraz, jakby mało było dotychczasowych problemów, gdzieś przepadła Swieta, narzeczona Paszki, bladolica dziewczyna, chuda niczym pasikonik.

– Wysłać telegram do jej matki? A jeśli jej tam nie ma – zdajesz sobie sprawę, jak matka się przestraszy?

W naturze Paszy nie było troszczyć się o nerwy przyszłej teściowej. Liza poruszyła się, usiadła, sięgnęła po dzinsową spódnicę, rzuconą na oparcie krzesła. W kieszeni, wypychając ją, leżała talia kart z nadpalonymi brzegami.

– No nie denerwuj się! Wróci – wytłumaczę jej, że nie powinno się tak robić...

– Sama jej wytłumaczę – ostro powiedziała Alena. – Głowa ją ostatnio nie bolała, nie miała mdłości?

– No nie, była zdrowa jak koń, co z tego, że chuda... Liza, przełknąwszy ślinę, położyła talię przed sobą na kołdrze.

Ręce jej się trzęsły. I podskakiwało, wstrząsając koszulką, serce.

* * *

– Dzień dobry. Szukam Denisa Gorochowa.

– A po kiego? – niezbyt uprzejmie spytał ochroniarz w mundurze jakiejś prywatnej firmy.

– No... jest mi potrzebny.

– Dziewczyno, nie mogę dzwonić do Denisa Dmitrijewicza tylko dlatego, że jest komuś potrzebny!

Proszę powiedzieć, o co chce go pani spytać, gdzie pani pracuje, jak się pani nazywa...

– Nazywam się Elżbieta Krawcowa, ja... Niech mu pan powie, że jestem od Gospodarza.

Twarz ochroniarza drgnęła ledwo zauważalnie. Udał się do swojej budki i zdjął w niej słuchawkę telefonu. Liza wstrzymała oddech.

Wrócenie nadpalonymi kartami okazało się być łatwe i straszne zarazem. Trzy razy pod rząd jedna za drugą wypadały trzy karty: dwie strony dowodu Denisa Dmitrijewicza Gorochowa, ze zdjęciem i pieczętką meldunku, a także niedokładna kopia jego wizytówki, wymyślnej, z tekstem po angielsku. Za każdym razem karty stawały się coraz cięższe, sklejały się, poddawały się z niechęcią; za rozkładanie po raz dziesiąty Liza już się nie zabrała, i długo szorowała ręce, próbując zmyć z dłoni ślady sadzy.

Narzeczona Paszki do tej pory się nie znalazła, choć szukano jej już od tygodnia. Jej matka z prowincji pojęcia nie miała, gdzie dziewczyna mogła się podziać. Dziś Pasza z Aleną poszli złożyć na milicję zgłoszenie o jej zaginięciu.

– Proszę wejść – ochroniarz przekreślił kołowrotek. – Dom numer sześć!

Liza weszła na długie, zadbane podwórze: trzypiętrowe domy stały niczym domokrążcy, zetknięte garażami, uwieszone talerzami anten i pudełkami klimatyzatorów. Na lakierowanych drzwiach wisiała błyszcząca miedzią szóstka; Liza zatrzymała się, przypominając sobie nagle, jak szła po kolana w śniegu, wzdłuż fasad zamkniętych domów, do budynku z oprószoną śniegiem wywieszką z czajnikiem u wejścia. Czy to się zdarzyło naprawdę, czy tylko przyśniło? Setny raz zadawała sobie to rytualne już pytanie, i wtedy drzwi z numerem szóstym same się otworzyły. Na progu pojawił się trzydziestoletni mężczyzna w złotawym włochatym szlafroku, z jasnymi mokrymi, zaczesanymi do tyłu włosami i z napisem „jaśnie pan” na wysokim czole – jeśli ów napis tylko się Lizie przywidział, to i tak byłby w pełni uzasadniony.

– Dzień dobry – powiedziała, bardzo żałując, że tutaj przyszła. – Szukam Denisa Dmitrijewicza Gorochowa...

– Proszę wejść – łaskawie zezwolił jaśnie pan.

Liza przeszła przez przestronny przedpokój, obwieszony lustrami i ozdobiony bibelotami, zaczęła ściągać pantofle, lecz jaśnie pan lekceważąco pokręcił głową, i Liza wkroczyła, stukając obcasami, na błyszczący parkiet salonu.

– Proszę o wybaczenie, nie spodziewałem się gości – powiedział jaśnie pan. – Powiedziała pani, że jest od Gospodarza?

To nieporozumienie, pomyślała przygnębiona Liza. Zaraz okaże się, że Gospodarzem nazywają tu jakiegoś mafiosa...

Podeszła do stolika i wyciągnęła z kieszeni trzy karty, owinięte w kartkę z notesu. Jaśnie pan pochylił się nad nimi, ale w ręce ich nie wziął.

– A pani, z przeproszeniem, kim jest?

– Elżbieta Krawcowa, ja...

– Nie, widzę, że jest pani fantinem, to znaczy fantomem informacyjnym. Czyli jest pani cieniem albo rzeczą, albo, obym się mylił, klątwą?

– Jestem postacią z serialu – po chwili przerwy przyznała się Liza. – Drugoplanową.

Ostatnie słowo wypowiedziała ze źle skrywanym wstydem. Jaśnie pan nie zdziwił się.

– I czego pani chce?

– Chcę przestać nią być. Chcę normalnego ludzkiego statusu.

– Aha – jasnie pan zamyślił się. – Ubiorę się, jeśli nie ma pani nic przeciwko, a pani w tym czasie spróbuje jabłuszka...

Postawił na stół przed Lizą wazę z owocami i wyszedł. Została sama w ogromnym pokoju, ukształtowanym zgodnie z zasadami sztuki designerskiej, wyposażonym w zasłony, wazony, dekoracyjne wodospady i ogromne akwarium na całą ścianę, gdzie, wbrew oczekiwaniom, nie było ryb, lecz siedziały w malowniczych pozach dwa wielkie gekony.

Panisko wróciło po kilku minutach. Miał na sobie wytarte dżinsy i koszulę w kratkę, i w sumie nie wyglądał już tak monumentalnie i pańsko, jak w szlafroku.

– Nie sądziłam nawet, że mnie pan zrozumie – napięcie spowodowało, że z Lizy wylał się strumień paplaniny. – Nie byłam pewna, że zechce pan ze mną porozmawiać, długo nie mogłam zdecydować się na przyjście do pana...

– Niech pani zamilknie – powiedział, znów pochylając się nad kartami. – Gospodarz obiecał, że będę pani pomagać?

– Nie – przyznała Liza, zacinając się. – Ale dał mi karty, a one...

– Jasne – kiwnął głową jasnie pan. – Nazywam się Denis, jestem osobą przemieszczoną. Wie pani, co to znaczy?

– Eee...

– Proszę uważnie posłuchać – usiadł naprzeciwko, oparł łokcie na kolanach i złączył końce palców. – Urodziłem się jako kot. Gdy miałem sześć miesięcy, potrącił mnie samochód. Za kierownicą siedział Denis Gorochow, kawał szui, w tym czasie miał nieco ponad dwadzieścia lat. Pamiętam zapach asfaltu, woń benzyny, i jak mnie uderzyło. Potem od razu znalazłem się w samochodzie, za kierownicą, a koordynację ruchów i wyobrażenia o życiu, rozumie pani, kot ma odmienne... Samochodu też nie umiałem prowadzić, a prędkość – sto dwadzieścia... Uderzam w ogrodzenie, uruchamiają się wszystkie poduszki powietrzne, a samochód pierwsza klasa, od tego czasu mam tylko BMW... Uderzenie, poduszki, ja bez choćby jednego zadrapania, tylko siniak na nodze... Samochód – na złom. A ja leżę w krzaki, odleżeć cały ten horror, ale widzę, że się nie mieszczę, że jestem zbyt duży... Znajdują mnie ludzie, przywożą do szpitala, znajdują się tatuś i mamusia Denisa Gorochowa, takiego łachudrę wychowali... Ludzki mózg to zadziwiająca rzecz. Potrafi się znakomicie adaptować. Teraz nawet mówię bez akcentu.

Liza uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tak, oczywiście, to żart – powiedział Gorochow, przyglądając się jej. – Opowiedziałem to, żeby panią rozbawić. Wrócimy, Elżbieto, do naszego problemu. Zamierza pani przestać być elementem serialu. To teoretycznie możliwe, ale trudne, gdyż serialowi się to nie spodoba. Seriale to pomysłowe potwory, okrutne i z poczuciem humoru. Raniony albo przestraszony serial zaczyna zmieniać gatunki: liryczna komedia w ciągu kilku dni mutuje w mistyczny thriller z maniakami i demonami piekła, a potem – w krwawą jatkę... A ponieważ jest pani postacią, wyłączyć ekranu pani nie da rady.

Liza usłyszała, jak szcękają jej zęby.

– To wszystko powinna pani wiedzieć, nim wypuści się pani w rejs – powiedział Gorochow. – Zresztą już się pani wypuściła, ponieważ przyszła pani do mnie. Teraz gatunek pani życia się zmieni, proszę się przygotować.

– Specjalnie próbuje mnie pan przestraszyć? – spytała Liza.

– Nie – po chwili milczenia powiedział Gorochow. – Wzbudza pani we mnie, Lizo, sympatię.

Zdradzę pani tajemnicę: wszystkie fantyny instynktownie chcą stać się ludźmi. Udaje się to tylko nielicznym. Niektóre giną.

– Chciałby pan, żebym zrezygnowała?

– Chcę, żeby pani wiedziała, co panią czeka. Kim jest pani z zawodu?

– Przewodniczką wycieczek...

– A ja handluję stałą. Choć raczej władam, niż handluję. To spuścizna po Gorochowie, niech go.

– On... umarł? – spytała cicho Liza.

– Widzi pani. Przy stu dwudziestu nie miał... nie miałem szans. Ale skoro zaszło zdarzenie,

wychodzące poza ramki codzienności...

Podniósł się, wyszedł i znów wrócił. Na rękach trzymał rudego kota, zadbanego i puszystego, ale bez lewej przedniej łapy. Kot wisiał, nie próbując się uwolnić, i tylko od czasu do czasu wymachiwał ogonem.

Gorochow umieścił kota na poduszce kanapy. Ten od razu ułożył się i zamknął oczy.

– Budowa mózgu – powiedział Gorochow. – Denis zaadaptował się, szuja jedna, teraz nie pamięta nawet, że był człowiekiem, rozbijał się beemką i potracił mnie.

Podrapał kota za uchem. Ten ledwo słyszalnie zamruczał.

– I pan – powiedziała Liza – wszystko to... nazywa „przemieszczona osoba”?

– Tak.

– Wielu jest takich?

– Niewielu. Fantinów jest więcej, takich jak pani.

– W jaki sposób może mi pan pomóc? – spytała Liza. – Przecież jeśli karty przyprowadziły mnie do pana, to należy zakładać, że mi pan pomoże?

– Ależ pani pragmatyczna – Denis zmrużył oczy i Liza bez problemu ujrzała na jego twarzy chytry koci wyraz. – Pomóc pomogę, ale przede wszystkim radą. Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło w ostatnich odcinkach?

* * *

Pasza przyjechał do domu na motocyklu. Liza nie podejrzewała go o to, że potrafi prowadzić cokolwiek w realu, a nie tylko w grze komputerowej. Chociaż w ostatnich tygodniach Pasza mocno się zmienił.

Przestał nosić słuchawki i nawet sprzedał komuś swojego iPhone'a. Zajął się sportem, podpompował mięśnie, i proszę – kupił motocykl. Alena przyglądała się synowi z boku, niczego nie komentując. Liza starała się jak najrzadziej pokazywać jej na oczy: pieniądze przepadły, prawa do zamieszkania pozostawały słabiutkie, choć ślub, jak należało sądzić, został już ostatecznie odwołany.

Fotografie Świety z prośbą o pomoc w poszukiwaniu zaginionej wisiały na tablicach posterunków milicji i na stacjach metra. Alena nie rozumiała, jak dziewczyna z prowincji mogła się tak po świńsku zachować: uciekła, jak nic, z kawalerem bogatszym i starszym od Paszki. Paszka plótł jakąś drętwą mowę na temat pielgrzymki po klasztorach, do których jakoby Świeta kiedyś się wybierała. A Liza z niepokojem domyślała się, że zniknięcie Świety to zwrot fabuły, który z pewnością będzie miał ciąg dalszy.

Paszka zrobił kółko po podwórku: zbiegła się dzieciarnia. Efektownie wyglądał w kasku, czarnej skórzanej kurtce, czarnych dżinsach i butach do kolan. Liza, cicho siedząca na ławce w rogu, obserwowała go z daleka.

Dni stały się długie i upalne. W domu nie było czym oddychać, i Liza wychodziła na podwórko –

po prostu posiedzieć w cieniu. Pasza zauważył ją i podjechał w kłębach spalin.

– Pięknie wyglądasz, Lizen!

Również i Liza w ostatnich dniach się zmieniła, przy tym na lepsze: zeszczupiała, ostrzygła się na krótko, nakupowała kosmetyków i wyglądała na niemal rówieśnicę przybranego siostrzeńca.

– Chcesz się przejechać?

Paszka był podekscytowany i wesoły. Liza pomyślała, że zapewne głęboko przeżywa zniknięcie Swiety, gdyż niczym innym nie można było wytłumaczyć jego propozycji. Siostrzeniec nigdy nie proponował Lizie ani lizaków, płyt, jabłek czy naprawy komputera, i tym bardziej nie zaproponowałby przejażdżki na motocyklu. Ale wcześniej nie miał motocykla...

Ułożyła wygodniej torebkę na boku, nasunęła kask i wdrapała się na siedzenie za plecami Paszki. Ten dodał gazu, Liza złapała go za plecy, żeby nie spaść, i motocykl wyjechał z podwórka.

„Dodaj gazu, śmiało, mój chłopcze, dodaj ga-azu...” – nadleciała z porywem wiatru stara pieśń. Było gorąco, dyszał rozpalony asfalt, motocykl zdecydowanie przeciął niewielki korek na skrzyżowaniu i na zielonym świetle wyrwał się na wolność, na pustą drogę. Zmienił się dźwięk silnika – dudnił już nie basem, a kontraltem, i Liza, niemal utknąwszy nosem w plecach Paszki, odruchowo wsłuchiwała się w ów śpiew.

„On-n i-lł i-eee”.

Silnik powtarzał i powtarzał jedną frazę, coraz bardziej wyraźną w miarę tego, jak Liza się w nią wsłuchiwała.

„On zaiłł mi-ee”.

„Onn zabiłł mniee”.

– Paszka! – krzyknęła Liza. – Zatrzymaj się!

Ale on nie słyszał jej, albo nie chciał słyszeć, albo uznał, że po prostu wystraszyła się prędkości. Motocykl mknął ku słońcu, droga była wolna – sobota? Wieczór? Kto wie, może dlatego?

„On zabił mnie!” – śpiewał nisko silnik. – „On zabił mnie, on zabił mnie, on zabił mnie...” Liza chciała zatkać uszy, ale wtedy spadłaby z siodełka w pełnym biegu.

Na szczęście, w przedzie zamajaczyło czerwone światło, z boku pojawił się skądś samochód patrolu drogowego, i Paszka zwolnił. Silnik zawarczał niewyraźnie, i śpiew przeszedł w zwykły mechaniczny dźwięk.

Paszka oddychał ciężko. Zatrzymał się, dotknął podeszwami asfaltu i obejrzał się przez ramię na Lizę – ale ta nie widziała jego twarzy zza przydymionej zasłony kasku.

* * *

– ...I zabił dziewczynę i zakopał pod korzeniami wierzby, ale wiosną przechodził obok pastuszek, zrobił piszczałkę z gałązki drzewa, i piszczałka zaśpiewała tkliwym głosem: „Pański syn zabił mnie i zakopał pod korzeniami wierzby”.

Gorochow siedział, złożywszy długie nogi na pufie, i szczyrzył białe zęby. Im więcej Liza z nim obcowała, tym bardziej widoczne stawało się, że jego maniere są nie tyle pańskie, ile kocie.

– Kto zabił? – spytała Liza.

– Właściciel motocykla.

– Paszka? Bzdura!

– To zmiana gatunku. Uprzedzałem. Powoli i płynnie znosi cię w stronę mistycznego thrillera... Możliwe, że zabił kogoś poprzedni właściciel motocykla, a silnik wie o jego zbrodni i ogłasza to piosenką wszystkim wokół. Jak wyżej wskazana piszczałka.

– Albo przesyłszalam się – wysnuła przypuszczenie Liza.

– Wmawiając w siebie, że „przesyłszalam się”, robi pani krok do tyłu, zaganiając się z powrotem w światek, do którego pani przywykła. I tak zamiast dorosnąć do człowieka, degraduje się pani w statystę.

Trójnożny kot spokojnie drzemał na poduszce kanapy.

– Co konkretnie powinnam zrobić? – spytała Liza. – Rozumiem to tak, że powinnam przedsięwziąć jakieś działania, zamiast tego czekam już ponad miesiąc, rozkładam karty i czekam, czekam...

– To nie quest, dziewczyno! To złożony proces!

Gorochow rozsiadł się wygodniej. Robienie Lizie wykładów wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

– Gdyby była pani dziewczynką, zabłądziła w lesie i szukała drogi do domu za pomocą podpowiedzi w schowkach, zwierząt pomocników, znaków i podobnej maszynerii – to byłby quest. Ale pani zadaniem nie jest wyjście z lasu, lecz jego zmiana, zmodyfikowanie, przekształcenie tego lasu we własny dom! By tego dokonać, rzecz jasna, potrzebne są „jakieś działania”, ale o wiele ważniejsze jest patrzenie szeroko otwartymi oczyma, spostrzeganie zmian zachodzących w otoczeniu i prawidłowa ich interpretacja...

– Był pan bardzo mądrym kotkiem – powiedziała Liza.

– Oczywiście – odparł sucho Gorochow. – W pani słowach zauważam ironię, zrzucę to na fakt, że praktycznie się nie znamy... Co mówią karty?

Liza wyciągnęła z plastikowej koszulki jedyną kartę, która wypadła trzy razy pod rząd. Na przedniej stronie był schemat nieznanego pomieszczenia: sześć metrów dwadzieścia pięć centymetrów długiego, cztery metry szerokiego, z góry „część nadziemna”, z dołu, odpowiednio, „podziemna”.

– Hm – powiedział Gorochow, przyglądając się karcie w rękach Lizy. – Co to jest?

– Sądziłam, że pan wie!

– Niby skąd? To pani talia i pani specyfika.

– To plan – powiedziała ze znużeniem Liza. – Najprawdopodobniej grobowca. Ponieważ nie wyobrażam sobie, jakie jeszcze inne pomieszczenie potrzebuje części podziemnej.

– Stodoły z piwnicą na przykład. Albo... niech pani poczeka.

Wyciągnął małego notebooka, wszedł do sieci i po minucie pokazał Lizie długi rząd obrazków zatytułowanych „Schemat garażu”.

– To garaż. Zapewne punkt zwrotny akcji. Pomyślmy... Skąd pani siostrzeniec ma motocykl?

– Kupił... przyprowadził skądś.

– Skąd?

– Nie mam pojęcia.

– A gdzie go trzyma?

– Nigdzie, raptem wczoraj go przyprowadził.

– Niech się pani dowie, od kogo siostrzeniec kupił swój motocykl. Niech się pani dowie, gdzie go trzyma. Gatunek może zmienić się tak szybko, że nawet „oj” nie zdąży pani powiedzieć.

* * *

– Wyrazistość rzeźby osiąga się z pomocą budowy głównych planów, płaszczyzn światła, objętości, masy, współzależności rytmów...

Na przystanku sprzedawano kwiaty. Podjeżdżały do krawężnika białe i żółte busy, ludzie wysiadali i wsiadali, zgięci, czasami zahaczający głową o krawędź otworu wejściowego. Dawno

przekwitł bez, odleciał topolowy puch, powietrze było ciężkie i gęste od pyłu, światła i spalin.

Liza przeklinała samą siebie za to, że nie spytała Gospodarza o Igora, kasjera z kantoru. A powinna nie tylko spytać, ale niejako przypadkiem powiedzieć o Igorze coś dobrego; instynktownie czuła, że został za coś ukarany, zamknięty w budce, niczym kukulka w zegarze, i każdy wolny człowiek, zaszczycony rozmową z Gospodarzem, powinien szepnąć słówko za Igorem.

Ale zapomniała i legło to cieniem na jej sumieniu.

Podjechał bus, Liza wsiadła, szczęśliwie umościła się na brudnym fotelu pod oknem i nagle usłyszała, jak wysłużony silnik powarkuje pod maską: „Od koniczyny brzuch się wzdyma... Od koniczyny brzuch się wzdyma...”.

Liza poprosiła kierowcę o zatrzymanie się i wysiadła, nie przejechawszy nawet połowy swej trasy.

* * *

Nogi zmęczyły się jeszcze za dnia, a teraz, kiedy przemaszerowała na obcasach prawie dwa kilometry – czuła, że za chwilę odpadną. Aleny ani Paszki nie było w domu – na dzwonki nikt nie odpowiadał. Liza nie odzyskała swojego klucza – Alena jakby o tym zapomniała, a Liza nie zdecydowała się przypominać; chwiejnie wyszła z bramy i usiadła na ławce w zaroślach jaśminu.

Minęło pół godziny. Z domu wyszedł Paszka, prowadząc pod rękę dziewczynę o obfitych kształtach, jasną blondynkę w fioletowej letniej sukience. Blondynka usiadła za kierownicą ciemnoniebieskiej skody, Paszka usiadł obok, i odjechali, włączywszy głośno muzykę.

Niezły numer, pomyślała Liza. Podniosła się z ławki i znów usiadła: mieszkanie nadal było przecież zamknięte.

Namacala talię kart w kieszeni spódnicy – i nagle ujrzała motocykl Paszki po drugiej stronie podwórka, za pojemnikami na śmieci, między niesprawnym zaporozcem sąsiada inwalidy i czymś starym jeepem. Nie spuszczać wzroku z motocykla, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do siostry.

– Już jesteś w domu? – zapytała Alena. – Mamy zebranie, będę nie wcześniej niż o dziesiątej.

– Dobrze – powiedziała Liza i rozłączyła się. Podniosła się z ławki i drobnymi krokami przeszła przez podwórko.

Motocykl przykuto łańcuchem do żelaznego ogrodzenia. Liza nie zdołałaby uruchomić go, nawet gdyby miała klucz – nigdy nie prowadziła czegoś bardziej skomplikowanego od roweru. Ogromny, czarny motor przyciągał ją wbrew jej woli, niczym obraz abstrakcjonisty.

Dotknęła dłonią czarnej skóry siedzenia.

„Kim jesteś? Kto cię zabił?”

Motocykl drgnął i zawibrował. Sekunda – uruchomił się silnik. Liza cofnęła się.

Motocykl stał, przykuty do ogrodzenia. Z rury wydechowej wydobył się siny dym.

– Liza!

Odwróciła się, ledwo powstrzymując krzyk. Za jej plecami stał Paszka, dziwnie blady, rozczochrany. Patrzył z niedowierzaniem, a nawet ze strachem.

– To ty go uruchomiłaś?!

– Nie. Coś ty. Jak bym mogła... Posłuchaj, wróciłam z pracy, i jestem bardzo zmęczona – wymamrotała pospiesznie. – Chcę jeść... Nie mógłbyś otworzyć mi mieszkania?

– Dawno wróciłaś? – jakby jej nie słyszał.

– Nie...

– Mniej więcej kiedy? Czterdzieści minut temu?

– Nie... Dopiero co – kłamała bez zmrużenia oka. W końcu czterdzieści minut temu do drzwi mieszkania mógł dzwonić sąsiad, listonosz albo świadek Jehowy.

Paszka przesunął dłońmi po kieszeniach koszuli:

– Kurczę... Zostawiłem klucze w garażu...

– W jakim garażu?

– Gdzie naprawiałem dziś motocykl... Zostawiłem barsetkę, a w niej klucze od mieszkania... Matka mnie zabije... Lizen, chodź przejedźmy się do garażu, ja zabiorę klucze, a ty kupisz w sklepie kefir?

– Kefir?

– Matka chciała kefiru, a ja zapomniałem – Paszka patrzył na nią, nie odrywając wzroku. – Pojedziemy? Tylko kask załóż...

– Lepiej poczekam tutaj.

– Nie, jedźmy – powiedział Paszka ze znanymi intonacjami małego rozpieszczonego chłopczyka. – Jedźmy! Matka i tak nie wróci przed dziesiątą!

I Liza z zamieraniem serca wspięła się na siodełko, wiedząc już, że gatunek się zmienił.

* * *

Garaż rozpoznała od razu. Części podziemnej, ma się rozumieć, nie było widać – za płotem stał ceglany domek bez okien, sześć dwadzieścia pięć długi, cztery metry szeroki. Na żelaznej, karbowanej bramie wisiała kłódka, i jeszcze jedna, mniejsza – na maleńkich drzwiach.

– Spożywczy jest tam – machnął ręką Paszka. – Kefir, i jeszcze bułki z makiem.

Wyciągnął klucz ze skrytki pod żelazną beczką, otworzył drzwi, wycięte w bramie garażu, i wszedł do środka. Liza odprowadziła go wzrokiem.

Garaże ciągnęły się na prawo i lewo, u ich bram rosła trawa, ziały szpary w dachach. Droga była dziurawa, po przeciwnej stronie czekała na jesień porzucona budowa, łudząco przypominająca ruiny. Drogę przecinał nasyp kolejowy, przejechała po nim z łoskotem lokomotywa manewrowa.

Sklep spożywczy okazał się być kioskiem z mizernym wyborem i kosmicznymi cenami. Liza kupiła kefir i czerstwą bułkę, i od razu, nie mogąc się powstrzymać, wbiła w nią zęby. Przyszło kupić jeszcze jedną; Paszka już czekał na nią u wejścia, weselszy, z barsetką na pasie:

– To co, jedziemy?

Silnik ryczał, nie mając zamiaru przechodzić na ludzką mowę. A może po prostu nie potrafił mówić po ludzku. Być może Lizie przywidziało się coś ze strachu.

– Poznałem tu jedną dziewczynę – powiedział Paszka, kiedy Liza zsiadła z motocykla na podwórku. – Nazywa się Rimma. I wciąż myślę: co matka na to powie?

Liza uśmiechnęła się niepewnie:

– A co?

– I ma dom w spadku po babci – powiedział w zamyśleniu Paszka. – Dobry dom. Pokazała mi.

* * *

Karty nie chciały się rozkładać. Talia skleiła się w jednolitą bryłę. Liza schowała ją do górnej szuflady szafki nocnej i położyła się na łóżku.

– Kto jest głównym bohaterem serialu – pani siostra czy jednak siostrzeniec? – spytała słuchawka telefonu.

– Nie wiem. Wcześniej był senny, ospały, przewidywalny. A teraz jakby przełączył się na inną

prędkość – Liza mówiła szeptem, aby nie zbudzić niechcący Aleny i Paszki.

– To znaczy, że opowiedział matce o tej blondynce w skodzie?

– Tak.

– To znaczy, że nie jest to już tajemnica? A po co woził panią do garażu?

– Po klucze. Zostawił w garażu klucze.

– Lizo, wyraźnie zmienia się pani w statystę – powiedział ze smutkiem Gorochow.

– Dlaczego?

– Dlatego, że serial jest silniejszy. To nie pani przeobraża środowisko informacyjne – to środowisko przeobraża panią. Za kilka tygodni w ogóle pani nie będzie pamiętać, że była u Gospodarza i coś próbowała zmienić. Chociaż, może to i lepiej.

I Gorochow wyłączył swój telefon. Liza czasami chciałaby ze wszystkich sił przejechać ręką po jego aroganckiej, pańskiej, kociej fizjonomii.

Wyciągnęła się na łóżku. Ćmiło w skroniach, ale nie miała ochoty poczłapać do kuchni po tabletkę. Nie w porę przypomniał się Igor; od czasu wizyty u Gospodarza Lizie ani razu nie udało się trafić na przystanek z budką kantoru. Czy to przypadek?

I nawet karty nie miały ochoty więcej się rozkładać. Gorochow miał rację: niczego nie może zmienić, sterczy na scenie niczym kartonowe drzewo. Degraduje się w statystę.

Zmrużyła oczy. Potem zdecydowanie usiadła na łóżku. Gdzieś tam, w głębinach jej szafki nocnej, od czasów szkolnych spoczywała turystyczna latarka.

* * *

Drzwi prawie nie skrzypnęły – były dobrze nasmarowane. Promień latarki prześlizgnął się po warsztacie z narzędziami, po desce z rozwieszonymi kluczami francuskimi, po wygiętym, pozostawionym pod ścianą błotniku od wołgi. Wszystkie przedmioty w świetle elektrycznym zdawały się być płaskie, wszystkie cienie – czarne i dwuznaczne. Liza wstrzymała oddech.

Klucz od garażu znalazła tam, gdzie zostawił go Paszka – w kryjówce pod żelazną beczką. Garaż był miejscem, do którego prowadziły ją karty; jak stwierdził Gorochow, to zwrotny punkt akcji.

Promień latarki przeciął w poprzek ciemność. Rower bez jednego koła, kilka żelaznych i plastikowych kanistrów, łopata...

Zaraz, zaraz, a gdzie kanał naprawczy? Przecież w garażu jest także „część podziemna”, zgodnie z planem, co znaczy, że w podłodze powinna być szczelina szeroka na pół metra, i schodki prowadzące w dół...

Podłoga w garażu była zwykłym klepiskiem, ziemią wilgotną, z odciskami rowkowanych podeszew. Liza ostrożnie tupnęła nogą... Dźwięku nie było – jakby w watę stukała.

Jej spojrzenie znów zatrzymało się na łopacie. Do połowy czarna, do połowy srebrzystostalowa, ostro naostrzona łopata, starannie wyczyszczona, a nawet wymyta. Czysta łopata, ale nie nowa. Szpadel. Broń.

Liza dokładniej zamknęła drzwi. Promieniem latarki znalazła włącznik, pstryknęła, zabłyśło światło. Oświetlony żarówką spod sufitu garaż stał się zauważalnie mniejszy, w kącie panicznie rzuciła się mysz. Liza miała w nosie myszy, a nawet szczury; jeszcze raz wstrzymała oddech. Czego się bać? Przecież nie jest złodziejem. No i nie ma tu czego kraść. Kto uwierzy, że trzydziestoletnia pani przewodnik znalazła się nocą w garażu, by ukraść kombinerki?

Przeszła w głąb garażu – sześć metrów dwadzieścia pięć centymetrów – i wzięła do ręki łopatę.

Obudziły się muchy i zaczęły krążyć wokół lampy. Tłuste, masywne niczym bombowce. Ich

buczenie przypominało ryk silników.

Liza przesunęła językiem po spierzchniętych wargach. Zamachnęła się lekko i wbiła łopatę w podłogę. I niemal krzyknęła: łopata od razu weszła prawie do połowy, bardzo miękko, lekko, jakby w kaszę.

– Róbcie, co chcecie, ja statystą być nie zamierzam – wyszeptała nie wiadomo do kogo i ostrożnie odrzuciła na bok kupkę pulchnej ziemi.

Łopata zadzwoniła o beton. Potem stuknęła o drewno. Zagryzając wargę, Liza odrzuciła ziemię znad zasłoniętego deskami kanału remontowego.

Podważyłszy jedną z desek krawędzią łopaty, uchyliła okienko do „podziemnej części” garażu. Było tam ciemno, wilgotno, i z brzęczeniem wyleciała stamtąd jeszcze jedna mucha.

Liza zacisnęła zęby. Ścisnęła latarkę w rękę, ostrożnie opuściła się na czworaki i poświeciła latarką na dół.

Wprost na nią spoglądały szeroko otwarte martwe oczy Swiety, już wcześniej szczupłej, a teraz wyschniętej na wiór.

Liza pisnęła i upuściła latarkę. Ta spadła w dół, do kanału, prosto na brzuch Swiety, i w jej świetle można było zobaczyć, że pierś Swiety została rozcięta od szyi do pępka, i że brakuje jej co najmniej serca. Liza, mokra jak mysz, rzuciła się do drzwi garażu i niemal zbiła z nóg stojącego w wejściu Paszkę.

– Ciszej – powiedział głucho.

Liza szybko oddychała ustami.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział siostrzeniec z widocznym zadowoleniem. – Nie wytrzymasz. Kluczyk ci pokazałem... Jesteś nazbyt ciekawa, Lizen.

– A ty jesteś mordercą – powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie; nigdy nie przyszłoby jej wcześniej do głowy, że w takiej sytuacji zdecyduje się przemówić, i do tego jej głos zabrzmiał całkiem wyraźnie. – Jesteś mordercą, Paszeńka. Silnik cię zdradził!

– Wiem – siostrzeniec mówił powoli i miękko – słyszałem. Silnik, tak. Zrobiłem z serca Swietki silnik.

– Zwariowałeś – Liza wstrząsnął dreszcz.

– Tak! Mamusia uważa mnie za smarkacza. „Postanowiłam, że się pobiorą”, też coś! Z jej głowy zrobię procesor.

Liza odsunęła się od niego, pamiętając, że z tyłu jest kanał, gorączkowo badając nogą ziemię.

– Skacz – uśmiechnął się Paszka.

– Idź w cholerę!

– Skacz – Paszka wyciągnął zza pleców urządzenie, przypominające lejek z celownikiem optycznym. – Skacz do Swietki i czekaj, wkrótce będzie was tam więć-ceedj...

Liza potknęła się i o mało nie upadła. Paszka uniósł urządzenie na wysokość piersi, wcisnął przycisk, z czarnego otworu z sykiem wyrwał się strumień płomieni.

– Skacz, bo przysmażę i tak potem zrzucę...

– Pomocy! – krzyk wyszedł jej bardzo cichy, przytłumiony. – Pomocy!

Paszka ruszył do przodu, trzymając przed sobą palnik lutowniczy. Liza cofnęła się, ratując przed żarem, jedną nogą trafiła w dziurę i gruchnęła na kolana nad samą krawędzią jamy. Rozjechały się deski, zakrywające luk remontowy, posypała się w dół ziemia: tam, na piersi martwej Swiety, jasno świeciła latarka.

Paszka zaśmiał się radośnie.

– Skaa...

Chrząknął i zamarł, upuściwszy piekielną maszynkę. Jego oczy przekreśliły się w oczodołach, jakby chciały zajrzeć do wnętrza głowy. Z piersi na chwilę wynurzyło się wąskie ostrze i od razu schowało, niczym żądło.

Nieznana siła pociągnęła Paskę w tył, potem pchnęła do przodu. Siostrzeniec upadł, uderzywszy głową Lizę w kolano; za jego plecami stał Gorochow ze szpadą w rękach.

– Gatunek – powiedział przez zęby. – Proszę wstać.

Liza zaczęła szlochać.

– Za późno na płacz! – Gorochow błysnął białymi zębami. – Zdążyła pani, jest w pół drogi do sukcesu. Niech się pani nie rozkleja!

Liza jeszcze raz popatrzyła w dół, na Swiętę:

– To... tak? To tak się dzieje?

– Może być i gorzej. Jak na razie mamy thriller, a w thrillerze, zgodnie z zasadami, pomoc przychodzi w najbardziej niespodziewanym momencie... Ale pani nie jest głównym bohaterem, oto w czym problem. Jak i Swięta. Swięta była bohaterem drugoplanowym...

– Biedna dziewczyna, za co ją zabili?!

– Niech pani wstanie, nie będziemy przecież sterczeć tu całą noc... Co z nogą?

Liza zbadła łydkę.

– Nie wiem... Nic... Boli...

Z wielkim trudem podniosła się na nogi i upewniła się, że może iść, a przynajmniej powinna dojść kilka kroków do drogi. Na myśl o tym, że przyjdzie jej wracać do domu i rozmawiać z Aleną, robiło jej się niedobrze.

– Jedno bardzo mnie niepokoi – przyznał Gorochow, wycierając czystą szmatką ostrze swojej szpady.

– Tylko jedno?!

– Tak... Silniki, zrobione z serc, i procesory z głów.

– To był maniak! Wariat! – Liza z przerażeniem zerknęła na trupa Paski. – Nie takie brednie mógł pleść...

– Tak. To w najlepszym razie. W najgorszym – mamy mistyczny thriller przez wielkie „M”. Albo...

Jego spojrzenie zatrzymało się. Patrzył gdzieś ponad ramieniem Lizy. Wstrzymawszy oddech, odwróciła się.

Za krawędź jamy, ziejącej teraz pośrodku garażu, chwyciła dziewczęca ręka. Potem druga. Ukazała się twarz z przyklepionymi do czoła i policzków włosami. W zębach dziewczyna trzymała latarkę Lizy.

– Film o zombi – z nerwowym chichotem powiedział Gorochow. – Wspaniale. Ale się zrobił bałagan. Jak ja tego nienawidzę.

Martwa dziewczyna imieniem Swięta wypluła latarkę.

– Gdzie moje serce? – spytała cieniutko i żałośnie. – Gdzie moje biedne serduszko?

Liza rzuciła się w stronę Gorochowa, zupełnie zapominając, jaki z niego jaśnie pan i kot. Gorochow złapał ją w pół i wypadł z garażu, o mało nie znosząc drzwi, które, na szczęście, otwierały się na zewnątrz.

Przy drodze stał motocykl Paski, z klucza zwisał, pięknie pobłyskując, brelok w kształcie nagiej kobiety. Gorochow strząsnął Lizę na siodełko, schował swoją szpadę w laskę modelu „Doktor House” i wskoczył sam, wsunawszy laskę pod pachę. Motor ryknął, i w jego głosie nieomal od razu przebił się niski kobiecy głos: „a-aj... serce... moje...”.

W drzwiach garażu stała Swięta. Liza zmrużyła oczy, wczepiła się w Gorochowa, ukrywszy twarz

w jego plecach. Motocykl ruszył, podskakując, wyłapując reflektorami stosy pokruszonych cegieł, zastygłe w betonie konstrukcje, zamknięty sklep spożywczy, przekrzywiony znak drogowy. Liza wciąż je widziała, choć oczy miała przymknięte. Wreszcie motocykl wyrwał się na drogę i potoczył równo, z niskim warkotem, i głos w dźwięku silnika, stając się zupełnie cienki, błagał żałośnie: „Oddaj moje serduszko! Oddaj moje serduszko!”.

Gorochow zwolnił, skręcił gdzieś w las i wyłączył silnik. W świetle motocyklowych reflektorów zarysował się samochód – wielki, matowy i czarny, jak opalony hipopotam.

– Przesiadamy się – powiedział Gorochow. – Niech zabiera swoje serce.

Liza zachwiała się, mimo to jednak zdołała dotrzeć bez pomocy do samochodu i paść na obszerne siedzenie bmw.

– Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem – oznajmił Gorochow, skręcając na drogę.

– Gdzie ona teraz jest?

– Kto? „Oddaj moje serce”?

Liza szarpnęła się:

– Nie trzeba!

– A cóż w tym takiego? Niech się pani przyzwyczaja, przyzwyczaja i modli, żeby na tym się zakończyło. Gatunek ma pani nieprzyjemny, ale za to prosty i przewidywalny...

Samochód gnał szosą, niczym gepard po nocnej pustyni. Za oknem migał i zamazywał się zwykły, niemal kojący obraz przedmieść, lecz Liza nie dawała się oszukać: to był już inny świat, nie życiowy, ale gatunkowy. Bładło niebo, nadchodził świt.

– Jak się pani czuje, Elżbieto? – przymilnie spytał Gorochow.

Popatrzyła na swoje obdrapane, brudne, trzęsące się dłonie.

– Wspaniale – przyznała się przede wszystkim sobie. – Jest mi jakoś... jakoś bardzo jasno przed oczyma, bardzo przejrzysto, i chce się głęboko oddychać... chce się żyć...

– Tak. To smak życia. Może mi pani zazdrościć – ja cały czas tak się czuję. W każdej sekundzie pamiętam, że żyję i że mam wpływ na swoją przyszłość, że mogłem być kocim prochem, a stałem się mężczyzną, prawie milionerem, właścicielem tego oto przepięknego samochodu.

– Denis – powiedziała Liza. – Uratował mi pan życie. Dwa razy

– Nie ma za co.

– Jak się pan dowiedział? Jak znalazł się w garażu? Jak pan w ogóle... – zacięła się.

– Widzi pani, Elżbieto – Gorochow znów przeszedł na podniosły ton – prawie w ogóle nie muszę trzymać się zasad. Jestem wolnym człowiekiem, nie skrępowanym kompleksami, kochającym życie. Ale życzenia Gospodarza zawsze wypełniam jak tylko mogę najlepiej.

– Służy mu pan?

– Pff! Nikomu nie służę. Spełniam jego życzenia, gdyż tak mi się chce. Jestem rad, że mogę mu pomóc.

Miękko zahamował. Przez drogę przemknął cień – na mgnienie stały się widoczne szare boki w kłakach białej osypującej się sierści i wyszczerzona czerwonoooka mordą.

– Oj! Co to było?!

– To nieistotne, najważniejsze – zdążyć zwolnić... Karty ma pani przy sobie?

Sięgnęła ręką do kieszeni. Potem szybko się obmacała.

– Denis, wygląda na to, że mam problem. Zostawiłam w garażu torebkę z dokumentami i...

– Tak, to problem jutrzejszego dnia – Gorochow rzucił okiem we wsteczne lusterko. – A oto problem dnia dzisiejszego, a właściwie dzisiejszej nocy... Słyszysz pani?

Z oddali zbliżał się ryk silnika – tak głośny, że wydawał się być ogłuszającym nawet na szosie.

– Chciałabym się obudzić – błagalnie poprosiła Liza. – Obudzić się w swoim łóżku.

Gorochow wcisnął pedał gazu.

Jest tu pełno poduszek powietrznych, przypomniała sobie Liza, gdy las po obu stronach szosy zaczął rozmazywać się przed oczyma. Przy prędkości sto dwadzieścia człowiekowi po wypadku zostaje kilka siniaków... A przy prędkości dwieście czterdzieści?!

We wszystkich lusterkach pojawił się motocyklowy reflektor. Liza ukryła twarz w rękach, ale przez szczeliny między palcami nadal widziała: pędzący dwieście czterdzieści samochód był powoli, powolutku doganiany przez cień na dwóch kołach. Wyglądało na to, że Swieta dostała z powrotem swoje serce, ale dostała je razem z silnikiem, a właściwie z motocyklem. Na szczęście, Liza widziała ją tylko przez ułamek sekundy, przelotnie, świecący reflektor uniemożliwiał dojrzenie szczegółów.

Liza zaczęła krzyczeć.

Jej krzyk dodał samochodowi sił. BMW wyrwało do przodu tak, że na prędkościomierzu zabrakło skali i prawa fizyki wzięły ostatecznie górę nad regułami gatunku: wiele przecierpiawszy, serce Swiety mocą ustępowało silnikowi bmw. Ryk silnika motocykla wzniósł się do najwyższej nuty – i nagle urwał się wybuchem. Buchnął słup ognia, wzleciało w poranne niebo samotne koło, i gdzieś w oddali zawyła milicyjna syrena.

* * *

– A kto karmi kota, gdy pana nie ma? Rudzika?

– Gosposia rzecz jasna. O Rudzika niech się pani nie martwi – ja tego gada Denisa będę karmić i pieścić do głębokiej starości.

Małeńkie ognisko, rozłożone pośrodku lasu, płonęło oszczędnie i czysto, cedziło dymek i potrzaskiwało gałązkami. Liza i Gorochow siedzieli po jego różnych stronach, Gorochow na pniu, Liza na zwiniętym kocu.

W przydrożnym wiejskim sklepiku udało im się kupić wodę mineralną, chleb i kiełbasę, ale spożycia owej kiełbasy bez obróbki termicznej Gorochow nie zaryzykował i teraz przypiekał kiełbasiane krążki na ostrzu szpady. Jeśli chodzi o Lizę, to ta doznawała uczucia przeciwnego głodowi – miała mdłości.

– Obiecał pan opowiedzieć o Gospodarzu.

– Wątpię, czy zdołam. Nie mogę powiedzieć, kim jest Gospodarz, ale dobrze wiem, za kogo nie można go uznać. Nie jest sędzią, pomocnikiem, katem, nadzorcą, niańką, wróżką, demonem. Pojawia się, gdy tego zapragnie. Czasami zagląda co miesiąc, czasami nie pokazuje się przez rok. Jak pani rozumie, w mieście jest wiecznie niespokojnie, pełno zawirowań, renegatów, cieni, odbić. Bywa, że rzeczy się przechadzają. Ale jedyną sprawą, która może wyprowadzić Gospodarza z równowagi, są prawdziwi ludzie pozbawieni motywacji do życia. Zdrowi, szczęśliwi, ale wyblakli i słabi, bez woli i radości. Znam przynajmniej jedną parkową fontannę z wodą do picia, będącą wcześniej niechlujnym studentem, który napotkał Gospodarza w ciemnym zaułku...

– Zmienił studenta w fontannę?

– On nie zmienia, on przekształca.

– Jeszcze Igor – wzdrygnąwszy się, przypomniała Liza.

– Co za Igor?

– Chłopak, siedzący w kantorze na przystanku tramwaju, przecież cały czas tam siedzi, posadzony na wieczność. Wrósł w swoją budkę, jak...

Zacięła się.

Przeżyty koszmar wracał rzadziej, słabnąc niczym gasnący ruch wahadła. Ale wypowiedziawszy słowo „wróśł” od razu przypomniała sobie Swietę, przypominającą eksponat muzeum osobliwości: gołe ręce zamiast kierownicy, rama z obnażonych kości i uszmkowane usta, rozciągnięte wokół reflektora.

Dobrze byłoby zapomnieć to wszystko na zawsze. I dobrze byłoby uwierzyć, że nieszczęsna dziewczyna nie wróci.

– Igor wróśł w swoją budkę – powtórzyła cicho. – To kara?

– Wiem, o kim pani mówi! – uradował się Gorochow. – Nie, to raczej nagroda: chłopak nigdy nie był człowiekiem, to po prostu kurs dolara, a i to anomalny...

– Co?!

– No, był taki moment, panika na rynku, kurs dolara podskoczył tak żwawo, że częściowo wypadł poza granice ustanowionej rzeczywistości, no i została by widmem na wieki wieków. Gospodarz go przygarnął – może z ciekawości, a może po prostu było mu go żal. I proszę – siedzi Igor w swojej budce, istnieje, spogląda na świat oczyma, oddycha, nawet kawę, jak się zdaje, pije... Tak w ogóle to niech nie przyjdzie pani do głowy cokolwiek u niego kupować, ani dolarów, ani...

– Nie mam pieniędzy – powiedziała Liza. – Wszystkie zaliczki i wypłaty oddaję Alenie... Och, Alena! Co ja jej powiem, co ja jej powiem?!

Zadzwoiła komórka. Gorochow kiwnął z zachętą.

– Halo – omdlewającym głosem powiedziała Liza do słuchawki.

– Liza, Liza, gdzie jesteś?!

– Ja?

– U ciebie wszystko w porządku? Paszka gdzieś przepadł, gdy spałam, i ani słowa nie powiedział!

Przylazła jego nowa... to znaczy przyjechała jego dziewczyna, Rimma, robi mi wodę z mózgu, daj jej Paszę... Oszaleję! Gdzie jesteś?

– Nie wiem – powiedziała Liza. – To znaczy ze znajomym pojechałam przejść się... Po prostu...

– Ze znajomym? Masz „znajomego”?! Brawo, brawo, cieszę się... Kiedy wrócisz? Nie mówił ci, gdzie poszedł?

– Nie. To znaczy, nie, nie mówił. Wrócę...

– Wkrótce – podpowiedział Gorochow.

– Wkrótce – z rezygnacją powtórzyła Liza.

– Weź pod uwagę, że po drugiej nie będzie mnie w domu!

I Alena rozłączyła się. Liza opuściła telefon.

– Mam tego dosyć – powiedziała cicho, acz zdecydowanie. – Zgadzam się być bohaterem serialu, choćby drugoplanowym, nawet statystą. Zgadzam się żyć w koleinie i na ślepo. Niech wszystko zostanie tak, jak było!

Gorochow wziął szpadę, niczym rozeń, i prowokacyjnie powąchał kielbasę.

– Przecież jest mi ich żal – jeszcze ciszej powiedziała Liza. – Przecież to rodzina.

– Postacie.

– Dobrze. Rodzinne postacie. W gruncie rzeczy niczym nie różnią się od ludzi.

– Skoro – Gorochow przymrużył oczy po kociemu – postacie niczym nie różnią się od ludzi, to po co w ogóle nawarzyła pani tej kaszy?

Liza, nie odpowiadając, długo spoglądało w ognisko. W ciągu minionej doby świat zmienił się radykalnie: i co teraz, patrzeć w oczy Alenie, kłamać, że nie wie, gdzie jest Paszka...

A co będzie potem? Kiedy znajdą jego ciało w garażu, razem z torebką Lizy?! Gdzie, prócz talii

kart, leżą jeszcze i dokumenty...

– Liza, przecież ostrzegano panią – Gorochow zębami zdejmował kiełbasę z ostrza i jadł, oblizując się często.

– Przed czymś *takim*? Gdybym wiedziała...

– Zmianę gatunku trudno wcześniej przewidzieć. Wszystko zależy od mnóstwa czynników. Do tej pory byłem przekonany, że pani, po pierwsze, pretenduje do ludzkiego życia całkowicie sprawiedliwie, a po drugie, że osiągnie, co chce. Ale teraz nie jestem już tego pewien. Przykro mi.

– Mnie również – szczerze przyznała Liza.

Zamilkli.

– Denis, a co to znaczy być człowiekiem? – spytała Liza.

– No, jak to co – Gorochow zerwał wiązkę trawy i zaczął czyścić szpadę. – Po pierwsze, być ludzkim, odczuwać odpowiedzialność za świat, opiekować się zwierzętami, swoimi braćmi młodszyimi. Po drugie, być dumnym z miana człowieka i nie tracić go w obliczu niebezpieczeństw, niepowodzeń, światowych kataklizmów...

– Drwi pan? – Liza uśmiechnęła się blado.

– A pani? – spytał z powagą w odpowiedzi. – Zadaje pani pytanie przemieszczonej osobowości, i to na dodatek kotu, co znaczy być człowiekiem!

Potarł szpadę paznokciem, zakręcił, łowiąc plamy słońca, i schował z powrotem do laski.

– No ale pan, o ile dobrze rozumiem, obcował z tymi wszystkimi... fantomami jak ja – powiedziała Liza. – Z cieniami, z projekcjami, z rzeczami... z klątwami...

– Z klątwami nie obcowałem – sucho odpowiedział Gorochow. – Z pozostałymi – tak. Na życiowym poziomie różnica jest niezauważalna.

Słońce podnosiło się, podświetlając korony sosen. Z boku, w oddali, coraz głośniejsz dźwięczała droga.

– Lizo – powiedział Gorochow, zabawiając się laską. – A po co postanowiła pani zostać człowiekiem, skoro nie wie pani nawet, co to znaczy? Czym różni się to od pani obecnego statusu? W imię czego drażnić serial, wzburzać środowisko informacyjne i ryzykować swoim istnieniem?

Nie odpowiedziała.

– Mogę dokładnie powiedzieć, że być ludzkim mężczyzną jest o wiele lepiej, niż kotem, ponieważ kotom nie wydają praw jazdy – powiedział Gorochow. – Ale pani może powiedzieć, dlaczego lepiej być człowiekiem, niż prostym bohaterem serialu?

– Było mi... ciasno – powiedziała Liza. – Innego wyjaśnienia nie znam.

W trawie nieopodal ogniska głośno włączył się świerszcz.

– Co powinnam teraz zrobić? – spytała Liza.

Gorochow wzruszył ramionami:

– Trzeba poszukać kart. Gdzie one są?

* * *

Na porzuconej budowie było cicho i sennie, drzemały w trawie bezpańskie psy, kręciły się motyle i muchy. Liza siedziała, drząc, oglądając się co sekunda: zdawało się jej, że jest obserwowana, że cień przydrożnej lipy dziwnie się porusza, że na krawędzi widzenia zachodzi jakiś ruch, nie do wyłapania zwykłym spojrzeniem. Dylemat, związany z koniecznością wyboru między dwoma lękami – pozostaniem samą albo pójściem za Gorochowem w nieznośnie przerażający garaż – rozstrzygnęła w ten sposób, że bała się jednocześnie i tego, i tego. Garaż był, o dwadzieścia kroków, i minęło

długich pięć minut od chwili, gdy wszedł doń Gorochow; wokół, jak się zdawało, nie było nikogo, prócz psów i innych zwierząt, i nawet sklepik spożywczy nie podnosił od rana zakurzonych żaluzji okiennych. Liza siedziała na zwoju kabla, schowana w trawie i za stertą cegieł, i marzyła, żeby nikt jej tu z Gorochowem nie zobaczył. I nie zapamiętała, by zgłosić potem milicji.

Drzwi garażu otworzyły się. Wszedł Gorochow, trzymając w lewej ręce torebkę Lizy, a w prawej – laskę. Przymknął drzwi, pozostawiając je nieco uchylone, i ruszył ścieżką, lekko i zwyczajnie, jakby codziennie niczym innym się nie zajmował poza powrotami na miejsce zabójstwa.

– Proszę – podał Lizie torebkę. – Niech pani sprawdzi, czy są tam karty.

Na torebce widniała krwawa plama, ciemna i zaskorupiała, kształtem przypominająca Afrykę. Liza wahała się całą sekundę, nim wzięła torebkę do ręki.

Talii nie było. Stos drobnych bibelotów, dowód i pusta portmonetka – ale kart w torebce nie było.

– Ciekawe – powiedział Gorochow. – Może zostawiła je pani w domu?

– Nie... Nie pamiętam.

Popatrzyła na Gorochowa i zdołała powstrzymać atak hysterii:

– Nie mogę iść do domu. Alena mnie zobaczy i od razu wszystko pojmie. Nie zdołam z nią normalnie porozmawiać.

– Zdaje się, że po drugiej nie będzie jej w domu?

– Nie mam kluczy!

Gorochow wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, na którym Liza rozpoznała brelok Paszki.

* * *

W mieszkaniu było tak zwyczajnie i powszednio, że Lizie aż zakręciło się w głowie. Nie spała w nocy, kilka razy przeżyła atak śmiertelnego przerażenia; ponad wszystko na świecie chciała wziąć prysznic i położyć się spać we własnym łóżku.

Alena, wychodząc, zostawiła na kuchennym stole notatkę: „Zadzwoń, gdy przyjdiesz! I włącz telefon!”.

Karty znalazły się na stoliku w pokoju Lizy. Liza wzięła je w dłonie, mocno ścisnęła; nie w porę przypomniała sobie tamten dzień, kiedy Alena w tym samym pokoju dyrygowała młodymi w sprawie remontu, Paszka z zaspanym wyglądem siedział na parapecie, a Swieta przestępowała z nogi na nogę, zawczasu ze wszystkim pogodzona, cicha, pospolita do bólu zębów...

Czy Swieta była postacią? Jak poznać, kto z twoich bliskich jest człowiekiem, kto – informacyjnym fantomem, a kto – ożywionym przedmiotem?

Wyciągnęła telefon, żeby zadzwonić do Gorochowa, ale zorientowała się, że bateria padła. Znalazszy ładowarkę w szufladzie biurka, podłączyła go do gniazdka i znów bez sił opadła na łóżko.

Nie życzyła źle ani Swiecie, którą ledwo знаła, ani Paszce, który dorastał na jej oczach. Pojęcia nie miała, co teraz robić i co będzie z Aleną. Czuła chęć zamknięcia oczu.

Talia przesypywała się łatwo, jak nowa, nadpalone brzegi łaskotały dłoń. Liza dokładnie ją przetasowała, przysunęła bliżej poduszkę łóżka i zaczęła rozkładać. Co w głowie, co w domu, co było, co będzie. Co podeptujesz, czego się nie spodziewasz i czym serce zaspokoisz; pamiętała, że na letnim obozie razem z dziewczynkami znakomicie wróżyły na królów...

Ktoś natarczywie zadzwonił do drzwi. Jeszcze raz i jeszcze. Liza niefortunnie obróciła się na łóżku, i rozłożone na poduszce karty ześlizgnęły się i przemieszały.

Nie miała ochoty otwierać. Nieproszony gość nie miał zamiaru zdejmować palca z guzika dzwonnka.

– Wiem, że pani jest w domu!

Ostry kobiecy głos. Zaraz zbiegną się wszyscy sąsiedzi; sobota, trzecia po południu, awantura na klatce schodowej.

– Wiem, że jest pani w domu! Proszę otworzyć albo wezwę milicję!

Liza skuliła się. Boso podeszła do drzwi.

– Proszę otworzyć!

– Kto tam?

Dzwonek się urwał. Liza spojrzała w wizjer i zobaczyła dziewczynę o pełnych kształtach, jasną blondynkę, zamiast fioletowej sukienki miała teraz na sobie turkusową.

– Kto tam? – spytała blondynka nieco zmieszana. – Szukam Aleny Dmitrijewnej!

– Z jakiego powodu? – zainteresowała się Liza.

– Z takiego, że jestem w ciąży z jej synem! – blondynka mówiła głośno i wyraźnie. – Z takiego powodu, że ona go przede mną ukrywa!

Liza odeszła na palcach od drzwi. Wróciła do swojego pokoju, włączyła komórkę, nie odłączając jej z gniazdka.

– Halo – powiedział dostojnie Gorochow.

– Wygląda na to, że zaczęła się u mnie komedia absurdu – powiedziała z nerwowym śmiechem Liza.

– A co na to karty?

– Karty?

Liza popatrzyła na łóżko. Karty rozsypały się, częściowo spadły na podłogę. Wszystkie leżały koszulkami do góry.

– Zaraz, chwileczkę...

Znów zagrzemiał dzwonek przy drzwiach. Liza pośpiesznie zebrała talię. Przeliczyła; jednej karty brakowało.

Dzwonek nie cichnął. Z odsieczą pospieszyła mu komórka.

– Halo?

– Liza! – Alena nie kryła rozdrażnienia w głosie. – Dlaczego nie dzwonisz? Gdzie jesteś?

– W domu...

– Chwała Bogu! Paszka wrócił?

Liza zakrzuszyła się. Alena dokładnie pamiętała, że przybrana siostra nie miała kluczy do mieszkania.

– Przedzwonię do ciebie – Liza rozłączyła się. Na klatce schodowej dało się już słyszeć głosy sąsiadów.

Znów przeliczyła karty. Jednej brakowało; Liza opuściła się na czworaki i zajrzała głęboko pod łóżko.

Karta leżała koszulką do góry niemal pod samą ścianą. Liza wyciągnęła się, dosięgnęła gładkiego prostokąta, pociągnęła do siebie.

Odwróciła kartę.

To były dwa wiersze z ośmioma cyframi. Albo osiem kolumn po dwie cyfry. Albo osiem par, rozdzielonych kropkami. Cyfry nie były ani datami, ani numerem telefonu, nie miały sensu, mimo to wydały się Lizie znakomicie znanymi.

Trzęsącymi się rękoma szybko przemieszała talię. Zrzuciła poduszkę na podłogę i rozłożyła karty na wytartej narzucie. Wyszła znów ta karta: cyfry, czerwono-brązowe, w stylistyce prostej tablicy.

Rozłożyła poraz drugi. Trzeci. Talia poddawała się coraz gorzej, kleiła się, zdradzała chęć

wyślizgnięcia się z rąk. Za każdym razem wypadała wciąż ta sama karta; Liza tępo patrzyła na nią i nie mogła zrozumieć. Talia, korzystając z okazji, zjechała z krawędzi łóżka i rozsypała się po podłodze.

Dzwonek u drzwi nie milknął nawet na sekundę. Liza wybrała numer Gorochowa.

– Denis, nic nie mogę zrozumieć, tu są cyfry.

– Jakie cyfry?

– Trzy, jeden, kropka, pięć, dwa... Trzy, trzy, kropka... Co mam robić? Przyszła nowa kochanka Paszki, wystraszyła cały dom, wkrótce wróci Alena... Co mam robić?

– Zależy od tego, czego sobie życzysz.

– Chciałabym, żeby wszystko wróciło na miejsce!

– Tak – powiedział po chwili milczenia Gorochow. – Powinna pani trafić do Gospodarza. Ale nie jestem pewien, czy panią przyjmie.

– Przyjmie!

Zaczęła miotać się po pokoju. Wzięła torebkę. Odłożyła, zauważywszy plamę krwi. Znów wzięła. Pośpiesznie zebrała talię, włożyła do kieszeni dzinsowej spódnicy. Założyła buty w przedpokoju, na wszelki wypadek wzięła ciepłą kurtkę i, odczekawszy sekundę, otworzyła drzwi; na korytarzu, zwisając z poręczy i stając na palcach, malowniczo rozlokowali się sąsiedzi, a w centrum ich uwagi dyszała poczerwieniała blondynka. Naciskała na guzik dzwonka nawet po tym, jak Liza wyszła z mieszkania.

Sąsiedzi ożywili się.

– Sami widzicie, ona jest wytrącona z równowagi – powiedziała im Liza. – Widzicie przecież, że człowiek dobija się do cudzego domu – chociaż dzielnicowego byście wezwali!

– Sama pójde na milicję! – warknęła blondynka. – Wasza rodzinka cała taka sama! Gdzie Pasza? Jestem w ciąży!

– Paszy nie ma w domu – uprzejmie oznajmiła Liza. – I nie będzie. Zabiłam go, idę się przyznać – na dowód czego potrząsnęła zwiniętą ciepłą kurtką.

Sąsiedzi zarzeli wesoło. Blondynka wybałuszyła oczy:

– Nie ukryjcie go! Nawet na tamym świecie! Obiecał mi, że się ożeni – no i się ożeni!

Liza wykorzystała jej zmieszanie i uciekła po schodkach na dół.

Świat wokół był bardzo jaskrawy. Błękitne i żółte płytki na klatkach schodowych, czerwone poręcze, zielone ściany; dziwne, Liza nigdy wcześniej nie zwracała uwagi, na jakie tropikalne kolory pomalowana jest zwykła miejska brama. Chyba że w dzieciństwie, kiedy nagle zapomniała, kim jest, i rzeczy, do których się przyzwyczaiła, zdawały się nowymi, a własne imię – dziwnym. Ale w dzieciństwie uczucie to było straszne jak upadek, a teraz rozglądała się ze zdziwieniem, jak człowiek, który po raz pierwszy zdjął okulary z bardzo brudnymi szklami.

Wyszła na podwórko i zatrzymała się na chwilę, porażona potokiem świeżego powietrza, siłą i jasnością światła słonecznego, rywalizacją ptasich głosów. Uśmiechnęła się lekko – i zrozumiała, że nie uśmiechała się już od dawna, że jej twarz odzwyczaiła się od uśmiechania się i potrzebne mięśnie o mało co nie uległy atrofii. Ruszyła przez podwórko, dokładnie pamiętając i rozumiejąc, że Paszka zabił Świętę i sam zginął, a Alena jeszcze o niczym nie wie, i życie z każdym krokiem stawało się piękniejsze – być może dlatego, że każdy krok przybliżał do przepaści.

* * *

Krzak bzu ledwo poruszał zakurzonymi liśćmi. Słońce stało jeszcze wysoko, niebo pozostawało

czyste, a parasolki nie było w torebce. Liza zdecydowanie szła na przystanek busów; ogromna ulica była pusta, żółty motyl siedział na asfalcie, na białym pasie drogowych oznaczeń. W pyle obok ławki walał się pomięty plastikowy kubeczek. W okienku kantoru świeciły się, jak u kota, oczy ekspedienta Igora.

Liza podeszła. Igor spoglądał na nią z dołu do góry, niemal uniesieniem.

– Chcę pojechać do Gospodarza – powiedziała.

– Ja także – od razu zgodził się Igor. – Ale nie da rady, jeśli on sam nie wezwie.

– Mnie wzywał.

– Raz wezwał, i pojechała pani do niego. A po raz drugi już pani nie wzywał.

– Mam kłopoty – powiedziała Liza. – O wiele poważniejsze od tych, które miałam wcześniej. Już nie chcę być człowiekiem. Zadowala mnie rola bohatera drugiego planu.

– Nie powinna pani tak mówić – powiedział Igor szeptem. – Bycie człowiekiem jest odjazdowe. Ja bym chciał. Ale nie mogę.

– Naprawdę byłeś kursem dolara?

– W przeszłości – Igor szybko pokiwał głową. – W przeszłości – kursem dolara, to były trudne czasy, tak skakałem...

Wzniósł oczy, jakby kierował swe myśli ku sile wyższej. Liza, niemal wbrew woli, także podniosła głowę i ujrzała wiszącą nad nim tablicę z dzisiejszym kursem walut: trzy, jeden, kropka, pięć, dwa. Trzy, trzy, kropka, dziewięć, zero...

Ścisnęła talię kart w kieszeni, aż brzegi wbiły się w dłoń.

– Bardzo dobry kurs – ożywił się Igor, podążwszy za jej spojrzeniem. – Chce pani kupić dolary, euro?

– Igor – powiedziała Liza. – Co mam teraz robić? Powinien pan wiedzieć.

– Iść do końca, oczywiście – jakby ilustrując swe słowa, przesunął się do przodu, do kratki. – Być człowiekiem... odjazd. Zazdroszczę.

– A dlaczego odjazd? Co w tym odjazdowego? – Liza pochyliła się do okienka i chwyciła za kratkę tak mocno, jakby to nie Igor, lecz ona była tu zamknięta.

Kasjer mrugnął. Milczał chwilę, jakby w żaden sposób nie mógł się zdecydować.

– Postaci żyją w pionie – powiedział w końcu. – Od wydarzenia do wydarzenia, od perypetii do perypetii. Rzeczy żyją w poziomie – tylko w tym, co jest teraz, co dzieje się wokół nich, czy to będzie życie, czy remont, choroba albo miłość – grzęzną niczym w asfalcie. Cienie w ogóle nie żyją... Kłątwy... nie wiem dokładnie, i nic o nich nie powiem. I tylko człowiek, o ile mi wiadomo, zdolny jest do życia od razu w wielu wymiarach. Tylko człowiek jest zdolny cieszyć się światłem słonecznym teraz i spotkaniem z przyjacielem jutro. Bycie człowiekiem jest przepiękne, Elżbieto. Jeśli Gospodarz powiedział, że jest pani zdolna do zostania nim – dlaczego rezygnuje pani nawet ze spróbowania?

Liza przygryzła wargę:

– Ponieważ serial stawia opór.

– To dobrze, to znaczy, że wszystko robi pani prawidłowo.

– Tak, ale giną ludzie... Dobrze, niech to będą nawet postaci, ale one giną...

– Współczuje pani postaciom, które polubiła, a one tymczasem giną. To prawidłowe. Tak właśnie zachowują się ludzie.

– Ale przecież jestem przyczyną ich śmierci!

– To tylko tak się pani zdaje. W rzeczywistości serial sam wie, kogo i kiedy zabić...

Igor mówił żarliwie i przekonująco. Liza zagryzła wargę, żeby powstrzymać łzy, i odeszła od

okienka.

Na drodze nadal nie było ani jednego samochodu. I ani jednego przechodnia. Liza stanęła na brzegu chodnika, wyczekując na tramwaj, wypatrując go – ale minuta mijała za minutą i nic się nie wydarzało.

Nogi przestały ją trzymać. Ciężko opuściła się na skraj ławki, wyciągnęła karty i rozłożyła wprost na kolanach, na spódnicy. Wypadła nowa karta.

To był tekst, który mogła wyrecytować z pamięci, tekst, wydrukowany krzywo, po przekątnej, na wierzchu niezrozumiałych ołówkowych schematów: „człowiek, przez obraz którego przekazywane są jego wewnętrzny świat, charakter, stan psychiczny, a także ludzkie ciało, przekaz ruchu...”.

Od nowa przetasowała talię.

„...wewnętrzny świat, charakter, stan psychiczny, a także ludzkie ciało...”

Zadzwonił telefon w upačkanej krwi torebce.

– Halo!

– Liza, mamy problemy – zdławionym głosem powiedział Gorochow. – Niech pani szybko idzie na najbliższy posterunek milicji.

– Gdzie?!

– Niech pani idzie na milicję, przyznać się do zabójstwa siostrzeńca.

– Co?!

– Jeśli teraz panią zamkną, być może uda się panią uratować.

– Przed czym?

– Nie ma czasu!

– Ale ja go nie zabiłam! Nie zabiłam...

– Proszę działać, jeśli chce pani żyć!

Zapisały krótkie sygnały. Liza spotkała się spojrzeniem z Igorem, przyglądającym się jej z głębin swojej budki.

– Tramwaj nie przyjedzie? – spytała.

Igor przecząco pokręcił głową.

Liza wstała i, chwiejąc się, ruszyła do metra. Tam, gdzie powinno być metro. Krzew bzu służył jej za punkt orientacyjny; oto przeszedł przechodzień, a oto od razu troje. Oto przetoczył się po chodniku, trąbiąc, samochód. A oto już cały tłum, jak dużo ludzi, cienie na asfalcie, kolorowe papierki po cukierkach obok kosza na śmieci, dzieci z balonikami z McDonalda, trolejbus...

– Elżbieto Nikołajewna!

Odwróciła się. Człowiek o przenikliwych oczach, przypominający śledczego po cywilnemu, jak przedstawiają ich w kinie – ten sam człowiek podniósł się z ławeczki na skraju trawnika.

– Elżbieto Nikołajewna, czy można panią prosić na kilka słów?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, być może przecząco i ostro – ale w tej samej chwili ktoś złapał ją od tyłu, zatkał usta, prysnął czymś w twarz, i film jej się urwał.

* * *

Kiedy wepchnęli ją do piwnicy, wciąż nie do końca kontaktowała, i nogi uginały się pod nią co krok. Prowadziło ją albo ciągnęło dwóch mężczyzn w medycznych rękawicach; w piwnicy paliły się pod sufitem gołe żarówki, wzdłuż ścian ciągnęły się rury, pomalowane szaro-zieloną farbą, i czarne kable. Podłoga była betonowa, z kilkoma podeschniętymi kałużami, każda – w białej, nierównej obwódce skryształizowanej soli.

Na podłodze, w kręgu światła rzucanym przez jasną lampę, siedział Gorochow: oczy podbite, usta we krwi, spojrzenie mętne; ręce miał skute za plecami milicyjnymi kajdankami.

– Denis! – Liza dopiero teraz się przestraszyła.

– Wpadliśmy – tylko tyle powiedział Gorochow. I odwrócił się, jakby nie chcąc patrzeć jej w oczy.

Lizę puszczone. Przysiadła obok Gorochowa, wyciągnęła z torebki chusteczkę i próbowała przemyć jego wciąż krwawiące, naderwane ucho. Potrząsnął głową:

– Nie trzeba.

– Denis...

– Co powiedziały karty?

– Nie wiem. Nie zdążyłam. Nie zrozumiałam.

Gorochow zaryczał przez zaciśnięte zęby.

Liza potrząsnęła głową. Wracała do niej zdolność patrzenia bez zawrotów głowy i kontaktowania bez długich przerw; coś się działo w półmroku wokół, zbierali się ludzie, ich buty to zdecydowanie, to bojaźliwie stąpały po betonowej podłodze: męskie letnie buty, zakurzone adidas, plażowe sandały, kobiece mokasyny, a nawet pantofelki na szpilkach. Przetoczył się, poskrzypując kółeczkami, stolik barowy. Pstryknęła zapalniczka, zapaliła się jedna świeca, druga, i wkrótce na podłodze wokół Lizy i Gorochowa wyrósł cały las płonących świeczek. Nieprzyjemny dźwięk kredy po betonie zmusił ją do skulenia się; kilka rąk zabrało się do wypisywania na podłodze znaków, kręgów i trójkątów, i Liza z Gorochowem znaleźli się w pierścieniu kredowych wzorów.

Przejawy okultystycznego rytuału stawały się coraz bardziej widoczne. W półmroku zamajaczyły twarze okryte przezroczystymi, silikonowymi maskami, przez co wyglądały niczym wymazane tłustą warstwą tłuszczu.

– Co wy wyprawiacie? – spytała głośno Liza.

Nikt jej nie odpowiedział. Jedna kreda złamała się z trzaskiem, jej odłamek doleciał niemal pod nogi Lizy – biały i ostry, niczym kość. W tej samej chwili żarówki zgasły. Piwnicę oświetlały teraz tylko płomyki świec; twarze, podświetlone od dołu, utraciły resztki pozorów uroku.

– Fagocyty – powiedział głos, wzmocniony mikrofonem do karaoke. – Wiecie, jak cierpi w ostatnim czasie przestrzeń informacyjna, jak potwornie zaśmiecają ją, skrzywiają i zapaskudzają wydechy naszego niezdrowego społeczeństwa. Między ludźmi bezpardonowo rozpychają się bohaterowie seriali, pospolite i prymitywne stworzenia, parodie ludzi! Między ludźmi żyją także cienie i rzeczy, nie mówiąc już o klątwach, których nie udało nam się dotąd schwytać, ale bez wątpienia w końcu nam się uda! Gospodarz toleruje to, ni to porzuciwszy ludzi na pastwę losu, ni to całkowicie zdając się na nas, fagocyty. I my nie zawiedziemy jego oczekiwań.

Głos zamilkł. Pod sklepieniem piwnicy zrobiło się cicho. Ledwo słyszalnie szemrały wnętrza grubych rur.

– Przed wami dwie nieludzkie kreatury, fantom i przemieszczona osobowość – ze znużonym obrzydzeniem w głosie powiedział niewidoczny mówca. – Dziś oczyścimy z nich informacyjną przestrzeń. Gotowość za sześćdziesiąt sekund.

I znów zrobiło się cicho. Silikonowe maski podeszły bliżej i dokładniej obstały Gorochowa i Lizę.

– Poczekajcie! – powiedziała głośno. – Mylicie się. Złapaliście nie tych, co trzeba! To pomyłka!

Widocznie wszystkie ofiary przed nią zaczynały usprawiedliwianie dokładnie tymi słowami. I ofiary po niej też nie wymyślą niczego nowego; maski podeszły jeszcze o jeden krok. Nie przejęły się słowami Lizy.

– Nikt nie ma prawa oczyszczać z nas przestrzeni! Jesteśmy takimi samymi stworzeniami jak wy! My... być może akurat próbujemy stać się ludźmi!

Żadnego efektu. Tłum schodził się w milczeniu i nie można było pojąć, co dokładnie zamierzają przedsięwziąć fagocyty. Zgnieść jeńców masą, zadusić, jak w przepełnionym autobusie?

Gorochow uniósł głowę, zjeżył włosy na głowie i wyszczerzył się niczym zapędzony w pułapkę kot. Liza wpatrywała się w maski, usiłując rozróżnić pod nimi twarze; próbowała zrozumieć, który z fagocytów pojawił się w piwnicy w adidasach, który w sandałach, który w pantoflach na szpilkach. Obuwie, które widziała przypadkiem pół godziny wcześniej, wydało jej się kluczem do ratunku, kodem, pępowiną, łączącą nedorzeczną wizję z bytem, z powszedniością, z życiem.

Maski zaczęły zlewać się ze sobą. Monolityczny tłum stał się gęstym, agresywnym środowiskiem, niczym kwas siarkowy, zagęszczony do konsystencji gumy do żucia. Liza rozumiała, co się dzieje, i co wydarzy się za minutę; jak zlewają się kulki rtęci, jak spiekają się roztopione strużki, tak okrążający ich tłum zlepiał się w jedną całość, więżąc Lizę i Gorochowa w żywieniowej wakuoli i szykując się do uczyty.

Pochyliła się, zamierzając przewrócić się na Gorochowa, i nastąpiła na odłamek kredy. Ostra krawędź przebiła cienką podeszwę pantofla, jak żadne ziarenko grochu nie przebijało tuzina materaców. Liza krzyknęła.

W dzieciństwie, jak również w młodości, zdarzały jej się momenty, w których wydawało się, że wszystko wokół jest obce. Jej imię, powtórzone sto razy, obco i dziwnie brzmiało, a znajome przedmioty wyglądały inaczej. Wtedy jedynym ratunkiem były codzienne, rutynowe czynności: powtarzane trasy, porządek, rozkład dnia.

Budziły w niej lęk przeciągające się wolne dni. Nagle zmieniające się plany. Święta. Urlopy. Przeprowadzki.

Ale była przewodnikiem i nie obawiała się tłumu. Wiedziała, co trzeba przeciwstawić obojętności, kpinie, a nawet agresji: głośną, wyważoną mowę.

– Rzeźba przedstawia realny świat! – wykrzyknęła w twarze przybliżających się masek. – Jednak jej głównym obiektem wyrazu jawi się człowiek, przez obraz którego przekazywany jest jego wewnętrzny świat, charakter, stan psychiczny! A także ludzkie ciało!

Nieruchome powietrze w piwnicy zadrzało. Gorochow ciężko oddychał i spoglądał na Lizę.

– Wyrazistość rzeźby osiąga się z pomocą budowy głównych planów, płaszczyzn światła, objętości, masy, współzależności rytmów. Największe znaczenie mają wyrazistość i harmonijność kształtu! Wyrazistość i harmonijność kształtu! Wyrazistość i harmonijność!

Zrobiła krok do przodu i ściana masek cofnęła się pod jej naporem.

– Jeden z rodzajów rzeźby, możliwy do obejrzenia ze wszystkich stron, nazywa się rzeźbą pełną. Możliwość obejrzenia jest jednym z ważniejszych warunków percepcji rzeźbiarstwa!

Kałuże parowały, podnosząc mgłę nad zwierciadłami ciemnych powierzchni. Białe krawędzie soli robiły się coraz szersze i zaczęły upodabniać się do pierścieni Saturna.

– Aby obejrzyć trójwymiarowy kształt rzeźby, przedstawić sobie rozwiązanie rzeźby jako całości albo zobaczyć wszystkie figury grupy rzeźb, widz musi obejść dzieło rzeźbiarskie wokół!

Liza krzyczała pełnym głosem. Liza odczuwała natchnienie, niczym diwa operowa w czasie benefisu; w tym momencie, nie na długo, po raz pierwszy i być może ostatni raz w życiu, ujrzała świat – i siebie – jak widzą go ludzie.

Doskonała wyrazistość i ostrość. Spokój w połączeniu z ruchem. Harmonia każdego kroku, dźwięku spadających kropel deszczu i szelestu liści pod nogami, świadomość, że nie ma gdzie się spieszyć. Liza pojęła w tym momencie, za czym tęsknił nieszczęsny Igor, gdy mówił o radości

słonecznego światła.

A potem natchnienie skończyło się i Liza od razu zapomniała połowę z tego wszystkiego, co czuła i wiedziała w owym momencie. I ogarnął ją smutek.

W piwnicy ciężko oddychały dziesiątki ust. Przeszępowały na betonie adidasy i pantofle. W tylnych rzędach ktoś zaczął zdejmować silikonowe maski – twarze pod nimi były spocone, czerwone i zakłopotane.

– Rzeźba życia ukazuje ludzi w zwykłym dla nich środowisku, przy codziennych zajęciach – oznajmiła ostro Liza, jakby wbijała w mogiłę osinowy kołek. Języczki topniejących świec zadrżały. Pod nogami skrzypnęła kreda, roztartą niemal na proszek.

– Kto pilnuje oświetlenia?! – krzyknął ktoś dyszkantem w głębinach piwnicy. – Dlaczego u was prawie połowa plafonów w ogóle się nie świeci? Co z odsłuchem w prawym kącie?

Napięta cisza rozprysła się. W jednej chwili rozpoczął się ruch, gderanie i przekleństwa.

– Nie chodźcie po kablach! Patrzcie pod nogi!

– Koniec zmiany, będzie dziś obiad czy nie?

– Odchodzę, skończył mi się kontrakt...

– Sprawdźcie złączki! Gdzieś iskrzy...

– Inżynier dyżurny do mnie! Natychmiast!

Figury poruszały się w półmroku, łączyły się i rozpadały. Gdzieś kapiała woda, warczały rury, różnymi głosami dzwoniły telefony komórkowe.

Liza osunęła się na beton, na rozdeptaną kredę. Gorochow obrócił w jej stronę napuchniętą, całą w sińcach twarz:

– Jak pani to zrobiła?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

* * *

Rudy trzynożny kot spokojnie spał na tapczanie. Gorochow siedział, przyciskając do twarzy worek z lodem, i od czasu do czasu wzdychał przez zaciśnięte zęby. W jego obszernym salonie nudziły się w wielkim akwarium gekony i parowały na stoliku barowym dwie filiżanki kawy.

– Zdradzę panu straszną tajemnicę – powiedziała Liza. – Ludzi nie ma.

– Nie rozumiem – Gorochow spoglądał na nią zza worka, niczym spod wielkiej cyklistówki.

– Ludzi nie ma. Wszyscy jesteśmy fantomami i fagocytami. Cienie, rzeczy, postaci, odbicia, przemieszczone osobowości, i zapewne tysiące innych rodzajów. Wymyśliliśmy sobie, że żyjemy wśród ludzi, i to pomaga: niektórzy z nas nawet chcą stać się ludźmi. A fagocyty – te wyobraziły sobie, że walczą za ludzi.

– Ludzie są wszędzie wokół nas – bez przekonania zaoponował Gorochow. – Na ulicy. W tłumie...

Liza pokręciła głową:

– Nie. Człowiek jest wielką rzadkością. I wartością. Rozumie pan?

– Nie – powiedział ze smutkiem Gorochow. – Jestem zwykłym kotem. I dziś stchórzyłem tak, jak nie zdarzyło mi się od czasu pamiętnej katastrofy.

– Nigdy wcześniej nie spotkał pan fagocytów?

– Nie było żadnych fagocytów, rozumie pani? Do czasu, dopóki nie zabrałem się do pomagania pani – fagocytów nie było! A teraz są, mało tego – były zawsze! Polują, widzi pani, na fantomy, oczyszczają informacyjną przestrzeń, i ja, przemieszczona osobowość, zmuszony jestem do ciągłego oglądania się przez ramię! Ponieważ ja, w odróżnieniu od pani, nie jestem zdolny do przerabiania

akcji z marszu, zmieniania katów w wycieczkowiczów, rzeczywistości – w imitację, i jeśli złowią mnie w pojedynkę – oczyszczą niezawodnie ze mnie świat, może być pani pewna!

– Przepraszam – powiedziała Liza.

– Nie ma pani za co przeproszać...

Podniósł leżącego na dywanie pilota od telewizora i skierował na plazmę na ścianie. Ekran rozświetlił się.

– ...przeraziła się. Ale, rozumiesz, jeśli teraz nie uda się go zaobrączkować, potem w ogóle nie zechce. Trzeba zagnać go w jakieś ramki, póki to możliwe...

Szedł serial. Mówiła młoda kobieta, zadbana, szykowna, w profesjonalnym makijażu.

– Zapewne – zgodziła się jej rozmówczyni, uosobienie niewinności z rudymi puklami na skroniach. – A z kim on się ożeni?

– Z osiemnastoletnią dziewczyną z prowincji...

Gorochow przełączył kanał. Pojawiła się hala koszykarska i dwumetrowi mężczyźni z mokrymi od potu twarzami podjęli walkę o piłkę.

Gorochow wyłączył telewizor.

– Niech mi pani opowie, jak to jest – powiedział po chwili milczenia.

– Co?

– Jak to jest być człowiekiem.

– Nie wiem. Ja przecież nie...

– W najgorszym razie ma pani wyobrażenie.

– No... – Liza zamyśliła się.

Wyciągnęła talię z kieszeni spódnicy. Karty ślizgały się i szeleściły, jak nowe, i wydawało się, że same prosiły się, żeby je przetasować.

Rysunki i plany pomieszczeń. Skrzyżowania dróg, strony dokumentów, wydruki rachunków i paragony z supermarketów – wszystko w czarnej ramce nadpalonych krawędzi. Liza rozkładała je, karta przy karcie, trzynaście w rzędzie, i jeszcze, i jeszcze, dopóki nie rozłożyła wszystkich na dywanie pośrodku pokoju, wierzchem do góry.

– Człowiek – powiedziała Liza – zdolny jest do życia w wielu wymiarach. Jest falą, konsekwencją fal, niczym przyptyw. I jest jeszcze strumieniem cząstek, ruchem do celu, zamachem i uderzeniem, motywacją i działaniem. Rzuca cienie, buduje rzeczy, tworzy kłątwy, wymyśla postaci. Wszyscy jesteśmy płaskimi obrazkami, śladami stóp na drodze albo odbiciami zębów na ogryzku jabłka. Wszyscy uświadomiamy sobie w tym świecie dlatego, że istnieją w nim ludzie. Jeśli nawet nie chodzą w pobliżu, to jednak istnieją, jak idea, jak wartość...

Gorochow słuchał jej z wytężoną uwagą. Liza, zamyśliwszy się na chwilę, spojrzała w dół.

W tym momencie wzór na kartach, w przypadkowym układzie rozłożonych na dywanie, utkał się w jeden obraz. Liza ujrzała deszcz, ruchliwą powierzchnię kałuż, strumienie wody na asfalcie. Ujrzała kwitnący krzew bzu, kipiący z klombu, niczym kasza z czarodziejskiego garnka. Bryzgi uderzyły ją w twarz, zakręciło jej się w głowie, i upadła w karty niczym w studnię – pod deszcz.

* * *

Strumienie wody młóciły po tkaninie parasolki, po kolorowych jagodach i rumiankach. Nogi przemokły do kolan; pod krzakiem bzu stał, kryjąc się przed deszczem, człowiek w jasnej marynarce i dzinsach. Przyciskał do piersi płaską teczkę – i błyszczące opakowanie kociej karmy.

Wyglądał, jakby zszedł ze starej czarno-białej fotografii, chociaż jego dzinsy były błękitne, a

marynarka – beżowa. Zapewne w tej właśnie chwili zabrakło kategorii „kolor” i „forma”, albo nawet „czas” i „wiek”, albo „faktura” czy „cena”; człowiek spoglądał do góry, w niebo, kulił się i słabo się uśmiechał. Przez liście bzu już przebijały się krople.

Jeszcze dwie minuty i zmoknie, pomyślała Liza. Podeszła, stąpając po kałużach, pytająco podnosząc otwarty parasol:

– Może schowa się pan?

– Dziękuję – powiedział pośpiesznie mężczyzna. – Ale pobiegnę chyba do metra, mój kot od rana nic nie jadł...

– Ja także pobiegnę – powiedziała Liza. – Też muszę do metra.

– Dziękuję – uśmiechnął się szerzej. – Ostrożnie, chodzi pani po kałużach...

– Wszystko mi jedno – powiedziała Liza.

Patrzyła na niego, jakby przez zaparowaną szybę, i w miarę tego, jak deszcz zmywał parę, widziała go coraz wyraźniej.

Przełożył Paweł Ludański

Stereogram Szarego Fortu w dniach jego chwały

Lewy:

Przewodnik poprowadził nas przez wzniesienie i ujrzeliśmy przed sobą zrujnowaną fortecę, uwieszoną nad pogórzem jak zniszczone ciało na stole sekcyjnym. Zobaczyłem ją pierwszy, ale oczywiście Jessica widziała ją lepiej. Zatrzymywała się swoimi młodymi oczami na postrzępionych fundamentach każdej zwalonej wieży, na szarych kamiennych blokach, które leżały tu przez wieki, rozrzucone od czasu sforsowania szerokich murów, na widocznych częściowo przez wyrwy w murze porzuconych pałacach i zbrojowniach. Chłoneła wszystkie szczegóły, dopasowując każdy z nich do opowieści, które słyszała od dziecka, a ja ponownie pomyślałem, jakim darem było dzielenie z nią wzroku.

Przy ścieżce odtworzono historyczną wartownię, a kiedy mijaliśmy wejście, siedzący wewnątrz handlarz zerwał się na nogi. Nasz stary przewodnik zrobił gest, jakby chciał skierować mnie do środka.

– Można tu kupić wiele udanych obrazów Szarego Fortu – powiedział swoim brzęczącym akcentem. – Nadają się świetnie na kartki z życzeniami pocztówkami i rodzinowymi kartkami wakacji i tym podobne. Jeśli zechcą państwo wejść...

– Nie bądź nedorzeczny – powiedziałem i strząsnąłem jego dłoń. Napiwek, jakiego się po mnie spodziewał, mógł pewnie wykarmić go przez tydzień. Nie było potrzeby dotować również jego kuzyna. Poszliśmy z Jessicą dalej i zanim nas dogonił, przepaszajaco wywrócił oczami do człowieka w środku wartowni.

Ścieżka, która kiedyś była szeroką drogą, była pełna dziur. Dawniej, w okresie rozkwitu fortu, między kamiennymi płytami chodnika ułożono skrawki żelaza, odzyskanego przez ludzi z ich nieczynnych maszyn. Dawniej, marsz tą drogą był bolesny – stopy paliły nas, a kiedy tylko było to możliwe, mój pułk trzymał się krawędzi drogi i pól. W latach po zwycięstwie Elfów odkomenderowaliśmy oddziały Ludzi, żeby tu i w innych miejscach, których przed nami bronili, wybrali truciznę z ziemi i wrzucili ją do morza.

Jessica założyła dla mnie luźny jedwab. Ze wzgórz nadciągnął chłodny wietrzyk i zmarszczył tkaninę na jej gładkich ramionach. Ten widok zachwycił mnie, a ona wiedziała o tym. Uśmiechnąłem się do niej, a moja ukochana przez chwilę z wahaniem odwzajemniła moje spojrzenie. Nasze związanie wciąż było na tyle nowe, że czasami wydawało się jej dezorientujące: spojrzenie sobie nawzajem w oczy potrafiło przyprawić ją o powtarzający się nieskończenie obraz nas samych, któremu towarzyszyły zawroty głowy, skręcające nam obojgu wnętrzności. Przez pewien czas będzie wymagała delikatności. Tak samo było z moją pierwszą żoną: niezręczny wstępny okres dopasowania, który przeszedł w stulecia bliskości i zaufania, wciąż wzmacnianych ciągłym dzieleniem naszych pięciu zmysłów. Poznałem każdy aspekt jej życia, i nie oddałbym ani chwili,

nawet podczas tych długich ostatnich lat bólu, kiedy jej choroba ścisła ją mocniej niż ja kiedykolwiek mogłem. Kiedy umarła, byłem zdumiony, że nie odszedłem wraz z nią i przez mijające dekady wciąż nie mogłem znaleźć sobie miejsca w tym ponurym i bezbarwnym świecie, a nawet w naszym własnym. Choć nie zdarza się to często, myślę, że wybór tym razem ludzkiej kobiety jako oblubienicy był mądry: są kruche i żyją krótko, a mnie nie czeka znowu podobna, przeciągająca się choroba ani ta sama głębia miłości.

Chociaż Jessica nie mogła oddać bezpośrednio mojego spojrzenia, widziałem, że w tym czystym świetle jej piwne oczy były zielone jak świeże liście. Obserwowałem jej szczupły, nieświadomy wdzięk i sposób, w jaki wiatr szarpał gęstą masą jej ciemnych włosów i po raz setny pomyślałem, że nikt nie może twierdzić, że nie jest równie piękna, co któraś z naszych kobiet. Ich kobiety nie poddają się wiązaniu tak dobrze jak nasze, ale odkryłem, że korzyści są warte ryzyka. Jesteśmy teraz z Jessicą doskonale zsynchronizowani. Nasze odczucia są tak ściśle powiązane, że odgadujemy nawzajem swoje myśli; wiem, kiedy strawa w jej ustach odpowiada jej podniebieniu; a w chwilach intymności jestem w stanie dać jej dokładnie tyle przyjemności, ile potrafi znieść.

Przewodnik pokierował nas prosto w stronę niszczonej bryły fortecy, a nierówna ścieżka obudziła starą wojenną ranę w moim udzie. Gdybyśmy szli powoli, mógłbym ukryć, że kuleję, ale oczywiście Jessica i tak by wiedziała.

Po obu stronach ścieżki ciągnęły się dzikie łąki. Dawno temu, cała ta kraina była pełna pól i pastwisk, przystrzyżonych przez krowy i owce, ale od tamtej pory pozostawała nieuprawiana przez całe ludzkie pokolenia. Nad nami jakiś jastrząb kołował ciasno, rozłożywszy końce skrzydeł, jak palce uniesionej w powitaniu dłoni. Niewątpliwie, gdzieś w krzakach jakiś królik żałował, że nie może przemyśleć ponownie swojego ostatniego ruchu. Z pewnością przykucnął zeszywniały, z ciałem wstrząsanym gwałtownym biciem własnego serca, czekając, aż cień łowcy prześlizgnie się nad nim. Zaciekawilo mnie, czy zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie bardziej żywy niż w tej właśnie chwili i czy znał jakiś sposób, żeby zachować ją w pamięci. W końcu po to właśnie został stworzony.

Tu i tam dostrzegaliśmy przed sobą kilka innych grupek turystów, głównie Elfów z orszakiem. Nie było już wielu, którym zależało na wiedzy o wczesnych dniach tak jak mojej Jessice. W istocie był to powód, dla którego się spotkaliśmy – usłyszała, że w jej mieście znajdował się pewien stary bohater okresu Restauracji i odszukała mnie. Nawet jej anachroniczne imię, które z trudem toczyło się szorstko po języku, przywoływało minioną epokę.

Nasz przewodnik szedł z trudem naprzód swoim własnym trzęsącym krokiem.

– Dawnymi czasy, kiedy forteca jeszcze stała – powiedział – przy całej drodze stało wiele, wiele redut, wież i palisad. Armie trzęsły się ze strachu na samą myśl o przejściu nią.

Zażarta duma w jego głosie trzymała się kurczowo strzępów dawnej wspaniałości jego rasy, jak można było się spodziewać u dawno pokonanych ludów. W istocie, dawniej był to wspaniały widok, ale kiedy przyszedł czas, te przeszkody nie powstrzymały nas przed zdobyciem doliny. A Wielkie Oblężenie, które złamało tę fortecę, ostatnia akcja naszej wielkiej wojny o ujarznienie tego dziwnego świata, było nieskomplikowaną akcją, której towarzyszyły nieliczne niespodzianki.

– A jednak w końcu to wy złożyliście broń – powiedziałem pod nosem.

– To prawda: w końcu – wymruczała do mnie w odpowiedzi Jessica. Mogłaby wyszeptać to po drugiej stronie świata, a poczułbym jak jej usta formują słowa. Wzrokiem ledwie sięgała mojej tuniki, ale miała tę łobuzerską minę, jaką robiła, kiedy wyzywała mnie do dyskusji. Jakże zachwycający był dla mnie jej ogień! – Ale ludzie odpierali wasze ataki przez całe stulecia, jeszcze nawet zanim mieli szansę dopasować się do zmian, które wprowadził w naszym świecie Piękny Lud.

– Nie mieli się *dopasować*, kochana. Mieli odkryć swoją chwałę. Sam ten chaos był dla nich darem, i jestem pewien, że w swoich sercach ludzie tamtych czasów o tym wiedzieli. Kiedy po raz pierwszy rozdzieliliśmy zasłonę między naszymi światami i powróciliśmy do tego, wasze obce zwyczaje zmieniły was już w cienie, które ledwie dostrzegaliśmy. Wiesz, jak źle tu było: całą pracę i myślenie wykonywały maszyny zbyt małe, żeby je dostrzec.

– Nie możesz zaprzeczyć, że w tamtych czasach byliśmy silni – rzuciła w odpowiedzi.

– Silne były może wasze armie, ale nie wojownicy. Wasi ludzie nie mieli pojęcia o tym, co znaczy być żywym. Zatrzymaliśmy te maleńkie maszyny, wzywając moc uśpioną w ścięgnach i kościach waszej własnej ziemi, i w ten sposób daliśmy wam szansę, żeby znowu żyć i umierać dzięki sile waszych własnych ramion. A jak walczyliście, choć było to dla was nowością! Podziwialiśmy was i baliśmy się aż do chwili waszej klęski.

Nigdy wcześniej jej o tym nie wspominałem. Może to pierwszy po tych wszystkich latach spacer po polu bitwy przywołał to wspomnienie. Nieważne. Teraz, oczywiście, nie mogliśmy pozwolić sobie na podziw i strach. Byli dziećmi, które potrzebowały naszej prowadzącej ręki, żeby nie popełnić znowu tych samych błędów – choć ta odpowiedzialność była nużąca.

– Szary Fort uważa się za najlepszy przykład ludzkiej architektury ery Oporu – recytował nasz przewodnik, w miarę jak zbliżaliśmy się do zewnętrznego muru. – Zbudowano go w trzydzieści trzy lata – jak państwo wiedzą, trzydzieści trzy to szczególnie pomyślna liczba – wykorzystując wydobywany ze wzgórz za nim granit. O wiele większy niż zwykła wojskowa forteca, był główną bazą Armii Północnego Wschodu, jak i świty, służby, doradców, żon, małżonków i haremów watażków, którzy dowodzili nią przez sto osiem lat. Był to pierwszy budynek, przy budowie którego użyto pewnych metod obróbki i układania wielkich kamiennych bloków, zapomnianych od niemal tysiąclecia.

– Doprawdy? – powiedziałem. – Pomogliśmy wam odzyskać waszą utraconą przeszłość.

– Cóż, proszę pana – pozwolił sobie na cierpki uśmiech, który odsłonił szczyrby między zębami. – Nie nazwałbym tego „pomocą”.

Zapominał się.

– Czyżby? A jak dobrze wiesz, co wydarzyło się w tamtych czasach?

– Posiadam doktorat z historii sprzed ery Oporu z Uniwersytetu Terytorium Północnego Wschodu, proszę pana.

– Oczywiście – powiedziałem. Tubylczy tytuł z tubylczej uczelni. – A jak pożyteczny się okazał?

Stary głupiec rozpoznał drwinę. Odpowiedział uśmiechem i ukłonem, po czym wrócił na ścieżkę.

– Lekcja dla ciebie, kochana – powiedziałem bezgłośnie. – Tamte czasy już minęły. Historia lat sprzed przybycia do was Elfów jest pożyteczna tylko jako pamiątka błędów, których już nigdy nie powinniście powtórzyć. Z powodu twojej wyjątkowej pozycji, pewnego dnia twój lud poprosi cię, żebyś uczyła go mądrości i zawsze musisz o tym pamiętać.

Jessica przytaknęła mądrze. Jak na swoją rasę była wybitnie bystra. Kiedy poznaliśmy się, chłoneła każdy szczegół Dni Konfliktu i widzianych przeze mnie bitew, którym się z nią dzieliłem. Jej spostrzegawczość i rozum dostarczyły mi bodźca, żebym usprawnił swój rozum i poznał siebie lepiej – a dokładnie tego potrzebowałem teraz, kiedy oczekiwano po mnie, że zadomowię się w roli Prefekta tego nędznego dystryktu. Kiedy dotarło do mnie, że muszę uczynić ją swoją oblubienicą, pośpieszyłem do jej ojca. Nie chciał stracić córki i pomimo zatłoczonej rudery i niezdrowych slumsów, w których trzymał rodzinę, odrzucił ofertę finansową. Jednak byliśmy z Jessicą zbyt ważni dla siebie i nie miałem innego wyboru, niż użyć swoich wpływów w całej jego społeczności. W końcu wyraził zgodę, a ja byłem przejęty jak uczeń.

Mówią, że kiedy przekazano tę wiadomość Królowej, przez chwilę rozważała ją leniwie, po czym roześmiała się i pobłogosławiła nasz związek, a cały jej olśniewający, wytworny dwór śmiał się razem z nią.

Kiedy zbliżaliśmy się do fortecy, Jessica ponownie zwróciła kilka razy uwagę na szczątki, które były kiedyś wielką bramą. Leżała, gnijąc, tam, gdzie zostawiliśmy ją przed murami, i Jessica zatrzymała się myślami nad jej poskręcany kształtem. Musiała zastanawiać się, jakich środków ataku użyliśmy, żeby wyrzucić ją raczej na zewnątrz niż wbić do środka. W istocie twierdzę zajęliśmy pokonując mur w innych miejscach. Bramy i łuki roztrzaskaliśmy całe dni później, od środka, kiedy pustoszyliśmy twierdzę rozczarowani, że nie pozostał już nikt, żeby z nami walczyć. Od tej pory jej lud nie przestał nas rozczarowywać. Od lat w tajemnicy posyłaliśmy coraz więcej naszych żołnierzy do domu. Niepotrzebne tu już były siły okupacyjne – sama pogłoska o nich wystarczy, żeby zapewnić uległość tych owiec.

– Przed wejściem – powiedział mi cicho nasz przewodnik – zobaczycie państwo wielu handlarzy, czekających na turystów.

Istotnie, na płaskiej przestrzeni przed ziejącą paszczą łuku, apatyczne stado kramarzy stało przy stołach i straganach, i sprzedawało błyskotki z przewieszonych przez ramię worków

– To nic niewarte stado przekupek, oszustów, kieszonkowców i złodziei, i kiedy będziemy tamtędy przechodzić, powinniście trzymać rękę na portfelu i nie zwracać na nich uwagi. – W końcu coś, w czym miałem ochotę uznać jego zdanie. – Później zabiorę państwa w pewne miejsce, którego właścicielowi można ufać i gdzie z pewnością dostaniecie to, za co zapłaciliście.

Podeszliśmy bliżej. Sprzedawcy rzucili się naprzód i otoczyli nas, wciskając nam pamiątki pod nos, pokrzykując, ziejąc zgniłym oddechem i prowadząc w stronę swoich tandetnych stołów. Próbowali przekrzyczeć się wzajemnie i kłębili się wokół nas w przyprawiającym o zawrót głowy, niemytym wirze, podwojonym przez wrażenia mojej oblubienicy. Nasz skretyniały przewodnik protestował bezskutecznie i podawał w wątpliwość pochodzenie wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu. Całe życie temu, jako oficer w wysokim hełmie i z długą włócznią, byłem już kiedyś w tym miejscu. Zginęli tu Ludzie i paru dobrych Elfów. Zabijając dzisiaj jednego czy dwóch postąpiłbym słusznie, a nie byłem wciąż zbyt stary, żeby samotnie zniszczyć ten motłoch. Musiałem jednak pamiętać, że teraz byłem dla nich strażnikiem i nauczycielem. Zdezorientowany, wycofałem się.

Kiedy przesuwalem się, szukając przejścia wśród jazgoczącego motłochu, Jessica z trudnością posuwała się do przodu i musiała zatrzymać się przed deską, na której usypano stertę tanich świecidełek. Żeby ich uspokoić, cisnęła monetą jakiejś wiedźmie i w zamian wzięła pierwszą rzecz, która przyciągnęła jej wzrok: tandetny zabawkowy sztylet z jarmarczną rękojęścią i pochwą wysadzaną sztucznymi klejnotami. Kiedy przecisnęła się wreszcie przez tłum, ściągnęła z ramion jedwabny szal i owinęła nim zabawkę, jakby nie chciała jej dotykać. (Och, gdyby znaleźć choć jednego z jej ludu chętnego, żeby nosić broń!). Była wstrząśnięta tym atakiem i póki się nie uspokoiła, trzymałem ją za wolną rękę.

Kiedy tylko Jessica wyłoniła się spośród nich, kramarze stracili zainteresowanie i wycofali się, odsłaniając naszego przewodnika, który kuśtykał ścieżką w naszą stronę. Zwrócił się z przeprosinami bezpośrednio do Jessiki, co nie było całkiem właściwe, ale w tych okolicznościach można mu było przebaczyć.

– A tutaj – powiedział – zanim wejdziemy do samej fortecy, mamy pokaz stworzony specjalnie dla pięknych pań i panów, połączonych więzami jak państwo.

– Niewątpliwie stereogram? – powiedziałem.

– W rzeczy samej, proszę pana.

– Co to takiego? – zapytała moja Jessica.

Zanim nasz przewodnik zdążył spróbować wyjaśnić, odpowiedziałem:

– Standardowy chwyt dla turystów, adresowany zasadniczo do nowożeńców. Czasami bywają jednak zabawne. Zaprowadź nas.

Wręczyliśmy mu parę kolejnych monet i wprowadził nas do niewielkiego budynku o wysokich oknach. O tej porze dnia przestrzeń wewnątrz była dobrze oświetlona. Znajdował się w niej szeroki, rzeźbiony, kamienny parawan, w którym wycięto dwa małe otwory, na tyle blisko, żeby umożliwić spoglądającej przez nie parze trzymanie się za ręce. Jessica przyglądała się wszystkiemu, nie rozumiejąc.

– Za tym ekranem znajduje się obraz – powiedziałem jej. – A właściwie dwa obrazy. Widziane osobno, nie znaczą nic: po prostu smugi kolorów i beładne kropki na płótnie. Ale kiedy patrzący są związani jak my, kiedy jeden obraz oglądamy twoimi oczami, a drugi moimi, i pozwolimy, żeby nasza bliskość połączyła te widoki w jeden obraz, odsłania się prawdziwa natura wizerunku. To zmyślna technika, a wykonana odpowiednio, pozwala czasami odkryć nieoczekiwane szczegóły i głębię.

Jessica przyłożyła prawe oko do otworu przed sobą i zobaczyła tylko rozległą przestrzeń plam i kropek. Przyłożyłem lewe oko do otworu po mojej stronie i ujrzałem podobnie bezsensowną plataninę. Wyciągnęliśmy do siebie ręce i zacisnęliśmy dłonie, pozwalając, żeby nasz oddech uspokoił się, a nasz wzrok odprężył, aż stał się lekko rozmazany na skraju.

Wtedy, jakby jakiś trzeci umysł łączący nasze dwa umysły odgadł nagle, jak miały ułożyć się znaki, obrazy z jej oka i mojego połączyły się i odsłoniły pojedynczy, znaczący widok. Oglądaliśmy Szary Fort, nie stojącą na zewnątrz masywną ruinę, ale taki, jakim był w dniach swojej chwały, kiedy jego nieskazitelne mury wznosiły się ze zboczy położonej za nim góry wdzięczną krzywizną okrętowego dziobu, wzbijające się wysoko w błękitne niebo baszty i wieżyczki odbijały poranne słońce, na kopułach lśniło złoto, a długie proporce łopotały głośno na wietrze. Dłoń artysty znała sztukę, dzięki której obraz oddzielał się od płótna, jakbyśmy mogli go obejść, a z każdym nowym krokiem odsłoniłyby się przed nami nowe szczegóły. Te szańce były obsadzone żołnierzami w lśniących zbrojach, a w wieżach spoczywali w ukryciu kolejni. (Najpierw wysłaliby szarżę kawalerii, która zmiażdżyłaby nasze przednie szeregi). Znalazłem się znowu na polu przed tymi murami, a kiedy po raz pierwszy od stuleci przypominałem sobie grozę i zdziwienie, jakim napawali mnie ci ludzie, po karku przebiegły mi drobne, chłodne palce. Brakowało mi ciężaru gotowej zadawać śmierć włóczni w dłoni. Przypominałem sobie, że zostałem stworzony, żeby walczyć, kochać i umierać za sprawy, w które wierzyłem. Nie byłem już biurokratą ani nadzorcą nieciekawych, uległych ludzi, ale ponownie wojownikiem, w chwili, w której historia wstrzymała oddech.

A ponad tym wszystkim czułem ogromną wdzięczność, że odzyskałem tę chwilę i że moja Jessica była tutaj, żeby zobaczyć ją wraz ze mną, i że mogłem podzielić się wspaniałością i potęgą tego dnia z moją oblubienicą.

Prawy:

Długi krok Lorana pozwolił mu wyprzedzić mnie i zobaczył fortecę, zanim dotarłam na szczyt zbocza. Przez irytującą chwilę, póki go nie dogoniłam, musiałam zadowolić się jego wrażeniem jej masy, złamanej siły i sposobu, w jaki dominowała nad doliną. Bardziej podobała mi się taka, jaką widziałam ją sama – było w niej więcej niż się spodziewałam, a robota kamieniarzy w pałacach za

murami wydawała się delikatna jak piana. A zatem w tamtych czasach naprawdę byliśmy budowniczymi.

W małym kamiennym budynku obok ścieżki jakiś człowiek sprzedawał pamiątki. Nasz stary przewodnik oznajmił w języku Elfów, zdradzającym samouka: *Można tu kupić wiele udanych obrazów Szarego Fortu. Nadaję się świetnie na kartkizyczeniamipocztówkikartkiurodzinowekartkizwakacji i tym podobne. Jeśli zechcą państwo wejść...*

Ale Loran szedł dalej. Handlarz w środku zauważył mnie, kiedy przechodziłam i wykrzywił twarz. Była to mina, którą widziałam wiele razy, od kiedy zostaliśmy związani, a znaczyła po prostu: „Elfia kurwa”. Nasz przewodnik odstraszył go groźnym spojrzeniem.

Modliłam się, żeby przewodnik mnie nie rozpoznał, choć wątpiłam, czy mógł zapomnieć. Nazywał się Nikander. Kiedy byłam dzieckiem, był nauczycielem i prowadził szkołę w porzuconej stajni, którą przerobił na salę lekcyjną, biorąc za lekcje tylko tyle, na ile stać było każdą rodzinę. Śmierdział jak zupa z rzepy i śmiał się z własnych dowcipów jak ryczący osioł. Nauczył mnie trochę czytać i pisać, i trochę dodawania, ale prawdziwym powodem, dla którego w gorące letnie dni siedziałam w tej zatłoczonej stajni, było słuchanie jego fantastycznych opowieści o Ludziach sprzed pojawienia się Pięknego Ludu. Ludzi sprzed pokoleń wojny i barbarzyństwa, i sprzed pokoleń okupacji. Tylko w małą część tego, co nam opowiadał, dawało się uwierzyć – ludzi latających na księżyc i występujących wewnątrz małych pudełek światła musiał wziąć z własnych marzeń – ale nawet to wystarczyło, żebym zaczęła myśleć, iż możemy mieć w sobie więcej niż chciały nam to zdradzić Elfy.

Dzisiaj zwracał się do mnie przez Lorana, odpowiednio do naszych pozycji, ale ani przez chwilę nie chciał spojrzeć mi w oczy, a to bardziej niż cokolwiek innego zdradzało mi, że wiedział, kim jestem.

Wiatr szarpał moje włosy i szal, i zobaczyłam siebie oczami Lorana, kiedy zatrzymał się, żeby mnie podziwiać. Nie domyśliłabym się nawet, że długowieczne Elfy, z ich mocami, śmiertelną dumą i niezrozumiałymi nastrojami, mogą być rozemocjonowanymi nowożeńcami. Kolejny fakt, którego woleli nie odsłaniać przed rządzonymi przez siebie Ludźmi. Oddałam jego spojrzenie, ale zdążyłam tylko dostrzec przelotnie jego smukłą wysokość, elegancję, i proste białe włosy sięgające poniżej podbródka, kiedy mój żołądek zbuntował się i musiałam się odwrócić. Niech myśli, że to dlatego, iż nie przystosowałam się jeszcze do naszego związania. Oboje żyliśmy teraz w ciele partnera tak samo jak we własnym, ale ta intensywna zażyłość była smyczą trzymaną przez tego, kto był silniejszy. Ale nawet psy miały sposoby na poluzowanie obroży.

Przyjazd w to starożytne miejsce był moim pomysłem – dokładnie taka podróż poślubna, jaką mogli odbywać starożytni. To nasze wspólne zainteresowanie starymi czasami sprowadziło mnie do Lorana, choć dla niego była to głównie okazja do opowiadania historii o swojej młodości, podczas gdy ja szukałam jakiejś wiedzy o tym, kim był kiedyś mój lud. Ludzkie opowieści, które usłyszałam od Nikandera jako dziewczyna, utkwily mi głęboko w umyśle i płonęły tam gniewnie. W miarę jak rozkraczone slumsy z błota zabrały moje dzieciństwo i codziennie setki razy widziałam przykłady naszej słabości i niekompetencji, odkryłam, że potrzebuję zrozumieć, które z tych opowieści były prawdą. Łatwo było kupić sobie pochlebstwami wstęp na górującą nad miastem posiadłość Lorana, a potem flirtować, dopóki nie zaprosił mnie, żebym wróciła. Loran był aż nadto szczęśliwy, mogąc opowiadać o sobie podziwiającej go młodej kobiecie. Po jakimś czasie, składając w całość to, co przemilczał i niedopowiedziane przez niego szczegóły, doszłam do tego, że podbój naszego świata przez Elfy nie zawsze szedł gładko, a być może stanowił nawet wyzwanie.

Nie spodziewałam się, że nasz związek pójdzie w takim kierunku.

Poczułam, jak stara rana od topora w prawym udzie Lorana pulsuje gwałtownie i kiedy zbliżaliśmy się do fortu zatrzymał się raz czy dwa. Mimo swojego wieku i dziesięcioleci za biurkiem, Loran był wciąż urodzonym wojownikiem, przerażająco silnym, i niewielu potrafiło stanąć naprzeciw niego w jednej z jego chwil wściekłości. Przyglądał się polującemu jastrzębiowi, kołującemu w powietrzu nad łąką, a potem przepatrywał krzaki, żeby znaleźć jego ofiarę. Jego oddech stał się nieco płytki, zapewne w oczekiwaniu widoku śmierci.

Nikander wskazał dolinę wokół nas. *Dawnymi czasy, kiedy forteca jeszcze stała, powiedział nam, przy całej drodze stało wiele, wiele redut, wież i palisad. Armie trzęsły się ze strachu na myśl o przejściu nią.*

Mówił do Lorana i dziwnie było słyszeć, jak składa niezgrabnie słowa w języku Elfów, kiedy w naszym własnym był tak fascynujący, ale wiedziałam, że mówi do mnie i widziałam to oczami wyobraźni.

A jednak w końcu to wy złożyliście broń, poczułam jak mamrocze Loran.

Nie zdziwiłam się, że nie chciał pozwolić, żebym zachowała chociaż to.

To prawda: w końcu, zbeształam go. Ale powiedziałam to pod nosem, zawstydzona nagle, że Nikander widzi, jak rozmawiam tak lekko na ten temat z moim elfim mężem.

Loran odpowiedział tą samą doktryną i moralizowaniem, które słyszałam całe życie. Ale potem wygadał się:

Podziwialiśmy was i baliśmy się aż do chwili waszej klęski.

Puls łomotał mi przez chwilę, ale opanowałam już sztukę tłumienia go starannym oddychaniem, zanim zauważył.

A więc jednak dorównywaliśmy wam, pomyślałam, i zachowałam to objawienie dla siebie. Czy to możliwe, żeby twój piękny, błogosławiony i sprytny lud przybył tu nie po to, żeby nas prowadzić, ale żeby ukształtowała go ta walka? Kochaliście nas za to, że byliśmy godnymi przeciwnikami, prawda? Czy to dlatego wasze rządy wydają się takie przypadkowe? Czy teraz was nudzimy?

Na jaką nudę byłam lekarstwem? Loran postanowił, że pobierzemy się, zanim zdałam sobie sprawę, jak daleko pozwoliłam zajść sprawom. Dla ludzi, którzy nie mają nic, honor jest ważniejszy niż dla generałów, i mój ojciec opierał się zaciekle staraniom Lorana, żeby mnie zabrać. Moja rodzina oparła się serii chorób i drobnych klątw, które niszczyły ją i obracały nasz dom w ruinę. Ale kiedy żołnierze zaczęli zabierać jednego po drugim naszych sąsiadów na farmy pracy, a rozeszła się wieść, że mieliśmy władzę ich ocalić, moi rodzice byli zmuszeni pozwolić mi odejść. Od tamtej pory nie rozmawiałam z nimi.

Nikander wypełniał milczenie swoim wyuczonym na pamięć trajkotem. *O wiele większy niż zwykła wojskowa forteca, był główną bazą Armii Północnego Wschodu, jak i świątynią, służbą, doradców, żon, małżonków i haremów watażków, którzy dowodzili nią przez sto osiem lat. Był to pierwszy budynek, przy budowie którego użyto pewnych metod obróbki i układania wielkich kamiennych bloków, zapomnianych od niemal tysiąclecia.*

Doprawdy, powiedział mój pan i mąż. Pomogliśmy wam odzyskać waszą straconą przeszłość.

Zwalczyłam nagłe mdłości w żołądku.

Cóż, proszę pana, nie nazwałbym tego pomocą.

Nie była to dobra chwila, żeby Nikander przypomniał sobie swoją dumę. Poufały ton działał jak czerwona płachta na byka.

Czyżby? A jak dobrze wiesz, co wydarzyło się w tamtych czasach?

Posiadam doktorat z historii sprzed ery Oporu z Uniwersytetu Terytorium Północnego Wschodu, proszę pana, odpowiedział Nikander z cichą godnością.

Oczywiście. Głos Lorana był suchy i zimny. A jak pożyteczny się okazał?

Nastąpiła ciężka, cicha chwila, w której Nikander mógł zginąć na własne życzenie, schylił jednak głowę w szybkim ukłonie i powrócił na ścieżkę, jakby wycierał to zdarzenie z pamięci. Nigdy nie będę Elfem, ale teraz nie mogę już wrócić, i jeśli pewnego dnia jadąc ulicami miasta, spotkam przypadkiem znowu swoją rodzinę, mam nadzieję, że mnie nie rozpoznają.

Loran był teraz w szczególnie dobrym nastroju, i nie zwracał uwagi na czułe nerwy w udzie, kiedy szliśmy w stronę fortecy. Widziałam masywną bramę, która leżała nadal tam, gdzie ją rzucono, pozieleniała i zbrązowiała od korozji, w jednych miejscach ukrytą pod rosnącą trawą, w innych zaś wykręconą w górę ponad wysokość ludzkiej głowy. Podobnie jak ciężkie kamienne bloki wokół niej, nie była warta wysiłku, by ją poruszyć. Ciekawiło mnie, jaki taran czy czar wyrzucił ją na zewnątrz, kiedy ją pokonano. Elfy dobrze się spisały, również tę technikę zachowując przed nami w tajemnicy.

Chociaż nie było ani jednego klienta, przestrzeń przed bramą zamieniono w improwizowany rynek. Loran zdumiałby się, ale ja dorastałam między takimi ludźmi: mężczyznami i kobietami, którzy mieli tak mało, że potrafili czekać cały dzień obok rozpadającego się straganu lub ułożonej na skrzynkach deski, w nadziei, że dzięki zmęczeniu podróżą jakiś zwiedzający stanie się hojny lub rozrzutny.

Nikander ostrzegł Lorana: *To nic niewarte stado przekupek, oszustów, kieszonkowców i złodziei, i kiedy będziemy tamtędy przechodzić, powinniście trzymać rękę na portfelu i nie zwracać na nich uwagi. Później zabiorę państwa w pewne miejsce, którego właścicielowi można ufać i gdzie z pewnością dostaniecie to, za co zapłaciliście.*

Weszliśmy w sam ich środek i ożyli rozpaczliwie, rojąc się wokół nas i między nami; każdy domagał się naszej uwagi dla swoich odrapanych zabytków lub popękanej biżuterii czy tanich zabawek. Tłum napierał i mogłam skupić się tylko na niewielkim skrawku miejsca zaraz przed sobą. Loran brodził skrajem tłumu, a Nikander w samym gąszczu zdarzeń udawał oburzenie. Nigdy wcześniej nie byłam bogata, a kiedy mówiłam *Nie*, robiłam to bez przekonania. Wbrew swojej woli zostałam zepchnięta w sam środek rynku i przyciśnięta do stoiska strzeżonego przez staruszkę, która mogłaby być moją babcią.

Rzuciłam jej monetę na stół i przesunęła coś po nieheblowanych deskach.

Ten, powiedziała.

Chwyciłam za rękojeść z lśniącymi fałszywymi klejnotami i łuszczącą się farbą. Nie sprawdziłam ostrza ani nie spojrzałam na nie. Nie chciałam, żeby zdradziła mnie wiedza. Udobruchani kramarze ustąpili mi z drogi. Rozpychali się i wołali jak przedtem, ale kiedy minęłam ostatni stragan, zupełnie jakbym przekroczyła granicę ich terytorium, powrócili na swoje miejsca. Podeszłam do boku Lorana.

Nikander dołączył do nas, udając, że kręci z żalem głową. *Przykro mi, milady, że spotkała panią podobną... nieprzyjemność*, powiedział i po raz pierwszy spojrzał mi prosto w oczy.

A tutaj, zanim wejdziemy do samej fortecy, ciągnął, mamy pokaz stworzony specjalnie dla pięknych pań i panów, połączonych więzami jak państwo.

Niewątpliwie stereogram?, powiedział Loran.

W rzeczy samej, proszę pana.

Loran wprowadził mnie do małego pomieszczenia, wypełnionego jasnym światłem. Przez środek biegła biała marmurowa bariera rzeźbiona jak koronka. W niej były dwa miejsca, przez które można było zajrzeć za ekran.

Za tym ekranem znajduje się obraz. A właściwie dwa obrazy, tłumaczył Loran. *Widziane osobno, nie znaczą nic: po prostu smugi kolorów i bezładne kropki na płótnie. Ale kiedy patrzący są związani jak my, kiedy jeden obraz oglądamy twoimi oczami a drugi moimi, i pozwolimy, żeby nasza bliskość połączyła te widoki w jeden obraz, odsłania się prawdziwa natura wizerunku.*

Spojrzelismy z Loranem przez otwory i zobaczyliśmy tylko pozbawioną sensu płataninę smug i plam, jakby ktoś pozwolił wiewiórkom biegać po farbach. Wzięliśmy się za dłonie, zwolnił oddech i pozwolił, żeby wzrok rozmył mu się trochę, a ja poszłam w jego ślady.

Oba obrazy popłynęły ku sobie, połączyły się i nagle ujrzelismy obraz takim, jakim miał być widziany. Był to Szary Fort w całym swoim pięknie i wspaniałości, widok który zapierał dech w piersiach i sprawiał, że serce wzbijało się do góry, jakby dodano mu jastrzębich skrzydeł. A jednak potrafiliśmy budować silne mury, wysokie wieże i pałace jak ze snu. Armie naprawdę kulily się ze strachu na myśl o forsowaniu naszej obrony. Byliśmy wszystkim tym, czego odmawiały nam Elfy. Mieliśmy kiedyś dłonie, które tworzyły piękne dzieła; mądre umysły, które obliczały, jaki nadać im kształt; oraz silne ramiona, którymi przepędzaliśmy naszych wrogów – i to już po tym, jak dzięki uporowi i samozaparciu wyrwaliśmy się z chaosu; najślabszy cień zapomnianych dni naszej prawdziwej mocy, którą nam skradziono.

Rękojeść sztyletu była tak ciasno owinięta moim szalem, że nie rozpoznawałam jego kształtu w dłoni, a Loran niczego nie podejrzewał. Machnęłam nadgarstkiem, a luźna pochwa ześliznęła się z ostrza i zagrzecotała na kamiennych płytach posadzki. Potem, kiedy obydwoje byliśmy przykuci widokiem fortu, uniosłam ostrze, wbiłam je mocno w swoje prawe udo i przekreśliłam.

Ból przeszył mnie mdlącą falą i poleciałam do przodu na marmurowy ekran. Jednak Loran, uderzony w środek starej rany od topora, skurczył się, chrząkając, i opadł na podłogę. Upadł częściowo zwinięty na boku, spróbował wstać, pośliznął się.

Podeszłam do niego, kulejąc. Skórą na głowie czułam, jak prześlizguję się po niej palcami, odchylając mu głowę do tyłu za włosy. Spojrzałam mu w oczy.

Dziękuję, milordzie, powiedziałam. To był piękny widok.

Loran zobaczył sztylet w mojej dłoni, zrozumiał mój zamiar i uśmiechnął się z prawdziwą radością.

Wiedziałem, że dobrze wybrałem! powiedział.

Nie rozumiałam. Zaciekawilo mnie, czy to miało znaczenie.

Sztylet jest ostrzejszy niżbym się spodziewała; kiedy wykonam jedno pchnięcie, żeby przebić nim oczodół, może przeżyję agonię. Może pozwolą mi żyć na tyle długo, żebym zobaczyła jak Elfy niszczą moje miasto w odwecie za zabicie elfickiego lorda. Potem moja rasa nie zniesie już tego, powstaniemy i znowu staniemy do wojny, ku przerażającej radości obu naszych ludów.

A tym razem wszystko może potoczyć się inaczej.

Przełożył Tomasz Walenciak

Palimpsest

ŚWIEŻE MIĘSO

To się nigdy nie stanie

Będiesz zginać palce, patrząc na plecy tego, kogo chcesz zabić, ojca człowieka, który w tej sytuacji nigdy nie zostanie twoim dziadkiem, a śledząc go wśród nocnej śnieżycy będziesz się modlić o jego duszę, sam, w ciemności.

Wspomnienia będą się cisnąć nieproszone, choć będziesz z całych sił starać się, by skoncentrować się na zadaniu, jakie masz wykonać. Jego życie – ta jego część, w której zjawiłeś się, kopiąc i drąc się, by dzielić ją z nim do końca – będzie przesuwac się przed twoimi oczami. Będziesz pamiętać dziadka koło sześćdziesiątki, z rękami o stawach przypominających pomarszczone winogrona zmieniające się w rodzynki, w których będzie trzymał twe dziecięce nadgarstki, by pokazać ci, jak zarzucić muchę nad wodą. I będziesz pamiętać je jako wyschnięte plewy w czasach, gdy przekroczył siedemdziesiątkę, pamiętać, jak oniemiały i otepiały stałeś przy jego grobie w jego za dużym garniturze, albo leżącego, wreszcie samotnie, w hospicjum; jego oddech staje się coraz szybszy i płytszy, gdy śpi sam na sam w łóżku z rakiem. To nie będą dobre wspomnienia. Ale znasz też resztę tej opowieści, bo wielokrotnie słyszałeś ją od rodziców: młodzieńcza miłość i służba wojskowa podczas wojny odległej jak wyblakłe fotografie barwy sepia, z frontu innego pokolenia; dobra praca w fabryce i żona, która będzie go skrycie uwielbiać i we właściwym czasie urodzi mu trójkę dzieci; z lędźwi jednego z nich właśnie ty będziesz się wywodzić. Dziadek będzie miał dobre, długie życie; będzie żył na tyle długo, by doczekać się piątki wnuków i zobaczyć niezliczone cuda. I tego chłopca-mężczyznę na progu dorosłości, którego masz śledzić, gdy idzie do punktu poborowego, dzierżąc załazek człowieka, którego będziesz pamiętać... Musisz jednak wybierać: albo ty, albo on.

Dziadek będzie miał dobre życie. Musisz uczeplić się tej myśli. Wtedy wszystko będzie łatwiejsze.

Będiesz śledzić młodzieńca, który nigdy nie zostanie twoim dziadkiem, przez obsypane śniegiem krzaki, idąc po długiej trawie rosnącej wzdłuż torów kolejowych, a odzienie z wełny i roślinnego włókna – twój kostium będzie całkowicie autentyczny – będzie zostawiać otarcia na twojej skórze. Do tej chwili nie będziesz się kąpał przez tydzień, ani golił w ciepłej wodzie; jesteś młodym zbirem, włóczęgą, prawdziwym łajdakiem. Właśnie coś takiego zobaczą świadkowie: młody zabójca o oczach szaleńca, w poplamionym odzieniu, i jego ofiara, tak bezbronna z gardłem poderżniętym prawie do kręgosłupa. Leżąc rozciągnięty na ziemi będzie wyglądał nieomal, jakby spał. Rozpęta się zamieszanie, ktoś zacznie krzyczeć, a policjanci i zatroskani obywatele wyruszą na poszukiwanie potwora, który pozbawił rodzinę młodego Gerry'ego; potwora, który sam dopiero stał się mężczyzną. Nie znajdą cię jednak; naciśniesz guzik w pudełku rozmiarów małego kamyka i Kontrola Stazy otworzy bramę czasową, a ty wkroczysz w jej dumne i samotne szeregi.

Gdy obudzisz się w swojej sypialni za dwieście obiektywnych lat, skąpany w pocie cuchnącym strachem, oblepiony pościelą przypominającą pęcherz kurczący się w chwili śmierci, nie będzie tam nikogo, kto mógłby cię pocieszyć, nikogo, kto mógłby cię utulić. Delikatność dłoni twojej matki i siła

nadgarstków ojca staną się upiorami pamięci, duchami objajającymi się echem wokół twoich kości, wędrującymi jak bezdomni przez mauzoleum twej pamięci.

Nie będzie już nikogo poza tobą, kto mógłby pamiętać ich życie; a wszystko dlatego, że uwierzysz werbującemu, którzy powiedzą ci, że musisz zabić własnego dziadka, by dołączyć do organizacji, a jeśli nie dołączyś do organizacji, umrzesz.

(Kiwając życzliwie głowami powiedzą ci, że w ten sposób zapobiegają nepotyzmowi. Poza tym jest to próba twojej bezwzględności i determinacji. No i wszyscy musieliśmy to zrobić, kiedy przyszła nasza kolej).

Witajcie w Stazie, agencie Pierce! Zostałeś w ten sposób pozbawiony korzeni; jesteś sierotą w strumieniu czasu, który wyskoczył, by zniknąć, by wykonać misję w wieczności. I czeka cię *wspaniała* kariera.

Yellowstone

– Pamiętaj, że ludzkość zawsze wymiera – powiedział Wei, gapiąc się obojętnie na złożoną z kobiet i dzieci kolejkę, przesuwającą się wolno do stacji niewolników nad rzeką. – *Zawsze*. Tysiąc lat, sto lat, ćwierć miliona – to nie ma znaczenia. Prędzej czy później ludzie zawsze wymierają.

Mówił po uremsku; w tym języku agenci Stazy porozumiewali się między sobą.

– Myślałem, że właśnie po to tu jesteśmy? Żeby spróbować temu zapobiec? – spytał Pierce, stosując pełną szacunku formę, której używali uczniowie zwracający się do nauczyciela, choć w rzeczywistości Wei był zaledwie praktykantem w dwunastym roku szkolenia; formalny zwrot po prostu miał przypomnieć o długiej drodze, jaka miała go czekać.

– Nie – Wei uniósł włócznię i postukał w podstawę wykonanego z suchego, twardego błota kopca obserwacyjnego. – Mamy przenieść kilka grup do wysiewu, kilkadziesiąt tysięcy. Ale reszta zginie.

Odwrócił wzrok od niewolników, a Pierce podążył za jego spojrzeniem.

Na horyzoncie jaskrawoczerwone niebo pociemniało, przybierając barwę skrzepłej krwi na podłodze rzeźni. Wulkan, który znajdował się w odległości dwóch tysięcy kilometrów, za krzywizną planety, od tygodni pompował do stratosfery popiół i parę. Codziennie w południe na dzikich terenach, na których kiedyś wiły się odnogi Missisipi, niebo płakało słonawymi łzami.

– Ty pochodzisz z czasów przed epoką pierwszego wymarcia, prawda? Wtedy wzorzec nie został jeszcze ustalony. To pewnie dlatego wysłali cię na tę podróż w teren. Musisz zrozumieć, że to się *zawsze* dzieje. Dlaczego to robimy. Musisz to dogłębnie zrozumieć. Dlaczego zabieramy dzikich, a cywilizowanych zostawiamy na pastwę losu.

Podobnie jak Wei i inni agenci Stazy, którzy trzy noce wcześniej zlikwidowali dyskretnie straże obozu i przybrali ich tożsamości, Pierce był przebrany za benzyńskiego wojownika. Ozdobił ciało wojennymi malunkami i podniszczonymi aluminiowymi bransoletami, miał też blizny, których jakoby dorobił się w boju. Trzymał włócznię zwieńczoną odłamkiem syntetycznego diamentu, wykopanego z głębokich pokładów prehistorycznych szyb samochodowych. Nawet jego twarz wyglądała jak oblicze prawdziwego Benzyna: zmarszczki wokół oczu i ciemna skóra, uzyskane dzięki fenotypicznym nakładkom, które zawsze skłaniały go do refleksji: nieznane mu dotąd odejście od dziedzictwa rasy białej. Dziadek (którego próbował wyprzeć z pamięci) prędzej by umarł, niż pogodził się z noszeniem przez wnuka takiej twarzy.

Pierce nie był nawet praktykantem podczas dwunastoletniego okresu szkolenia; pełnił służbę od zaledwie czterech obiektywnych lat. Był już jednak gotów do odbywania misji pod nadzorem, a podczas tej operacji były potrzebne raczej silne ciała niż zręczne manipulowanie związkami przyczynowo-skutkowymi w czasie.

Pięćdziesiąt lat wcześniej Benzynowie rozprzestrzenili się po wschodnim wybrzeżu kontynentu, który nadal był Ameryką Północną, z ich rdzennych terenów na środkowym przesmyku, rozszerzając swe imperium poddanych na rozproszone plemiona postneolitycznych nomadów, których Kontrola Stazy oznaczyła kryptonimami: Alabamowie, Florydowie i Amerykowie. Benzynowie zamierzali podbić Nowy Świat, nie zdając sobie sprawy z tego, że od rozpoczęcia obecnego Wysiewu odbyło się to już siedemnaście razy. Nie rozumieli, co oznacza czerwień nieba na zachodzie ani dygotanie gruntu, przypisując to złości swych plemiennych bogów. Nie mieli pojęcia, że te znaki zwiastują koniec obecnego okresu międzylodowcowego, ani że ich wyginięcie będzie skutkiem ubocznym zbliżającej się erupcji wulkanu Yellowstone – jednej z kilku, jakie miały miejsce w odstępach sześciuset tysięcy lat, we wcześniejszych okresach Dolnej Pierwszej Epoki Antropogenicznej.

Benzynowie nie postrzegali świata w szerszej perspektywie; choć ich królowie-kapłani mieli jakiś system pisma, większość z nich żyła w mglistym, niedookreślonym ahistorycznym świecie mitu, charakterystycznym dla ludów niepiśmiennych. Ich czas wszakże już przemijał. Yellowstone się budził, a nawet Staza wolała wykorzystywać w pracy tak brutalne zjawiska geologiczne raczej pośrednio niż bezpośrednio.

– Tak, ale po co *ich* zabieramy? – Pierce skinął w kierunku maszerujących mozolnie i w milczeniu alabamskich kobiet i dzieci, kroczących z ramionami opadłymi pod brzemieniem grozy. Maszerowały pod groźbą ciosu włócznią zdobywców już od wielu dni i były wyczerpane. Te, które miały coś do powiedzenia, już nie żyły, podobnie jak słabowite. Napastnicy, którzy wymordowali ich mężczyzn i pojмали je w niewolę, siedzieli dumnie okrakiem na wielbłądach; skalpy ich przyczepili sobie na kotekach jak dziwaczne łonowe peruki.

– Benzynowie może i są dzikusami, ale ci ludzie to ofiary; kiepsko na tym wyszli. – Wei potrząsnął lekko głową. – Wszystkie dorosłe osobniki to samice, przeważnie ciężarne. Są zdrowe, bo to te, którym udało się przeżyć marsz. To zbieracze, żywiący się plonami ziemi, i wszyscy znaleźli się w jednym dogodnym miejscu.

Pierce zacisnął zęby i zrozumiał, na czym polegał jego błąd.

– Zamierzacie ich użyć podczas Wysiewu? Bo jest ich mniej i są bardziej prymitywni, mogą przeżyć w trudnych warunkach...?

– Tak. Żeby dokonać skutecznego Wysiewu, potrzebujemy co najmniej dwudziestu tysięcy osobników z możliwie jak najbardziej zróżnicowanych grup, a nawet wtedy ryzykujemy genetycznym wąskim gardłem. A oni muszą być w stanie przeżyć tam, gdzie nie ma żadnej cywilizacji. Gdybyśmy rzucili *ciebie* w sam środek Wysiewu, prawdopodobnie nie przeżyłbyś nawet miesiąca. Nie traktuj tego jako krytyki – ja też bym nie przeżył. Ci wojownicy – Wei uniósł włócznię, jakby salutował napastnikom – funkcjonują w hierarchii, która wymaga niewolników i kobiet. Grot twojej włóczni został obrobiony przez niewolnika w królewskiej zbrojowni, nie wojownika. Twoje mokasyny i materiał, z którego uszyto twoje spodnie, zostały wykonane przez benzyńskich wojowników. Są w połowie drogi do ponownego wynalezienia cywilizacji: gdybyśmy dali im jeszcze pięć tysięcy subiektywnych lat, ich dalecy potomkowi mogliby zacząć budować turbiny parowe i tworzyć wszechobecne struktury zapisu, by zostawić wspomnienia dla dalekiej przyszłości. Ale dla celów Wysiewu są równie bezużyteczni jak my.

– Ale nie mają nawet pół...

– Cicho. Idą.

Ostatni niewolnicy zostali zagnani za kolczaste ogrodzenie przez bramę, a strażnicy umieścili na swoim miejscu ciężką zaporę. Teraz jeźdźcy kopniakami, biciem i szturchaniem zmusili wierzchowce do biegu wokół kolczastego bambusowego ogrodzenia, rozstawiając krąg straży. Wei i Pierce stali

niewzruszenie, gdy jeźdźcy na wielbłądach pędzili w ich kierunku. W ostatniej chwili najbliższy z pędzących odskoczył w bok, a jego rumak prychnął i ze złością zaczął grzebać kopytem w ziemi, pochylając się w kierunku Wei.

– Ha! – krzyknął w tonalnym języku kupców, którego używali Benzynowie z północy – Nie pamiętam cię!

– Jestem Jastrząb! A kim ty jesteś, na siódme piekło?

Wei obrzucił jeźdźca, niechętnym spojrzeniem, ale intruz tylko zarechotał i splunął przez bok siodła; ślina wylądowała w błocie, na tyle daleko od Wei, że trudno było określić, czy należy to traktować jak bezpośrednie wyzwanie.

Pierce zacisnął dłoń na włączni, przesuwając palec wskazujący bliżej dyskretnie zaznaczonego na niej przycisku spustowego. Wysoko nad nimi, podobny do sępa ptak krążył nad miejscem potyczki z nienaturalną precyzją; jego systemy uzbrojenia już namierzyły cel.

– Jestem Teuch – rzekł jeździec po chwili milczenia. – To ja pojmałem te kobiety! Pojmałem je w imieniu naszego Ojca i w imieniu naszego Ojca zabiorę je i ich dzieci, żeby zbierały ryż! A co ty dziś zrobiłeś dla naszego Ojca?

– Stoję tu – odparł Wei, unosząc nad ziemię koniec włączni. – Pilnuję stad naszego Ojca, kiedy takie dupki jak ty rządzą sobie zabawę.

– Ha! – na pokrytej kurzem twarzy jeźdźca wykwitł szeroki uśmiech. – Ja też cię widzę!

Uniósł prawą pięść i przez sekundę przez mózg Pierce'a przemknęła mrożąca krew w żyłach myśli o tym, jakie to uczucie, gdy włącznia barbarzyńcy przebija bebechy, ale wielbłąd uniósł głowę i zaryczał, a Teuch zaskakująco delikatnym gestem pociągnął za wodze i ruszył z dala od Wei, z dala od kolczastego ogrodzenia i stacji niewolniczej. I z dala od miejsca, gdzie znajdowała się brama czasowa, przez którą grupa ewakuacyjna miała przeprowadzić więźniów z obozu za dwa dni. Więźniowie zostaną umieszczeni w niej w momencie rozpoczęcia następnego Wysiewu. Ale nikt z Benzynów nie dożyje tego dnia, który nastąpi w przyszłości, za sto tysięcy obiektywnych lat.

Może ich wielbłądy zostawią ślady kopyt w deszczu gorącego, dławiącego popiołu, który przetoczy się przez kontynent następnego dnia o zachodzie słońca. Może niektóre z tych odcisków kopyt skamienieją, by potomkowie alabamskich niewolników mogli je odkryć i zachwycać się ich wiekiem, gdy nadejdzie czas. Nieśmiertelność, pomyślał Pierce, jest jednak kiepską namiastką nieumierania.

Uważanie na lekcjach

Dzień na dachu świata był słoneczny i chłodny. Pierce, z ogoloną głową, tak samo jak i reszta adeptów w zielonych szatach, siedział na niskim taborecie na dziedzińcu pod gołym niebem, czekając, aż zacznie się lekcja. Wysoko nad starą kamienną kładką i spiralnymi minaretami Skrzydła Bibliotecznego księżyc zwracał swe policzki, jak pochlastane nożem, w stronę Pierce'a, jakby chciał mu przypomnieć, jak daleko zaszedł.

– Dzień dobry, czcigodni studenci.

Obóz szkoleniowy przycupnął w dolinie pośród niższych szczytów Alp Śródziemnomorskich. W tej epoce wznosiły się one nad pokrytymi bujną zielenią nizinami Basenu Saharyjskiego, wyżej niż kikuty nadgryzionych zębem czasu Himalajów.

– Dzień dobry, czcigodna uczona Yarrow – odparł chórem tuzin studentów szóstej klasy.

Język uremski, jak dawniej japoński, pozwalał na wyrażanie względnej relacji statusu między mówcą a odbiorcą. Wiele kultur, z którymi Staza wchodziła w stosunki, było wrażliwych na kwestie płci, kasty i inne wyróżniki pozycji, więc projektanci języka uremskiego dodali deklinacje, które

odzwierciedlały te kwestie. Od nowo zrekrutowanych oczekiwano pilnego ćwiczenia tych umiejętności, gdyż opanowanie uremskiego miało duże znaczenie dla ich przyszłości – a nikt nie mówił tym językiem od urodzenia.

– Dziś będę mówiła o strukturze historii ludzkości oraz sposobach, na jakie z nią oddziałujemy.

Yarrow, czcigodna uczona, była kobietą o nieokreślonym wieku; odziana na czarno, ze szczecina krótkich złotych włosów, mogła mieć trzydzieści albo i trzysta lat. Jeśli wziąć pod uwagę remont epigenetyczny, jaki Staza fundowała swoim ludziom, ta druga możliwość była bardziej prawdopodobna, ale trzy tysiące lat nie wchodziły w grę. Starcia podczas pełnienia obowiązków służbowych zbierały żniwo na przestrzeni stuleci. Spojrzenie, którym Yarrow obdarzyła Piercea, było przejrzyste; jej oczy były błękitne jak niebo na horyzoncie. Tego dnia po raz pierwszy prowadziła zajęcia w klasie Piercea – co nie było niczym dziwnym, bo uczelnia liczyła wielu wykładowców, a droga do zdobycia wykształcenia była tak długa, że stanowiła wyzwanie nawet dla najbardziej zdyscyplinowanych. Z tego co wiedział, była specjalistką od tzw. Pełnego Obrazu. Nie próbował przed zajęciami dowiedzieć się o niej czegoś w Skrzydle Bibliotecznym. (Doświadczenie podpowiadało mu, że na lekcjach lepiej pojawiać się bez uprzedzeń. A tak czy inaczej studenci mieli tylko częściowy dostęp do informacji o dokonaniach wykładowców).

– Jako gatunek, jesteśmy wysoce niestabilni, podatni na kryzysy związane z przeludnieniem i skłonni do prowadzenia wyniszczających wojen. Ta pozorna słabość jest także naszą mocną stroną – nawet zredukowani do kilku tysięcy niepiśmiennych myśliwych i zbieraczy możemy rozprzestrzenić się i opanować planetę w ciągu paru stuleci, oraz tworzyć zaawansowane cywilizacje w kilka tysięcy lat.

– Pozwólcie, trochę danych liczbowych. Mamy dostęp do dwóch i pół miliona epok – a każda z nich trwa przez milion lat. Dokonywaliśmy już wysiewu populacji wyjściowej prawie dwadzieścia jeden milionów razy, a średni okres wymarcia to sześćdziesiąt dziewięć tysięcy lat. Każdy Wysiew wytwarza średnio jedenaście przecinek sześć imperiów obejmujących całą planetę, trzydzieści dwa imperia kontynentalne, jakieś dziewięćset sześćdziesiąt języków, którymi mówi przynajmniej milion ludzi i łączną populację o wielkości jeden przecinek siedem dziesiątych biliona osobników. Podsumowując, dla całego okresu życia tej planety – który został znacząco przedłużony dzięki kosmologicznemu programowi technicznemu, którego skutki możecie co noc oglądać na niebie – jest nas prawie dwadzieścia miliardów miliardów. To nie jest zaledwie legion – dorównujemy liczbie gwiazd w obserwowanym przez nas kosmosie w obecnej epoce.

– Imię naszego gatunku to legion. I przez całe przestrzenie historii, od początku pierwszego wszechwidzącego imperium, podczas pierwszego Wykwitu, zobowiązaliśmy się do przechowywania w sposób trwały zapisów o wszystkim, co kiedykolwiek nas dotknęło – o wszystkim z wyjątkiem tych wydarzeń, które zdecydowanie się nie wydarzyły.

Pierce skupił się na ustach Yarrow. Drżały lekko, gdy mówiła, jakby wypowiedane przez nią słowa miały gorzki smak – lub jakby tłumila nagły atak wesołości, pragnąc zachować powagę w obecności studentów. Miała szerokie i zmysłowe usta, ale były one dziwnie blade, jakby czekały, aż ktoś rozgrzeje je dotykiem. Mimo szkolenia Pierce'a można było rozproszyć tak łatwo, jak dowolnego innego dwudziestoparolatka i choć starał się ze wszystkich sił, z trudem koncentrował się na jej słowach: pochodził z epoki hipertekstu i zwięzłych prezentacji, więc taki liniowy wykład stanowił niełatwy orzech do zgryzienia dla jego zdolności koncentracji. Bezpośrednia prostota jej przemowy rozpaliała wyobraźnię, rozkwitając w zmysłowy sen na jawie, w którym cierpki smak jej ust mieszał się z rytmiczną intonacją jej słów, by zapłonąć ogniem w jego umyśle.

– Niekontrolowana cywilizacja to śmiertelny stan konsumpcyjny, o czym w tak nieprzyjemny

sposób przekonały się ofiary pierwszego wymarcia. Pozostawiliśmy ich historię w stanie nietkniętym i nienaruszonym, byśmy mogli zapamiętać swe początki i badać je, traktując jak ostrzeżenie; kilku z was w tej grupie zostało zrekrutowanych właśnie w tej epoce. W innych epokach staramy się zapobiec dzikiemu rozkwitowi wyczerpującej zasoby nadmiernej industrializacji, stłumić konkurencję pozaludzkich inteligencji i zapobiec bezsensownym, powodującym nadmierne zużycie zasobów, próbom kolonizacji innych układów gwiazdnych. Troszcząc się o zasoby tej planety i manipulując jej gwiazdą i sąsiednimi planetami w celu maksymalnego wydłużenia czasu ich przydatności do zamieszkania, możemy stworzyć Stazę – system, który pozwoli na podtrzymanie ludzkiego życia przez okres tysiące razy dłuższy niż okres życia niezmodyfikowanego słońca, i który będzie pamiętał linię życia każdego życia ludzkiego, które miało miejsce.

Podawane przez Yarrow liczby i fakty umykały uwadze Piercea jak ciepły syrop. Nie zastanawiał się nad nimi, zamiast tego koncentrując się na jej intonacji, małych drgnięciach mięśni na policzkach, gdy artykułowała każde słowo, wznoszeniu i opadaniu jej piersi w rytm oddechu. Wiedział, że to wyjątkowo głupie, ale z powodu pewnej kombinacji ząbwiących się powodów uznał, że to niewyobrażalnie podniecające.

– Wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby nie to, że cały czas jesteśmy właścicielem bramy czasowej. Podstawy już znacie. Możecie jednak nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo unikatowy to zasób i jak łatwo ulega wyczerpaniu. Brama czasowa umożliwia nam otwieranie tuneli łączących dwa otwory w czterowymiarowej czasoprzestrzeni. Zasada Pauliego stanowi jednak, że dwa takie otwory nie mogą ząbwiać się w czasie. Budowanie i burzenie następuje w czasie rzędu siedmiu milisekund, a to niewiele, jeśli uwzględnić, że mamy pod opieką jakiś bilion lat. Kiedy jednak podzielimy interesujący nas okres na odcinki o długości czternastu milisekund, szybko braknie nam czasu. Do każdego takiego odcinka możemy się dostać tylko raz, łącząc go z wybranym przez nas innym miejscem i czasem.

– Kontrola Stazy ma więc teoretycznie dostęp do maksymalnie $5,6 \times 10^{21}$ odcinków w całej naszej historii – ale nasz legion ludzkości niebezpiecznie się do tego zbliża, 2×10^{19} osobników. Wiele dostępnych odcinków jest zarezerwowanych do zapisu danych, przesyłanie całej zapisanej ludzkiej historii do Biblioteki – aż dziewięćdziesiąt sześć procent ludzkości żyje w erach, kiedy to wszechobecny monitoring albo technologie rejestracji życia osobistego umożliwiają pełną rejestrację historii, a my oczywiście musimy archiwizować ich linie życia. Tylko prehistoryczne preludium do Stazy i okresy całkowitego upadku cywilizacyjnego i Wysiewu nie są szczegółowo monitorowane.

– Co gorsza, w praktyce do rzeczywistego ruchu dostępnych jest jeszcze mniej przedziałów, gdyż jako gatunek nie jesteśmy w stanie reagować na okresy krótsze niż sekunda. Siedmiomilisekundowe opóźnienie bramy czasowej jest krótsze o rząd wielkości, niż zwykły czas trwania bramy używanej do transportu.

– Nie odważyliśmy się używać bram do wielokrotnych procesów obliczeniowych ani do otwierania trwałych łączy synchronicznych między epokami, i choć teoretycznie moglibyśmy użyć ich do wysłania jednego statku nadświetlnego, byłoby to okropne marnotrawstwo. Jesteśmy więc ograniczeni do pojawiających się i znikających w mgnieniu oka tuneli, łączących interesujące nas odcinki czasu. A muszę dodać, że odcinki, które przydzielamy do ruchu czasowego, są bardzo rzadkim dobrem, gdyż...

Yarrow przerwała i potoczyła wzrokiem po zgromadzonych. Pierce poprawił się na krześle; narastające napięcie w kroczu zapewniło mu wreszcie coś, na czym mógł się skupić. Yarrow zatrzymała na nim wzrok odrobinę za długo, jakby wyczuła jego rozkojarzenie: delikatny cień rozbawienia, niedostrzegalne drgnięcia mięśni twarzy, które nieznacznie zarysowały zmarszczki w

kącikach ust; poczuł dreszcz paniki pełnący mu po kręgosłupie. *Teraz będzie zadawać pytania*, pomyślał, gdy otworzyła usta.

– Jakie zastosowania wyklucza okres opóźnienia odcinka? Czy ktoś wie? Student Pierce? Co *pan* wie?

Spojrzała prosto na niego, z wyczekiwaniem. Niewyraźny uśmiech błąkał się po jej policzkach, ale oczy były obojętne.

– Ja... nie... – Pierce usiłował rozpaczliwie znaleźć słowa, walcząc z zażenowaniem, jakie spłynęło na niego w związku z jego zmysłowym snem na jawie. – Okres opóźnienia?

– Czego pan nie? – Czcigodna uczona Yarrow uniosła w niedowierzaniu jedną brew, przyglądając się jego zdenerwowaniu. – Oczywiście, studencie Pierce. *Pannie*. To zawsze była pańska największa słabość: łatwo pana zdekoncentrować. Poświęcam temu uwagę dla pana własnego dobra. – Na jej ustach pojawił się lodowaty uśmieszek, a wokół oczu wykwitły zmarszczki rozbawienia. – Proszę zwrócić do mojego gabinetu po wykładzie – rzekła i obdarzyła uwagę resztę klasy, zostawiając go, by mógł do woli martwić się tym, co go czeka. – Mam nadzieję, że słuchał pan uważniej...

Reszta wykładu Yarrow upłynęła Pierce'owi w delirium zawstydzenia. Uczona mówiła o czasie głębokim, plasterkowych panoramach dryfu kontynentalnego i re-formacji, o megalatach poświęconych na lifting gwiazd i zastygłych, pozbawionych życia gigałatach, podczas których Ziemia została wytracona ze swej niebieskiej drogi, by mogła zdryfować daleko od Słońca i tam przeprowadzano pewne etapy przebudowy. *Ona mnie zna*, pomyślał, czując mdłości, patrząc, jak blade usta owijają się wokół słów, które znaczyły wszystko i nic. *Ona mnie już kiedyś spotkała*. Takie rzeczy zdarzały się w Stazie; formalna etykieta była wprowadzonym celowo amortyzatorem, który miał złagodzić wstrząs, jakim był wpływ takich zderzeń na konsekwencje związane z czyjąś przyszłością. *Pewnie uważa mnie za idiotę...*

Wykład zakończył się lawiną pokłonów i pożegnań. Zmieszany Pierce stał przy uczonej na dachu świata, w świetle obserwującego ich księżyca. Była bardzo piękna, a on mocno zażenowany.

– Czcigodna uczono, nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ja...

– Cisza – Yarrow dotknęła ust palcem wskazującym. Poczuł jej zapach, dziwny i kwiatowy, i rozdał nozdrza. – Powiedziałam, że ma się pan stawić w moim gabinecie. Idzie pan?

Pierce gapił się na nią z otwartymi ustami.

– Ale, czcigodna, ja...

– Zapomniałeś, że jako twój wykładowca mam prawo dostępu do twojego zapisu w Bibliotece – uśmiechnęła się tajemniczo. – Ale wcale nie musiałam tego robić. Ty – twoje przyszłe ja – powiedziało mi, że byłeś zdekoncentrowany, wiele subiektywnych lat temu. Między nami tkwi kawał historii. – Jej dobry humor znikł jak mgła na gorącym wietrze. – Czy teraz pójdziesz ze mną? Nie sprawiając, by nasze życie razem się odstało?

– Ale ja... – dopiero teraz zauważył, że używa bardziej zażyłej formy osobowej. – Co masz na myśli, mówiąc o „naszym życiu”?

Ruszyła w stronę schodów prowadzących na północny dziedziniec.

– *Nasze życie?* – zawołał za nią, czując złość na myśl o tym, że ona nim manipuluje, aż głos zaczął mu drżeć. – Co masz na myśli, mówiąc o *naszym* życiu?

Obejrzała się i spojrzała na niego z dziwnym, nieomal tęsknym wyrazem twarzy.

– Nigdy się nie dowiesz, jeśli nie pokonasz swojej dumy, prawda?

Popatrzyła na dwieście kamiennych stopni, które rozpościerały się przed nią, nieożywione i podstępne, i zaczęła schodzić po zboczu. Jej chód był tak dostojny, jak kroki matrony odwracającej się plecami do młodzieńczej miłości i fałszywych wspomnień.

Patrzył przez prawie minutę, jak idzie, po czym jego urażona duma ustąpiła i pobiegł za nią, brawurowo przeskakując ze stopnia na stopień, tak bardzo pragnąc odkryć swoją przyszłość.

WŁAMYWANIE SIĘ DO HISTORII

Imperia Przyjemności

Powitają cię jak księcia pośród książąt i będą czcili jak boga pośród bogów. Będą ścierać ci pot z czoła i pył sprzed twych stóp, i podsuwać ci swoich synów, córki, i wino ze swoich winnic. Ich świat istnieje tylko po to, by sprawiać przyjemność aniołom z niebiańskiego dworu, a my udzielimy ci urlopu, byś mógł mieszkać pośród swych czcicieli, z prawami i honorami wcielonego boga.

Będą ci przynosić wino i owoce maku sprowadzające sny. Odzieją cię w jedwab i złoto i będą leżeć nago u twych stóp, i korzyć się przy każdej twojej zachciance. Tacy są mieszkańcy Imperiów Przyjemności, tworzonych czasami dekretem panów Stazy, by mogli nagradzać swe lojalne służby, a okazywanie ci miłości i zaspokajanie wszystkich twoich pragnień to ich honor i obowiązek, przez wszystkie ich dni i żywoty spędzone na Ziemi. A ty będziesz mieszkać pośród nich w alabastrowym pałacu, otoczonym ogrodami cudowności, i nie będziesz już pragnąć niczego więcej.

Spędzonych na przyjemnościach dni będzie tysiąc i jeden; jeśli tylko zechcesz, zaznasz takiej samej liczby kochanek lub kochanków, twoje przyjemności będą niezliczone, a liczba jutrzejszych uczt niezmiernie duża. Nie musisz odchodzić, dopóki przyjemności ciała i umysłu nie zbledną, a nowość, jaką jest nieograniczony luksus, zacznie ci ciążyć na duszy. Dopiero wtedy, nie wcześniej, zatęsknisz za obowiązkiem, który nadaje życiu sens; z nową energią powrócisz do służby, ze spokojem i entuzjazmem. Twoi koledzy zaś oderwą się od swych zadań i zdziwią na widok twojego zapału, gdyż choćbyś spędził w Imperiach Przyjemności całe stulecie, twoja nieobecność w pracy trwała tyle, co jedno uderzenie serca. Jesteś lojalnym sługą Stazy: możesz wrócić do rajów, kiedy tylko zechcesz, bo chcemy, żebyś był w pracy szczęśliwy.

Zasadzka z palimpsestem

Od chwili, gdy wybuch wulkanu Yellowstone zmiotł z powierzchni ziemi Benzynów i myśliwsko-zbierackie plemiona południowego wybrzeża, minęło prawie sto kilolat. Nowy Wysiew trwał od dwunastu tysięcy lat; cywilizacja znów zapuściła korzenie, rozprzestrzeniając się po planecie z kwitnącym entuzjazmem pasożytniczego pnąca. Obecnie przechodziła przez fazę ekspansjonistyczno-merkantylną; rozproszone państwa miasta i imperia, czerpiące zyski z danin, stopniowo łączyły się i parły do załazków oświecenia. W końcu odkryli ponownie elektronikę i z wprowadzeniem wszechobecnego programu monitoringu wznieśli się na wyżyny prawdziwej cywilizacji. Patrząc na kwitnące miasta i kupieckie statki pod białymi żaglami można by przypuszczać, że tubylców czeka przyszłość pełna chwały.

Pierce kroczył niepewnie krętą, wyłożoną kocimi łbami uliczką w pobliżu ulicy Mydlarzy w Carnegrze, próbując jak najdokładniej przyjrzeć się widokowi, zarazem nie wychodząc z roli pijaka. Żeglarze z Ligi Ipsoliańskiej, którzy właśnie zeszli na ląd, nie byli tu niczym dziwnym, mógł więc w ten sposób tłumaczyć swój brak biegłości w imagryjskim, lokalnym dialekcie. Była to kolejna misja szkoleniowa, ale po sześciu latach szkolenia, z implantem komunikacyjnym Stazy, Pierce mógł cieszyć się pewnym stopniem niezależności. Ufano mu na tyle, że mógł pracować bez nadzoru opiekuna, na misjach, które były bezpieczne dla agenta w okresie próbnym.

– Idź do gospody Pod Czerwoną Kaczką na ulicy Margrabiego w trzeciej godzinie korszodnia. Zalicz najpierw procedurę detoksykacyjną, a potem poprzestań na małym piwie. Jesteś obserwatorem pierwszego poziomu i przynętą poziomu wyjściowego zero, masz zamaskować zniknięcie agenta. Będzie tam bójka, więc musisz uważać. Ale pamiętaj, masz być pijanym marynarzem, więc musisz się zaangażować, aż wszystko ruszy. Kiedy twój cel zniknie z obrazu, możesz odejść. Jeśli zrobi się gorąco, przekaż sprawę mnie, rozplączę wszystko retroaktywnie.

Wszystko to było dość proste, choć zwykle Pierce nie dostawał przydziałów w Carnegrze ani w ogóle w tej epoce. Szkolenie z idealnego wtapiania się w obcą kulturę było wystarczająco trudne, więc agenci Stazy zwykle pracowali w ojczystej erze, czy możliwie jak najbliżej niej, gdzie ich lokalna wiedza najbardziej się przydawała. W tym przypadku dwa miesiące intensywnej nauki umożliwiły mu jedynie maskowanie się w roli pijanego marynarza – to żyjące na wyspach społeczeństwo miało wynaleźć telegraf dopiero za trzysta lat. *To indywidualny test*, uświadomił sobie nagłym dreszczem czujności, gdy wlał w siebie kufel yerba maté. Ktoś wyżej od niego w dziale Analizy Operacyjnej będzie obserwował jego poczynania i oceniał sprawność. Postanowił, że da z siebie wszystko.

Przez dwa miesiące przechodził niełatwe szkolenie: język, studia kulturowe, lokalne procedury – a wszystko to, by spędzić niecałe sześć godzin w Carnegrze. I był pewien, że to test – opiekun Hark zmienił temat, kiedy Pierce spytał, kogo ma osłaniać.

Ulica Margrabiego była wyłożoną kamieniami alejką na stromym zboczu; jednokondygnacyjne budynki znajdowały się na położonych co kilka metrów tarasach. Mieściły się w nich sklepiki handlarzy rybami i mydlarzy. Pierce niepewnym krokiem brnął pośród służących kupujących ryby z porannego połowu, nosicieli wody, sprzedawców owoców i warzyw oraz żebraków; uskokzył przed orszakiem kupca sprzedającego ryż, złożonego z karłowatych wielbłądów obładowanych workami, po czym odsunął się na widok odzianych na czarno uczonych z jednego z seminariów, które obsiadły podnóże góry jak rzędząca czupryna na głowie starzejącego się kapłana. Chorągwie marszczyły się od delikatnej bryzy od morza; papierowe latarnie w kształcie czaszek, z polerowanymi lustrami zamiast oczu, które miały odpędzać złe duchy, kołysały się radośnie pod okapem, gdy wkraczał do gospody.

Ściany gospody Pod Czerwoną Kaczką pomalowano pod kolor upierzenia ptaka, od którego przybytek ten wzięł nazwę. Pierce pochylił się w niskim przedsionku i ostrożnie wpatrzył w ciemność. W końcu wynurzył się na podwórzu na tyłach. O tej porze podwórze było jeszcze prawie puste, bo tawerna zarabiała głównie na serwowaniu jedzenia. Ciężki zapach kapryfolium snuł się nad deskami, a kwiaty na krzewach hibiskusa, rosnących na skraju podwórza, były jaskrawoczerwone. Pierce zajął ławkę blisko tylnej ściany, z dobrym widokiem na wejście i blisko latryny, po czym dyskretnie przyjrzał się pozostałym gościom, starannie unikając kontaktu wzrokowego. Choć podwórze było w połowie puste, byli tu młodzi synowie karczmarza (kręcący się tam i z powrotem i dolewający gościom trunków), zobaczył też czterech marynarzy, najprawdopodobniej rzeczywiście pijanych, trzech odzianych w liberie służących z seminariów, kilka krzykliwie ubranych kobiet, których pogardliwe podejście do marynarzy aż zbyt ostentacyjnie zdradzało profesję i trzech osłoniętych płaszczami pielgrzymów z wyżyn, które kiedyś były Kaskadią – pewnie przybyli tu, by odwiedzić sanktuarium i święte źródła południowych krain. Przynajmniej tyle dostrzegł za pierwszym razem.

Jeden z chłopców pojawił się u boku Piercea i zapytał o coś, pewnie związanego z obsługą czy jedzeniem.

– Daj piwo – rzekł niepewnie Pierce. – Dobre lekkie piwo za dwie monety.

Chłopiec od nalewania piwa znikł i wrócił z kuflem z kamionki pełnym czegoś, co wyglądało jak ciepłe mydliny i pachniało lekko bananami.

– Dobrze, dobre.

Pierce poszperał w kieszeniach za drobnymi monetami i poskrobał je, jakby nie był pewien. Podał chłopcu dwie pociemniałe i wyszczerbione monety – w obu były pasywne nadbiorniki RF, dzięki którym mógł dać znać swoim kontaktom, że nie są sami.

Gdy Pierce z niekłamaną satysfakcją unosił kufel do ust, odezwał się jego komunikator. Było to nieprzyjemne uczucie, całkowicie nienaturalne, i dużo musiał ćwiczyć, by nie reagować podskakiwaniem, gdy to się działo. Przyjrzał się piwnemu ogródkowi, zasłaniając usta kuflem. Stado wron – uczniowie seminarium, którzy tłoczyli się przy wejściu, powrzaskując ustalali kolejność dziobania w przedsionku; jeden z marynarzy padł na stół, a jego kompan próbował go podnieść, zaś prostytutka w czerwonym zawoju maszerowała w stronę tylnej ściany, podśpiewując coś pod nosem. *Bingo*, pomyślał z przebłyskiem zadowolenia.

Pierce uruchomił mięsień brzucha, naciskając telefon. Inny agent Stazy powinien poczuć dreszcz i łaskotanie, jakby miał w brzuchu wściekłą osę – i rzeczywiście, kobieta w czerwieni obejrzała się gwałtownie. Pierce zrobił to jeszcze raz i jej spojrzenie powędrowało w jego stronę: tym razem poczuł coś na kształt *déjà vu*. *To niemożliwe*, pomyślał sekundę później. *Ona nie może brać udziału w takiej operacji w terenie!*

Kobieta w czerwieni skrzyła i podeszła do jego ławki, poruszając bezgłośnie ustami.

– *Ty masz mnie osłaniać, tak? Wyośmy się stąd, robi się nieciekawie.*

Pierce uniósł się z miejsca.

– *Yarrow?* – spytał. Marynarz, który próbował unieść kumpla, teraz szarpał go za rękę.

– Tak? Jaki masz plan wyjścia stąd? – W jej głosie słychać było zdenerwowanie.

– Ale... – zastygł, czując skurcz w żołądku. *Ona mnie nie poznaje*, pomyślał.

– *Przepraszam. Możesz przedostać się przez ścianę, kiedy odwrócę ich uwagę?* – przekazał jej, czując serce walące mu jak młotem. Nie widział jej od trzech subiektywnych lat – przeleciała przez jego życie jak pociąg, który wypadł z szyn i znikła tak samo nagle, jak się pojawiła, zostawiając nabazgraną notatkę, że Kontrola wezwała ją w przyszłość, i szybki szkic węglem.

– Chyba tak, ale jest ich dwóch...

Marynarz wstał i zaczął coś wywrzaskiwać nieskładnie w jej stronę, a komunikator Pierce'a znów zawibrował.

– *Kto to jest?* – spytała.

– Kontakt bezpośredni za pięć sekund! – Drugi agent, kimkolwiek był, mówił, jakby był przejęty. – *Cofnijcie się!*

Marynarz znów coś krzyknął i tym razem Pierce zrozumiał.

– Morderca!

Wszedł zza stołu i wyciągnął długi, zakrzywiony nóż, po czym ruszył w ich stronę.

– Schowaj się za mną.

Pierce wskoczył między Yarrow a marynarza, z istną gonitwą myśli: *To głupie, co ona tu zrobiła? i Kto jeszcze?* Wezwał opiekuna Harka.

– Spokój – rzekł łamanym karnegrańskim. – Ja przyjaciół. Ty piwo?

Za rozwścieczonym marynarzem zgromadzili się przyszli kapłani; ich czarne szaty łopotwały, gdy się rozpierzchali, wrzeszcząc do siebie. Yarrow cofnęła się za nim; jego komunikator znów zawibrował, a potem – co wydawało mu się niemożliwe – odezwał się po raz czwarty. Za dużo agentów.

– *Co się dzieje?* – spytał Hark

– To chyba palimpsest – zdołał nadać Pierce. Była to część historii, która przypominała wielokrotnie wykorzystany pergamin: wyskrobana do czysta i zapisana wiele razy. Uniósł ręce w górę i zwrócił się do marynarza.

– Ty chcieć? Rzeczy? Pieniędzy?

Trzeci agent, który ostrzegał o kontakcie:

– *Na ziemię. Już!*

Pierce rzucił się na ziemię, gdy coś albo ktoś – Yarrow? – chwyciło go za ramię i odepchnęło w bok.

Jeden ze studentów rozchylił szatę. Zsunęła się z jego ramion i ukazała opalizującą płynność otaczającą kontury ludzkiego ciała, prężącą się i marszczącą jak stopione szkło. Jej górna krawędź spływała i pęczniała dookoła jego szyi i brody, aż wyrzusiła się, by objąć jego głowę; wykonał krok, a czarna szata żaka opadła na ziemię.

Marynarz uniósł skierowany w dół nóż jeszcze wyżej i nadal szedł w stronę Pierce'a. Ten usiłował się skupić, zamierzając się przetoczyć i uruchomić teleskopową pałkę w rękawie.

Uderzająco głośny wystrzał rozdarł popołudniowe powietrze. Głowa marynarza znikła w szkarłatnej mgiełce, która osiadła na twarzy Pierce'a. Ciało drgnęło i opadło jak upuszczony worek. Ktoś – Yarrow? – krzyczał za nim. Pierce próbował się odepchnąć lewą ręką i mrugał, usiłując pozbyć się czerwonej cieczy z oczu.

Szaty żaka zaczęły żyć własnym życiem, kurcząc się i unosząc za swoim właścicielem, jak złowieszczy cień, zaś maszerująca chmura wody o ludzkim kształcie obróciła się i uniosła jedną dłoń w stronę dachu. Rozległ się istny chór wrzasków, gdy jeden z żaków nierozsądnie sięgnął po szatę i upadł w konwulsjach.

– Nie wstawaj! – Krzyknął trzeci agent. – *Udawaj zabitego.*

– Moje kolano...

Pierce zdołał rzucić ukradkowe spojrzenie Yarrow; na jej twarzy malował się wyraz przerażenia połączonego ze zrozumieniem.

– *Będę robił za przynętę* – przekazał, po czym, ze zdumiewającą jasnością umysłu co do celu tego, co ma zrobić, przetoczył się na bok i zaczął pełznąć w stronę wnętrza karczmy.

W ciągu trzech kolejnych sekund wydarzyło się równocześnie kilka rzeczy naraz.

Najpierw otworzył się jasny, turkusowy krąg o średnicy dwóch metrów i zawisł tuż przed tylną ścianą piwnego ogródka. Całe stado ogromnych fioletowych szerszeni wystrzeliło z jego powierzchni. Większość popędziła w stronę żaków, którzy w panice zbili się w gromadkę przy wejściu; dwóch obróciło się i popędziło po schodach na górę.

Potem między uniesioną dłonią wodnego humanoida a sufitem przeskoczyła iskra jasna jak błyskawica.

I wreszcie coś uderzyło Pierce'a w pierś z taką siłą, że ku swemu zdumieniu i przerażeniu odkrył, iż jego ręce i nogi nie chcą już współpracować z resztą ciała.

– Agent dostał – zasygnalizował ktoś i Pierce pomyślał, że powinien spróbować doszukać się w tym jakiegoś sensu, ale ten sens szybko odpływał pośród bzyczenia wściekłych szerszeni, a różowość zaczęła szarzeć. A potem na bardzo długo nastąpiła cisza.

Wydział Spraw Wewnętrznych

– Czy zna pan kogoś, komu może zależeć na pańskiej śmierci, praktykancie?

Śledczy z Wydziału Spraw Wewnętrznych pochylił się nad Pierce'em, składając ręce w sposób, który przywodził Pierce'owi na myśl głodną modliszkę. Miał odstające i różowe uszy (Pierce

próbował nie zwracać na to uwagi, ale nie udało mu się), jak anteny radarowe zdobiące boki chudej twarzy. Upodobnienie się do Franza Kafki musiało być jakąś formą ironicznego komentarza – czy wręcz jawną zniewagą. A może człowiek z Wydziału Spraw Wewnętrznych nie chciał zostać rozpoznany.

Pierce zachichotał nieśmiało. Skutki były łatwe do przewidzenia; gdy atak kaszlu zelżał, a Pierce'owi wrócił wzrok, agent potrzęsnał głową.

– Szkoda – Kafka odchylił się lekko do tyłu, opuszczając ramiona. – To by nam wiele ułatwiło.

Pierce zaryzykował zadanie pytania.

– A czy w Bibliotece czegoś nie ma?

Kafka prychnął.

– Oczywiście, że nie. Ktoś, kto zastawił tę pułapkę wiedział na tyle dużo, że wyskrobał palimpsest do czysta, zanim zaczął się szalać zabijania.

Więc to był palimpsest. Pierce poczuł się, jakby ktoś próbował go oszukać.

– Pozabijali się najpierw sami? Żeby usunąć dowody z sekwencji czasowej?

– Ginął pan trzy razy, praktykancie, nie licząc pańskiego obecnego stanu. – Wskazał gestem opatrunek skrywający zakończenie urządzenia wspomagającego pracę serca, wszczepionego do piersi Piercea. Pulsowało rytmicznie, przejmując obciążenie, gdy nowe serce jeszcze rosło między żebrami, przed osiągnięciem właściwego rozmiaru. – Agentka Yarrow ginęła dwa razy, a agent major Alizaid informuje w swoim raporcie, że musiał wzywać Kontrolę Wyższą, by ograniczyła rozszerzanie się palimpsestu. *Ktoś* – Kafka znów pochylił się w stronę Piercea, wpatrując się intensywnie w jego twarz niepokojąco ciemnymi oczami – włożył sporo wysiłku w to, żeby pana ponownie zabić.

– Hm – Pierce gapił się na sufit szpitalnego pokoju; gipsowe cherubiny, dzierżące przepiękne rogi obfitości, hasały tam z lubieżnymi satyrami. – Pewnie chciałby się pan dowiedzieć dlaczego?

– Nie. Poczytałem pańską kartotekę w Lokalnej Bibliotece i można tam doszukać się dowolnej liczby takich „dlaczego”. Ja chcę się dowiedzieć „dlaczego teraz”. – Kafka uśmiechnął się tak szeroko, że Pierce'owi przyszło na myśl, iż zaraz jego głowa, pozbawiona podpory, jaką zapewniała żuchwa, przechyli się i spadnie. – Nie ukończył pan szkolenia, jest pan jeszcze zielony. Ciekawe, dlaczego ktoś chce pana załatwić właśnie teraz?

Pierce poczuł, jak sztywnieje ze strachu.

– Skoro czytał pan moją kartotekę w bibliotece, to musi pan wiedzieć, że jestem lojalnym...

– Spokojnie – Kafka wykonał pojednawczy gest. – O niczym takim nie wiem, ale Biblioteka nie powie mi, co siedzi w pańskiej głowie. W każdym razie nie jest pan podejrzany o próbę zamachu na samego siebie. Wiem natomiast, że jak dotąd pana kariera przebiegała bez większych fajerwerków. Oddziały Biblioteki można nadpisać jak każdy inny palimpsest, ale powinniśmy być w stanie wyciągnąć jakieś wnioski na temat napastnika w oparciu o rozbieżności między pana pamięcią a lokalną wersją pańskiej kartoteki.

Pierce oparł się na poduszkach, wyczerpany. *Nie jestem podejrzany.*

– W takim razie co mnie czeka? – spytał.

Uśmiech na twarzy Kafki znikł.

– Na razie nic. Będzie pan powoli wracał do zdrowia, a prędzej czy później dowie się pan czegoś tak ważnego dla naszych wrogów, że próbowali pana zlikwidować. Będę wdzięczny, jeśli się pan ze mną skontaktuje, jeśli coś takiego nastąpi. – Wstał i ruszył w stronę drzwi. – Kiedyś jeszcze na pewno się spotkamy. A tymczasem powinien pan pamiętać, że przyciągnął pan uwagę kogoś ważnego. Proszę uważać się za szczęściarza – i spróbować obrócić to na swoją korzyść.

Trzy dni po wizycie Kafki – który niewątpliwie został odwołany w nieprzebrane otchłanie głębokiego czasu, gdzie Wydział Spraw Wewnętrznych zbierał się na obrady – do Pierce’a zawitał kolejny gość.

– Przyszłam, żeby ci podziękować – odezwała się niepewnie. – Nie musiałeś tego robić. To znaczy, osłaniać mnie. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Brzmiało to trochę jak przygotowana wcześniej kwestia, ale Pierce’owi to nie przeszkadzało. Była młoda i ponętna tak, że nie można było oderwać od niej oczu, nawet gdy była w prostym mundurze agenta nowicjusza.

– Zginęłabyś jeszcze raz – przypomniał. – Miałem cię zastąpić. Nie powinno się dać zginąć twojej wersji pierwotnej. I miałem wobec ciebie dług wdzięczności.

– Dług wdzięczności? Przecież my się nie znaliśmy! W mojej kartotece bibliotecznej nic o tobie nie ma. – Jej źrenice zwęziły się.

– To była starsza wersja ciebie – rzekł łagodnie. Choć Staza prowadziła kartoteki o wszystkich, agenci mogli tylko zapoznawać się – i opatrywać uwagami – wyłącznie własne informacje, które znajdowały się w ich przeszłości. Po chwili odezwał się znów: – Miałem nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy.

– Ale... – zawahała się i znów spojrzała na niego, mrużąc oczy – ale ja nie jestem wolna. Mam partnera.

– To zabawne, ona o niczym takim nie wspominała. – Zamknął oczy na kilka sekund. – Powiedziała jednak, że mamy jakąś wspólną historię. A kiedy się po raz pierwszy spotkamy, mam jej powiedzieć, że jej pierwsze zwierzątko, kotka imieniem Chloe, zginęła zagryziona przez dzikiego psa. – Pierce otworzył oczy, by znów spojrzeć na barokowy sufit. – Przepraszam, że pytałem, Ya... szanowna koleżanko. Proszę o wybaczenie, nie przypuszczałem, że nie jesteś wolna. Po prostu mam serce w niewłaściwym miejscu.

Po sekundzie usłyszał nerwowy, osobliwy chichot.

– Pociski przeciwpancerne zwykle tak działają – dodał.

Kiedy już była w stanie się odezwać, potrząsnęła głową.

– Jestem z tobą szczerą, praktykancie... Pierce? Pierced? O rany! – Udało jej się zachować godność, mimo okazania odrobiny rozbawienia. – Przepraszam, jeśli... nie chciałam podawać tego w wątpliwość. Ale skoro mnie znasz, to musisz wiedzieć, że *ja* nigdy *cię* nie spotkałam, tak?

– Istotnie, przyszła mi do głowy taka myśl. – Urządzenie wspomagające serce pulsowało delikatnie w jego piersi, przepychając krew przez sztuczną przetokę. – Jak widzisz, teraz jestem nie tylko bez serca, ale i nieszkodliwy, w każdym razie nie będę w stanie wstać z łóżka bez pomocy przez jakieś dziesięć dni, więc nie musisz się martwić, że będę cię ścigał. Po prostu pomyślałem o tym, żeby ci się przedstawić i dać ci do zrozumienia – tak jak ona to zrobiła – że *możliśmy* mieć jakąś wspólną historię. Kiedyś. Ale nie teraz. To oczywiste.

– Ale oczywiście, że nie... – Wstała. – Nie tego się spodziewałam.

– Ja też nie. – Uśmiechnął się z goryczą. – Ale tak nigdy nie jest, prawda?

Zatrzymała się w drzwiach.

– Nie mówię „nigdy”, praktykancie. Ale oczywiście nie teraz. Może kiedyś... Będziemy się tym martwić, jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy. Może. Historia może jeszcze trochę poczekać. Aha, i dziękuję za ocalenie mi życia tym razem! Raz na trzy to całkiem dobrze, zwłaszcza jak na studenta.

Krótką alternatywna historia Układu Słonecznego: część pierwsza

Co już się stało:

SLAJD 1

Nasz Układ Słoneczny jako embrion. Potężny dysk gazu i ściąganego zewsząd pyłu otacza i zaćmiewa nowo narodzoną gwiazdę, niewiele większą od pęczniejącej grudki szybko wirującej materii, która błyskawicznie zasysa coraz więcej masy do swej rosnącej studni grawitacyjnej. Słońce świeci już czerwonym żarem uwolnionym przez kolaps grawitacyjny, aż tu nagle...

SLAJD 2

Zapłon! Ciśnienie i temperatura jądra gwiazdy embrionu wzrosły tak bardzo, że jądra wodoru w zdegenerowanej zupie wodorowej zaczynają się ze sobą zderzać. Dojdzie do złożonej reakcji, wskutek której zostaną gwałtownie uwolnione neutrino i promieniowanie gamma, a rdzeń gwiazdy zacznie się nagrzewać. Jądra wodoru zaczynają się łączyć: najpierw deuter, potem zwykłe jądra wodoru. Rozbłysk nuklearnego ognia smaga wewnętrzne warstwy gwiazdy. Przebicie się przez dławiące, tłumiące warstwy zdegenerowanego wodoru zajmie promieniowaniu gamma miliony lat, ale w końcu impuls neutrinowy ogłosi narodziny nowej gwiazdy.

SLAJD 3

Mijają miliony lat, a słońce staje się coraz jaśniejsze, zaś wirująca chmura gazów i pyłu zaczyna się dzielić. Za linią skraplania, gdzie mogą narastać cząsteczki lodu, tworzy się wzburzona grudka brudnego lodu i podobnie jak dawniej słońce, zaczyna zasysać pył i gazy, i rośnie. Gdy przebija się przez chmurę materii, rozpryskuje pył dookoła. A tymczasem, w punktach równowagi między gwiazdą a studnią grawitacyjną zalążka Jowisza, tworzą się kolejne grudki pyłu...

SLAJD 4

Od chwili gdy nastąpił zapłon słońca, minęły już miliony lat, a gwiazdna kołyska z gazów i pyłu została wymieciona do czysta przez flotę nowo powstałych planet. Nie obyło się bez sprzeczek – podczas ciężkiego bombardowania, spowodowanego zewnętrzną migracją Neptuna, utworzyły się na nowo całe powierzchnie planet – ale nowy system osiągnął długofalową stabilność. Pustynna planeta Mars jako pierwsza przechodzi ciepłe i wilgotne interludium; Wenus nadal ma śladowe ilości wody w swojej gorącej (ale jeszcze nie rozpalonej do czerwoności) atmosferze. Ziemia jest chłodną, spowitą azotem i metanem tajemnicą, zamieszkałą jedynie przez prymitywne bakterie purpurowe; stumetrowe przypiływy każdego siedmiogodzinnego dnia miały jej potężne oceany; wywołuje je młody księżyc, który pokonuje orbitę w czasie nieco krótszym niż dwadzieścia cztery godziny.

SLAJD 5

Minęły kolejne trzy miliardy lat. Układ Słoneczny okrążył jądro galaktyki prawie szesnaście razy i teraz wygląda zupełnie inaczej niż gwiazdny żłobek, który go zrodził. Mars wysechł, choć czasem wybuchy wulkanów spowijają go chmurami. Wenus jest jeszcze gorętsza. Ale coś dziwnego dzieje się z Ziemią. Luna odpłynęła daleko od planety, którą okrążała, przypiływy uspokoiły się; tymczasem atmosfera nabrała dziwnego błękitnego odcienia, co stanowi nieomylną oznakę skażenia toksyczną

mgiełką tlenu. Potężny kontynent Rodinia, który pokrył większość południowego oceanu pod lodową czapą, podzielił się, a w płytkich morzach Panthalassy i Oceanu Panafrykańskiego kwitnie wielokomórkowe życie.

SLAJD 6

Sześćset pięćdziesiąt milionów lat później zarysy nowych kontynentów Ziemi lśnią nocą jak neonowy diadem na tle ciemności, wykrzykując w niebo sygnały na częstotliwościach radiowych, głośnie jak krzyk gwiazdy, informując o narodzinach świadomości.

Pomiędzy slajdem 5 a 6 nastąpiło pięć głównych epok zdominowanych przez różne rodzaje kręgowców lądowych. W tym czasie powstały wszystkie złoża węgla i ropy na Ziemi, różne rodziny zwierzęce odkryły lot co najmniej cztery razy, a ciśnienie parcjalne tlenu w atmosferze wzrosło z około 4 procent do dobrze ponad 16 procent. Wreszcie na afrykańskich równinach pojawił się dziwny, dwunożny, pozbawiony ogona wszystkożerca – a jego mózg doznał gwałtownego przyspieszenia w kontakcie z potężnie działającą mieszaniną tlenu i łatwo dostępnych cukrów – i w geologicznym mgnieniu oka stał się rozumny.

A co się nie stanie:

SLAJD 7

Kontynenty Ziemi, już nieopromienione poświatą inteligencji, zaczną dryfować, tworząc dziwne, nowe konfiguracje. Dwieście pięćdziesiąt milionów lat później, po szóstym wielkim wymieraniu, rozproszone kontynenty zgromadzą się ponownie, tworząc jeden równikowy superkontynent, Pangea Ultima; poza nim będzie tylko połączona masa lądów, która kiedyś była Antarktyką i Arktyką, na oceanie południowym. W miarę rozjaśniania się słońca rozjaśnią się też pokryte zielenią równiny Ziemi; wykwit wodorostów w oceanach sprawi, że stężenie tlenu w atmosferze wzrośnie prawie do 25 procent, a pożary wywoływane przez pioruny spustoszą interior kontynentu. Będzie to epoka charakteryzująca się burzliwym rozwojem życia roślinnego, ale na lądzie przetrwa kilka zwierzęcych form życia – w dusznym powietrzu starzejącej się Ziemi spłonie nawet przesiąknięte wodą mięso. A słońce będzie się nadal rozpalać...

SLAJD 8

Siedemset pięćdziesiąt milionów lat później. Rozpalające się słońce będzie spoglądać złowieszczą na spowite chmurami starożytne kontynenty, zwiertzałe i zerodowane aż do skalnego podłoża. Życie roślinne zaniknie, gdyż dzienna temperatura w okolicach równika będzie się niebezpiecznie zbliżać do punktu wrzenia wody. Jedyne życie, jakie jeszcze pozostało, skryje się głęboko w wodach oceanu, z dala od palącego promieniowania ultrafioletowego, które rozszczepia cząsteczki wody w górnych warstwach atmosfery. Nie ma już jednak ucieczki: oceany parują i ulegają zakwaszeniu, a wodór uwolniony w jonosferze jest wywiewany w kosmos przez wiatr słoneczny. Ekstremalny efekt cieplarniany jest bardzo zaawansowany: za kolejny miliard lat Ziemia będzie przypominać wyschniętą, gorącą jak piekło Wenus.

SLAJD 9

Cztery i dwie dziesiąte miliarda lat po krótkim kosmicznym mgnieniu oka ziemskiej inteligencji, gra się kończy. Martwa Ziemia obiega słońce samotnie, jej księżyc jest niezależną planetą, wędrującą wokół słońca po coraz bardziej niestabilnych elipsach. Na otulonej atmosferą z dwutlenku węgla wyżarzanej ze skał, świecącej czerwono planecie nie będzie już śladu po dawnym życiu. Słońce,

wokół którego krąży, czerwony potwór o posępnej twarzy, będzie zbliżać się do wyczerpania rezerw wodoru. Wkrótce rozszerzy się, pochłaniając wewnętrzne planety.

Wydarzenia na większą skalę oszczędzą jednak Ziemi tego losu. Od miliardów lat galaktyka, w której orbituje ta gwiazda, łączy się z innym dużym rojem gwiazdnym, galaktyką Andromedy M-31. Teraz spiralne obłoki gwiazd przenikają się i splatają, a zderzenie galaktyk sprawi, że słońce czeka trudna podróż.

Podwójny układ czerwonych karłów zbliża się do Układu Słonecznego z prędkością bliską pięciuset kilometrów na sekundę. Miną słońce w odległości pół miliarda kilometrów, co w kosmicznej skali znaczy o włos: wówczas wywrócą na nice schludną strukturę Układu Słonecznego. Jowisz, przeciągnięty o kilka milionów kilometrów w stronę słońca, wejdzie na niestabilną orbitę eliptyczną i w ciągu kilku tysięcy lat zaburzy orbity wszystkich pozostałych planet; Ziemia, najcięższa z nich wszystkich, przez prawie milion lat będzie przeskakiwać między dawnymi orbitami Wenus i Saturna, zanim ostatecznie zderzy się z Jowiszem i odpłynie w wieczną noc, a porwane resztki jej atmosfery skroplą się i zamrzną w obłok suchego lodu.

Powolny powrót do zdrowia

Pierce miał oficjalnie pozostać na urlopie rekonwalescencyjnym przez cały subiektywny rok. Jego serce zostało rozszarpane na strzępy przez pocisk penetracyjny; naprawa innych uszkodzeń, wyhodowanie nowego organu w ciele i powrót do formy nie były kwestią trywialną. Miał szczęście, że cała ta feralna strzelanina miała miejsce w samym środku zasadzki polegającej na wielokrotnym nadpisaniu, która została zlikwidowana przez Kontrolę Wyższą stosującą broń wielkiego anachronizmu; wyciągnęli jego krwawiący wrak przez bramę czasową jeszcze nim skończył bębnić obcasami o ziemię.

Mimo to regeneracja organu – jak również powrót do formy psychicznej po tak gwałtownym i potężnym urazie – musiały trochę potrwać. Zamiast więc przesłać go prosto do izby chorych w alpejskim klasztorze, w strefie szkoleniowej 25, wysłano go, by wracał do zdrowia w Skrzydle Odrodzenia Chryzantemowej Kliniki, przy Alei Nieśmiertelnych Medycyny, w mieście Leng, na północno-wschodnim wybrzeżu kontynentu Nova Zealantis, cztery miliardy lat od dnia, kiedy się urodził.

Aktualny proces Wysiewu miał charakter oświecony; nie tylko zdawali sobie sprawę z istnienia Stazy, ale byli częścią większej ponadczasowej makrokultury: mówili po uremsku, byli lojalni wobec Stazy, a czasem nawet w wyjątkowych okolicznościach pozwalano im korzystać z bram czasowych. W zamian za to Hegemonia miała skrupulatnie wywiązywać się z obowiązków strażników historii, obdarzając Pierce'a honorami, które w innych epokach byłyby należne dyplomatom czy mniej ważnym potomkom rodzin królewskich. Niestety, wiązało się to z wyższym poziomem sformalizowania niż ten, do którego Pierce był przyzwyczajony. Już choćby wystrój wnętrz: na pewno badali jego epokę, ale udekorowanie szpitalnego pokoju na wzór sypialni Ludwika XV świadczyło o tym, że musieli mieć dziwne wyobrażenie o jego pozycji.

– Gdybyś łaskawie zechciał, o panie, opisać, w jaki sposób wstąpiłeś do niebiańskiej służby?

Dziennikarka, która – jak wyjaśnił kłaniający się i szurający nogami lokaj – została wysłana przez archiwum miejskie, by spisać historię jego życia, była młoda, ładna i miała błyszczące oczy. Widać było, że przestudiowała zapisy publiczne i zwyczaje jego ojczystej cywilizacji i postanowiła zaatakować go z całą bezwzględnością. Lokalna moda przywodziła na myśl epokę minojską, a jej ubiór, choć był odzieniem intelektualistki, rozpraszał go: błysk kostki o pięknym kształcie, czerwone i okrągłe brodawki – Pierce uświadomił sobie, że się na nią gapi, i odwrócił wzrok z

rozgoryczeniem.

– Proszę – dodała, a jej pulchna dolna warga zdrząła. Jej kamery z trzepotem unosiły się pod sufitem jak leniwe błękitne butelki, opalizujące w popołudniowym świetle słońca, nagrywające jej życie dla przyszłych pokoleń.

– Przypuszczam, że tak...- Pierce zawiesił głos i spojrzał przez otwarte okno na dolną część wzgórza, na którym przycupnęła klinika. – Ale tak naprawdę nie ma w tym żadnej tajemnicy. To nie ty się do nich zwracasz – oni kontaktują się z tobą. Klepięcie w ramię, które następuje we właściwym momencie, oferta pracy. Na początku nie widziałem w tym niczego dziwnego.

– Czy jakieś wydarzenia do tego doprowadziły, panie? Jakie było twoje życie, zanim wstąpiłeś do służby?

Pierce zmarszczył lekko brwi, próbując zmusić do pracy oporną pamięć. Były w niej luki.

– Nie pamiętam. Chyba miałem wypadek samochodowy. A może to była wojna...

Urządzenie wspomagające pracę serca pulsowało w jego piersi jak zadowolony kot. Promienie słońca ogrzewały mu jedną stronę twarzy, gdy patrzył na nią z ukosa, kątem oka. *Ciekawe, jak daleko się posunie w opisywaniu tej historii, rozmyślał leniwie. Trzeba to właściwie rozegrać, a wtedy... cóż, może.* Jego chwilowy stan polegający na braku serca sprawiał, że wszystkie miłosne spekulacje – podobnie jak i wszelkie inne czynności podnoszące ciśnienie krwi – musiały na razie pozostać w sferze teorii.

– Panie?

Udał, że nie dostrzega grymasu rozdrażnienia, który na sekundę pojawił się na jej twarzy, ale celowe wstrzymanie oddechu, które potem nastąpiło, było tak widoczne, że o mało wszystkiego nie popsuł, wybuchając śmiechem.

– Nie jestem twoim panem – rzekł łagodnie. – Jestem skromnym praktykantem, który dopiero dotarł do połowy dwunastoletniego szkolenia. To, co wiem o Strażnikach Czasu – w ten sposób Hegemoniści nazywali agentów Stazy, a przynajmniej ci, którzy byli u władzy i wyrażali się o nich uprzejmie – i co mogę ci powiedzieć, to same banały. Jestem pewien, że w waszym archiwum to wszystko już jest.

Epokę tę formalnie uznano za Epokę Nauki; wykonano w niej całą serię następujących kolejno po sobie Wysiewów, których celem było zbieranie wielkich jak góry fragmentów danych odsyłanych przez sondy Von Neumanna, wysłane w poprzedniej Epoce Nauki, miliard lat wcześniej. Oni i ich potomkowie dyskretnie rozprzestrzenili się po grupie najbliższych galaktyk, podróżując zaledwie z prędkością równą jednej setnej prędkości światła, odwiedzając wszystkie układy gwiazdne i ich planety w promieniu dziesięciu milionów lat świetlnych i tworząc ich mapy. Ilość materiału do zebrania była ogromna; cała armia najlepszych astrokartografów Hegemonii Zelantiańskiej, licząca miliony ludzi, miała pracować przez dziesiątki tysięcy lat, by poskładać tylko jeden róg wielkiej układanki. A ich opętanie wiedzą nie wygasało na granicy Układu Słonecznego.

(„Cywilizacja obsesyjno-kompulsywnych zbieraczy znaczków”, tak określił ich Wei, kiedy wpadł odwiedzić swego byłego ucznia. „Tych Czcieli Nauki trzeba pilnować, bo prędzej czy później zamienią cały węgiel głębokiej biosfery w diament pamięci, i co wtedy?”).

– Archiwum nie wie wszystkiego, panie. To coś innego niż Biblioteka Czasu. – W jej głosie czaiła się jakaś nabożna nuta, jakby Biblioteka rzeczywiście była czymś innym. – Nie mamy uprawnień do czytania zakazanych pamiętników, panie. Musimy przyjmować z wdzięcznością okruchy mądrości, którym pozwalają spaść ze swoich desek do krojenia nasi czcigodni goście.

– Nie jestem twoim panem. Mów mi Pierce, jeśli możesz.

– Tak, mój... aha, Pierce? Mój panie.

– Jak mam się do ciebie zwracać? – spytał po chwili.

– Do mnie? Jestem nikim, panie Pierce! Jestem skromną autorką dzienników...

– Bzdura. – Spojrzał prosto na nią, przyglądając się falbaniastej sukni damy intelektualistki, zdobionym klejnotami pierścieniom w uszach i sutkach, starannie splecionemu kokowi. To była cywilizacja obdarzona wielką energią, ale jednocześnie bardzo tradycyjna, konserwatywna, z rygorystycznymi przepisami dotyczącymi luksusu: jeśli była osobą z ludu, ryzykowała chłostą za obrazę moralności, czy nawet gorzej – ubierała się bardziej wystawnie niż przystało jej stanowi. – Kim ty naprawdę jesteś? I dlaczego tak się *mną* interesujesz?

– Och! Skoro rzeczywiście *musisz* wiedzieć... Jestem doktor postulantka Xiri, córka doktora profesora archiwisty dziekana Imada z Kolegium Historii oraz Jaśnie Pani doktor profesor emeritus Leili z wydziału gorących pozajowiszowych księżyców – uśmiechnęła się nieśmiało – i moi mentorzy obarczyli mnie zadaniem, które narzuca mi mój obowiązek i honor naukowca, jak najbardziej szczegółowego zanalizowania ciebie. Zostałeś tematem mojej pierwszej pracy doktorskiej. O bohaterach – strażnikach czasu.

– Twojej *pierwszej* pracy doktorskiej... – Jej rodzice to dziekan i profesor; równie dobrze mogła powiedzieć „szejk” albo „baron”. – A mam jakiś wybór w tym względzie?

– Oczywiście możesz odmówić. – Zadrżała i otuliła się delikatnym szalem. – Ale *ja* nie.

– Dlaczego? Co się stanie, jeśli odmówisz?

Znów zadygotała.

– Nie uda mi się uzyskać stopnia doktora. Co za wstyd! Moi rodzice... – entuzjazm płonący w jej oczach na moment przygasł – ...będą się o to obwiniać. Zaczną powątpiewać w moje zaangażowanie.

Czy niepokonanie jednego ze szczebli na drodze do etatu na uczelni mogło być przyczyną honorowego samobójstwa? Pierce potrząsnął głową, przyglądając się rozmówczyni.

– Ale ja jestem dopiero praktykantem! – Sięgnął po pilota sterującego łóżkiem i wdusił przycisk unoszący oparcie. Wywiad wymykał mu się spod kontroli; miał wrażenie, że został wrzucony na głęboką wodę, a pozycja leżąca sprawiała, iż miał wrażenie, jakby tonął. – Nie jestem nikim ważnym!

– Skąd możesz to wiedzieć, mój panie? Z tego, co wiemy, twym przeznaczeniem jest chwała.

Otuliła się znów szalem i uśmiechnęła; naiwne dziewczę, pragnące wyglądać tajemniczo.

– Ale ja nie mam żadnych... – Gdy oparcie znalazło się na takim poziomie, że mógł spojrzeć jej prosto w oczy, zdjął palec z przycisku i zmienił temat w połowie zdania. – Czy twój lud już kiedyś mnie poznał?

Odkrył, że najtrudniejsze w rozmowie z nią jest powstrzymanie się przed patrzeniem na jej biust. Była bardzo ładna, ale jej rodowód sugerował, że powinien przestać myśleć o takich rzeczach, bo zdobywanie jej było równie bezpieczne jak obłaskawianie grzechotnika.

– Nie. – Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy; przystojny mężczyzna, w którym kryje się tajemnica, i na dodatek bohater: – Tak, powiedziano nam, jak się tu znalazłeś. – Rzuciła szybkie spojrzenie na jego pierś.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Pierce odezwał się w swym ojczystym języku.

– *Och, do cholery.* – Spojrzał przez okno, po czym znów popatrzył na Xiri. – Wszyscy chcą mnie badać – wyznał. – Nie mam pojęcia dlaczego, naprawdę. – Założył ręce na piersi i spojrział na nią. – Dobrze, badaj. Jestem do twojej dyspozycji. – Przynajmniej zanosilo się na to, że nie będzie to aż tak nieprzyjemne, jak krzyżowy ogień pytań Kafki.

– Och, dzięki ci, mój panie! – Położyła dłoń na łóżku władcym gestem. – Zrobię wszystko, żeby było to przyjemne doświadczenie!

– Naprawdę? – W jej tonie było coś, co go zaniepokoiło, jakby odpowiedział na pytanie, którego nie pamiętał. Pomysł bycia badanym jawił się Pierce’owi jako nieznacznie przyjemniejszy od walenia głową w mur, ale jeśli przyjrzeć się jasnym stronom, z tej Xiri była naprawdę niezła laska. Z drugiej strony – *nie pakuj się w to*, przypomniał sobie w duchu. – Kiedy chciałabyś zacząć?

– Od razu – odparła, wsuwając dłoń pod kołdrę.

– Och! Ja... no cóż. – Pierce odkrył, ku swemu przerażeniu, że jej działania pod kołdrą dają efekty.

– Hm, nie chciałbym wyjść na nieuprzejmego, ale naprawdę nie powinniśmy... dlaczego ty...? Czy nie zamierzasz wyłączyć tych kamer?

– Czytałam dużo o waszej kulturze. – Usiadła na łóżku z szelestem jedwabiu. – Pod wieloma względami była dość podobna do naszej. Przecież też rejestrowaliście wszystko, co się z wami działo? Czy nie mówiliście o braniu ślubu z pracą? Właśnie coś takiego tutaj robimy.

– Ale to była tylko taka metafora! – Chciał odepchnąć *jej* rękę, ale jego serce zaprotestowało.

– Cicho. – W odpowiedzi zrobiła coś takiego, że zaczął drżeć. – Jesteś tematem mojej pracy! Muszę dowiedzieć się o tobie *wszystkiego*! To będzie praca mojego życia! Jestem taka szczęśliwa! Odpręż się, mój panie, a wszystko będzie dobrze. Nie martw się, zbadalam zwyczajnie, jakie panowały w twoich czasach, nie różnią się specjalnie. O ślubie porozmawiamy jutro, jak poznasz mojego ojca.

Puste pałace

Opór był bezcelowy: w mgnieniu oka, jak świst kolejnej kuli, minęło prawie dwadzieścia subiektywnych lat; połowę z nich Pierce spędził z nową żoną. Xiri, trzeba jej przyznać, poświęciła swoje życie jego pokręconej linii czasu; najpierw jako zakochana żona, potem – co napawało go dumą z odrobiną zawstydzenia – matka trójki małych dzieci, a wreszcie, dzięki własnym wysiłkom, doktor profesor. Jego życie było tematem jej pracy: wyglądało na to, że delikatne odbicie się od powierzchni czasu było w Hegemonii przepustką do bogactwa i statusu, a Pierce odkrył, że życie w towarzystwie pięknej kobiety z wyższych sfer było tak przyjemne, jak przypuszczał.

Xiri nie skarżyła się na trwające ułamek sekundy ucieczki Pierce z ich rodzinnego domu (który ofiarował im jej ojciec, dziekan); trwały one zaledwie kilka sekund subiektywnego czasu. Nie przeszkadzało jej też pełne zadumy milczenie, ani okresy posępnej introspekcji, które później następowały, choć trwały nieco dłużej. Wręcz przeciwnie: w ten sposób dostarczał danych do pracy jej życia: delikatnie rozplątywała opowieść z jego wspomnień o niehistorii. Zdarzało mu się postarzeć o rok podczas nieobecności, która trwała godzinę, ale medyczne luksusy, jakimi cieszyli się agenci Stazy, oferowano także Oświeconym; mieli więc dużo czasu dla siebie, całe dziesięciolecia i stulecia.

Pierce odkrył zaś, ku swemu zdziwieniu, że przebrnięcie przez drugą połowę szkolenia jest łatwiejsze, kiedy może znaleźć oparcie w stabilnym życiu rodzinnym. W ich imperium, trwającym wiele bilionów lat, Staza była zaskakująco cienka. Najważniejsza cecha jego pracy wiązała się z byciem wzywaniem do niełatwych, burzliwych epok między szczytem wydobywania ropy a hiszpańską grypą, między Kartaginą a zimną wojną – te jego trzy tysiące lat czasem wyglądały jak jedna dolina łez – biedny, koszmarny świat, tak różny od wyrafinowanego, sennego zadowolenia liczącej dziesięć tysięcy lat Hegemonii. Większość kolegów ze studiów wołała hedonistyczne odloty, jakie oferowały Imperia Przyjemności, ale Pierce pozostał przy swoim zdaniu i gratulował sobie odkrycia lepszego źródła satysfakcji.

Gdy po raz pierwszy wrócił do służby po rekonwalescencji, z zaskoczeniem przyjął wezwanie go gabinetu Wychowawcy Żaków, Mansona.

– Nawiazałeś relacje podczas pobytu rekonwalescencyjnego – rzekł Manson, wpatrując się w

niego wodnistymi oczami. – Nie zalecamy czegoś takiego i na pewno sam dojdiesz to tego wniosku. Wydział Operacyjny wykrył, że nie mamy stałego Rezydenta w odległości tysiąca lat w jedną i w drugą stronę od twojego... hm, domowego punktu zakotwiczenia. To spokojne społeczeństwo, ale nie aż tak spokojne, niniejszym otrzymujesz więc polecenie podtrzymania tej relacji i stworzenia sobie możliwości pracy w tym miejscu. Wiesz, to ma być wyłącznie poboczna specjalność.

Pierce doznał takiego szoku, że o mało nie upadł. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, spytał:

– Kto ma być moim przełożonym, panie?

– Twoja żona, studentie. Powiedz jej, żeby wszystko zapisywała. Kiedyś przeczytamy te wszystkie jej prace.

Manson odwrócił wzrok i dał mu znak, że może odejść. Pierce uruchomił komunikator czując, jak drżą mu kolana; nie był pewien, czy zdoła wyjść z godnością; po krótkim opóźnieniu trasowania brama czasowa zareagowała na jego gorące życzenie, ziemia rozstąpiła się i pochłonęła go.

Pewnego dnia, gdy jego szkolenie było już bardzo zaawansowane – może jakieś pół roku przed uzyskaniem przez niego dyplomu pełnoprawnego agenta Stazy – Pierce wrócił do domu po tygodniu pobierania próbek w masowych grobach ofiar zarazy w czternastowiecznym Konstantynopolu. Zastał Xiri bardzo podekscytowaną i wszystkich domowników zgromadzonych wokół niej.

– To fantastyczne! – wykrzyknęła, biegnąc mu na spotkanie przez atrium ich letniej rezydencji. – Wiedziałaś o tym? Powiedz, że wiedziałaś! Przecież właśnie po to przybyłeś do naszych czasów, prawda?

Pierce powitał ją radosnym uśmiechem, po czym podniósł małego Magnusa (który próbował wspiąć mu się na plecy powarkując, pewnie po to, żeby zatłuc olbrzyma) i wręczył go niani.

– Co się stało? – spytał spokojnie, próbując nie okazywać podniecenia, jakie chwilami czuł (gdyż jego najmłodszy syn nie miał pojęcia o tym, jak jego ojciec spędził poprzedni tydzień: pobierając próbki tkanek, czyli wycinając kawałki zwłok ofiar dżumy – chłopców, którzy w innej erze byłiby jego kolegami z piaskownicy). – Z czego się tak wszyscy cieszyacie?

– Sondy! Znalazły coś niesamowitego w galaktyce Messier 33, sześć tysięcy lat świetlnych wzdłuż trzeciego ramienia!

Pierce, który nie był w stanie wyobrazić sobie znalezienia czegokolwiek niezwykłego w galaktyce odległej nawet o sześć milionów lat świetlnych, mimo że tworzenie map było sensem istnienia tej cywilizacji, uznał, że powinien ustąpić żonie.

– Znakomicie. Powiedz mi wszakże, cóż spowodowało taki wybuch? Czemuż nie skończyło się na lekkiej fascynacji, ciekawości, czy zadumie?

– Patrz! – Xiri wykonała gest w stronę ściany, która posłusznie wyświetliła przyprawiającą o zawrót głowy pustkę upstrzoną gwiazdami. – Zobaczmy. Ściano, pokaż mi anomalię, o której rozmawiałam z czcigodnym doktorem profesorem jakieś dwie godziny temu. Ustaw poziom powiększenia na czterdzieści, przesun w lewo, o pięć do góry – jest! Teraz widzisz?

Pierce wpatrzył się w obraz.

– Jak dla mnie wygląda na zwykły kawał skały – rzekł, po czym wyteżył mózgownicę i wyprodukował poprawną formę: – czcigodna pod-Ziemia, pozbawiona atmosfery, trzeciego stopnia, złożona głównie z krzemianów. Tak?

– Och! – Xiri uniosła się z godnością; Xiri nigdy nie czyniła niczego tak prostackiego jak zerwanie się na równe nogi. Mimo to niania Magnusa porwała na ręce swój czteroletni ciężar i salwowała się ucieczką. (Podekscytowana Xiri mogła eksplodować równie łatwo jak gwiazda Wolfa-Rayeta). – Nie widzisz nic więcej? Ściano, powiększenie plus dziesięć, powtórz czynność, powtórz, powtórz. *Tam*. Patrz na to, mój panie, patrz!

Pozbawiony atmosfery księżyc nie wypełniał już środkowej części ściany; rozciągał się od jednego końca do drugiego, tak wielki, że krzywizna horyzontu była ledwo widoczna. Pierce zmrużył oczy. Kratery, bruzdy, szare, nieregularne kształty i garstka prostopadłościennych kryształów o równych krawędziach. *Kryształów?* Zastanowił się przez sekundę i doszedł do wniosku, że to nie byłby dobry powód tego całego zamieszania. Zaczął w coraz większym stopniu odczuwać ekscytację żony.

– Co to jest?

– To są budynki! Czy raczej były, sześćdziesiąt sześć milionów lat temu, kiedy przelatywały tam sondy. I to nie my je tam umieściliśmy...

BIBLIOTEKA NA SKRAJU CZASU

Krótką alternatywna historia Układu Słonecznego: część druga

...i wtedy nastąpiła Staza.

SLAJD 7

Po dwustu pięćdziesięciu milionach lat kontynenty Ziemi, oświetlone stroboskopowym światłem przez migoczące jak jętki jednodniówki imperia, połączą się w jeden kontynent na równiku: Pangea Ultima. To nie będą dobre czasy dla ludzkości; ogromne pustynie w głębi kontynentu są całkowicie jałowe, a od strony planetarnego oceanu pustoszą je gigantyczne huragany. Słońce rozpala się coraz bardziej, a na zielonych równinach Ziemi jest coraz goręcej, ale Staza od dawna pracuje nad tym, by uniknąć nieuniknionego.

Głęboko w pasie asteroid rój ich robotów karaluchów rozmontował Ceres i użył jej masy do zbudowania mnóstwa statków napędzanych słonecznym wiatrem. Teraz ta flotylla sterowanych kawałków skały, o łącznej masie karłowatej planety, krąży w wewnętrznej części układu, przekształcając energię słoneczną i przenosząc ją na Ziemię przy każdym z miliona wielokrotnych przelotów.

Ziemia już odsunęła się od Słońca. Trwa wprowadzanie innych zmian, subtelnych i dalekosiężnych; cały Układ Słoneczny powoli zmienia kształt, skrzypiąc i trzeszcząc, dryfując w stronę nowej, bardziej użytecznej konfiguracji. Wkrótce – w skali kosmicznej – będzie już nie do poznania.

SLAJD 8

Miliard lat później Ziemia pędzi, zamrożona i martwa; jej atmosfera została zredukowana do śniegu i azotowej pary gdzieś w zimnej pustce za Neptunem. *To* nigdy nie było przeznaczeniem naszej ojczystej planety, lecz to tylko stan przejściowy – bo za jakieś dziesięć milionów lat nieskończone cykle pędu przerzucą Ziemię bliżej Słońca. Pięćdziesiąt milionów lat później nastąpi kolejny Wysiew, od prokariotów i alg, ale Staza pragnie, by w tej erze Ziemia została bezpiecznie odłożona do szuflady, by technicy z Republiki Technicznej mogli czynić swe cuda.

Przez trzydzieści milionów lat Staza będzie wykorzystywać bramy czasowe do podbierania masy z serca płonącej gwiazdy, kierując potężne strumienie płonącej plazmy do gigantycznych, utrzymywanych za pomocą grawitacji bunkrów: rezerwa na zimne czasy. Słońce będzie migotać i

zmieni barwę na czerwoną, złoścąc się i z wściekłością wystrzeliwując rozbłyski, gdy jego wewnętrzne układy konwekcji będą się zapadać. Będzie się kurczyć i gasnąć, a wtedy dojdzie do ostatecznego morderczego ataku: do jądra gwiazdy zostanie wstrzyknięty załazek czarnej dziury. Pożerając masę szybciej niż mogłaby ją wypromieniować poprzez promieniowanie Hawkinga, czarna dziura będzie rosła, patrosząc jądro gwiazdy.

Gdy Ziemia ponownie przekroczy linię zamrażania w Układzie Słonecznym, technicy wskrzeszą z grobu zombie nekrosłońce. Jego dysk akrecyjny – karmiony masą równomiernie wysysaną z brązowych karłów orbitujących na skraju układu – będzie rzucał dziwną, ostrą poświatę na topiące się czapy lodowe Ziemi.

Zastąpienie wykorzystującego fuzję jądra zgniatającą masę osobliwością to jedno z najważniejszych zadań, w obliczu którego stanie Staza; anihilacja jest o kilka rzędów wielkości bardziej wydajna od fuzji i łatwiej ją kontrolować, a masa, którą tak oszczędnie zagospodarowano, wystarczy, by oświetlić i ogrzać krążącą na ciasnej orbicie Ziemię nie przez miliardy, ale biliony nadchodzących lat.

Pozostają jeszcze inne, trudniejsze zadania...

SLAJD 9

Cztery i ćwierć miliarda lat od powstania świadomości Droga Mleczna i galaktyka Andromedy zderzą się. Widok z zatłoczonych kontynentów Ziemi jest wspaniały, jak burza płonącego diamentowego pyłu ciśniętego w próżnię. Fale uderzeniowe przetoczą się przez obłoki gazowe, tworząc nowe gwiazdne żłobki, rozpalając miliony potężnych, skazanych na krótkie życie nowych gwiazd; przez krótki czas, zaledwie dziesięć milionów lat, gwiazdne niebo będą rozjaśniać fajerwerki supernowej miesiąca. Potężne czarne dziury w sercu każdej galaktyki zrzuciły swe szaty pyłu i gazu i płoną nagie w upiornym majestacie, przemykając blisko siebie i rozdierając na kawałki całe skupiska gwiazdne i rozsiewając następne, w rozbłysku kosmicznych fajerwerków, które będzie widać na pół kosmosu.

Ziemia jest jednak bezpieczna. Na Ziemi panuje spokój. Ziemia już nie znajdzie się na linii ognia.

Długie Spalanie to zdecydowanie najbardziej długofalowy program Stazy. Imperia Nauki powstaną, rozkwitną, zgasną i popadną w zapomnienie, dostarczając nawigatorom materiału liczbowego. Subtelne zadanie, polegające na wyciągnięciu układu planetarnego z jego galaktyki przy zachowaniu konfiguracji krążących po swych orbitach planet i księżyców, jest niewyobrażalnie trudne. Planety nie są przywiązane do gwiazd więzami fizycznymi, a siły grawitacji są słabe; podczas transportu konieczne będzie dokonywanie niezliczonych korekt orbit wszystkich ważniejszych planet. Sama masa, pozyskana z Ceres, nie wystarczy. Skalisty Merkury został już rozmontowany w celu stworzenia mechanizmów sterowania, które pozwolą na stabilne spalanie dysku akrecyjnego nekrogwiazdy; teraz kolej, by Wenus dostarczyła materiału na flotę napędzanych słonecznymi żaglami holowników. Brązowy karzeł, o rozmiarach dziesięciokrotnie większych od Jowisza, dostarczy paliwa, cały gwiazdny embriion zostanie zassany do płonącej paszczy na przestrzeni milionów lat.

Prędkość ucieczki galaktyk jest duża, a prędkość ucieczki z lokalnej grupy jeszcze większa. Długie Spalanie będzie trwało dziesięć tysięcy lat. Z każdym minionym rokiem nekrogwiazda będzie się poruszać z prędkością większą o metr na sekundę. A kiedy się skończy, całkowicie przemeblowany Układ Słoneczny będzie się oddalać od lokalnej grupy galaktyk z prędkością prawie tysięcznej części prędkości światła – prosto w kierunku Pustki w Wolarzu.

SLAJD 10

W ciągu kolejnego miliarda lat Statek Gwiezdny Ziemia i jej martwa gwiazda dotrą to innych komponentów składających się na tę tratwę ratunkową; równej setki brązowych karłów, o masie dziesięć do pięćdziesiąt razy większej od masy Jowisza; wszystkie zostały wyłuskane przez automatyczne sondy Imperiów Technicznych i wyekspediowane z ich rodzimych galaktyk. Ich masa bardzo się przyda. Ziemia wyrusza bowiem w podróż eksploracyjną tam, gdzie nie dotarła jeszcze żadna gwiazda, do jądra ciemności.

Kontynent kłamstw

W życiu Piercea nie wydarzyło się dotąd nic, co mogłoby go przygotować na to, co nastąpiło. To przechodziło ludzkie pojęcie: kilka radarowych obrazów, przedstawiających sztuczne otwory, przesłanych przez sondy miliony lat temu z innej galaktyki, wywołało kryzys dyplomatyczny grożący wojną i cywilizacyjnym samobójstwem, popełnionym wskutek zabawy w tchórza.

Hegemonia, choć była Imperium Nauki, nie była jedynym państwem w tej epoce. (Prawdziwe rządy obejmujące całą planetę były rzadkością; to niezgrabne dinozaury przeżarte korupcją od góry do dołu, znane z tragicznej wręcz zawodności; Staza nie popierała tego rodzaju zarządzania). Hegemonia musiała dzielić planetę z Autonomicznym Dyrektoriatem Zan, krajem ostentacyjnie wstrzemięźliwych, purytańskich moli książkowych (na kontynencie, który kiedyś był doczepiony do Ameryki Południowej i Afryki); różnymi monarchiami świeckimi, republikami, tyraniami, autarkiami i wspólnotami (które uważały, że ich obdarzeni supermocą sąsiedzi mają nierówno pod sufitem, skoro wydają tyle na instytucje akademickie, zamiast przeznaczyć te środki na zwykłe bezcelowe i nieukierunkowane dążenie do ludzkiego szczęścia; oraz Królestwem Blattarii (którego mieszkańcy byli fanatycznymi wyznawcami prehistorycznego proroka Haldana, zajmującymi się w nabożnej ekstazie i zachwycie badaniem stawonogów).

Z geograficznego punktu widzenia Hegemonia była największą z potęg państwowych, zjednoczoną dzięki ciągłemu wspólnym protokołom archiwizacji i monitorowania, ale nie była monolityczną jednością. Władze zachodniego księstwa Stongu (specjalność badawcza: skaliste księżycy Gorących Jowiszy w galaktyce M-33) zareagowały na odkrycie cywilizacji na księżycu wodnego giganta spektakularną demonstracją postawy znanej jako „kwaśne winogrona”, oskarżając Zealantów o *sfabrykowanie danych* w desperackiej próbie uzasadnienia błyskawicznego ataku na podstawie podatku federalnego Hegemonii. Co prawda nigdy nawet nie zasugerowano, co akademicy z Leng mieliby zrobić z tymi funduszami, ale też nie trzeba było mówić już nic więcej: w seminariach i na uczelniach zagotowało się. *Sfabrykowanie danych* brzmiało śmiertelnie groźnie w każdym Imperium Nauki, coś jak słowa „krucjata” i „dzihad” w milenium poprzedzającym narodziny Piercea. Kiedy oskarżenie zostało rzucone, nie można było go zignorować – a to stanowiło dla Hegemonii poważny problem wewnętrzny.

– Czcigodny żołnierzu Strażników Czasu, nasza wdzięczność będzie bezgraniczna, jeśli zgodzisz się wystąpić w naszym imieniu – oznajmił mówca delegacji Łoży Dziekańskiej, która zjawiła się w domu Piercea już dwa dni po ogłoszeniu odkrycia. – W normalnych warunkach nie ośmielilibyśmy się prosić waszej eminencji, ale implikacje geopolityczne są alarmujące.

I tak było w istocie, bo Hegemonia dostarczała informacje do Dyrektoriatu Autonomicznego, w zamian za ogromne ilości energii pobieranej przez kolektory słoneczne, pokrywające należące do Dyrektoriatu pustynie w głębi ładu. Oskarżenie o *sfabrykowanie danych* mogłoby istotnie mieć katastrofalny wpływ na wartość waluty Hegemonii, a agresywny i nietolerancyjny lud Zan mógłby uznać je za podstawę do wypowiedzenia wojny (i uzasadnienie podejmowania kolejnych niestrudzonych wysiłków w celu przejęcia winnic i spichlerzy wysp archipelagu Zewnętrznych

Neszy).

– Zrobię, co tylko będę mógł – Pierce skłonił się głęboko posłańcom, których był aż tuzin: dziekani, a nawet jeden czy dwóch wicekanclerzy; umyślnie unikał kontaktu wzrokowego ze stojącym z tyłu teściem. – Jeśli jesteście absolutnie przekonani, że racja leży po waszej stronie, skonsultuję się z Biblioteką, a następnie będę zeznawał publicznie, w stopniu, w jakim będę miał do tego prawo. Czy takie rozwiązanie jest dla was do przyjęcia?

Wicekanclerz Starego Kolegium Leng – instytucji, której historia w tym momencie liczyła ponad sześć tysięcy lat – oddał pokłon z twarzą zastygłą z wdzięczności.

– Jesteśmy pewni naszych racji, więc z chęcią podporządkujemy się słowu Biblioteki Strażników Czasu. Pozwól, że wyrażę mą wdzięczność raz jeszcze...

Po odbyciu formalności, które trwały jeszcze pół godziny, delegacja w końcu oddaliła się. Xiri wyłoniła się ze swego miejsca odosobnienia, by wydać służbie i robotom polecenia; mieli doprowadzić salon do porządku. Pojawili się także chłopcy; nie było widać po nich żadnych oznak zrozumienia tego, co się stało.

– Xiri, muszę udać się do Biblioteki Ostatecznej – zwrócił się do niej Pierce, biorąc ją za rękę i patrząc bacznie, czy wie, co ma na myśli.

– Ależ panie, przecież to cudowne, prawda? Mój panie? Pierce? – spojrzała mu w oczy. – Czemu się martwisz?

Pierce przełknął gorzką ślinę.

– Biblioteka to nie miejsce, Xiri, to *czas*. Zawiera zbiór wszelkiej zarejestrowanej ludzkiej wiedzy, aż do końca jej istnienia. Niedługo zakończę szkolenie, więc wolno mi udać się tam i używać jej, ale to nie jest... *bezpieczne*. Czasem ludzie, którzy wchodzą do biblioteki, znikają i nie wracają. A czasem wracają odmienieni. To nie jest tylko pasywne archiwum.

Xiri pokiwała głową, ale minę miała sceptyczną.

– Ależ jakie ona może stanowić dla ciebie zagrożenie w obliczu pytania, jakie masz jej zadać? Przecież chcesz tylko potwierdzić, że byliśmy wierni naszym źródłom. To nie jest wszak pytanie o miejsce i datę twojej śmierci, prawda?

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, ale nie jestem tego pewien – Pierce zamilkł na chwilę. – I w tym cały problem. – Ujął jej dłonie i pocałował koniuszki palców. *Jeśli muszę tego dokonać, trzeba działać szybko*. – Pójdę i dowiem się. Wrócę szybko.

Cofnął się o krok i uruchomił komunikator.

– *Praktykant prosi o dostęp do Biblioteki*.

Nastąpiła krótka przerwa; przekaźniki zapisały jego wiadomość, poczekały na przydział pasma, po czym przesłały ją przez bramę czasową do Kontroli. Po chwili Pierce poczuł charakterystyczne mrowienie w okolicach lewej nerki, które informowało o zbliżającym się tunelu. Otworzył się wokół niego, wirując i obejmując go na kilka milisekund, nieomal zbyt szybko, by dało się to zauważyć. I oto już nie stał w sieni własnego domu, lecz na ciemnej płaszczyźnie ze sztucznego wapienia, twarzą do drzwi w ścianie kopuły geodezyjnej zbudowanej z jakiegoś przezroczystego materiału: Biblioteki Ostatecznej.

Krótką alternatywna historia Układu Słonecznego: część trzecia

SLAJD 11

Minie sto miliardów lat.

Ziemia znajduje się na orbicie w odległości zaledwie dwudziestu milionów kilometrów od słońca

tej epoki, a ogień dysku akrecyjnego został ograniczony. Kontynenty rozpychają się i dygoczą, pojawiają się i znikają, a światło migocze na ich obrzeżach (czasem na niskiej orbicie równikowej, gdy Staza zezwoli na rozwój jakiejś cywilizacji wykorzystującej duże ilości energii).

Nim minie pierwszy miliard lat podróży, nocne niebo stanie się ciemne i pozbawione gwiazd. Okiem nieuzbrojonym nadal można – jeśli się wie, gdzie patrzeć – zobaczyć chaos, jaki powstał w wyniku zderzenia M-31 i Drogi Mlecznej, ale to już cmentarzysko: skaliste planety to kule lodu wysterylizowane przez promieniowanie supernowych, wydarte rodzimym gwiazdom przez jedno bliskie spotkanie za dużo. Życie jednokomórkowe (niegdyś dość powszechne, przynajmniej na Drodze Mlecznej) zostało znokautowane; życie wielokomórkowe (o wiele rzadsze) otrzymało śmiertelny cios. Przetrwiała już tylko tratwa ratunkowa Stazy.

Luna nadal unosi się na orbicie okołoziemskiej – to użyteczne narzędzie stosowane do poruszania płynnego jądra Ziemi. Serce Ziemi, ze skłonnościami do zmieniania się w skałę, to poważny problem dla Stazy. Nie mogą dopuścić, by stwardniało, gdyż zatrzymałoby to cykl subdukcji i cykl węglowy, od którego zależy istnienie biosfery. Istnieją jednak metody zachowania go w stanie płynnym. Ludzie Stazy mogą poczekać pół miliarda lat, aż Ziemia ostygnie, po czym wysiać na odrodzonej planecie archeony i algi. Po pierwszym, obarczonym niepewnością eksperymencie w dziedzinie terraformowania agenci uznali, że wystarczy ponownie uruchomić płaszcz i jądro zewnętrzne raz na jakieś dziesięć miliardów lat.

Kosmos dookoła zmienia się, powoli, lecz nieustannie.

Po stu miliardach lat uran nie występuje już w skorupie ziemskiej w wystarczającej ilości. Nawet uran 238 w końcu się rozpada, ale dwadzieścia jeden okresów półtrwania wystarczy aż nadto, by oddać mu egzotyczną pamięć, jak za czasów jasnego i wczesnego świtu wszechświata. Inne izotopy podążą za nim; zostaną tylko najbardziej stabilne.

(Staza będzie mieć ilości wystarczające na swoje potrzeby, może je też wyprodukować – w razie konieczności – używając ergosfery nekrogwiazdy w charakterze kuźni. Staza woli jednak, kiedy jej klienci nie dysponują surowcami do budowy broni nuklearnych. Lepiej, by te narzędzia zostały na skraju drogi).

Niebo jest ciemne. Epoka tworzenia się gwiazd zakończyła się w galaktykach, które opuściła Ziemia. W pustce nie migoczą już żadne nowe, jasne żłobki gwiazdne. Wszystkie jasne, szybko spalające się słońca eksplodowały i zgasły. Wszystkie mniejsze gwiazdy ciągu głównego rozdeły się, zmieniając się w cierpiące na niestrawność czerwone giganty, po czym wyczerpały paliwo i uległy kolapsowi. Nie zostało już nic jasnego poza garstką przyćmionych czerwonych i białych karłów.

Mniejsze ciała niebieskie – planety, księżyce i komety – powoli opuszczają swe galaktyki, odebrane gwiazdom, gdy ich orbity straciły regularność i wyrzucone z dużą prędkością z samej galaktyki w przededniu spotkania z sąsiednimi gwiazdami. Jak cząsteczki gazu w górnych warstwach atmosfery ogrzanych przez gwiazdę, najlżejsze odlecą najpierw. Proces ten jest jednak niepowstrzymany. Średnia liczba planet przypadających na gwiazdę będzie powoli maleć.

(A jeśli chodzi o cząsteczki gazu: Staza po pewnym namyśle postanowiła podjąć kroki naprawcze. Promieniowanie ultrafioletowe rozbija cząsteczki wody w górnych warstwach atmosfery, a Ziemia nie może sobie pozwolić na utratę wodoru. Na orbicie między Ziemią a nekrosłońcem znalazła się soletta: urządzenie odfiltrowujące fale krótkie; gdy okresowo ponownie nadtapiają planetę by wzburzyć magmę, starają się przyprawić nowo powstałe piekło tysiącami komet wodorowych. W końcu jednak trzeba sięgnąć po środki ekstremalne).

Niebo jest ciche i śmiertelnie zimne. Wszechświat rozszerza się, a długość fali kosmicznego promieniowania mikrofalowego tła wzrosła. Temperatura samego kosmosu wynosi teraz zaledwie

tysięczne części stopnia powyżej zera absolutnego. Zmarszczek promieniowania tła nie da się już wykryć, a dalekie kwazary przesunęły się ku czerwieni i przestały być widoczne. Galaktyczne skupiska, które kiedyś znajdowały się na dalekim skraju wykrywalności, teraz egzystują poza kosmicznym horyzontem zdarzeń, a choć Ziemia oddaliła się od Grupy Lokalnej o zaledwie dwieście milionów lat świetlnych, przepaść za nią liczy sobie miliard lat świetlnych. To nie jest już dobra epoka dla Imperiów Nauki; dynamiczny kosmos, który miały badać, usuwa się z pola widzenia.

SLAJD 12

Minie bilion lat.

Kosmos poza zasięgiem nekrośłońca jest czarny. Daleko poza nim wypaliły się ostatnie gwiazdy Grupy Lokalnej. Białe karły ostygły do temperatury wody w stanie ciekłym, czerwone karły zamigotały i zgasły w zimnej ciemności. Czasem zderzą się jakieś pozostałości gwiazd i pustkę rozświetlają rozbłyski piorunów, potężne eksplozje promieniowania, gdy wybuchają supernowe i rozbłyski gamma.

Eksplozje stają się jednak coraz rzadsze. Teraz już nie tylko planety migrują z dala od wystygłych zwłok galaktyk. Pozostałości po gwiazdach są wyrzucane w pustkę, gdy z czasem rozpadają się same galaktyki.

Kosmos jest pusty i zimny; jego temperatura jest bliska zera absolutnego. Kurs nekrogwiazdy przeciął coś, co było kiedyś Pustką w Wolarzu, ale teraz pustka nie ma końca: we wszystkich kierunkach rozciągają się pustki. Staza i jej klienci przestali zajmować się astronomią. Już tylko obserwują kierunek podróży za pomocą prostego radaru, wysyłając co roku gigawatowy impuls mający chronić przed minimalnym ryzykiem napotkania jakiejś zabłąkanej asteroidy, ale od miliardów lat nie napotkano żadnego ciała spoza Układu Słonecznego większego od ziarenka piasku.

A jeśli chodzi o planety okrążające Słońce...

Pewnego dnia spalą Jowisza, żeby tylko się ogrzać. I Saturna, i lodowego Neptuna, wodny rezerwuar dla ziemskich oceanów. Te dni jeszcze nie nadeszły, bo nadal wykorzystują tytanów, od Rei i Okeanosa, przez Kriosa i Hyperiona – brązowe karły zbudowane z masy ukradzionej Słońcu i inne karły skradzione z Mlecznej Drogi podczas Długiego Spalania. Każdy brązowy karzeł płonie dłużej niż wynosił wiek wszechświata w chwili narodzin ludzkości, a czarne dziury są wysoce efektywne. Pewnego dnia jednak wszystko zostanie już zużyte, ostatni z tytanów zmieni się w kupkę popiołów i nadejdzie czas, by rozpocząć pożeranie planet.

Niedługo później przyjdzie czas ostatniego Wysiewu.

Zręczna manipulacja

Pierce stał z niepewną miną przed drzwiami kopuły. Lśniła niebieskozielonym wewnętrznym światłem, a gdy się obejrzał, zobaczył własny cień rzucany w ciemność.

– Nie czekaj zbyt długo na zewnątrz – powiedział ktoś uszczypliwym tonem. – *Powietrze nie jest tu bezpieczne.*

Powietrze? zdumiał się Pierce, zbliżając się do drzwi. Szkliste płyty śluzy powietrznej trzykrotnie odsunęły się i zasunęły za nim, błyskawicznie, raz za razem. Znalazł się w sporym wiwarium oświetlonym miriadami jasnych jak światło dnia lamp, zwieszających się z wierzchołków trójkątnych segmentów kopuły. Wszędzie były rośliny, zielone i pachnące wilgocią sagowce i paprocie, pełzające i wspinające się pnącza. Owady ukryte wśród roślinności głośno bzycały i brzęczały.

I wtedy zauważył Bibliotekarza, który stał na polance przy drzwiach, nienaturalny jak poddane plastynacji zwłoki.

– Nie byłem tu dotąd – przyznał Pierce, zbliżając się do odzianej w szatę postaci. – Korzystałem z oddalonych gałęzi, ale nigdy z samej centralnej Biblioteki.

– Wiem. – Bibliotekarz zsunął kaptur szaty, ukazując pulchną, łysą głowę z obwisłymi policzkami otaczającymi starannie przystrzyżoną kozią bródkę i świdrujące oczy, które przeszywały Pierce’a na wylot.

Pierce zatrzymał się z niepewną miną.

– Czyja cię znam?

– Prawie na pewno nie. Możesz zwać mnie Momentem. Albo Bibliotekarzem. – Moment wskazał ścieżkę pośród roślinności. – Pójdź ze mną. Zaprowadzę cię do twojej czytelni i będziesz mógł zacząć. Możesz zapamiętać tę lokalizację na wypadek, gdybyś chciał tu powrócić.

Pierce skinął głową.

– Czy jest tu ktoś jeszcze poza mną?

– W tej chwili nie – Moment wciągnął powietrze w nozdrza. – Ty i ja jesteśmy teraz jedynymi żyjącymi istotami ludzkimi na tej planecie, choć ty niekoniecznie musisz występować w jednym egzemplarzu. Masz wyłączne prawo do korzystania z zasobów Biblioteki w tej dekadzie, w granicach zdrowego rozsądku.

– W granicach zdrowego rozsądku?

– Czasem nasi zwierzchnicy, twoi i moi, wykazują zainteresowanie. Nie są zobowiązani, aby informować mnie o swojej obecności. – Pojawiło się rozwidlenie ścieżki, która rozchodziła się na dwie strony przy jakiejś skalistej wychodni z czegoś, co wyglądało jak kryształ, może kwarc. Moment skręcił w lewo. – Ach, i oto przybyliśmy na miejsce. To twoja czytelnia, agencie studencie Pierce.

Pośrodku polany stał biały, pozbawiony ścian sześcian; przez polanę płynął mały strumyk o brzegach porośniętych mchem i paprociami. Ściany sięgały do wysokości ramienia – była to formalność i oznaka prywatności; w środku znajdowało się proste drewniane biurko i krzesło.

– To wszystko? – spytał zdziwiony Pierce.

– Niezupełnie. Spójrz w górę. – Moment wskazał gestem kopułę nad nimi. – Tutaj utrzymujemy biosferę, w której mogą żyć ludzie; przetwarzamy ponownie powietrze i odpady. Zapewniamy światło i ciepło, choć to drugie jest mniej ważne niż będzie za jakieś parę milionów lat. Przykręciliśmy słońce, żeby oszczędzać masę, ale nadal w podczerwieni emituje sporo promieniowania; prawdziwe problemy zaczną się, kiedy zużyjemy rezerwy z ostatniego bunkra, za jakieś osiemnaście milionów lat. Dzięki kopule Biblioteka będzie dostępna czytelnikom jeszcze trzydzieści milionów lat później, kiedy *fimbulvinter* zacznie się na dobre.

Fimbulvinter. Zima na końcu świata, kiedy zostanie zużyta reszta paliwa pochodzącego z dysku akrecyjnego nekrosłońca, a Ziemia zacznie dryfować wokół zimnej czarnej dziury, miliardy lat świetlnych od czegokolwiek innego. Pierce aż zadrżał na samą myśl.

– A na czym polega problem z powietrzem na zewnątrz?

– Tracimy zbyt szybko wodór, a bez wodoru nie ma wody; bez wody nie jesteśmy w stanie utrzymać biosfery, a bez biosfery planeta szybko nie będzie się nadawała do zamieszkania – przede wszystkim nie będzie wolnego tlenu. Jakieś trzydzieści miliardów lat temu dokonaliśmy deuteryzacji biosfery, by ją uratować. Oczywiście musieliśmy wprowadzić poważne zmiany w systemach enzymatycznych wszystkich form życia: wszystkich form życia od baterii w górę, a ty i ja nie możemy pić ciężkiej wody, jest dla nas toksyczna. – Moment wskazał strumień. – Jeśli chcesz, tę wodę możesz pić, możesz też zamawiać przekąski przez komunikator, ale nie pij niczego poza kopułą. I nie oddychaj za dużo, jeśli tylko możesz.

Pierce rozejrzał się dookoła.

– Zatem zasadniczo jest to po prostu czytelnia? Jak filia Biblioteki? A gdzie jest *prawdziwa* Biblioteka? Gdzie są archiwa?

– Stoisz na nich. – Wyraz twarzy Momenta sugerował, że próbuje on nie okazywać zniecierpliwienia: *nie uważałeś na lekcjach, kiedy o tym mówiono?* – Płaskowyż, na którym zbudowano tę czytelnię, czy też w rzeczywistości cała górna skorupa, jest podziurawiona jaskiniami na kawałki diamentu pamięci, pod cienką skorupą skały osadowej, która ma je zabezpieczać. Wyłączyliśmy całkowicie cykl dryfów kontynentalnych jakieś pięć miliardów lat temu, po ostatnim cyklu schładzania jądra. Wtedy właśnie zaczęliśmy tworzyć Bibliotekę.

– Aha – Pierce rozejrzał się dookoła. – W takim razie chyba powinienem zaczynać. Mogę?

– Zapraszam. – Moment odwrócił się i ruszył. – *Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń* – nadał.

Pierce usiadł przy pustym biurku i położył dłonie na bibule. Diament pamięci rozmiarów kontynentu? Już sam ten pomysł przechodził ludzkie pojęcie.

– To musi gdzieś tu być – mruknął i uśmiechnął się.

Niehistoria

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich musi się nauczyć agent Stazy, jest cierpliwość. Nie dlatego, że ma za mało czasu; życie agentów jest tak długie, że trudno je ogarnąć pamięcią; jeśli nie zginą gwałtowną śmiercią, w wypadku lub popełniając samobójstwo, mogą realizować przedsięwzięcia wykraczające poza średnią długość życia zwykłego śmiertelnika. I tak właśnie żyją, nie mogąc korzystać z głównej zalety, jaką niesie ich praca: możliwości zażądania dostępu do bramy czasowej.

Pierce pomyślał z początku, że prośba wicekanclerza nie będzie zbyt kłopotliwa: parę godzin czy dni grzebania po regałach i badania zapisów historycznych. Wróci z triumfem, parę minut przed swoim wyruszeniem i przedstawi odkrycia radzie. Xiri będzie zachwycona i pewnie napisze parę sonetów o jego wizycie w Bibliotece (poezja była bowiem w modzie jako najgęstszy racjonalny format w przypadku badań socjologicznych i akademickich w Leng): oszczędzi swym przybranym czasem trudności i cierpień związanych z niepotrzebną wojną doktrynalną. Taki był jego plan.

Objawienie spadło na niego w jakiś tydzień po jego przybyciu, kiedy to przestał miotać się, popadając w coraz większą panikę, i wybrał się na długi spacer po ścieżkach biosfery, rozmyślając, pogrążony w ponurym nastroju, próbując oszacować rozmiary tego zadania.

Diament pamięci jest nieprawdopodobnie gęstym i trwałym nośnikiem danych. To siateczka jąder węgla, jak każdy inny diament, jest tylko wytworem syntetycznym, a położenie atomów w siateczce pozwala zapisać dane. Standardowo atom węgla 12 przedstawia zero, a atom węgla 13 – jeden; dwanaście przecinek pięć grama diamentu pamięci – jeden mol węgla, trochę mniej niż połowa starożytności uncji – pozwala na przechowanie 6×10^{23} bitów danych – czyli 10^{23} bajtów, z kompresją.

Kontynent, na którym znajduje się czytelnia, ma grubość 15 kilometrów i zajmuje powierzchnię nieznacznie mniejszą niż czterdzieści milionów kilometrów kwadratowych, porównywalną z Ameryką Północną i Południową w czasach, gdy urodził się Pierce. Połowę z tego stanowi diament pamięci. To dobrze ponad 10^{18} ton materiału, w przybliżeniu 10^{23} moli. Jeden mol diamentu pamięci pozwala na zapisanie wszystkich danych, jakie kiedykolwiek stworzyła i zapisała ludzkość przed urodzeniem Piercea, w czasach określanych jako XXI wiek.

Cywilizacje, nad którymi Staza dzierżyła władzę przez miliardy lat, zapisały *znacznie* więcej danych. A gdy się rozpadły, Staza rozszabrowała ich biblioteki aleksandryjskie, połknęła skradzione dane i wyrzygała je na drugim końcu czasu.

Problem Piercea był następujący: ponad 90% Biblioteki stanowiły kłamstwa.

Zaczął, co naturalne, od dwóch informacji: punktu odniesienia w jego komunikatorze, który identyfikował dokładne położenie ganku jego domu w Leng i określenia układu planetarnego w galaktyce M-33, który wzbudził takie kontrowersje. Było prawdą, jak powiedziała Xiri, że Hegemonia upajała się danymi przesyłanymi przez flotę robotów eksploracyjnych, która przemknęła przez Galaktykę Trójkąta dziesięć milionów lat temu. I wiedział – ba, był pewien! – że Xiri i Hegemonia, miasto Leng z jego śródziemnomorskimi klimatami i absurdalnymi zwyczajami akademickimi rzeczywiście istniały. Była jego żoną i kochanką od prawie dwudziestu subiektywnych lat, mieszkał tam i żył zgodnie z ich obyczajami jako szacowny gość od ponad dziesięciu takich lat: czuł gorącą, wilgotną letnią wieczorną bryzę w nozdrzach, zapach pnących błękitnych róż na treliżu za domem...

Gdy po raz pierwszy podał Bibliotece jako parametry wyszukiwania swój adres domowy i tożsamości, pokazała mu zapisy dotyczące grobów wojennych w Autonomicznym Dyrektoriacie, dwa lata przed pierwszym wywiadem, jaki przeprowadziła z nim Xiri. Nie rozśmieszyło go, gdy zobaczył nazwiska swojego teścia i teściowej na liście terrorystów, sabotażystów i uczestników ruchu oporu, którzy zostali zlikwidowani przez Policję Prawdy w przededniu oswobodzenia Leng przez siły Dyrektoriatu.

Spróbował ponownie: tym razem doznał ulgi, gdy znalazł swój powrót do domu z misji w Konstantynopolu, widziany za pośrednictwem wszechobecnych kamer Xiri, ale zdumiał go jej brak entuzjazmu. Cofnął się poszerzając zakres poszukiwań, aż ku swemu zdziwieniu odkrył, że zgodnie z zapisami w Bibliotece Hegemonia wcale nie prowadziła badań w Galaktyce Trójkąta, ale skupiała się na galaktyce Maffei 1, siedem miliardów lat świetlnych dalej.

Tej nocy zamówił dwie butelki znośnego syrah i po raz pierwszy od lat upił się samotnie do nieprzytomności. Było to dziecinne i krótkowzroczne, ale kolejne porażki sprawiały, że zaczynał się niecierpliwić. Dzień później, odrobinę mądrzejszy, lecz nieco rozdrażniony, spróbował ponownie, wprowadził współrzędne swojego domu i poprosił o wyświetlenie widoku sieni.

Nie było tam żadnej sieni; w ogóle nie było Leng ani Hegemonii, ale jakieś potrzęsające włóczykami szopy pracze, które właśnie odkryły indygo.

Pierce wstał, dygocząc z frustracji, i wyszedł z kabiny czytelniczej. Przez chwilę stał na wilgotnym, zielonym skraju potoku, gapiąc się na grę światła na przepływającej wodzie. To nie wystarczyło. Bez namysłu zrzucił swą szatę naukowca, obrócił się w stronę zakurzonej ścieżki, która doprowadziła go w ten ślepy zaułek i zaczął biec. Gdy dotarł do wejścia do śluzy, nie zatrzymał się: jego stopy nadal uderzały o grunt i wyprowadziły go poza kopułę. Tam wykonał długą pętlę, waląc stopami w twarde wapienny chodnik; każda płyta była jak łuska leżącej pod jego nogami monstrialnej skamieniałej jaszczurki. Okrążył kopułę w lewo, raz, a potem drugi. Pod koniec okrążenia opadł z sił; czuł ogień w piersi, gorące i ciężkie zmęczenie w nogach; pot spływał mu po twarzy.

Zwolnił i ruszył w stronę śluzy. Kiedy wrócił mu głos, Pierce uruchomił komunikator.

– *Momencie. Twoja pieprzona Biblioteka mnie okłamuje. Co to znaczy?*

– Ach, zauważyłeś to – Moment sprawiał wrażenie rozbawionego. – *Wejść do środka, to porozmawiamy.*

– *Nie chcę o tym rozmawiać, chcę, żeby to zaczęło działać* – pieklił się Pierce, wlokąc się do śluzy. Trzy planety mrugały na czerwono na mrocznym sklepieniu nocnego nieba.

Moment czekał na niego na polance, trzymając butelkę i dwa kieliszki do wódki.

– Przyda ci się to – rzekł z iskierką w oczach. – Każdemu się przydaje, jak jest tu po raz pierwszy.

– Brr – Pierce minął go obojętnie, zamierzając udać się do swojej kabiny. – Jaki jest pożytek z

Biblioteki pełnej kłamstw?

– To nie są kłamstwa – odpowiedział Moment bezbarwnym głosem. – To jest niehistoria.

– Hm – Pierce zatrzymał się jak wryty. – W filiach Biblioteki, z których korzystałem, nie było niehistorii – dodał obojętnym tonem.

– Nie byłoby. Zastanowiłeś się kiedyś, co się dzieje za każdym razem, gdy przekraczasz bramę czasową?

– Niespecjalnie. Ale co to ma wspólnego z...

– Wszystko – Moment pozwolił, by w jego głosie pojawiła się nutka irytacji. – Musisz poświęcać więcej czasu na teorię, agencie. Nie wszystkie problemy można rozwiązać za pomocą noża.

– Hm. Więc Biblioteka jest skażona niehistorią, ponieważ...?

– *Ech, studenci.* Za każdym razem, gdy korzystasz z bramy czasowej, wchodzisz do tunelu, a gdy z niego wychodzisz – cóż, w miejscu twojego wynurzenia się w strukturze odniesienia na krótko pojawia się osobliwość i emituje duży ładunek informacji. *Ciebie.* Informacja ta nie jest spójna z czasem prowadzącym do jego nagłego pojawienia się – po pierwsze, może dojść do naruszenia związków przyczynowo-skutkowych, a po drugie, informacja, czyli podróznik, może zawierać lub pamiętać dane, których tam przedtem nie było. Jesteś po prostu paczką danych wyplutą przez tunel; nie musisz być spójny z otaczającym cię wszechświatem. Właśnie dzięki temu pamiętasz swoje dzieciństwo i chwilę, gdy cię zwerbowano, choć nikt inny już tego nie pamięta. Z wyjątkiem Biblioteki.

Wyszli na polankę i zamiast pójść ścieżką prowadzącą do czytelni, Moment skręcił w drugą stronę.

– Wyobraźmy sobie, że odwiedzasz sektor czasowy – nazwijmy go A jeden – a gdy tam jesteś, robisz coś, co zmienia jego strukturę historyczną. Teraz jesteś w sektorze A dwa. A jeden już nie istnieje, bo został nadpisany. Jeśli w A jeden jest filia Biblioteki, jest teraz w A dwa i także uległa zmianie, bo jest spójna z własną historią. Ale prawdziwa Biblioteka – powiedz, jak informacja dociera do Biblioteki?

Pierce zaczął się plątać.

– Myślałem, że tym zajmują się archiwiści? Co pięć sekund w wieczności otwiera się na jedną milisekundę szczelina słuchacza i wszystko, co może być interesujące, jest przesyłane do Kontroli.

– Niezupełnie. – Moment zatrzymał się na skraju kolejnej polanki w przykrytej kopułą dżungli. – Szczeliny komunikacyjne przesyłają dane *wstecz* w czasie, nie w przód. Istnieje epoka trwająca prawie miliard lat, w archaiku i proterozoiku, gdzie pracują przekaźniki Biblioteki. Wszystko polega na tym, że w przekaźnikowej erze kryptozoiku nie ma palimpsestów. Nie ma tam ludzkiej historii, którą można by skazać, nie ma niczego poza przekaźnikami przechowującymi i przesyłającymi. Zatem raporty z sektora A jeden są przesyłane z powrotem do kryptozoiku, podobnie jak raporty z sektora A dwa. A gdy zostaną przesłane w górę strumienia czasu, *do* Biblioteki Ostatecznej w celu ich skompilowania, mamy dwa sprzeczne raporty z sektora A.

Pierce'owi nie mieściło się to w głowie.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie niszczyliśmy linii czasowych, kiedy coś zmieniamy? Że wszystko współistnieje? Przecież to herezja!

– Nie głoszę żadnych herezji – Moment obrócił się twarzą w jego stronę. – Sektor zostaje istotnie nadpisany nową historią, pozostałe wydarzenia stają się niehistorią, czymś, co nigdy się nie wydarzyło. *Przekonującymi kłamstwami.* Surowe dane, które wyskakują z tunelu, rozpropagowane przez nagą osobliwość, gdybyś spytał teoretyków: przyczynowo niezwiązane z rzeczywistością. Ale wszystkie kłamstwa ostatecznie trafiają do Biblioteki. Biblioteka nie tylko dokumentuje całą zapisaną ludzką historię – a jest tego mnóstwo, gdyż wszechobecne urządzenia monitorujące są tanie i proste

w budowie; a w końcu tak definiujemy cywilizację. Dokumentuje ona wszystkie możliwe ścieżki historii, które kończą się stworzeniem Biblioteki Ostatecznej. Dlatego właśnie mamy Bibliotekę Ostateczną – oraz wszystkie przejściowe Biblioteki Filie dotknięte palimpsestem.

Trudno było to pojąć.

– Dobrze. W takim razie biblioteka jest pełna wewnątrznie sprzecznych linii czasowych. Dlaczego nie mogę znaleźć tego, czego szukam?

– Cóż. Jeśli prawidłowo używasz swoich punktów odniesienia, zwykle przyczyna jest taka: dostajesz losowy wybór nieprawidłowych widoków, bo ktoś nadpisał ten sektor. To jest właśnie palimpsest. Informacja, którą chcesz znaleźć, jest nie tylko zagrzebana w prawie nieskończonym stosie niehistorii; najprawdopodobniej nie będziesz w stanie nigdy do niej powrócić – chyba że znajdziesz punkt, w którym historia tego sektora została zmieniona i cofniesz tę zmianę.

WIELOKROTNE ZABIJANIE BUDDY

Ceremonia wręczenia dyplomów

Tego dnia obudzisz się wcześniej i odziejesz w formalne szaty paradne praktykanta Stazy po raz ostatni. W ciągu ostatnich dwudziestu lat miałeś je na sobie wielokrotnie i nie jesteś już tym wystraszonym nastolatkiem, któremu włożono w ręce nóż aspiranta i wydano pierwszy bezwzględny rozkaz. Gdybyś nie odpowiedział na wezwanie, nadal znajdowałbyś się w erze, w której się urodziłeś; zbliżałbyś się do wieku średniego i straszliwa zaraza zwana starzeniem się już wpiłaby pazury pod twą skórę; w tej sytuacji nawet kuracja, jaką zafundowała ci Staza, mimo wyglądu dwudziestopięciolatka, nie zmieniłaby tego, że twe oczy to okna duszy kogoś naprawdę starego.

Twój umysł zostanie udoskonalony, sprawny i wyostrzony jak brzytwa; przecież poświęciłeś sześć miesięcy na przygotowanie się do tego poranka; sześć miesięcy samotnego pogrążania się w rozpacz, rozważania udzielonych przez Momenta objaśnień dotyczących twego niełatwego położenia, na szkolenie na dachu świata, na obsesyjnym skupieniu się na ostatnim etapie nauki. Ukończyłeś praktykę i wykonałeś zadania przygotowawcze; pracowałeś sam, bez nadzoru, w niebezpiecznych czasach; teraz staniesz przed egzaminatorami, by przejść ostatni, najtrudniejszy sprawdzian w nadziei, że w końcu zostaniesz przyjęty jako agent Stazy. Jako pełnoprawny agent nie będziesz miał ograniczeń w dostępie do Biblioteki; twoja licencja, pozwalająca na wzywanie bram czasowych, także nie będzie ograniczona. Będziesz mężem zaufania, klucznikiem w więzieniu historii, mogącym wedle własnych zachcianek grzebać w życiu innych ludzi, mogącym szukać tego, co zgubiłeś (albo ci odebrano: teraz jeszcze nie wiesz, czy to czyjaś złośliwość czy zaniedbanie zniszczyły twoje życie prywatne).

Odziejesz się w szatę barwy szafranu, z czarnym pasem stanowiącym oznaczenie twojego obecnego stopnia i włożysz beret aspiranta. W innych miejscach kompleksu przygotowują się w podobny sposób inni: tuzin praktykantów. Zawieszisz u pasa sztylet, który wczorajszego wieczora starannie naostrzyłeś, obsesyjnie polerując symbol twego powołania. Zanim słońce stanie w zenicie, pozbawi on kogoś życia: twoim obowiązkiem jest zadbanie, by ofiara zginęła szybko i bezboleśnie.

Na zewnątrz, na nadgryzionych zębem czasu kamieniach, pod błękitną kopułą nieba rozciągniętą błyszczącym dyskiem instalacji do transferu momentu orbitalnego, staniesz w szeregu przed swymi nauczycielami i dręczycielami. Nie po raz pierwszy zadasz sobie pytanie, czy warto było się w to pakować. Będą patrzeć na ciebie i twoich kolegów, gotowi, by wydać wyrok – być może gotowi, by

przyjąć cię w swe szeregi jako równego, czy też wykląć i wykluczyć, odesłać i wyrzucić w otchłań niehistorii jak wszystkich innych, którzy okazali się niegodni. Ich liczba jest trzykrotnie wyższa od liczby twoich kolegów, gdyż traktują szkolenie prawdziwych śmiertelników bardzo poważnie. To odwieczni strażnicy historyczności, sędziowie tego, co naprawdę się wydarzyło. I bez żadnego powodu, który potrafiłbyś pojąć, zaproponowali ci, właśnie tobie spośród miliardów kandydatów, coś wspaniałego.

Będą oczywiście przemówienia. Dużo przemówień. A potem Wychowawca Żaków, Manson, wygłosi kazanie, dokładnie takie, jakiego można by się spodziewać przy tej okazji.

– To doniosłe i uroczyste wydarzenie wyznacza koniec waszych sformalizowanych studiów, ale nie koniec waszego szkolenia i waszego dążenia do doskonałości. Wstąpiliście do tej akademii jako sieroty i obcy, a opuszczacie ją jako agenci Stazy, którzy złożyli przysięgę na wierność naszej wielkiej sprawie – całej historii ludzkiego gatunku.

Będzie kontynuował w tym duchu jeszcze przez godzinę; zauważysz, że to jedna homilia za drugą, uosobienie ortodoksyjnej ideologii. Teoria przed praktyką.

– Akceptujemy was takimi, jakimi jesteście, ludzkich aspirantów z ludzkimi ułomnościami i ludzkimi zaletami. Wszyscy jesteście istotami ludzkimi, i to jest *nasza* zarówno siła, jak i słabość, gdyż to my reprezentujemy ludzkie przeznaczenie; to na nas spoczywa święty obowiązek zapewnienia naszemu gatunkowi ochrony przed potrójną groźbą wymarcia, transcendentalnym zanikiem i wszechświatem skazanym na rozwijanie się w ciemności – pomimo waszych słabości. Ty, bracie Chee Yun, ze swoją obsesją na punkcie badania ekstremalnych wrażeń bólowych, ty, siostrzo Gretz, z upodobaniem do korzystania z owoców maku sprowadzającego sen, i ty, bracie Pierce, uprawiający swoje hobby związane z rodzinnym palimpsestem – wszyscy znamy wasze drobne przywary i akceptujemy was takimi, jakimi jesteście, mimo waszych słabości, mimo tego, iż wiemy, że wyłącznie poprzez służbę w Stazie możecie osiągnąć to, do czego jesteście przeznaczeni...

Nie będziesz unosić się gniewem, gdy Wychowawca Żaków Manson będzie deptał grób niehistorii twojej rodziny, choć rany jeszcze się nie zagoiły, bo wiesz, że taki jest przebieg rytuału. Obejrzałeś już nagranie dostarczone za pośrednictwem wewnętrznego systemu poczty kilka dni wcześniej, wysłuchałeś własnego chrapliwego głosu objaśniającego terazniejszemu tobie, na czym polega rytuał otrzymania dyplomów, na skraju paniki. Twoje palce zbieleją na splamionej potem skórze, z której wykonano pochwę sztyletu, gdy będziesz czekać na sygnał. Choć zachowasz pozory spokoju, wewnątrz wszystko będzie w tobie wrzeć; będziesz się zastanawiać, czy podołasz temu zadaniu. Zabicie dziadka, odcięcie samego siebie od tkaniny historii, to jedno; to jest coś zupełnie innego.

– Staza domaga się nieustannej czujności, moi bracia i siostry. Łatwiej kształtować poprzez niszczenie niż wymuszać tworzenie na konarach historyczności, ale musimy pozostać czujni i gotowi, w razie potrzeby, byśmy mogli podjąć interwencję nawet przeciwko samym sobie, jeśli nasze dłonie uchylą się przed zadaniem najłatwiejszego ciosu. Za każdym razem, gdy wynurzamy się z bramy czasowej, rodzimy się na nowo jako informacja wprowadzana do wszechświata z osobliwości: nie możemy dopuścić do tego, by naszą dłoń powstrzymał strach przed osobistą ciągłością...

Zrozumiesz wtedy, że Manson jest na najlepszej drodze, by rzeczywiście wydać ci rozkaz, który twoje starsze ego opisywało ci drżącym głosem, a ty napinasz mięśnie w gotowości i otwierasz kanał; wywołujesz Kontrolę, prosząc o otwarcie bramy czasowej, za którą czeka twój dyplom.

– Słabość jest wybaczalna w życiu osobistym, ale nie w ważnej pracy. My, ludzie, jesteśmy słabi, i prędzej czy później prowadzi to nas na manowce; ludzki żal i nieposkromiona pycha wywołują w nas zamęt i solipsyzm. Nasza potęga i nasz przywilej polegają jednak na tym, że potrafimy zmieniać *samych siebie*. Nie musimy akceptować fałszywych wersji nas samych, które popełniły błędy

pogrążające nas w nieprawych myślach i rozpaczy! Wkrótce otrzymacie rozkaz wykonania pierwszego zadania związanego z samonadzorem: monitorowania własnej przyszłości pod kątem oznak odchylenia. Zachowajcie jasność umysłu, nie zapominajcie o swych zasadach i trwajcie w postanowieniu niszczenia swych własnych błędów: dobra służba Stazie tego wymaga. Jesteśmy najlepszymi policjantami dla nas samych, gdyż potrafimy śledzić nasze własne „ja” o wiele lepiej, niż jakikolwiek zewnętrzny śledczy. – W tym miejscu Manson kłaśnie w dłonie, po czym bez zbędnych ceregieli doda: – Wszystkim wam powiedziano, co musicie zrobić, by otrzymać dyplom. Do dzieła. Udowodnijcie mi, że dysponujecie wszystkim, co tylko jest potrzebne, byście mogli stać się niezłomnymi filarami Stazy Zróbcie to *teraz*.

Wyjmiesz sztylet, gdy twój komunikator wyśle żądanie otwarcia bramy czasowej, dwie sekundy wstecz w czasie i metr za tobą. Kontrola potwierdzi żądanie i ruszysz w kierunku otwierającej się przez tobą dziury, czyniąc to jednak wyczujesz, że coś nie gra; wstrzymasz oddech i zaczniesz się obracać, unosząc nóż do pozycji bloku, czując, jak na tyłach twego umysłu rodzi się krzyk: *Nie! Nie ja!* Ale będzie już za późno. Nieznajomy o twojej twarzy, wynurzający się z osobliwości za tobą, zaciśnie uchwyt na twoich ramionach; gdy obrócisz głowę, by się obejrzeć, wykorzysta ten impet, by poprowadzić ostrze noża, tak starannie naostrzonego. Przebije się on przez twoją tętnicę szyjną i tchawicę, kładąc kres twemu życiu z bulgotem i utratą świadomości z braku powietrza.

Ceremonia rozdania dyplomów zawsze się tak kończy; nowo mianowani agenci mordują swą naturę Buddy na kamienistej drodze pod starzejącymi się gwiazdami. Szkoda, że nie dożyjesz chwili, by zobaczyć to na własne oczy; to jeden z najbardziej odkrywczych rytuałów podróżników w czasie, przebijanie się do serca własnego istnienia. Nie musisz się jednak przejmować swoją rychłą śmiercią – ten inny ty, narodzony we krwi osobliwości, która otworzyła się za twoimi plecami, będzie nad nią rozpaczał tak gorąco, jak ty byś rozpaczał.

Proces

Dzień po zamordowaniu z zimną krwią samego siebie agent Pierce otrzymał pilny rozkaz stawienia się na spotkanie pod koniec XIX wieku.

Pomyślał, nieco zagubiony, że to normalna sytuacja: wybrać agenta, dowolnego agenta, byle jego ojczyźne terytorium znajdowało się nie dalej niż w odległości tysiąclecia na linii czasu. Od Kanady w XXI wieku po Niemcy w XIX, co za różnica? Dla inspektorów z milionowego któregoś roku to wcale nie jest dużo, rozmyślał: wszyscy byli pełni entuzjazmu egoistami, ci pozbawieni twarzy przedludzie, którzy żyli i umarli, zanim technika sterowania totalną historią brutalnie rozproszyła chaos i niepewność czasów sprzed Stazy. A Pierce był dopiero początkującym agentem. Lepiej sprawdzić, czego chce inspektor.

Niemcy epoki cesarzy nie mieściły się w obszarze zainteresowań Piercea, więc na miesiąc przed spotkaniem poświęcił subiektywny miesiąc na naukę – konwersacje w nieformalnej niemczyźnie, aktualne wydarzenia w Europie i wystarczające podstawy nabyte w późnowiktoriańskim Londynie, by mógł uchodzić za odważnego przedsiębiorcę poszukującego nowych produktów, które mógłby importować – nim wynurzył się z bramy czasowej na tyłach kabiny w publicznej toalecie przy Spittelmarkt.

Berlin przed wiekiem bombardowań nie był uroczym obrazkiem wypełnionym chatkami z piernika; dookoła cuchnącego rzeźnią targowiska jak okiem sięgnąć rozciągały się ponure uliczki otoczone wąskimi kamienicami, czarne od sadzy wydzielanej przez milion pieców na węgiel brunatny, a dominującym zapachem był odór końskiego łajna, nie spalin (choć Rudolf Diesel już pracował nad swoimi silnikami w bardziej wytwornym otoczeniu). Pierce opuścił publiczną toaletę pośpiesznie –

dziadek klozetowy najwyraźniej potraktował jego pojawienie się jak osobistą obrazę – i zatrzymał dorożkę, by zawiozła go na wyznaczone miejsce spotkania, do hotelu w Charlottenburgu.

Tonące w letnim upale lobby hotelowe było ciasne i wilgotne. Muchy plujki bzycały na ciemnej drewnianej boazerii, gdy Pierce rozglądał się za swoim kontaktem. Jego komunikator wysłał impuls, gdy Pierce zajrzał na wewnętrzne podwórko; stały tam żeliwne krzesła i stoliki, co sugerowało, że istnieje tu obsługa kelnerska. Dostrzegł znajomą twarz i przyjazne skinienie. Pierce zbliżył się do stolika z entuzjazmem skazańca prowadzonego na szubienicę.

– Chciał się pan ze mną widzieć – powiedział. Na stoliku stały dwa kufle z czymś pienistym i zielonym; były tam też dwa krzesła. – Dla kogo to?

– Ten kufel jest dla ciebie. Berlińskie piwo pszeniczne z likierem z marzanki wonnej. Będzie ci smakować. Gwarantuję. – Kafka wskazał gestem puste krzesło. – Siadaj.

– Skąd pan wiedział... – *Głupie pytanie*. Pierce usiadł. – Wiedział pan, że to nie są moje czasy?

– Tak. – Kafka uniósł wysoki, zaokrąglony kufel z zielonym piwem i pociągnął łyk. – To bez znaczenia. – Spojrzał na Pierce'a. – Więc dostałeś dyplom. Do licha, jak ja nie lubię tej roboty. – Znów upił trochę piwa.

– Co się dzieje? – spytał Pierce.

– Nie wiem. Dlatego właśnie cię tu wezwałem.

– Czy to ma jakiś związek z tym, że ktoś próbował mnie zabić?

– Nie – Kafka potrząsnął głową. – Obawiam się, że to coś gorszego. Komuś z twoich wykładowców zupełnie odbiło. Zaleca się obserwację. Przydzielam cię do tej sprawy. Być może zajdzie potrzeba... potrzeba likwidacji tej osoby.

– Komuś z wykładowców. – Na przekór samemu sobie Pierce odczuł zainteresowanie. Kafka, facet z Wydziału Spraw Wewnętrznych (choć jego rola też była niejasna; czyż nie było tak, że policja Stazy pilnuje porządku z własnymi przeszłymi i przyszłymi „ja”?) zażądał od niego, by śledził wyższego rangą agenta i jego wykładowcę? Wydanie mu polecenia, by śledził swoje przyszłe „ja” byłoby zrozumiałe, ale takie coś...

– Tak. – Kafka odstawił kufel ze skrzywieniem warg znamionującym obrzydzenie. – Mamy powody przypuszczać, że ona może pracować dla opozycji.

– Opozycji. – Pierce uniósł brwi w geście zdziwienia. – Przecież nie ma żadnej opozycji...

– Nie bądź naiwny. *Każda* ideologia w każdej zarejestrowanej historii ma opozycję. Dlaczego my mielibyśmy się czymś różnić?

– Przecież my jesteśmy... – Pierce ugryzł się w język, gdy próbował powiedzieć „czymś większym od historii”. – Słucham?

– Popracuj nad tym. – Na twarzy Kafki pojawił się grymas ledwie skrywanej niecierpliwości. – To przecież niemożliwe, żebyś nie pomyślał o tym, że możesz się ustawić jako perwersyjny bóg, prawda? Z tego, co wiemy, każdy o tym myśli: zasiać życie we wszechświecie, tworzyć własne Imperia Nauki, założyć konkurencyjną cywilizację międzygwiazdną w głębokim kryptozoiku i użyć jej do napaści na Ziemię lub odłączenie jej, zanim Staza to wykryje – coś w tym stylu. Nie chodzi o to, że samo *myślenie o tym* jest zbrodnią; problem zaczyna się, gdy agent popadnie w solipsyzm tak głęboki, że zacznie mu się wydawać, iż rzeczywiście może to zrobić. Albo co gorsza, kiedy opozycja unosi głowę.

– Ale ja... – Pierce zamilkł, zebrał myśli i mówił dalej. – Myślałem, że to się nigdy nie stało? Że nasze metody samokontroli są wystarczającym zabezpieczeniem?

– Chłopcze. – Kafka potrząsnął głową. – Na pewno chciałeś dobrze. A nasze metody samokontroli naprawdę działają. Ale nie daj się zwieść temu całemu teatrowi ochrony, jaki miał miejsce podczas

ceremonii wręczenia dyplomów: bywają tryby awaryjne. Przydzielamy wam wiele zadań inwigilacyjnych, żeby zmacić wodę – wszystkie to oczywiście palimpsesty. Nadpisujemy je, kiedy dostarczacie raporty, więc wasze przysze „ja” o tym nie pamięta, ale przecież nie możecie przez cały czas pilnować samych siebie. Są też błędy administracyjne. Jesteście nie tylko najlepszymi kontrolerami waszego własnego zachowania, lecz także to wywiecie najlepiej, co może sprowadzić was na złą drogę. Jesteśmy niedoskonałymi istotami ludzkimi i dlatego potrzebny nam Wydział Spraw Wewnętrznych. Ktoś musi to wszystko koordynować, zwłaszcza kiedy wmieszana jest w to opozycja.

– Opozycja? – Pierce uniósł kufel i pociągnął głęboki łyk, przyglądając się Kafce uważnie. *Kim oni są? Na kogo mam donosić?* – zastanawiał się. *Na samego siebie?* Na pewno Kafka nie przeoczyłby historii z Xiri, zagrzebanej teraz pod zakurzonymi stronicami wielokrotnie zmienianych wersji.

– Kiedy ich spotkasz, będziesz wiedział – Kafka wydał z siebie wymuszony rechot i wstał. – Chodź do mojego biura, to powiem ci, dlaczego wybrałem właśnie ciebie do tego zadania.

Biuro Kafki zajmowało całe górne piętro budynku i można było się do niego dostać skrzypiącą, zamykaną kratą windą, która wspinała się mozolnie szybem znajdującym się pośrodku szerokiej klatki schodowej. Gdy Pierce wyszedł za Kafką z windy, poczuł przyjemne ciepło.

– Drzwi są reaktywne – ostrzegł Kafka, obronnym gestem kładąc dłoń na gałce. Za patyną udawanego mosiądzu czekały gruczoły, gotowe wstrzyknąć truciznę w dłoń nieostrożnego intruza. – Drzwi: zaakceptować agenta Piercea. Ogólny system obrony: zaakceptować agenta Piercea ze standardowym zbiorem przywilejów agenta. Teraz możesz pójść za mną.

Kafka otworzył szeroko drzwi. Za nimi, od ściany do ściany, rozciągały się rzędy drewnianych biurek o pochyłych blatach. Przy każdym z nich na wysokim taborecie siedziało wcielenie Kafki, odziane w ciemny garnitur. Dzierżone przez nich pióra poruszały się bez ustanku po kartach ksiąg rachunkowych. Niewykształcony widz (który nie zostałby na wejściu zabity przez gałkę u drzwi, podłogę czy tapetę) mógłby gapić się z przejęciem na nieustannie zmieniający się charakter pisma i przypominające pająki diagramy, które przemykały przez stronice, zmieniając się co chwilę, gdy księgi historii przepisywały same siebie, i zadumać się nad papierem cyfrowym. Pierce, który nie był już niewykształcony, poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, gdy aktywował komunikator i uzyskał informację na temat liczby wersji, jakie powstawały w tym pomieszczeniu.

– Naprawdę nieźle gonicie Kontrolę do pracy – powiedział w kierunku oddalających się pleców Kafki.

– To jest główny węzeł koordynacyjny dla prehistorycznych Niemiec. – Kafka założył ręce na plecy i zgarbiony ruszył między biurka. – Jesteśmy na tyle blisko początku historii Stazy, że wszelkie ingerencje są niebezpieczne: musimy cały czas śledzić ciągłość, nie możemy po prostu edytować, jak chcemy. Ingerowanie w prehistorię, przed wprowadzeniem wszechobecnych technologii monitorowania i zapisu, które dostarczały danych do Biblioteki na końcu czasu, powinno być pozbawione ryzyka: jeśli neolityczny barbarzyńca zamarzył na śmierć na lodowcu i nie zostało to w żaden sposób zarejestrowane, implikacje dla głębokiej historii są nieznaczące. Zasady były jednak płynne, a ingerencja ryzykowna: gdyby podróżnik w czasie zastrzelił Kaisera, albo w inny sposób wykoleił linię prahistorii prowadzącą do Stazy, mógłby zmienić całą przyszłość w palimpsest. Osoba, którą śledzę, wykazuje niezdrowe zainteresowanie granicą fazową między Stazą a prehistorią.

Jeden z przykutych do biurek Kafków uniósł wzrok, marszcząc brwi z irytacją.

– Czy mógłby pan nie przeszkadzać?

– Przepraszam – odparł z nagłą pokorą Kafka od Piercea. – Agencje Pierce, tędy.

Gdy Kafka prowadził go przez biuro urządzone jak jaskinia aktuariusza, Pierce spytał:

– Czy sam pan nie jest narażony na anachronizm? Taka wielozadaniowość, tak blisko czasów prawdziwego Kafki?

Kafka uśmiechnął się ponuro, zasiadając za ciężkim, dębowym biurkiem.

– Podejmuję pewne środki bezpieczeństwa. A im mniej osób wie, co jest w tych księgach, tym lepiej. – Wskazał gestem twarde krzesło przed biurkiem. – Siadajcie, agencje Pierce. A teraz, swoimi słowami, opowiedzcie mi wszystko o swoim związku z agentką uczoną Yarrow. *Wszystko*, z łaski swojej. – Sięgnął do szuflady biurka i wyjął mały notes. – Mam tu zapis waszej korespondencji pisemnej. Potem prześledzimy ją wiersz po wierszu...

Pogrzeb w Berlinie

Przesłuchanie trwało trzy dni. Kafka nawet nie zadał sobie trudu, żeby usunąć je retroaktywnie z linii czasowej Piercea: jednoznacznie dawał mu do zrozumienia, że zadzieranie z Wydziałem Spraw Wewnętrznych jest nierozsądne.

Gdy się skończyło, Pierce opuścił hotel i wędrował ulicami Berlina w neurastenicznym oszołomieniu.

Czy Kafka mi ufa? Czy też nie? W rozrachunku prawdopodobnie nie; metodyczny, chłodny magiel, jaki mu zafundowano, wypytywanie o dokładne znaczenie listów miłosnych Yarrow (które w umyśle Piercea jawiły się jako wyblakłe wspomnienia sprzed dziesięcioleci) – to wszystko było upokarzające, jak emocjonalna kontrola osobista. Zdawanie sobie sprawy z tego, że Kafka traktował jego flirt z Yarrow jako błąd młodości, że wiedział (i tolerował) fakt, iż Pierce coraz bardziej rozpaczliwie szuka punktu, w którym historia jego i Xiri została zastąpiona, tylko pogarszało sprawę. Jeśli tylko przyjdzie nam ochota, możemy usunąć wszystko, co nadaje twojemu życiu sens. Poczucie bezradności było czymś nowym i szokującym dla Piercea, który zaznał wolności stuleci: powrót do życia przed Stazą, w stanie częściowego zagłodzenia, skulony ze strachu w cieniu ciekawych czasów.

A potem poczuł rodzącą się paranoję, jaka zawsze pojawiała się po spotkaniu z Wydziałem Spraw Wewnętrznych. *Czy teraz mnie obserwują?*, zastanawiał się, idąc. *Śledzący mnie oficer śledczy z Wydziału Spraw Wewnętrznych czy coś innego?* Uznał, że Kafka byłby szalony, gdyby nie przydzielił mu obserwatora. Skoro trwało dochodzenie w sprawie Yarrow, on sam musiał być podejrzany. Wina z powodu powiązań była w końcu pierwszą zasadą kontrwywiadu.

Poczuł w kościach nadżerającą duszę depresję. Żywił pewne podejrzenia od miesięcy, od szalonego przeszukiwania Biblioteki, ale spokojne, pedantyczne przesłuchanie Kafki wyzwoliło w nim jeszcze większą pewność, że już nigdy nie zobaczy Xiri, Magnusa i Liann – gdyby nawet ich znalazł, cienie rzucane przez jego umysł oświetlony przez bezlitosną lampę do przesłuchań używaną przez Wydział Spraw Wewnętrznych, na zawsze skryją ich w niehistorii.

Wędrował dalej.

Cywilizacja rozpełzła się po łądzie jak gruby koc, który miał się, tworząc pięciokondygnacyjne kamienice o szarych twarzach i pompacyjne kamienne siedziby firm z filarami, portykami i gzymsami spęczniałymi od przekonania o własnej ważności, jak kochliwe uliczne gołębie. Miasto pociło się w letnim upale; odór końskiego łajna i krążące nad nim muchy dokładały kwaśnego odoru do ostrego smrodu dymu z piecyków.

Inni ludzie dzielili z nim tę Strasse; tu handlarz sprzedający jabłka z małego wózka, tam para zażywająca spaceru. Pierce szedł powoli chodnikiem szerokiej ulicy, pocąc się w swym garniturze i chroniąc się przed bezlitosnym słońcem pod markizami sklepów, pozwalając prowadzić się funkcji

nawigacyjnej komunikatora, choć zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdzie drogę do domu. Mógł tak wędrować przez ten cienisty świat historyczności wiekami, nigdy nie oswajając się z nową sytuacją – gdyż choć Staza i jej starannie pielęgnowane narzędzia wszechobecnego monitoringu ustaliły kolejność zdarzeń składających się na historię, historia była jak splątany kobierzec, wiele wątków nakładających się na siebie, przefarbowanych i wyciętych z ostatecznego wzoru...

To zapach stał się pierwszym sygnałem, że nie jest sam: kwiatowy, słodki, łaskoczący skraj nozdrzy na wpół zapamiętaną nielegalną ekscytacją, która sprawiła, że serce zaczęło walić mu jak młotem. Ruchome piaski pamięci poddały się: *Znam ten zapach...*

Jego komunikator zawibrował. *Nie daj niczego po sobie poznać*, ktoś wyszeptał mu wewnątrz czaszki po uremsku. *Obserwuj cię*. Ten głos należał do niego samego.

Przechadzająca się para, która zażywała świeżego powietrza, była tuż przed nim. To był *jej* zapach, znajomy bukiet, ale... *Gdzie jesteś?* – nadał. – *Pokaż się*.

Komunikator znów zabrzączał jak wściekła osa uwięziona między jego żebrami. *Nie przy obserwatorach. Idź w to miejsce i czekaj*, rzekł głos zdrajcy, gdy znacznik przestrzenny szturchnął róg jego umysłu. *Zabierzemy cię*. Spotkanie miało się odbyć kilka kilometrów dalej, w publicznym parku okrytym złą sławą: szpiegowska skrzynka kontaktowa pośród zużytych prezerwatyw.

Próbował się nie gapić. *To może być ona*, pomyślał, próbując otrząsnąć się z trzydziestoletnich strzępów wspomnień i utworzyć z nich coś, co pasowało do przebłysku pleców w sukni z końca dziewiętnastego wieku i kapelusza z szerokim rondem. Skręcił za róg w swym umyśle, gdy weszli w uliczkę mieszkalną:

– *Wydział Spraw Wewnętrznych właśnie przestuchał mnie w sprawie Yarrow.*

– Już nam o tym powiedziałaś. Idź. Resztę zostaw nam.

Komunikator zamilkł. Pierce spoglądał na boki kątem to jednego oka, to drugiego, ale spacerująca para nie była już widoczna. Wciągnął powietrze przez nos, szukając śladu znajomego zapachu, ale on także się ulotnił. Nie ulegało wątpliwości, że wcale ich tu nie było; w końcu oni też byli ze Stazy. A może nie? Prowadzony wewnętrznymi szturchnięciami komunikatora Pierce pomaszerował wolno w stronę parku, rozluźniając ramiona i splatając dłonie na plecach, jakby delektował się spokojną popołudniową przechadzką. Serce jednak waliło mu jak młotem i czuł jakiś niepokój w okolicach żołądka, jakby miał w brzuchu odbezpieczony granat. *Już nam o tym powiedziałaś. Idź. Resztę zostaw nam*. Jego własny głos zdrajcy, sugerujący, że wkroczył na śmiertelną spiralę cynizmu. *Obserwuj cię*. Słowa własnoręcznie ukoronowanego perwersyjnego boga, odpadki próbujące zatamować bieg historii, czy tajemnicza opozycja, przed którą ostrzegał Kafka? To wszystko było nieprzewidywalne i nieznośne. *Pewnie idę prosto w pułapkę*, pomyślał Pierce i natychmiast zaczął uruchamiać w komunikatorze bibliotekę makropoleceń, które napisał na taką właśnie okoliczność. Jak nieustannie przypominał Wychowawca Żaków Manson, zdrowa paranoja była kluczem do unikania urządzeń wspomagających pracę serca i innych, jeszcze mniej przyjemnych zabiegów medycznych.

Pierce przeszedł na drugą stronę ulicy i przez kilka przecznic szedł wzdłuż kanału; potem pokonał most i ruszył w stronę obrzeżonych drzewami bram parku. Możliwości brzęczały w cętkowanych cieniach trawy jak miriady motyli skrzydełek zmiażdżonych podeszwą buta, szepcząc na skraju rzeczywistości jak daleki grzmot. Ta część historii, stulecie i więcej przed powstaniem pierwszego społeczeństwa prowadzącego inwigilację na skalę globalną, przed rozpoczęciem historii, do której prawo rościła sobie Staza, różniła się w drobnych, lecz istotnych aspektach. Nikt nie mógł powiedzieć z całą pewnością, kto może przejść daną ulicą w określonym momencie i uznać to za destrukcyjne; brak determinizmu prowadził do pewnej elastyczności potencjału.

Wkraczając w bramę parku Pierce uruchomił między jednym krokiem a drugim jedno z makropoleceń i kolejny Pierce wszedł do magazynu w piwnicy stacji Stazy, która pokryła się kurzem i zamieniła w ruinę miliardy lat przed cofnięciem się lodowca z równin północnych Niemiec. Gdy tam wszedł, wyszła już z użycia od jakiegoś stulecia i nikt nie miał jej użyć jeszcze przez dziesięć lat – ustawił czujniki, cierpliwe druty nad ziemią, które miały zabezpieczyć jego bezpieczny czas. Spędził tam prawie trzy godziny, wybierając różne przedmioty z dobrze zaopatrzonych półek i wysyłając wiadomości z zamówieniami do fabryk na kontynencie, który jeszcze nie istniał, jedząc zimne przekąski z zapasów trwałej żywności i próbując odzyskać równowagę emocjonalną przed czekającym go spotkaniem.

Śledzący go „ogon” mógłby zobaczyć najwyżej mrugnięcie; gdy postawił stopę na ziemi, jego garnitur był cięższy, tkanina sztywniejsza w dotyku, a ramiona lekko pochylone pod ukrytym pod odzieżą ciężarem. Były też inne zmiany, niektóre z nich wewnętrzne. Może obserwatorzy je zobaczą, ale: *Resztę zostaw nam*. Wsunął ręce do kieszeni i mrugał, aż swędzenie ustało, a na tle krajobrazu pojawiły się elementy wyświetlacza przeziernego, skanujące i wzmacniające. Usiłował przyciągnąć uwagę obserwatorów, krążąc po okolicy: niewidzialny i milczący, nerwy połączone z ośrodkiem. *Pieprzyć te gierki Kafki, pomyślał. Pieprzyć ich wszystkich*. Trzy godziny spędzone w niezarejestrowanym magazynie w kryptozoiku sprawiły, że jego depresja zmieniła się w gniew: *Domagam się odpowiedzi!*

Dzień był gorący, a w parku było sporo ludzi. Były tam młode kobiety, nianie czy służące, pchające wózki z dziećmi swych burżuazyjnych pracodawców; urzędnicy czy pracownicy biurowi, którzy wyskoczyli z pracy i paru nicponi, którzy zwagarowali z gimnazjum; zamiatacz ulic i podejrzany typek z katarynką, a za nim para włóczęgów popijających wspólnie butelkę sznapsa. Na środku pięknie przystrzyżonego trawnika stał zdobiony kamienny podest, a na nim zegar z czterema mosiężnymi tarczami. Pierce dał się prowadzić swojemu komunikatorowi i od niechcienia rozglądał się na boki, gdy jego wykrywacz zagrożeń przebijał się przez elementy odwracające uwagę. *Nikogo*. Jego telefon znów zabrzączał.

– Jak się nazywała ta tawerna, w której za mnie zginąłeś? – Wyszeptał mu do ucha boleśnie znajomy głos.

– To miało coś wspólnego z dzikim ptactwem, w Carnegrze, Czerwona Gęś, Czerwona Kaczka albo coś w tym rodzaju...

– Kontakt bezpośredni za trzy sekundy – przerwał mu jego własny głos dobiegający znikąd. – *Przygotuj się i padnij na ziemię, jak powiem*. Teraz.

Pierce zanurkował w kierunku pasa trawy przy ścieżce, gdy otoczyły go jaskrawoczerwone znaczniki niebezpieczeństwa. Gdy upadł, jego garnitur nadał się i pociemniał; gumowe stożki wysuwały się jak kolce przerażonego jeża, kołnierz rozszerzył się i nasunął, osłaniając go. W ciągu sekundy liczba obecnych w parku podwoiła się: kanciaste, metaliczne postacie zaczęły się z migotaniem materializować wszędzie dookoła. Czas mrugał i migotał, gdy bramy czasowe otwierały się i zamykały, wyrzucając złowieszcze ładunki. Pierce konwulsyjnie szarpał widmowymi mięśniami, wystrzeliwując elementy kamuflażu; nadlatujące sondy namierzały je, plując pociskami i ogniem laserowym.

– Co się dzieje?

– Zasadzka z palimpsestem! Bezpośredni...

Sygnał zaczął się rwać, aż umilkł, stłumiony przez zakłócenia i surowe, losowe interferencje. Pierce zaczął się przetaczać, próbując usiąść, gdy uzbrojenie jego skafandra nadal strzelało. *To jakieś szaleństwo*, pomyślał, przerażony bezwzględnością ataku. *Oni chyba nie zamierzają ukryć...*

Niebo zmieniło kolor na fioletowobiały, kolor błyskawicy: trawa dookoła niego zaczęła dymić.

Temperatura gwałtownie wzrosła. Jego garnitur właśnie zaczął się zwęgląć od błyskawicznego impulsu promieniowania, gdy ziemia otworzyła się pod nim i poleciał w ciemność.

POWRÓT

Armia takich ja ty

Kiedy zobaczysz, jak ziemia połyka Piercea, odetchniesz z ulgą – wreszcie doznasz tego przyjemnego uczucia świadomości, że jedna z twoich iteracji wydostała się z pola bitwy. Sytuacja będzie jednak zbyt niebezpieczna, byś mógł pozwolić sobie na chwilę wytchnienia. Jeśli Wydział Spraw Wewnętrznych *zaczyna* od walki na sondy i orbitalne lasery rentgenowskie, czym się to skończy? Jak bardzo chcą cię dopaść?

Wygląda na to, że bardzo.

Sprzątanie będzie bardzo kosztowne – w prahistorii nie ma miejsca na nuklearną potyczkę w stolicy Drugiej Rzeszy. Zwapniałe, błyskawicznie przybierające postać szkieletu szczątki guwernantki i katarynka wiją się i płoną w palącym wichrze hiroszimskiego poronienia, a cztery tarcze zegara żarzą się wiśniowo i spływają na ziemię, gdy tuzin takich jak ty pojawia się, migocząc, anonimowych w swych bojowych zbrojach z żaru, błysku i srebra. Widmowe armie twoich sond bojowych rozprzestrzeniają się wszędzie dookoła, z szaleńczym zapalem pozbywając się ciepła poprzez przerzucenie go w kriogeniczne głębiny dalekiej przyszłości przez tymczasowe bramy czasowe, nie zaprzestając wymiany ognia z żołnierzami wroga. *Ekstrakcja zakończona. Przygotuj się do wymarszu*, mówi twój telefon; znacznik iteracyjny tej wersji ciebie ma astronomiczny numer, rzędu milionów. To nie jest zwykła zasadzka z palimpsestem: to cały Talmud kolejnych wersji, komentarzy i prób paradoksów spiętrzonych w nadciągającym tsunami niehistorii, zwalonym na nasze głowy.

Chwycisz metadane twojego przyszłego ja i skoczysz przez bramę czasową do strefy rozpraszania, dryfującej wysoko na orbicie ponad czerwonawym biegunem północnym Jowisza, miliardy lat w przyszłość: silniki raketowe znajdujące się na kolanach i kostkach twojego skafandra dadzą solidny ciąg, a ty polecisz wysoko, dostrzegając w ułamku sekundy, jak fala uderzeniowa z pierwszej fali żaru odchyła się i obraca w perzynę szkoły, szpitale, kościoły, kamienice, domy i sklepy, w imię bezwzględności Wydziału Spraw Wewnętrznych.

Nie znajdą tej strefy rozproszenia. Nie odkryją także ani prawdy o Kontroli, ani o opozycji: tego będziesz pewien tak długo, jak długo będziesz żyć i oddychać.

Spojrzysz na dół, między swoje stopy, na pomarańczowo-kremowy, wirujący chaos górnej atmosfery Jowisza. Twa zbroja będzie wydawać ciche stuknięcia i chroboty, gdy będzie się ochładzać, a ty będziesz czekać, aż gwiazdne namierniki ustalą twą pozycję, z umysłem opróżnionym ze wszystkiego poza cichą satysfakcją, nagrodą za dobrze wykonaną pracę: wyciągnięciem twojej podstawowej iteracji z łap Wydziału Spraw Wewnętrznych. Gdzieś indziej w czasie – miliony lat temu – przepisywana wojna nadal trwa, wirtualne legiony ciebie nadal grają desperacko w trzy kubki z Kafką: ale ty już wygrałeś. Jeszcze tylko trzeba sprytnie podrzucić zombie oszusta do prahistorii w drodze do biura Kafki, przygotowanego tak, by powiedział ludziom z Wydziału Spraw Wewnętrznych dokładnie to, co chcą usłyszeć, a potem tylko zorganizować pojawienie się i wycofanie z ruin Berlina, zanim Kafka nadpisze strefę bitwy i przywróci właściwy bieg historii.

Twój skafander cicho piśnie, domagając się uwagi.

– Skanowanie zakończone – poinformuje. – Rozpoczynam przyspieszanie.

Silniki włączą się na krótko, zmieniając twoje położenie, a Jowisz znajdzie się poza polem widzenia, za twoimi plecami. Następnie silniki znów znaczą pracować, pchając cię w kierunku stoczni, całej floty statków długich na trzydzieści kilometrów – i Yarrow.

On ma twoją kobietę

Żyję, pomyślał Pierce, po czym poniewczasie zastanowił się: *Czy ja żyję?* Wszędzie było ciemno i nie był w stanie określić, gdzie jest góra. W ustach czuł metaliczny posmak i wszystko go bolało.

– Gdzie ja jestem? – spytał.

– Musisz poczekać, aż cię stamtąd wydostaniemy – powiedział ktoś nieznajomy. Głos dobiegał dziwnie stłumiony i Pierce uświadomił sobie, że nie dobiega ze środka ciała. – Oberwałeś impulsem elektromagnetycznym, który zniszczył ci skafander. Wydostałeś się w samą porę, wchłonałeś parę siwertów. Przygotowaliśmy dla ciebie łóżko.

Coś pchnęło go w bok i doznał wrażenia, jakby się przewracał.

– Czy ja spadam? – spytał.

– Oczywiście. Postaraj się nie ruszać.

Ja nie jestem na Ziemi, uświadomił sobie. Dziwne to było; odwiedził setki planet z wiecznie zmieniającymi się kontynentami i biosferami, ale nigdy nie był poza Ziemią. Wszystkie były jakimś aspektem Gai, splątanych przyczynowo-skutkowo plasterkami wszystkich możliwych Ziemi, które Staza uznawała za swoje.

Coś szarpnęło go za lewą nogę i poczuł chłód zimnego powietrza na skórze. Poruszył palcami u stóp.

– Bardzo dobrze, zrób to jeszcze raz. Powiedz, czy coś cię boli. – Głos dobiegający przez resztki jego hełmu był nadal stłumiony, ale chyba go rozpoznawał. To była Kari, spokojna kobieta, jedna z praktykantek ze starszego roku. Zesztywniał, poczuł narastającą falę paniki. – Hej, Yarrow! On się strasznie spina...

– Nie ruszaj się, Pierce. – Głos Yarrow też był niewyraźny. – Twój komunikator nie działa, też oberwał. Kari jest z nami. Wszystko będzie dobrze.

Nie masz prawa mi tego mówić, pomyślał z oburzeniem, ale dźwięk jej głosu już wywarł na nim żądany efekt. *A więc Kari jest jedną z nich. Czy zgnilizna wewnętrzna w Stazie nie miała końca?* Uczciwie podchodząc do sprawy, uwzględniając jego własną pożądlivość – najwyraźniej nie. Próbował oddychać wolniej. We wnętrzu jego skafandra ratunkowego było coraz bardziej duszno i gorąco.

Kolejne elementy odrywały się od jego skóry. Zaczął się nerwowo drapać, a brak ciężenia przyprawiał go o mdłości. W końcu przednia część jego hełmu pękła i odpłynęła. Blask poraził go; zaczął mrugać załzawionymi oczami, próbując zinterpretować to, co podsuwają mu oczy.

– Kari...

Kulista sonda, unosząca się przed jego twarzą, miała jej rysy na sprytoskórze. Stado ramion przypominających spizowe minogi uwijało się za nią, zajmując się elementami jego unieszkodliwionego i lekko radioaktywnego skafandra. W pewnej odległości dostrzegł zakrzywioną ścianę z matowych, błękitnych trójkątów; miała kształt misy z otworami w kilku miejscach.

– Nic nie mów – rzekła sonda z twarzą Kari. – Oberwałeś dawką zbliżoną do śmiertelnej, musimy natychmiast zabrać cię do izby chorych.

Bolało go gardło.

– Jest tam Yarrow?

Zza niego wypłynęła kolejna sonda. Miała twarz Xiri.

– Mój kochany! Odwiedzę cię, jak tylko zakończysz dekontaminację. Wróg zawsze próbuje przemycić jakieś pluskwy i teraz mnie tam nie wpuszczą. Bądź silny, mój panie. – Uśmiechnęła się, ale po zmarszczkach w kącikach oczu widać było, że się martwi. – Jestem taka z ciebie dumna.

Próbował jej odpowiedzieć, ale jego żołądek miał lepsze pomysły i spróbował się zbuntować.

– Czuję... mdłości...

Ktoś pocałował go w kark srebrnymi ustami i cały świat zgasł.

Pierce odzyskał przytomność z poczuciem, że ma do czynienia z jakąś nagłą luką, jakby czas nie mijał, tylko ktoś włączał i wyłączał jego świadomość; jak jego rodzice, którzy kiedyś potraktowali w ten sposób jakieś psujące się urządzenie.

– Kochany? Pierce?

Otworzył oczy i gapił się na nią przez parę sekund, po czym odchrząknął. Czuł się zdumiewająco dobrze; jakby cały ból nagle się gdzieś ulotnił.

– Musimy przestać spotykać się w takich okolicznościach.

Oparcie jego łóżka zaczęło się unosić.

– Xiri?

Jej odzież jak na normy Hegemonii była absurdalna (żeby nie powiedzieć, anachroniczna czy wiele zasłaniająca), ale to zdecydowanie była jego Xiri; pochylila się i przytuliła go z pasją, a on poczuł, jak coś w nim rośnie: tama rozpaczy pęka pod naporem fali ulgi.

– Jak oni cię znaleźli? – zwrócił się z pytaniem do jej ramienia. – Dlaczego przywrócili...

– Cicho, Pierce. Byłeś tak bardzo chory...

Przytulił ją.

– Naprawdę?

– Nie wpuszczali mnie tu przez pół miesiąca! I te oparzenia, kiedy rozcinali skafander, żeby się do ciebie dostać. Coś ty zrobił?

Pierce zastanowił się nad tym pytaniem.

– Zmieniłem zdanie w kwestii czegoś... co obiecałem zrobić...

Leżeli przytuleni na łóżku, aż w końcu ciekawość wzięła górę.

– Gdzie jesteśmy? I w jakich czasach? *Skąd wzięłaś ten kombinezon?*

Xiri westchnęła i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

– To długa historia – odparła cicho. – Sama nie wiem, czy to prawda.

– Teraz musi już być – rzekł rozsądnie. – Ale może przez jakiś czas tak nie było. Gdzie jesteśmy?

Odprężyła się trochę.

– Na orbicie wokół Jowisza. Ale już niedługo.

– Ale ja... – zamilkł. – Naprawdę?

– Odłączyli twój komunikator. Gdyby nie to, mogłabym ci pokazać. Flotę kolonii, stocznie.

Mrugnął ze zdziwieniem.

– Ale jak?

– Wszyscy mamy implanty komunikacyjne. – Jej oczy błyszczały rozbawieniem. – To już nie jest Staza, jaką znacie.

– Domyśliłem się. – Przełknął ślinę. – Ile czasu minęło u ciebie?

– Odkąd... – Nabrała powietrza w płuca. – Dwa lata. Może trochę dłużej.

Delikatnie wziął ją za rękę i przesunął kciukiem po gładkiej, pulchnej skórze na nadgarstku. Puściła go.

– Prawie tyle samo. – Przełknął ślinę jeszcze raz. – Myślałem, że już cię nie zobaczę. Każdy by przypuszczał, że tak to zaplanowali.

– Och, przecież tak było. – Zaśmiała się nerwowo. – Powiedział, że nie chcą, żebyśmy się zdesynchronizowali. Za bardzo oddalili.

Zacisnęła palce na jego kciuku; silny, ciepły dotyk

– Kto? – spytał Pierce, choć już wydawało mu się, że wie.

– On kiedyś był tobą. Tak mi powiedział. – Nagle ścisnęła jego dłoń jeszcze mocniej. – On nie jest tobą, kochany, to nie to samo.

Wcale.

– Muszę się z nim zobaczyć.

Pierce próbował wstać, ale Xiri uczepliła się go i przytrzymała.

– Nie! Jeszcze nie! – syknęła.

Pierce przestał się szarpać, zanim zrobił jej krzywdę. Doznał wrażenia, jakby mięśnie jego ramion i brzucha stały się dziwnie mocne – jakby nigdy nie zostały uszkodzone.

– Dlaczego?

– Uczona Yarrow prosiła mnie o interwencję. Powiedziała, że będziesz chciał konfrontacji z nim.

– Zesztywniała, gdy wymawiała nazwisko Yarrow. – Miała rację. I to niejedynym razem.

– Jaka jest jej rola w tym wszystkim?

– Ona jest z nim – Xiri zawahała się. – Niełatwo było się do tego przyzwyczaić. Kiedyś, na samym początku, zrobiłam z siebie idiotkę.

Uniósł rękę i pogłaskał ją po włosach.

– Rozumiem. – Zdumiał go jej brak reakcji. – Wiesz, od czasów, kiedy ją znałem, minęło wiele lat. A jeśli on jest tym kimś... tym czymś, za kogo go mam... on nigdy nie był twoim mężem, prawda?

– Nie był. – Przez chwilę leżała przytulona do niego. – Co zamierzasz zrobić? – spytała cicho.

Pierce uśmiechnął się w stronę sufitu. (Był niski i nie było na nim żadnych dekoracji; kolejny dowód, na wypadek gdyby takiego potrzebował, że nie jest z powrotem w Hegemonii). Tymczasem szok i radość z tego, że może ją znów zobaczyć, ustąpiły osłabiającemu poczuciu ulgi.

– Gdzie są dzieci? – spytał z wysiłkiem: jeszcze jeden, ostatni test.

– Zostawiłam Liann z nianią. Magnus wyjechał, jest na statku scholastyków. – Na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. – Bardzo urosły: czy sądzisz, że...

Wypuścił powoli powietrze z ulgą.

– Będzie czas, żeby na nowo je poznać, tak. – Objęła go na wysokości piersi i mocno przytuliła. Poglądził ją po włosach, ciesząc się chwilą, ale czuł już smutek: wszystko się zmieni. – Powiedz mi jedno: co tak rozpaczliwie próbujesz przede mną ukryć?

Cały naród mnie

– Cieszę się, że cię widzę, Pierce – rzekł mężczyzna na tronie. Uśmiechnął się uprzejmie, lecz z dystansem. – Nieźle sobie radzisz, jak sędzę.

Pierce już pojął, że prawdziwi odwieczni różnili się od zwykłych ludzi.

– Pamiętasz, jak byłeś mną? – spytał, gapiąc się na niego.

Człowiek na tronie uniósł brwi.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Wskazał gestem pomost łączący jego stanowisko dowodzenia z drugą częścią sali. – Zbliź się.

Sondy bojowe i umundurowani służący rozsunęli się, tworząc szeroki szpaler.

Maszerując po moście Pierce próbował nie patrzeć w dół, ale udało mu się to tylko częściowo.

Burze na Jowiszu kłębiły się szaleńczo pod jego stopami. Gdy zobaczył ten widok po raz pierwszy, dostał mdłości. Widział to przez bulaj wahadłowca, na pokładzie którego ciężenie było niskie – zdecydowanie ci, którzy go pojмали, chcieli zasiać w nim przekonanie, że jest bardzo daleko od domu. Widok planety przesłaniał cętkowany na niebiesko rtęciowy dysk największej bramy czasowej, jaką Pierce w życiu widział – była otwarta, co stanowiło naruszenie protokołu z groteskową, skandaliczną bezczelnością.

– Dlaczego się tu znalazłem? – dopytywał się Pierce.

Prychnięcie.

– A jak sądzisz?

– Ty jesteś mną. – Pierce wzruszył ramionami. – Mną ze znacznie większym doświadczeniem, mną znacznie starszym i mną z problemem w podejściu do pewnych spraw. – Odziano go w formalne szaty Stazy zamiast czarnego kombinezonu, jakie powszechnie noszono w tym miejscu. Było to sprytne posunięcie, gdyż z tego powodu poczuł się bardziej wyobcowany; poza tym ubranie nie miało kieszeni. Aby się jakoś odegrać, skupił się na rzeczach absurdalnych: czarne kombinezony i wyglansowane buty na statku kosmicznym? Ktoś tutaj naprawdę wziął sobie do serca aktorskie fantazje. – A teraz masz mnie.

Jego starsza wersja zeszywniała.

– Musimy porozmawiać w cztery oczy. – Rozejrzał się po sali. – Wy tam: możecie odejść.

Pierce obejrzał się wystarczająco szybko, by zobaczyć, jak ostatni z obecnych ludzi znika w otchłani niehistorii. Skierował znów spojrzenie w stronę tronu.

– Miałem nadzieję, że załatwimy to kulturalnie – rzekł spokojnie. – Masz nade mną niewyobrażalną przewagę. Jestem do twojej dyspozycji. – Cóż: kości zostały rzucone. Nie miał co do tego wątpliwości, już od samego początku. Ten bezwzględny starożytny z dobrze znaną z lustra twarzą i udawaną życzliwością, wyborem komitetu powitalnego sprawił, że pozycja Pierce stała się jednoznaczna. Pierce mógł teraz jedynie grzecznie obnażyć szyję i mieć nadzieję, że to się źle nie skończy.

– Nie uratowałem cię przed tą hołotą tylko po to, żeby cię tam znowu rzucić – jego starsza wersja była najwyraźniej zirytowana. – Choć to, co w *niej* widzisz... – Potrząsnął głową. – Tu jesteś bezpieczny.

Pierce przewrócił oczami.

– Tak, jasne. I przypuszczam, że jeśli odrzucę tę propozycję, którą trzymasz dla mnie w zanadru, po prostu będę mógł sobie pójść? Czy raczej, och, cofniemy trochę czas publiczności i spróbujemy z nowym mną, niezapisanym jak kartka papieru?

Jego wzrok napotkał spojrzenie człowieka na tronie i nagle Pierce poczuł się, jakby miał tylko parę centymetrów wzrostu.

– Nie – odparł mężczyzna na tronie po chwili milczenia. – To nie będzie konieczne. Nie zamierzam cię prosić o zrobienie czegokolwiek, o zgodę na co byś mnie nie poprosił.

– Aha. – Pierce zastanowił się przez moment. – Pracujesz więc dla opozycji, prawda? I wiesz, że ja nie. – Uczciwość zmusiła go, by dodał: – Jeszcze nie.

– Mówiłam ci, że to powie – odezwała się stojąca za nim Yarrow. Pierce doznał wrażenia, jakby głowa odskoczyła mu do tyłu. Yarrow powitała go gestem, ale uśmiechała się wyłącznie do mężczyzny na tronie. – Jest młody i naiwny. Bądź dla niego pobłażliwy.

Człowiek na tronie skinął głową.

– Nie jest aż tak naiwny, moja pani. – Zmarszczył brwi.

– Pierce, poderżnąłeś gardło samemu sobie, od którego dzieliły cię zaledwie sekundy. W końcu

dołączyłeś do Stazy. Czy naprawdę jednak uważasz, że z biegiem lat jest łatwiej, kiedy już spędzisz trochę czasu na rozpamiętywaniu tego, co zrobiłeś? Istnieje pewien powód, dla którego armie posyłają kwiat młodości, żeby zabijał i ginął, a nie starych i cynicznych. Jest takie określenie dla tych, dla których z wiekiem mordowanie staje się coraz łatwiejsze: „potwory”.

Uniósł dłoń.

– Krzesła poproszę. – Na podeście pojawiły się dwa krzesła, zwrócone w jego stronę: fantomy wyrzeźbione w brylancie, idealne dla panów stworzenia. – To chyba ty powinnaś mu powiedzieć – zaproponował Yarrow. – Mnie pewnie nie uwierzy. Jeszcze nie otrząsnął się z traumy.

– Dobrze. – Yarrow z wdziękiem opadła na krzesło, po czym spojrzała na Piercea. – Może lepiej usiądź.

– Dlaczego? – Pierce z niepokojem opadł na swoje miejsce.

– Ponieważ – skinęła na starszą wersję Piercea, który odwzajemnił gest z pełnym rozbawieniem – on nie jest po prostu członkiem opozycji. Jest naszym liderem. Dlatego właśnie ludzie z Wydziału Spraw Wewnętrznych obleźli cię jak mrówki. I dlatego musieliśmy cię stamtąd wyciągnąć i sprowadzić tutaj.

– Bzdura – Pierce założył ręce na piersi. – Nie dlatego musieliście mnie złapać. Już go macie: zakładam, że jestem palimpsestem albo tym, co zostało po próbie zamachu. Czego więc chcecie *ode mnie*? To znaczy, tu i teraz?

Yarrow wyglądała na wytrąconą z równowagi.

– Pierce...

Jego starsza wersja uspokajającym gestem położyła jej rękę na kolanie i pochyliła się.

– Mogę? – Spojrzał Pierce'owi w oczy. – Opozycja nie jest... jak już prawdopodobnie sam na to wpadłeś, nie jest czymś zewnętrznym w stosunku do Stazy; wyłoniliśmy się właśnie z niej. Staza jest podzielona, Pierce, i dryfuje bez steru w stronę końca czasu. Mamy... pewien alternatywny plan przetrwania. Wydział Spraw Wewnętrznych zajmuje się utrzymaniem standardów wewnętrznych; starają się za wszelką cenę przeciwstawić zmianom strukturalnym. Nadpisali epokę twojej żony, bo odkryli możliwą przyczynę twojego sukcesu.

Dowód na istnienie porzuconych miast na obcym księżycu, flota gigantycznych, wolniejszych od światła statków kolonii – czy to wszystko były tylko rozgrywki polityczne w hierarchii Stazy?

– Po co mieliby to robić? – spytał. – Nie są zainteresowani głębokim kosmosem.

Z wyjątkiem ewentualnych zagrożeń dla przetrwania ludzkości, z którymi trzeba było się rozprawić. Yarrow potrząsnęła głową.

– Nie zgadzamy się. Oni są *bardzo* zainteresowani głębokim kosmosem, szczególnie trzymaniem nas z daleka od niego. – Nabrała głęboko powietrza w płuca. – Czy zauważyłeś może, kiedy konsultowałeś się z biblioteką, jakiś ślad historii, które dotknęły tej pozaziemskiej osady? Choć tysiące razy przeprowadzaliśmy terraformację Ziemi, rozebraliśmy na kawałki słońce, przebudowaliśmy gazowe olbrzymy i wydarliśmy cały układ gwiazdny z jego ojczywego skupiska? – Pierce potrząsnął niepewnie głową. – Stworzyliśmy i zniszczyliśmy tysiące biosfer, rzeźbiliśmy kontynenty, było nas więcej niż gwiazd w kosmosie, ale nigdy nie rozprzestrzeniliśmy się do innych układów słonecznych? Czy to wam nie wydaje się trochę dziwne?

– Bo ewoluowaliśmy razem z naszą planetą i nie jesteśmy przystosowani do życia nigdzie indziej...

– Pierce zamilkł. *Potrafimy terraformować i tworzyć bramy czasowe, pomyślał. Nawet jeśli możemy w danej chwili otworzyć tylko jeden otwór na końcu tunelu. Przebudowaliśmy słońce. Stworzyliśmy mapy wszystkich planet w promieniu dziesięciu milionów lat świetlnych.* – Naprawdę? – spytał żalonym tonem.

– Na Ziemi rządzi teraz Imperium Nauki – odparł człowiek na tronie. – Zgłębiają tę kwestię od dwunastu tysięcy lat. Przekazaliśmy im dane uzyskane przez flotę sond. Powiedzieli, że to się da zrobić i przez ostatnie sześć wieków budowali i wystrzelili co roku statek kolonizacyjny. – Zmarszczył brwi. – Dysponowaliśmy tą wielką bramą czasową od zarania cywilizacji, by uniemożliwić Wydziałowi Spraw Wewnętrznych wykrycie i likwidację tej operacji. Oficjalnie jesteśmy pośrodku martwej epoki, a układ powinien być niezamieszkały i nie nadawać się do zamieszkania; jesteśmy jeszcze przed pierwszym zaplanowanym Wysiewem. Ale oni nigdy się nie poddają. Prędzej czy później nas zauważą i zaczną szukać z drugiej strony barykady, statycznej kropli, przez którą cię przeciągnęliśmy.

– A co się stanie, kiedy się dowiedzą? – spytał Pierce.

– Sześćset zamieszkałych planet wymrze, a to dopiero będzie początek – rzekła cicho Yarrow. – Możesz to nazwać niehistorią, jeśli lubisz eufemizmy – ale czy twoje morderstwo dyplomowe nie było dla ciebie czymś nierealnym? W przeciwieństwie do twojej... – zmarszczyła nos, jakby chciała coś powąchać – żony i dzieci, mieszkańców skolonizowanych planet nie będzie można odtworzyć za pomocą Biblioteki.

– A te sześćset planet to dopiero ziarno na siew – włączyła się jego starsza wersja. – Początek czegoś olbrzymiego.

– Ale czemu? – spytał. – Po co mieliby... – zamilkł.

– W Stazie wcale nie chodzi o historyczność – rzekła Yarrow. – Może to być oficjalny powód jej istnienia, ale w rzeczywistości w Stazie chodzi o *władzę*. Jak każda organizacja, istnieje i rozwija się dla samej siebie, nie dla zadania, do wykonania którego została powołana. Komitet zarządzający – to bardzo smutne. Ale tak jest odkąd istnieje Staza.

– Uratowaliśmy cię, bo to właśnie ty jesteś nam potrzebny – moja pierwsza iteracja, czy tam najbliżej, jak się da, plus minus zamach w Carnegrze – oznajmił mężczyzna na tronie. – Potrzebujemy twojej pomocy w odcinaniu się od martwej odnogi historii.

– Ale co... – Pierce uniósł dłoń i dotknął brzucha. – Mój komunikator – wypowiadał wolno słowa. – Jest uszkodzony, ale moglibyście go naprawić. Nie ma go tam już, prawda?

Yarrow skinęła wolno głową.

– Możesz nam powiedzieć dlaczego? – spytała.

PONOWNY WYSIEW

Krótką alternatywną historią wszechświata

SLAJD 1

Nasz Układ Słoneczny we władzy Stazy, pierwsza epoka.

Kontynenty rozsuwają się i dryfują, szorując i skrobiąc po powierzchni płaszcza. Światła migoczą na wybrzeżach, zapalając się i gasnąc w cyklach tysiącletnich, gdy cywilizacje rodzą się i upadają. W kosmosie rój robotów do transferu momentu orbitalnego, zbudowanych ze szkieletu Ceres, rozpoczął swój cykl pracy, powoli pompując energię na Ziemię, wydobywając ją z powoli rozjaśniającego się słońca.

SLAJD 2

Zdjęcie: dzieje się coś niezwykłego.

Koncentrujemy się na wycinku o długości dziesięciu tysięcy lat, co w skali geologicznej stanowi mgnienie oka. Dotychczas przez wiele milionów lat Ziemia była cicha, a jej kontynenty pogrążone w ciemności w przededniu gigantycznej czkawki magmy, która wypłynęła z połączenia płyt kontynentalnych, między płytą kokosową a płytą Nazca. Światła wróciły: klejnoty rozsypane po nocnej hemisferze nieznanymi kontynentów. Co niezwykle, nie pojawiają się tylko na powierzchni: trzy diamentowe naszyjniki otaczają dumnie planetę, opasując równik na orbicie geosynchronicznej. A między nimi, w punkcie Lagrange'a L1, między Ziemią a Luną, tkwi ogromna paszcza wyjątkowo dużej bramy czasowej.

Tubylcy najwyraźniej są niezmordowani.

SLAJD 3

Powolne przesuwanie się punktu obserwacyjnego poza orbitę Jowisza świadczy o tym, że anomalia się rozprzestrzenia. Brakuje już kilku mniejszych księżyców Jowisza; Tebe i Amaltea już znikły i coś pożera Himalię. Metaliczna chmura mniejszych obiektów roi się na orbicie wokół Europy, punkciki światła pokrywają powierzchnię.

Tymczasem stada obiektów do transferu momentu orbitalnego rzedną; ich prosta konstrukcja zostaje zastąpiona licznymi wynaturzeniami formy i przeznaczenia. Nadal są napędzane żaglami na wiatr słoneczny; te nowe pojazdy wiozą niezwykle maszyny przeznaczone do pozyskiwania energii z wiatru słonecznego i przechowywania jej w formie antymaterii. Wahadłowce przemieszczają się między nimi jak mrówki na farmie mszyc, zbierając i przechowując hojne dary, wpadając w okolice Jowisza, nim polecą znów w kierunku Merkurego.

Niektóre z setek metalowych księżyców na orbicie wokół Europy świecą światłem podczerwonym; ich temperatura zbliża się niebezpiecznie do trzystu kelwinów. W skali ciał niebieskich Układu Słonecznego są małe – niewiele większe od księżyców Marsa. Są to wszakże jedne z największych konstrukcji zbudowanych przez mały, które potrafią marzyć; większe niż miasta i potężniejsze od piramid. A niedługo zostaną wprowadzone w ruch.

SLAJD 4

Minęły trzy tysiące lat.

Ziemia jest znów ciemna i niezamieszkała, gdyż ludzkość – jak zwykle – wymarła. Nieliczne pozostałości jej wielkich dzieł znajdują się na orbicie wokół Jowisza. Wielkie statki odleciały, dawno temu opuściły orbitę i zanurzyły w wirującym chaosie atmosfery gazowego giganta, a zdeformowane, powyginane urządzenia do transferu zostały wchłonięte i znów spełniają swe pierwotne zadanie.

Pięć małych księżyców znikło, a wolno gojące się rany znaczą miejsca na powierzchni Io i Europy, gdzie kiedyś prowadzono prace wydobywcze na dużą skalę, ale zanim Staza ponownie obsieje Ziemię (za dwie trzecie miliona lat) nawet na powoli pojawiających się czapach lodowych Europy pojawią się ślady cywilizacji. Może minąć parę tysięcy lat, nim ktokolwiek to zauważy.

SLAJD 5

Mija dwadzieścia milionów lat, a galaktyka powoli rozświetla się poświatą spójnego światła, energią będącą produktem ubocznym łączności między zamieszkałymi światami.

Pierwsza generacja kolonii już dawno zestarzała się i wymarła; to samo stało się z trzecią i czwartą generacją. Z pierwszej generacji rozkwitła zaledwie jedna kolonia na pięć – ale to

wystarczyło. Ci, którzy przeżyli, rozmnożyli się obficie. Planety spotyka się często, skaliste ciała podobne do Ziemi nie są niczym rzadkim, a nawet bardziej egzotyczne typy (wodne olbrzymy, skaliste giganty zwrócone zawsze tą samą stroną do gwiazdy na orbitach czerwonych karłów i inne) można dostosować do ludzkich celów. Tam, gdzie nie ma planet, życie jest trudniejsze i częściej dochodzi do wymierania wskutek nagłych wydarzeń; nikt nie przeżywa cywilizacyjnej zapaści w kosmicznej kolonii. Narzędzia i technologie terraformowania są jednak dobrze znane i powstaje coś w rodzaju najlepszych praktyk. Wielu mieszkańców przystosowało się do swoich nowych habitatów tak doskonale, że trudno w nich rozpoznać naczelne, czy nawet w ogóle ssaki.

SLAJD 6

Minęły trzy miliardy lat.

Dwie ogromne, połyskujące chmury obdarzone rozumem, przenikają się wzajemnie podczas cudownie skoordynowanej defilady światów przeplatających się w nieskończonej pustce. Fale drgań wstrząsają gazowymi gigantami, a miliony potężnych, skazanych na krótkie życie nowych gwiazd zapala się i wybucha jak fajerwerki. Ilości gwiazdowego pyłu są ogromne. Większość zamieszkałych światów jest jednak bezpieczna: roje robotów do transferu momentu, w niezliczonych ilościach, pracują od milionów lat i sterują wszystkim tak, by doprowadzić do najbliższych ze spotkań. Nowo powstałe zasady gromadzenia i starannie opracowane z dużym wyprzedzeniem plany sprawiły, że kolonie znajdują się z dala od terytoriów o najwyższym ryzyku; brązowe karły są pędzone, by służyły za amortyzatory i bufory odbijające zbłąkane słońca – a obie galaktyki teraz rozmawiają ze sobą, gdyż rozszerzająca się sfera rozumu obejmuje teraz całą Grupę Lokalną.

W tej epoce Ziemia nie jest już zamieszkała, ale cenna brama czasowa nadal tam jest; tajemniczy pierścień wbudowany w skupisko egzotycznych sztucznych światów, prowadzący i kierujący tańcem ciał niebieskich.

W rozszerzającym się bąblu inteligencji znajduje się teraz sto milionów cywilizacji, każda o średniej populacji kilku miliardów. Osiągnęły już rząd wielkości ostatecznej populacji Stazy, a cywilizacji w tym wieku jest zaledwie tysiąc. Wygląda na to, że wszechświat zaczął się budzić.

SLAJD 7

W kryształowej kuli nic nie widać...

Najbardziej uprzejme z kłamstw

Spacerowali krętą ścieżką między ścianami z krzewów i pnączy; było tam też kilka niskich drzew wyrastających z kopców pachnącej wilgocią gleby. Ścieżka sprawiała wrażenie, jakby zbudowano ją ze starego piaskowca, z żyłkami mlecznej skały przypominającej kalcyt; pozory bywają zwodnicze.

– Bawiłaś się mną jak zabawką – rzekł Pierce. Założył ręce na plecach, jak to miał w zwyczaju i trzymał się na odległość ramienia od niej.

– Nieprawda! – Zaprzeczyła, ale czuła się bardziej dotknięta niż zła. – Nic o tym nie wiedziałam, dopóki on... dopóki ty mnie nie zrekrutowałeś. – Dotknęła butem przypominającego zepsuty ząb kamienia wystającego ze skraju rabaty z roślinami wieloletnimi: małe owady umknęły przed jej podeszwą, niezauważone. – Byłam jeszcze praktykantką. Jak ty, kiedy zostałeś wyznaczony do... do innych rzeczy.

Przez minutę maszerowali w milczeniu, pod górę i za zakręt ścieżki, a potem stopniami wyciętymi w zboczu niskiego wzgórza.

– Jeśli to wszystko jest po prostu korektą wewnętrzną, czemu Wydział Spraw Wewnętrznych tego

nie zlikwiduje? – spytał. – Muszą wiedzieć, kto jest w to zamieszany...

– Nie wiedzą – potrząsnęła głową. – Kiedy zgłaszasz żądanie otwarcia bramy czasowej, twój komunikator nie mówi „A tak przy okazji, to ta iteracja Pierce’a należy do opozycji”. Wszyscy byliśmy kiedyś zgodni. Jeśli nas złapią, możemy cofnąć się wzdłuż naszej historii i zlikwidować okoliczności, które sprawiły, że zostaliśmy dysydentami; czasem nawet uda nam się *ich* złapać i odizolować, umieścić w środowisku, w którym kwitną wątpliwości. Gdyby zaczęli odkręcać wszystko w przypadku każdego agenta podejrzanego o nielojalność, doprowadziłoby to do rozpoczęcia polowania, które rozdarłoby Stazę na kawałki: my nie należymy do ludzi, którzy pokornie się poddają. Stąd nacisk na kontrolę, odizolowanie od rodzin i inne stałe punkty odniesienia, współdziałal we wspólnych okropnościach. Próbują dławić nielojalne myśli, zanim się po raz pierwszy wysieją.

– Hm. – Dotarli do rozwidlenia ścieżki. Stała tam kamienna ławka, pokryta szarymi porostami i lekko przez nie nadzarta. – W takim razie ta próba zamachu to twoja sprawka?

– Nie. – Przysiadła niepewnie na skraju ławki. – To Wydział Spraw Wewnętrznych. To oni na niego polowali, nie ty.

– Niego...?

– Tę iterację ciebie, która nigdy nie przebywała w Hegemonii, nigdy nie spotkała Xiri, w końcu miała inny pomysł na życie i ponownie spotkała Yarrow w bardziej sprzyjających okolicznościach...

Pierce rozglądał się wolno dookoła, gdy mówiła, ale nigdzie, gdzie patrzył, nie było widać horyzontu, jedynie starannie pielęgnowane ściany roślinności zakrzywiające się łagodnie w stronę zenitu.

– Wydaje mi się, że stracili nad tym kontrolę.

– Tak. – Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego skupienia i koncentracji: twarz wykładowcy. – Wszystkie organizacje, które zostają powołane dla określonego celu, gwałtownie wypełniają się ludźmi, którzy postrzegają swoją rolę jako koniec sam w sobie. Wydział Spraw Wewnętrznych to rozrost wtórny. Gdyby kiedykolwiek im się udało, ze Stazy nie zostałoby nic poza Wydziałem Spraw Wewnętrznych, a wszyscy śledziliby wszystkich po koniec wieczności i o jeden dzień dłużej, próbując uratować choć jeden skutek i nie pozwalając nikomu zapytać o przyczynę...

Nie wszystkie elementy układanki do siebie pasowały. Nadal rozmyślając, Pierce przysiadł ostrożnie na drugim końcu ławki i rzekł, nie patrząc na nią:

– Spotkałem Imada i Leile, rodziców Xiri. W jaki sposób oni mieliby przetrwać? Wszyscy zabijają własnych dziadków, to jedyny sposób, żeby dostać się do Stazy.

– A ty jak przetrwałeś własną ceremonię wręczenia dyplomów? – Odwróciła się i spojrzała na niego oczami pełnymi łez. – Czasem tak wolno kojarzysz, Pierce.

– Co...?

– Nie musisz robić tego, do czego próbowali cię zmusić, kochany. To niemoralne praktyki: wykorzystywanie współdziałal we wspólnych niegodziwościach, żeby związać nowo rekrutowanych z jakąś przyczyną: to niedawny dodatek do protokołu szkoleniowego, wprowadzony na żądanie Wydziału Spraw Wewnętrznych. Być może to była iskra, która wyzwoliła niezadowolenie, z którego narodziła się opozycja. Jesteśmy w luksusowej sytuacji: możemy cofać nasze pomyłki, a nawet cofać się tak, by *nie* wstąpić do Stazy, mimo otrzymania dyplomu. Agenci czasem tak robią, kiedy osiągną taki stan wypalenia, że nie mogą już dłużej pracować: schodzą do podziemia, uciekają i odcinają się. Dlatego właśnie nie było agenta odpowiedzialnego za Hegemonię, kiedy tam przybyłeś. Usunęli twoją historię w Stazie, zapewniając ci solidną konspirację.

– Cały czas mówisz, że to zrobili „oni”. Próbujesz się wypierać ich czynów? – spytał spokojnie.

– Nie! – Dopiero teraz się rozzłościła. – Niczego nie żałuję. *Ona* niczego nie żałuje. Ukrywania przed tobą prawdy przez te wszystkie lata – co byś zrobił, gdybyś wiedział, że twoja uwielbiana Xiri, matka twoich dzieci, to głęboko zakonspirowana agentka opozycji? *Co byś zrobił?* – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego łokcia, patrząc na niego, usiłując dopatrzeć się w nim prawdy, której nie umiał ubrać w słowa.

– Ja... nie wiem. – Zgarbił się.

– Przez te wszystkie lata byłeś obserwowany przez inne instancje samego siebie, które poprzysięgły wierność Wydziałowi Spraw Wewnętrznych i podlegały Kafce – rzekła. – Uczciwość nie wchodziła w grę. Chyba że byłbyś w stanie zagwarantować, że wszystkie te twoje widmowe instancje będą umiały zachować tajemnicę, od chwili, gdy wstąpiłeś do Stazy.

– I dlatego właśnie, jeszcze na studiach... – Chwila oświecenia była szokiem. Usta Yarrow, widziane po raz pierwszy, szerokie i zmysłowe, blade usta, jego reakcja. Spojrzał na nią, siedzącą na drugim końcu ławki, dostrzegł światło w jej oczach. Skinęła głową. – Nigdy jej nie zdradzę.

– Jeśli wierzyć Bibliotece Ostatecznej, zdarzyło się to więcej niż jeden raz. Mogą cię zmusić, byś zdradził kogokolwiek, jeśli wystarczająco wcześnie wpadniesz w ich szpony. Można temu zapobiec tylko w jeden sposób: tworząc palimpsest z całego procesu werbowania do Stazy – żeby od początku zastąpić twoją wersję będącą młodym poborowym, niełojalnym oszustem, lub całkowicie odrzucić propozycję i zejść do podziemia.

– Ale... ja. On. Ja niezupełnie jestem nim.

Puściła jego łokieć.

– Nie, jeśli tylko nie chcesz nim być, kochany.

– *Ja* jestem twoim kochanym? Czy on?

– To zależy od tego, którą wersją chcesz być.

– Usiłujesz mi więc powiedzieć, że zasadniczo mogę się uwolnić od Wydziału Spraw Wewnętrznych, jeśli cofnę to, do czego próbują mnie zmusić.

– Istnieje pewien protokół – rzekła, nie patrząc na niego. – Możemy znów uruchomić twój komunikator. Nie musisz ponownie wstępować do Stazy, jeśli nie chcesz. Na statkach kolonizacyjnych czeka na nas koja...

– Tylko że byłaby to zamiana jednego przeznaczenia traktowanego jako coś rzeczywistego na inne, prawda? Ekspansja w kosmosie zamiast ekspansji w czasie. Pod jakim względem jest to lepsze niż, powiedzmy, uwolnienie maszyn, przeznaczenie całego dostępnego pasma czasowego na obliczenia czasowe, żeby sprawdzić, czy głoszący nadejście sztucznej inteligencji i ducha w maszynie prorocy mieli rację?

Spojrzała na niego niepewnie.

– Czy ty masz pojęcie, jak dziwacznie się czasem zachowujesz?

Prychnął.

– Nie przejmuj się, nie mówiłem tego serio. Znam swoje ograniczenia. Jeśli nie zrobię niczego z tym, o czym rozmawiamy, ten na górze będzie zły. Bo Kafka zmusi te wszystkie moje młode i naiwne potencjalne iteracje, żeby udały się na misje szpiegowskie, prawda? – Pierce nabrał głęboko powietrza do płuc. – Naprawdę, nie dostrzegam żadnej *alternatywy*. I to mi doskwiera. Miałem nadzieję, że opozycja zapewni mi większą swobodę działania niż Kafka, nic ponadto. – Poczul widmowy dotyk pomarszczonych jak winogrona dłoni trzymających jego nastoletnie nadgarstki, pokazujących mu, jak zarzucać wędkę. Doznał wrażenia, że jest coś winien dziadkowi: zostawić własnym dzieciom wszechświat, w którym będzie dość miejsca, by nie czuły się ograniczone pętami historii absolutnej.

– Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę?

Przyjrzała mu się ponuro.

– A będziesz jeszcze wtedy chciał się ze mną widzieć?

– Oczywiście.

– W takim razie do zobaczenia później.

Uśmiechnęła się wstając i wyszła.

Wpatrywał się w miejsce, gdzie siedziała – jak mu się wydawało – tak długo. Gdy jednak próbował przypomnieć sobie jej twarz, zobaczył dwie twarze, Xiri i Yarrow, nałożone na siebie.

Pożegnanie z terażniejszością

Dwadzieścia lat w Stazie. Liczne śmierci, wiele z nich własnoręcznie zadanych, zleconych z bezwzględną obojętnością samozwańczych bogów. Wsączają się w niespokojną świadomość człowieka, który wie, że mogło być lepiej, że *nadal* może być lepiej – gdyby tylko był w stanie rozplątać węzeł gordyjski swego przeznaczenia, zadzierzgnięty i wręczony mu przez ludzi, którymi nauczył się gardzić.

To jesteś w skrócie ty, Pierce.

Stoisz na posępnym rozdrożu, otoczony kochankami i sprzymierzeńcami, i tak bardzo samotny w swym momencie przeznaczenia. Kim ty naprawdę będziesz? Kim *chcesz* być?

Przed tobą rozciągną się miriady dróg, a wszystkie, którymi nie poszedłeś, będą za tobą: kim *ty* chcesz być?

Spotkałeś swoje starsze „ja”, człowieka-maszynę, pośrodku intrygi, która może nigdy nie zaistnieć, jeśli Kafka zrealizuje swój plan. A ty naniesiesz na mapach zasięg rozpadliny, razem z Xiri, samą rozpaczliwie trzymającą się Stazy. Możesz zbadać swoje życie z bezlitosną, odświeżającą jasnością i odkryjesz, że było warto, jeśli tylko zapragniesz. Możesz nawet cofnąć swe błędy: pozwolić, by dziadek wyhodował cię do stadium rozkwitu, a potem przyciął przerażony nastoletni koszmar morderstwa. Możesz nawet wyskoczyć z nieskończonej morderczej karuzeli, kiedy tylko zechcesz, zrezygnować z gry lub do niej powrócić i grać, by wygrać, lecz pytanie, które dopiero niedawno zacząłeś zadawać, brzmi: kto tworzy reguły?

Kim chcesz *być*?

Śnieg pada w ciszy dookoła ciebie, a ty stoisz w ciemności, po kolana w pokrytych szronem chwastach porastających rów wzdłuż torów kolejowych. Młody mężczyzna, sam w środku nocy, kroczy między plamami światła. Śledzi go niewidzialny łowca głów, kolejny młody człowiek z sercem pełnym strachu i uszami wypełnionymi kłamstwami. W dłoni dzierży nóż, a w kieszeni pudełko rozmiarów małego kamyka, a ty wiesz, co zamierza zrobić i co z tego wyniknie. I wiesz, co *ty* musisz zrobić.

Teraz nadeszła twoja kolej, by tworzyć historię...

Przełożyła Jolanta Pers

Twoje cierpienie nas ochroni

Edgar po raz pierwszy słyszy krzyki, gdy pozbywa się ubrania, a Mercedes przebiera się w jego baño*. Normalnie nie miesza się w syf, który odchodzi w tym vecindario* – sprawiedliwość najlepiej zostawić gangom ulicznym – więc je ignoruje, próbuje stłumić, aż po minucie czy dwóch wycie cichnie. Ale potem dochodzi do wniosku, że Mercedes może nie być zachwycona, musząc przechodzić obok ciała w korytarzu, więc uchyla drzwi na cal i wygląda z mieszkania na zewnątrz.

Właśnie wtedy widzi w holu Apartamentu 1B dozorcę, który z trudem, jak zjawa, wyłania się spod podłogi. Stary człowiek, viejo*, ma ciemną skórę i jest pomarszczony jak suszona śliwka, a kredowobiałe włosy są tak desarmolado*, jak wyciśnięty mop. Ma na sobie wymiętoszoną, beżową guayabera*, poplamioną czerwienią, a od pasa w dół jego ciało znika w podłodze.

– Hej, ty! – woła Edgar, nie mogąc wymyślić nic innego do powiedzenia.

A viejo tylko gapi się na niego, jakby to on był duchem. Jego oczy są jak śliwki – jakby nie miały powiek – a usta ma szeroko otwarte w niemym krzyku.

Edgar pospiesznie zatrzaskuje drzwi. Już ma je otworzyć ponownie, żeby potwierdzić, że wypił za dużo shotów tequili, gdy uznaje, że nie chce wiedzieć. Opiera się o drzwi, gdy z łazienki wyłania się Mercedes, ubrana w skórzany stanik i majtki.

– Edgar, co się dzieje? – mówi.

Podchodzi do niego, odsuwa go na bok i otwiera drzwi, pomimo że on stoi tam nagi. Oboje gapią się na pusty korytarz.

– Nic – mówi. – Po prostu jestem bardziej pijany, niż sądziłem.

Gdy Mercedes przysuwa się bliżej, wspomnienie tego, co właśnie widział, blednie.

– Mam nadzieję, że nie – mówi ona.

Mgnienie oka później przewala się po łóżku z tą syreną o wielkich ustach, puertorriqueña*, myśli sobie, przez to jej nastawienie „Jestem za dobra dla Dominikańczyków”, które prezentowała, gdy ją poznał w Arturos Bar w Concourse. Po kilku kolejkach Patróna jej podejście zmieniło się na „Jesteś całkiem fajny, papi”. Ma ze sobą sportową torbę we wzór moro, której Edgar nie poświęca za dużo uwagi, dopóki nie zaczyna z niej wyciągać porąbanych „zabawek” o dziwnych kształtach. Nie potrafi nawet określić, do czego służą. Może powinien to skończyć od razu – to nie jego bajka – ale uznaje, że zaczeka i zobaczy, jak to działa. Robi więc to, czego ona chce, przykuwa ją kajdankami do zagłówka, wymierza jej klapsy, aż jej brązowy tyłek czerwienieje, a ona krzyczy: „Dame fuerte! Dame duro!”. Na łóżku obok siebie dziewczyna kładzie czarny, skórzany pejcz. Widząc z tuzin różowych śladów na jej plecach wie, że już się tak bawiła. Parę klapsów to jedno. Ale biczowanie? Mercedes jęczy i wywarkuje polecenia.

– Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz to! – domaga się nagle.

Cóż, biorąc pod uwagę, że zna tę muchacha* raptem od jakichś trzech godzin, czuje się dziwnie, mówiąc do niej te dwa słowa – słowa, których nigdy dotąd nie wypowiedział. A to, że ona wie, że nie mógłby mówić poważnie po kilku godzinach picia i opowiadania bzdur sprawia, że to wszystko wydaje się lekko pokręcone, więc ignoruje jej rozkazy i zamiast tego pochyla się, żeby ją pocałować.

Głową uderza go prosto w nos.

– Powiedz, że mnie kochasz, condenado!*

Odskakuje; z nosa leje mu się krew.

– Nie kochasz mnie, hijo de puta*? – mówi. – Nie podoba ci się, co zrobiłam? I co zamierzasz teraz poczyć?

Wstaje. Pewnie, jest gorąca, i chce ją zadowolić jak cholera, ale ocierając krew z twarzy stwierdza, że ma dosyć jej pokręconych gier. Powinien był to przerwać, gdy tylko otworzyła tę swoją torbę, ale nie mógł zostawić jej parującego ciała.

– Skończyliśmy – powiedział.

Nazywa go pendejo*, kompletną cipą. Ona szuka prawdziwego mężczyzny, mówi. On jest miękkim, pozbawionym jaj zángano*. Podpuszcza go. On wie, że ona próbuje go wkurzyć, żeby ją trochę obić, tak jak chce, ale nie jest idiotą. Kobietom zawsze się wydaje, że mogą nim manipulować. Więc wtedy dziewczyna zaczyna wrzeszczeć. Wrzeszczeć jak pierdolona śpiewaczka operowa próbująca głosem tłuc szkło. Cóż, pewnie nie powinien tego robić, ale sięga do jej torby z zabawkami i wpycha w jej wielkie usta czerwoną, gumową piłeczkę, rozciągając te pełne wargi naprawdę szeroko i wreszcie, wreszcie ją, kurwa, uciszając. Po uderzeniu w nos czuje się słabo, ale coś w tej piłeczce w jej ustach sprawia, że jej oczy lśnią z podniecenia, i to – nie zamierza zaprzeczać – sprawia, że Edgar zaczyna się zastanawiać, czyby nie dokończyć ich małej imprezy. Właśnie wtedy szczęka zamek w drzwiach mieszkania. Odwraca się, drzwi się otwierają i staje w nich stara kobieta w podomce.

– Todo está bien*? – mówi.

Rękami zasłania swoje huevos* i wrzeszczy.

– Co do kurwy nędzy?

Potrzebuje sekundy, żeby ją rozpoznać. Pani Guerrero. Właścicielka domu. Żona dozorca. W jakiś sposób przypomina mu jego tía* Canditę, którą pamiętał jeszcze z DR, z ufryzowanymi białymi włosami i miękkimi zmarszczkami, poza tym, że jest cubana blanca*. Ma na sobie białą podomkę, bata, która sprawia, że wygląda jak latynoski duch nawiedzający dom, a w zgięciu ramienia trzyma książkę w twardej okładce. RzUCA okiem na Mercedes.

– Dios mío*! – mówi, odwraca się na pięcie i zatrząskuje za sobą drzwi.

Teraz Edgar myśli sobie, „Cholera, wyrzuci mnie”. A choć ten zaniedbany budynek na Bruckner Boulevard nie przypomina raczej cabaña* na brzegach Bocachica w DR – zanim zniszczyła ją wojna proxy pomiędzy chinos i americanos – to jest to dach nad głową i łóżko w mieście, w którym działa milicja, a on z całą pewnością nie chce znów zaczynać poszukiwania miejsca do życia.

Owija się w pasie prześcieradłem i goni za nią, zostawiając Mercedes wijącą się na łóżku. Ale gdy dogania ją na końcu korytarza, to w sumie nie wie, co powiedzieć.

– Proszę posłuchać, przepraszam za to... To znaczy, jeśli byliśmy za głośno. Ja się tak zazwyczaj nie...

Gospodyni macha ręką, przyciskając do piersi książkę.

– Nie, nie, to ja przepraszam, panie Ramirez. Naprawdę. – Szybko wyrzuca z siebie angielskie słowa. Mówi z lekkim akcentem. – Usłyszałam... Po prostu byłam zaniepokojona.

W oko wpada mu tytuł książki, którą trzyma, La Psicología de La Economía Nacional, 4a edición, i wtedy znów to słyszy. Myśli, że to syrena policyjna, dopóki do niego nie dociera, że dźwięk dochodzi skądś niżej. Krzyk. A po nim głęboki jęk. Stoją przy klatce schodowej. Edgar myśli, że to jakieś wariactwo, ponieważ mieszka tu od dwóch miesięcy, a nigdy wcześniej jej nie zauważył.

Spogląda w dół, na schody prowadzące do piwnicy – piwnicy, o której istnieniu dotąd nie wiedział.

Doña Guerrero marszczy brwi, dodając sobie zmarszczek na czole. Bardzo się stara nie patrzeć w dół, choć nerwowo strzela oczami na wszystkie strony.

– Co to takiego? – pyta Edgar.

Kobieta kilka razy bez słowa otwiera i zamyka usta.

– Don Guerrero zajmuje się pewnym problemem. Nie musi się pan tym przejmować. – Szarpie za naszyjnik, który nosi, azabache, onyks wielkości dziesięciocentówki w kształcie ludzkiej głowy. Potem kładzie mu rękę na ramieniu i cofa ją, gdy się orientuje, że dotyka gołego ciała. – Raz jeszcze przepraszam za najście, panie Ramirez.

Jej dolna warga drży, a ona ściąga swoją bata nieco ciaśniej. Edgar przenosi wzrok od jej twarzy do schodów, które teraz są ciche i ciemne jak el culo de una olla. Potem przypomina sobie, że stoi tu praktycznie nagi, tylko z prześcieradłem u pasa i krwią ciekącą z nosa, rozmawiając z przestraszoną kobietą. Więc tylko kiwa głową i wycofuje się do swojego mieszkania zastanawiając się, czy jego dni tutaj są policzone, i gdzie do diabła znajdzie inne mieszkanie, do którego będzie mógł się wprowadzić, mając tak kiepską sytuację finansową.

Gdy Edgar wraca, blask w oczach Mercedes zanikł, zastąpiony przez płomień, i musi się dobrze zastanowić, zanim wyciąga jej z ust tę czerwoną piłeczkę. Dziewczyna przelyka twardo.

– Rozkuj mnie, kurwa, i to już, cabrón* – mówi.

A on po prostu zapomina o Doña Guerrero i dźwiękach dochodzących z piwnicy. Siada na brzegu łóżka i patrzy, jak Mercedes wślizguje się w swoje majtki. Żałuje, że nie podziela jej perwersyjnych upodobań.

Mercedes kończy się ubierać i staje przed jednym z płócien, które trzyma upchnięte w kącie pokoju – jego obrazy przedstawiające słoneczne, białe, piaszczyste plaże Santo Domingo z czasów przed wojną. Długie, brązowe włosy dziewczyna ma przerzucone przez jedno ramię, a na twarzy minę, której dotąd nie widział, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała.

– Niezłe – mówi, wskazując głową na obrazy.

Zakłada parę okularów w czerwonej oprawce i nagle, tak po prostu, iluzja supersuki znika, zastąpiona jakimś dziwnym Efektem Clarka Kenta. Staje się zdrową, portorykańską dziewczyną z sąsiedztwa.

– I przepraszam za nos.

* * *

Po tej nocy zaczyna mieć problemy ze snem. Krzyki są głośniejsze o poranku. Dławiący się, męski głos dochodzi skądś spod niego, co jest dziwne, ponieważ mieszka w kawalerce na parterze, a w tym budynku nie ma piwnicy. Czasami te szlochy brzmią jak piski pudła, który wpadł pod koła samochodu. Jęki unoszą się spod desek podłogi jak coś żywego, powodując u niego dreszcze wzdłuż kręgosłupa. W głowie czai mu się jakieś niejasne wspomnienie. Pierwszy raz w życiu nie może się doczekać wyjścia do pracy.

Gdy o czwartej nad ranem kończy się nocna zmiana kelnerska w Conchitas, przez zacinający śnieg idzie do domu. Zaspy sięgają łydek, a uszy ma tak zamrożone, jakby miały odpaść. Nienawidzi takiej pogody, tego, jak go przenika na wskroś. Za każdym razem, gdy zamalowuje nowe płótno albo coś szkicuje łapie się na tym, że dodaje do rysunku deszcz, burzę gradową, albo zaśnieżony krajobraz. Czuje się tak, jakby zimno zabijało jakąś jego cząstkę. Tormenta* przynajmniej uwalnia ulice od gangów samozwańczych strażników, które przeczesują miasto w poszukiwaniu „terroristas”, żeby

powiesić ich na najbliższej latarni. Gdy wtacza się do holu swojego budynku musi tupać, żeby pozbyć się śniegu oblepiającego buty, i budzi tym ochroniarza – Pakistańczyka, którego początkowo wziął za Latynosa – obsługującego skaner wykrywający materiały wybuchowe. Gdy smarkacz nie ćpa, gapi się w przestrzeń, najwyraźniej pochłonięty jakimś filmem wyświetlanym na siatkówce. Tyle w temacie ochrony mieszkańców przed przeklętymi terroristas.

Edgar stoi w holu, który cuchnie jak sosnowy środek do czyszczenia i wymioty, i po kieszeniach parki szuka karty do swoich drzwi, gdy dzwoni jego telefon komórkowy. Po sygnale dzwonka wie, że to jego matka. Dzwoni do niego każdego ranka, to pierwsza rzecz, jaką robi po przebudzeniu. W przeciwieństwie do większości ludzi ewakuowanych z DR, Haiti, Korei i innych krajów, w których toczyły się działania wojenne, spadła na cztery łapy, poznała nawet faceta z Albany, Filipińczyka, pieprzonego śmieciarza, który kilka miesięcy temu wziął ją razem z Carmelą, siostrą Edgara, i dobrze je traktował. I lepiej, żeby tak było, jeśli gość ma rozum. Edgar odbiera telefon.

Dwadzieścia minut później stwierdza, że nie powinien był odbierać, bo stoi opartej o ścianę koło wind – nie może swobodnie szukać swojej karty, gdy rozmawia przez telefon – słuchając matki, która zarzuca go dziesiątkami pytań, jak zwykle nie dając mu najmniejszej szansy na odpowiedź.

– Może byś nas odwiedził w ten weekend? – mówi.

Choć bardzo kocha ją i Carmelę, to nie ma opcji, żeby spędził trzy pieprzone godziny, przebijając się przez ochronę na dworcu kolejowym.

– Zrobię sancocho* – mówi mami. – W zeszły weekend ugotowałam trochę dla twojej młodszej siostry, ale za bardzo przybrała na wadze, la pobre*.

Za każdym razem, gdy wspomina o dominikańskim jedzeniu, ślina zalewa mu usta. Przysięgnąłby, że matka robi to tylko po to, żeby go dręczyć.

– M’ijo, ubierasz się ciepło?

Jak zwykle jest zaskoczona śnieżycami przewalającymi się przez Albany, jakby były czymś wyjątkowym w stanie Nowy Jork i nie występowały na całym Wschodnim Wybrzeżu.

– Coś trzeba zrobić z tymi bombas nucleares zrzuconymi na Tajwan – mówi, jakby to była wielka nowość, i przechodzi do nowego faceta, z którym spotyka się jego siostra. – Nie jest zbyt bystry, ale ma piękne zęby.

Gdzieś w trakcie przekazywania ploteczek przemycy krepujące pytanie o to, czy Edgar pamięta, żeby chować salchicha* za każdym razem, gdy się kładzie.

– ¡Mucho cuidado, hijo-! – więcej „sensacyjnych wieści” przekazanych przez mami-gram*: – chinos wprowadzili jakieś paskudne STD, które mogą zabić człowieka w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Serio.

Oczywiście pyta go także, czy nosi azabache, które przysłała mu w zeszłym tygodniu, mały onyks pobłogosławiony przez bruja* jeszcze w DR, który ma go ochraniać przed złymi duchami i voodoo i całym tym mistycznym gównem, w które ona wierzy.

Nie może się powstrzymać, żeby jej nie dogryźć.

– Tak, dużo nam to przyniosło dobrego.

– M’ijo, nie mów tak! Udało nam się bezpiecznie wydostać!

Oczywiście nie wspomina o papi, ani o innych dominicanos, którym się tak nie poszczęściło, ani o tym, ilu z nich nosiło azabaches. Nie kupuje tej całej brujería – nie do końca – ale zawsze wyznawał filozofię „Dlaczego nie spróbować? Lepiej być bezpiecznym, niż potem żałować”, więc poprawia jej nastrój mówiąc, że nosi wisiorek.

Gdy poucza go, by szanował rzeczy, których nie rozumie, on zdejmuje rękawiczki, wpycha je do kieszeni płaszcza i zauważa jakiś tuzin stopni wiodących do piwnicy. To tam są jakieś schody? Zza

lekko uchylonych, metalowych drzwi sączy się czerwone światło. Kilka sekund później światło gaśnie i wychodzi Don Guerrero, właściciel i dozorca budynku, zamykając za sobą drzwi. Wygląda starzej, niż jego żona, ma może koło siedemdziesiątki i jest chudy. Twarz ma bladą i spoconą, jakby właśnie całował z jęczyzkiem el diablo, czy coś takiego. Włosy wyglądają na przyprószone piaskiem. Śmierdzi, jakby nie kąpał się od tygodni i kompletnie ignoruje Edgara. Edgar martwi się, iż to dlatego, że żona opowiedziała mu o tym małym incydencie z Mercedes w zeszłym tygodniu.

Gdy wreszcie udaje mu się skończyć rozmowę, Edgar wchodzi do swojego mieszkania i właśnie ma zamknąć za sobą drzwi, kiedy znów to słyszy, naprawdę słabo. Odległy wrzask, a po nim głęboki jęk. Zastanawia się, czy nie poskarżyć się właścicielowi, ale odpuszcza. Nadeptanie wiejo na odcisk jest ostatnią rzeczą, której by chciał. Ale w tym krzyku coś jest. Wydaje się, jakby dochodził z dna czyjejś pieprzonej duszy. Nie może się powstrzymać. Zdejmuje płaszcz i wraca do holu. Faruq, ochroniarz, jest równie nieświadomy, co zwykle; siedzi trzydzieści stóp dalej, w pobliżu wejścia, kołysze głową w rytm muzyki w słuchawkach, oczy ma zamknięte. Może tylko udaje, żeby nie słyszeć tego wycia, zajmuje się własnymi sprawami, myśli Edgar, tak jak i on powinien.

Kwilenie staje się głośniejsze, gdy przesuwa się na tyły holu. Schody. To tu są schody? Po zejściu trzech stopni w dół zatrzymuje się, żeby posłuchać. Tam na dole ktoś umiera. Schodzi na sam dół i przyciska ucho do zimnych drzwi. Uderza otwartą dłońią o metal.

– Halo? – mówi półszepem.

Krzyk ustaje.

Ale dwie sekundy później zmienia się w przeciągłe wycie, a potem w bełkotliwe słowa, jakby ktoś próbował mówić z ustami pełnymi szklanych kulek. Rozpoznał ledwie dwa słowa powtarzane w kółko: zabij mnie, zabij mnie...

* * *

– No i co zrobiłeś? – pyta Mercedes.

Edgar potrząsa głową.

Opiera się łokciami o bar i przysysa do butelki Corony. O szybę uderza śnieg, zaklejając neon Arturos. Po tej wspólnej nocy jego i Mercedes połączyła dziwna przyjaźń. Świadomość, że nie są seksualnie kompatybilni w jakiś sposób ułatwiła im rozmowę. Nabrali przyjemnego zwyczaju, żeby każdego dnia po pracy iść prosto do Arturos. Edgar kończy o czwartej rano; Mercedes wychodzi ze swojej zmiany w Santa Anna Hospital, kilka przecznic dalej, o trzeciej trzydzieści. W Arturos jest mniej ludzi, niż zwykle o tej porze. Większość stałych bywalców najwyraźniej zdecydowała się nie walczyć z burzą, więc dziś jest tylko on, Mercedes, Omar, kenijski barman, który siedzi na stołku i ogląda na laptopie reality show poświęcone wojnom proxy, i Sofia, mejicana* obsługująca skaner materiałów wybuchowych, która z automatem pod ręką czyta hiszpańskie wydanie Enquirera.

– Więc co się stało? – mówi Mercedes.

– Wydawało mi się, że usłyszałem, że ktoś idzie przez hol i zwiąłem stamtąd. Wróciłem do swojego mieszkania i włączyłem 3TDV tak głośno, że zagłuszyła hałas.

– Jaja se robisz? Nie zawiadomiłeś straży obywatelskiej? Nie wezwałeś policja?

– Gliny? – unosi brwi i pociąga kolejny łyk. – Jasne.

Przez ostatnie trzy lata nie było żadnych ataków terrorystycznych ze strony chinos, i policja – tocząc niekończącą się wojnę z gangami – pokładała w tym sporo zaufania. Ale ludzie „podejrzani”, w większości czarni, Latynosi – oczywiście Azjaci – byli zgarniani na przesłuchania, przetrzymywani bez zarzutów, dopóki nie uznano, że są „bezpieczni” i można ich wypuścić, choć nikt nie potrafił

powiedzieć, ile to może potrwać. To wyjaśnia, dlaczego odkąd przeniósł się tutaj z DR cztery lata temu, widział tylko kilku chinos. I ich szczęście, jak podejrzewał. Pewnie za sprawą gangów skończyliby z rozwalonymi głowami, albo wisząc na latarniach, gdyby bezczelnie pojawili się w mieście w niewłaściwym czasie.

– No, no policia.

Mercedes kiwa głową ze zrozumieniem, jakby wiedziała, o czym on myśli.

– Poza tym, co by zrobiła ta straż obywatelska? – dodał Edgar. – Powiedziałyby właścicielowi? Stary już sam wie, co się dzieje tam na dole, cokolwiek to do diabła jest. Jest w to zamieszany. Nie, będę się trzymał od tego z daleka. Potrzebuję tego mieszkania.

Jego rodzina za dużo czasu spędziła w pieprzonych, zarobaczonych schroniskach, nie mogąc sobie pozwolić na gwarancję wypłacalności potrzebną do wynajęcia mieszkania.

On i Mercedes siedzieli przez chwilę bez słowa. W tle miękko grało bolero.

– Żałujesz, że wyjechałeś z DR? – pyta Mercedes. – Że nie zostałeś, żeby walczyć z chinos?

– Miałem tylko szesnaście lat. Mi mama nie dała mi wyboru. A po tym, jak zbuntowani chinos zabili mojego ojca przysięgła, że zapewni mnie i mojej siostrze bezpieczeństwo.

Mercedes osusza resztkę swojego czarnego Johnny Walkera. Z whisky radzi sobie o wiele lepiej, niż z tequilą.

– Rysujesz?

– Hmm?

– Głuchy jesteś? Pytałam, czy rysujesz? Widziałam u ciebie twoje obrazy i szkice. Jesteś naprawdę dobry.

– Och – wierzchem dłoni ociera usta. – Maluję, odkąd byłem dzieckiem.

– Próbowalesz je sprzedać?

Wzrusza ramionami.

– Nie masz żadnych ambiciones?

Chciał powiedzieć, że pewnie – marzy o własnej galerii, o studiowaniu historii sztuki. Ale wypowiedzenie tych słów na głos sprawiłoby, że zabrzmiałyby nedorzeczenie. Więc czeka na właściwą chwilę, kelnerując w Conchitas i martwiąc się, że jakiś terrorista wysadzi się w restauracji. Ambiciones? Prawda była taka, że większość przepadła w morzu. Miał tylko swoją matkę i swoją siostrę. Cieszył się, że przynajmniej one są na północy stanu, gdzie było bezpieczniej. Z destrukcją czającą się na każdym rogu dobrze było uciec w szkicowanie i płótna, i naprawdę coś stworzyć.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się związać z jakąś miłą Latynoską, kimś bystrym, aguzada*, jak ty, i zrobić dziecko, które miałoby wszystko, czego mu potrzeba.

– To urocze. Naprawdę urocze. I to właśnie jest twój problem, Edgar. Próbujesz zgrywać twardego macho, a jesteś mięczakiem.

– Dzięki.

– Nie znoszę mięczaków.

Śmieją się.

– Mercedes, a co z tobą?

– Moje aspiracje? Nie wiem. Teraz nie jest źle.

– To dopiero jest smutne – odpowiada, choć nie może się nie zgodzić z jej stwierdzeniem.

– Mogę cię o coś spytać? – mówi po chwili przerwy. Chciał poruszyć pewien temat, a moment wydawał się odpowiedni. – Nie boisz się, że ta twoja mała gra może się wymknąć spod kontroli? Że któreś nocy możesz się znaleźć w łóżku z kimś, kto lubi ostrzejszą jazdę, niż ty?

– Hej, zaczynam się podniecać.

– Mówię poważnie.

– Nie martw się. Potrafię oceniać mężczyzn. Poza tym noszę ze sobą paralizator, na wypadek, gdybym się przeliczyła. Ale muszę powiedzieć, że nie mam nic tak skutecznego, jak ten czarny kamień, który nosisz na szyi.

Ta uwaga go zaskoczyła.

– Azabache, zgadza się?

– Wiesz o azabaches? Nie wiedziałem, że Portorykańczycy wierzą w takie rzeczy.

– Właściwie to nie. Ale słyszałam o tym. Więc, Edgar, wierzysz w... la brujería*?

Dramatycznie zawiesza głos, pochylając się do niego i kręcąc palcami, jakby rzuciła zaklęcie.

– Nieee. Noszę ten kamień, żeby matka się ode mnie odczepiła. – Wzrusza ramionami. – Nigdy nie zaszkodzi, nie?

Nagle cichnie muzyka. Bar pogrąża się w ciemności.

– Cholera! – mówi barman, Omar. – Znowu, kurwa, nie ma prądu. Wszyscy wynocha!

I tak jest już blisko zamknięcia, a skoro nie działa skaner materiałów wybuchowych, to zamknięcie knajpy ma sens.

Nie jest bezpiecznie nocą, gdy w mieście brak elektryczności, ale na szczęście niebo zaczyna jaśnieć od głębokiej czerni do jednolitej szarości, do której wszyscy przywykli. Podnoszą się do wyjścia.

– Już świta. Czas spać – mówi Edgar. – Czuję się jak jakiś jebany vampiro.

– Tylko opalony i mniej charyzmatyczny – dodaje Mercedes.

* * *

Edgar wychodzi z rogu i przed swoim budynkiem widzi karetkę i sześć samochodów policyjnych z migającymi światłami. Wokół samochodów brzęczy tłumek miejscowych, jak muchy krążące wokół mierda*, ale trzymają się od władzy na odległość, tak jak on. Z gangami przynajmniej wiadomo, na czym się stoi. Z policją nigdy nie ma pewności.

Niektórzy z tych ludzi mogą być mieszkańcami tego budynku, ale Edgar pracuje w takich godzinach, że normalnie nie widuje swoich sąsiadów, a każdy, choćby był półgłówkiem wie, że bezpieczniej jest zajmować się własnymi sprawami.

– Co się stało? – pyta mocno zbudowaną kobietę z laską, która ze względu na śnieg porusza się jeszcze wolniej niż zwykle.

– Znaleźli ciało. Ktoś się powiesił!

Podchodzi bliżej do wejścia. Śnieg zacina coraz mocniej. Zauważa panią Guerrero stojącą w holu budynku. Dwóch sanitariuszy trzyma nosze z ciałem.

Wieje wiatr i białe prześcieradło odsłania twarz trupa.

To Don Guerrero.

Edgar stoi na zewnątrz bramy bodegi, na rogu Watson i Bruckner przez dwie godziny, odmrażając sobie jaja, czekając, żeby gliniarze wreszcie sobie pojechali i żeby mógł wrócić do swojego mieszkania.

Gdy wreszcie do niego wchodzi, natychmiast opuszcza rolety. Co tu się kurwa stało? Czy stary naprawdę popełnił samobójstwo? Chciał się dowiedzieć, ale niech go diabli, jeśli będzie pytał o cokolwiek policja.

Pukanie do drzwi.

Gdy je otwiera, stoi za nimi cubana. Włosy ma rozwichrzone; nie może złapać tchu.

– Doña Guerrero – mówi. – Lo siento*...

– Nie ma na to czasu! – chwyta go za łokieć i ciągnie do holu. – Edgarze, nie miałam zamiaru mówić ci o tym tak wcześniej, ale nie mam wyboru...

Idzie za nią na tył holu, do klatki schodowej. To tam są jakieś schody?

Schodzi do drzwi u podnóża schodów i składa razem ręce.

– Dios mío, proszę, pomóż mi znaleźć słowa, by mu to wyjaśnić tak, aby zrozumiał – mówi.

Otwiera drzwi i włącza światło, w którym ukazują się cztery cementowe ściany, gołe, z wyjątkiem prostokątnego lustra obejmującego całą sylwetkę.

Wciąga go do pomieszczenia i zatrząskuje za nimi drzwi.

– Proszę posłuchać, przykro mi z powodu pani męża. Naprawdę jestem...

– Cni!

Odsuwa lustro na bok. Za nim znajduje się okrągły otwór w murze. Przechodzi przez niego. Uderza go odór potu, śmieci i czegoś jeszcze, czego nie rozpoznaje. Mruga kolejna żarówka, oświetlając rzeczy, których początkowo nie może pojąć.

Sufit pomieszczenia wznosi się tak wysoko, iż nie może uwierzyć, że to ten sam budynek. Połyskujące metalowe narzędzia – piłki do metalu, klucze nasadowe, wiertła – wiszą uporządkowane na ścianie po lewej. Na środku stoi drewniany stół z ogranicznikami. A do kranu umiejscowionego tuż przy ziemi przypięta jest sikawka. Wciśnięta w narożnik stoi klatka trzy na trzy stopy, w której leży nagi mężczyzna z kapturem na głowie, zwinięty w pozycji embrionalnej. Z zardzewiałej puszkii po kawie wstawionej do klatki wylewa się gówno.

Na dźwięk kroków mężczyzna unosi głowę.

– Proszę, proszę, proszę...

Doña Guerrero bierze klucz i uderza nim o prety klatki.

– Zamknij się! – wrzeszczy. – Zamknij się, do diabła, i to już! Ostrzegam cię!

Człowiek w klatce wzdryga się i przyciska dłoń do uszu. Nie ma kciuków i zdarto mu paznokcie.

Stara kobieta sięga do klatki i ściąga mu kaptur.

Chino.

– Edgarze, to właśnie zapewnia nam bezpieczeństwo od czasu tego ataku sprzed trzech lat.

Nie wie, co o tym myśleć, poza tym, że chce stąd uciec tak szybko, jak to tylko możliwe. Ta baba kompletnie ześwirowała.

– Don Guerrero i ja uwięziliśmy to trzy lata temu. Jest spętane przez potężne zaklęcie, skomplikowaną brujería. Każdego dnia – bez wyjątku – musi cierpieć. Tak długo, jak dajemy światu jego ból, jego agonię, miasto jest bezpieczne od terrorystów. Nie wolno ci nigdy okazać temu czemuś współczucia. Nigdy nie okazuj łagodności. Ale także nie pozwól, żeby umarło. La brujería sprawia, że trudniej zdławić iskrę jego życia. Może wytrzymać więcej bólu, niż inni. A naszym obowiązkiem jest dostarczyć ból, który chroni miasto. Rozumiesz?

Robi krok do tyłu. Odór sprawia, że ma mdłości.

– Raz na miesiąc musisz dać miskę jego sangrie, żeby utrzymać to miejsce w sekrecie. Tak długo, jak składasz taką sacrificio, nikt nie usłyszy, jak to krzyczy, nikt nigdy nie zauważy schodów, które tu prowadzą.

– Ja nie... nie wierzę w nic takiego.

– Nie musisz wierzyć. Masz to zrobić, ponieważ musisz. Ze względu na konsekwencje, jeśli tego nie zrobisz.

– Proszę posłuchać, santeria, brujería – jak zwał, tak zwał – to tylko zwariowane latynoskie

przesady.

– Zángano! Myślisz, że to coś typowego dla naszej kultury? To sięga znacznie głębiej. Jak myślisz, co zapewnia bezpieczeństwo Południa? Policja rządowa? – spluwa na podłogę. – Nie, ludzie tacy jak my. Ludzie, którzy złożyli ostateczną ofiarę.

Edgar zastanawia się, po co terroryści mieliby brać na cel Lexington, Kentucky czy Asswipe w Tennessee. Potem wyobraził sobie stare matrony z Południa, z brodawkami na podbródkach, siedzące w bujanych fotelach na swoich gankach, podczas gdy w ich piwnicach w klatkach siedzą chinosi i błagają o pomoc.

Kobieta łapie go za nadgarstek.

– Edgarze, jestem starą kobietą. Nie podołam temu. A mój mąż, que en paz descance, cóż, okazał się słaby. – Robi znak krzyża. – Po tym, co się stało na Santo Domingo z twoim ojcem, powinieneś wręcz tego pragnąć.

Gdy wspomina o jego ojcu początkowo jest zaskoczony, ale potem przypomina sobie, że przy standardowym sprawdzaniu wypłacalności ma się dostęp do historii rodziny.

– A po tym, jak tamtego dnia zobaczyłam, co robisz z tą dziewczyną... Edgarze, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Has perdido la mente*! To jakieś szaleństwo.

– Ale konieczne. Jesteś dość silny, żeby zrobić to, co trzeba. Wiesz, ile godzin dziennie spędzam modląc się o wybaczenie? To straszliwy ciężar, temu nie mogę zaprzeczyć. Ale ile tysięcy zginęło w atakach gazowych w metrze? Ile setek niewinnych zamordowano, podkładając bomby w budynkach? Powstrzymaliśmy to wszystko! Możemy ochronić nasze miasto!

Musi się stąd wydostać. Przepycha się obok niej i ucieka.

– Edgar, wracaj! Masz obowiązki! Wracaj!

* * *

Mija dzień.

Teraz krzyki są nie do zniesienia. Przesączają się przez podłogę, przez jego stopy, przez kości, do serca.

Edgar leży na łóżku. Nie może zasnąć.

Nienawidzi tego, co zrobili ci pierdoleni chińscy rebelianci, ale nie ma wyboru. To, co się tu dzieje to więcej, niż sprawa kryminalna, więcej niż coś niemoralnego. To pierdolone zboczenie. Musi coś zrobić, żeby położyć temu kres.

Musi z kimś porozmawiać, więc bierze telefon i bez namysłu wybiera numer.

– Halo? Mercedes?

* * *

Edgar skrada się po schodach i otwiera drzwi, które nie są zamknięte na klucz, jakby stara bruja zapraszała go do środka.

Odsuwa na bok lustro i przechodzi przez dziurę w ścianie.

Chino nie jest już w klatce. Zwisa za nadgarstki z sufitu, jak tusza wołowa, na głowie cały czas ma kaptur.

Gdy słyszy, że ktoś się zbliża, chwyta powietrze.

– Prooszę – mówi.

Edgar zdejmuję mu maskę.

– Está bien, está bien*... – mówi Edgar. – Wszystko będzie dobrze.

Znajduje kółko z kluczami, które wisi przy narzędziach i otwiera zamki na łańcuchach. Powoli opuszcza człowieka, przytrzymując go, żeby nie upadł na podłogę.

– Moje ramiona – mówi chino. – Nie czuję ramion.

Edgar rozciera kościste ciało mężczyzny, żeby pobudzić przepływ krwi. Potem odwraca się do kranu i w dłonie nabiera wody. Chino pije z jego rąk jak spragniony pies.

– Ona jest szalona, szalona – mówi chino. – Ona i ten stary.

– Wiem. Nie martw się, wyjdiesz stąd.

– Nazywam się Cheung Lu. Mam żonę, syna. Całe życie spędziłem w tym kraju... – zaczyna płakać.

– Dlaczego? Któregoś dnia dostarczyłem im jedzenie, a ten stary złapał mnie od tyłu, przycisnął mi do twarzy chusteczkę...

Edgar nie wie, co powiedzieć, więc po prostu podtrzymuje nieszczęsnego faceta. Siedzą tam przez chwilę. Edgar karmi chino chlebem, który ten zaraz zwraca.

Właśnie wtedy Edgar słyszy, jak z oddali krzyczy stara bruja.

– ¿Qué hiciste*? ¡No! ¡No!

Doña Guerrero wchodzi do pomieszczenia. To bez znaczenia. Cubana nie może zrobić nic, żeby go powstrzymać. A o ile zna Mercedes, to policja i tak jest już w drodze.

Gdy widzi, że oswobodził więźnia oczy jej się rozszerzają i gwałtownie się cofa, prawie jakby ją uderzył.

Trzyma w ręce jakiś połyskujący przedmiot, którym w niego celuje. Przez moment Edgar zastanawia się, jak przeniosła naboje koło skanera materiałów wybuchowych, gdy dociera do niego, że starucha podaje mu radio.

– Oye*! Słuchaj! – syczy.

Bierze od niej odbiornik.

– *...została zdetonowana taktyczna broń nuklearna – wrzeszczy głos w radio. – Nie wiadomo, czy ktoś przeżył. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś zdołał przeżyć tak potężną eksplozję...*

– Szybko – mówi Doña Guerrero. – Szybko!

Chwyta pejcz i tnie nim chino przez twarz. Mężczyzna krzyczy z bólu. Na jego lewym policzku pojawiają się krwawe ślady.

Gdy stara zamierza się do kolejnego uderzenia, Edgar chwyta ją za przedramię.

– Dosyć tego. Dosyć!

Kobieta upuszcza bicz.

– *Albany zostało starte z powierzchni ziemi. Teraz pojawia się pytanie, jak na ten atak odpowie prezydent...*

– Albany? – mówi Edgar.

Puszcza Doña Guerrero. Mami. Carmela. Ścisła radio tak mocno, że drży mu ręka.

Bruja łapie powietrze. Podnosi pejcz i znów uderza chino. Mężczyzna zwija się w kłębek. Kobieta upuszcza mu krwi z pleców, z żeber.

– To przez ciebie, Edgarze! – sapie. – Przez to, co zrobiłeś, dziś zginęli ludzie. Dios mío, co ty sobie myślałeś?

Wargi jej drżą, jakby się miała rozpłakać. Uderza Edgara w twarz. Potem pochyła się, opierając dłonie na kolanach, jakby walczyła o oddech.

– Bez mojego męża... nie mogę robić tego sama. Przez trzy godziny, każdego ranka, każdego popołudnia, każdego ranka, musisz zadawać temu czemuś cierpienie. Straszliwe. Tak, jak cierpieli

cubanos. Jak cierpieli wszyscy dominicanos.

– To ludzka istota. Amerykanin...

– Przestań myśleć w taki sposób! Edgar, to nie jest jakaś zabawa. Stawka jest za wysoka!

Ratujemy nas przed terroristas.

– Nigdy się nie zgodziłem...!

– Nikt z nas nie wybrał sobie ciężaru, który Bóg złożył na naszych barkach – w ręce wkłada mu pejcz i zamyka na nim jego palce. – Jeden człowiek cierpi. Miliony żyją bezpiecznie. Możesz to zrobić.

Unosi jego ramię.

Ale on ją z siebie strząsa i ciska bicz na ziemię.

– Nie mogę.

– Więc wszyscy będziemy cierpieć.

* * *

Na automatycznej sekretarce Edgara mruga światelko. Gdy wciska przycisk, słyszy Mercedes.

– Słuchaj, ty hijo de puta! Nie wiem, w co ty sobie kurwa pogrywasz, ale zrobiłam to, o co prosiłeś. Przyszłam do tego twojego zasranego budynku, zadzwoniłam nawet po pierdoloną policja, bo myślałam, że masz kłopoty!

Następuje długa pauza, a gdy znów się odzywa, mówi z płaczem.

– Edgar, dlaczego mnie okłamałeś? Tam nie było żadnych schodów! Żadnej piwnicy! Żadnego pieprzonego chino w piwnicy! Nie mogę pojąć, jak mogłam być taka głupia, żeby uwierzyć choć w jedno twoje słowo. Gliny zabierają mnie dziś na posterunek, żeby zadać mi kilka niemiłych pytań. Trzymaj się z dala ode mnie, ok?

Kolejna pauza.

– Myślałam, że byliśmy przyjaciółmi.

Chodzi w tę i z powrotem z rękami na głowie. Coś w nim pęka. Unosi swój obraz przedstawiający plażę Dominikany i ciska go na podłogę. Drze kartki ze swoimi szkicami i wali krzesłem o ścianę, aż w rękach zostają mu tylko dwie nogi, którymi rozbija lustro. Potem otwiera drzwi i biegnie przez hol, mijając Faruqa, i wybiega na zewnątrz, na pokryty lodem chodnik. Mami. Carmena. Śnieg zmienił się w deszcz, a on drży i płacze. Ten koszmar nigdy się nie skończy. Nie skończy się. Mami. Carmela.

Faruq staje w drzwiach i krzyczy za nim.

– Promieniowanie jest dziś na poziomie 4! Na zewnątrz nie jest bezpiecznie!

Edgar zawraca i rusza z powrotem do budynku. Po twarzy spływają mu ciepłe krople deszczu. Przechodzi koło skanerów, po części mając nadzieję, że schody do piwnicy znów znikną, wymazane z jego pamięci na dobre. Ale są tam. A on pamięta. Dlaczego w ogóle je zobaczył? Dlaczego tamtej nocy zobaczył wiejo wyłaniającego się spod podłogi? A potem zaczyna rozumieć.

Jego azabache. Zdejmuje naszyjnik, a klatka schodowa rozplywa się w cieniach długiego, mrocznego holu. Ściska onyks i schody znów się pojawiają, mniej lub bardziej wyraźne w zależności od siły jego uścisku. Kręci mu się w głowie.

Schodzi w dół i wkracza do przedsionka, odsuwa wiszące lustro i wchodzi do piwnicy. Nie ma tam śladu po pani Guerrero.

– Czy ktoś tu jest? – mówi zakapturzony więzień. – To znów ty? Pomóż mi. Proszę, pomóż mi.

Edgar bierze pejcz. Trzęsie mu się ręka. Unosi go nad głowę.

I spuszcza go na już zakrwawiony grzbiet chino. Chino krzyczy.

Znów go uderza.

Krzyk jest głośniejszy, bardziej przeszywający.

Edgar musi uratować miasto.

Uderza go raz za razem, aż świst jego bicza ginie w krzykach, choć nie jest w stanie powiedzieć, czy to krzyczy chino, czy on sam.

* * *

Nie otrzymuje już wieści od Mercedes, ale w głębi duszy wierzy, że dziewczyna żyje, że nic jej się nie stało.

Edgar podnosi pędzel i zamazyście maluje czerwone niebo. Ile lat minęło od zniknięcia pani Guerrero, odkąd uwolnił ją od jej brzemienia?

– Tu sufrimiento* nas ochroni. Rozumiesz, prawda?

Chino jest zakneblowany i ma zasłonięte oczy; Edgar robi tak, żeby nie słuchać kłamstw o więźniu i jego rodzinie. Żeby nie mógł błagać. Żeby na niego nie patrzył.

Z oddali słyszeć wycie syren. Nie!

Odkłada pędzel i chwyta sikawkę.

Nagie, zmasakrowane ciało chino jest przywiązane do drewnianego stołu na środku piwnicy. Chino nie ma ręki. Stół jest uniesiony tak, że stopy więźnia ma nieco powyżej głowy. Edgar bierze wąż wychodzący od kranu w ścianie i trzyma go nad głową więźnia, wlewając mu wodę do nosa. Po minucie chino się dławi, a jego ciało raz za razem wykręcają spazmy, aż nieruchomieje. Chino nie ma lewego ucha. Jego twarz to jeden wielki, purpurowy siniak. Edgar zwiększa ciśnienie wody i wlewa mu ją do ust i nosa, ponownie zmuszając go, by ją wciągnął.

Syreny milkną.

– Widzisz? Widzisz?

Edgar naciąga kaptur na głowę chino i wraca do swojego muralu.

Zastanawia się, czyby nie włączyć znowu radia, ale rezygnuje. Były doniesienia o porozumieniu między gringos i rządem chińskim, żeby raz na zawsze zakończyć walki.

– To dzięki nam, chino. Dzięki nam jesteśmy bezpieczni! ¡Por nuestro sacrificio!

Edgar wciąż ma koszmary o tym, co zrobił chino w dniu, w którym to ogłoszono.

Edgar gapi się na swoje powalane krwią dłonie i gwałtownie je zaciera.

Chino oddycha z trudem. Doña Guerrero nie miała racji co do ich wytrzymałości. Po tym, jak umarł ostatni, Edgar musiał pojechać aż na Canal Street i znaleźć następnego, zanim terroristas znów by uderzyli.

Edgar patrzy na mural przedstawiający czerwone, piaszczyste plaże, czerwonolistne palmy rosnące wzdłuż brzegu, szkarłatne wody rozciągające się po horyzont. Czegoś tu brakuje. Czegoś.

A potem sobie przypomina.

Pochyla się do miski, do której z zabandażowanej kostki chino kapie krew i zanurza w niej pędzel.

A potem znaczy niebo opadami. Śnieg. Czerwony śnieg, który zasłania pomarańczowe słońce.

– Jesteśmy bezpieczni – mówi.

Przełożyła Martyna Plisenko

Rozpacz

Tak, to on, najwyższy szczyt, apoteoza rozpaczy!

M. Szczerbakow

*Wszystkie drogi wiodą zamarzłych
W wieczny chłód i pustkę.*

Fleur

Na początku były mdłości. Nie te gwałtowne, spowodowane zatruciem, podchodzące do gardła rwącymi spazmami, lecz dające tym samym nadzieję na rychłą ulgę, lecz lepka, przygnębiająca słabość, wynikała z długiego snu w dusznym pomieszczeniu. Wypełniała pierś ostrą watą, usta paskudną suchością i głowę pulsującym ołowiem. Z jednej strony, najmniej ze wszystkiego człowiek w takiej sytuacji pragnie wstać lub się w ogóle poruszyć. Z drugiej, zdaje sobie sprawę, że skoro nadal będzie się wylegiwał, ból głowy tylko się nasili. Trzeba w każdym razie zmusić się do wstania. Przydałoby się także otworzyć lufcik, nawet gdy zima na dworze...

Takie były jego pierwsze świadome myśli. Wraz ze świadomością zjawilo się zdziwienie: zrozumiał, że kompletnie nie wie, jaka jest teraz pora roku. Podczas gdy zdumienie przeradzało się w niepokój, a ten w strach, odkrył, że nie pamięta, co wydarzyło się wczoraj... albo do chwili, gdy... albo... Daremnie usiłował wydobyć z pamięci jakikolwiek fragment swojego życia, lecz napotykał na pustkę. Albo raczej (to wrażenie pojawiło się nieco później) na grubą ścianę, oddzielającą go od przeszłości. Poczul się z tym jeszcze gorzej. Nie wiedział, gdzie się znajduje i skąd się tu wziął. Nie wiedział, kim jest i jak się nazywa.

Wysiłkiem woli starał się opanować narastającą panikę. Trzeba wszystko przeanalizować, powiedział sobie. Jest w stanie myśleć i to już dobry znak. Myślę, więc jestem... Aforyzm przyplynał z jakiejś dali, najwyraźniej nie zrodził się sam z siebie w jego mózgu. To oznacza, że w ścianie są jakieś szczeliny, przez które przesącza się to i owo, a gdyby je trochę poszerzyć... rozkuć... rozerwać...

Otworzył oczy.

Wzrok potwierdził to, o czym wcześniej informował dotyk: leżał na dosyć twardej pryczy, pozbawionej prześcieradła, kołdry i poduszki. Tylko jakaś wilgotna i lepka cerata pod jego gołym ciałem. Właściwie, nie całkiem gołym. Okrywały go jakieś postrzępione szmaty, wcale nie przypominające ubrania. Trudno było się temu przyjrzeć, bo należało przycisnąć podbródek do piersi, od czego natychmiast rozbolały kark i potylica, w dodatku światło w pomieszczeniu było nadzwyczaj mętne. Pochodziło z zakurzonego prostokątnego plafonu na suficie. Paliło się połowicznie, drgało agonalnie i mrugało. „Akumulatory niemal zdychają” – pojawiła się jeszcze jedna „obca” myśl spoza „ściany”. Akumulatory? Dlaczego akumulatory? Czy dom nie powinien być podłączony do sieci elektrycznej?

W każdym razie nawet takie oświetlenie pozwalało stwierdzić, że pokój jest niewielki. Oprócz pryczy były w nim tylko jeszcze szafa pod przeciwległą ścianą i stolik przy ścianie pomiędzy. W czwartej ścianie były drzwi i jeszcze jedno, po prawej stronie szafy. Okien nie było wcale. Czuć było stęchlizną, jakby nikt tutaj nie mieszkał od wielu lat.

W końcu usiadł na pryczy (w skroniach i potylicy od razu mocno zapulsowało), potem stanął na podłodze, z przykrością odczuwając brud i błoto pod bosymi stopami. Co gorsza, gdy zrobił pierwszy krok, pod piętą coś niemile i wilgotno plasnęło. Coś żywego... a raczej żyjącego, zanim na to nastąpił. Karaluch? Całkiem możliwe... brr! Co za ohyda! Z obrzydzeniem przeciągnął piętą po śliskiej podłodze, starając się oczyścić resztki tego paskudztwa. Podeszedł do szafy i otworzył drzwiczki. W środku wisiało parę plastikowych wieszaków, lecz nie było żadnych ubrań.

Ruszył w stronę drzwi obok szafy; intuicja podpowiadała mu, że znajduje się za nimi toaleta, a nie korytarz. Kiedy je otworzył, światło pojaśniało tak mocno, że aż się wzdrygnął. W istocie znajdowała się tam ubikacja z łazienką, niewielka, lecz oświetlona nieco lepiej, niż pokój. Po lewej była muszla klozetowa, po prawej umywalka, a na wprost wanna zakryta nieprzezroczystą niebieską zasłonką. Kiedyś wszystko zapewne błyszczało porcelitem i chromem, lecz czasy te dawno minęły. Nie było kafelków, zastępował je jakiś tandetny plastik. W nieco jaśniejszym, choć wciąż niestabilnym oświetleniu wyraźniej było widać lepki brud na podłodze i podejrzone plamy na ścianach. Cuchnęło pleśnią.

Spojrzał na muszlę i skrzywił się. Siedzisko i dno pokrywały brunatne, dawno zaschnięte zacieki. Nie wiedzieć czemu mignęło mu w głowie porównanie do rozłupanej czaszki. Czekał jakiś czas, by wypełnić codzienny fizjologiczny rytuał, lecz nie wyciekło ani kropelki. Nie chciało mu się. Chciało się za to pić. Nawet nie tyle pić, co splukać nieprzyjemny posmak w ustach.

Odwrócił się w stronę umywalki. Była w nie lepszym stanie niż kibel. Na jej dnie znajdował się jakby piach albo okruchy rdzy, kran pokrywało jakieś zaschnięte paskudztwo. Z pewnością się zeń nie napije. Chociaż może obmyć dłonie i twarz... Poruszył kurkiem. Usłyszał zdławiony syk, jakby z gardła konającego astmatyka, lecz woda nie popłynęła, posypał się tylko szary pył. Potem dźwięk zmienił się, jakby powietrze natrafiło na niespodziewaną przeszkodę. Wyciągnął już dłoń, by zakręcić zawór, lecz kran nagle prychnął i wypuł całą garść karaluchów. Gdy spadły na dno umywalki, zaraz się rozbiegły, choć niektóre z nich bezradnie kręciły się w miejscu.

Jego pierwszą reakcją było odskoczyć, zanim wyłazące poza krawędź umywalki owady nie zaczną mu spadać na nogi; po pierwsze jednak uznał, że trzeba zakręcić kran, przez który wypadały kolejne. Ledwo to zdążył zrobić, poczuł na skórze wstrętne łaskotanie – niektóre upadłe na podłogę karaluchy zaczęły wspinać się po jego łydkach. Wykonał coś na kształt konwulsyjnego tańca w miejscu, strącając je, i uskoczył w stronę kibla, z odrazą patrząc na rozbiegające się po ziemi robale. Gdyby był obuty, bez wątpienia by je rozdeptał, ale w tej sytuacji mógł się tylko odsunąć jak najdalej w ciasnym pomieszczeniu, z nadzieją, że nie obleżą go znowu.

„To śmieszne – pomyślał. – Ja, człowiek, zagnany w kąt przez zwykłe żuki. Przecież nie są jadowite”. A jednak nie mógł przezwyciężyć obrzydzenia. Te stworzenia zawsze wywoływały u niego nieodpartą odrazę. Zawsze? Wydaje się, że to kolejne wspomnienie, dochodzące z niewiadomej przeszłości...

Karaluchy jednak widocznie także bały się człowieka. Prędko się rozbiegły, niektóre do pokoju, inne za zasłonę; nie zdołał stwierdzić, gdzie podziały się pozostałe. Podniósł wzrok i spojrzał w lustro nad umywalką. Również było brudne i zakurzone, lecz pośrodku znajdował się nieregularny owal w miarę czystego szkła (jeśli było to szkło), jakby ktoś przetarł szybkę w okienku. Człowiek popatrzył na siebie z odległości, potem podskoczył bliżej, z niezadowoleniem spoglądając na

nieznajomą, niezdrowo bladą, wymiętą twarz z głębokimi cieniami pod oczami i niechlujnymi kudłami, sterczącymi nad opatrunkiem. Tak, opatrunkiem. Głowa na wysokości czoła obwiązana była niedbale czymś w rodzaju nieświeżego bandaża. Zresztą, nie – przybliżył twarz do lustra – nie był to bandaż z typową dla niego ażurowo-nicianą strukturą, lecz gładka, szarawo-żółtawa tkanina o postrzępionych końcach. Tego rodzaju opatrunki, chyba przyschnięte, znajdowały się w wielu miejscach na jego ciele: na szyi, prawym ramieniu, lewym przedramieniu, lewej piersi, brzuchu... a na palcach były szramy, jak po okowach...

Coś się zdaje wyjaśniać. Miał wypadek i uraz głowy (nie tylko), dlatego niczego nie pamięta... W takim razie, gdzie się znajduje? W szpitalu? Architektura wnętrza kojarzyła się raczej z aresztem. Jeśli nawet był tutaj szpital, został zamknięty przynajmniej pięćdziesiąt lat temu...

Na opatrunkach nie było krwi. Nie odczuwał w tych miejscach bólu (targnął jednym z nich, najpierw ostrożnie, potem silniej). A jednak nie udało mu się oderwać długiej przepaski w poprzek brzucha. Szarpał wytrwale, dopóki nie poczuł bólu, potem jeszcze kilka razy, wstrząsany kolejnymi bolesnymi impulsami, lecz przepaska trzymała się mocno. Jak gdyby... przyrosła do ciała. Nie, to bzdura, powiedział sobie. Trzeba będzie ją jakoś odmoczyć... gdzieś tu przecież powinna być woda.

Znowu spojrzął na twarz odbitą w lustrze i zaraz odskoczył: po powierzchni (jak mu się zdało przez krótki moment, po twarzy) przebiegł z dołu do góry spory karaluch. Parę centymetrów od jego oczu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak z tym owadem. Po pierwsze, nie był brunatny ani czarny, lecz obrzydliwie białawy. Po drugie, znacznie większy od zwykłego domowego karalucha. A przede wszystkim miał siedem nóżek. Nie sześć, jak u większości owadów ani osiem, jak u pająkowatych, lecz siedem. Trzy po lewej i cztery po prawej.

Wstrętne stworzenie znieruchomiało pośrodku lustra, jakby specjalnie dając się dokładnie oglądać, żeby nie było żadnych wątpliwości. Przemagając się, człowiek jakiś czas przyglądał się mutantowi. Nóżka nie została urwana – kończyny rosły asymetrycznie i były różnej długości. Człowiek rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu przedmiotu, którym mógłby rozgnieść paskudę, po czym surowo się napomniął, że ma w tej chwili ważniejsze problemy. Zwrócił się ku jeszcze nie oglądanej wannie. Nie liczył już na działający prysznic, ale mimo wszystko odsunął zasłonę.

Zamarł. Ścianę nad wanną przecinał zamaszysty napis, ewidentnie wykonany palcem, umaczanym w czymś czerwonym. Jedno słowo: „ROZPACZ”.

Z niezdarnych liter spływały dawno zaschnięte zacieki. Mimowolnie podążając wzrokiem za nimi, spojrzął na wannę i pierwszy raz miał ochotę krzyknąć.

Na dnie, czerwono-brunatnym od zaschłej krwi (nie mógł dłużej tchórzliwie siebie zapewniać, że to nie jest krew), leżał twarzą do dołu nagi trup. Mężczyzna, sądząc z wyglądu, niestary i w niezłej formie fizycznej, która jednak go nie uratowała. Nie było wątpliwości, że jest trupem i w dodatku niezbyt świeżym. Sinoblada skórę pokrywały plamy białawej pleśni. Póki co nie czuł jednak woni rozkładu. Nie widać było żadnych ran na tylnej stronie zwłok, łatwo sobie było jednak wyobrazić, że na przedniej są one potworne. Być może tego nieszczęśnika utopiono we własnej krwi, skoro odpływ był zatkany korkiem. Ile krwi ma dorosły człowiek – zdaje się około pięciu litrów? Niby nie tak dużo, ale zadławić się można i w talerzu zupy... chyba że biedak wcześniej zmarł z wykrwawienia? Zresztą, śmiertelne mogły być same rany, skoro wyciekło z nich tyle posoki...

Brak trupiego odoru spowodował myśl, że trup może wcale nie być trupem. Powiedzmy, manekinem. I wszystko to jakiś głupi żart, zainscenizowany przez nie do końca wytrzeźwiałych kolegów. Upili go, wywieźli do jakiegoś opuszczonego domu (ale dlaczego w opuszczonym domu jest elektryczność, i kiedy to budowali mieszkania bez okien?), wymazali wszystko farbą, wrzucili kukłę do wanny... A karaluchy mutanty? Może wśród jego kolegów są specjaliści od inżynierii

genetycznej?

Wszystko to jednak nie tłumaczy utraty pamięci. Spity człek może początkowo nie pamiętać, gdzie pił i z kim, ale nie mógł zapomnieć swego całego poprzedniego życia! Może wcześniej był kompletnym abstynentem? Nawet tego nie mógł sobie przypomnieć.

Zmuszając się ze wszystkich sił, szturchnął niepewnie bezwładne ciało. Zimna, śliska skóra, pokryta rzadkimi włoskami, ugięła się lekko pod palcami. To na pewno nie guma ani nic w tym rodzaju! Cofnął dłoń z obrzydzeniem i ochłonawszy, otarł ją o zasłonę, która również nie była najczystsza.

Od szturchnięcia prawa ręka trupa lekko się przesunęła i teraz wyraźnie było widać, że palce są zakrwawione, szczególnie wskazujący, lecz nie cały, tylko na czubku. Widocznie dłoń przyciśnięta do ścianki wanny nie unurzała się całkiem w krwawej kałuży na dnie... Co się zatem stało? Specjalnie zamoczył palce we własnej ranie? Po to, by wykonać ten napis? Skoro konający ma szansę napisać ostatnie przesłanie, choćby takim sposobem, można by oczekiwać, że napisze nazwisko mordercy lub coś w tym rodzaju...

Ten, w czyjej świadomości pojawiła się owa myśl, nie zamierzał dotykać znowu ofiary ani tym bardziej go odwracać. Dokładnie sobie wyobrażał, co mógłby zobaczyć: ciało zalane krwią, rozległe rany – sądząc po ilości krwi, biedak był wielokrotnie cięty – być może wypływają przez nie wnętrzości... Nie, nie! Bez względu na to, co się tutaj stało, trzeba jak najszybciej stąd uciekać, dopóki nie stał się kolejną ofiarą!

Wybiegł do pokoju i szarpnął klamkę drzwi wiodących, jak sądził, na korytarz. Mignęła mu w głowie mroząca krew w żyłach myśl, że drzwi są zamknięte. I rzeczywiście: nie otwierały się do środka ani na zewnątrz. Zanim jednak panika całkiem nim owładnęła, przyjrzał się wejściu uważniej i zauważył, że po prostu przesuwają się w prawo. Kolejna próba zakończyła się powodzeniem. Za drzwiami istotnie znajdował się korytarz, podobnie słabo oświetlony takimi samymi plafonami. Nigdzie nie było okien.

W tym momencie przypomniał sobie, w jakim stanie wyskoczył z pokoju i postanowił znaleźć jakąkolwiek namiastkę ubrania. Nie miał wielkiego wyboru – oderwać kawałek ceraty z pryczy lub łazienkowej zasłony. Sytuację komplikował fakt, że nie miał niczego ostrego, a trudno byłoby rwać syntetyczny materiał. Okazało się jednak, że ceratę ktoś wcześniej naderwał. Czyżby w tym samym celu? Tak, czy owak, z pozostałej połowy związał na biodrach coś na kształt przepaski. Niespecjalnie praktyczne: jeśli będzie musiał biec, z pewnością rozplącze się i spadnie... jeśli jednak rzeczywiście trzeba będzie uciekać, będzie to znaczyło, że ma poważniejsze problemy, niż goły tyłek.

Już są. Usiłował odegnać od siebie tę myśl, lecz narzucała się coraz silniej. To się dobrze nie skończy, nie skończy się dobrze, niedobrze skończy... „Rozpacz”. Rozpacz, smutek i strach... cała tutejsza (gdzie?) atmosfera do tego prowadziła. Było jeszcze jednak coś więcej, pomimo że zbudził się (ocknął!) diabli wiedzą gdzie, niczego nie pamiętając, w sąsiedztwie trupa tonącego we własnej krwi... Pogrzebawszy w strzępach pamięci, zorientował się ze zdziwieniem, że tym czymś była myśl o inżynierii genetycznej. Jakby... jakby przypadkiem dotknął bolącego zęba, który do tej pory nie dawał znać o sobie. Dlaczego? Czemu ta myśl wyzwała taki strach? Być może opatrunki nie są dziełem wypadku, lecz eksperymentów biologicznych? Jakichś operacji, zrobionych wbrew jego woli? Chociaż co ma do tego inżynieria genetyczna? Genetycy... o ile wiedział, nikogo nie kroją, pracują na mikroskopijnym materiale... Może nie chodziło o inżynierię genetyczną jako taką, ale o jakąś nieznaną jej dziedzinę? Jaką (nie!... nie! nie wolno!), nie mógł sobie przypomnieć. Znowu spróbował, nie bacząc na strach zalewający go lepkiem zimnem. Nie. Nie pamięta. Kompletna pustka.

Podszedł do stolika, do tej pory jakoś umykającego jego uwadze i przekonał się, że nie jest to zwykły mebel. Połowę blatu zajmował wbudowany ekran i jeszcze jakieś urządzenia. Czy był to komunikator? W tej chwili trudno się było zorientować: wszystko było zniszczone, połamane, rozwalone jakby z dziką wściekłością. Spośród okruchów sterczał żałośnie urwany światłowód. Człowiek przyjrzał się uważniej, na ile pozwalało mętne światło. We wgłębieniu obok ekranu, wśród odłamków elektroniki (fotoniki, wypłynęło z pustki, elektronika to przestarzały termin) walało się coś, co nie pasowało do schematu. Podniósł do oczu ten maleńki, zaokrąglony na jednym końcu przedmiot. W mgnieniu oka pojął z odrazą, że ogląda wyrwany ludzki paznokieć; wewnętrzna strona była pokryta zaschniętą krwią. Czyżby ten, kto niszczył urządzenie, drapał pazurami? I nie powstrzymał go nawet ból wyrywającego się z mięsem paznokcia?

Pozbawiony pamięci odrzucił swoje znalezisko i pomyślał z troską, że nie zaszkodziłoby się uzbroić. W tej samej chwili złowroga podświadomość zamieniła „nie zaszkodziłoby” na „nie pomogłoby”, lecz postarał się przegnać tę myśl. Gdyby chociaż krzesło... powinno być przecież jakieś w pokoju? Niestety, nigdzie nie było.

Znowu wyszedł na pogrążony w drgającym półmroku korytarz, dopiero teraz orientując się, że nie jest on prosty, lecz płynnie zakręca, mając najwidoczniej kształt okręgu o trudnej do ustalenia średnicy. W którą stronę iść: lewą, czy prawą? W którąkolwiek stronę pójdziesz i tak nie przewidzisz zawczasu, co kryje się za zakrętem... Nasłuchiwał. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk; przygniatającą ciszę naruszało tylko elektryczne potrzaskiwanie nierówno palących się lamp. Poszedł w prawo. Pod nogami była tak samo zabłocona podłoga – od ilu lat jej nie zmywano? Zresztą, już nie żałował, że musi iść boso – pozwalało mu to poruszać się niemal bezszelestnie. Po lewej ciągnęła się pusta ściana, po prawej były drzwi, podobne do tych, jakimi wyszedł. Może nie całkiem podobne: sądząc po różnych rozmiarach, nie za wszystkimi były tej samej wielkości pomieszczenia. Nie miał ochoty zaglądać tam i znajdować... diabli wiedzą, co. Powinien wydostać się stąd jak najszybciej, a to znaczy, że musi znaleźć wyjście. Gdzieś przecież musi być wyjście?

Mętne, mrugające światło naruszało wrażenie realności, mąciło orientację, sprawiając wrażenie, że to wszystko jest koszmarnym snem, w którym wiecznie będzie szedł mrocznym, brudnym korytarzem, niemającym początku ani końca... W pewnym momencie na serio uznał, że powinien się uszczypnąć. Naturalnie nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu. Zresztą uświadomił sobie, że byłoby to zawodne, gdyż wrażenie bólu także może się przyśnić, bywa wprawdzie słabsze, niż na jawie, lecz śpiący o tym nie wie – a uszczypnięcie na jawie też nie jest zbyt bolesne. Skoro tak logicznie rozumuje na temat snu, to na pewno nie śpi. A co jeśli obszedł już cały okrąg i chodzi w kółko? Może wyjście jest za jednymi z mijanych drzwi... albo wcale nie ma wyjścia, przemknęło mu przez głowę. Co za absurd! A czy nie jest absurdem wszystko to, co go otacza od chwili, kiedy przyszedł do siebie?

Owe myśli oplatały go chłodnym, lepkiem strachem, który daremnie próbował przegnać. Wszystko powinno mieć jakieś logiczne wyjaśnienie. Wszystko powinno mieć...

Tak, oczywiście. Tylko kto powiedział, że mu się spodoba?

Potrząsnął głową. Trzeba było jakoś namierzyć drzwi, którymi wyszedł, by przekonać się, czy nie zrobił już pełnego okręgu. Zaznaczyć? Tylko czym? Własną krwią?

Nie, syknął w myślach, starając się opanować histerię. Cóż może być prostszego, jak zostawić je otwarte! Może tak zrobił? Czy też zamknął, wychodząc na korytarz? Za pierwszym razem na pewno, zwykły odruch nagiego człowieka... ale za drugim... nie mógł sobie przypomnieć.

Zresztą w tym momencie przekonał się, że jeszcze nie obszedł całego kręgu.

Na kolejnych drzwiach, takimi samymi czerwono-brunatnymi maźnięciami (krwawymi, przyznaj to

wreszcie!) było napisane: „ZABIJ SIĘ TERAZ”.

– Pocieszające – mruknął pod nosem.

Pierwsze słowo, jakie wypowiedział, odkąd pamiętał. Zwykle powinno to oznaczać przypomnienie całego życia, lecz w jego przypadku... do licha, znał tylko ostatnie dziesięć minut. Na pewno nie krążył po tym dziwnym budynku całej godziny... Nie spodobało mu się brzmienie własnego głosu. Ochrypli charkot. Na pewno wcześniej bardzo długo milczał.

A może wręcz przeciwnie: zdarł gardło, krzycząc?

Zamarł w spóźnionym przestkach, nasłuchując. Może jego mimowolne mamrotanie przywabia jakieś nieznanne stwory z głębi korytarza? Lub zza najbliższych drzwi...

Wciąż jednak, jak poprzednio, trwała cisza. Chrrr... szcęk... Chrrr... trzask! Drgnął zaskoczony. Jeden z plafonów przed nim zgasł, pograżając swój odcinek w ciemności. Reszta niknęła za zakrętem. Dość łatwo wyobrazić sobie, że... Wpatrywał się w mrok z natężonym oczekiwaniem. To nic, powiedział sobie, lampa po prostu się rozłączyła. Nic dziwnego, przy tak nierównym napięciu. Spojrzał znowu na drzwi. Wątpił, czy ten, kto zostawiał podobne napisy, był mu przyjazny. Skoro wróg próbuje cię nastraszyć, głupio byłoby spełnić jego oczekiwania. Jeśli za drzwiami czyhałaby realna groza, czy uprzedzałby go w taki dziwaczny sposób? Nacisnął klamkę i drzwi posłusznie się przesunęły. Wszedł.

Wnętrze wyglądało jak dawne laboratorium. Na pewno „dawne”. Objawiła się tutaj ta sama niszczycielska furia, jaka dotknęła stolik w jego pokoju, tylko znacznie silniej. Cała podłoga zasłana była szczątkami przyborów powyrywanych ze stojaków i stelaży; trudno było odgadnąć obecnie ich zastosowanie. U wejścia walały się kawałki taboretu, którego nieznanomy wandal próbował używać w charakterze młota, lecz plastikowe elementy tego nie wytrzymały. Mimo woli zrobił parę ostrożnych kroków, starając się nie poranić stóp. Nie było tu jednak okruchów próbek i innych naczyń, na ile się można było zorientować w takim chaosie i tak marnym oświetleniu. Bardziej laboratorium fizyka, niż biologa albo chemika... chociaż, kto wie: może gdzieś znajdowało się jeszcze inne, tajne, hermetycznie zamknięte pomieszczenie... Wśród odłamków plastiku znajdowały się także metalowe płytki, trzpienie, rolki, izolacje – niczego jednak, co można byłoby użyć jako broni. Destrukcja laboratorium dokonała się dawno temu, szczątki pokrywał kurz, niemal przesłaniający brunatne plamy na podłodze. W kącie wznosił się masywny, metalowy korpus dziwnej konstrukcji, który nie poddał się działaniu niszczyciela. Na jego boku widniał kolejny napis, wykonany w ten sam sposób: „CIEMNOŚĆ SZYBSZA OD ŚWIATŁA CHA, CHA, CHA”. Od ogonka ostatniej litery spływała w dół strużka z zaschniętą kroplą na końcu. Na owej kropli siedział białawy karaluch... nie, raczej tłusty, okrągły pająk, jakby specjalnie chciał się utuczyć krwią. Jednakże struga i kropla dawno już zaschły.

Krzywiąc się z obrzydzenia – pająków nie cierpiał na równi z karaluchami – podszedł jednak bliżej, by się przyjrzeć stawonogowi. Czy przedstawiciel innego gatunku okaże się też jakimś mutantem, czy zwyczajnym pająkiem? Mutacja jest tutaj wyjątkiem, czy normą? Zbliżał się powoli, nie chcąc spłoszyć stworzenia, lecz ostrożność okazała się zbędna. Pająk nie ruszał się, od dawna martwy. Przysechł do kropli krwi, być może zbyt mało mając rozumu, by wydobyć się z niej, zanim zaczęła gęstnieć... Podniósł ze stołu laboratoryjnego kawałek przezroczystego polimeru, zapewne będącego kiedyś częścią ekranu. Szturchnął nim zastygłe truchło. Pająk spadł na blat stołu z nóżkami wygiętymi do góry. Miał ich osiem, jak u każdego normalnego pajęczaka. Tylko trzy z prawej strony, pięć z lewej.

Wrócił na korytarz. Tym razem świadomie zostawił otwarte drzwi. Dla orientacji, powiedział sobie, choć w zasadzie bardziej, aby nie widzieć, co na nich napisano. Starczyło, że o tym pomyślał i

napis z krwawymi zaciekami stawał mu przed oczyma: „ZABIJ SIĘ TERAZ”... Bez względu na to, co wydarzyło się w laboratorium, nie widział jeszcze powodów do samobójstwa. Do optymizmu zresztą też... Drgnął, ogarnięty kolejną falą lepkiego strachu. Fizyka, laboratorium, mutanty – wszystko to zlało się w jego umyśle, wywołując ze ściany odgradzającej przeszłość jeszcze jedno pojęcie: radiacja. Może o to chodziło? Może to dziwne miejsce (centrum badawcze?, klinika?) uległo jakiejś awarii, powodującej skażenie, dlatego jest od dawna zamknięte, a zatęchłe powietrze przenika powolna śmierć. Jeśli zmutowali tutaj robale i pająki, najbardziej odporne na radiację (skądś o tym wiedział), w takim razie człowiek jest tutaj stracony. Stąd wzięło się owo „zabij się...” – zrób to, póki możesz bez większych trudności. Choroba popromienna oznacza konanie w strasznych męczarniach...

Tylko dlaczego personel, opuszczając spieszenie miejsce awarii, miałby niszczyć urządzenia? Złość na technikę, która zawiodła, jest oczywiście zrozumiała, nawet uczone może się wściec, ale kiedy ratuje się życie, droga jest każda sekunda... A te krwawe napisy? Nagi trup w wannie? Ktoś, kto zabrnął do zakazanej strefy i zbyt późno zorientował się, na co się naraził? A może nie było żadnej ewakuacji? Może po prostu zostali spisani na straty? Władze chciały ukryć prawdę o katastrofie i nikogo nie wypuszczono... Może nie była to radiacja, tylko jakieś biologiczne paskudztwo i wszyscy okazali się zarażeni... i niebezpieczni... Nawiasem mówiąc, czy radiacja zdolna była powstrzymać rozkład ciała? A może jakiś wirus jest zdolny do tego... A on? Kim jest w takim razie? Jednym z uwięzionego tu personelu, czy może przesłuchiwanym? Jak mógł przeżyć tu tyle czasu – przecież wydaje się, że katastrofa miała miejsce co najmniej kilka lat temu? Co pił i co jadł? Przecież nie karaluchy... Zadrzał na samą myśl.

Czy są jeszcze inni, którzy przeżyli? Czym grozi spotkanie z nimi? Kto zostawiał te napisy? Początkowo sądził, że słowo „rozpacz” napisał przed śmiercią konający w wannie. Cały jednak ociekał krwią i nie mógł w takim stanie przejść stamtąd tutaj i z powrotem... a wszystkie napisy wykonano tą samą ręką. Logicznie biorąc, musi to być dłoń mordercy – lecz gdzie są kolejne ofiary? Czyją krwią pisano tutaj? Zostały dokądś wywleczone, może jeszcze żywe? Po co? I po co są napisy, dlaczego ktoś zniszczył urządzenia? Szaleństwo, szaleństwo...

Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Nie tyle nawet fizycznie, choć głowa nadal ciążyła – beznadzieja brała się z owych prób racjonalnego wyjaśnienia sytuacji, męczący był sam proces myślenia o tym. „Nikt nie przeżył” – wyrwało się nagle, jakby w agonalnym wydechu, z głębin świadomości. Katastrofa zniszczyła nie tylko budynek, ale też całe miasto, na całym świecie nie zostało nikogo, tylko zmutowane pająki i karaluchy, i nigdy się stąd nie wydostanie, nigdy, nigdy...

Jęknął głucho przez zaciśnięte zęby, przywierając do lepkiej ściany, porażony potęgą ogarniającej go rozpacz. Tak, rozpacz. Czyż nie w takim stanie umysłu powstały owe napisy? „Zabij się teraz...”. Nie. Powinien z tym walczyć. Nie pozwoli zwyciężyć temu miejscu, czymkolwiek naprawdę by było. Trzeba szukać wyjścia („Nie! – pisnęła tchórzliwie podświadomość. – Tylko niczego nie szukaj!”). Trzeba szukać, powtórzył sobie twardo, i zebrawszy siły, zmusił się do wejścia w ciemność nieoświetlonej części korytarza.

Szedł jakiś czas, ostrożnie stawiając stopy i oczekując w każdej chwili, że coś chłodnego i śliskiego chwyci go za łydkę. Ciemność okazała się większa, niż przypuszczał. Widocznie nastąpiła szeregowa awaria kilku lamp. Przed nim jednak, za zakrętem majaczyło mrugające światło. Jeszcze parę kroków i...

Coś chłodnego i śliskiego znalazło się pod jego nogą i wbiło zębami w stopę.

Przenikliwy impuls strachu sprawił, że nie odskoczył, lecz zamarł w miejscu, co nie było specjalnie mądre. Jednak parosekundowy paraliż pozwolił mu zorientować się, że paszcza rozwarta

u jego stóp jest całkiem bezwładna i nie zamierza go kąsać... po prostu nadepnął twarz trupa.

„Zabij się teraz...”. Czyżby ktoś posłuchał tej rady? A może, właściwie, komuś dopomogła...

Trupia głowa odwróciła się (nie sama z siebie, jak pomyślał w pierwszej chwili, lecz pod jego ciężarem) i noga ześlizgnęła się na podłogę. Zamiast jednak wszechobecnego błota i brudu, wyczuł pod podeszwą coś innego. W następnej chwili zrozumiał, że stoi na długich, zlepionych włosach, otaczających głowę trupa. Kobieta? Z pewnością należało uważniej obejrzeć ciało, choćby po omacku lub wytaszczyć je ku światłu, lecz odraza i strach, że zabójca kobiety może czaić się w mroku, nie pozwoliły rozumować racjonalnie. Pobiegł w stronę światła, jakby ścigały go piekielne demony. Jego improwizowana spódniczka spadła, lecz zdążył uchwycić jej skraj. Kilka chwil później dyszał ciężko pod migającym plafonem. Nikt go nie ścigał. W zatęchłym powietrzu słychać było tylko jego ciężki oddech.

Uspokoiwszy się, na ile to było możliwe w jego sytuacji, doprowadził do porządku swoją przepaskę i ruszył dalej. Wkrótce jego usiłowania zostały częściowo wynagrodzone: po prawej stronie otworzyło się przejście, prowadzące bez wątpienia do centrum okręgu. Nie zdążył się jednak ucieszyć owym odkryciem, gdyż prędko zauważył coś znacznie mniej pocieszającego.

Krwawe ślady bosych stóp, idące mu naprzeciw korytarzem i skracające właśnie do tego przejścia. Nie tylko stóp... tu i ówdzie między śladami widniały spore plamy, zlewające się w całe ścieżki, podobne do odcisków wielkich robali. Trzeba zatem było odrzucić wersję, że ktoś po prostu wdepnął w kałużę krwi. W takim przypadku, zresztą, kolejne ślady byłyby słabiej odcisnięte, a tak tutaj nie było. Krew ściekała strumieniami po nogach idącego, a ten szedł dalej z uporem, przewycięzając ból...

„No dobrze – pomyślał – to, co mu się stało, zdarzyło się tam, skąd przyszedł, a nie tam, dokąd poszedł”. Skręcił więc w przejście.

Światło było tu bardzo słabe. Niektóre lampy gasły co jakiś czas, po czym, gdy niewidoczne kondensatory dostarczyły nowej energii, zapalały się znów na chwilę. Te wzloty i upadki raczej oślepiały, a nie pomagały oczom przyzwyczaić się do półmroku. Idąc, wyczuł pod stopą jakiś niewielki, płaski przedmiot, leżący na podłodze. Przykucając, podniósł tę rzecz i stanął pod najbliższym plafonem, mając nadzieję zbadać znalezisko.

Była to prostokątna płytko wielkości jego dłoni, wykonana z metalu lub bardzo twardego plastiku. Trudno było określić materiał, z jakiego została wykonana, gdyż cała pokryta była zaschniętą krwią. Tu i ówdzie przykleiły się do niej krótkie, kręcone włosy, raczej z ciała niż głowy.

Podczas oględzin gardło mężczyzny zdławił spazm odrazy i w pierwszym odruchu chciał odrzucić płytkę, lecz zwyciężył zdrowy rozsądek: zawsze to jakaś broń. Najwyraźniej nie był pierwszym, któremu przyszła do głowy taka myśl. Jeden z kątów płytki był mocno zaokrąglony.

Spróbował oskrobać płytkę z krwi paznokciami. Wyczuł pod palcami jakieś bruzdy po jednej stronie. Widocznie był tam wytłoczony jakiś napis.

Wreszcie przedmiot był całkiem oczyszczony. Tabliczka ze złotawego metalu (lecz nie ze złota, sądząc po wadze). Napis, wykonany na pewno maszynowo, składał się z jednego słowa: „HYPERION”.

Usiłował przypomnieć sobie, co znaczy to słowo. Początkowo świadomość obijała się jak o gruby mur. Hyperion... Hyper... Hyper... zdaje się, że to jakaś postać z greckiej mitologii. (Minutę wcześniej nie podejrzewał siebie o znajomość czegoś takiego). To wyjaśnienie jednak wcale go nie zadowalało. Wyplęnięto zbyt pośpiesznie, jakby miało przesłonić niepojęty strach, czający się na dnie świadomości. Strach przed tym, co nie miało nic wspólnego z antyczną Grecją. Na pewno miejsce, w którym przebywał, nie było muzeum starożytności.

Z przodu zaświeciła kolejna lampa, wychwytyjąc z mroku ciało leżące na podłodze.

Żywy podszedł z obawą do martwego. Nie było wątpliwości, że leżący jest martwy, tak samo, jak oczywiste było, że to właśnie on zostawiał krwawe ślady. Ciało leżało w zaschniętej już kałuży krwi, plecami do góry, z dłońmi zaciśniętymi na brzuchu. Pewnie próbował zatkać ranę... Nie to jednak zrobiło najgorsze wrażenie na człowieku, który utracił pamięć. Ciało na ziemi było niemal gołe – jedyną namiastką odzieży była improwizowana spódniczka z brudnej ceraty.

Tej samej. Jej oddarta wcześniej połowa.

„To znaczy... znaczy... ocknął się w tym samym pokoju i poszedł... ja poszedłem w prawo, a on widocznie w lewo... i tam mu to zrobili”...

Lodowaty chłód przeniknął wnętrzości tego, który jeszcze żył, jak ostrze, które rozplatało brzuch jego poprzednika. Jeden mały błąd, wystarczyło skrócić nie w tę stronę... Właściwie, pomyślał i ten niekoniecznie mógł pójść na lewo. Mógł także pójść w prawo, lecz minął przejście i ruszył dalej po okręgu...

Do gardła podpłynęły mdłości, a migające światło nie ułatwiało oględzin, ale trzeba było obejrzeć trupa. Jeśli uda mu się uzyskać jakąkolwiek odpowiedź na dręczące go pytania i uniknąć podobnego losu... jeśli w ogóle można go uniknąć.

Próbował obrócić bezwładne ciało, lecz nie było to łatwe. Pomyślał, że zakrwawiona skóra przywarła do podłogi i pociągnął silniej. Z wilgotnym kłaśnięciem trup odkleił się od podłoża i przekręcił na bok, a potem miękko opadł na plecy.

Brzuch był rozpruty od splotu słonecznego do pachwiny. Połyskujące tłuszczem wnętrzości wylewały się z rany; jakiś czarny śluz wyciekł na i bez tego zapaskudzoną podłogę. Nie wytrzymał i zgiął się w odruchu wymiotnym. Nie zwymiotował jednak. Męczące spazmy wstrząsały jego ciałem, lecz z ust pociekła tylko cienka nitka kwaśnej śliny.

„Jak długo niczego nie jadłem?” – przemknęło mu przez głowę. Właściwie nie czuł głodu. Przeciwnie, sama myśl o jedzeniu wywołała nową serię spazmów.

Odetchnawszy, zmusił się znowu popatrzeć na trupa, na zmianę jaskrawo oświetlonego, to znów niknącego w mroku. Rozjaśniający się plafon za każdym razem odbijał się w wytrzeszczonych przedśmiertną męką oczach. Twarz i korpus były usmarowane krwią, trudno było jednak stwierdzić bez dokładnego zbadania, czy miał jeszcze jakieś inne rany. Przyjrzawszy się jednak dokładniej, pozbawiony pamięci zrozumiał, że musiały być wcześniej. Na martwym ciele widniały takie same opatrunki, jak na jego własnym...

Głównej rany nikt jednak nie próbował opatrzyć, zresztą byłoby to niemożliwe bez uprzedniego zszycia. Zerknął znów na rozpruty brzuch. Jak ten nieszczęśnik zdołał iść w takim stanie?! Może udało mu się to, gdyż podtrzymywał rękami kłęb wywalających się kiszek...

Kolejny rozbłysk oświetlił splecione kurczowo dłonie trupa i poraziła go kolejna myśl. To niemożliwe, by ten nieszczęśny starał się zatkać i zakryć ranę. Zakrzywione palce wbijały się paznokciami w oślizgłą płataninę własnych jelit... Musiało mu to sprawiać piekielny ból. Ale dlaczego?! Całkiem utracił rozum w udreće, przestał się kontrolować w agonii? Jednak reakcja na ból to wynik niezależnych impulsów. Nawet przypadkowo wczepiwszy się we własne trzewia, powinien był cofnąć rękę...

Nagle coś drgnęło w purpurowej breji i poruszyło się. Żywy pomyślał, że zaraz oszaleje, jeśli już nie zwariował; wydało mu się, że jelita martwego ożywiły się i zaczęły wypełzać na zewnątrz. W tym momencie znów zgasło światło.

Przerażony odskoczył, gotów uciekać na oślep i wpadł na ścianę korytarza. Gwałtowność tego zderzenia niemal zwała go z nóg. Utrzymał równowagę, wspierając się o mur (ramię drgnęło z

bólu) i zastygł, zwrócony twarzą w stronę nieznanego zagrożenia. W stężącej ciszy usłyszał ohydny, lepko-wilgotny dźwięk, jakby ktoś lizał brudną podłogę ogromnym, kleistym jęzorem.

Lampa znów zaświeciła. Martwy leżał jak poprzednio nieruchomo, jak przystało na zwłoki. Dźwięk wydawało coś wijącego się na podłodze w pobliżu trupa. W pierwszej chwili mogło się rzeczywiście wydawać, że to jelito, żyjące własnym życiem. Było to jednak jakieś czerwiowate stworzenie, długości ludzkiego przedramienia; czarny, kolczasty kadłub ostro błyszczał, zostawiając krwawy ślad na podłodze. W pierwszej chwili wydało mu się, że stwór pełźnie prosto na niego; bezradnie przywarł do ściany, chociaż pewnie mógłby rozgnieść to paskudztwo jedną nogą. Światło zgasło, lecz kiedy ponownie się zapaliło, okazało się, że robał spokojnie przepelza mimo, nie zwracając uwagi na spanikowanego człowieka. Na ile mógł się zorientować, stworzenie nie posiadało oczu ani pyska.

Więc o to chodzi, pomyślał. Ta gadzina załęgła się w kiszki tego faceta i on... być może sam rozplątał swój brzuch, próbując się jej pozbyć. Uczynił to za pomocą płytki z napisem „Hyperion”... Człowiek zdrzął na samą myśl; przez chwilę całkiem realnie wyobraził sobie, jak sam by to zrobił. Kompletne szaleństwo... udzielić sobie takiej „pomocy”, próbując wydrzeć stwora z własnych wnętrzności i potem jeszcze iść dalej... widocznie jednak męczarnie, spowodowane przez gada pełzającego w jelitach, były naprawdę nie do zniesienia. Jak się dostał do środka? Wpełznął przez usta? A może odbył? (Śmiech był nie na miejscu, a jednak zachichotał nerwowo). Najprawdopodobniej, jak większość pasożytów, przeniknął do organizmu pod postacią niezauważalnej, małej poczwarki... To jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że jeśli gdzieś tutaj znajdzie jakieś jedzenie, nie powinien go tykać. Zresztą (jeszcze jedno powracające wspomnienie), wydaje się, że są takie mikroskopijne glisty, potrafiące przeniknąć do wnętrza człowieka przez skórę...

„Zabij się teraz”. Zabij się w miarę bezboleśnie, zanim nie stało się z tobą coś takiego... To nawet bardziej prawdopodobne, niż wersja z radiacją. Lecz gdzież tu „bezbolesny” sposób? Dlaczego ten człowiek nie spróbował, na przykład, podciąć sobie żył? Zbyt powolna śmierć? Tak jednak męczył się jeszcze bardziej... Miał wciąż nadzieję, że jednak przeżyje? A może cierpienia zamąciły mu umysł?

Ponieważ wszystkie dociekania były daremne, pojawiła się skądś (zza niewidzialnej ściany?) niewiarygodnie smutna i beznadziejna myśl. Tak stara, jak sam czas. Wszystko... daremne... nie ma stąd wyjścia... nawet takiego... a za tobą idzie narastająca mroczna fala: rozpacz, rozpacz, **ROZPACZ!!!**

Uderzył się po głowie, żeby się otrzeźwić. Wpił się zębami w wargę, dopóki nie poczuł słonawego smaku krwi. Spokój, nakazał sobie. Trzeba po prostu mieć głowę na karku i rozumować logicznie... Ta trzeźwa myśl wywołała jednak nowy przyływ zimnego strachu w żołądku. Postanowił zdławić irracjonalny lęk i kontynuował: „Poznałem dokładnie niebezpieczeństwo: podskórne pasożyty. Jedyne? Całkiem możliwe, że facet w wannie i kobieta na korytarzu – a może długowłosego chłopak? – umarli z tego samego powodu. Skąd wzięły się te poczwarki? Wynik eksperymentu biologicznego? I jeśli byliśmy jego twórcami... akurat byliśmy wszyscy bez ubrań. Z tego jednak nie wynika, że nasze położenie było identyczne. Może nie wszyscy stracili pamięć. Ten człowiek uporczywie kroczący z rozprutym brzuchem... widocznie wiedział, dokąd idzie i miał nadzieję, że uzyska tam pomoc”.

Obszedłszy trupa, zrobił kilka kroków przed siebie i prędko dotarł do domniemanego centrum okręgu. Korytarz tutaj rozwidlał się, omijając potężną kolumnę, przebijającą podłogę i sufit. Podszedł bliżej i zobaczył zamknięte drzwi, a z boku dwa złączone podstawą trójkąty. Winda? Całkiem możliwe... lecz niemiądrze byłoby korzystać z windy przy ledwie działającej elektryczności.

Na szczęście, obchodząc kolumnę z lewej strony, znalazł wejście na schody. Okazały się kręcone; opasywały gigantyczny cylinder z szybą windowym pośrodku i okrążającymi go przejściami. Walec ten był umieszczony w jeszcze większym, sądząc po powierzchni wewnętrznej ściany; nie było żadnych okienek, a oświetlenie stanowiły podobne plafony, rozmieszczone symetrycznie na ścianie. W ową ścianę, umieszczoną między skrętami schodów, uchodził korytarz, którym przyszedł i teraz oglądał go ze środka. Dziwna architektura... Lampy i tutaj paliły się słabo, jednak nie białym, lecz czerwonym światłem, które czyniło wnętrze jeszcze bardziej ponurym.

Dokąd teraz? Schody wypełniające przestrzeń między wewnętrzną a zewnętrzną ścianą nie pozwalały zobaczyć, jak daleko w górę i w dół ciągnie się ten walec. Zwykle doświadczenie, nie zamącone amnezją, podpowiadało, że wyjście z budynku, jaki by nie był dziwny, powinno się znajdować na dole i człowiek zrobił parę pewnych kroków po schodkach, po czym znów się zatrzymał. A co, jeśli cały ten kompleks znajduje się pod ziemią? Brak okien wskazywał, że to słuszna myśl... zwłaszcza, gdy w grę wchodził niebezpieczny i tajny eksperyment...

Zawrócił niezdecydowanie. Na pierwszym schodku, wiodącym na górną kondygnację, zobaczył kolejny krwawy napis: „NIE IDŹ TAM!”.

Nie miał już poprzedniej pewności, że owe napisy zostawia ktoś mu wrogi. Raczej jedna z ofiar tajemniczego eksperymentu lub nagłej katastrofy... co zresztą – logicznie się upomniał – wcale nie oznacza, że trzeba wierzyć im bezkrytycznie. Ci ludzie (czy któryś z nich jeszcze żyje?) mogli się mylić albo po prostu oszaleć... ktoś przecież zniszczył z dziką wściekłością przyrządy? I co tam było napisane w zdemolowanym laboratorium: jakaś kompletna bzdura na temat światła i ciemności...

Tym niemniej znowu zawrócił i poszedł na dół. Omal nie pobiegł, lecz schody były zbyt kręte, a uznał przy tym, że należy zachować ostrożność.

Stopnie schodów były tak samo brudne i zapaskudzone, jak wszystko w tym wstrętnym miejscu. Może nawet jeszcze brudniejsze. Prawdopodobnie, kiedy jeszcze wszystko działało, personel przemieszczał się głównie windą, a schody były tylko awaryjne. Dlatego oświetlenie miało taki odcień.

Minął kilka platform z wyjściami (za każdym razem przystawał i nasłuchiwał, nim minął kolejne drzwi), postanowił jednak zejść na sam dół. Jeśli znajdzie tam piwnice, wejdzie piętro wyżej... Skądś wzięła się głupia myśl, że owo zejście nie wiadomo dokąd po brudnych schodach w czerwonym półmroku, przypomina zejście do piekła. Tak, pamiętał takie pojęcie. I zdawał sobie sprawę, że nigdy w to nie wierzył. „Cóż – powiedział sobie dobitnie – wszystko tutaj jest materialne, nawet te diabelskie stwory, mutanty”. Tak... „diabelskie”... Nie pasowały jednak do piekielnych demonów wynaturzone stawonogi ani nawet pasożyty rozwijające się w kiszkiach.

Dotarł nareszcie na dół. Ostatnia platforma kończyła się półotwartymi rozsuwanymi drzwiami, wiodącymi nie do środka cylindra, lecz na zewnątrz. Możliwe, że się zaklinowały lub problem polegał znowu na niedostatku energii. Szczelina pomiędzy nimi była jednak wystarczająco szeroka, by przez nią przejść. Za drzwiami panowała absolutna ciemność. Na prawym skrzydle czerwienił się jeszcze jeden napis, wykonany tym samym sposobem: „NIE MYŚL”. O czym nie należało myśleć, pozostawało zagadką, tym bardziej, że część drzwi tkwiła w ścianie. Spróbował ruszyć ciężkie skrzydło, lecz z równym powodzeniem mógłby poruszyć skałę. Trudno. Ostatecznie wezwania, by nie myśleć o czymś konkretnym, powodują zazwyczaj całkowicie odwrotny skutek.

Stał chwilę, nasłuchując i pociągając nosem – żadnego świeżego powiewu, wciąż ta sama zatęchła obrzydliwość opustoszenia, co wszędzie tutaj. W końcu, zebrawszy się na odwagę, ściskając w dłoni jedyną broń, plakietkę z ostrym końcem – precyzyjnie się w ciemność.

Słaba nadzieja, że jakiś automat zapali światło, nie potwierdziła się. Jeśli nawet było tu takie

urządzenie, obecnie nie działało. Zawrócić i poszukać innej drogi na zewnątrz? Tylko kto powiedział, że taka droga istnieje i jest bardziej bezpieczna?

Postał jeszcze chwilę w ciemności, słysząc tylko szybkie, trwożliwe uderzenia własnego serca, w końcu, wyciągając przed siebie lewą rękę i próbując teren bosymi stopami, ruszył naprzód.

W ciągu kilku... sekund?... minut? – nie był pewien, czy właściwie ocenia wpływ czasu w tych warunkach – zorientował się, że znalazł się w obszernym pomieszczeniu. W końcu koniuszki palców musnęły ścianę. Była zakurzona, lecz pod warstwą pyłu wyczuwało się gładkość plastiku lub innego, podobnego materiału. Poszedł w prawo, wodząc dłonią po ścianie i natrafił na jakąś pionową, metalową sztangę, którą ominął i ręka znów natrafiła na próżnię. Szedł dalej, dopóki nie natrafił na kolejną przeszkodę.

Początkowo wydawało mu się, że dobrze ocenia kierunki, lecz gdy obejrzał się w pewnej chwili, nie zobaczył szczeliny w drzwiach, przez którą powinno było się sączyć światło z klatki schodowej. Ani tam, gdzie spodziewał się ją zobaczyć, ani w ogóle nigdzie. Z rosnącym lekiem pojął, że błądzi w jakimś labiryncie i zabrnął daleko od wejścia... a może w końcu zgasło też oświetlenie awaryjne. Co to za przeklęte miejsce?! Komu się chciało budować tutaj labirynt?!

Znów próbował wysiłkiem woli stłumić panikę. Z każdego labiryntu można znaleźć wyjście, trzeba się tylko trzymać wciąż prawej ściany... albo lewej, byle konsekwentnie. Trzeba było posłużyć się tą zasadą, by się przekonać, czy przypadkiem nie chodzi wokół wielkiego sześcianu. Zasada działa tylko w topologicznie zbudowanym labiryncie... jeśli dobrze pamięta, czym jest układ topologiczny...

Rzucił się w rozpacz do przodu, nadział na kolejną ścianę i zaczął walić w nią pięścią. Sądząc po odgłosach, ścianka była całkiem cienka (nawet lekko ugięła się pod ciosami), a za nią było pusto. Próbował ją przeciąć kantem płytki, lecz przegroda, chociaż cienka, okazała się wytrzymała.

„To nie labirynt! – zreflektował się. – To jakiś skład, a ja chodzę między kontenerami!”

Odkrycie to nie poprawiło wcale jego położenia. Nadal nie miał pojęcia, jak się stąd wydostać w kompletnych ciemnościach, choćby znowu na schody, nie mówiąc już o wyjściu na zewnątrz. Próbował popchnąć kolejny kontener, stojący mu na drodze, lecz okazał się dla niego za ciężki. Być może przytrzymały je metalowe sztangi, na które natykał się co jakiś czas – wydaje się, że były po to, by utrzymywać kontenery na miejscu... Wyobraził to sobie, czy przypomniał? Nieważne! Sztangi! Magazyn wyraźnie nie był pełen, a kontenery nie zostały ustawione w jakimś porządku – ale sztaby powinny się znajdować w równych odstępach na zasadzie siatki prostokątów. Gdyby więc iść od jednej do drugiej, licząc je przy tym...

Nagle coś okrągłego zaplątało mu się pod nogi i omal nie upadł. Słysząc było, jak niechcący kopnięty przedmiot potoczył się w drugą stronę. Co to było? Jakiś niewielki walec... może zwykły śmieć... Mimo wszystko człowiek zrobił kilka kroków w stronę, wskazaną przez odgłos, potem opuścił się na czworaki, odłożył na chwilę tabliczkę i zaczął przesuwając dłońmi po podłodze – ostrożnie, by znowu nie odturlać tego czegoś. Gdzie jesteś, cholero... ach, jest!

Obmacał znalezisko. Gładki krąg na jednym końcu, a na boku jakby przycisk... Latarka?! Nacisnął guzik i z jego dłoni wytrysnął strumień niezbyt jasnego światła, ujawniając podejrzaną ciemną plamę na podłodze i ścianie pobliskiego kontenera ze skomplikowaną numeracją. Wreszcie coś się udało!

Skoczył radośnie na równe nogi i w tym momencie poczuł uderzenie czegoś długiego i ciężkiego po głowie. Coś rozbłysło mu przed oczami i zwałił się bezsilnie na brudną podłogę.

Przychodząc do siebie, leżał kilka sekund, wpatrując się tępo we wciąż świecącą latarkę. Łuk światła, równoległy do podłogi, dziwnie rzeźbił zwały brudu i kurzu. Łeb bolał strasznie, na pewno będzie miał ogromnego guza. Potem przyszła myśl: nie myśl o guzach, tylko o tym, kto cię walnął! Wokół trwała jednak cisza i nikt nie zamierzał go znów atakować. Bardzo ostrożnie podniósł głowę i

zobaczył wprost nad sobą jakieś rury. Niezbyt grube, pięciocentymetrowej średnicy, przy czym jeden koniec niknął w dziurawej ścianie najbliższego kontenera. Bez przeszkód wziął latarkę, skoro wróg okazał się urojeniem i poświeciwszy, stwierdził, że tak jest istotnie. Potem usiadł na podłodze i skierował strumień światła w przeciwną stronę, chcąc się dowiedzieć, dokąd prowadzą rury. W tym momencie zdławił go strach.

Światelko wychwyciło z ciemności nieruchomą postać, stojącą kilka metrów od niego. Była obleczona w biały (całun, wydało mu się w pierwszej chwili) laboratoryjny kitel (przy czym było to jedyne odzienie) i stała bez ruchu, z głową przechyloną pod niemożliwym kątem na lewe ramię; długie, czarne włosy zupełnie zakrywały twarz. Ręce były opuszczone bezsilnie; na trupiobladych, gołych nogach zastygły ciekące spod fartucha strugi krwi.

Wydawało się, że ona (to na pewno kobieta, stwierdził) w milczeniu obserwuje nieproszonego gościa, uśmiechając się za zasłoną włosów grymasem nie wróżącym niczego dobrego. Wrzasnąłby ze strachu przed tym niewidocznym spojrzeniem, gdyby nie dławienie w gardle. Palce ostrożnie przesunęły się po podłodze, szukając płytki. W następnej chwili pojął, że jego przerażenie wywołało zaskoczenie. Wątpliwe, by ta kobieta go uderzyła. Zauważył rurkę przebijającą biały chałat i splot słoneczny. Postać była naszpikowana rurkami, jak owad szpileczkami. W tej chwili zrozumiał, że nikt go nie uderzył w głowę. Sam się walnął o rurę, gdy radośnie podskoczył.

Wstał i podszedł do martwej kobiety. Końcówki rurek, brunatne od krwi, sterczały na metr z jej pleców; ściekła z nich na podłogę cała kałuża. Z tyłu kitel był zachlapany mocniej niż z przodu, szybko więc zrezygnował z pomysłu, by przebrać się w tę okrwawioną szmatę (przy czym, oczywiście, trzeba by było zdjąć ciało z podtrzymujących je rur). Przyszła mu za to do głowy rozsądna myśl, przeszukać kieszenie fartucha.

Były tylko dwie. Prawa była pusta, za to w lewej znalazł złożoną kartkę. Rozłożył ją i oświetlił latarką. Była to jakaś odręcznie spisana lista (na szczęście, tym razem nie krwią):

Dr Calkrin – sam.

Dr Hart – zawał

Prof. Popławska – obłąd

Dr Silbershmidt – sam.

Dr Nakamura – sam.

Dr Lebrun – śpiączka

Prof. Ward – pożar laboratorium, prawd. sam.

Prof. Steiher – sam., w klinice psychiatrycznej

Dr Giroladini – śmierć w DTP, prawd. sam.

Dr Wong – udar mózgu

Prof. Kowalewa – zamknęła się w klasztorze z regułą milczenia

Obracał kartkę w dłoniach. Zagadkowe „sam.”... oznaczało prawdopodobnie samobójstwo („Zabij się teraz!”). Co jednak znaczył cały ten spis martwych uczonych? Nie wszyscy, co prawda, ostatecznie zginęli, lecz wszyscy poświęcili się dla nauki... Czy to możliwe, że były to widziane przedtem trupy? W takim razie jest jednym z ocalałych? Na przykład, profesor Popławska... nie, to jednak kobiecie nazwisko (zerknął na sterczącą obok nieboszczkę). Więc może Lebrun, co się zbudził ze śpiączki... chociaż chyba wylądował w prawdziwym szpitalu... tak, tak, już o tym myślał... czy możliwa jest jakaś kombinacja śpiączki z letargiem, przy której opuszczony przez wszystkich pacjent jest w stanie samodzielnie odzyskać przytomność? To czysta fantastyka... Do tej pory nie wiedział, na czym polegał eksperyment, jeśli to w ogóle był eksperyment.

I jeszcze jedno: pożar laboratorium, wielka awaria – nic z tego, co widział, nie pasowało. Chociaż

widział tylko cztery trupy... a w zasadzie trzy, na czwartego jedynie nadepnął. Skoro jednak wiadano o śmierci uczonych, dlaczego porzucono ich ciała? A może lista na kartce odzwierciedla jedynie oficjalną wersję wydarzeń?

A może wszystko tutaj jest tak zapuszczone właśnie dlatego, że wszyscy ludzie, wiedzący o tym podziemnym mieście, umarli, zwariowali lub wpadli w śpiączkę? Nie, to nonsens, przecież tak ogromne przedsięwzięcie nie mogło być inicjatywą niewielkiej grupki, nie uwzględnionej w prawnych lub korporacyjnych dokumentach... Chociaż, co może wiedzieć na pewno? Skoro nie wie nawet, jak się nazywa?

Przesunął smugą światła po podłodze w poszukiwaniu metalowej tabliczki, odnalazł ją i zatrzymał się, nie wiedząc, co zrobić z kartką. Niewygodnie było nieść w dłoniach trzy przedmioty, nie posiadając kieszeni. Może zapamiętać treść listy? Czy rzeczywiście jest tak cenna? Jedyne przedmiot w kieszeni kobiety, która umarła straszną śmiercią... Być może ta informacja kosztowała ją życie? Z drugiej strony, morderca nie zabrał tej kartki...

Tylko czy w ogóle był jakiś morderca? Nie było widać, aby ofiara się broniła; stała prosto, nogi nie były podgięte, jakie musiałyby być, gdyby siłą była wpychana, już konająca, nadziewając ją coraz mocniej na rury. I co najważniejsze – gdzie powinien znajdować się zabójca, żeby rury nie przeszkadzały mu w działaniu? Jemu także wbiłyby się w pierś... Jeszcze trudniej jednak wyobrazić sobie, że uczyniła to sama. Że sama się nadziała z jakąś potworną siłą i szła dalej, przesuając się po przebijającym jej ciało metalu, dopóki starczyło życia... Jaki straszny ból musiała odczuwać! Czy jest coś takiego na świecie, co mogłoby zmusić człowieka do takiego postępowania?! Nawet robiąc w jelitach nie wydawał się dostateczną przyczyną...

Czy to nie ona upuściła latarkę? Wątpliwe, by zrobił to morderca tak daleko od wyjścia!

Martwa osoba nie mogła już wyjaśnić niczego. Być może on sam był... jak się takiego nazywa?... patologiem! – i miał niezbędne instrumenty... Chociaż jednak wciąż nie wiedział, kim jest, z jakiego powodu był przekonany, że na pewno nie jest lekarzem.

Okręcił w końcu kartkę wokół rękojeści latarki i podniósł tabliczkę, po czym udał się na poszukiwanie wyjścia.

Latarka świeciła słabo – najwidoczniej bateria była prawie rozładowana, należało zatem przyspieszyć poszukiwania. Nawet jednak z taką odrobiną światła magazyn nie wyglądał już niczym zaczarowany las. Kontenery okazały się rozstawione w sposób nieskomplikowany, toteż dość szybko odnalazł wejście na schody. To go jednak już nie satysfakcjonowało, ruszył więc wzdłuż ściany, szukając wyjścia na zewnątrz. Ku swemu zdumieniu, obszedłszy całe pomieszczenie, nie znalazł innych drzwi. Stał jakiś czas ogłupiały – niektóre kontenery były zbyt duże, by przetransportować je windą. Jak je tu przeniesiono? Zerknął z powątpiewaniem na gasnące światelko i znowu ruszył w głąb składu.

Myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, okazała się prawdziwa. Znalazł je. Spore kwadratowe luki w podłodze – właściwie nie luki, tylko pomosty podnośników, unoszonych tłokami gdzieś z dołu. Więc to nie jest najniższy poziom podziemi? Może pod budynkiem przechodzą tunele... Tak, czy inaczej, nie mógł się tam dostać. Nie znalazł żadnych przycisków, uruchamiających podnośniki. Próby poruszenia któregoś z kontenerów także się nie powiodły. Trzeba było wracać z niczym na schody.

Tak, jak zaplanował, wszedł na wyższy poziom i wkroczył w przejście prowadzące wewnątrz cylindra. Tu też było całkiem ciemno, lecz wystarczyło, że zrobił parę kroków i światło zapaliło się z trzaskiem, znacznie mocniejsze, niż wcześniej i było to tak nieoczekiwane, że się wzdrygnął, ale zaraz dotarło do niego, że jakiś automat jeszcze pracuje. Zgasił latarkę, by oszczędzać baterię.

Kiedy obszedł szyb windy, znalazł się na korytarzu. Tu także usłyszał szcęknięcie, lecz światło się nie zapaliło. „Może zapali się w następnej sekcji” – pomyślał człowiek i zrobił kilka ostrożnych kroków do przodu. Miał powody do ostrożności. Podłoga pod nogami była nie tylko brudna, ale też śliska. Nie była to jednak świeża ani zaschnięta krew. Coś innego. I ten zapach. Do ogólnego wrażenia stęchlizny i zapuszczenia domieszało się coś nowego. Ciężkiego i niemiłego. Na pewno nie zgnilizny. Tak mogło cuchnąć coś żywego... coś, od czego nawet największy wielbiciel przyrody wolałby się trzymać z daleka.

Znieruchomiał. Wtedy usłyszał dźwięki. Ledwie dosłyszalne. Wilgotne. Skrobiąco-szeleszczące.

Podniósł latarkę, trzymając ją jak rękojeść miecza. Nie włączył jednak, zrobił jeszcze jeden krok, wiedząc (skądś mu się to wzięło), że znajdzie się w polu zasięgu czujnika uruchamiającego oświetlenie następnej sekcji. Nadzieja się potwierdziła. Trzasnęło i światło się zapaliło.

Ukazał się korytarz, wyglądający inaczej, niż pozostałe pomieszczenia tej dziwnej budowli. To znaczy, ogólnie był urządzony w tym samym stylu. Jeśli jednak gdzie indziej wszystko pokrywały kurz i brud, tutaj było jeszcze gorzej. Z sufitu co rusz zwisały wystrzępione czopy zakurzonej pajęczyny i blade, mięsiste sople; ściany były całe w zaciekach i wielkich plamach pleśni; na podłodze, zasypanej martwymi owadami, tu i ówdzie przebijały się przez sztuczne pokrycie paskudne grzyby, pokryte śluzem i wyglądające jak główki spędzonych płodów. Nie to jednak było najgorsze. To było jedynie tłem, ledwie zauważonym przez niego. Co innego, przed czym utknął sparaliżowany strachem i odrazą, na co omal nie wszedł po ciemku.

Jakiś metr od jego twarzy, w poprzek korytarza wisiał rozpięty trup. Rzecz jasna, nie pierwszy widziany dzisiaj, ale poprzednim, jak bardzo bolesny nie byłby ich zgon i tak się powiodło w porównaniu z tym nieszczęśnikiem. A raczej nieszczęśnicą; choć ciało było nagie, nie od razu pojął, że to kobieta. Była niemal całkowicie odarta ze skóry; u dołu zwisały skrawki, jakby oprawcy nie starczyło czasu lub coś go odciągnęło. Najstraszliwiej wyglądała jednak głowa z wytrzeszczonymi, pozbawionymi powiek oczami i rozwartą w ostatnim krzyku jamą gębową, pozbawioną warg. Nóg nie było: z bioder zwisały krwawe, ociekające tłuszczem strzępy, z których sterczały żółtawe kości, a wszystko niżej zostało nie tyle odrąbane, co wyrwane ze stawów. Brzuch męczennicy był rozpruty i jelita, wylewające się z rozcięcia, zwisały na podobieństwo nabrzmiąłych wymion. W rozkrzyżowane ręce wpijał się cienki, lecz mocny drut, przecinając nadgarstki do kości; lewa była przyczepiona w ten sposób do wspornika, na którym kiedyś, być może, znajdowała się kamera obserwacyjna, prawa do kratki wentylacyjnej w przeciwległej ścianie. (Wentylacja oczywiście nie działała, jak w całym budynku).

Trudno powiedzieć, jak długo trwała jej agonія; lecz obecnie w tym udręczonym i okaleczonym ciele znowu budziło się życie. Wilgotne, błyszczące ciało obrastało miejscami jakimś gąbczastym świństwem, a także podziurawione jakby wygryzionymi tunelami, z których co rusz wypelzały i chowały się na powrót ohydne stwory, mieszanka robala z insektem. Miały trójkątne główki, cienkie przednie łapki, tylko jedną parę, a dalej miękkie, wijące się korpusy, długości nie większej niż trzy centymetry, lecz na cieple (a tym bardziej, bez wątplenia, w środku) pełzało ich całe mnóstwo. Zapewne wydawane przez nie odgłosy zaniepokoiły go wcześniej. W odróżnieniu od mrówek, czy termitów, poruszały się ospale i niezgrabnie, często odrywając się od zwłok i spadając na podłogę. Pod ich przerażającym gniazdem znajdował się niemały stosik zdechłych poczwarek; jeszcze żywe miały się między trupkami towarzyszy.

Korytarz nie był tak wąski, by nie dało się obejść wiszącego ciała, lecz trudno o bardziej czytelny znak, że lepiej nie iść dalej. Cofnął się. Z otwartych ust martwej wylazło parę stawonogów i jakby czując nowy obiekt do założenia kolejnego gniazda, stosunkowo szybko, na ile pozwalała im

przyrodzona kondycja, popęzły w jego stronę. To była kropla, która przelała czarę: odwrócił się i zaczął uciekać. Bezduśny automat uznał, że światło na tym odcinku nie jest już potrzebne, toteż po chwili ciemność skryła grozę za jego plecami.

Zanim jednak zgasło światło, zdążył zobaczyć coś jeszcze. Na drzwiach windy, w takim miejscu, żeby konająca mogła to widzieć i zapewne jej własną krwią, napisane było jeszcze jedno zdanie, obwieszczając każdemu, kto się zaplątał w to przekłete miejsce: „ŚMIERCI NIE MA”.

Opamiętał się dopiero, gdy zadyszał się po ostrym biegu po kręconych schodach do góry. Padł na kolana i wsparł się rękoma o stopień, dysząc ciężko; serce waliło tak, jakby chciało połamać żebra, rozerwać skórę i plasnąć kawałkiem krwawego mięsa na brudną platformę. Podobnie, jak odpadające od trupa dziwne robale...

Znowu próbował wyplątać się z lepkich więzów paniki i rozumować logicznie. Czymkolwiek by było to, co widział przed chwilą, z pewnością nie było samobójstwem. I ten, kto to zrobił – kto lubi zabijać ludzi w taki sposób – całkiem możliwe, iż ciągle żyje i znajduje się wciąż w tym budynku... Zresztą, kto powiedział, że jest tylko jeden?

Odzyskawszy dech w piersiach (zauważając przy tym ze zdziwieniem, że wcale się nie poci), podniósł głowę i wpatrzył się w napis „NIE IDŹ TAM”. Aha, już tutaj był... wygląda, że dobiegł do pierwotnego poziomu... tylko tym razem nie zamierzał odbierać serio owych napisów. Zabij się teraz. Śmierci nie ma. Brednie... zwykłe majaczenia. Na pewno napisał to morderca. Zakręcony maniak, co ma nierówno pod kopułą. W każdym razie człowiek przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby tego, co on uczynił z tamtą kobietą... On albo oni, upomniał się znowu pozbawiony pamięci. Jednemu wariatowi jest jeszcze szansa dać radę gołymi rękami, a...

Spojrzał na swoje dłonie. No tak. Owinięta papierem latarka wałała się obok, lecz nigdzie nie było tabliczki. Przypominał sobie, jak podczas biegu zaczęła się zsuwać przepaska i machinalnie ją przytrzymał... Wszystko jasne, pomyślał ponuro. Cywilizowany człowiek w pełnej krasie: traci jedyną broń, żeby ocalić nikomu niepotrzebne resztki przyzwoitości... Należało zejść niżej i poszukać płytki. Nie mógł się zmusić do tego. Roiło mu się, że wstrętne czerwie pełzną za nim po schodach... A swoją drogą, czego może dokonać tą żalną tabliczką? Nie mogła nawet zastąpić zwykłego noża. Nie można nią zadać głębokiej rany, tylko drobne skaleczenie i to pod warunkiem, że przeciwnik się nie broni... Wszystko beznadziejne. Nigdy stąd nie ucieknie. Miał ochotę napisać na podłodze „WYJŚCIA NIE MA”. Gdyby akurat krwawił, może i tak by zrobił...

Potrząsnął głową. Trzeba walczyć z tymi napadami rozpacz. Trzeba... walczyć... Wziął latarkę i wstał. W górę po schodach? A może zbadać pozostałą część korytarza? Znalazł tam trzy trupy. Teraz jednak przekonał się, że niebezpieczeństwo może czaić się nie tylko tam. Pierwszy trup był w wannie za drzwiami tego pokoju, gdzie leżał nieprzytomny i bezradny. Rozumując logicznie, powinni go byli wykończyć właśnie tam, razem z tamtym facetem... A może jest wybrańcem? Może nie grozi mu to, co innym i dlatego jeszcze żyje? Zresztą, może wybrano go dlatego, że szykują dlań jeszcze gorszy los?

Westchnął ciężko. Bezsensowna zgadywanka. Ruszył do przejścia, wiodącego wewnątrz cylindra, nawet nie wiedząc, czemu wybrał akurat ten wariant – może po prostu dlatego, że nie chciało mu się wspinać po krętych schodach. Tym razem obszedł szyb windy z drugiej strony i znalazł się w części korytarza, gdzie jeszcze nie był.

Nie znalazł tu żadnych trupów – jeśli nie liczyć leżących miejscami na podłodze zdechłych karaluchów. Nagle przyszło mu do głowy, że na początku swojej wędrówki nie zauważyłby tych truchełek na brudnej podłodze. Tutaj było nie mniej brudno, ale... wyglądało, że światło, chociaż wciąż mrugające, paliło się trochę mocniej i bardziej stabilnie. Tylko w tym korytarzu, czy też na całym piętrze? Jakoś nie ucieszyło go to odkrycie. Może gdzieś tam odłączyli którąś sekcję plafonów

i dlatego nastąpił tu większy przyływ energii? Tak więc niedługo utrzyma się ta iluminacja... ale taki wariant i tak nie był najgorszy. Może... całe to miejsce „budzi się”? Nie jak chory wychodzący ze śpiączki, ale jak wampir zamknięty w grobowcu...

Doszedł do końca korytarza i znowu znalazł się w zewnętrznym kręgu. I zamarł. Z lewej strony dochodziły głucho uderzenia.

Stał chwilę, znowu żałując, że został bez żadnej broni (lekka latarka zupełnie się do tego nie nadawała). Teraz jednak tym bardziej nie chciało mu się wracać po tabliczkę. Podumawszy chwilę, doszedł do wniosku, że między nim a źródłem tych dźwięków znajduje się przegroda – inaczej odgłosy byłyby wyraźniejsze. Przyłożywszy dłoń do ściany okrągłego korytarza, poczuł, jak lekko drży w takt – wibracja wyraźnie docierała z daleka. Jakby ktoś bił głową o ścianę, co zresztą wcale by go nie zdziwiło. Może raczej ktoś lub coś usiłuje wyważyć zamknięte drzwi... lecz co będzie, gdy mu się to uda?

Mimo wszystko poszedł na lewo, w stronę dźwięków. Lepsze zło poznane od tego, którego jeszcze nie znamy. Jeśli tam wrywa się na swobodę taka sama ofiara jak on, uwolni ją. Jeśli natomiast przeciwnie, morderca wpadł w pułapkę... lub inny potwór, powiedzmy, kolejny mutant, o rozmiarach daleko większych niż owadzie... postara się wzmocnić drzwi, czy co tam powstrzymuje to stworzenie... Tylko jak to stwierdzić? Porozmawiać przez drzwi? A jeśli zabójca, jak by nie był szalony, przekonująco uda ofiarę?

Tymczasem uderzenia były coraz bliżej. Jeszcze parę kroków i zobaczył owe drzwi. Niczym się nie różniły od tych, jakimi sam niedawno wyszedł, jeśli nie liczyć uszkodzonego i wyraźnie zaklinowanego zamka. Oczywiście, ktoś się postarał, żeby tych drzwi nie można było otworzyć. Być może nie bez powodu?

Chyba jednak przecenił wytrzymałość drzwi, które trzęsły się i wyginały pod uderzeniami ze środka. Nie były uderzane rękami i nogami, lecz raczej całym ciałem. Wydało mu się nawet, że na drzwiach można już nawet dojrzeć zarys odcisniętej ludzkiej sylwetki i poczuł, że nie jest pewien, czy na pewno chce się spotkać z tym, kto tak uporczywie rwał się na zewnątrz.

Jednakże, podczas gdy stał niezdecydowany (nie było czym podeprzeć drzwi, chyba że własnym ramieniem), kolejne rozpaczliwe uderzenie wypchnęło drzwi na kilka centymetrów, a następny całkiem obaliło na podłogę. W ślad za nimi wypadło straszdyło.

Z głębokich mroków niepamięci wyplłynęło właściwe słowo: mumia. A dokładniej: ze starych filmów grozy. Postać praktycznie od stóp do głów spowita była brudnymi bandażami, gdzieniegdzie podartymi i zakrwawionymi. Brak ubrania, czy też obuwia. Spod węzłów na głowie miejscami wymykały się długimi, brzydkimi pasmami czarne sploty włosów. Pozbawiony pamięci odskoczył odruchowo.

– Kim jesteś? – spytał ochryple, unosząc przed sobą latarkę jak miecz.

Postać, odzyskawszy równowagę, zwróciła się w jego stronę. Wydawała się równie wystraszona, jak on.

– A ty? – zapytała.

Głos był kobiecy, podobnie jak kształty.

– Sam chciałbym wiedzieć – wymamrotał, zbyt późno zdając sobie sprawę, że mógłby zaprezentować się jako ktoś bardziej przytomny lub chociażby spróbować przejąć kontrolę nad pytaniami i odpowiedziami.

– Niczego nie pamiętasz? – odparła, drżącym z rozczarowania głosem. – Ja też. Jak długo tu jesteś?

– Kilkadziesiąt minut – stwierdził, wzruszając ramionami. – A może godzin. Nie jestem pewien,

czy prawidłowo oceniam upływ czasu od chwili, gdy oprzytomniałem, aż do tej...

Znów wzruszył ramionami.

– I ja. Ocknęłam się w zamkniętym pokoju, cała w bandażach. Jakiś czas myślałam, że ktoś do mnie przyjdzie i wszystko wyjaśni. Potem zaczęłam krzyczeć, wzywać pomocy. Zrozumiałam wreszcie, że nikt nie przyjdzie. Zaczęłam walić w drzwi... i to już wszystko. A ty? Przecież przyszedłeś z zewnątrz?

– Moje drzwi były otwarte.

– I co tam jest? To znaczy, dookoła?

– Nic dobrego – poinformował ponuro. – Nie znalazłem wyjścia, jeśli o to ci chodzi.

– To przecież nie jest szpital?

– Chyba że w piekle...

– I nie więzienie? Widzę przecież – dodała, rozglądając się – że jest tutaj zbyt brudno, nawet jak na areszt. Wyważyłam drzwi celi... Gdzie strażnicy, gdzie alarm? Wygląda, jakby od lat nikt tutaj nie zaglądał...

– My jesteśmy.

– Tak. Słuchaj, musimy się jakoś nazywać nawzajem...

– Zwykle „Ej!” nie wystarczy?

– Nie chcę być nazywana „Ej!” Może kogoś jeszcze znajdziemy...

Albo tamten nas znajdzie, pomyślał ponuro mężczyzna, lecz odparł głośno:

– Zgodnie z tradycją, możesz mnie nazwać: Adam.

Poprawił swoją jedyną odzież.

– Więc ja jestem Ewą – zgodziła się bez trudu. – Zgodnie z tradycją.

Zdaje się, że dopiero teraz zorientowała się, że nie ma na sobie ubrania. Zakutana w bandaż nie była też całkiem naga. Trudno było powiedzieć, czy to ją zmieszało.

Przypomniał sobie o karteczce, którą wciąż trzymał w dłoni razem z latarką.

– Posłuchaj, mówi ci coś nazwisko Popławska? Profesor Popławska. Pomyśl.

– Nie – zaprzeczyła, kręcąc głową. – A kto to jest?

– To może Lebrun? Hart? Albo Kowalewa?

„Na pewno to miejsce nie przypomina klasztoru...”

– Wiesz coś więcej? Kim są ci ludzie?

Podsunał jej kartkę w milczeniu. Jakiś czas odczytywała listę.

– Myślisz, że jesteśmy z tych uczonych? – spytała, oddając mu papier.

– Albo ofiarami ich eksperymentów. Nie wiem. Niczego nie wiem.

– Gdzie to znalazłeś?

– Ewo, czy w twojej wannie... przypadkiem... nie było trupa? – odpowiedział pytaniem.

– Trupa?! W wannie?!

Wytrzeszczyła oczy spod bandażu, aż w końcu do niej dotarło.

– Chcesz powiedzieć, że w twojej jest?

Milcząc, kiwnął głową.

– Dużo ich tutaj?

– Do tej pory widziałem pięcioro, ale nie chodziłem daleko.

– Wszystkie w wannach?

– Nie.

– Jak umarli?

– Tak, jak my nie powinniśmy – burknął Adam.

Przed oczami znów miał wizję kobiety rozpiętej w korytarzu i zadrzał. Ewa, sądząc po wyglądzie, też nieźle ucierpiała.

– Boli? – spytał współczująco, wskazując na zakrwawione opatrunki.

– Nie bardzo. Trochę się pokaleczyłam, wyważając drzwi. Dopiero teraz to zauważyłam.

– A stare rany?

– Nie. Widocznie wszystko się zabiłiło. Próbowалаm już zdjąć bandażę, ale...

– Nie dają się zdjąć – potwierdził Adam. – To samo u mnie.

– Najbardziej martwię się o swoją twarz – wyznała. – Nie boli, ale może zostałam oszpecona...

– Nie czas myśleć o urodzie – warknął, powiadając w myślach: „Kobiety!”

– Dobrze, pomyślmy o tym, jak się stąd wydostać. Czego się dowiedziałeś?

Opowiedział jej pokrótce, co widział do tej pory, nie wdając się w szczegółowe opisy nieboszczyków. I bez tego Ewa zaczęła drzeć na całym ciele, gdy została pobudzona jej wyobraźnia.

– Hyperion – powtórzyła. – To słowo brzmi jakoś złowrogo.

– Myślę, że to nie samo słowo, ale to, co za nim się kryje i czego nie możemy sobie przypomnieć.

– Nie możemy albo nie chcemy.

Zmuszony był przyznać jej rację. Za każdym razem, kiedy próbował sobie przypomnieć, z dna duszy unosił się strach, niczym wzburzony muł.

– No, dobrze – rzekł na głos. – Pójdziemy do góry. Na tym piętrze na pewno nie ma wyjścia.

– Nie obszedłeś jednak całego? Mogą być inni ocalali. Skoro my się zbudziliśmy...

– Nie chcę tutaj zostawać.

Do tej pory jej ulegał, lecz teraz postanowił odwrócić sytuację i zacząć decydować.

– Jeśli nie znajdziemy wyjścia, zawsze możemy tu wrócić. A jeśli znajdziemy, przyślemy tu ratowników.

– Może masz rację – zgodziła się Ewa. – To miejsce mrozi krew w żyłach. I nie chcę oglądać trupów.

„Obawiam się, że zobaczysz je nie tylko na tym piętrze” – pomyślał Adam, lecz nie powiedział tego głośno.

Poszli w stronę schodów i przekroczywszy ostrzegawczy napis, zaczęli wchodzić na górę.

Droga okazała się o wiele krótsza niż na dół. Tylko dwa piętra. Gdy weszli na sam szczyt, znaleźli się pomiędzy windą a rozsuwanymi drzwiami; nie było żadnego korytarza. Kiedyś owe drzwi były bez wątpienia zamknięte, ktoś jednak, sądząc po śladach, wbił jakiś gruby klin pomiędzy skrzydła, a potem rozsunął je za pomocą dźwigni. W pierwszej chwili Adam ucieszył się, że sam nie musi tego robić (tym bardziej, że szturmujący uniósł taran ze sobą), lecz zaraz zrozumiał, że gdyby poprzednik w ten sposób wydostał się na wolność, jacyś ratownicy już by tutaj byli. Sądząc po warstwach kurzu, wyłom zrobiony był bardzo dawno... Za drzwiami było ciemno, chociaż nie całkiem: w mroku jarzyły się jakieś ogniki. Gwiazdy? Na zewnątrz jest noc? Adam włączył latarkę i zdecydowanie ruszył do przodu, Ewa szła za nim.

Nie była to jednak ulica nocą ani nawet okno na takową wychodzące. Świeące kropki przypominały gwiazdki, lecz razem z gwiazdami nie widzi się w oknie żadnych napisów. Była to projekcja na ekranie... a raczej, co wykazała smuga światła, na szklanej ścianie zastępującej ekran. Niżej światelko wychwyciło z mroku podręczną konsolę, ciągnącą się wzdłuż ściany, a przed nią stały dwa wysokie fotele z podglówkami.

Zatrzymawszy światło na jednym z foteli, zauważył zwisającą rękę. Spodziewał się coś takiego zobaczyć.

Adam i Ewa podeszli bliżej. W obu fotelach siedzieli ludzie: w lewym mężczyzna, w prawym

kobieta. Oboje tylko w bieliźnie. Głowa mężczyzny bezsilnie opadła na pierś, głowa kobiety była odchylna do tyłu. Mętne światelko latarki oświetliło bladą twarz, rozdartą od góry do dołu głębokimi ranami, jakby śladami szponów, a zamiast oczu były puste krwawe otwory. Ewa nie mogła powstrzymać krzyku i uchwyciła się ramienia Adama. Ten podniósł za włosy głowę faceta. Oblicze tego trupa też było rozszarpane, ale nie tak głęboko. Za to usta i cały podbródek pokrywała zaschnięta krew. Błysnęły zęby, lecz nie wszystkie: niektóre były połamane, jeden sterczał krzywo z dziąsła.

– Co to jest? – spytała Ewa z obrzydzeniem, nastąpiwszy bosą stopą na coś miękkiego i zimnego.

Adam poświecił i schylił się.

– Według mnie ludzki język – skonstatował, patrząc w podłogę.

– Ohyda... odcięty?

– Raczej odgryziony...

– A ręce! Widzisz, co się stało z jego dłońmi?!

Adam przesunął światelkiem po obu rękach mężczyzny, oświetlając okropny widok. Wyglądały, jak pokąsane przez oszalałą bestię: wyrwane kawałki mięsa, rozszarpane żyły i tętnice. Krew zalała podłokietniki i zastygła wielką kałużą pod fotelem...

– Oszaleli i rozszarpali się nawzajem? – zasugerowała Ewa drżącym głosem.

– Chyba jeszcze gorzej – odparł, kręcąc głową, kucając i omiatając światłem palce obojga zabitych. – Każde z nich zrobiło to sobie. On pogryzł własne ręce i wykrwawił się, a ona rozorała sobie twarz paznokciami do kości, wydlubała oczy i wbiła palce prosto do mózgu.

– Co tutaj się stało?! – zawołała Ewa głosem drgającym na granicy hysterii. – Może w powietrzu jest jakieś świństwo, które doprowadza ludzi do szaleństwa?

Zrobiła ruch, jakby chciała uciekać, lecz chwycił ją za rękę.

– Gdyby tak było, dawno by się rozeszło po całym budynku. Drzwi są otwarte.

– No i się rozeszło! Sam mówiłeś, że wszędzie leżą okaleczone trupy!

– Ale z nami wszystko w porządku. Jeśli coś nawet było, dawno przestało działać.

– W porządku?! To jest dla ciebie „w porządku”?! – pytała, wskazując rozczapierzoną dłońią na swe bandaże.

– W każdym razie lepiej, niż z nimi – odparł, wskazując na zwłoki. – Nie mają na sobie żadnych bandaży. I kiedy to się z nimi stało, byli w ubraniach nie przepuszczających krwi.

– A jakże. To pewnie oni wszystkim dowodzili.

– Nie wiem... Tak, czy owak, ci, którzy ich rozbierali, okazali ciałom pewien respekt. Posadzili z powrotem w fotelach, zamiast po prostu rzucić na podłogę.

Odwrócił się i poświecił na konsolę, całkiem wygaszoną.

– Czego nie można powiedzieć o pulpicie. Tu wszystko zniszczyli z taką samą zaciekłością, jak gdzie indziej... Tylko z ekranem nie dali rady, ponieważ obraz znajduje się pośrodku ściany, a ona jest, jak widać, dostatecznie wytrzymała... Nie wiem, co tutaj zaszło, ale przynajmniej wiem, co to za miejsce.

– Tak?

– Statek kosmiczny. Nie jesteśmy na Ziemi.

– Uważasz tak, ponieważ ten obraz przypomina mapę gwiazdną?

– To jest mapa gwiazdna. Ale nie tylko to...

Znowu poświecił na fotele.

– Widzisz te rzemienie? Naramienne, lędźwiowe... na Ziemi byłyby niepotrzebne.

– Nie ma nieważkości.

– Więc tutaj istnieje sztuczna grawitacja lub jeszcze jakieś inne zjawisko fizyczne, którego nie

znamy.

– A może już wylądowaliśmy?

– Może. Lecz raczej wątpię...

Adam znów spojrział na wielki ekran. Niczego praktycznie nie pamiętał z astronomii, ale nie sądził, by podpisy pod jasnymi krążkami były nazwami gwiazd. W ogóle ta mapa była niezwykła. Gęstość gwiazd zmniejszała się im bliżej centrum, gdzie znajdowała się dziwna plama, przypominająca kształtem motyla; nie miała wyraźnych zarysów, lecz im bliżej środka, tym było bardziej świetliste. Na granicach plamy widać było trochę gwiazd, lecz w środku było pusto. W pierwszej chwili Adam pomyślał, że to uszkodzenie ekranu – całkiem zrozumiałe, zważywszy, w jakim stanie było wszystko na tym statku – po chwili jednak doszedł do wniosku, że ten „defekt” wygląda zbyt regularnie. Potem jego uwagę przyciągnęło migotanie w lewym dolnym rogu. Rytmicznie wyskakiwało tam i gasło czerwone kółko z napisem „Glize 581”. Jeszcze bardziej na lewo jaśniał żółty krążek, podpisany „Słońce”.

– Mówi ci coś ta nazwa: „Glize 581”? – zapytał Adam.

– Nie... nie wiem. Może zdołam sobie przypomnieć...

– Myślę, że to nasz cel. A raczej był. Tylko dawno go minęliśmy i teraz jesteśmy tutaj – stwierdził, wskazując na środek „motyla”.

– Czyżby ludzie nauczyli się lotów międzygwiazdnych? Nic o tym nie wiem.

– Ja też. Wygląda, że tak. Nie pojмали nas kosmici, to na pewno ziemski statek, sądząc choćby po napisach...

– I co, według ciebie, tu zaszło?

– Nie wiem. Jakiś obłąd. Diabli wiedzą, czym wywołany, ale na kolejnych członków załogi zadziałał inaczej. Zaczęli niszczyć aparaturę i zabijać się nawzajem albo samych siebie, chociaż nie mniej okrutnie. Chyba wszyscy stracili pamięć.

– A bandaż?

– Pewnie zostaliśmy poranieni w walce z tamtymi, ale jednak przeżyliśmy.

– Nie o tym mówię. Powinna być jeszcze czwarta kategoria. Kto nas opatrzył, kto udzielił pomocy? Jeżeli ktoś z załogi pozostał żywy i zdrowy, to gdzie się wszyscy podzieli, dlaczego nie próbują naprawić statku, dlaczego nas zostawili? Na dodatek zamknęli mnie...

– Nie sądzę, by ktoś tutaj pozostał żywy – odpowiedział, kręcąc głową. – A przynajmniej normalny. Wszystko wygląda na porzucone. Może ten, kto nam pomógł, zginął później. A może utrata pamięci nie była jednoczesna i zdążyliśmy jeszcze opatrzyć się wzajemnie. Nie możemy teraz znikąd oczekiwać pomocy.

– A dlaczego ktoś mnie zamknął?!

– Żeby ochronić przed tymi, co jeszcze chodzili na zewnątrz – wyjaśnił, wruszając ramionami. – Jeśli ja to zrobiłem, wiem teraz, dlaczego sam się nie zamknąłem. Widocznie można to było tylko zrobić, wyłamując zamek i bałem się, że nie wyjdę...

– W każdym razie, któryś z szaleńców jest ciągle żywy?

– Nie wiem. Mam wrażenie, że jesteśmy tu sami, lecz wolę niczego nie zakładać z góry. Statek jest duży...

– A co z ubraniami?

– Z ubraniami? – nie rozumiał Adam.

– Powiedzmy, że nas rozebrano, by udzielić pomocy medycznej, chociaż nie wiadomo, dlaczego nie zostawili odzieży w naszych kajutach... zwłaszcza, jeśli to my zrobiliśmy... Powiedzmy też, że szaleńcy zrywali ubrania ze swoich ofiar. Sam jednak mówiłeś: ten, kto rozebrał pilotów, okazał

szacunek ich ciałom...

– No... nie wiem. Być może szaleństwo nie wszystkich dopadało jednocześnie...

– Wcale nie jestem pewna, czy twoja hipoteza z szaleństwem ma sens. Czy te wszystkie zabójstwa i zniszczenia są dziełem rąk ludzkich.

– A czyich? Chcesz powiedzieć, że mamy na pokładzie obcego? – spytał, uśmiechając się sceptycznie.

– A dlaczego nie? Długo przebywaliśmy na tej Glize. I znaleźliśmy tam jakąś formę życia... albo ona nas znalazła...

– I jakiś stwór łązi do tej pory po komorach i korytarzach?

– Skoro nikt nie dał mu rady, być może tak jest... i jeśli sam nie zdechł...

– Nie, zaczekaj. Przypuśćmy, że niektóre ze śmierci da się tak wyjaśnić. Zwłaszcza, jeśli to stwór rozumny, gdyż wątpię, by jakieś zwierzę rozwiesiło trupa na drucie... Ci piloci jednak na pewno sami ze sobą skończyli w niezbyt przyjemny sposób!

– Tego nie wiemy – sprzeciwiła się. – Wybite zęby i połamane paznokcie mogą być rezultatem walki, podobnie rany. To, że ślady ukąszeń przypominały ludzkie, niczego nie dowodzi... Nie wiemy przecież, jak on wygląda.

– Albo oni.

– Tak. Albo oni.

Adam milczał jakiś czas, patrząc na zniekształcone ciało mężczyzny. Potem przesunął smugę światła, nie mając więcej sił patrzeć na tę okropność. Tak było jednak jeszcze gorzej: z głębin świadomości, gdzie nawet u najbardziej racjonalnie myślącego człowieka czai się irracjonalność, wychynęło wrażenie, niemal pewność, że ukryty w mroku trup, wykorzystując swą niewidzialność, zaraz się poruszy i zacznie bezdźwięcznie wstawać z fotela i wyciągnie ogryzione ręce ku pożywieniu, którego się wreszcie doczekał... w końcu nie bez powodu ktoś napisał krwią na schodach: „NIE IDŹ TAM!”.

Mężczyzna spróbował stłumić strach i myśleć rozsądnie.

– Może masz rację w sprawie lądowania na Glize – powiedział powoli. – Wszystkie te insekty... pająki i karaluchy mogły zmutować ze zwyczajnych, choć trudno mi sobie wyobrazić, skąd wzięty się na gwiazdnym promie i dlaczego nie został odpowiednio oczyszczony przed startem. Ale pozostałe... mieszanki robaków z owadami... na Ziemi nie ma takich stworzeń.

– Tak dobrze pamiętasz, co jest na Ziemi?

– Nie... ale jest różnica między „zapomniałem” a „nigdy nie widziałem”. W każdym razie niektóre niejasno sobie przypominam, ale co do tych, jestem pewien, że nie pochodzą z naszego świata. Przypuśćmy, że wzięli je na pokład jako okazy miejscowej fauny, a potem stało się coś takiego, że mogły rozpełznąć się po całym statku... Nie wiem, czy jest jeszcze coś większego. Małe owady także mogą być roznośicielami infekcji, która jakoś zadziałała na mózgi...

– A teraz? Uważasz, że okazaliśmy się odporni?

– Nie wiem – odparł z ciężkim westchnieniem. – Skąd mogę wiedzieć. Oprócz jednego: nie zdołamy się stąd wydostać.

– Może jeszcze można skierować statek na Ziemię – stwierdziła bez przekonania – albo wysłać wołanie o pomoc.

– Jak?

Adam omiół światłem zniszczony pulpit.

– Nawet jeśli znajdziemy narzędzia... czy masz choćby blade pojęcie o tym, jak tutaj wszystko działało? Nawet nie pamiętaliśmy, że ludzie potrafią latać ku gwiazdom...

– Może znajdziemy nie tylko narzędzia, ale także instrukcje – nieśmiało się sprzeciwiła. – I później uda się nam jednak coś sobie przypomnieć. Chociaż...

Zamilkła nagle.

– Co, chociaż?

– Boję się.

– Nic dziwnego.

– Nie o to chodzi. Boję się wspominać. Chwilami wydaje mi się, że już prawie dobrałam się do własnej przeszłości, lecz wtedy rośnie we mnie groza... Jakby krzyczał ktoś w mojej głowie: „Nie, nie wspominaj, nie myśl o tym!”. Ty też tak miałeś? Od chwili, gdy się ocknałeś?

– Tak było – wyznał Adam. – Nie ma w tym żadnej mistyki, po prostu nieźle oboje oberwaliśmy, a zwłaszcza ty... Reakcja obronna. Hm, „nie myśl” – przypomniał sobie – napisał ktoś na najniższym poziomie. Swoją drogą, nie wydaje ci się, że gdyby załoga walczyła z potworami, zostawiałyby bardziej sensowne napisy? Nawet jeśli uznamy, że nie mieli czym pisać, jak tylko krwią... tym bardziej należało pisać coś bardziej użytecznego. A tu mamy: „Nie idź tam!”. A jednak poszliśmy i co z tego?

– Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy na statku.

– I co w tym złego? Chociaż... tak, oczywiście. Dowiedzieć się, że jesteśmy miliardy mil od Ziemi, na zepsutym promie kosmicznym, nieprawidłowo lecącym wciąż dalej i dalej w nieskończoną próżnię... jeśli zawierzyć mapie, tu nie ma nawet gwiazd... Gdybyśmy się tego jednak nie dowiedzieli, czy nasze położenie byłoby lepsze?

– Zmarlibyśmy w niewiedzy – odparła, wzdychając.

– Tak, jak ci? I pozostali? Mało kto z nich umarł lekką śmiercią. A w ogóle uprzedzony znaczy uzbrojony...

– Dobra – przerwała mu – cała ta rozmowa doprowadza nas tylko do rozpacz!

Wzdrygnął się, słysząc to słowo.

– Chodźmy szukać narzędzi, instrukcji, ocalałych, w ogóle czegokolwiek!

Opuścili kabinę, z napięciem wsłuchując się w ciszę złowrogiego statku. Nie słychać jednak było, jak poprzednio, żadnych dźwięków, oprócz elektrycznych trzasków mrugających lamp. Zresztą teraz Adam nie miał już wątpliwości, że świeciły nieco jaśniej. Nie wiedział, jak to wyjaśnić, tak jak wszystko inne na tym przekętym promie. Podzielił się obserwacją ze swą towarzyszką, ta jednak tylko wzruszyła ramionami i stwierdziła, że światło wydaje się im jaśniejsze po ciemnościach kabiny. Zeszli na niższy poziom. Tutaj także znajdowały się jakieś urządzenia sterujące, lecz zostały zniszczone w taki sposób, że ich przeznaczenia można się było tylko domyślać. Wśród odłamków wałały się martwe karaluchy mutanty i apatycznie pełzały pozostałe przy życiu.

– Zastanawiam się, czy tych zniszczeń dokonali szaleńcy albo potwory? – powiedziała Ewa. – A co, jeśli ktoś tego dokonał całkowicie świadomie?

– Kto? – spytał z krzywym uśmiechem, z obrzydzeniem szukając miejsca, gdzie postawić stopę. – Terrorysty samobójcy?

– Członkowie załogi, którzy zrozumieli, że ten statek nie powinien wracać na Ziemię... nigdy tam wylądować ani na żadnej innej planecie. Dlatego skierowali go w bezgwiezdną przestrzeń, a potem...

– Ale po co?!

– Żeby na Ziemi nie powtórzyło się to samo, co tutaj – wyjaśniła, wzruszając ramionami.

– Z powodu tych stworków? No cóż. Nawet jeśli roznoszą zarazę, istnieją przecież zasady kwarantanny. Statek można trzymać na orbicie, dopóki uczeni go nie zbadają...

– A jeśli te zasady są niewystarczające? Na pewno, kiedy oni... to znaczy, my... kiedy braliśmy to

świństwo na pokład, to przecież nie w tym celu, by rozlało się po całym statku. Mówiłeś, że jest „tego” więcej dwa piętra niżej. Widocznie tam znajdowało się nasze terrarium, czy też zbiór okazów, czy jak to się jeszcze nazywa... i byliśmy pewni, że nie wydostanie się stamtąd żadna bakteria...

– No, powiedzmy, że ktoś popełnił pomyłkę, nie zamknął w porę drzwi, nie przeszedł dezynfekcji... ale to jeszcze nie znaczy, że to paskudztwo jest w stanie przenikać przez ściany statku i próżnię kosmiczną!

– Nie wiem. Może problem nie polega na chemii ani fizycznym przechodzeniu przez ściany...

– A na czym?

– Na jakimś oddziaływaniu z dystansu, przed którym nie chronią nasze systemy obronne.

– Telepatyczne czerwie?

Chrząknął sceptycznie, lecz po chwili zastanowił się poważnie nad tą koncepcją.

– Padlinożercy, wywołujący u co silniejszych stworzeń niekontrolowaną agresję i w ten sposób zdobywający nową padlinę i żerowiska...

Zadrżał na wspomnienie kobiecego trupa, zamienionego w ogromne mrowisko... ul?

– Ta hipoteza sporo wyjaśnia. Na przykład, czemu tutaj zwłoki nie gniją. Skoro ta fauna impregnuje je jakimś konserwantem... Tylko po co niszczyć wszystkie urządzenia na statku, odbierając szansę pozostałym?! Skoro ocaleliśmy i zostaliśmy normalni, musi działać jakiś system obronny!

– Może nie byli pewni, czy zostaliśmy normalni. Byliśmy nieprzytomni, a oni nie mieli czasu czekać, jak się to skończy... Jest jednak gorsza wersja.

– Gorsza, niż lecieć w międzygalaktyczną próżnię bez szansy kierowania statkiem?

– Tak. Że nie zostaliśmy normalni. Jeśli te stworzenia są wewnątrz nas.

Adam zamarł, wsłuchując się we własne myśli. Już wcześniej był gotów wyobrazić sobie, że pasożyty przegryzają jego wnętrzości, czuł jednak tylko lepki chłód strachu, rozlewający się wokół żołądka. I ten lęk nie chciał zniknąć, niezależnie od okoliczności zewnętrznych.

– Nie widziałaś czerwia, który wypełził z jelit tamtego faceta – oznajmił ochryple, starając się przekonać nie tyle ją, co siebie – ani tych z nóżkami... one są wystarczająco silne, żebyśmy je już poczuli...

– A jeśli one po prostu czekają na swój czas? – sprzeciwiła się Ewa. – Larwy mogą być całkiem miękkie. I mogą się okazać nie takie tępe, na jakie wyglądają. Wiedzą, że jesteśmy ostatni na pokładzie. Pozostawiają nas przy życiu do chwili, gdy spotkamy kolejnych potencjalnych nosicieli i przeniesiemy zarazę dalej...

– Wszystko jedno – upierał się, krzywiąc usta – to niemożliwe, by ludzie potrafiący pokonywać międzygwiazdne przestrzenie, nie umieli dać sobie rady z jakimiś pasożytami! Nie mogą mieć jakiegoś specjalnego zmysłu... mam na myśli pasożyty... widzisz, jak powoli uciekają spod nóg i bez trudu można je rozgnieść! A ile tymczasem zdechło...

– Na pewno trudno im się zaadaptować w nieprzyjaznym środowisku. Niektórym jednak udało się całkiem dobrze.

Przykucnęła i wzięwszy ułamek plastiku, pogrzebała nim w kupce martwych „karaluchów”, a potem przewróciła jeszcze żywego na grzbiet, który zaczął ospale miotać się, nie mając szansy przywrócić normalnego położenia. Z cichym chrzęstem rozmazała go na podłodze.

– Nie rozumiem, skąd mogły się wziąć takie stworzenia – powiedziała. – Zauważyłeś, że mają różną liczbę nóżek?

– Przecież od razu ci o tym powiedziałem!

– Mam na myśli nawet te przynależące do jednego gatunku. Ten na przykład ma odnóża parzyste,

ale różnej długości. Jaka ewolucja mogła stworzyć coś takiego?! Liczba parzysta jest koniecznością... to przecież nie tylko kaprys ziemskiej przyrody. To celowa funkcjonalność, dziedziczona z pokolenia na pokolenie, charakterystyczna dla odrębnych gatunków... Jak może wyglądać świat, w którym podlega ewolucji tak niewydarzone stworzenie z nogami nie do pary i w dodatku różnej długości?!

– Jak świat nocnych koszmarów – mruknął Adam i dodał po namyśle: – u schizofrenika. Słuchaj, a może wcale się nie zbudziłeś? Może to tylko halucynacje? Wszystko bym oddał, żeby zbudzić się teraz w przytulnej klinice psychiatrycznej...

– Więc jesteś moją halucynacją – stwierdziła Ewa. – Oczywiście, z mojego punktu widzenia. A z twojego ja...

– Lepiej być halucynacją, niż nosicielem czerwi... Ja boję się karaluchów – wyznał ponuro – i pajaków. Robali też nie lubię...

Zerknął bezradnie na swoje ciało, oblepione nieusuwalnymi opatrunkami, jakby oczekiwał, że zobaczy, jak coś przesuwają się pod skórą. Może to właśnie jest pod bandażami: dziury wygryzione przez larwy...

– Wysunęłaś hipotezę, której nie możemy zweryfikować! I bez tego jest strasznie...

– A przecież sam mówiłeś: ostrzeżony, znaczy uzbrojony – wypomniała mu, bez specjalnej satysfakcji.

Smutek i strach gryzły ją od środka na podobieństwo czerwi.

– Chodźmy dalej i zrobmy cokolwiek, bo inaczej zwariuję...

Weszli w korytarz, otaczający szyb windy, i skierowali do następnych drzwi.

– Swoją drogą, zauważyłaś jeszcze jedną osobliwość? – zapytał Adam. – Nigdzie na tak wielkim statku nie ma na drzwiach tabliczek. Oczywiście załoga powinna orientować się, gdzie co jest, ale mimo wszystko można pomylić drzwi, zwłaszcza w kolistym korytarzu...

– Tak – przyznała. – Wątpię, by tak to zaplanowano.

Pochylił twarz ku drzwiom, oglądając je dokładnie w świetle latarki.

– Tak, jak myślałem, była tutaj tabliczka – stwierdził. – Można zobaczyć ślad po niej. Ktoś zerwał je ze wszystkich drzwi... Dlaczego?

– A dlaczego niszczył oprzyrządowanie?

– Myślisz, że po to, żebyśmy nie mogli zawrócić? Brak tabliczek to nie to samo, co rozwalone pulpity. Prędzej, czy później zbadamy wszystkie pomieszczenia. Bardziej prawdopodobna jest moja wersja bezmyślnej furii. Albo... komuś zależało, abyśmy zorientowali się w pomieszczeniach jak można najpóźniej. Nie całkowicie... on oczywiście zdawał sobie sprawę, że brak napisów nas nie powstrzyma... lecz, żeby to nastąpiło z opóźnieniem. No, nie wiem. Może to jakaś bzdura...

– Może nie bzdura – podchwyciła Ewa. – Im dłużej będziemy błądzić, tym więcej stracimy czasu i tym mniejsza szansa na powrót. Więc taka szansa jednak istnieje!

– Naprawdę w to wierzysz? – spytał z westchnieniem Adam i chwycił za klamkę. – Dobra, zobaczmy, co tam jest.

Nie było tam niczego dobrego.

Adam usłyszał za plecami zduszony, gardłowy dźwięk i od razu zrozumiał, w czym rzecz. Jemu się też to zdarzało: żołądek Ewy skurczył się w wymiotnym spazmie, lecz z ust nie wyszło nic poza tym właśnie jękiem.

W pomieszczeniu było całkiem widno. Nie było w nim żadnych urządzeń ani mebli, jeśli nie liczyć szczątków rozwalonego krzesła na podłodze. Wnętrze było półokrągłe; wygięta ściana naprzeciwko wejścia, stanowiła panoramiczny ekran, jak domyślał się Adam, wykonany za pomocą tej samej technologii, co mapa w kabinie pilotów. Wyglądało, że to pomieszczenie było połączeniem biblioteki

z salą kinową; bez wątpienia, kiedy wszystko jeszcze tu działało, można było zdobyć dostęp do zasobów informacyjnych statku także z innych miejsc, lecz tutaj były ku temu najlepsze warunki. Ze szczeliny w ścianie po lewej wystawała zmięta biała wstęga, wyglądająca teraz bardziej jak rolka papieru toaletowego, lecz na pewno można było odczytać z niego potrzebne dane. Nie było widać nigdzie panelu sterującego – widocznie sterowało się głosowo albo funkcjonował jeszcze jakiś inny interfejs.

Nie od razu jednak Adam i Ewa zwrócili uwagę na owe techniczne szczegóły. Po pierwsze rzuciły im się w oczy rozliczne plamy krwi na ekranie i ścianach – tu i ówdzie przyschły także jakieś białawe grudki – i zwinięty w pół trup na podłodze pod ekranem. Był to mężczyzna w spodenkach i butach, lecz poza tym nagi. Głowa zamieniła się w bryłę mięsa, gdzie pomiędzy kłakami pozlepianych włosów sterczały ostre ułamki kostne od skroni do skroni; cała górna część czaszki była rozłupana i przez tę okropną szczelinę wyciekły fragmenty mózgu. Obok obróconej na bok głowy na podłodze leżały wybite oczy, pokryte śluzowatymi kroplami; niteczki nerwów wciąż jeszcze łączyły je z pustymi oczodołami.

Palce trupa pokrywała brunatna warstwa zaschniętej krwi... i chyba nie tylko. Tuż nad nim w skos po ekranie widniał kolejny napis. Inny, niż poprzednie. Litery były krzywe, różnej wielkości, zachodzące na siebie i w ogóle wyglądało to tak, jakby pisał ktoś mocno pijany, do tego cierpiący na chorobę Parkinsona. W wielu miejscach przyłgnęły białe grudki i włosy. Mimo wszystko, można było próbować to odczytać.

– ĆMAMIKROKOM=MAK – przeczytał Adam. – Boże... to chyba zostało napisane jego mózgiem.
– W jakim sensie?

Ewa wciąż odczuwała mdłości, lecz mogła już mówić.

– W dosłownym. Rozbił sobie głowę o ścianę... albo ktoś mu w tym pomógł... a potem ktoś zmaczał palec w pękniętym czerepie jak w kałamarnicy...

– Myślę, że nikt mu nie pomagał – sprzeciwiła się drżącym głosem. – Wszystko zrobił sam, włącznie z napisem. Dlatego jest taki krzywy.

– Czy człowiek w takiej sytuacji da radę pisać? Wykorzystując na kolejną literę kawałek własnego mózgu?

– Ludzki mózg posiada ogromne zasoby funkcjonalne – pochwaliła się niespodziewaną wiedzą Ewa. – Może zaniknąć jedna półkula, lecz dana jednostka wciąż może funkcjonować, niemal bez widocznego uszczerbku, choć mogą zostać utracone poszczególne umiejętności albo pojęcia...

– Ten na pewno doznał uszczerbku. Być może początkowo chciał napisać coś sensownego, lecz wyszedł zupełny bełkot.

– Nie sądzę, by to był bełkot – odparła Ewa, kręcąc głową i wsłuchując we własne niejasne wspomnienia. – Ćma... mikrokom... myślę, że to miało znaczyć „mikrokosmos”. Mikrokosmos jest obrazem makrokosmosu, to chyba chciał napisać. Kiedyś, dawno temu, słyszałam coś takiego... ale nie mogę sobie przypomnieć, co to oznacza.

– To ze średniowiecza – przypomniał sobie Adam. – Przekonanie alchemików, że ludzka natura jest tożsama z naturą wszechświata. Rozumieli to jednak nie w tym znaczeniu, że prawa fizyki są jednakowe dla wszystkich, lecz bardziej dosłownie i prymitywnie, otaczając to jeszcze mistyką... Diabli nadali! Nie pamiętam, jak działa statek kosmiczny, nie pamiętam swojego imienia, a przypominam sobie takie bezużyteczne głupstwa...

– On chyba nie uważał tego za bezużyteczne – odparła cicho Ewa.

– I nic mu to nie pomogło – prychnął gniewnie Adam. – A propos użyteczne...

Ruszył w stronę zwłok. Kobieta została w progu.

– Co chcesz zrobić? – spytała.

– Po pierwsze zabrać buty... Podzielimy się po bratersku? Dla ciebie lewy, a dla mnie prawy...

Chciała odrzec, że to głupi żart, lecz zorientowała się, że mówi to śmiertelnie poważnie.

– Niewygodnie chodzić w jednym bucie – oświadczyła. – Dla mnie na pewno za duże. Weź sobie, jeśli chcesz.

– Dobrze.

Adam założył buty, mimochodem zauważając, że nieboszczyk nie miał skarpetek. Obuwie, wbrew obawom, całkiem pasowało.

– Jeszcze jednego nie rozumiem – zauważył – gdzie podziały się wszystkie ubrania. Na razie wiemy tylko, że piloci w kabinie zginęli ubrani, inaczej ich ciała byłyby całe we krwi. Ktoś potem zabrał ich ubrania, nie przejmując się, że są okrwawione. Wszyscy pozostali, włączając nas...

– Nie znaleźliśmy jeszcze dwojga – przypomniała mu Ewa.

– Tak, ale statek jest wielki. I nie wiadomo, czy było ich dwoje. Wzięli dwa ubiory, ale to nie przesądza ich liczby...

– Może jeszcze żyją?

– Wątpię. Jeśli, tak jak my, przeżyli katastrofę, mogli zostawić jakieś znaki dla pozostałych. Sensowne informacje, nie takie bzdury...

Kiwnął głową ku ścianie.

– Na przykład: „miejsce zbiórki tam i tam”...

– A czy my zostawiamy jakieś sensowne napisy?

– Hm – zmieszał się Adam. – Słusznie. Nie przyszło mi to do głowy.

– To może zaczniemy?

– Nie sądzę – odparł, kręcąc głową. – Jeśli po statku błąka się ktoś jeszcze, nie wiemy, kim jest i w jakim stanie. I czym zakończy się spotkanie.

– Może oni myślą podobnie.

– Możliwe. Zresztą...

Pochylił się i szarpnął kawałek ostrej kości z rozłupanej głowy trupa.

– Co robisz?!

– Potrzebna nam broń. Chociażby taka.

Przekonawszy się, że kości nie da się wyłamać, wyprostował się i z całej siły kopnął obutą stopą trupa głowę. Rozległ się głośny trzask i obrzydliwe chrupnięcie. Ewa odwróciła się z odrazą. Adam znów się pochylił. Tym razem zdołał wyłamać dość twardy, ostro zakończony kawałek kości potylicznej i odłożywszy latarkę na podłogę, zaczął oczyszczać swoją zdobycz z resztek skóry, włosów i mózgu. Po chwili uświadomił sobie, jak to z boku wygląda. Międzygwiazdny pojazd, najwyższe osiągnięcie ludzkiego rozumu i półnagi dzikus, preparujący kościany nóż z kawałka czaszki swego współplemieńca. Z pewnością obaj mieli wyższe wykształcenie... może i stopnie naukowe...

– Który to z kolei? – spytała Ewa, nie patrząc w jego stronę.

– Hm... ósmy. Nie licząc nas.

– A ile jest na twojej liście?

Zrzucił stopą kartkę z rękojeści latarki, przydepnął róg i przebiegł oczami spis osób.

– Jedenaście. I co z tego? Oczywiście, że to nie są członkowie załogi. Jak wielki by nie był ten statek, klasztorów i samochodów raczej tu nie ma...

– Ale ta lista jest jakoś związana z nami i z tym, co się tu dzieje! Może to skład poprzedniej ekspedycji. Albo lista rezerwowych. Właściwie odwrotnie: my jesteśmy ich dublerami. Posłano nas,

kiedy z poprzednikami stało się to, co tam napisano...

– Według ciebie, wszystko zaczęło się jeszcze na Ziemi?!

– Nie wiem. Niczego nie pamiętam. Czuję jednak, że ten statek od samego początku skazany był na zagładę. Nawet nie czuję... ale wiem... wiedziałam wcześniej... nie mogę... gdy zaczynam o tym myśleć, ogarnia mnie taka rozpacz! Ale nie myśleć także nie mogę!

Ścisnęła głowę dłońmi, do bólu wpijając paznokcie na skroniach między bandażami.

– Skończyłeś już z tym?

– Zamierzam to wypróbować. Na obecność pasożytów. Teraz mam czym zrobić cięcie. Oczywiście nie zamierzam okaleczyć siebie, chociaż dałoby to całkowitą pewność...

– Ej! Adam! Co wymyśliłeś?!

Odwróciła się do niego i wpatrzyła oczami rozszerzonymi strachem.

– Zwariowałeś? Tak się to pewnie zaczynało...

Zrobiła krok w tył, gotowa uciekać.

– Coś ty? – zdziwił się. – Pomyślałaś, że chcę ciebie kroić? Też coś... Chociaż...

– Co?

– Nic, to tylko teoria... rzeczywiście, by sprawdzić, czy nie jesteśmy zainfekowani od środka, należałoby wziąć kogoś z nas... no, mówię teoretycznie! Nie jestem mordercą! Chcę rozciąć tamtego!

Skinął w stronę trupa.

– Jeśli w jego wnętrznościach znajdziemy te stworzenia, jak u tamtego faceta, to będzie zły znak... a jeśli nie, znalazły się tutaj przypadkiem...

– Larwy mogą być niewidoczne gołym okiem.

– Dzięki, uspokoiłaś mnie... Zresztą, nawet jeśli okaże się w środku czysty, nie powie to nam niczego o nas... Wszystko jedno...

Adam przykucnął i przewrócił trupa na plecy. „Nigdy nie myślałem, że będę musiał rozpruwać brzuch kolegi jego własną kością” – pomyślał. Właściwie nie wiedział, o czym myślał za ścianą nieznaną przeszłości. Chyba raczej nie o tym.

Wbił kościane ostrze w nieprzyjemnie biały, pokryty kręconymi włoskami brzuch. Ciało początkowo ugięło się głęboko, nie poddając, a z ust nieboszczyka wydobyło się ciężkie stęknienie. Adam drgnął i zamarł, lecz prędko zorientował się, że to tylko uszły resztki powietrza. Nacisnął mocniej, i skóra pękła, rozchodząc się na dwie strony. Krwi nie było, dawno zakrzepła. Znowu poczuł przyływ mdłości, lecz teraz łatwo go stłumił. Po tym wszystkim, co widział wcześniej... Rozpruwane ciało poddawało się ciężko, jakby było z gumy – a może jego „skalpel” był zbyt tępy. Musiał włożyć w to sporo wysiłku. Z pewnością to nie to samo, co przekroić nożem mięso na talerzu (ta myśl znów wywołała dławienie w przełyku – Adam pomyślał, że jeśli uda mu się stąd wydostać, zostanie wegetarianinem). W końcu rozciął brzuch aż do pachwiny i chwycił za brzegi rany, rozchylając na boki. W środku pływało sporo tłuszczu, chociaż martwy nie wyglądał na grubasa. Ten mokry woreczek, to oczywiście żołądek... a oto i jelita, podobne do kłębowiska wielkich, oślizgłych robali. Prawdziwych robaków, ziemskich ani co ważniejsze, miejscowych, nie było widać. Żeby zyskać całkowitą pewność trzeba by rozciąć wszystkie kiszki...

– No i co tam? – spytała niecierpliwie Ewa.

Co jakiś czas zerknęła z obrzydzeniem w jego stronę.

– Na razie niczego nie widzę... żadnych larw ani jajeczek, czy co tam jeszcze istnieje... Zaraz przetnę jelito... A to co znowu?!

Z rozcięcia pod żołądkiem wysunęło się coś białawego. Ręka Adama zadrżała, lecz zaraz zorientował się, że nie jest to żywe stworzenie. Rozciął pokrytą śluzem tutkę i wydobył dwoma

palcami zmięty i zawilgotniały kawałek papieru.

– Zdaje się, że to wiadomość dla nas – wymamrotał.

– Naprawdę tak myślisz?

Ewa przemogła się i weszła do środka.

– Niekoniecznie... Nie sądzę, by się spodziewał, że będzie krojony. Z jakiegoś powodu połknął to jednak.

– Nie prościej było podrzeć?

– Mnie o to pytasz? Może zrobił to w przypiływie wściekłości. Tym samym, który kazał mu walić głową o ścianę. A może nie chciał, żeby ktoś złożył z powrotem kawałki kartki.

– Znowu coś się chce przed nami ukryć? Dasz radę tak to rozwinąć, żeby nie zniszczyć?

– Postaram się... Wydaje mi się, że to nie jest zwykły papier, tylko coś podobnego... Do licha, nawet nie wiemy, na czym się teraz pisze.

Udało mu się bez trudu rozłożyć kartkę. Ewa, starając się nie patrzeć na zwłoki, przysiadła obok Adama i skierowała na pismo światło latarki.

Litery były dostatecznie wyraźne, tym razem drukowane, a nie odręczne. Tekst nie miał początku ani końca.

...ej teorii energii ciemnej materii Bernsteina-Wonga (zob. r. o fizyce 2063), wykazującej, że ciemna materia w istocie nie jest osobnym rodzajem materii, jak sądzono dawniej, lecz przedstawia sobą specjalny stan, w który może przechodzić zwykła materia, przy czym to przeistoczenie wydaje się w pełni odwracalne [3]. Szeroko rozpowszechnione przekonanie, że obiekty znajdujące się w tym stanie mogą przemieszczać się z prędkością wielokrotnie większą, niż prędkość światła, w zasadzie nie jest ścisłe. W rzeczywistości ciało w „ciemnym” stanie poddaje się równaniom ogólnej teorii kwantowej [5], z czego po części wynika, że takie ciało nie posiada ustalonej koordynacji w continuum (ani nawet ustalonej projekcji tamże); jego umiejscowienie jest superpozycją wszystkich możliwych koordynat, których wiarygodność określa się za pomocą trójwymiarowej funkcji dzielonej przez f , zależnej od krzywizny continuum w konfiguracji ze wszystkimi punktami pola ciemnej energii. Lot „ciemnego” statku w istocie przedstawia sobą rekonfigurację pola ciemnej energii w taki sposób, by ograniczając kołysanie statku (które zachodzi przy wyłączeniu pola), funkcja f została określona podprogowo w stosunku do punktu lądowania. Jak wykazał Kozielski (2065), konieczną dokładność E można w odpowiednim czasie (i uruchamiając odpowiednią energię) zrealizować rekonfigurację pola w taki sposób, żeby statek powrócił na poprzednie miejsce w granicach zaplanowanych koordynat z dokładnością $\pm E$ [6]. Założenia teorii zostały potwierdzone eksperymentalnie przez grupę Calkrina (2070, 2071), co stało się podstawą dla programu „Hyperion”. W 2077 bezzałogowa sonda „Hyperion 1”, wyposażona w generator Calkrina, zbadała system gwiazdny Glize 581 i pomyślnie wróciła na Ziemię. W związku z tym ogólna teoria energii ciemnej materii znalazła eksperymentalne i praktyczne potwierdzenie, chociaż wciąż brak odpowiedzi na szereg pytań. Istota ciemnej materii pozostaje kwestią sporną. Pozostaje nierozwiązanym problemem kosmologicznym, dlaczego we współzależnościach grawitacyjnych obserwujemy większą aktywność ciemnej energii we Wszechświecie, na 120 przypadków poniżej przeciętnej. Bernstein wyjaśnia to w taki sposób, że znaczna część ciemnej energii nie przejawia się w grawitacji. Aby wyjaśnić tę sprawę, stworzono wiele hipotez [3] [7] [8], żadna z nich jednak nie wydaje się przekonująca. Ich krytyce poświęcone są częściowo prace Millera (2065) i Birnbauma (2069) [9] [10]. Czang

(2067, 2069) przedłożył alternatywną koncepcję, zgodną z...

– „Ciemność szybsza od światła” – wymamrotał Adam, kończąc czytać. – Okazuje się, że to nie brednia.

– Więc jesteśmy na statku z generatorem Calkrina – wyciągnęła praktyczny wniosek Ewa. – Ale tutaj napisano, że lot na Glize 581 poszedł dobrze?

– Bezzałogowy – przypomniał Adam. – Później wysłali statek z załogą... i coś poszło nie tak. Z tego, co zrozumiałem, nie wyszliśmy z pola ciemnej energii w normalną przestrzeń. W takim razie, nic dziwnego, że zaczęły rządzić tutaj szaleństwo i destrukcja... na pewno zepsuty został komputer, który miał zapewnić nam automatyczny powrót... lecz generator pola nadal pracuje, kierując nas coraz dalej. To znaczy zmienia prawdopodobieństwo naszego położenia w taki sposób, że...

– I żeby wrócić do normalnego świata wystarczyłoby go z powrotem uruchomić? – wtrąciła.

– Tak, lecz znajdziemy się diabli wiedzą, gdzie. Pamiętasz „motyla” na ekranie w kabinie pilotów? To pewnie graficzny obraz funkcji f . Wylecimy gdzieś w jej obszarze, najprawdopodobniej w pobliżu centrum. Nie wiem, w jakiej liniowej skali to tam przedstawiono, lecz możemy się znaleźć setki lat świetlnych od Ziemi. Być może także dziesiątki lat od najbliższych gwiazd. Jeśli to w skali logarytmicznej, strach pomyśleć...

– Nie ma więc nadziei wezwania pomocy.

– Żadnej. Nie zdołamy wysłać radiogramu z ciemnego pola.

– Liniowo... – wymamrotała Ewa.

– Co?

– Mapa w kabinie. Jeśli jest rzeczywiście liniowa... choćby w przybliżeniu... i jeśli przeprowadzić linię przez Słońce, Glize 581 i środek ekranu, wygląda na to, że Słońce jest od nas dalej, niż Glize. Gdyby to, co się stało, zaszło w powrotnej drodze i minęlibyśmy Ziemię... byłoby odwrotnie.

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie lądowaliśmy w systemie Glize 581?

– Dokładnie. Trudno sobie wyobrazić, że tam lądowaliśmy, a potem podjęliśmy lot w tym samym kierunku. Potwierdza to mapa na ekranie: była tam zaznaczona właśnie ta gwiazda.

– Więc skąd się wzięły te stworki?

– Nie wiem.

Adam milczał chwilę, potem znów wziął odłamek czaszki.

– Tak, czy inaczej, są tutaj. I muszę przeprowadzić próbę do końca.

Dalsze grzebanie w kiszkach nieboszczyka nie przyniosło jednak żadnych rezultatów Adam znalazł jeszcze parę kawałków papieru, prawie całkiem strawionych. Widocznie wydruk jednak został częściowo podarty przed połknięciem. Być może profesjonalny kryminolog za pomocą odpowiednich urządzeń potrafiłby odtworzyć cały tekst, lecz Adam nie czuł się na siłach. I bez tego mdliło go od tej roboty... a zwłaszcza od narastającej beznadziejności wszelkich prób.

W każdym razie nie znalazł w martwym ciele żadnych śladów pasożytów.

– Mimo wszystko sądzę, że w systemie Glize 581 istnieje życie – oznajmił, wstając. – Inaczej nas by tu...

– Życie w systemie Glize 581 odnalazła sonda „Hyperion 1” – oświadczył spokojny, męski głos.

Dwoje ludzi wzdrygnęło się. Ewa spojrzała dzikim wzrokiem na trupa, bo wydało się jej, że to on przemówił. Wyszczерzone zęby martwego pozostawały jednak nieruchome, a głos kontynuował:

– Z siedmiu planet systemu zamieszkane wydawały się trzecia, czwarta i piąta. Badania wykonane przez sondę „Hyperion 1” wykazały, że średnia temperatura na powierzchni trzeciej planety wynosi

około 360 stopni w skali Kelvina z powodu efektu cieplarnianego, toteż ma zbyt mało tlenu w atmosferze, by podtrzymywać istnienie naturalnych form życia. Skład atmosfery i poziom radiacji nie wykluczają jednak istnienia innych form...

– Kim jesteś?! – krzyknęła Ewa, zadzierając głowę do góry.

– Spokojnie – szepnął Adam. – W jakiś sposób aktywizował się głosowy interfejs systemu informacyjnego.

– ...pozostaje otwarte – kontynuował głos. – Skład atmosfery i oddziaływanie pola magnetycznego na czwartej planecie czynią ją nieprzyjazną dla życia i nie odnaleziono żadnych objawów. Warunki na piątej planecie wydają się bardziej sprzyjające. Średnia temperatura powierzchni wynosi 280 stopni Kelvina (znacząco zmienia się w trakcie roku z powodu dużych wahań orbity, jednakże rok liczy tylko 67 dni, co w połączeniu ze znaczną masą planety i jej atmosfery, wywołuje różnice temperatur); sporą część planety pokrywa ocean, nieoblodzony na poziomie równika. Obecność dwudziestu sześciu procentów tlenu w atmosferze świadczy o jego biogenetycznym pochodzeniu. Wstępne badania wykazały obecność życia na planecie, wykrytą przez moduły A i B, które znalazły florę bakteryjną w wodzie i glebie. Obserwacje orbitalne pozwalają stwierdzić istnienie lasów tropikalnych w pasie równika i licznych form życia w oceanie, chociaż według profesora Nakamury istnieje możliwość odmiennej interpretacji otrzymanych danych. Konieczne jest zbadanie obu planet poprzez lądowanie na powierzchni. Jednak siła ciężenia na trzeciej planecie wynosi 2.7 g, a na piątej – 3.4 g, co utrudnia pracę człowieka. W związku z tym, chociaż załoga „Hyperiona 3” składa się z jedenastu osób, nikt...

Coś zatrzeszczało i głos zamilkł.

– „Hyperion 3” – głośno i wyraźnie powtórzył Adam. – Informacje o statku „Hyperion 3”. Cel ekspedycji. Lista członków załogi. Diagnostyka. Niezwykłe zdarzenia na pokładzie.

Jego wezwania pozostały bez odpowiedzi. Zepsuty system zamarł tak samo gwałtownie, jak się wcześniej przebudził.

– Przeklęty złom – mruknął z ciężkim westchnieniem Adam.

– Tak – beznamiętnie przytaknęła Ewa. – Przeklęty. Byliśmy przekłęci od samego początku. Calkrin, Wong, Nakamura... każdy, kto miał związek z tym projektem.

– Nie wszyscy – zaoponował. – W wydruku wspomina się o innych uczonych: Bernstein, Kozielski... kto tam jeszcze... Miller...

– To pewnie teoretycy – stwierdziła. – Nie uczestniczyli bezpośrednio w programie „Hyperion”.

– I co się stało? Nie wierzę w żadną mistyczną moc. Właściwie można przyjąć, że wspomniane moduły przeniosły infekcję na Ziemię... Nie, to nonsens. Nigdzie by nas wtedy nie wysłali.

– Zastanów się lepiej, czemu nasz statek nazywa się „Hyperion 3” i nigdzie nie wspomina się o drugim, tylko o pierwszej sondzie.

– Może drugi wysłali, by zbadał jakąś inną gwiazdę i nie ma więc związku z tematem.

– Nie sądzę, by loty międzygwiazdne były tanim przedsięwzięciem, a życie w kosmosie tak częstym zjawiskiem, by mogli sobie pozwolić rozpraszać siły. Skoro pierwsza sonda znalazła zamieszkaną planetę i drugą z beztlenowymi formami życia... zapewne dalszy program skupił się na tych celach. „Hyperion 2” został tutaj wysłany, tylko w ogóle nie wrócił.

– I nie rozpoznawszy przyczyny, wysłali nas? Sama mówiłaś, że to drogie przedsięwzięcie.

– Może byliśmy ekspedycją ratunkową. Albo wydawało się im, że znaleźli przyczynę, lecz ona była tylko następstwem...

– No, dobrze – przerwał, znów wzdychając – masz jakiś pomysł? Poza tym, że nie ma nadziei?

– Nie zbadaliśmy do końca poziomu, na którym się zbudziliśmy...

– Dobrze. Chodźmy.

Otarł dłonie o swą przepaskę i uzbroił się w kościane ostrze. Latarkę oddał Ewie, chcąc mieć jedną rękę wolną.

Zeszli po schodach i znów poszli korytarzem, który doprowadził Adama do uwięzionej Ewy. Tym razem mężczyzna skręcił w prawo.

Niemal natychmiast natrafili na drzwi z czerwonym krzyżem.

– Punkt medyczny – skonstatował. – Nareszcie. Całkiem wyleciało mi z głowy, że na statku gdzieś powinno być coś takiego. Mam nadzieję, że znajdą się antydepresanty. Nie odmówiłbym teraz...

To mówiąc, otworzył drzwi.

– Boże!... – jęknęła Ewa, skręcając się konwulsyjnie.

Tu także paliło się światło, ukazując białe ściany, puste szafki z szeroko otwartymi szklanymi drzwiczkami i stojaki z rozbitym sprzętem. Na kuszetce pod ścianą leżały nagie kobiece zwłoki, bezgłowe i wypatroszone. Pośrodku pomieszczenia były jeszcze dwa trupy, przywiązane do foteli ustawionych naprzeciwko siebie, odziane w kiedyś niebieskie, obecnie brunatne od zaskorupiałej krwi kombinezony (nie mieli butów, tylko skarpety). Po lewej mężczyzna, po prawej kobieta – to ostatnie można było stwierdzić tylko po figurze, bo jej twarz pokrywały zakrwawione bandaże. A raczej to, co zostało z jej twarzy.

– Teraz znaleźliśmy tych, co rozebrali pilotów – mruknął Adam.

– Ty... widzisz, czym są związani? – wydusiła z trudem Ewa, odwracając wzrok.

– Tak – odpowiedział spokojnie. – Jelitami. Nie ich własnymi, tylko tamtej.

Kiwnął w stronę zwłok na kuszetce.

Rzeczywiście, na ciałach siedzących nie było widać żadnych ran, choć mogły być pod odzieżą. Ich głowy za to były praktycznie rozłupane na pół: nierówne, nieumiejętne cięcia przechodziły tuż ponad brwiami. Brudna piła chirurgiczna, którą je wykonano, leżała na podłodze między fotelami. Nieopodal wałały się także odcięte czubki czaszek, pokryte skórą i włosami – kimkolwiek by był tajemniczy wielbiciel trepanacji, nie miał zamiaru ogolić głów swoich „pacjentów”. Sądząc po krwi zalewającej ich twarze, wciąż żyli, gdy im to robiono. Ten, kto przepiłował głowy, nie tknął mózgu, tylko go obnażył – przynajmniej w pierwszej chwili. A potem... Fragmenty mózgów, podobne do martwych grzybów, były rozrzucone po całym wnętrzu. I nie stało się to w jednej chwili. Widoczne były instrumenty, jakimi się posłużono. Zwyczajne łyżki stołowe. Jedna sterczała z czerepu mężczyzny, jak z makabrycznego kociołka. Druga wałała się pod jego bezsilnie zwieszającą się ręką.

– Ten, kto to zrobił... – zaczęła Ewa, rzucając bystre spojrzenie z ukosa i znów odwracając wzrok.

– Nie ma żadnego tajemniczego zabójcy – przerwał jej Adam. – Zrobili to sami.

– Co ty wygadujesz? Sami się związali, sami...

– Nie każdy siebie. Nawzajem. Zwróć uwagę, że głowy są przywiązane mocno do podgłówek, ale prawe ręce mają swobodne.

– Jest tylko jedna piła – zauważyła, rzucając jeszcze jedno spojrzenie.

– Tak. Oczywiście musieli piłować sobie głowy wzajemnie po kolei. Łyżek jednak starczyło, żeby wyluskiwać jednocześnie mózgi. Inaczej nie daliby rady...

– Myślisz – spytała, drżąc na całym ciele – że je wyjadali?

– Daj latarkę.

Podszedł do zwłok i oświetlił szeroko otwarte usta.

– Nie – stwierdził po chwili. – Nie wygląda na to. Po prostu starali się zniszczyć mózgi.

– Dlaczego?!

– A dlaczego tamten facet na górze walił tak długo łbem o ścianę, aż mu wyleciały oczy?

Ewa nie odpowiedziała. Oparła się ciężko o framugę i znowu walczyła z mdłościami, które nie mogły się zakończyć wymiotami.

– Myślę, że nie tłukł głową o ścianę po prostu z wściekłości lub bólu... – kontynuował rozważania Adam, czując się równie marnie.

Wzrok machinalnie przyłgął do krwawych resztek w otwartych czerepach. Naoczna odpowiedź na pytanie, jakie części mózgu człowiek może utracić, zanim przestanie mieć możliwość poruszać ręką – jak widać, dość sporo... Myśli te wypierały nieco poczucie wszechogarniającej zgrozy, jakby gęstej magmy, zalepiającej usta, nos i duszającą...

– Ewidentnie chciał zniszczyć własny mózg. I wyrywał go palcami, gdy przepiłował czerep. Niezbyt jednak wygodnie robić tak z własną głową... łatwiej przy pomocy drugiej osoby. Oto dlatego tych dwoje podeszło do dzieła tak solidnie...

Rozejrzał się wokół, szukając napisów, które mogłyby coś wyjaśnić. Tutaj jednak nie było żadnego.

Na rękawie martwej kobiety, siedzącej lewym bokiem do drzwi, można było zobaczyć emblemat: ciemnoniebieski krążek, opasany czerwonym pierścieniem. Na zewnętrznym okręgu widniał napis „HYPERION”, na wewnętrznym znajdowała się cyfra „III”. Na niebieskim kółku przedstawiona była ręka wyciągnięta ku promienistej gwiazdzie. Projektant znaczka uważał zapewne, że obrazek wzbudza poczucie dumy i optymizmu. Adam miał jednak wrażenie, że jest to dłoń tonącego, chwytająca powietrze w ostatnim, rozpaczliwym geście.

Na lewej kieszeni na piersi znajdował się także emblemat, lecz nie można go było dokładnie obejrzeć z powodu warstwy pokrywającej go krwi. Adam zdołał jednak odczytać wielkie litery MAK i doszedł do wniosku, że skrót ten znaczy „Międzynarodowa Agencja Kosmiczna”. Niżej znajdowała się prostokątna naszywka – identyfikator. Lida... nie, raczej... Linda... Nazwiska nie dało się odczytać. Zamierzał oczyścić naszywkę, lecz usłyszał za plecami mokry tupot bosych stóp.

– Dokąd idziesz? – krzyknął, odwracając się.

W drzwiach nikogo już nie było.

– Ewo! Stój!

– Ja już... nie mogę – dobiegło z korytarza. – Nie mogę ustać w miejscu... Wydaje mi się, że zaraz sobie przypomnę... to takie straszne! Wszystko lepsze, niż ten strach! Nie myśleć! Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć!!!

Sądząc po odgłosach zaczęła biec w stronę windy.

– Ewo! Zaczekaj! – wołał Adam. – Nie powinnaś chodzić sama! Jesteś bezbronna!

Chyba go już nie słyszała, a może nie rozróżniała słów.

„Nie – pomyślał ponuro – nie rzucę wszystkiego i nie pobiegnę za nią tylko dlatego, że wpadła w babską histerię. Najpierw trzeba wszystko tutaj obejrzeć”.

Odłożył kawałek czaszki na kolana martwej i zajrzał do lewej kieszonki jej kombinezonu. Co to? Grzebyk. No cóż, przedmiot niewieściej próżności z pewnością ważny... tym bardziej, że nigdzie w pobliżu nie było lustra. Wsunął z powrotem nieprzydatną rzecz. A co w prawej? Chyba nic... a nie, jednak coś jest. Pióro. Obecnie mało kto pisał odręcznie (to pamiętał), lecz widocznie coś takiego znajdowało się na wyposażeniu kosmonautów. Czy przyda się mu? Kto wie, ale nie ma trzeciej ręki ani kieszeni. Może przebrać się w kombinezon trupa? Nie miał ochoty wciągać na siebie tej krwawej szmaty.

Tym bardziej, że każdy, kto go założył, zginął.

Adam zorientował się, że owa krew nie pochodziła od jednego człowieka ani nawet od dwóch. Tych dwoje w punkcie medycznym nie było tymi, którzy rozebrali pilotów. Dawno zdjęli

kombinezony z innych zabitych, a tamci zapewne jeszcze z innych... I tak oto sztafeta dotarła do ostatnich. Czy to możliwe, by odzież wpływała na to, co się działo? Nie, to absurd. Ale co tutaj nie jest absurdalne? Lepiej, by nie powtarzał błędów poprzedników, jak bardzo nie okazało się to bezmyślne...

Zwrócił się ku martwemu mężczyźnie. Wyszarpnął łyżkę z żółtawo-brunatnego mięsiwa w głowie tamtego – nie mógł na to patrzeć, miał bowiem wrażenie, że ta łyżka tkwi w jego własnej głowie – i odrzucił ją daleko. Spojrzał na kieszenie. Prawa była czymś wypełniona i mocno odstawała.

Znalazł jakiś świstek, złożony tak, żeby zmieścić się w kieszonce. Na kartce był jakiś rysunek...

Rozwijając go, Adam od razu pojął, że to nie papier i nie tkanina, jak się okazało. Kiedy rozłożył go całkowicie, zrozumiał co trzyma w dłoniach.

To była ludzka skóra, zdarta z brzucha. Doskonale widoczne były dziurka po pępku i kłaczki ciemnych włosów łonowych. Na skraju jednak skóra była gładka. Brzuch był kobiecy.

Na skórze, kiedy jeszcze nosiła ją żywa osoba, która krwawiła, gdy ją odzierano, ktoś wyrzezał prymitywny szkic. Krzepnąca krew wyraźnie obrysowała jego kontury i parę krótkich napisów. W pierwszej chwili wydało się Adamowi, że to jakaś kabalistyczna abrakadabra, lecz zaraz połapał się, że trzyma obrazek odwrotnie.

Wtedy zrozumiał, że ma przed oczami uproszczony plan statku. Nie wszystkie segmenty były opisane, pismo przypominało klinowe, lecz niektóre można było jednak odczytać. „KABINA STER”, „STREFA MIESZKA”, „GEN”, „BIOS”... to ostatnie wydawało się skrótem związanym z techniką komputerową. Dlaczego jednak było to napisane na skażonej kondygnacji, gdzie wisiała rozkrzyżowana kobieta? I cóż to takiego „gen”, znajdujące się w samym sercu statku? Coś odnoszącego się do genetyki? (Znowu poczuł przypływ irracjonalnego strachu na samą myśl). Nie, zaraz: „gen” to z pewnością generator Calkrina, napędzający „Hyperiona”. W dawniejszych statkach kosmicznych silniki znajdowały się na rufie, lecz mroczny prom poruszany jest inaczej za pomocą pola ciemnej energii...

Adam rzucił niemal machinalnie spojrzenie na bezgłowego trupa na kuszetce, potem podszedł bliżej, tknięty pewną myślą. Postarał się dopasować zdarty kawałek skóry do straszliwej rany na brzuchu. Pasowała. Kobieta była już martwa w tej chwili przy odrobinie szczęścia.

Swoją drogą, dlaczego rysunek był odwrócony? Powiesili ją za nogi?

Adam postanowił nie zabierać ze sobą straszego szkicu („A tamten facet trzymał go w kieszeni... ale teraz jest martwy i bez mózgu, wybranego łyżką”). Nietrudno było zapamiętać prościutki schemat.

Jeśli tylko ponownie nie straci pamięci.

Dokładnie przeszukał punkt medyczny w poszukiwaniu skalpela lub czegoś podobnego, mogącego posłużyć za lepszą broń, niż ostry odłamek kości potylicznej. Wyglądało jednak na to, że także instrumenty medyczne padły łupem wandalii, plądrujących statek. Albo w ostateczności zostały gdzieś ukryte. Piła do cięcia kości nie nadawała się do zadawania efektywnych ciosów. Westchnąwszy, znowu wziął swą kościaną broń, chociaż sam już nie wiedział, czy nadal wierzyć w zabójcę, wędrującego po statku.

Chyba że Ewa wpadnie w szal. Wydaje się temu bliska.

Wyszedł do krętego korytarza, skierował się w stronę przejścia do windy i parę razy głośno ją zawołał. Odpowiedzią było milczenie martwego statku.

Właściwie nie całkiem martwego. Silnik najwidoczniej pracował dalej i oświetlenie wydawało się teraz jaśniejsze.

Do windy prawie biegł. Ewy nie było i tutaj. Gdzie teraz szukać? Po całym promie? „Ewa!!!” – zawołał bez nadziei. Bez rezultatu.

Obszedł dookoła szyb windy, zajrzał do przeciwnieległego korytarza, teraz oświetlonego w całości. Trup z rozprutym brzuchem leżał jak poprzednio i jak mógł ocenić Adam z tej odległości, w tej samej pozie. Kolczaste stworzenie najwyraźniej dawno odpełzło. Dobrze byłoby wiedzieć, gdzie się podziało... lepiej nie wleźć na coś takiego niespodziewanie.

„Gdybym był kobietą, owładniętą strachem i rozpaczą, czy pobiegłbym w stronę trupa?” – spytał sam siebie Adam i odpowiedział sobie: „Nie. Więc pozostają schody”.

Przy wejściu na schody znowu zawołał swą towarzyszkę i pomyślał ponuro, że jeśli na statku jest jeszcze ktoś, oboje robią wszystko, by ułatwić zadanie przeciwnikowi. W górę, czy na dół? Wątpliwe, by postanowiła ukryć się w sterowni... chociaż, kto wie, do czego jest zdolna w takim stanie... Odczekawszy jeszcze kilka sekund, zszedł na dół, nie mając zielonego pojęcia, co robić dalej. Ewa mogła zabłądzić w którymkolwiek z korytarzy i być w dowolnym pomieszczeniu...

Zdecydował na początek zejść na sam dół, kontynuując przywoływanie zaginionej. Potem, jeśli niczego to nie da, trzeba będzie dokładnie sprawdzić kolejne poziomy. Bez względu na to, co znajdzie tam, gdzie jeszcze nie był... Spodziewał się zresztą, że nie znajdzie niczego dobrego.

Znalazł ją prawie na samym dole, niedaleko od wejścia na straszne piętro, gdzie wisiała na drucie kobieta. Ewa leżała na stopniach, skulona w niewygodnej pozie, głową w dół, jak nie legł by nikt dobrowolnie. Wszystko stało się jasne dla Adama na pierwszy rzut oka: zbiegała i potknąwszy się, skręciła kark.

A może ktoś jej pomógł. Chociaż, jeśli tak, to wywinęła się tanim kosztem, biorąc pod uwagę stan pozostałych ofiar.

Tak, czy inaczej, Adam znów został sam. Samotny na tym okropnym statku. Myśl o tym napełniła go takim smutkiem, że miał ochotę sam rzucić się głową w dół ze schodów.

Ciężko stąpając, zszedł ku ciału, przysiadł obok i położył okrwawioną dłoń na okryte brudnymi bandażami ramię Ewy. W tej chwili zrozumiał, że wyciągnął pochopne wnioski. Kobieta zadrzała, więc żyła. Może to tylko agonalne drgawki?

Nie. Wspierając się dłońmi o stopień, podniosła powoli głowę i popatrzyła na swego towarzysza niedoli wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Z ust ciekła krew na obwiązany podbródek.

– Jesteś ranna?!

– Nie – odparła pustym, obojętnym tonem.

– A to skąd?

– To?

Machinalnie oblizwała wargi.

– Chyba zagryzłam wargę...

Znowu zamilkła.

– Znalazłem plan – oznajmił, byle tylko coś powiedzieć.

Oczywiście nie sprecyzował, co przedstawiał ten plan.

– No i co? – znów bezbarwnie spytała.

– No... teraz wiemy, gdzie jest generator. Trzeba wejść na poziom piąty...

– I co? – powtórzyła.

– Być może jest tam zapasowa struktura sterowania. Niczego nie możemy działać w głównej kabinie... powinien być jednak system awaryjny. Powiedzmy, potrzebny do przeprowadzenia napraw.

– To nie pomoże – stwierdziła, kręcąc głową.

– No, oczywiście, wylecimy gdzieś w międzygwiazdnej przestrzeni. Przynajmniej jednak przestaniemy tracić paliwo, czy na czym pracuje ten generator... i przestaniemy oddalać się od Ziemi. A potem, być może, uda się nam w tym wszystkim zorientować i coś zadziałać...

Sam czuł, że ostatnie zdanie zabrzmiało zdecydowanie fałszywie.

– Nic nam już nie pomoże – oznajmiła zmęczonym głosem. – Jeszcze do ciebie nie dotarło? Boże, ależ jesteś osłem..

– No, dobra – rzekł, wstając. – Znudziło mnie to biadolenie. Idę odszukać generator. A ty, jeśli chcesz, możesz dalej leżeć na schodach i czekać aż przypełzną do ciebie czerwózuki i zrobią z ciebie swe gniazdo.

Zaczął wchodzić po schodach, nie oglądając się. Słyszając mokre człapanie za plecami, skonstatował, że Ewa poszła jednak za nim.

Schematyczny rysunek nie zawiódł. Komora napędowa okazała się dokładnie tam, gdzie wskazywał. Przejście do generatora zagrażały jednak zamknięte, ciężkie drzwi, pomalowane w czarno-żółte pasy. Zamiast klamki znajdowała się matowa podobizna dłoni, pobłyskująca słabym, czerwonym światłem. Na powierzchni grodzi można było zauważyć ślady uderzeń ostrym przedmiotem, lecz najwidoczniej materiał był zbyt twardy.

„Panel sensoryczny” – domyślił się Adam, przygryzając wargę z irytacją. Oczywiście dostęp mieli nie wszyscy członkowie załogi, tylko inżynierowie albo piloci... Jak teraz znaleźć inżyniera wśród tych wszystkich trupów? To zresztą nie pomoże... biometryczne skanery są zbyt mądre, by nabrać się na martwą dłoń.

Pozostawała już tylko nadzieja, że chociaż jedno z ich dwojga jest inżynierem, posiadającym dostęp. Adam nadal nie pamiętał, jakie były jego obowiązki na pokładzie, ale prawdopodobieństwo wydawało mu się niewielkie...

Przyłożył dłoń do panelu, przygotowując się w myślach, że zaraz trzeba będzie poprosić o to Ewę, a jeśli i to nie zadziała...

Rozległ się melodyjny dźwięk i ujrzał przez palce, że panel rozjarzył się na zielono. Wystarczyło cofnąć rękę i drzwi odjechały w bok. Weszli do przedsionka, gdzie natrafili na kolejne drzwi z napisem: „Główny obwód. Wstęp tylko dla upoważnionych”. Jeszcze jeden panel, który tym razem się nie świecił. Po prawej, na ścianie między dwojgiem drzwi, faktycznie znajdowała się tablica awaryjnego dostępu.

Wzrok Adama od razu przykuł napis „Awaryjne wyłączenie generatora” na panelu z czerwonym guzikiem. Sam guzik jednak niczego nie wyłączał, tylko zwalniał blokadę osłony. Mężczyzna nacisnął go bez wahania. Osłona odskoczyła i pojawiła się sporej wielkości czerwona dźwignia, przesunięta do samego dołu.

Nie powinno tak być. Adam mógł stracić pamięć, lecz coś znacznie głębszego, niż zwykłe wspomnienia, wypracowany wielokrotnym powtarzaniem odruch, mówiło mu, że na każdym panelu sterowniczym, górne położenie oznacza „włączone”, a dolne „wyłączone”. Nigdy odwrotnie.

Nie będąc do końca pewnym, mimo wszystko przesunął dźwignię w górę, co kompletnie niczego nie zmieniło. Przesunął więc trochę niżej. Wszystko niby dobrze: na najniższej wysokości widniał napis „WYŁ.”. Zwrócił teraz uwagę na wskazania indykatorów.

„Moc głównego obwodu: 0”.

„Moc obwodu rezerwowego: 0”.

„Poziom paliwa: 0”.

„System wyłączenia”.

– To niemożliwe – mruknął.

– No?! – krzyknęła Ewa z histerycznymi nutkami w głosie. – Zrozumiałeś wreszcie?!

– Co takiego?! – wrzasnął w odpowiedzi. – Co miałem zrozumieć?!

– Że jesteśmy martwi.

- Widoki mamy marne – zgodził się Adam – ale jednak...
- Co „jednak”?! Jesteśmy już martwi, rozumiesz? Umarliśmy, a to nasze piekło!
- Wygadujesz bzdury...
- O Boże, mówiłam, że jesteś osłem! Nie słyszysz, co mówię?! Na statku było jedenaście osób!
- Masz na myśli tamtą listę?
- Co tam lista! Ile trupów znaleźliśmy?
- Osiem plus w punkcie medycznym... jedenaście – skonstatował ze zdumieniem Adam.
- No właśnie.
- Nie – zaprzeczył, potrząsając głową. – Tak nie może być.
- Nie może być „gapowiczów” na statku kosmicznym. Bez biletu nie pojedziesz nawet autobusem.
- Nie wiem... musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie... – mamrotał, mając przed oczami napis, jaki widział tylko przez mgnienie, zanim pokryła go ciemność: „ŚMIERCI NIE MA”.
- Od czasu, kiedy pamiętasz, miałeś uczucie głodu? – naciskała Ewa.
- Żartujesz? W tych warunkach?
- A pić? A do toalety?
- Minęło jeszcze zbyt mało czasu...
- Nie możemy nawet się wyrzygać, mając mdłości! I nie pocimy się, biegając! Też tak miałeś?
- Ale...
- A to?

Dźgnęła palcem tablicę.

– Jak statek może się poruszać, skoro od dawna nie ma paliwa? Nie mogło być inaczej. Glize 581 znajduje się dwadzieścia lat świetlnych od Słońca – orzekła, jakby sobie przypominając. – A my? Sam widzisz, jak daleko się znaleźliśmy. Pierwszy prom kosmiczny nie mógł być przygotowany na tak daleką podróż.

– A może dane na tablicy w kabinie pilotów są błędne? Komputer mógł się pomylić, w trakcie, gdy wszystko niszczone? I w rzeczywistości dawno znaleźliśmy się w zwyczajnej przestrzeni, gdzie dryfujemy siłą rozpędu? Nie wiemy przecież właściwie, co się dzieje na zewnątrz...

– A światło? Skąd bierze się elektryczność? Skoro zasilanie wysiadło, sądzę, że nie odnosi się to wyłącznie do napędu...

- Po prostu akumulatory jeszcze się nie wyczerpały...
- Sam mówiłeś, że światło świeci jaśniej. Co je wzmocniło?
- Baterie słoneczne. Może jesteśmy w pobliżu jakiejś gwiazdy...

– A zresztą, jeśli dryfujemy bezwładnie, dlaczego nie ma nieważkości? Tylko nie opowiadaj mi, że statek się obraca. Wtedy siła ciężkości byłaby różna w różnych miejscach, a my byliśmy już w wielu...

- Wierzę, że wszystko można wyjaśnić.
- Chodźmy.
- Dokąd?
- Do punktu medycznego.
- Przecież sama stamtąd uciekłaś.
- Tak. A teraz chciałabym coś dokładnie obejrzeć. I pokazać tobie.

Odwróciła się i skierowała ku schodom. Teraz on zmuszony był iść w ślad za nią.

– Swoją drogą – zauważył szydyczko, wstępując na strome stopnie – skoro jesteśmy widmami, to dlaczego wchodzimy po schodach? Czemu nie przenikamy przez ściany i sufity? Może mamy zaburzone niektóre reakcje fizjologiczne, ale jednak czuję, że mam ciało i jest ono w pełni

materialne.

– Może tak być powinno – oświadczyła, nie odwracając się. – Skąd wiesz, że widma unoszą się w powietrzu? Z kreskówki? Gdyby martwi niczego nie czuli, skąd wzięłyby się męki piekielne?

– Nie wierzę w piekło.

– Dawniej też nie wierzyłam.

Parę minut później znów byli w punkcie medycznym. Tym razem Ewa zdecydowanie podeszła do martwej kobiety w fotelu i zaczęła oczyszczać naszywkę z jej nazwiskiem. Adam wzruszył ramionami i zajął się tym samym u faceta.

– Linda Everett – przeczytała Ewa, skończywszy.

– Wiktor Adamson.

– Powiedziałabym „bardzo mi miło”, ale chyba nie bardzo wypada w tej sytuacji.

– Chcesz powiedzieć, że... oni to my?! Że to nasze ciała?!

Adam już zdążył przywyknąć do widoku zwłok i podchodził do nich bez emocji, teraz jednak odruchowo odskoczył od siedzącego w fotelu.

– Tylko dlatego, że ich nazwiska przypominają...

– Nie tylko nazwiska. Ona ma takie same bandaże na twarzy, jak ja. Myślę, że tak samo pod kombinezonem.

– Bandaże nie...

– Niczego nie dowodzą, wiem. Tak samo jak wymiary? Przytrzymaj mu głowę.

Przemagając się, Ewa podniosła z podłogi czubek męskiego czerepu i umieściła go na właściwym miejscu. Nie całkiem udało się równo, lecz głowa znów przypominała głowę, nie zaś czarę z koszmarnego snu.

– Nie wiem, na ile pamiętasz swoją twarz – powiedziała – ale możesz zawierzyć memu kobiecemu spojrzeniu, że podobieństwo jest wstrząsające.

Krew, która zalała twarz, utrudniała rozpoznanie, lecz teraz, przyjrawszy się dokładniej, Adam musiał przyznać podobieństwo do oblicza, jakie zobaczył w lustrze wkrótce po przebudzeniu. Tylko w miejscu, gdzie miał opatrunek, widniała szczelina po piłowaniu.

– Zauważyłaś to, zanim stąd uciekłaś?

– Tak. Coś we mnie zaskoczyło i zaczęło się składać w logiczną całość... Tylko nie mów, że wśród załogi był twój brat bliźniak – dodała. – A to co, pióro? Ciekawe. Masz jeszcze tę listę?

Chciał zaprzeczyć, lecz spojrzawszy na latarkę zorientował się, że rękojeść nadal jest owinięta zapisanym papierem. Widocznie chwycił go machinalnie przed wyjściem z kabiny informacyjnej.

– Pisz – zaczęła Ewa i zaraz sama sobie przerwała. – Chociaż nie, to raczej kobiece pismo. Dyktuj.

Z piórem w dłoni podeszła do stolika obok kuszетки, zamierzając pisać na jego białej powierzchni.

Adam rozwinął kartkę. Była zachlapaną krwią, lecz litery dawały się jeszcze odczytać.

– „Dr Calkrin – sam. Dr Hart – zawał...”

– Widzisz, nawet nie patrzę na to, co piszę – skomentowała Ewa – żebyś nie powiedział, że próbuję naśladować tamto pismo... A teraz przynieś tutaj tę kartkę.

Adam podszedł i położył kartkę obok napisu na blacie. Komentarz był zbędny: oczywiste było, że pisała ta sama ręka.

– Zaraz – oświadczył w końcu Adam. – To się nie zgadza. Przecież tę listę znalazłem nie tutaj, tylko w kieszeni martwej kobiety w magazynie. Skoro jesteś tu, a nie tam, jak się tam znalazł? Na dodatek, jeśli przyjąć, że to my...

Wskazał palcem trupy na fotelach.

– Te imiona nie mogą być naszymi. To przecież nie są nasze, to znaczy, ich kombinezony. Zdjęli je z pilotów w kabinie...

– Tak uznaliśmy. Może jednak się mylimy. Ciągłe nie wiemy, co się stało z odzieżą reszty załogi...

– Jak i z samą załogą – wtrącił Adam. – I jeszcze coś. Przypuśćmy, że umarliśmy i nasze duchy przykute są tutaj, jak na „Latającym Holendrze”... W takim razie, gdzie są pozostali? Pozostałe dziewięć upiorów?!

– Może poszli do raju. Tylko my byliśmy tak grzeszni, że...

– Raj, piekło... u licha! Lecieć na statku kosmicznym i wygadywać serio te średniowieczne głupoty!

– Być może – mówiła dalej, puszczając jego uwagę mimo uszu – być może to my zabiliśmy ich wszystkich! A w końcu siebie nawzajem...

– Aha – wtrącił, skrzywiony. – I to ja ogryzłem dłonie pilota...

– Dlaczego nie? Uważaliśmy, że zrobił to sobie sam z jakiegoś powodu lub uczynił to jakiś kosmiczny potwór z zębata paszczą. Jest jednak trzecia, najprostsza i najbardziej wiarygodna wersja: drugi człowiek.

– I niczego nie pamiętamy. Dlaczego? Jeśli nawet przyjąć wersję, że jesteśmy przeklęci, czy skazaniec nie powinien wiedzieć, za co został skazany?

– Stopniowo się dowiadujemy.

– Nie wierzę – uparcie powtórzył Adam, spoglądając na przepołowioną twarz swego odpowiednika. – Bzdura. Nie wierzę. To niemożliwe.

– To chodźmy do kabiny pilotów. Obejrzymy ich ciała dokładniej niż poprzednio.

– Może jeszcze zaproponujesz wizję lokalną. Każesz mi odgryźć kawałek ręki i porównasz ślady...

Zadrzał.

– Do niczego nie zmuszam, Wiktorze...

– Nie nazywaj mnie tak!

– Napęd nie działa, paliwo się skończyło, statek jest zepsuty i cała załoga martwa – odparła zmęczonym głosem. – Jesteśmy tu zamknięci bez nadziei wyjścia. To nasz prawdziwy problem.

– No, dobra – rzekł Adam, bezradnie wzruszając ramionami. – Chodźmy do kabiny pilotów. I tak nie wiem, dokąd iść i co dalej robić.

Wrócili do kabiny. Nadal nie było oświetlenia, lecz Adam stwierdził ze zdumieniem, że latarka świeci teraz mocniej. Nie dawało się to wyjaśnić w żaden rozsądny sposób: przecież nie zmieniał baterii...

Adam stanął przed fotelem pierwszego pilota („pierwszy jest ten po lewej” – wypłynęło z głębin utraconej pamięci), dokładnie omiół światłem latarki okaleczone ręce trupa, potem oświetlił mu twarz, na którą poprzednio zerknął tylko przelotnie, a Ewa chyba nawet tego nie zrobiła.

– Coś mówiłaś na temat bliźniaków? – spytał ochryple.

Ewa nie wierzyła własnym oczom. Jeśli nie brać pod uwagę okaleczeń, wyłamanych zębów i braku szwu na głowie, miała przed sobą identyczną twarz, jak w punkcie medycznym.

– Niczego nie rozumiem – wymamrotała. – Który z nich jest tobą?

– Ja to ja! – ryknął agresywnie, uderzając się w pierś. – A ci... nie wiem, kim są! Być może – dodał trochę spokojniejszym tonem – była to rzeczywiście załoga braci? A raczej klonów...

– Nikt nie wysłałby klonów w tak daleką ekspedycję – sprzeciwiła się Ewa. – Potrzebne są różne specjalizacje, a nie kopie tej samej osoby.

– Lecz klony, tak jak bliźniacy, podobne są tylko zewnątrz, a mogą mieć różne zdolności...

– Wszystko jedno. Ich nadmiar na pokładzie może spowodować problemy psychologiczne –

odparła, przywołując z głębi świadomości urywki czytanych podręczników psychologii kosmicznej – zaczynając od problemów z identyfikacją, a kończąc...

– Jeśli twoja niemądra teoria jest prawdziwa i już nie żyję, nie mogłem umrzeć dwa razy!

– Nie wiem. Teraz już niczego nie wiem. Wszystko wydaje się jakimś majakiem...

– Jestem realny, do diabła! – zawył Adam i z rozmachem walnął trupa w szczękę.

Parę obluzowanych zębów przemieściło się w ustach, jeden zwisał z wargi na krwawej nitce.

– Słyszysz, zdechlaczko?! Realny! Realny!

Powtarzał w kółko, jednocześnie uświadamiając sobie, że twarze wszystkich trupów były okaleczone lub zamazane krwią. Bez względu na to, mógł wcześniej zauważyć podobieństwo, gdyby jego podświadomość nie broniła się uparcie przed uznaniem tego faktu, aż został mu podetknięty pod sam nos...

– Nie jestem cholernym upiorem!!!

– Wiktorze! Adamie! Przestań!

Próbowała chwycić go za rękę, ale odepchnął ją. Straciła równowagę i upadła na kolana martwej kobiety w prawym fotelu. Głowa trupa opadła na jej ramię, kłapnąwszy zębami. Adam dwukrotnie uderzył zwłoki pilota, potem bezsilnie opuścił rękę. W rozbitej twarzy nieboszczyka trudno było teraz dopatrzeć się podobieństwa, to jednak nie ratowało sytuacji. Napad wściekłości zniknął równie szybko, jak się rozpoczął, ustępując miejsca czemuś znacznie straszniejszemu – gigantycznej i niepowstrzymanej jak tsunami fali rozpacz. Tej najczarniejszej z czarnych, przywołującej, o czym był przekonany, ponure doświadczenia jego zapomnianego życia. Czując, jak ta fala spada na niego całą mocą, ruszył do wyjścia z kabiny, sam nie wiedząc dokąd, zataczając się jak pijany.

– Adamie!

Ewa wyrwała się z objęć martwej i dopędziła go u wejścia. Siłą zatrzymała go, by nie uderzył czołem w półotwarte drzwi.

Ciszę przerwał najbardziej nieoczekiwany dźwięk. Otworzyły się drzwi do windy.

Adam i Ewa niemal zderzywszy się głowami, wepchnęli się w ciasne przejście między drzwiami kabiny. W oświetlonej kabinie windy stał człowiek, wsparty o framugę. Bosy, w okrwawionej bieliźnie. Ktoś, kogo nie powinno było tutaj być, po prostu dlatego, że był dwunasty.

Stał tak może sekundę, potem zwałił się ciężko na podłogę, nawet nie próbując przeciwdziałać. Dwoje obserwatorów wzdrygnęło się, słysząc huk, z jakim jego czoło uderzyło o podłogę.

Adam pierwszy precyzyjnie przeszedł przez szparę w drzwiach i przykucnął obok upadłego. Potem podniósł ponury wzrok na Ewę.

– Martwy? – domyśliła się.

– Od dawna. Na pewno utknął w windzie, kiedy wysiadło napięcie. Umarł, próbując wyważyć drzwi.

Mówiąc to, spoglądał trupowi w twarz, jaką widział już co najmniej trzy razy, włącznie z odbiciem w lustrze. Ewa zwróciła uwagę na coś innego.

– Mój Boże... Popatrz na jego rękę!

Spełnił jej życzenie, potem zajrzał do windy, której drzwi zablokowały nogi martwego. Całe ściany były wysmarowane czerwoną ciecżą. Nie były to oddzielne zdania, zapisane wielkimi literami. Był to zwarty tekst, nie oddzielony nawet znakami przestankowymi, idący spiralnie, poczynając od wysokości, do jakiej pisać mógł dosięgnąć, a kończąc przy samej podłodze. Na podłodze wały się kawałki tego, czego używał zamiast mazaka.

– Odgryzał sobie palce – skonstatował Adam – po kawałku, żeby móc to napisać. Kiedy krew przestawała ciec, odgryzał kolejne... A ostatnie zdania – stwierdził, przyjrzawszy się zamazanym i

prawie nieczytelnym literom przy samej podłodze – chyba dopisał językiem, maczając go we krwi płynącej z nadgarstka.

– Według ciebie mamy odpowiedź? – spytała, patrząc lękliwie na krzywe napisy.

– Myślę, że tak.

– Boję się... chyba nie powinniśmy tego czytać!

Adam jednak już był w środku kabiny. Początek tekstu zaznaczony był sporą plamą, z której spłynęła zaschnięta już strużka niemal przez całą wysokość windy. W owej chwili piszący miał jeszcze wiele „atramentu”.

...rozpacz ciemność to rzeczywiście ciemność ciemna energia rozpacz jedyny sens oraz istota wszechświata boże boga nie ma jest tylko rozpacz wypełniająca świat ale z nas idioci niczego nie zrozumieliśmy wysyłając sondy wierzyliśmy tylko aparatom nawet kiedy to zżarło małpę zbyt późno kazaliśmy wracać powiedzieliśmy pomyłka komputera i tylko zmieniliśmy częstotliwość wszystko jedno biosyntezy dwóch głupich ochotników ratuje prestiż programu naukowego debile debile lepiej żebyśmy naprawdę byli debilami chociaż nie pomoże to w ogóle pochłonie wszystko albo jest alfa i omega prawa wzrastającej rozpacz...

Adamowi te pozornie bełkotliwe zapiski wcale nie wydały się bełkotliwe. Z każdym przeczytanym słowem ściana w jego świadomości pękała i kruszyła się coraz bardziej, prawda przebijała się przez nią i wyrwała na wolność. Zaczął mówić, wiedząc, że nie powinien tego robić, bo przerazi tym Ewę, czyli Lindę, skazując ją na przedwczesną, choć i tak nieuchronną, udrękę, ale jego własna udręka nie pozwalała mu się zatrzymać i nie musiał wpatrywać się dłużej w krwawe litery, których sam widok wywoływał ból w okaleczonych palcach...

– Nazwaliśmy to ciemną energią. Energią próżni, rodzącą cząsteczki i antycząsteczki. Siłą, przeciwdziałającą rozproszeniu galaktyk. Ogólnie tak to wygląda. Lecz jej prawdziwe imię to Rozpacz. Istota Wszechświata i podtrzymująca go moc. Kiedyś ludzie stwierdzili, że głównym prawem kosmosu jest nieustanna entropia. Gdyby jednak tak było, niemożliwa byłaby jakakolwiek ewolucja, żaden rozwój od prostych do złożonych organizmów, od gigantów gazowych do gwiazd i planet, od nieorganicznych molekuł do żywych komórek i organizmów. Postulowano zatem, że procesy samoorganizacji mogą występować w otwartych systemach pod wpływem zewnętrznej energii. Wynikał stąd wniosek, że sam Wszechświat jest systemem otwartym, bo inaczej skąd czerpałby energię? Teraz wiemy, co to za energia i jakie kosmiczne prawo jest najważniejsze. Prawo narastającej rozpacz. Można powiedzieć, że rozpacz jest siłą, spajającą galaktyki, lękliwie lgnące do siebie...

– Ale czy galaktyki mogą coś odczuwać? – przerwała mu Ewa, której świadomość wciąż jeszcze nie dopuszczała wspomnień. – Przecież nie są żywe!

– To tylko kwestia terminologii. Czy możemy powiedzieć, że kamień odczuwa gorąco albo zimno? Przecież obiektywnie na niego oddziałują, topiąc go lub doprowadzając do pęknięcia... Rzeczywiście, przedmioty nieożywione nie są w stanie w pełni odczuwać rozpacz. Dlatego wszystkie procesy we Wszechświecie następują stopniowo, zgodnie z ewolucją życia i rozumu. Tylko żywy rozum jest w stanie całkowicie odczuć rozpacz. I tym samym dopełnić zamknięty krąg, by zrealizować jedyny cel istnienia Wszechświata: osiągnięcie absolutnej, nieskończonej rozpacz...

– Ale przecież rozpacz to tylko emocja! Tworząca się w naszym mózgu w odpowiedzi na ciosy losu. Jest subiektywna! Jak może być fundamentalną mocą kosmiczną?

– Jeśli uderzysz mocno człowieka w głowę, zobaczy nagły wybuch. Gwiazdy, skaczące przed

oczami. To subiektywna iluzja, ale nie znaczy to, że gwiazdy nie istnieją obiektywnie. Oto analogia tego odczucia, jakiego doznawaliśmy w naszym bytowaniu. Porównaj teraz ten błysk z koniecznością patrzenia oczami pozbawionymi powiek, czyli nawet niemogącymi się zmrużyć ani odwrócić spojrzenia na słońce... nie, na tysiące, tryliony słońc, na wszystkie gwiazdy w kosmosie! Porównując tę udrękę z siłą rozpacz, na sto dwadzieścia sposobów przewyższającej siłę grawitacji lub inne ludzkie problemy, bez żadnej nadziei na choćby chwilę ulgi! I my sami do tego doprowadziliśmy! Rozwijając naukę, wzbogacając nasz rozum, zdobywając świat można tylko osiągnąć rozpacz... Chociaż mędrzy w przeszłości wyczuwali zagrożenie i ostrzegali, że wielka wiedza oznacza wielki smutek. Statystyka wyraźnie wskazywała, że najwyższy procent samobójstw występuje w krajach najbardziej rozwiniętych. Nie wyciągnęliśmy wniosków, kiedy wrócił „Hyperion 1”. Kolejny triumf ludzkiej nauki... automaty zadziałały bezbłędnie... a potem uczeni, badający sondę, zaczęli jeden za drugim popełniać samobójstwa, popadać w obłęd albo w śpiączkę. Wszystko dlatego, że odczuli emanację ciemnej energii. Aparatura nie wykryła jednak żadnego zagrożenia dla życia podczas lotu i nawet znajdujące się na pokładzie proste organizmy, czerwie i insekty nie wzbudziły zaniepokojenia. Ich organizmy były zbyt prymitywne, by odczuwać rozpacz... Oczywiście dlatego część uczonych postanowiła zatuszować sprawę, „chroniąc dobre imię programu”, wyjaśniając wszystko serią niefortunnych przypadków. Zanim wysłali ludzi, posłali jednak jeszcze jedną sondę, na której pokładzie znajdował się szympan. „Hyperion 2” znikł bez śladu. Gdyby wrócił z martwą lub oszalałą małpą, zapewne nasz lot nigdy by nie nastąpił. Ale sonda po prostu znikła i nikomu nie przyszło do głowy, że problem mógł polegać na żywej obecności, niemającej żadnego związku z systemem kierowania. Uznali, że nastąpiła awaria komputera pokładowego. Wyprawa „Hyperiona 3” była już szeroko rozreklamowana, w projekt zostały zaangażowane ogromne środki, za późno było się wycofać. Mimo wszystko, z powodu serii niefortunnych wydarzeń, do programu lotu wniesiono pewne korekty. Od samego początku planowano, że ludzie nie będą lądować na planetach Glize 581. To było zadanie biorobotów tworzonych i modyfikowanych w biosynteźniku z zapasem protoplazmy, umieszczonym na drugim poziomie od dołu. Cuda ziemskiej inżynierii genetycznej... Załoga miała tylko opracowywać dostarczone jej dane. Pod naciskiem jednak malkontentów, mówiących o niebezpieczeństwie takiego lotu dla ludzi, zdecydowano, że większa część danych zostanie opracowana na Ziemi. Statek był już zbudowany i zaprojektowany na jedenastu członków załogi, lecz poleciało tylko dwoje... Jeszcze wszystkiego sobie nie przypominałaś, Lindo? Tu jest znacznie więcej niż dwanaście trupów, cały statek jest nimi wypełniony. Nie ma nikogo, oprócz nas!

– Chcesz powiedzieć, że te wszystkie trupy to... bioroboty?

– Nie, nie, wszystko wygląda znacznie gorzej! Nasza technologia nie umożliwia nam stworzenia dokładnej kopii człowieka! Biologiczne modele, które opracowywał nasz syntezytor, były znacznie prymitywniejsze. Ale Jej niepotrzebny jest pośrednik w rodzaju syntezytora, gdyż sama jest siłą, tworzącą życie. I nie zostawi nas...

– Ona?

– Rozpacz! Nie słuchałaś?! Rozpacz! Jest wstanie stworzyć życie z nieożywionej materii, choć trwa to miliony lat, pomimo że sama nie włada żadnym rozumem. Kiedy ma się jednak dar w postaci żywej protoplazmy, wszystko zachodzi znacznie szybciej. Wszystkie te pełzające stworzenia to życie, które zrodziło się na naszym pokładzie! Dlatego są takie poczarne i niezgrabne, bo nie podlegały doborowi naturalnemu, wydaje się, że większość z nich nie potrafi odżywiać się ani rozmnażać... Lecz najważniejsi jesteśmy my, Lindo, my! Mikrokosmos jest odbiciem makrokosmosu! Dusza naprawdę istnieje i nie jest to bezcielesny aniołek ze skrzydełkami. To podstawowa matryca ciemnej energii lub wciąż ta sama struktura rozpacz... Przez cały ten czas, gdy próbowaliśmy znaleźć ciemną

energię w głębinach kosmosu, ona była w nas samych! Nasze urządzenia nie zdołały jej wychwycić, bo szukaliśmy układu grawitacyjnego, który na sto dwadzieścia przypadków występuje słabiej niż sądziliśmy. Generator Calkrina potrafił przenieść nas w pole ciemnej energii i tym samym spowodować rezonans naszej osobistej rozpacz z wszechobecną rozpaczą Wszechświata. Teoria wskazywała, że w momencie wyłączenia generatora nastąpi samoczynny powrót do normalnej przestrzeni, lecz zadziałała tylko w przypadku bezzałogowej sondy. Gdy na pokładzie znajdują się istoty obdarzone duszami, generator uruchamia samopowtarzalny proces. W polu ciemnej energii nie potrzebujemy jeść, pić ani nawet oddychać: energia sama nas żywi...

– Przecież oddycham! – wtrąciła kobieta.

– Ja też, bo takie mamy wrażenie... ale nie jestem pewien, czy teraz jest to nam absolutnie konieczne. To jakby zamontować silnik na żaglowcu... Wszystkie systemy statku karmią się energią naszej rozpacz, dlatego, kiedy wzrasta, światło pali się mocniej i uruchamiają się nieczynne wcześniej systemy...

– Ale trupy...

– W tym właśnie sęk! Nie możemy umrzeć! Próbowaliśmy się zabić mnóstwo razy! Za każdym razem, gdy zabijaliśmy ciało, na matrycy naszej duszy tworzyło się nowe! Prawo wzrostu rozpacz nie pozwala nam zginąć! Nam ani nikomu innemu. Prędzej, czy później wszystko zanurzy się w rozpacz. Na początku załogi statków kosmicznych, jak nasza, potem całe cywilizacje, które osiągnęły taki poziom, żeby wejść w bezpośredni kontakt z kosmiczną rozpaczą. Na pewno w końcu do tego samego wyewoluują gwiazdy i galaktyki, a w całym Wszechświecie nie zostanie już nic, poza ciemną materią przepełnioną nieskończoną rozpaczą... Właściwie ten proces zbliża się do końca: mrocznej materii jest teraz o wiele więcej niż normalnej...

– A opatrunki? – Linda czepiała się szczegółów jak tonący brzytwy. – Przypuśćmy, że zmartwychwstaliśmy bez ubrań, to logiczne, ale kto nas opatrywał? I dlaczego to było potrzebne?

– To nie są opatrunki – odparł Wiktor z westchnieniem. – To płaty martwej skóry. Nasza podświadomość starała się chronić nas przed prawdą, przedstawiając je jako przyschnięte opatrunki... Przyjrzyj się im uważnie!

Kobieta podniosła ku oczom obwiązaną rękę. Teraz już widziała, że skrawki „bandaża” to w istocie łuszczące się blizny, a na trupio sonej powierzchni „opatrunków” można dostrzec pory i rzadkie włoski. To znaczy, że jej głowa... jej twarz w gruncie rzeczy nie była obandażowana, lecz zamieniła się w zbiór ohydnych strzępów...

– Dusza to nie tylko osobowość – wyjaśniał dalej Adamson. – Matryca energetyczna zachowuje informacje o ciele, inaczej zmartwychwstanie byłoby niemożliwe. Ewidentnie brak informacji na temat odzieży czy gnilnych bakterii... dlatego nasze ciała się nie rozkładają. Niewielkie okaleczenia nie naruszają owej matrycy, lecz te rzeczywiście poważne i przysparzające silny ból, odznaczają się w niej... dlatego powstawaliśmy z martwych ze szramami w takich miejscach. Jednak to też nie pozwoli nam umrzeć. Próbowaliśmy, na Boga, tyle razy...

Linda zadrzała i z jękiem opadła na kolana, ściskając głowę rękami. Teraz i ona nie mogła powstrzymać rwących potoków wspomnień. Kiedy rozszarpała sobie twarz i wydrapała oczy... kiedy ze wszystkich sił odpychała się nogami od podłogi, nadziewając się brzuchem i piersią na rury... wycięła schemat przeklętego statku na własnym ciele... wisiała rozciągnięta na drucie, podczas gdy człowiek, który z nią teraz rozmawiał, powoli odzierał ją ze skóry...

– Pamiętasz, jak mnie powiesiłeś? – spytała głucho.

– Nie – odpowiedział.

Najwidoczniej jego podświadomość była zbyt przerażająca i próbowała ukryć chociaż ten fakt.

– Czy to naprawdę ja... chociaż, kto... i po co?

– Sama cię ubłagałam, abys poddał mnie maksymalnie długiej i dręczącej torturze. Nie mogłabym tego zrobić sama, już próbowałam... Miałam nadzieję, że oszaleję, że tak wielkie cierpienie naruszy mój umysł i więcej nie powstanę.

– I zgodziłem się, chociaż wiedziałem, że nikt nie odda podobnej usługi mnie... W każdym razie nie wyszło. Potem usiłowaliśmy zniszczyć swoje mózgi. To też nie pomogło. Tylko amnezja po przebudzeniu okazała się znacznie głębsza. Być może chodzi o to, że tkanka nerwowa mózgu sama w sobie nie czuje bólu.

– Dlaczego zniszczyliśmy urządzenia? Z rozpacz?

– Nie tylko. Urządzenia zbyt szybko objawiłyby nam prawdę. Próbowaliśmy podtrzymać błogosławieństwo niewiedzy po kolejnym zmartwychwstaniu. Bo, aby odczuć w pełni rozpacz, trzeba dobrze ją poznać...

– A teraz? Skoro już wiemy? Czuję się źle i jestem przerażona, ale nie zdecydowałam się znowu na to, o co cię wcześniej prosiłam...

– Nie wiemy jeszcze wszystkiego. Trzeba trochę czasu... to jakby automatyczny regulator... lecz później nawet taki ból wyda ci się mniejszym złem od rozpacz! Pozbyliśmy się już urządzeń i lęku przed cierpieniem, które przyczynialiśmy sobie potem z ich pomocą, lecz kiedy nadchodziło „potem”, przeklinaliśmy siebie za to, co zrobiliśmy...

– Mówiłam ci, żebyś tego nie czytał!

– Wcześniej, czy później i tak ogarnęłaby nas rozpacz. Bez żadnych podpowiedzi. Tak już bywało. Poczynając od pierwszego razu, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, o co chodzi... A przede wszystkim, z każdą kolejną śmiercią i wskrzeszeniem ten czas się skraca.

– To znaczy, że mamy go mało – stwierdziła, wstając na równe nogi. – Powinniśmy coś zrobić!!!

– Niczego nie możemy zrobić – odparł, kręcąc głową – ani nikt w całym Wszechświecie. Rozpacz nie jest bogiem ani inną rozumną istotą, z którą można by się dogadać. Najbardziej okrutnego boga można obłaskawić modłami i ofiarami. Mamy do czynienia z tępą siłą natury. Z fundamentalnym prawem, rządzącym całym kosmosem. Nie można nic na to poradzić...

– Poprzednim razem zamknęliśmy drzwi niektórych kajut, gdzie zwykle wstawałam z martwych – przypomniała sobie Linda. – A jednak pojawiłam się w jednej z nich. Jak ona to robi?

– Myślę, że tak przejawiają się cechy ciemnej materii. Zauważ, że nasze koordynaty praktycznie rozmazane są po całym Wszechświecie...

– Więc możemy jednak przechodzić przez ściany?

– Świadomie nie.

Wiktor stuknął pięścią w ścianę dla pewności.

– Widocznie jednak śmierć przypomina przejście w stan kwantowości, a wskrzeszenie połączenie funkcji falowych. Tyle że nie w ramach kosmosu, ale naszego statku.

– Nasze dusze mogą istnieć bez ciał?

– Z tego, co zrozumiałem, nie. W każdym razie, takie położenie nie trwa długo. Za każdym razem powstają nowe ciała.

– Ale tak się dzieje tylko na statku, wprowadzonym w pole ciemnej energii za pomocą generatora Calkrina. Nie możemy opuścić statku?

– Nie. Z naszego punktu widzenia przestrzeń jest zamknięta w granicach pola wytworzonego przez generator.

– A jeśli przedziurawimy pokład?

– Nie sądzę, by to naruszyło pole. Mówiłem już, że od dawna wszystko stymulujemy sami, nie

generator...

– Lecz jeśli to zrobimy, zginiemy w jednej chwili! Do tej pory nie udawało nam się tego zrobić, choć próbowaliśmy. Może w takim przypadku pole osłabnie? A co najważniejsze, zniszczony będzie biosyntezaoraz z protoplazmą! Nowe ciała nie będą miały z czego powstać!

– Cóż – odparł powoli Wiktor – może jeszcze mamy nadzieję umrzeć. Teoretycznie. Bo praktycznie nie zdołamy zniszczyć statku. Tylko w dawnych idiotycznych powieściach fantastycznych promy kosmiczne mają systemy samozniszczenia. Chciałbym zapytać autorów tych głupot, czy wyposażyliby w takie systemy swoje auta lub samoloty? A skoro nie, to po jakiego diabła konstruktorzy raket kosmicznych mieliby postępować inaczej?

– Nie ma już paliwa – zastanawiała się głośno Linda. – Tyle, jeśli chodzi o reaktor obsługujący generator. Powinniśmy mieć jeszcze na pokładzie moduły do zbierania próbek z planet. Mają własne silniki... jeśli dobrze pamiętam, napędzane chemicznie?

– Tak – potwierdził skinieniem. – Nie chcieliśmy powodować uszczerbku w biosferach planet, dlatego unikaliśmy radiacji... Do samego startu powinno wystarczyć chemicznych komponentów. Nie wiem tylko, czy zdołamy... I tak wszystko jedno. Chodźmy. Hangar jest na trzecim poziomie.

Nie zaryzykowali użycia znowu funkcjonującej windy, pamiętając (zwłaszcza Wiktor), czym skończyło się to ostatnim razem. Gnani nadzieją i strachem – nadzieją ostatecznej śmierci i strachem przed kolejną potężną falą rozpacz – zbiegli w dół po schodach. Gdy wreszcie znaleźli się w hangarze, od biegu po spirali lekko kręciło im się w głowach, chociaż dobrze wyszkoleni kosmonauci nawet by czegoś takiego nie zauważyli. Widocznie kolejne życia wysysały z nich sporo sił... Tu także był panel sensoryczny identyfikacji. Wiktora już nie dziwiło, że został rozpoznany. Zapalił się zielony indykatör, potwierdzając, że luk w przestrzeń kosmiczną jest zamknięty, a dostęp do hangaru dozwolony, po czym drzwi odjechały na bok.

Stożkowate aparaty stały na pomalowanej w pasy podłodze, podtrzymywane zębatymi wspornikami. Każdy z nich mierzył niecały metr. Dwóch brakowało.

– Przekleństwo – mruknął ponuro Wiktor.

– Nie zdołalibyśmy na nich odlecieć, nawet gdybyśmy mieli dokąd – zgodziła się smutno Linda. – Teraz pamiętam. Bioinżynieria to moja specjalność. Bioroboty, które zaczęliśmy syntetyzować, były rozmiarów żuka lub kraba. Nie potrzeba więcej do pobrania próbek, a każdy zbędny gram przy wejściu na orbitę... szczególnie biorąc pod uwagę mocniejszą grawitację...

– To nieważne i tak nie wydostaniemy się poza granice pola – przerwał jej Adamson. – Najważniejsze, że już próbowaliśmy użyć sond i nic z tego nie wyszło.

Wskazał dwa puste miejsca.

– Nie pamiętamy jeszcze wszystkiego – stwierdziła Linda. – A może wpadamy w pułapkę poprzednich wcieleń? Przychodzimy i widzimy, że już próbowaliśmy... i odchodzimy, nie próbując od nowa. Raz za razem. Może tych dwóch sond wcale nie było. Zredukowano ich liczbę, jak członków załogi.

– Nie mogli zredukować sond – sprzeciwił się Wiktor. – Bez nich cała ekspedycja traciła sens. Próbowaliśmy użyć ich do odlotu... ale nie tutaj. Mają za słabe silniki, pozwalające tylko wylecieć z hangaru i wrócić do niego. Na zewnątrz znajdują się wyrzutnie raketowe z paliwem i prawdziwymi silnikami, z którymi aparaty łączą się, by odlecieć...

– Możemy do nich się dostać? Na zewnątrz jest przecież próżnia? Gdzieś powinny być skafandry. Program lotu nie przewidywał wychodzenia na zewnątrz, ale w sytuacji awaryjnej...

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że w naszym obecnym stanie możemy przeżyć nawet w próżni – zauważył ponuro. – W najlepszym razie pozwoli nam to postukać pięścią w ściankę rakety.

I nawet gdybyśmy ją odpalili, statek nie poniesie uszczerbku. W próżni nie ma fali niosącej. Dlatego wyrzutnie są na zewnątrz... Może poprzednim razem o tym zapomnieliśmy! Może jednak, gdyby udało się nam uszkodzić prom w okolicy biosyntezy, coś by z tego wynikło.

– Jak możemy pokierować rakieta?

– Pewnie nijak. Możemy za to zaprogramować komputer systemu odpalającego.

Linda podeszła do najbliższej sondy i przeciągnęła paznokciami po jej gładkiej powierzchni. Cienkie jak włos szczeliny okalały niewielkie włazy, które oczywiście nie chciały się otworzyć.

– A jak się dostaniemy do komputera?

– Nie da się bez urządzeń w środku – odparł, potrząsając głową. – Chociaż to nie jest konieczne. Obok głównej kabiny jest jeszcze awaryjny tryb zdalnego sterowania, zaraz za zakrętem. Zamilkł na chwilę, przypominając coś sobie, potem zdecydowanie zawrócił i wskazał na drzwi w najdalszym kącie. – O tam.

– Jeśli także nie jest rozwalony... – mruknęła Linda, idąc za Adamsonem.

Jej obawy potwierdziły się. Pulpit sterowniczy był połamany, a ze ściany po prawej sterczał zerwany kabel.

– Nie sądzę, byśmy mieli zapasowe kable – stwierdziła. Ta część jej pamięci wciąż była zamroczona.

– Wciąż posługują się przewodzącymi nanokanałami, idącymi przez ściany?

– To system rezerwowy – wyjaśnił Wiktor. – Wszystko tutaj zrobiono trochę prymitywnie, z nadzieją na skuteczność. Łatwo zniszczyć, trudniej naprawić...

– Myślisz, że jeszcze możemy to zrobić?

– Postaram się. Mam nadzieję, że pamięć wróciła mi wystarczająco.

Zdjął z wysiłkiem pociętą pokrywę pulpitu i zajrzał do elektronicznych trzewi. Linda chodziła nerwowo po pomieszczeniu, nie mogąc ustać na miejscu. Miała wrażenie, że czuje fizycznie, jak rozpacz, niczym czarny jad, wypełnia jej ciało, zżerając je od środka...

– Zdaje się, że jest szansa – oznajmił w końcu mężczyzna. – Nie pamiętam, które z nas niszczyło ten pulpit, ale nie do końca sobie poradziło, być może z braku odpowiednich narzędzi. Uwzględniając ogólną wytrzymałość i niejednokrotne używanie... kontakt jest słabutki, lecz parę minut zadziała.

Czas jakiś grzebał jeszcze w środku, potem odwrócił się w stronę Lindy.

– Jest tylko jeden problem. Urwano spory kawałek kabla. Nie pamiętasz, dokąd go zabraliśmy?

– Nie – odparła, kręcąc głową.

– W takim razie... nie ma tutaj przewodu odpowiedniej długości. Potrzebujemy co najmniej półmetrowego, by dostarczyć energię...

– Zrozumiałam. Zrobię to. Chwyć za końcówki.

– Chciałem zaproponować losowanie...

– Do diabła z losowaniem! Jestem bioinżynierem. Przeszłam szkolenie, ale ty jesteś głównym pilotem. Komputery pokładowe to twoja działka.

– Zgoda. Tylko nie wiem, czy wytrzymasz tak wysokie napięcie...

– Nie bądź śmieszny, Wiktorze. Co za różnica, czy zdechnę kolejny raz? Obwód pozostanie zamknięty. Pospiesz się, nie mogę już tego wytrzymać!

– Dobrze. Złap tutaj i tutaj.

Uklękła obok pulpitu; odginając izolację, obmotowała urwany koniec przewodu wokół palca prawej dłoni i zacisnęła ją w pięść, a lewą wsunęła do wewnątrz pulpitu. Adamson pomógł jej wetknąć palec w rozgałęźnik. Potem jako tako przymocował pokrywę pulpitu – nie do końca się to udało, lecz

podłączył ekrany i klawiaturę. Klawisze były staromodne, nie wirtualne na powierzchni ekranu.

– Włączam – uprzedził i połączył wszystko do końca.

Ciało Lindy wyprężyło się jak łuk. Usiłowała krzyżeć, lecz potężne cierpienie, paraliżując mięśnie, nie pozwoliło jej otworzyć ust. Mogła tylko buczeć przez rozdęte nozdrza. Kłaki włosów na jej głowie z suchym trzaskiem stanęły dęba. Rozszedł się obrzydliwy swąd spalenizny. Adamson nie mógł na to zważać ani pozwolić sobie na myślenie o jej mękach. Ekrany rozjarzyły się, przebiegły po nich kontrolne napisy. Wiktor cierpliwie przeczekał testy i kolejne komunikaty. Wiedział, że w tej sytuacji pulpit będzie pracował kilka minut, dopóki nie przepali się pierwsza z brzegu wtyczka lub jakiś element zawiesi się z powodu naruszenia parametrów. Ludzkie ciało to całkiem kiepskie zastępstwo dla certyfikowanego kabla...

Wiktor spróbował aktywować komputer pierwszej sondy. „Połączenie nie powiodło się” – pojawił się napis na ekranie. Problem tkwił w sondzie, w samym pulpicie, czy gdzieś na łączach? Brak czasu i możliwości sprawdzenia! Druga sonda... „Połączenie nie powiodło się”. Trzecia... Może zbyt pospiesznie uznał pulpit za w pełni sprawny! Tym bardziej, że... no tak: do zapachu przypalonej ludzkiej skóry domieszał się odór topiącego się plastiku. Włączyć mimo wszystko pełną kontrolę? W najlepszym wypadku ma tylko trzy minuty...

Linda wciąż boleśnie dyszała; jej ciało wygięło się tak, że wydawało się, iż za chwilę rozpadnie się na kawałki. Wiktor zerknął na nią przelotnie i znowu ze złością zaczął wciskać klawisze. Piąta sonda... nie, to bezcelowe... jeśli tylko jakimś cudem uruchomi szóstą, ostatnią... jest!!! Palce Wiktora zabłądziły na panel sensoryczny. Bez względu na swój archaiczny wygląd, pulpit wcale nie okazał się taki prymitywny, jak u zarania ery kosmicznej. W celu zaprogramowania lotu nie trzeba było wprowadzać dziesiątek, a może setek cyferek kodu – wystarczyło wskazać cel na podręcznej mapce sztabowej. Wylot z hangaru i zgranie z rakieta były podstawowymi operacjami, nie potrzebującymi specjalnego oprogramowania... teraz obrót i...

– Zaraz, Lindo – oznajmił, naciskając „Enter”.

„Wybrany kurs zagraża bezpieczeństwu statku. Odrzucone”.

Głupia maszyna! A właściwie odwrotnie, całkiem niegłupia...

Linda ciągle dyszała, czyli wciąż żyła. Lepiej, żeby umarła, pomyślał Wiktor. I potem znów odrodziła się w swojej kajucie w błogosławionej niewiedzy...

– Pocierp jeszcze trochę – mruknął bezradnie, wywołując na ekranie opcje regulacji.

„Zmienić poziom bezpieczeństwa”... „Wprowadź hasło”.

Hasło! Cholera! Oczywiście je znał... kiedyś... wiele śmierci temu...

Ciężkie buczenie Lindy ustało, ustępując zachłystującemu chrypieniu. Śmierdziało spalonym mięsem. Wciąż jednak żyła.

Nagle Wiktor ujrzał przed oczami litery i cyfry hasła, jakby wynurzyły się z najczarniejszych głębin rozpaczy. Wpisał je tak pospiesznie, że się pomylił. Jeszcze raz, nie spiesz się, nie zwracaj uwagi na dźwięki ani zapachy...

Jest! Sprawdzian ostatecznej rejestracji – unieważniony, sprawdzian poziomu paliwa – unieważniony... unieważnić, wszystko unieważnić...

Namiarów na zderzenie z promem nie było w parametrach, więc nie można ich było unieważnić. Jak słusznie wcześniej zauważył Adamson, żadnemu normalnemu konstruktorowi nie mogła przyjść do głowy sytuacja, w której załoga postanowiłaby zniszczyć własny statek. Ryzykować zniszczenie sondy owszem, ale nie całego statku!

Wiktor wyciągnął dłoń, by odłączyć zasilanie. Nic z tego nie wyjdzie. Są skazani na to, by bez końca dźwigać brzemień kosmicznej rozpaczy, szukać ukojenia w fizycznych cierpieniach, umierać i

odradzać się do nowej udręki, na zawsze zamknięci na tym przeklętym statku...

Stop! Cofnął dłoń. Przestrzeń zamknięta w obszarze pola... komputer sondy nic o tym nie wie! Nie jest zaprogramowany na wyjście z ciemnego pola – oczywiste, że takie wyjście jest bezsensowne. Odczytuje, że wokół statku znajduje się normalne kontinuum i rozpędzi się, odwrócony rufą do statku, oddalając od niego...

Palce Adamsona znów zaczęły wciskać klawisze panelu. Byle tylko zdążyć! Swąd palących się elementów robił się coraz silniejszy, pulpit mógł przestać działać w każdej chwili. Maksymalne przyspieszenie na starcie – prawidłowo unieważnił wszelkie ograniczenia rejestracji i paliwa – kiedy statek znajdzie się wkrótce przed dziobem rakiety, jej silniki manewrowe nie zdążą tego dostrzec i zmienić kursu...

„Program zatwierdzony. Procedura startu rozpoczęta”.

Zapalił się czerwony pasek, wskazujący, że wyjście z hangaru jest zablokowane i włączył jeszcze jeden ekran, ukazujący obraz z kamery sondy. W normalnych warunkach powietrze uszłoby z hangaru w ciągu kilku minut, lecz wobec zmiany parametrów bezpieczeństwa wrota otwarły się od razu wypuszczając powietrze w przestrzeń kosmiczną. Zresztą na zewnątrz nie było zwykłej ciemności kosmosu, lecz dziwny szarobury półmrok, pozbawiony gwiazd. Moduł badawczy, skierowany dziobem w stronę wyjścia przez wsporniki, uruchomił własny silnik.

Wiktor wolałby obserwować proces połączenia sondy z rakieta do samego końca, lecz Linda wciąż żyła i nie mógł jej dalej dręczyć. Komputer powinien wykonać zadanie... Adamson znowu wyciągnął dłoń, żeby wyłączyć pulpit. W tym momencie, jak powinno być przy wszystkich operacjach w przestrzeni kosmicznej, na zewnątrz włączyły się światła burtowe i w ich świetle przez otwarte wrota Wiktor zauważył wysyp jakichś drobnych przedmiotów, wylatujących z pokładu. Zrozumiał, że to resztki urządzeń – pole było skonfigurowane tak, żeby zachować grawitację wewnątrz statku, ale nie poza nim, przypomniał sobie nawigator. Jeśli sonda zderzy się z nimi, czy to nie zmieni jej kursu? Chyba nie, są zbyt małe...

– Skończone, Lindo – wydyszał, kiedy sonda wyleciała na zewnątrz.

Nim zdążył przerwać połączenie, w trzewiach pulpitu rozległ się krótki trzask zwarcia elektrycznego. Kondensatory utrzymały jednak obraz na ekranie jeszcze parę sekund. W polu widzenia kamery modułu pojawił się jeszcze jeden, znacznie większy przedmiot, niż pozostałe śmieci. Ciało z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Wiktor zdążył je rozpoznać. Ekran zgasł, lecz przed oczami mężczyzny wciąż trwał wyszczerzony grymas jego własnego trupa...

Linda runęła na wznak jak drewniana kukła, uderzając głową o podłogę. Poczerniałe palce dymiły. Z nosa wyciekał krwawy śluz. Wiktor pochylił się nad kobietą. Nie dawała oznak życia. Jednak umarła? Nawet jeśli, to nie w taki sposób, o którym można powiedzieć: „skończona męka”... w każdym razie, dopóki rakieta nie wypełni swego zadania.

Jeśli jednak odrodziła się znów w części dziobowej statku, czy zginie znowu, gdy rakieta wbije się w rufę? Możliwe, że nie... ale jeśli biosyntezy z zapasem protoplazmy zostanie zniszczony, cykl wskrzeszeń zakończy się, a na rozwalonym statku nie potrwa długo. Jak się przed chwilą przekonał, w próżni jednak nie przeżyją. Chociaż... czy na pewno zabiła go próżnia? Może nie mógł długo ze sobą skończyć, dopóki nie pochwycił któregoś z lecących przedmiotów? Po tym, jak źle się zrobiło Wiktorowi na tę myśl, zrozumiał, że chyba zgadł.

A gdzie jest wybuch? Wiktor odczuł, jak ciężka męka, wierna towarzysząca beznadziejnej rozpacz, napełnia go znowu. Przyłgął do ściany i zamknął oczy – jak się okazało, w sam czas, by usłyszeć dochodzące zza ściany odgłosy tępych uderzeń. Żaden nie był wystarczająco silny, by wywołać choćby drgnięcie statku. Oczywiście nie mogła to być eksplozja rakiety. Zderzenie z przyborami, czy

co tam jeszcze dryfowało? Gdzie ta przeklęta rakietą? Czyżby ominęła rufę? Jeśli źle obliczył krzywizny zderzenia... zresztą, rakietą i tak nie ma gdzie się podziać w tak małym polu więc prędzej, czy później... za chwilę nastąpi uderzenie...

Skoro Linda nie żyje, można znów podłączyć jej ciało do przewodów i nawiązać łączność z rakietą. Wziął jej rękę z tą myślą, lecz w tej chwili ciało kobiety drgnęło konwulsyjnie, kaszlnęła, jakby dławiła się własnym językiem, znowu zadrgała, a potem z trudem uniosła głowę.

– Jeszcze... tu... jesteśmy? – wychrypiała.

– Jesteśmy idiotami! – zawołał, głośno kontynuując wcześniejszą myśl. – Nie powinnaś była chwycić się przewodów! Mogliśmy przytaszczyć tutaj pierwszego z brzegu trupa i go podłączyć!

– To nic...

Niezdarnie otarła czoło wierzchem prawej dłoni, starając nie dotykać skóry zwęglonymi palcami.

– Wszystko lepsze, niż ONA...

– ONA – powtórzył tępo Adamson. – Być może wpływa także na nasze decyzje... pozwalając nam wybierać te, które służą jej prawu, zwiększającemu rozpacz...

– Rakietą. Co z nią? Nie udało ci się jej uruchomić?

– Udało, ale... Teraz rozumiem. Jesteśmy podwójnymi głupcami – skonstatował ponuro. – Statek nie ma systemu samozniszczenia. Ma go jednak sterowana zdalnie rakietą! Kiedy komputer zrozumiał, że nie uzyska połączenia... doleciały do nas tylko drobne odłamki.

– I w żaden sposób nie możemy go wyłączyć?

– Nie. A gdybyśmy nawet zdołali, był to jedyny moduł, z którym udało mi się nawiązać łączność. Obawiam się, że pulpit już też nie zadziała...

Linda siedziała na podłodze, patrząc na swoje poczerńnięte palce. Tragiczny grymas wykrzywił jej okaleczoną twarz, co wyglądało wyjątkowo okropnie – płaty martwej skóry, zachodzące na siebie, zwijały się ohydnie z cichym szelestem.

– Bardzo boli? – spytał Wiktor. – Może by tak... nowy cykl?

– Śmierć jako najlepsze lekarstwo, zabójstwo jako pierwsza pomoc – wymamrotała. – Nie. Nie chcę zaczynać od nowa. Znowu wszystko przypominać... przechodzić od nadziei do... tym gorzej, że coraz krócej... Posłuchaj. Wiem, co powinniśmy zrobić. Zniszczymy ten przeklęty statek. Na pewno drugi poziom.

– Jak?

– Wodór.

– Skąd go tu weźmiemy w tych okolicznościach?

– Sprawimy, że świństwo zniszczy się samo. Wpuścimy wirusa do protoplazmy. Jej komórki są bardzo plastyczne. Zdolne służyć jako materiał do poszczególnych ludzkich tkanek, czy sztucznie wyhodowanych biorobotów... a wydzielenie biogenego wodoru to rutynowy proces biochemiczny. Nietrudno go zaprogramować. Obecnie protoplazma rozwija się pod wpływem ciemnej energii, jak biomasa Ziemi pod wpływem słonecznej, niech więc wzrasta, im więcej, tym lepiej. Wirus zainfekuje wszystkie jej komórki i wywoła produkcję wodoru.

– Zdołasz stworzyć taki wirus?

– Jestem bioinżynierem.

– Tak, ale... wszystko jest rozwalone...

– Na drugim poziomie jest także rezerwowe stanowisko.

– Jeśli jest w takim stanie, jak to...

– Na co czekamy? Chodźmy.

– Dobrze – zgodził się Adamson bezbarwnym tonem. – Chodźmy, skoro nalegasz...

– Nie wierzysz, że nam się uda?

– Ona nas nie wypuści. Nie wiem, w jaki sposób, ale na pewno nie.

– Wiktorze, nie mów tak! To właśnie ona podsuwa ci takie myśli! Sam mówiłeś, że to absolutnie tępa moc, nie zaś przebiegły wróg! Musimy się bronić!

– Masz jeszcze... jakąś... nadzieję?

Fala apatii i bezsilności zalewała go, a była tak wielka, że ledwie był w stanie poruszać ustami.

– Ból. Myślę, że w nim jest problem. Dopóki myślę o bólu, nie mogę w pełni skupić się na rozpaczy. Ona w końcu jednak przeważy... Chodźmy, dopóki jeszcze możemy to znieść!

Widząc, że Wiktor się nie rusza, z rozmachem uderzyła go w twarz, potem jeszcze raz i zawyła z bólu w palcach. Adamson niechętnie przyłożył dłoń do panelu otwierającego wejście. Hangar znowu wypełnił się powietrzem i automatyka pozwoliła im opuścić dyspozytornię.

Na drugim poziomie niewiele zmieniło się od ostatniej wizyty Adamsona: tylko obmierzłe przejawy żywotności rozpleniły się jeszcze bardziej. Tak, jak poprzednio, Wiktor mało zważał na śluzowate grzyby i mięsiste stalaktyty, lecz patrzył na okaleczonego trupa, wiszącego w poprzek korytarza. W martwym ciele wciąż niemrawo poruszały się czerwie. Wydawało się, że jest ich więcej, tak samo jak truchel na podłodze. Wiedział teraz, że to ciało Lindy i że tej potworności on sam dokonał.

Wspomnienie tego, co się zdarzyło, tak jasno objawiło się w świadomości, że było niemal jak fizyczny wstrząs. Adamson zadrżał i mocno zacisnął powieki, ale koszmarna scena wciąż trwała przed oczami...

– Ja też to pamiętam – powiedziała cicho Linda. – Chodźmy.

Zdecydowanym krokiem przeszła obok własnych szczątków, schylając się pod poszarpaną ręką. Wiktor szedł za nią, starając się jednocześnie nie patrzeć na zwłoki i nie otrzeć się o nie. Pod nogami trzaskały martwe owady, pokrywające podłogę niczym ohydny dywan. Buty lepiły się od śluzu i posoki. Uradował się, na ile to było możliwe w tym momencie, że założył buty martwego poprzednika... czyli swoje własne. Linda stąpała boso po całym tym świństwie, nie zwracając na nie uwagi. Korytarz po bokach coraz mniej wyglądał na dzieło ludzkich rąk, raczej na wnętrzności jakiegoś stwora, skażone wrzodami i polipami. Światło nie mogło już przenikać przez obrośnięte plafony, trzeba było znowu użyć latarki. W pewnym miejscu zagrodziło im drogę coś w rodzaju miękkiej kłody. Linda nadepnęła na nią i rozległ się dźwięk przypominający chlupoczący wydech. Poszła dalej, a Wiktor potknął się w mroku. Poświecił pod nogami i skrzywił się, gdy zrozumiał, co to takiego. Trup, stający się powoli częścią większej masy, oblepiającej ściany, podłogę i sufit. Obrósł tak gęsto, że nie można było stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna, nie mówiąc już o przyczynie śmierci. Można było tylko dostrzec rozwarłe usta, czarny otwór w nierównej, guzowatej powierzchni, całkowicie pokrywającej twarz. Wiktor poczuł obawę, że dalsze przejście jest całkiem zarośnięte i będą musieli dosłownie przegryzać się, by dotrzeć do stanowiska... Na szczęście do głównych drzwi dotarli bez specjalnych problemów. Drzwi i ściany pokrywała jakaś gąbczasta paskuda, a panel identyfikacyjny zarósł śmierdzącą pleśnią, chociaż wciąż działał, skoro przebijał czerwony poblask. Adamson z obrzydzeniem starł pleśń łokciem, po czym przyłożył dłoń. Niczego to nie zmieniło, między jego palcami wciąż była ta sama złowroga czerwień.

– Zostaw – powiedział Linda i niemal go odpychając, przyłożyła własną dłoń. – To moje królestwo.

Na potwierdzenie jej słów panel rozjarzył się zielenią i skrzydła rozjechały się na boki, rozrywając gąbczastą substancję.

Pomieszczenie stanowiska zarządzania biosyntezaorem okazało się mniej skażone, niż korytarz.

Najwięcej porostów było u drzwi, a na samym pulpicie tylko niewielkie kałuże gęstego śluzu, gdzieś porosłe pleśnią. Na ścianach i suficie wędrowały jednak liczne zmutowane karaluchy, spadając czasem na podłogę. Te, które upadły na grzbiet, nie mogły wstać i leżały bezsilnie białawym brzuszkiem do góry, niemrawo poruszając odnóżami. „Zaraz rzygnę” – pomyślał Wiktor, chociaż wiedział, że nic z tego nie będzie.

Najważniejsze, że pulpit działał! Nie było na nim żadnych śladów zniszczenia.

– Być może jeszcze tutaj nie dotarliśmy – zasugerował Adamson. – Odraza okazała się silniejsza, niż wszystko inne...

Linda trąciła lepkie siedzisko fotela, a kiedy odjęła palec, pociągnęły się za nim kleiste nici. Odepchnąwszy fotel na bok, uklękła przy pulpicie. Ekrany ożyły, poddając się jej dotykowi. Wiktor zobaczył na jednym z nich skomplikowany łańcuch jakiejś organicznej molekule. Drugi transmitował obraz z kamery obserwacyjnej, pokazując coś w rodzaju okrągłego basenu, wypełnionego tłustą, gęstą, puszczającą bąble masą. „To pewnie protoplazma” – pomyślał Adamson.

– Wiesz, co robić? – spytał.

– W ogólnych zarysach przemyślałam schemat wirusa, a konkrety nastąpią za chwilę... system zawiera wszystkie konieczne środki.

– Długo to potrwa?

– Programowanie, czy synteza?

– Cały proces. Do chwili, kiedy będziemy w stanie spowodować eksplozję.

– Nie wiem. Minimalny przeciętny interwał podziału komórek trwa około dwudziestu minut. Wykorzystamy wszystkie katalizatory, by przyspieszyć reakcję, ale mimo wszystko, żeby zainfekować całą biomasę, a potem jeszcze wytworzyć odpowiednio dużo gazu, potrzeba, jak sądzę, wiele godzin. Być może dni...

– Dni?! Tyle nie wytrzymamy! Coraz mocniej odczuwam JEJ moc!

– Nie mamy wyboru. Musimy wycierpieć. Jeśli pozabijamy siebie w połowie zadania, trzeba będzie zacząć wszystko od nowa.

Coś zaroilo się we włosach Wiktora. Machinalnie strącił to na podłogę. Był to oczywiście spadły z sufitu karaluch. Adamson z odrazą rozgniół paskudztwo czubkiem buta.

Sam nie wiedział, jak długo przechadzał się nerwowo po pomieszczeniu, przygryzając wargi i wczepiając się palcami we włosy, gdy zalewały go potężne fale nieznośnej rozpacz. Linda pracowała tymczasem przy swoim pulpicie. Kiedy czuła się bardzo źle, specjalnie ścisnęła zniszczone palce. Adamson zorientował się, że cierpi mniej od niego i poczuł, że nienawidzi jej za to. W jednej chwili nienawiść stała się tak silna, że gotów był rzucić się na kobietę, by rozszarpać jej ciało zębami i pazurami. Zamiast tego z całej siły walnął się parokrotnie pięścią w twarz, dopóki nie poczuł krwi na wargach, płynącej z rozbitego nosa.

– Długo jeszcze?! – zaryczał w końcu. – Długo się będziesz z tym szarpać?

– Skończyłam – odparła martwym głosem. – Dokonałam syntezy. Teraz przyspieszę testy i sprawdzę, jak długo mamy czekać.

Wiktor usiadł na brudnej podłodze, wbijając paznokcie w dłonie i waląc się kulakami w skronie.

– Poziom wodoru – mamrotała Linda. – Nie. To niemożliwe!

– Co znowu? – zajęczał Wiktor. – Pomyliłaś się? Wszystko na próżno? Wiedziałem, że tak będzie...

– Nie. Dokładnie odwrotnie. Tam jest pełno wodoru! Syntezator jest wypełniony gazem wybuchowym. Ale to niemożliwe! Żaden wirus nie rozmnaża się tak szybko!

– Więc aparaty coś przekłamują.

– Chyba nie... Wydaje mi się... że wiem, o co chodzi. To tak samo jak z raketami. Nie pamiętamy, że próbowaliśmy już dwa razy. Zniszczyliśmy pulpity, żeby uniemożliwić trzecią beznadziejną próbę, lecz tobie udało się go jednak uruchomić...

– Chcesz powiedzieć, że pomysł z wirusem także nie pierwszy raz powstał w twojej głowie? – zrozumiał w końcu.

– Tak. To oczywiste, że za każdym razem próbowaliśmy tego samego... Tylko że ten pomysł nie był beznadziejny. Zrozumieliśmy po prostu, że nie doczekamy końca procesu... który szedł dalej automatycznie, bez naszego udziału. Najważniejsze to nie przeszkadzać. Nie zniszczyć wszystkiego w ostatecznym przypływie rozpacz...

– To znaczy – stwierdził wstrząśnięty Wiktor – że powiesiłem ciebie na korytarzu w charakterze znaku „Wstęp wzbroniony”?

– Tak. Wtedy już wiedzieliśmy, że krwawe napisy typu: „Nie idź tam!” nie pomagają. Widząc go i tak poszedłeś dalej. Ja bym nie poszła... Naprawdę liczyłam, że ból zabije mój rozum i wszystko się skończy... ale nie wyszło.

– Ile jeszcze zostało do końca procesu?

Linda spojrzała na ekran.

– Zakończony. Cała protoplazma została zainfekowana.

– To znaczy, że straciliśmy mnóstwo czasu, kiedy tworzyłaś nowy wirus! – zirytował się Wiktor. – Dawno mogliśmy to skończyć!

– Nie krzycz. Zostało parę sekund. Chodźmy.

Nie chcieli wracać na korytarz. Do rezerwuaru syntezy można było przejść prosto ze stanowiska dyspozycyjnego. Zszedłszy po niewielkich schodkach, mijając wieszak, na którym kiedyś wisiały stroje ochronne (gdzie teraz były, na których nieznanymi zwłokach?), astronauta znaleźli się przed kolejnymi porośniętymi drzwiami. Pod porostami można było jeszcze zobaczyć znak ostrzegawczy przed biologicznym zagrożeniem, który naturalnie ich nie powstrzymał. Teoretycznie powinna być za nimi hermetycznie zamknięta komora, lecz w takim razie, jak całe życie na statku wydostało się na zewnątrz? Z powodu paradoksów ciemnej materii, czy też może wypuścili je sami? Linda przyłożyła dłoń do skanera i weszli na balkon otaczający spore, okrągłe pomieszczenie, które widzieli wcześniej na ekranie. Z bliska kolebka życia robiła jeszcze bardziej odpychające wrażenie, niż na monitorze. Wilgotne bąble powoli wzdymały się i głośno pękały parę metrów pod ich nogami, w powietrzu wisiał odór zepsutego wywaru. Wiktor zrozumiał, że owe bąble świadczą o obecności wodoru, który sam z siebie nie miał zapachu.

– No i? – zreflektował się Adamson. – Jak go podpalamy?

– Hm – zmartwiła się Linda. – Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Mieliśmy elektroniczne zapalniki, lecz gdzie teraz je znaleźć?

– Obawiam się, że za burtą.

– A tutaj – zauważyła, oglądając ściany – nie ma żadnych przewodów, do których moglibyśmy się dostać...

– Gdyby chociaż to dziadostwo było metalowe! – syknął, uderzając pięścią w poręcz balkonu. – Byłaby szansa wykrzesać iskrę. Wszędzie tylko plastik...

– Chemicznie obojętny i niepalny – potwierdziła ponuro.

Znowu spojrzała przenikliwie na pierwszego pilota.

– Poczekaj. Mam pomysł. Zaraz coś przyniosę.

Z tymi słowami wyskoczyła za drzwi, pozostawiając Wiktora ściskającego w bezsilnym gniewie okrągłą poręcz. Jaki znowu pomysł? Błędne koło zamknęło się: na samym szczycie ludzkiej

cywilizacji pojawił się ten sam problem, co u pierwotnych jaskiniowców – jak zdobyć ogień. Tylko tutaj nie jest potrzebny, by przeżyć, lecz aby szybciej umrzeć. O wiele trudniej tego dokonać – przedmioty w dłoniach człowieka prehistorycznego nie miały zabezpieczeń, wykluczających przypadkowy samozapłon... Niech wreszcie tamta wróci i przyniesie to, co potrzeba! Nie można dłużej znieść tej rozpacz! Jeszcze chwila i skoczy w tę bulgoczącą w dole magmę, wiedząc, że to mu nic nie pomoże, a tylko rozpocznie cykl od początku...

Kiedy wreszcie wróciła zdyszana Linda, Adamson prawie tego nie zauważył. Skulił się na podłodze, zaciskając zęby i powieki. Musiała dwa razy do niego wołać, by oprzytomniał.

– Przyniosłaś? – spytał gorączkowo.

– Tak.

Pokazała mu grzebyk. Najzwyklejszy w świecie, bez żadnych technologicznych bajerów, jakby specjalnie zostawiony w kieszonce jej kombinezonu.

– Do czego to?!

– Przeczysz się.

– Po jaką cholere?!

– Pozostało mi za mało włosów. Ty swoich nie straciłeś. Można je łatwo pocierać.

– A! – zrozumiał wreszcie. – Elektrostatyka?

– Otóż to...

Zaczął gwałtownie szarpać splątane kłaki. Na pewno, pomyślał, żaden uczeń nie czesałby się staranniej przed pierwszą randką. Jaka była jego pierwsza randka? A może nie było jej, bo interesowała go tylko nauka? Okazało się, że miał jeszcze wiele luk w pamięci. Teraz to już nieważne...

– Wiktorze.

Przestał. Jego włosy z lekka elektryzowały. Linda niepewnie zaglądała mu w oczy.

– Byliśmy chyba ze sobą... nie tylko kolegami? Między nami... coś było?

– Nie pamiętam – odpowiedział szczerze. – Jeśli nawet było... rozpacz wszystko wchłonęła. Nawet nie mogę sobie przypomnieć, jak naprawdę wyglądałaś. To znaczy, widziałem twoje zwłoki, ale...

– Ja także bardzo mało pamiętam na ten temat. Wydaje mi się, że... czuję... Powiedz, chciałbyś, żeby między nami zaczęło się od nowa? Gdyby nie to wszystko...

Bezradnie zatoczyła ręką w powietrzu, pokazując na swoje zniszczone ciało, a potem ściany rezerwuaru.

Spojrzał na łuszczącą się maskę, zastępującą jej twarz. Maskę niemal pozbawioną mimiki... chociaż w oczach było błaganie.

– Tak – odpowiedział niejasno, mając nadzieję, że zabrzmiało to jednak pocieszająco.

Zrozumiał ze zdziwieniem, że to niezupełnie tak... a może całkowicie nie tak. Owa część jego pamięci pozostawała zaćmiona, lecz emanowała smutkiem, nieodłącznym od tego... coś mimo wszystko kontrastującego z obecną beznadzieją i ogólną beznadzieją Wszechświata...

– Tak, chciałbym – powtórzył pewniejszym tonem, nawet próbując się uśmiechnąć.

Odpowiedziała także uśmiechem, krzywiąc zniszczoną twarz i wyciągnęła dłoń ku niemu. Również wyciągnął rękę, rozumiejąc znaczenie tego gestu. Ich palce zetknęły się.

Sucho trzasnęła iskra, ukąsiwszy ich oboje mgnieniem bólu.

Nie usłyszeli już huku eksplozji.

Na początku nie było niczego, oprócz ślepego strachu. Potem zaczęły budzić się odczucia...

odczucia własnej cielesności. Przeróżające go bardziej, niż ich obecność. Zrozumiał, że nie może poruszyć ręką ani nogą, ani nawet palcem, a zarazem nie czuł się sparaliżowany. Czuł własne ciało, duże i ciężkie, dosłownie ogromne... a jednocześnie nie mógł powiedzieć: „tutaj jest taki organ, a tu owaki”; nie mógłby nawet określić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Było to po prostu odczucie potwornej, ciężkiej masy. Powieki jednak poddały się jego woli i otworzył oczy.

Wokół nie było niczego oprócz szaroburej pustki, w której znajdował się tylko on. Albo oni. Lub ono... Jego głowa sterczała z kulistej bryły ciała, prymitywnie zlepionej z góry trupów, a także gąbczastej masy, śluzu i pozostałych form życia, zrodzonych w synteźatorze. Wszystko stało się jedną całością, jakby jakaś nieznaną moc zlepiała ze sobą plastelinowe figurki. Zresztą, niektóre robakowate i wielonogie stworzenia, które przeżyły katastrofę, nie stały się częścią twórczego materiału i pełzały swobodnie po kuli, wkręcając się w szczeliny skórne zrośniętych ciał, cielesne jamy i wyszarpane otwory.

Tu i ówdzie z masy okaleczonych ciał wystawały martwe głowy, jedne w całości, inne w kawałkach, ze zdeformowanymi twarzami. Jakiś metr od tego, kto wcześniej nazywał się Wiktor Adamson (i który teraz wspominał swą przeszłość znacznie szybciej, niż podczas poprzednich wskrzeszeń), ślepo wpatrywała się weń pustymi oczami i szczyrzyła pozbawioną warg jamą głowa Lindy zmienionej w ul. Nieco dalej starczał czerep Lindy mumii. Tylko że tamta nie była martwa. Jej powieki zadrżały i uniosły z trudem...

Nieodparte przerażenie i rozpacz nie przeszkodziły Wiktorowi skonstatować, że w tym co zaszło, nie ma ingerencji żadnego wyższego umysłu, karzącego grzeszników. Tylko prawa fizyki, które, jak słusznie wcześniej zauważył, pozbawione są obecności mrocznych bogów. Gdy jednocześnie zostały zniszczone oba przekaźniki i zniszczony został materiał potrzebny do ich regeneracji, uruchomił się spontaniczny proces przemiany. Pole ciemnej energii zmniejszyło się do minimum i najbardziej energetycznie przydatnej formy kulistej. Ponadto cała materialna część statku, bezużyteczna dla podtrzymania rozpaczki, została wyrzucona poza granice pola i rozproszona w kontinuum. W zamkniętym obiegu pozostało tylko to, co jeszcze mogło być nośnikiem życia: nierozkładająca się masa ludzkich ciał...

Niewiele mu pozostało, co mógłby przeciwstawić rozpaczce (rozpaczce, ROZPACZY!). Zacisnąć usta. Przygryźć język. Potem ona znów zwała się na niego z siłą przeciętnie występującej na sto dwadzieścia przypadków grawitacji.

Patrzył w oczy żywej Lindy, wytrzeszczone ze strachu tak mocno, jak u martwej Lindy obok i rozumiał, że odtąd będą zawsze razem i że nigdy nie umrą. Zakrzyczał wtedy tak, że powinny popękać od tego bębenki w uszach, a płuca rozerwać się i wypłynąć wraz z krwią z ust... lecz nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Po pierwsze, nie miał już płuc. Po drugie, otaczała go próżnia.

Z ust Lindy ula wylał pierwszy karaluch i kołysząc się niezdarnie, ruszył w stronę jego twarzy.

Przełożył Witold Jabłoński

Noty o autorach

Dan Simmons – przełom lat 80. i 90. ubiegłego wieku był bardzo kreatywnym okresem w twórczości autora serii *Hyperion*. Pochodzące z roku 1992 r. opowiadanie „Tegoroczne zdjęcie klasowe” zdobyło prestiżową Theodore Sturgeon Memorial Award, Bram Stoker Award, a także World Fantasy. Simmons potraktował temat na tyle przewrotnie, że opowiadanie po blisko 20 latach od premiery swobodnie konkuruje z najnowszymi dziełami o zombie.

Tekst pochodzi z jednej z pierwszych antologii tematycznych, pt. „Still Dead: Book of the Dead 2”. Ten – i poprzedzający go tom, „Book of the Dead” – inspirowane były jeszcze filmem *Noc żywych trupów* George’a A. Romero, zwanego ojcem chrzestnym wszystkich zombie. Film i antologie uznawane są dziś za klasyki horroru i splatterpunku. Warto o tym pamiętać, ponieważ uniwersum zombie rozrosło się już do takich rozmiarów, że pamięć o jego początkach powoli zanika.

Charles Yu – znany już polskim czytelnikom autor znakomitej powieści *Jak przeżyć w fantastycznonaukowym wszechświecie* (Prószyński i S-ka), a także opowiadania „Standardowy pakiet samotności”, opublikowanego w *Nowej Fantastyce*.

„Superbohater Trzeciej Kategorii” pochodzi ze zbioru opowiadań pod tym samym tytułem, który ukazał się w 2007 r. Opowiadanie zostało nagrodzone The 2004 Sherwood Anderson Fiction Award, zaś Yu wybrany przez National Book Foundation do wąskiego grona „5 poniżej 35”, czyli pięciu najbardziej obiecujących autorów młodego pokolenia.

Charles Yu wykorzystuje klasyczne fantastyczno-naukowe motywy: wehikuły czasu, światy równoległe, czy superbohaterowie. To instrumentarium służy u niego do opowiadania historii przekraczających ramy gatunku. „Superbohater Trzeciej Kategorii” zanurzony jest w amerykańskiej kulturze komiksowej. Rodzi skojarzenia ze słynną serią *Strażnicy*, czy też – późniejszą od tekstu Yu – serią *Kick-Ass*. Ale każde z tych dzieł jest niezależną artystycznie kreacją.

K.J. Parker – to pseudonim literacki tajemniczego autora (autorki?) fantasy z Wielkiej Brytanii, który ma na koncie dwanaście powieści wypuszczanych niemal co roku od końca lat 90. Parker unika krótkiej formy, ale ostatnio napisał kilka opowiadań, z których jedno – „Błękit i złoto” – godne jest szczególnej uwagi. Kipiący od czarnego humoru tekst, podany w pierwszej osobie, stanowi relację z paru dni życia alchemika Salonina. Narrator ma nieprawdopodobną wręcz zdolność popadania w kłopoty, jak również nie mniej wybitną skłonność do kłamstw. Co krok wprowadza w błąd innych bohaterów powieści, a nawet... samego czytelnika.

„Błękit i złoto” błyszczy jak brylant na tle współczesnej fantasy. Znakomita kreacja głównego bohatera, błyskotliwe dialogi i wspaniale poprowadzona intryga. Wystarczył jeden tekst aby Parker stał się jednym z bardziej wyrazistych głosów we współczesnej fantasy.

Ted Kosmatka – polskim czytelnikom ujawnił się po raz pierwszy w czwartym tomie odnowionych *Kroków w nieznane*, krótkim, wstrząsającym opowiadaniem „Śmiercionauci”.

W „Proroczym świetle”, nominowanym do Nebula Award, skupia się większość mocnych cech pisarstwa Kosmatki. Talent narracyjny, łatwość w kreowaniu wyrazistych postaci, oryginalne

pomysły, a także – może najważniejsze – prawdziwe emocje, które autor potrafi wzbudzić, jak mało kto.

Autor przedstawia paradoksy wynikające z jednego z dziesięciu najpiękniejszych eksperymentów w historii nauki, za jaki uznaje się doświadczenie z podwójną szczeliną Thomasa Younga, sprytnie zacierając granice między fikcją a rzeczywistością. W efekcie powstała historia o fascynującej zagadce, której rozwiązanie każe powątpiewać w prawdziwą naturę naszego świata.

Opowiadanie ukazuje się w *Krokach w nieznane* dzięki uprzejmości i życzliwości Jana Żerańskiego, który patronuje projektowi „*Skryptorium*”.

Tony Pi – mieszkający w Kanadzie autor pisujący fantasy i science fiction w ich przygodowej odmianie. Urodził się na Tajwanie skąd wyemigrował z rodziną jako ośmioletnie dziecko. Jego pasją jest semantyka i lingwistyka.

Pisarstwo Tony ego Pi wyróżnia wartka akcja, niebanalna scenografia i dowcipne dialogi, czyli to wszystko czego potrzebuje przyzwoity bestseller. Autor zajmuje się pisaniem zaledwie od kilku lat, a zdążył już być finalistą John W. Campbell Award w roku 2009 dla najlepszego młodego autora.

Pi napisał kilkanaście opowiadań, które układają się w kilka serii rozgrywających się w różnych rzeczywistościach. „Przynęta idealna”, pierwszy utwór tego autora tłumaczony na język obcy, to jeden z trzech tekstów składających się na bardzo filmową serię o Elektach, nieśmiertelnych zmiennokształtnych, którzy czerpią swoją moc m.in. z bursztynu. Pozostałe to „We Who Steal Faces” i „Metamorphoses in Amber”, nominowany do Prix Aurora Award, 2008.

Will Ludwigsen – młody amerykański autor po raz pierwszy tłumaczony na język polski. Tworzy głównie horrory i opowieści grozy; rzadziej science fiction. Jego „Pamięć jest czymś jak dom” może się spodobać miłośnikom prozy Raya Bradbury’ego.

Opublikował dotąd ponad trzydzieści tekstów w różnych miejscach: od „Asimov’s Science Fiction” przez „Alfred Hitchcock’s Mystery Magazine”, „Cemetery Dance”, „Weird Tales” po internetowy „Strange Horizons”. Zamieszczał też opowiadania w kilku antologiach. Tych, którzy polubią klimat jego twórczości zachęcamy do sięgnięcia po zbiór opowiadań *Cthulhu Fhtagn, Baby! and Other Cosmic Insolence*.

Will Ludwigsen jest autorem stałej rubryki na stronie „The Horror World”, penetruje dziwne, opuszczone miejsca z aparatem fotograficznym, a także chętnie bloguje. Na swoim blogu zamieścił m.in. recenzje ze wszystkich siedmiu sezonów *Star Trek: The Next Generation* (178 odcinków!). Pisuje też historie bazujące na obrazkach ze starych kartek pocztowych.

Marina iSiergiej Diaczenko – duet ukraińskich pisarzy tworzących po rosyjsku i ukraińsku. W drugim tomie odnowionych *Kroków w nieznane* ukazało się ich doskonale opowiadanie „I odjechał rycerz mój”.

Diaczenkowie wydali kilkanaście powieści, z których wiele zostało przetłumaczonych na język polski. Zajmują się również scenopisarstwem. Spod ich ręki wyszedł skrypt do rosyjskiej superprodukcji *Przenicowany świat*, na podstawie książki braci Strugackich.

Opowiadanie z niniejszej antologii, również „Przenicowany świat”, pochodzi ze zbioru opowiadań pod tym samym tytułem, który ukazał się pod koniec 2009 r. Znawcy Diaczenków szybko rozpoznają powinowactwo z *Vita nostra* i *Cyfrowy*. Wszyscy są bohaterami serialu, ale część gra role pierwszoplanowe, zaś inni to postacie drugiego planu lub statyści. Znajomość z samym Reżyserem pomaga wprawdzie postaci drugoplanowej awansować w hierarchii bytów, ale nie może

się odbyć bez zmiany przebiegu akcji.

Paul M. Berger – tłumaczony po raz pierwszy na polski autor niespełna dziesięciu opowiadań fantasy i science fiction. Do najważniejszych należy „Stereogram Szarego Fortu w dniach jego chwały” opublikowany w 2010 r. w internetowym „Fantasy Magazine”. Berger zaskakuje czytelnika w tym tekście kilka razy. Począwszy od znakomicie rozegranego puenty, poprzez eksperyment formalny – rzadkie zjawisko w fantastyce, aż po kwestię przynależności gatunkowej.

Berger publikuje poza głównym nurtem amerykańskich periodyków fantastyczno-naukowych. Szybciej jego teksty znajdziemy w tytułach internetowych, np. „Fantasy Magazine”, „Strange Horizons”, czy „Escape Pod”, a także wydawanych poza USA – brytyjskim „Interzone” i kanadyjskim „Ideomancer”.

Autor należy do brooklyńskiej grupy literackiej „Altered Fluid”.

Charles „Charlie” Stross – jeden z najpopularniejszych obecnie brytyjskich pisarzy science fiction. Można się jednak spotkać z poglądem, że jest dwóch Strossów. Pierwszy zajmuje się poważną twórczością spod znaku hard sf i napisał, np. powieść *Accelerando*, czy nowelę „Nierównowaga sił”. Drugi Stross pisuje teksty o zabarwieniu humorystycznym, z których najbardziej znana i lubiana jest seria *Pralnia*, inaczej *The Atrocity Archive*, z której pochodzi „Betonowa dżungla”, wydana w *Krokach w nieznanie 2010* (tom 6).

„Palimpsest” to Stross na poważnie, na dodatek podejmujący dyskusję z powieścią *Koniec wieczności* Isaaca Asimova. Osią obu utworów jest istniejąca poza czasem organizacja zmieniająca bieg historii. Brytyjczyk oferuje jednak wielokrotnie bardziej złożoną intrygę, opartą na osiągnięciach współczesnej astrofizyki. Podważa klasyczne podejście do zagadnienia paradoksu czasowego, rozwija twórczo idee zarysowane w wydanej w latach 50. powieści Asimova.

W oczekiwaniu na większą porcję twórczości Charlesa Strossa, jaką będzie przygotowywany do wydania zbiór opowiadań *Wireless* (z którego pochodzi „Palimpsest”) – piorunująca mieszanka obu „Strossów” – należy zaznaczyć, że opowiadanie ukazuje się w *Krokach w nieznanie*: za zgodą i dzięki uprzejmości Jacka Rodka i Andrzeja Miszkurki z wydawnictwa MAG, a także dzięki wsparciu ze strony agencji literackiej Graal oraz Liza Dawson Associates, reprezentujących Charlesa Strossa w Polsce i na świecie.

Mercurio D. Rivera – kolejny w tym tomie autor tłumaczony po raz pierwszy na język polski i wchodzący w skład brooklyńskiej grupy literackiej „Altered Fluid”.

Opowiadanie „Twoje cierpienie nas ochroni” ukazało się w 2010 r. w brytyjskim magazynie „Black Static”. Rozgrywa się w niedalekiej przyszłości w pobliżu granicy ze Stanami Zjednoczonymi, w epoce globalnego terroryzmu i traktuje o sile przesądu. Tekst został nominowany do World Fantasy Award 2011, która w świecie amerykańskiej fantastyki ustępuje prestiżem tylko nagrodom Hugo i Nebula.

Mercurio D. Rivera napisał dotąd kilkanaście opowiadań, które pojawiały się w wielu różnorodnych wydawnictwach, ale poza głównymi tytułami, czyli „Asimov’s Magazine”, „Fantasy & Science Fiction”, czy „Analog”. Z sukcesem drukuje w brytyjskim „Interzone”, gdzie zajął m.in. pierwsze miejsce w plebiscycie czytelników na najlepsze opowiadanie.

Jurij Nesterienko – opowiadanie „Rozpacz”, zamykające 7. tom *Kroków w nieznanie*, to horror science fiction dla czytelników o bardzo mocnych nerwach. Autor nie szczędzi w nim wstrząsających

opisów, ale wszystko ma tutaj swoją przerażającą logikę. Krótko mówiąc: pod żadnym pozorem nie należy zaglądać na ostatnią stronę. Opowiadanie wyszło drukiem w antologii *Rosyjska fantastyka 2011*.

Nesterienko to pisarz z blisko dwudziestoletnim stażem. Jak zaznacza na swojej stronie internetowej, Rosję opuścił jako wróg reżimu politycznego i osiadł w USA. Funkcjonuje tam pod literackim pseudonimem „George Right”. Pisuje science fiction, fantasy i horrory, para się poezją, dziennikarstwem i, amatorsko, fotografią. Wydał w Rosji siedem powieści. Dziesiątki jego opowiadań i nowel rosyjskich jest po różnych antologiach i magazynach wydanych zarówno w Rosji, jak i innych krajach.

Tomasz Maroński – autor poprzedniej i obecnej okładki *Kroków w nieznane*. Jego prace zdobią wiele doskonałych książek i czasopism. Nagradzany przez czytelników „Asimov’s Science Fiction Magazine” – okładka roku 2009, i chwalony przez samego Briana Aldissa za grafikę do polskiego wydania powieści *Non Stop* (Solaris, 2007).

Mirek Obarski – niegdyś recenzent „Nowej Fantastyki”, współtwórca fanzinu „Dr. Strangelove”, współzałożyciel Warmińskiego Klubu Fantastyki „Stalker”. Swego czasu aktywny działacz fandomu. Politolog z wykształcenia, zawodowo zajmuje się public relations. Zredagował tomy *Kroków w nieznane* 2008, 2009, 2010 i 2011.

www.krokiwnieznane.pl – oficjalny blog almanachu fantastyki

Podziękowania

Szczególnie dziękuję Jackowi Rodkowi i Andrzejowi Miskurce z Wydawnictwa MAG za wielką życzliwość i zgodę na publikację opowiadania Charlesa Strossa. Podobnie Janowi Żerańskiemu za udostępnienie tekstu Teda Kosmatki; wierzę, że ukaże się także on-line w Skrytorium. Paweł Laudański sprawił, że tom jest bogatszy o opowiadania z kręgu fantastyki rosyjskiej, zaś Tomasz Maroński stworzył inspirującą okładkę. Wielkiego wsparcia w walce z upływającym czasem udzieliła Małgorzata Mrozek. Wojtek Sedeńko był, jak zawsze, dobrym duchem całego przedsięwzięcia. Jestem im wszystkim bardzo wdzięczny.

Dziękuję też za bezinteresowną pomoc, sugestie, dyskusje i ciężką pracę takim osobom, jak Łukasz Bardyszewski, Marcin Biegaj, Leszek Błaszkiwicz, Rosie Buckman, Havis Dawson, Witold Jabłoński, Michał Jakuszewski, Anna Klimasara, Konrad Kozłowski, Will Ludwigsen, Tadeusz Meszko, Stanisława Obarska, Jolanta Pers, Tony Pi, Martyna Plisenko, Cezary Porycki, Ryszard Piasecki, Mercurio D. Riviera, Jerzy Rzymowski, Bogusław Szyma, Rachel Swirsky, Tomasz Walenciak, Małgorzata Wilk i Marcin Zwierzchowski.

Bardzo dziękuję Annie Skrzypczyk i Piotrowi Mościckiemu za boską wyrozumiałość i kibicowanie moim wysiłkom.

Acknowledgements

I would like to thank Jacek Rodek and Andrzej Miskurka from MAG Publishing House for their great kindness and permission to publish short story by Charles Stross. I would also like to thank Jan Żerański for providing Ted Kosmatkas piece, which will also appear in the on-line version on Skryptorium. Paweł Laudański made the volume richer with Russian fiction short stories and Tomasz Maroński created the inspiring cover. Małgorzata Mrozek gave great support in the fight against the clock. Wojtek Sedeńko was, as always, the good spirit of the whole project. I would like to extend my heartfelt thanks to all of them.

I would also like to thank Łukasz Bardyszewski, Marcin Biegaj, Leszek Błaszkiwicz, Rosie Buckman, Havis Dawson, Witold Jabłoński, Michał Jakuszewski, Anna Klimasara, Konrad Kozłowski, Will Ludwigsen, Tadeusz Meszko, Stanisława Obarska, Jolanta Pers, Tony Pi, Martyna Plisenko, Cezary Porycki, Ryszard Piasecki, Mercurio D. Riviera, Jerzy Rzymowski, Bogusław Szyma, Rachel Swirsky, Tomasz Walenciak, Małgorzata Wilk i Marcin Zwierzchowski for their limitless help, suggestions and discussions and hard work.

Many thanks to Anna Skrzypczyk and Piotr Moscicki for their divine understanding and cheering my efforts.

-
- * – Fragmenty „Hamleta” i „Poskromienia złośnicy” Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.).
 - * – Flea (ang.) – pchła (przyp. tłum.).
 - * – Thick (ang.) – tępy (przyp. tłum.).
 - * – Fragment „Henryka V” Williama Szekspira w przekładzie Leona Ulricha (przyp. tłum.).
 - * – Określenie użyte w jednej z popularnych rosyjskich piosenek dziecięcych (przyp. tłum.).
 - * – Tak o słynnym „Miedzianym jeźdźcu” czyli pomniku Piotra I w Petersburgu, wypowiadał się jego twórca, francuski osiemnastowieczny rzeźbiarz Étienne-Maurice Falconet (przyp. tłum.).
 - * – Dżezwa (tur. cezve) – naczynie kuchenne w kształcie kolby stożkowej, zazwyczaj miedziane, wyposażone w długą rączkę i służące do przygotowywania kawy. Rozpowszechnione w Turcji, na Kaukazie i w Rosji.
 - * – W oryginale – „Яндекс-карты”, czyli rosyjskojęzyczny odpowiednik „Google Maps”.
 - * – Bohaterka rosyjskiego filmu „Наваждение” z 2009 r.
 - * – baño (hiszp.) – łazienka
 - * – vecindario (hiszp.) – sąsiedztwo, okolica
 - * – viejo (hiszp.) – stary
 - * – desarbolado (hiszp.) – rozwichrzona
 - * – guayabera (hiszp.) – koszula
 - * – Puertorriqueña (hiszp.) – Portorykanka
 - * – muchacha (hiszp.) – dziewczyna
 - * – condenado (hiszp.) – przeklęty, potępiony
 - * – hijo de puta (hiszp.) – matkojebca

- *
- pendejo (hiszp.) – głupi, kretyn
- *
- zángano (hiszp.) – truteń
- *
- Todo está bien? (hiszp.) – wszystko w porządku?
- *
- huevos (hiszp.) – jaja
- *
- tía (hiszp.) – ciocia
- *
- Cubana blanca (hiszp.) – biała Kubanka
- *
- Dios mío (hiszp.) – mój Boże
- *
- cabaña (hiszp.) – chata
- *
- cabrón (hiszp.) – bękart, przen. drań
- *
- tormenta (hiszp.) – burza
- *
- sancocho (hiszp.) – gulasz
- *
- la pobre (hiszp.) – biedactwo
- *
- sal chicha (hiszp.) – dosł. kiełbaska, parówka
- *
- mucho cuidado, hijo (hiszp.) – uważaj, synu
- *
- mami-gram (hiszp.) – babcia
- *
- bruja (hiszp.) – wiedźma, czarownica
- *
- Mejicana (hiszp.) – Meksykanka
- *
- aguzada (hiszp.) – ostra
- *
- la brujería (hiszp.) – czarownictwo
- *
- mierda (hiszp.) – gówno
- *
- lo siento (hiszp.) – przykro
- *
- has perdido la mente! (hiszp.) – oszalałeś!
- *
- está bien (hiszp.) – dobrze
- *
- qué hiciste (hiszp.) – co się...
- *
- oye (hiszp.) – hej
- *
- Tu sufrimiento (hiszp.) – twoje cierpienie

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Przedmowa. 5](#)

[Dan Simmons – Tegoroczne zdjęcie klasowe. 8](#)

[Charles Yu – Superbohater Trzeciej Kategorii 27](#)

[K.J. Parker – Błękit i złoto. 40](#)

[Ted Kosmatka – Prorocze światło. 96](#)

[Tony Pi – Przynęta doskonała. 131](#)

[Will Ludwigsen – Pamięć jest czymś jak dom.. 198](#)

[Marina i Siergiej Diaczenko – Przenicowany świat 209](#)

[Paul M. Berger – Stereogram Szarego Fortu w dniach jego chwały. 256](#)

[Charles Stross – Palimpsest 268](#)

[Mercurio D. Rivera – Twoje cierpienie nas ochroni 332](#)

[Jurij Nesterienko – Rozpacz. 348](#)

[Noty o autorach. 418](#)

[Podziękowania. 423](#)

[Acknowledgements. 424](#)

*

—